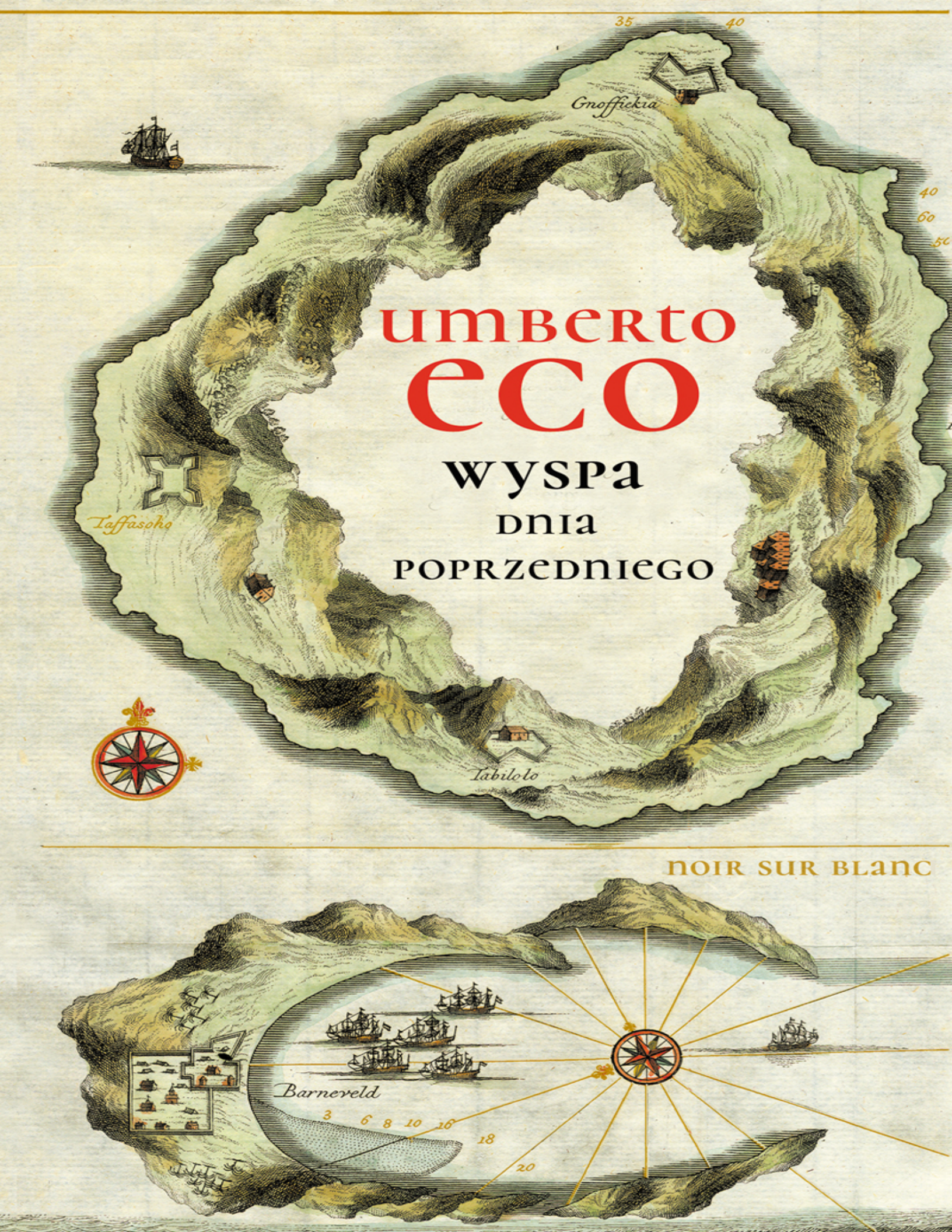


UMBERTO ECO

WYSPA DNIA POPRZEDNIEGO

NOIR SUR BLANC

Umberto Eco

WYSPA DNIA POPRZEDNIEGO

Przełożył
Adam Szymanowski

NOIR SUR BLANC

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja
1. „Dafne”
2. O tym, co wydarzyło się w Monferrato
3. Menażeria Zadziwień
4. Fortyfikacja Pokazana
5. Labirynt Świata
6. Wielka Sztuka Światła i Mroku
7. Pavane Lachryme
8. Osobliwa Doktryna Pięknych Duchów Owego Czasu
9. Luneta Arystotelesowska
10. Geografia i Hydrografia Reformowane
11. Sztuka Ostrożności
12. Namiętności Duszy
13. Mapa Czułości
14. Traktat o Sztuce Orężnej
15. Zegary (niektóre z Wahadłem)
16. Dyskurs o Prochu Sympatii
17. Upragniona Wiedza o Długościach Geograficznych
18. Nadzwyczajne Kurioza
19. Nautyka w Blasku Świetności
20. Przenikliwość i Sztuka Subtelności
21. Telluris Theoria Sacra

22. Gołębica Koloru Pomarańczy
23. Rozmaite i Wymyślne Machiny
24. Dialogi o Najważniejszych Układach Świata
25. Technica Curiosa
26. Theatrum z Dewizami
27. Sekrety Przypływów Morza
28. O Pochodzeniu Romansów
29. Dusza Ferrante
30. O Chorobie Miłosnej, czyli Melancholii Erotycznej
31. Brewiarz Polityków
32. Ogród Rozkoszy
33. Światy Podziemne
34. Monolog o Wielości Światów
35. Pocieszenie Żeglarzy
36. Człowiek u Progu
37. Paradoksalne Rozważania o tym, jak myślą Kamienie
38. O Naturze i Położeniu Piekła
39. Upojne Itinerarium Niebieskie
40. Kolofon

Przypisy

Tytuł oryginału: L’ISOLA DEL GIORNO PRIMA

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI
Korekta: BARBARA KACZAROWSKA, MACIEJ KORBASIŃSKI, JOLANTA ROSOSIŃSKA

Na okładce wykorzystano fragment obrazu Bernardina Fungai *Męczeństwo św. Klemensa*, ok. 1500, City Art Gallery, York

Copyright © R.C.S. Libri S.p.A. – Milan Bompiani 1994
All rights reserved
For the Polish edition
Copyright © 2014, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-7392-461-1

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.
ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa
e-mail: nsb@wl.net.pl
księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Jestże mym celem Pacyfik?

John Donne, *Hymn do Boga, mego Boga...*;
przeł. Stanisław Barańczak

Głupiec! Do kogo mówię?
Nieszczęsny! Co czynię?
Cierpienie swe powierzam
Brzegowi nieczułemu,
Skale niemej, głuchemu wiatrowi...
Jedyną odpowiedzią,
Ach, szum fal rozszemranych!

Giovan Battista Marino, *Echo*; *Lira*, XIX

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

1

„Dafne”

A przecież pysznię się swym upokorzeniem i skoro na taki przywilej zostałem skazany, prawie raduję się, iż nie przyszedł ratunek; wydaje mi się, że jak daleko sięga ludzka pamięć, jestem jedyną istotą naszego rodzaju, która została rozbitkiem na opuszczonym statku.

Tak napisał zatwardziały w swej przesadzie Robert de la Grive, przypuszczalnie na przełomie lipca i sierpnia 1643 roku.

Od iluż dni unosił się na falach, przywiązany do deski, zwrócony twarzą w dół, by w ciągu dnia nie oślepiło go słońce, z szyją nienaturalnie napiętą, by nie napić się słonej wody, z gardłem spalonym, z pewnością trawiony przez gorączkę? Listy tego nie mówią, podsuwając myśl o wieczności, aczkolwiek chodzi zapewne o najwyżej dwa dni, inaczej bowiem nie przeżyłby pod biczem Feba (jak żalił się pewnie w duchu) – on, tak ułomny, jak to opisał, on, z przyrodzonej słabości zwierzę nocne.

Nie zdawał sobie sprawy z upływu czasu, sądzę jednak, że morze uspokoiło się zaraz po tym, jak huragan zrzucił go z pokładu „Amaryllis”, i na owej tratwie, obmyślonej dlań na miarę przez majtka, niesionej pasatami po jasnej toni, w porze roku, kiedy na południe od równika panuje nader łagodna zima – dryfował tak nie za wiele mil, nim prądy pchnęły go do zatoki.

Była noc, zapadł w sen i nie wiedział, że zbliża się do statku, dopóki deska nie uderzyła o dziób „Dafne”.

Kiedy zaś ujrzał w świetle księżyca w pełni, że unosi się na falach pod bukszprytem, a nad nim góruje kasztel dziobowy, z którego, nieopodal kotwicznego łańcucha, zwiesza się drabinka sznurowa (drabina Jakubowa – powiedziałby ojciec Kacper!), w jednej chwili wrócił do zmysłów.

Mocy dodała mu pewnie rozpacz: obliczał, czy starczy mu sił, by zakrzyknąć (ale w gardle czuł suchy ogień), czy raczej by uwolnić się od sznurów, które pozostawiły na ciele sine bruzdy, i spróbować wspinaczki. Myślę, że w takich momentach umierający staje się Herkulesem, który dusi w kolebce węże. Robert opisuje to zdarzenie niezbyt jasno, skoro jednak w końcu znalazł się w kasztelu dziobowym, trzeba nam przyjąć, że w ten czy inny sposób uczepił się drabinki. Możliwe, iż odpoczywał co chwila, a potem przetoczył się przez reling, przegramolił przez takielunek, zobaczył otwarte drzwi kasztelu... Instynkt kazał mu pewnie podpełznąć w mroku do beczki, przy niej dźwignął się jakoś i znalazł na wieku kubek na łańcuszku. Wypił, ile zdołał, a później zwalił się nasycony, być może w pełni świadom, że koniec jest bliski, albowiem w tej wodzie utopiło się tyle insektów, iż była naraz pokarmem i napitkiem.

Musiał spać okrągłą dobę, i ten rachunek jest trafny, obudził się bowiem nocą, ale jak nowo narodzony. Była więc znowu – nie zaś jeszcze – noc.

On jednak pomyślał, że jest jeszcze noc, bo przecież w ciągu dnia ktoś musiałby go znaleźć. Księżycowe światło, padając z pokładu, oświetlało to miejsce, które jawiło się jako kambuz, gdyż nad piecem kuchennym zwieszał się kociołek.

Pomieszczenie miało dwoje drzwi, jedne wychodzące na bukszpryt, drugie na pokład. A stanąwszy w tych drugich, dojrzał, jakby to był dzień, uładzony takielunek, windę kotwiczną, maszty ze zwiniętymi żaglami, parę dział wystających ze strzelnic w burcie i zarys kasztelu rufowego. Narobił hałasu, ale wszędzie panowała głucha cisza. Oparł się o burtę i na wprost przed sobą, w odległości jakiejś mili, zobaczył kontur Wyspy i palmy poruszane bryzą. Linia brzegowa tworzyła jakby zakole obramowane wstążką piasku, który jaśniał w bladym półmroku, ale, jak to bywa

z rozbitkami, Robert nie potrafił powiedzieć, czy ma przed oczami wyspę, czy ląd stały.

Zataczając się, podszedł do drugiej burty i zobaczył – lecz tym razem w oddali, prawie na linii horyzontu – górskie szczyty innego lądu, także ograniczonego dwoma cyplami. Wszędzie poza tym – morze; wydawało się, że statek stoi na redzie, przepłynąwszy szeroki kanał oddzielający dwa lądy. Robert doszedł do wniosku, że jeśli nie są to dwie wyspy, ma przed sobą wyspę położoną niedaleko stałego lądu. Nie sądzę, aby rozważał inne hipotezy, jako że nigdy nie słyszał o zatokach tak wielkich, iż znalazłszy się w środku, człowiek miał wrażenie, że są to dwa bliźniacze lądy. Tak właśnie, nie znając niezmierzonych kontynentów, trafił w sedno.

Wspaniała sytuacja dla rozbitka: pokład pod stopami i stały ląd w najbliższym zasięgu. Ale Robert nie umiał pływać, już wkrótce miał odkryć, że na statku nie ma ani jednej szalupy, a prąd zdążył tymczasem porwać tratwę, na której on tu przybył. Dlatego też uldze spowodowanej świadomością, że uniknął śmierci, towarzyszył lęk, jaki wywoływała potrójna samotność: morza, pobliskiej Wyspy i statku. „Hej, tam, na pokładzie!” – próbował pewnie krzyczeć we wszystkich znanych sobie językach, uzmysławiając sobie przy okazji, jak bardzo jest osłabiony. Cisza. Jakby na statku nie pozostał nikt żywy. I nigdy jeszcze – on, tak rozrzutny, jeśli chodzi o analogie – nie wyraził się równie dosłownie. Lub prawie dosłownie – lecz o tym właśnie chciałbym opowiedzieć, nie wiem tylko, od czego zacząć.

Dlatego już zacząłem. Człowiek płynie po oceanie i życzliwa toń rzuca go na statek, który robi wrażenie opuszczonego. Na statek pusty, jakby dopiero co porzucony przez załogę – gdyż Robert z trudem wrócił do kambuza i znalazł lampę oraz krzesiwo, tam gdzie kucharz odłożyłby je przed udaniem się na spoczynek. Ale obok komina były dwa puste łóżka, jedno nad drugim. Robert zapalił lampę, rozejrzał się dokoła i wypatrzył mnóstwo jedzenia: suszoną rybę, ledwie pobielony wilgocią suchar, który wystarczyło trochę oskrobać nożem. Ryba była bardzo słona, ale wody przecież nie brakowało.

Pewnie szybko wrócił do sił albo już je odzyskał, kiedy o tym pisał, albowiem dosłownie się rozpływa nad rozkoszami podniebienia: nigdy nie biesiadowano tak na Olimpie, oto ja, człek znikomy, potwór, któremu śmierć jest życiem, spijam słodycz ambrozji... Ale takie właśnie rzeczy wypisywał Robert do Pani swojego serca:

Słońce mego cienia, Światło mojej nocy!

Czemuż niebo nie pognębiło mnie w tej burzy, którą z taką zaciekłością rozpętało? Czemuż odebrało nienasyconemu morzu moje ciało, skoro później w tej srogiej, a jeszcze bardziej nieszczęsnej samotności miała okropnej ulec katastrofie ma dusza?

Jeśli litościwe niebo nie ześle mi wybawienia, nie przeczytasz nigdy listu, który w tej chwili piszę, i choć płonę niby pochodnia od świateł tych mórz, stanę się mroczny w Twoich oczach jak Selene, co zbytnio, niestety, radowała się blaskiem swego słońca, a teraz, w miarę jak dopełnia swej wędrówki poza najodleglejszy łuk naszej planety, pozbawiona wsparcia astralnych promieni swego władcy, najpierw chudnie na obraz sierpa odbierającego jej życie, a potem, na podobieństwo gasnącego kaganka, całkiem niknie pośród tej rozległej jasnobłękitnej tarczy, gdzie pomysłowa natura kształtuje heroiczne czyny i tajemnicze emblematy swoich sekretów. Usunięty poza Twoje spojrzenie, jestem ślepcem, bo mnie nie widzisz, niemową, bo do mnie nie mówisz, cierpię na niepamięć, bo o mnie nie pamiętasz.

W rozżarzonej nieprzejrzystości i mrocznym płomieniu żyje jeno niewyraźna zjawa, którą mój umysł, kształtując zawsze tak samo w owych zmaganiach przeciwieństw, chciałby przekazać Twemu umysłowi. Ratując swe życie na tej drewnianej skale, w tym unoszonym na falach bastionie, więzień morza broniącego mnie przed morzem, ukarany łaskawością niebios, ukryty w tym marnym sarkofagu otwartym na wszystkie słońca, w tym podziemnym aerolocie, w tym bezlitosnym więzieniu, które pozwala uciec w dowolną stronę, tracę nadzieję, że kiedyś jeszcze Cię zobaczę.

Pani, piszę, jakby składając Ci w darze, w niegodnym hołdzie, przekwitłą różę mego przygnębienia. A przecież pysznię się swym upokorzeniem i skoro na taki przywilej zostałem skazany, prawie raduję się, iż nie przyszedł ratunek; wydaje mi się, że jak daleko sięga ludzka pamięć, jestem jedyną istotą naszego rodzaju, która została rozbitkiem na opuszczonym statku.

Czy jest to jednak możliwe? Sądząc po dacie pierwszego listu, Robert zaczął pisać natychmiast po przybyciu, gdy tylko znalazł w kapitańskiej kabinie papier i pióro, zanim jeszcze wyruszył na wyprawę odkrywczą po statku. A przecież potrzebował trochę czasu, żeby odzyskać siły, był bowiem słaby niczym zranione zwierzę. A może chodzi tu o niewinny wybieg kochanka, który najpierw stara się zbadać, dokąd trafił, a potem pisze, udając jednak, że zrobił to wcześniej. Jakże to, wiedząc, a przynajmniej obawiając się, że listy nigdy nie dotrą do adresatki, pisze po to tylko, by się dręczyć (ukoić przez udrękę, jak by powiedział, ale nie pozwólmy, by narzucił nam swój styl)? Trudno zrekonstruować gesty i emocje osoby, która z pewnością płonie prawdziwą miłością, ale co do której nigdy nie wiadomo, czy wyraża uczucia, czy też to, co narzucają reguły języka miłosnego, lecz z drugiej strony cóż możemy wiedzieć o różnicy między namiętnością przeżytą a wyrażoną i o tym, która bierze górę? Pisał więc dla siebie, nie była to literatura, naprawdę siedział tam i pisał jak młodzieniaszek, który liniując stroniczkę łzami, ściga niemożliwe do spełnienia marzenie nie z powodu oddalenia od kochanki, bo ta, nawet obecna, była czystym wyobrażeniem, ale z rozczulenia nad sobą, jako ktoś zakochany w swej miłości...

Byłby to niezgorszy temat powieści, ale – powtarzam – od czego zacząć?

Osobiście uważam, że pierwszy list napisał później, przedtem zaś rozejrzał się dokoła, a co zobaczył – opisał w następnych listach. Jednak także w tym wypadku jak przetłumaczyć diariusz kogoś, kto chce przez przenikliwe metafory pokazać to, co sam widzi źle, krążąc w mroku i wytężając chore oczy?

Robert wyjaśni, że cierpiał na oczy, odkąd podczas oblężenia Casale kula musnęła mu skroń. Mogło nawet tak być, choć w innym miejscu sugeruje, że wzrok mu osłabł wskutek zarazy. Z pewnością miał wątłą kompleksję, a domyślam się, że był także hipochondrykiem – aczkolwiek niepozbawionym zdrowego rozsądku. Fotofobię zawdzięczał pewnie w połowie czarnej żółci, a w połowie jakiemuś podrażnieniu, być może doprowadzonemu do ostrego stanu wskutek stosowania preparatów pana Igby'ego.

Nie ulega, jak się zdaje, wątpliwości, że rejs na „Amaryllis" odbywał, nie wychodząc na pokład, albowiem fotofobia, jeśli nawet nie stanowiła bez reszty jego natury, to tę przynajmniej jej cząstkę, którą musiał wykorzystać, by mieć na oku wszystko, co działo się w ładowni. Przebywał więc parę miesięcy w ciemności lub przy świetle lampki, a potem przyszedł czas spędzony na tratwie, kiedy oślepiało go słońce podzwrotnikowe lub tropikalne. Nic dziwnego, że kiedy przybił do „Dafne", chory czy zdrowy, nienawidził światła; pierwszą noc spędził w kambuzie, odzyskał przytomność i drugiej nocy spróbował dokonać pierwszych oględzin, potem zaś sprawy toczyły się niemal własnym torem. Blask dnia przerażał, nie tylko bowiem nie mogły go znieść oczy, ale Robert cierpiał też zapewne z powodu poparzonych pleców – krył się więc w ciemnościach. Wspaniały księżyc, który opisywał w te noce, krzepił go; w dzień niebo jak niebo, za to nocą odkrywa się nowe konstelacje (właśnie owe heroiczne czyny i tajemnicze emblematy), jest zupełnie jak w teatrze: Robert przekonuje się, że jego życie będzie takie przez długi czas, może do samej śmierci, odtwarza swoją Panią na papierze, gdyż boi się ją utracić, i wie, że niewiele stracił ponad to, czego już i tak nie miał.

W tej sytuacji owe nocne wachty są dlań jak matczyne łono i tym bardziej pragnie uciekać przed słońcem. Może czytał o tych węgierskich, inflanckich albo wołoskich upiorach, które się krzątają od zmroku do świtu, by potem ukryć się w grobowcach, gdy ozwie się pierwszy kur: ta rola mogła go oczarować...

Do inwentaryzacji Robert miał przystąpić drugiego wieczoru. Wykrzykiwał już wystarczająco długo, by mieć pewność, że na pokładzie nikogo nie ma. Mógł jednak, i tego się lękał, znaleźć jakieś zwłoki, jakiś znak, który wyjaśniłby pustkę na statku. Poruszał się ostrożnie i trudno na podstawie listów wywnioskować, w jakim kierunku: wymienia w sposób niezbyt precyzyjny sam statek, jego części i znalezione przedmioty. Niektóre zna, gdyż słyszał, jak mówili o nich majtkowie, innych nie zna i opisuje tak, jak je widzi. Ale nawet przedmioty znane – i jest to wskazówka, że załoga „Amaryllis" składała się z szubienicznikόw z siedmiu mórz – nazywano przy nim to po francusku, to po holendersku, to po angielsku. Tak więc pada czasem słowo *staffe* – które słyszał zapewne od doktora Byrda – na określenie balisty; trudno pojąć, kiedy jest na kasztelu rufowym, a kiedy na rufówce, używa bowiem nazwy *gaillard* tylny, co wychodzi na to samo, tyle że po francusku; używa słowa *sabord* i wybaczam mu to bez trudu, ponieważ przypomina mi ono czytane w młodości książki o morzu; mówi o *parrocchetto*, które u Włochów jest żaglem fokmasztu, ponieważ jednak u Francuzów *perruche* to żagiel bezanmasztu, nie wiadomo, co miał na myśli, pisząc, że znalazł się pod *parrucchetta*. Nie mówiąc już o tym, że czasem bezanmaszt nazywa z francuska *artimone* i nie wiadomo wtedy, co ma na myśli, używając określenia *mizzana*, co u Francuzów oznacza fokmaszt (ale, niestety, nie u Anglików, dla których *mizzenmast* oznacza, jak Pan Bóg przykazał, bezanmaszt). A kiedy wspomina o okapie, prawdopodobnie chodzi mu o to, co my nazwalibyśmy szpigatem. Podjąłem więc postanowienie: postaram się rozszyfrować jego intencje, a potem będę używał terminów, z którymi najbardziej się oswoiliśmy. Jeśli nawet popełnię jakiś błąd, nic strasznego: opowieść się przez to nie zmieni.

To powiedziawszy, przyjmijmy, że owej drugiej nocy Robert, po znalezieniu w kambuzie zapasów żywności, przystąpił do eksploracji statku przy świetle księżyca.

Przypomniał sobie dziób i pękaty kadłub, które widział niewyraźnie poprzedniej nocy, i oceniając statek na podstawie szerokości pokładu,

kształtu rufówki oraz smukłej, zaokrąglonej rufy, a także porównując go z „Amaryllis”, doszedł do wniosku, że „Dafne” to także holenderski *fluyt*, czyli fleuta albo *flûte*, albo *fluste*, albo *flyboat*, albo *fliebote*, jak rozmaicie nazywają te statki handlowe o średnim tonażu, uzbrojone tylko w dziesięć dział, żeby dla spokoju sumienia oddać salwę na wypadek ataku pirackiego, statki, do których obsługi wystarczy dwunastu majtków i które mogą zabrać sporo pasażerów, jeśli ci zrezygnują z wygód (i tak bardzo skromnych) i rozmieszczą posłania w taki sposób, że będą się o nie potykać – choć wtedy tylko czekać wielkiego pomoru ze względu na rozmaite miazmaty, jeżeli zabraknie wiader na nieczystości. Była to więc fleuta, lecz większa od „Amaryllis”, o pokładzie prawie całkowicie z krat, jakby kapitan myślał tylko o tym, by nabrać wody przy każdej trochę większej fali.

Tak czy inaczej, okoliczność, że była to fleuta, wydawała się sprzyjająca, gdyż znając rozplanowanie statku, Robert mógł poruszać się pewniej. Na przykład w połowie długości powinna znajdować się wielka szalupa, w której mieściłaby się cała załoga, fakt zaś, że szalupy nie było, pozwalał się domyślać, iż załoga przebywa gdzie indziej. Jednak i tak Robert nie mógł wyzbyć się niepokoju: załoga nigdy przecież nie zostawia statku bez opieki, na łasce morza – nawet zakotwiczonego, ze zwiniętymi żaglami i w spokojnej zatoce.

Tego wieczoru opuścił od razu kabinę rufową, z wahaniem otworzył drzwi kasztelu, jakby z poczuciem, że powinien poprosić kogoś o pozwolenie... Umieszczona przy rumplu busola wyjawiła mu, że kanał między dwoma lądami ciągnie się z południa na północ. Potem trafił w miejsce, które dzisiaj nazwalibyśmy mesą, do sali w kształcie litery „L”, a następne drzwi zaprowadziły go do kabiny kapitańskiej z dużym oknem nad sterem i bocznymi wyjściami na galerię. Na „Amaryllis” kabina dowodzenia była oddzielona od kabiny, w której kapitan sypiał, tutaj jednak miało się wrażenie, że chodzi o zaoszczędzenie miejsca w jakimś innym celu. I rzeczywiście, wprawdzie po lewej stronie przylegały do mesy dwa pomieszczenia dla oficerów, jednak po prawej wygospodarowano inne

pomieszczenie, może nawet większe od kabiny kapitana, ze skromną koją w głębi, lecz urządzone jak miejsce do pracy.

Stół był zasłany mapami; ich zestaw wydał się Robertowi bogatszy niż ten, który potrzebny jest na statku do wyznaczania kursu. Robiło to wrażenie pracowni człowieka nauki; oprócz map widać było rozłożone to tu, to tam lunety, także piękne miedziane noktolabium, połyskujące rdzawo, jakby kryło w swym wnętrzu źródło światła, sferę armilarną przymocowaną do blatu stołowego, jakieś kartki pokryte obliczeniami oraz pergamin z czarnymi i czerwonymi kolistymi wzorami, których kopie widział, jak sobie przypomniał, na „Amaryllis" (aczkolwiek tamte odznaczały się gorszą jakością wykonania) – stanowiły ilustrację zaćmień księżycowych według Regiomontana.

Wrócił do kabiny dowodzenia. Kiedy wyjdzie się na galerię – napisał potem – można zobaczyć Wyspę, można oczami pantery wpatrywać się w jej milczenie. Tak czy owak, Wyspa tam była, tak samo jak przedtem.

Musiał dotrzeć tutaj półnagi. Ponieważ ciało miał pokryte morską solą, przyjmuję, że pierwsze, co zrobił, to umył się w kuchni, nie zastanawiając się nawet, czy nie jest to aby jedyna woda na pokładzie, a potem znalazł w jakimś kufrze piękny mundur kapitański, oszczędzany zapewne na chwilę dotarcia do celu podróży. Może nawet poczuł dumę z tego stroju, a wysokie buty sprawiły, że znowu był w swoim żywiole. Dopiero w tym momencie, w stosownym ubraniu, nie zaś jak wynędzniały rozbitek, człowiek honoru mógł oficjalnie objąć w posiadanie opuszczony statek i postrzegać ten czyn już nie jako gwałt, lecz jako coś prawowitego; rozejrzał się po stole i zobaczył obok gęsiego pióra i kałamarza dziennik pokładowy – otwarty i jakby porzucony przed dokończeniem zapisu. Z pierwszej kartki dowiedział się, jaką nazwę nosi statek, lecz reszta stanowiła niezrozumiałą sekwencję słów w rodzaju *anker*, *passer*, *sterre-kyker*, *roer* i niewiele mu przyszło z domysłu, że kapitan był Flamandem. Jednak ostatnia linijka zaopatrzona była w datę sprzed kilku tygodni, a po paru niezrozumiałych słowach zobaczył podkreślone wyrażenie łacińskie: *pestis, quae dicitur bubonica*.

Oto ślad, zwiastun wyjaśnienia. Na pokładzie wybuchła zaraza. Nie zaniepokoiło to Roberta: przeszedł dżumę trzynaście lat wcześniej, a wszyscy wiedzą, że ten, kto raz na nią chorował, zyskuje swoiste ułaskawienie, jakby ta żmija nie śmiała wtargnąć po raz drugi w lędźwie osoby, która przedtem ją ujarzmiła.

Z drugiej strony ta wskazówka niewiele wyjaśniała i pozostawiała dość miejsca na innego rodzaju trwogi. Powiedzmy, że wszyscy rozstali się z życiem. Ale wtedy tu i tam leżałyby w nieładzie trupy ostatnich – tych, którzy zdążyli sprawić bogobojny morski pochówek poprzednim ofiarom.

Brakowało wszakże szalupy. Ci ostatni, albo i wszyscy, musieli odpłynąć. Co sprawia, że statek zadżumionych staje się miejscem straszliwie groźnym? Może szczury? Robertowi wydawało się, że w ostrogockim piśmie kapitana odczytał słowo *rottenest* (myszy, szczury rynsztokowe?), i natychmiast się odwrócił z uniesionym kagankiem, przygotowany na to, że zobaczy coś przemykającego pod ścianami albo usłyszy pisk, który na „Amaryllis” mroził mu krew w żyłach. Wzdrygnął się na wspomnienie pewnego wieczoru, kiedy włochate stworzenie musnęło go po twarzy, a on wydał z siebie okrzyk przerażenia, który sprowadził doktora Byrda. Wszyscy się potem z niego wyśmiewali; nie potrzeba dżumy, żeby szczurów było na statku tyle, ile ptaków w lesie, a jeśli ktoś chce wędrować po morzach, musi się z gryzoniami oswoić.

Jednak tutaj nie było ani śladu szczurów – przynajmniej w kasztelu. Może, czekając na świeże mięso, zgromadziły się w zęzie i tam czerwienieją w mroku ich ślepia? Robert pomyślał, że trzeba to natychmiast sprawdzić. Jeżeli chodzi tu o zwykłe szczury i ich liczba nie odbiega od normy, da się to znieść. A zresztą, jakie niby miałyby być? Zadał sobie to pytanie, lecz wolał nie szukać odpowiedzi.

Znalazł strzelbę, szpadę i nóż. Stał się żołnierzem: strzelba była typu *caliver* – jak mówili Anglicy – to znaczy można było z niej mierzyć bez widełek; upewnił się, że wszystko jest w porządku – bardziej dla dodania sobie ducha niż z tego powodu, że zamierzał rozgromić stado szczurów;

zatknął nawet za pas nóż, który w starciu ze szczurami jest orężem mało przydatnym.

Postanowił zwiedzić kadłub od dziobu po rufę. Wrócił do kambuza i po drabinie schodzącej za jarzmem bukszprytu dostał się na pentry (czyli, jak mniemam, do spiżarni), gdzie zgromadzono zapasy żywności na długi rejs. A ponieważ nie da się ich przechowywać przez całą podróż, załoga uzupełniła je niedawno na gościnnym lądzie.

Były tu kosze pełne świeżo uwędzonych ryb, piramidy orzechów kokosowych, baryłki z bulwami nieznanego kształtu, ale z wyglądu jadalnymi i zapewne dającymi się długo przechowywać. A poza tym owoce, które Robert widział już na pokładzie „Amaryllis”, kiedy tylko okręt znalazł się nieopodal tropikalnych lądów, i które też były odporne na odmiany pór roku – owoce najeżone kolcami i łuskami, lecz o ostrym zapachu, obiecującym dobrze chroniony miąższ i ukryte, słodkie jak cukier soki. A z jakichś uprawianych na wyspach roślin zrobiono zapewne tę szarą mąkę o zapachu tufu, która stała w workach i z której pewnie wypiekano chleb przypominający w smaku mdłe korzeniowe zgrubienia, zwane przez Indian z Nowego Świata patatami.

W głębi dostrzegł również z dziesięć baryłek zaopatrzonych w kurki. Odkręcił pierwszy z brzegu i okazało się, że w beczce jest niestęchła jeszcze woda, zgromadzona tu zapewne niedawno i zasiarkowana, żeby dłużej nadawała się do picia. Nie było jej zbyt wiele, ale zważywszy na to, że także owoce dobrze gaszą pragnienie, mógł przeżyć długo na tym statku. A jednak te odkrycia, które mówiły wszak, że nie umrze tu z głodu, wzmogły tylko jego niepokój – jak to się zdarza duszom melancholijnym, którym każdy uśmiech fortuny zwiastuje zgubne konsekwencje.

Już fakt, że jako rozbitek znalazł się na opuszczonym statku, był czymś nienaturalnym, gdyby jednak ów statek został opuszczony przez Boga i ludzi jako niezdatny do niczego wrak, pozbawiony wszelkich rzeczy naturalnych czy wytworów ludzkiej ręki, które czyniłyby z niego pociągające miejsce schronienia, mieściłoby się to w porządku rzeczy i pasowało do żeglarskich kronik, lecz znaleźć go w takim stanie,

przygotowany na przyjęcie miłego i oczekiwanego gościa – to zaczynało zalatywać siarką, nie zaś wodą. Robert przypomniał sobie rozmaite bajki opowiadane przez babcię i te, ubrane w piękniejsze słowa, bajki, które czytywano w paryskich salonach, a w których była mowa o księżniczkach zabłąkanych w lesie i wchodzących do twierdzy, gdzie znajdowały pełne przepychu komnaty, w nich zaś łoża z baldachimem, szafy pełne wspaniałych szat albo po prostu zastawione stoły... I wiadomo, że w ostatniej sali czekało diabelskie objawienie niegodziwego umysłu, który zastawił pułapkę.

Wziął orzech z dołu, naruszając równowagę piramidy, i szczeciniaste kule runęły lawiną jak szczury, które zaczaiły się przy ziemi (albo jak nietoperze zwisające głową w dół, uczepione belki sufitu), a teraz runęły, by pnąc się po jego ciele, obwąchać zlaną potem twarz.

Trzeba było się upewnić, że nie wchodzi tu w grę żaden urok, a Robert nauczył się podczas podróży, co można zrobić z zamorskimi owocami. Posługując się nożem jak siekierą, otworzył jednym uderzeniem orzech, a potem rozkruszył skorupę i zaczął wyjadać kaszkę, która znajdowała się wewnątrz. Była słodka i tak smakowita, że poczucie, iż znalazł się w pułapce, jeszcze się wzmogło. Być może – powiedział sobie – padłem już ofiarą złudzenia, może, jedząc kokos, w istocie brałem do ust te gryzonie, a teraz wchłaniam ich esencję i już wkrótce moje dłonie staną się maleńkie, zakrzywione, z palców wyrosną mi pazury, ciało pokryje wyleniały meszek, grzbiet wygnie się w pałąk i zostanę przyjęty do nieszczęsnej apoteozy szczeciniastych mieszkańców tej łodzi unoszącej się na falach Acherontu.

Jednak nim pierwsza noc dobiegła końca, naszego eksploratora miało zaskoczyć inne jeszcze, przerażające ostrzeżenie. Spoza przepierzenia oddzielającego spiżarnię od reszty przestrzeni podpokładowej dobiegł jego uszu może nie pisk, lecz lament, szmer, szuranie łap, jakby runięcie piramidy orzechów zbudziło jakieś śpiące istoty. A więc naprawdę ma do czynienia z czarami i w jakiejś norze odbywa się w tej chwili zgromadzenie nocnych stworów.

Robert zastanowił się, czy powinien ująć w dłoń strzelbę i ruszyć bez zwłoki do walki z tym Armagedonem. Serce biło mu jak młotem, oskarżał się o tchórzostwo, mówił sobie, że wcześniej czy później, tej czy innej nocy, będzie musiał stawić im czoło. Zwlekał jednak, wyszedł na pokład i na szczęście zobaczył, że świt powleka woskiem lufy dział, dotychczas muskane księżycowymi błyskami. Wstaje dzień – pomyślał z ulgą, choć przecież musiał uciekać przed światłem.

Niby węgierski wilkołak pobiegł do kasztelu na rufie, wpadł do izdebki, która stała się jego mieszkaniem, zabarykadował drzwi, zamknął wyjścia na galerię, ułożył oręż w zasięgu ręki i jął przygotowywać się do snu, aby nie zobaczyć słońca, kata, toporem promieni ucinającego szyję cieniom.

Spał niespokojnie, śniąc o katastrofie, a był to sen człowieka wykształconego, który nawet we śnie, i zwłaszcza wtedy, musi postępować tak, ażeby teorematy upiększały koncepcję, podkreślenia ją ożywiały, a tajemnicze powiązania nadawały konsystencję, pogłębiały zastrzeżenia, uwznioślały patos, skrywały aluzje i subtelne transmutacje.

Myślę, że w tamtych czasach i na tamtych morzach więcej statków się rozbijało, niż wracało do portu; jeśli jednak komuś zdarzyło się to po raz pierwszy, przeżycie musiało prowadzić do powtarzających się koszmarów sennych, które nawyk wyobraźni czynił pewnie malowniczymi niby Sąd Ostateczny.

Już poprzedniego wieczoru powietrze było jak zakatarzone i miało się wrażenie, że oko niebios, brzemienne łzą, nie może znieść dłużej widoku sfalowanej przestrzeni. Pędzel natury zdążył odbarwić linię horyzontu i szkicował w dali niewyraźne prowincje.

Robert, któremu trzewia zapowiadały zbliżanie się trzęsby ziemnej, rzucił się na posłanie, kołysany przez niańkę cyklopów, zapadł w niespokojne sny człowieka, który śni we śnie, o którym mówi, i kosmopea zadziwień przyjmuje go w swe łono. Obudziła Roberta orgia grzmotów i okrzyków marynarzy, a potem potoki wody zalały jego posłanie, doktor Byrd zajrzał, przebiegając, i krzyknął, by wyszedł na

pokład i chwycił się mocno czegoś, co byłoby choć trochę trwalsze niźli on sam.

Na pokładzie zamęt, lamenty, ciała unoszone jakby boską ręką i ciskane w morze. Przez chwilę Robert trzymał się żagla grotmarsla (o ile zrozumiałem), póki nie podarły go pioruny, maszt nie ruszył wykrzywionym szlakiem gwiazd i Robert nie znalazł się u stóp głównego masztu. Jakiś poczciwy majtek, który przywiązał się do masztu, rzucił mu linę i nie mogąc już zrobić miejsca, krzyknął, by przywiązał się do drzwi wyrwanych z kasztelu; i dobrze się stało dla Roberta, że owe drzwi wraz z nim, parazytem, przeniosło ku burcie, gdyż maszt złamał się w połowie i rozłupał na dwoje głowę tak trafnie doradzającego.

Przez wyszczerbienie w nadburciu, przy błyskawicach przebiegających to tu, to tam sfalowaną równinę, Robert zobaczył, albo śniło mu się, że zobaczył, Cyklady cieni, co wydaje mi się nadmierną podatnością na wyszukane cytaty. Tak czy inaczej, „Amaryllis” przechyliła się na tę stronę, gdzie przebywał potencjalny rozbitek, i Robert wraz ze swoją deską ześlizgnął się w otchłań, nad którą spostrzegł, spadając, Oceanusa swobodnie wspinającego się na owe urwiska, w omdlewaniu powiek zobaczył, jak wypiętrzają się zwalone piramidy, i odnalazł spojrzeniem wodną kometę umykającą po orbicie tego wiru mokrych kręgów niebieskich. A flukta rozbłyskiwały z połyskującą niestałością, tu falował się jakiś wapor, tam wir bulgotał i otwierał otchłań. Powaby szaleńczego meteoru są kontrapunktem dla buntowniczej i przerywanej grzmotami melodii, niebo jest na zmianę odległymi błyskami i uderzeniami mroków; Robert powiada, że widział spienione Alpy pośród sprośnych bruzd, których szumowiny stają się plonem, i ukwieconą Ceres pośród szafirowych lśnień, i czasem walące się z rykiem opale, jakby telluryczna córa Prozerpina przejęła rządy, wyganiając owocorodną matkę.

Robert, otoczony wyjącymi i błąkającymi się to tu, to tam bestiami, wśród kipiących i burzących się słonych srebrzystości, przestał nagle podziwiać spektakl, w którym był nieczułym aktorem, stracił przytomność i niczego już o sobie nie wiedział. Dopiero później domyślił się we śnie, że

deska, z jakiegoś litosnego nakazu lub zgodnie z odruchem rzeczy pływającej, dostosowała się do tej gigi i jak spadła, tak w naturalny sposób wyłoniła się na powierzchnię, dopasowując swe ruchy do powolnej sarabandy – później, gdy gniew żywiołów obalił reguły wszelkiej grzesznej sekwencji tańców – i z coraz rozleglejszymi peryfrazami oddalając go od ombilika karuzeli, szelmowskiej frygi w rękach synów Eola, która pochłonęła nieszczęsną „Amaryllis”, do ostatniej chwili celującą w niebo bukszprytem. A wraz ze statkiem poszło na dno wszystko, co żyło w jego wnętrzu: Żyd, który z woli przeznaczenia odnajdzie w Jerozolimie niebiańskiej nieosiągalną już dlań Jerozolimę ziemską, kawaler maltański na zawsze rozdzielony z wyspą Escondida, doktor Byrd wraz ze swymi akolitami – wreszcie uwolniony przez dobrotliwą naturę od pociechy, jaką daje sztuka medyczna – i ów biedny pies cały we wrzodach, o którym nie miałem okazji wspomnieć, ponieważ Robert napisał o nim dopiero później.

W gruncie rzeczy jednak przypuszczam, że senne marzenia i burza sprawiły, iż sen Roberta miał tendencję do daleko idącego skrócenia, po nim zaś miało przyjść wojownicze czuwanie. Rzeczywiście, Robert, godząc się z myślą, że na zewnątrz jest widno, ukojony faktem, iż przez matowe okna kasztelu przenika niewiele światła, ufając, że uda mu się zejść pod pokład po jakichś wewnętrznych schodach, ujął znowu oręż w dłonie i w nastroju lękliwej zuchwałości wyruszył na poszukiwanie źródła nocnych dźwięków.

A właściwie: wyruszył, ale nie od razu. Proszę o wybaczenie, sam Robert jednak w listach do swej Pani popada w sprzeczności – znak, że snuje opowieść bez zagłębiania się w szczegóły, lecz stara się raczej nadać listowi kształt opowieści, więcej, kształt notatek do czegoś, co ma się dopiero stać listem i opowieścią, i zapisuje wszystko, nie wiedząc jeszcze, jakiego dokona wyboru, rysuje, by tak rzec, figury szachowe, nie od razu wiedząc, jak je rozstawi i jakie ruchy każe im wykonać.

W jednym z listów pisze, że wyruszył, by zapuścić się pod pokład. W innym pisze jednak, że kiedy obudził go poranny brzask, zaraz usłyszał dochodzące z oddali dźwięki orkiestry. Muzyka rozbrzmiewała z pewnością

od strony Wyspy. W pierwszej chwili Robert wyobraził sobie gromadę tubylców, którzy tłoczą się u długich czółen, by podpłynąć do okrętu, i mocniej ścisnął w rękach strzelbę, ale później muzyka wydała mu się mniej bojowa.

Świtało, słońce nie padło jeszcze na szyby. Wyszedł na galerię, wciągnął w nozdrza zapach morza, uchylił nieco okno i przez na wpół przymknięte oczy spojrzał w stronę brzegu.

Na „Amaryllis” nie pokazywał się w ciągu dnia na pokładzie i tylko słyszał, jak pasażerowie opowiadają o jutrzenkach tak płomienistych, jakby słońce się niecierpliwiło, pragnąc zaatakować świat promieniami, ale teraz widział oczyma, które zgoła nie łzawiły, kolory pastelowe, niebo spienione ciemnymi chmurami, ledwie wystrzępionymi perlistością, i blask, wspomnienie różu, pnący się spoza Wyspy, jakby zabarwionej turkusem na chropowatej karcie.

Jednak ta prawie północna paleta pozwoliła Robertowi zrozumieć, że kontur, który w nocy wydał mu się jednolity, był zarysem lesistego wzgórza opadającego stromym zboczem, porośniętym wyniosłymi drzewami, ku białej, zwieńczonej palmami plaży.

Piasek powoli nabierał świetlistości, a przy brzegu widać było po bokach jakby wielkie, nasączające się balsamami pająki, które poruszały w wodzie cienkimi kończynami. Robert rozpoznał w nich z daleka „wędrowne rośliny”, ale w tym momencie zbyt już jasny odblask na piasku zmusił go do odwrócenia wzroku.

Odkrył, że tam, gdzie nie dopisuje mu wzrok, słuch go nie zawodzi, zawierzył mu więc, przymknął oko i nastawił ucha na odgłosy dochodzące z lądu.

Choć przywykł do poranków na swym rodzinnym wzgórzu, spostrzegł się, że po raz pierwszy w życiu naprawdę słyszy śpiew ptaków, a w każdym razie – że nigdy nie słyszał ich tylu i tak rozmaitych.

Tysiącami witały wschód słońca. Wydawało mu się, że wśród okrzyków papug rozpoznaje też słowika, kosa, skowronka, nieskończone mnóstwo jaskółek, a nawet ostrą muzykę cykad i świerszczy, i zastanawiał się, czy

w istocie słyszy te gatunki stworzeń bądź też jakichś ich krewniaków z Antypodów... Wyspa była daleko, a jednak miał wrażenie, że te dźwięki niosą mu zapach kwiatów pomarańczy i bazylii, jakby w całej zatoce powietrze było nasączone woniami – a z drugiej strony pan Igby opowiadał mu, jak podczas jednej ze swych podróży bliskość lądu wyczuł dzięki przyniesionym przez wiatry wonnym atomom...

Kiedy jednak, wdychając zapachy, nastawiał ucha na tę niewidoczną mnogość, jakby z zamkowych blanek albo przez otwory strzelnicze jakiegoś bastionu spoglądał na armię, która wśród zgiełku ustawia się w półkole między stokiem wzgórza, rozciągającą się naprzeciwko równiną i rzeką chroniącą mury, miał wrażenie, że widział już to, co, słysząc, sobie wyobrażał, a w obliczu ogromu osaczającego go ze wszech stron poczuł się oblegany i odruchowo chciał unieść do oka strzelbę. Był w Casale, a przed nim rozwinęła szyki armia hiszpańska; słyszał łoskot furgonów, szczęk oręża, wysokie głosy Kastylijczyków, wrzaski neapolitańczyków, chrapliwe okrzyki lancknechtów, a w tle stłumione dźwięki trąb i ściszone odgłosy strzałów z arkebuzów, bach, paf, tara-bum, jakby strzelano na wiwat w dniu jakiegoś świętego.

Prawie tak, jakby jego życie przebiegało między dwoma oblężeniami, przy czym jedno było obrazem drugiego – z tą tylko różnicą, że teraz w miejscu, gdzie zamykał się krąg dwóch szczodrych pięcioleci, rzeka była zbyt szeroka i zbyt dokładnie odcinało go jej kolisko, uniemożliwiając ucieczkę – Robertowi stanęły przed oczyma czasy Casale.

2

O tym, co wydarzyło się w Monferrato

Robert niewiele przekazał wiadomości o siedemnastu latach, jakie przeżył przed owym latem 1630 roku. Epizody z przeszłości przytacza tylko wtedy, gdy ujawniają jakiś związek z przeżyciami na „Dafne”, i kronikarz jego opornej kroniki musi szperać w zakamarkach tekstu. Gdyby uległ kaprysom Roberta, byłby jak autor, który chcąc opóźnić ujawnienie zabójcy, skąpi czytelnikowi wskazówek. Wyłapuje więc tropy, by je wykorzystać.

Pozzo di San Patrizio to drobnoszlachecka rodzina, która miała rozległą posiadłość Griva nieopodal Alessandrii (w owych czasach w obrębie Księstwa Mediolańskiego, a więc terytorium hiszpańskiego), ale ze względu na geografię polityczną albo poglądy uznawała się za wasalną wobec markiza Monferrato. Ojciec – który rozmawiał po francusku z małżonką, w miejscowym dialekcie z wieśniakami i po włosku z cudzoziemcami – przy Robercie wysławiał się rozmaicie i zależnie od tego, czy uczył go robienia szpadą, czy też galopował z nim po polach, klnąc ptaki niszczące zbiory. Poza tym chłopak spędzał czas bez przyjaciół, włócząc się po winnicach i snując fantazje o dalekich lądach, o sokolnictwie, kiedy polował na jaskółki, o walkach ze smokiem, kiedy bawił się z psami, o ukrytych skarbach, kiedy zwiedzał pokoje rodzinnego zameczku czy, jeśli ktoś woli, zamczyska. Do tych wypraw rozpalały mu wyobraźnię rycerskie romanse i poematy, które pokryte kurzem znalazł w południowej wieży.

Nie brakowało mu więc wykształcenia, a nawet miewał preceptora, aczkolwiek tylko sezonowo. Pewien karmelita, który chwalił się swymi

podróżami na Wschód, gdzie – szeptała matka, robiąc znak krzyża – ponoć przerobił się na muzułmanina, raz do roku, wraz ze sługą i czterema mułami objuczonymi księgami i różnymi notatkami, zjawiał się w posiadłości, gdzie gościł trzy miesiące. Nie wiem, czego uczył chłopaka, ale kiedy Robert przybył do Paryża, nie miał powodów do wstydu, a w każdym razie szybko przyswajał sobie wszystko, co usłyszał.

O tym karmelicie wiadomo tylko jedno i nie jest zgoła przypadkiem, że Robert o tej sprawie napomknął. Pewnego dnia stary Pozzo skaleczył się przy czyszczeniu szpady i bądź przez to, że broń była zardzewiała, bądź przez to, że chodziło o wrażliwe partie dłoni albo palców, rana okazała się bardzo bolesna. Wówczas karmelita wziął ostrze, przyprószył je proszkiem, który przechowywał w szkatułce, i Pozzo przysięgał, że zaraz poczuł ulgę. Faktem jest, że następnego dnia rana zaczęła się zabliźniać.

Zdumienie wszystkich sprawiło karmelicie przyjemność; powiedział, że tajemnicę owej substancji wyjawił mu pewien Arab i że jest to remedium znacznie potężniejsze od tego, które chrześcijańscy spagiryci nazywają *unguentum armarium*. Kiedy zapytano go, czemu proszku nie stosuje się do rany, lecz do broni, która ową ranę zadała, odparł, że tak właśnie działa natura, albowiem między jej największymi siłami panuje powszechna sympatia, kierująca działaniami na odległość. I dodał, że gdyby komuś trudno było w to uwierzyć, wystarczy przypomnieć sobie magnes, ów kamień, który przyciąga do siebie opiłki żelaza, albo wielkie żelazne góry, co pokrywają północną część naszej planety i przyciągają igłę busoli. Podobnie balsam na oręż, przywierając mocno do szpady, przyciąga ku sobie te przedmioty żelazne, które szpada pozostawiła w ranie, przeszkadzając w jej wyleczeniu.

Człowiek, który w dzieciństwie był świadkiem takich rzeczy, musi być już naznaczony nimi do końca życia; wkrótce zobaczymy, jak przeznaczenie Roberta zostało określone jego pociągiem do atrakcyjnych sił proszków i balsamów.

Z drugiej jednak strony nie ten zgoła epizod najmocniej naznaczył dzieciństwo Roberta. Było coś innego, choć, prawdę mówiąc, nie sposób

nazwać tego epizodem, tylko raczej pewnego rodzaju refrenem, który chłopak zachował w podejrzliwej pamięci. Zdaje się więc, że ojciec, który z pewnością kochał syna, aczkolwiek niewiele z nim rozmawiał i traktował go szorstko, jak to jest w zwyczaju ludzi zamieszkujących tamte strony, czasem – w ciągu pierwszych pięciu lat życia chłopca – podnosił go wysoko i wykrzykiwał z dumą: „Tyś moim pierworodnym!” Nie było w tym niczego dziwnego (poza powszednim grzechem przesady), jako że Robert był jedynakiem. Jednakowoż, wzrastając, zaczął sobie przypominać (albo wmówił sobie to wspomnienie), iż przy tych przejawach ojcowskiej radości twarz matki przybierała wyraz pośredni między niepokojem a wesołością, jakby ojciec czynił dobrze, wypowiadając te słowa, ale słuchanie ich rozbudzało uśpiony lęk. Wyobraźnia Roberta długo harcowała wokół tonu owego okrzyku, uznając, że nie brzmiał on jak zwyczajne stwierdzenie, lecz jak nieznana inwestytura, nacisk był bowiem położony na zaimek „tyś”, jakby ojciec chciał powiedzieć: „Tyś, nie kto inny, moim synem pierworodnym”.

Kto inny czy ten inny? W listach Roberta ciągle pojawiają się obsesyjne napomknienia o „tamtym” i zdaje się, że myśl zrodziła się właśnie w chwili, kiedy wmówił w siebie (nad czym bowiem mógł łamać sobie głowę chłopiec błąkający się po basztach pełnych nietoperzy, po winnicach, żyjący wśród jaszczurek i koni, wstydzący się rozmawiać z niższymi stanem rówieśnikami, synami wieśniaków, i słuchający bajań babki albo karmelity?), iż gdzieś w świecie żyje nieznany brat, który musi być zły z natury, skoro ojciec go odepchnął. Robert był najpierw za mały, a potem zbyt wstydliwy, żeby zastanawiać się, czy ten brat jest bratem przez ojca, czy przez matkę (a w obu wypadkach na jedno z nich spadał grzech odwieczny i niewybaczalny). Miał brata, który w pewien sposób (być może nadnaturalny) ponosił winę za swoje odrzucenie i z tej przyczyny nienawidził bez wątpienia jego, Roberta, faworyta.

Cień tego brata-wroga (którego chciałby przecież znać, by kochać go i być przez niego kochanym) dręczył go w dzieciństwie po nocach; później, jako młodzieniec, Robert szperał w bibliotece w starych woluminach, by

znaleźć tam coś, jakiś portret, akt chrztu, wyznanie uchylające rąbek tajemnicy. Błąkał się po poddaszach, otwierał stare kufry z ubraniami pradziadków, zardzewiałymi medalami lub mauretańskim sztyletem i obmacywał niespokojnymi palcami koszule z delikatnego płótna, noszone z pewnością przez jakieś dziecko, lecz lata czy wieki temu – nie wiadomo.

Po jakimś czasie nadał temu zaginionemu bratu imię Ferrante i począł przypisywać mu drobne wykroczenia, o które niesłusznie oskarżano jego, Roberta, jak zniknięcie łakoci albo spuszczenie psa z łańcucha. Ferrante, jako że wykreślony z grona domowników, działał za jego plecami, on zaś krył się za nim. W ten sposób obarczanie nieistniejącego brata winą za to, czego on sam, Robert, uczynić nie mógł, stopniowo przeszło w nawyk obciążania go również tym, co Robert zrobił naprawdę i czego żałował.

Chodzi nie o to, że Robert kłamał, ale o to, że przyjmując w milczeniu i ze łzami w oczach karę za własne występki, umiał wmówić sobie samemu, iż jest niewinny i spotkała go krzywda.

Na przykład pewnego razu, pragnąc wypróbować nową siekierę dostarczoną dopiero co przez kowala, a częściowo także zrobić na złość, bo uznał, że padł ofiarą nie wiadomo już jakiej niesprawiedliwości, zrąbał drzewko owocowe, które ojciec niedawno posadził z wielką nadzieją na obfitość owoców w następnych latach. Kiedy zrozumiał w końcu, jak głupio postąpił, wyobraził sobie straszliwą karę, jaka go czeka: co najmniej sprzedadzą go Turkom, u których do końca życia będzie siedział na jakiejś galerze przy wiosłach. W tej sytuacji postanowił uciec z domu i prowadzić życie bandyty czyhającego wśród wzgórz na ofiarę. Szukając usprawiedliwienia, rychło doszedł do wniosku, że drzewo ściął z całą pewnością Ferrante.

Ojciec jednak, odkrywszy przestępstwo, zwołał wszystkich chłopaków z posiadłości i oznajmił, że jeśli chcą uniknąć jego ślepego gniewu, winowajca ma się przyznać do czynu. Robert poczuł w sercu litość i szlachetność: gdyby oskarżył Ferrante, biedaczek raz jeszcze zostałby wypędzony, a przecież w gruncie rzeczy, nieszczęsny, popełnił swój czyn, by zrekompensować sobie poczucie sierocego opuszczenia, bolało go

bowiem to, że rodzice obsypują pieszczotami kogoś innego... Robert zrobił krok do tyłu i drżąc ze strachu i dumy, oświadczył, że nie chce, by ktoś inny został obwiniony o jego postępek. Słowa te zostały uznane za przyznanie się do winy, aczkolwiek takim przyznaniem przecież nie były. Ojciec, podkręcając wąsy i zerkając w stronę matki oraz odchrząkując co chwila, powiedział, że wprawdzie chodzi o poważny występek, który musi pociągnąć za sobą karę, ale on nie może nie docenić faktu, iż „panicz na Grivie" przynosi zaszczyt rodowej tradycji i zawsze się zachowuje, jak na szlachcica przystało, nawet gdy ma ledwie osiem lat. Potem ogłosił wyrok: Robert nie pojedzie w sierpniu do kuzynów do San Salvatore, co było z pewnością karą dotkliwą (w San Salvatore był Quirino, winogradnik, który umiał podsadzić Roberta na oszałamiająco wysokie drzewo figowe), ale bez wątpienia lepszą niż sułtańskie galery.

Wydaje się nam, że cała ta historia jest bardzo prosta: oto ojciec, dumny z latorośli niekalającej warg kłamstwem, spogląda ze źle ukrywaną satysfakcją na matkę i wymierza karę łagodną, byleby zachować pozory. Lecz Robert miał długo jeszcze snuć barwne rozważania o tym wydarzeniu i w końcu dojść do konkluzji, iż rodzice z pewnością domyślili się, że winowajcą był Ferrante, docenili braterski heroizm ukochanego syna i poczuli ulgę, gdyż nie musieli ujawnić rodzinnego sekretu.

Być może to ja ubarwiam wszystko, wychodząc od skąpych wskazówek, ale też obecność nieobecnego brata zaciąży na tej opowieści. Ślady tej dziecięcej zabawy odnajdziemy w zachowaniach dorosłego Roberta – a przynajmniej Roberta z czasu, kiedy spotykamy go na „Dafne" w tarapatach, które, prawdę mówiąc, każdego zbiłyby z pantałyku.

Tak czy inaczej, zapuszczam się w dywagacje, a przecież trzeba ustalić, w jaki sposób Robert znalazł się w oblężonym Casale. Tutaj zaś musimy puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie, jak mogło do tego dojść.

Wiadomości docierały do Grivy nierychło, ale od co najmniej dwóch lat wiedziano, że sprawa sukcesji w Księstwie Mantuańskim przyniosła wiele szkód Monferrato, i doszło nawet do połowicznego oblężenia. Krótko

mówiąc – a chodzi tu o historię opowiedzianą już przez innych, aczkolwiek w sposób bardziej fragmentaryczny – w grudniu 1627 roku zmarł książę Mantui, Wincenty II, i wokół łoża śmierci tego rozpustnika, który nie umiał płodzić synów, odbył się balet czterech pretendentów, ich przedstawicieli i protektorów. Wygrał markiz de Saint-Charmont, któremu udało się przekonać Wincentego, że dziedzictwo należy się kuzynowi z gałęzi francuskiej, Karolowi Gonzadze, księciu Nevers. Stary Wincenty, zanim oddał ducha, osierocając księstwo, między jednym a drugim rzężeniem sprawił, czy raczej dopuścił do tego, że książę Nevers poślubił w wielkim pośpiechu jego bratanicę, Marię Gonzagę.

Problem jednak polegał na tym, że książę Nevers był Francuzem, a księstwo obejmowało między innymi ziemie Monferrato ze stolicą Casale, najpotężniejszą fortecą w północnej Italii. Monferrato, leżące między hiszpańskim Mediolanem a ziemiami sabaudzkimi, zapewniało kontrolę górnego biegu Padu, szlaków z Alp na południe oraz drogi Mediolan–Genua i wciskało się niby zderzak między Francję a Hiszpanię, przy czym żadna z dwóch potencji nie mogła zaufać drugiemu zderzakowi, Księstwu Sabaudzkiemu, gdzie Karol Emanuel I prowadził grę, której nazwanie podwójną świadczyłoby o bardzo dużej pobłażliwości. Gdyby Monferrato przypadło Neversowi, przypadłoby tym samym Richelieumu, tak więc Hiszpania wolała oczywiście, żeby przypadło komuś innemu, powiedzmy, księciu Guastalli – pomijając fakt, że pewne prawa do sukcesji miał także książę Sabaudii. Ponieważ jednak istniał testament wskazujący Neversa, innym pretendentom pozostawało trzymać się nadziei, że święty i rzymski cesarz narodu niemieckiego, którego wasalem był formalnie książę Mantui, nie zechce ratyfikować przejęcia władzy.

Hiszpanie byli jednak niecierpliwi i zanim cesarz podjął decyzję, Casale zostało oblężone po raz pierwszy – przez Gonzalesa z Kordowy. Potem pod murami stanęła potężna armia Hiszpanów i poddanych cesarskich, dowodzona przez Spinolę. Garnizon francuski gotował się do obrony, czekając na odsiecz swojej armii, która na razie była zajęta na północy i Bóg jeden wiedział, czy zdąży na czas.

Sprawy były w tym mniej więcej punkcie, kiedy w połowie kwietnia stary Pozzo zebrał przed zamkiem najmłodszych ze służby i najbystrzejszych z wieśniaków, rozdał im całą broń, jaka znajdowała się w posiadłości, wezwał Roberta i wygłosił mowę, którą przygotował zapewne w nocy.

– Posłuchajcie, ludzie! Ziemie Grivy zawsze płaciły daninę markizowi Monferrato, który od niedawna stał się jakby księciem Mantui, którym z kolei został pan de Nevers, i jeśli ktoś powie mi, że nie jest on ani Mantuańczykiem, ani Monferratczykiem, dam kopniaka w tyłek, albowiem jesteście ciemnymi robakami nierozeznającymi się ani trochę w tych sprawach. Lepiej więc, żebyście trzymali język za zębami i słuchali swojego pana, który wie przynajmniej, co to takiego honor. Ponieważ jednak wy macie honor wiadomo gdzie, na wypadek gdyby cesarscy weszli do Casale, musicie wiedzieć, że ci ludzie nie są zbyt delikatni i wasze winnice pójdą na zmarnowanie, a wasze kobiety – lepiej nie mówić. Dlatego idziemy bronić Casale. Nikogo nie zmuszam. Jeśli jest wśród was jakiś wałkoń, któremu się to nie podoba, niech się zaraz zgłosi, żebym powiesił go na tym dębie.

Żaden z obecnych nie mógł jeszcze widzieć akwafort Callota z gronami takich samych ludzi jak oni, wiszącymi na innym dębie, ale coś musiało być w powietrzu, gdyż każdy podniósł to muszkiet, to pikę, to kij z przywiązanym sierpem i wszyscy wykrzyknęli: „Niech żyje Casale, precz z cesarskimi”. Jak jeden mąż.

– Synu mój – powiedział Pozzo Robertowi, kiedy jechali konno przez wzgórza ze swoją małą pieszą armią za plecami – ten Nevers jest głupi jak moje jaja, a Wincentemu, kiedy przekazywał mu księstwo, mózg już za dobrze nie służył, jak nie służył zresztą i przedtem. Ale oddał je Neversowi, a nie tej ofermie z Guastalli, my zaś, z rodu Pozzo di San Patrizio, jesteśmy wasalami prawowitych panów Monferrato od dawnych, dobrych czasów. Zdążamy więc do Casale i w razie potrzeby oddamy życie, gdyż, do diaska, nie można stać przy kimś, póki wszystko idzie jak z płatka, a puścić go

w trąbę, kiedy znajdzie się po szyję w łajnie. A jeśli nas nie zabiją, tym lepiej, miej się więc na baczności.

Marsz ochotników od granic alessandryjskich do Casale należał z pewnością do najdłuższych, jakie zna historia. Stary Pozzo przeprowadził bezbłędne rozumowanie.

– Znam Hiszpanów – oznajmił – lubią wygodne życie. Pomaszerują na Casale południową równiną, bo to łatwiejszy szlak dla furgonów, armat i innych podwód. Jeśli więc tuż przed Mirabello skręcimy na zachód i pokonamy wzgórza, stracimy ze dwa dni, za to dotrzemy na miejsce bez kłopotu i przed nimi.

Na nieszczęście Spinola miał bardziej pokrętne poglądy na sposób prowadzenia oblężenia i wprawdzie na południowy wschód od Casale przystąpił do zajmowania Valenzy i Occimiano, lecz już kilka tygodni wcześniej na zachodnią stronę miasta posłał księcia Lermy, Oktawiana Sforzę i hrabiego Gemburga, przydzielając im jakieś siedem tysięcy piechoty, by wzięli zamki Rosignano, Pontestura oraz San Giorgio i zablokowali w ten sposób francuską odsiecz, natomiast północną część obcęgów stanowiło pięć tysięcy ludzi pod wodzą gubernatora Alessandrii, don Geronima Augustina, który przeprawił się przez Pad i skierował na południe. Wszyscy byli w ten sposób rozmieszczeni wzdłuż szlaku, który Pozzo uznał za całkowicie bezpieczny. Kiedy zaś nasz szlachcic dowiedział się od wieśniaków, jak przedstawia się sytuacja, nie mógł zmienić drogi, gdyż na wschodzie było teraz więcej cesarskich niż na zachodzie.

Pozzo powiedział po prostu: „Nie zboczymy z raz obranej drogi. Znam te strony lepiej niż oni i przemkniemy się jak kuna”. Co oznaczało konieczność częstego zbaczania z drogi. Do tego stopnia, że spotkali nawet Francuzów z Pontestury, którzy zdążyli się poddać i którym, by nie udali się do Casale, pozwolono zejść do Finale, skąd mogli dotrzeć do Francji drogą morską. Ludzie z Grivy natknęli się na nich w okolicy Otteglii i niewiele brakowało, a doszłoby do strzelaniny, bo każda ze stron myślała, że ma przed sobą nieprzyjaciela; Pozzo dowiedział się od ich dowódcy, że

jeden z warunków kapitulacji nakazywał sprzedać zboże z Pontestury Hiszpanom, a ci mieli posłać pieniądze mieszkańcom Casale.

– Hiszpanie to panowie jak się patrzy, mój synu – rzekł Pozzo – i walka z nimi to prawdziwa przyjemność. Co za szczęście, że minęły czasy Karlomana i jego bojów z Maurami, wtedy bowiem walczono na śmierć i życie. Teraz mamy, dzięki Bogu, wojny między chrześcijanami. Tamci są zajęci pod Rosignano, a my obejdziemy ich od tyłu, wślizgniemy się między Rosignano i Pontesturę i za trzy dni będziemy w Casale.

Pozzo wypowiedział te słowa pod koniec kwietnia, a Casale znalazło się w zasięgu ich wzroku dwudziestego czwartego maja. Był to, przynajmniej we wspomnieniach Roberta, wspaniały marsz, podczas którego unikali dróg i ścieżek dla mułów, posuwali się zaś na przełaj; póki trwa wojna – mówił Pozzo – wszystko idzie na marne, i jeśli my nie zniszczymy zbiorów, zrobią to tamci. Żeby nie umrzeć z głodu, musieli ucztować w winnicach, sadach i kurnikach. To ziemie Monferrato – powtarzał Pozzo – i muszą żywić swych obrońców. Protestującemu wieśniakowi z Mombello kazał wymierzyć trzydzieści kijów, wyjaśniając mu, że jeśli na wojnie nie ma dyscypliny, kończy się to zwycięstwem wroga.

Robert zaczął patrzeć na wojnę jak na najpiękniejsze z przeżyć; docierały do niego budujące wędrowne opowieści, jak choćby o zranionym i wziętym do niewoli w San Giorgio francuskim rycerzu, który skarżył się, że pewien żołdak zabrał mu najdroższy sercu portrecik; książę Lermy, usłyszawszy o tym, kazał zwrócić portret, przypilnował, by Francuza wyleczono, a następnie odesłał go wraz z koniem do Casale. Z drugiej strony Pozzo tak zbaczał z drogi i takie pętle robił podczas marszu, że można było zupełnie się w tym zgubić, a na dodatek osiągnął to, że jego wojsko jeszcze wojny nie widziało.

W tej sytuacji z wielką ulgą, ale i z niecierpliwością człowieka pragnącego wziąć udział w od dawna oczekiwanym festynie, pewnego pięknego dnia ze szczytu jednego ze wzgórz ujrzeli u swych stóp miasto, zamknięte od północy, po ich lewej ręce, wielką wstęgą Padu, który dokładnie naprzeciwko zamku był podzielony na dwa nurty przez dwie

spore wysepki pośrodku i skręcał nagle na południe od gwiaździstej bryły cytadeli. Z lasem wież i dzwonnic od wewnątrz, z zewnątrz Casale wydawało się nie do zdobycia – najeżone bastionami i krenelażami, robiło wrażenie jednego z tych smoków, które widujemy w książkach.

Był to naprawdę piękny spektakl. Wszędzie wokół miasta żołnierze w kolorowych mundurach ciągnęli machiny oblężnicze wśród namiotów pięknie przystrojonych chorągwiami i jeźdźców w kapeluszach, które zdobiły okazałe pióra. Co jakiś czas pośrodku zieleni zagajników i żółtości pól pojawiał się niespodziewanie oślepiający blask, a byli to szlachcice w srebrzystych pancerzach, na których igrało słońce, i nie można się było domyślić, dokąd zmierzają, choć może harcowali po to tylko, by urozmaicić scenerię.

Ten obraz, który taki zachwyt wzbudzał w widzach, mniej widać radował serce Pozza, powiedział on bowiem:

– Ludzie, tym razem naprawdę znaleźliśmy się w opałach. A kiedy Robert zapytał: „Jakże to?”, ojciec poklepał go po karku i oznajmił:

– Nie udawaj cymbała, wszak to cesarscy, i nie mniemaj zgoła, że w Casale jest tyle samo żołnierza, któremu w głowie wycieczki poza mury. Casalczycy i Francuzi siedzą w środku, strzelają do bel słomy i robią w portki, bo nie ma ich nawet dwóch tysięcy, a tych w dole będzie ze sto tysięcy, tylko popatrz na te wzgórza naprzeciwko.

Przesadzał, armia Spinoli liczyła ledwie osiemnaście tysięcy piechoty i siedem tysięcy jazdy, ale i tego wystarczało aż nadto.

– Cóż poczniemy, ojcze? – spytał Robert.

– To, że będziemy baczyli, gdzie są lutry – odparł Pozzo – i tak stwierdzimy, że tamtędy nie ma przejścia. *In primis*, nie zrozumielibyśmy ni w ząb tego, co mówią, *in secundis*, najpierw cię zabiją, a potem będą pytać, kim jesteś. Rozglądaj się, gdzie są Hiszpanie dobrego rodu. W tych sprawach liczy się przede wszystkim odpowiednie wychowanie.

Wypatrzyli przejście wzdłuż takiego pola namiotowego z insygniami jego katolickiej mości, gdzie połyskiwało najwięcej pancerzy, i ruszyli w tamtą stronę, polecając się Bogu. W ogólnym zamieszaniu mogli przez

spory kawałek posuwać się wśród nieprzyjaciół, gdyż w tamtych czasach mundury miały tylko wybrane oddziały, na przykład muszkieterzy, a jeśli chodzi o resztę, nie sposób było nigdy dociec, czy są to swoi. Jednak w pewnym momencie, kiedy pozostawało już tylko przebyć ziemię niczyją, natknęli się na awanpost i zostali zatrzymani przez oficera, który spytał uprzejmie, kim są i dokąd zdążają, a jednocześnie za jego plecami stanął w szyku bojowym zastęp żołnierzy.

– Panie – rzekł Pozzo – zechciej łaskawie dać nam przejście, albowiem musimy zająć odpowiednie pozycje, nim zaczniemy do siebie strzelać.

Oficer zdjął kapelusz, wykonał nim ukłon, zamiatając ziemię dwa metry przed sobą, i odrzekł:

– *Señor, no es menor gloria vencer al enemigo con la cortesía en la paz que con las armas en la guerra*. – A potem dodał dobrą włoszczyzną: – Przechodź, panie, a jeśli choć co czwarty z nas będzie miał tyle odwagi co ty, zwyciężymy. Oby niebo dało mi przyjemność spotkania ciebie na polu bitwy i zaszczyt pozbawienia cię żywota.

– *Fisti orb d'an fisti secc* – mruknął przez zęby Pozzo, co w języku, jakim posługują się mieszkańcy tamtych stron, jest zwrotem jeszcze bardziej optatywnym, wyrażającym, z grubsza biorąc, życzenie, by rozmówca stracił najpierw wzrok, a zaraz potem się udławił. Głośno jednak, sięgnąwszy do całej swej wiedzy lingwistycznej i biegłości krasomówczej, powiedział: – *Yo también!*

Zamiótł ziemię kapeluszem, spiął lekko konia ostrogami i ruszył w stronę murów – może nieco zbyt pospiesznie jak na to, co narzucała teatralność sceny, powinien bowiem dać czas swoim ludziom, żeby nadążyli za nim na piechotę.

– Mów, co chcesz, ale to ludzie dworni – powiedział synowi i dobrze zrobił, że odwrócił w tym momencie głowę, gdyż dzięki temu uniknął pocisku arkebuzowego wystrzelonego z bastionów. – *Ne tirez pas, conichons, on est des amis, Nevers, Nevers!* – krzyknął, podnosząc ręce, a zaraz potem zwrócił się do Roberta: – Sam widzisz, że ci ludzie nie

wiedzą, co to wdzięczność. Nie chcę nic mówić, ale Hiszpanie to grzeczniejsza nacja.

Weszli do miasta. Ktoś pewnie zawiadomił dowódcę garnizonu, pana de Toiras, dawnego towarzysza broni starego Pozza. Padli sobie w ramiona, a potem ruszyli na pierwszą przechadzkę po murach.

– Drogi przyjacielu – powiedział Toiras – z paryskich rejestrów wynika, że mam pod sobą pięć regimentów infanterii po dziesięć kompanii, czyli w sumie dziesięć tysięcy piechurów. Ale pan de la Grange ma ledwie pięciuset ludzi, Monchat dwustu pięćdziesięciu, a w sumie możemy liczyć na tysiąc siedmiuset pieszych. Poza tym mam sześć kompanii jazdy, czterystu ludzi, przyznaję, dobrze wyekwipowanych. Kardynał wie, że mam mniej ludzi, niż mi przyznano, lecz utrzymuje, że jest ich trzy tysiące ośmiuset. Piszę do niego, podając dowody, że tak nie jest, a jego eminencja udaje, że nie rozumie. Musiałem zwerbować regiment włoski, Korsykanów i Monferratczyków, lecz nie gniewaj się, to marni żołnierze, i wystaw sobie: nie mając wyjścia, rozkazałem oficerom, by do osobnej kompanii wcielili swoich służących. Twoi ludzie dołączą do regimentu włoskiego i będą służyć pod rozkazami kapitana Bassianiego, który jest dobrym żołnierzem. Poślemy tam także młodego de la Grive, aby szedł w ogień, rozumiejąc dobrze rozkazy. Ty zaś, drogi przyjacielu, dołączysz do grupy dzielnych szlachciców, którzy też przystali do nas jako wolontariusze i służą pode mną. Znacie te strony i będziecie mi służyć radą.

Jean de Saint-Bonnet, pan na Toiras, był wysoki, ciemnowłosy, błękitnooki, w pełni dojrzałości swoich czterdziestu pięciu lat, zapalczywy, ale szczodry i skory do pojednania, szorstki w obejściu, lecz w sumie uprzejmy, także wobec żołnierzy. Wyróżnił się jako obrońca wyspy Ré podczas wojny z Anglikami, nie cieszył się jednak względami Richelieugo i dworu. Przyjaciele szeptali o jego rozmowie z kanclerzem de Marillac, który powiedział mu wzgardliwie, że we Francji znalazłoby się dwa tysiące szlachciców zdolnych poprowadzić równie dobrze sprawy na wyspie Ré, on zaś odparł, że znalazłby cztery tysiące zdolnych lepiej niż Marillac

sprawować opiekę na pieczęciami. Oficerowie przypisywali mu jeszcze inne *bon mot* (chociaż niektórzy mówili raczej o pewnym kapitanie szkockim): podczas posiedzenia rady wojennej pod La Rochelle ojciec Józef, który później miał zyskać sławę jako szara eminencja i uważał się za znawcę strategii, wskazał palcem na mapę, mówiąc: „Przejdziemy tędy", na co Toiras odparł chłodno: „Wielebny ojcze, twój palec nie jest niestety mostem".

– Oto jak się przedstawia sytuacja, *cher ami* – ciągnął Toiras, krocząc skarpą i wskazując otaczający ich pejzaż. – Mamy przed sobą wspaniały teatr i najświetniejszych aktorów dobranych z dwóch potencji i u wielu wasali. Jest tu nawet regiment florencki, dowodzony przez Medyceusza. Możemy mieć zaufanie do Casale jako miasta; zamek, z którego panujemy nad odcinkami rzeki, to piękna warownia broniona przez doskonałą fosę, na murach zaś przygotowaliśmy nasyp, dzięki któremu obrońcy będą mogli spokojnie zajmować się swoimi pracami. Twierdza została zaopatrzona w sześćdziesiąt puszek i ma bastiony wzniesione zgodnie z regułami sztuki. Jest wprawdzie trochę słabych punktów, ale wzmocniłem je lunetami i bateriami. To wszystko spełni swoje zadanie przy szturmie frontalnym, ale Spinola nie jest nowicjuszem. Tylko spójrz na tę krzątaninę, przygotowują podkopy, a kiedy dotrą do nas, będzie tak, jakbyśmy otworzyli im bramy. Jeśli chcemy powstrzymać prace ziemne, musimy wyjść na otwarte pole, ale w tym właśnie nasza słabość. Kiedy nieprzyjaciel podciągnie działa bliżej murów, zacznie bombardować miasto, co wpłynie na nastroje mieszczuchów z Casale, którym mało ufam. Aczkolwiek ich rozumiem: bardziej zależy im na ocaleniu miasta niż na panu de Nevers i nie są jeszcze pewni, czy warto umierać za francuskie lilie. Trzeba ich więc przekonać, że pod panowaniem domu sabaudzkiego i Hiszpanów stracą wolność. Casale przestanie być stolicą i spadnie do rzędu jednej z fortec, jak choćby Susa, którą Sabaudczyk gotów jest sprzedać za garść skudów. Jeśli chodzi o resztę – improwizujemy, inaczej nie byłaby to komedia w stylu włoskim. Wczoraj wyprawiłem się z czterystu ludźmi w stronę Frassineto, gdzie jest punkt koncentracji cesarskich, i nieprzyjaciel się cofnął. Jednak kiedy byłem tam zajęty, neapolitańczycy rozbili obóz na tamtym wzgórzu, po

przeciwnej stronie. Ostrzeliwałem je przez parę godzin z artylerii i chyba były tam niezłe jatki, ale nie wycofali się. Do kogo należał ten dzień? Przysięgam na Pana naszego, że nie wiem, jak nie wie tego Spinola. Wiem jednak, co zrobimy jutro. Widzisz te chaty na równinie? Gdybyśmy je opanowali, mielibyśmy pod ostrzałem wiele pozycji nieprzyjacielskich. Jeden szpieg powiedział, że są puste, a to dobry powód, by domyślać się, iż ktoś się w nich ukrył – jesteś jeszcze młody, panie Robercie, nie rób więc takiej oburzonej miny i dowiedz się, a jest to twierdzenie pierwsze, że dobry dowódca wygrywa bitwy, korzystając z usług szpiegów, oraz, a jest to twierdzenie drugie, że szpieg – skoro jest szpiegiem – nie mrugnąwszy okiem, zdradzi tego, kto płaci mu za zdradę swoich. Tak czy owak, jutro infanteria zajmie te domy. Zamiast trzymać wojsko zamknięte w murach, żeby się marnowało, lepiej niech do niego postrzelają, bo to dobre ćwiczenie. Proszę o cierpliwość, panie Robercie, gdyż nie będzie to jeszcze twój dzień, ale pojutrze regiment Bassianiego przeprawi się przez Pad. Widzisz tamte mury? To fragmenty fortu, który zaczęliśmy budować, zanim nadciągnęli tamci. Moi oficerowie nie zgadzają się w tej sprawie ze mną, ale ja uważam, że dobrze byłoby nim zawładnąć, dopóki nie ma tam cesarskich. Chodzi o to, żeby mieć pod ostrzałem równinę i w ten sposób trochę im przeszkodzić i opóźnić prace ziemne. Jednym słowem, każdy będzie miał swój udział w wojennej chwale. A teraz idziemy wieczerzać. Oblężenie dopiero się zaczęło i nie brak nam prowiantu. Czas zjadania szczurów jeszcze nadejdzie.

3

Menażeria Zadziwień

Przeżyć oblężenie Casale, gdzie w końcu nie musiał jeść szczurów, by znaleźć się na „Dafne”, gdzie szczury zjedzą być może jego... Medytując lękliwie nad tą wspaniałą sprzecznością, Robert uznał wreszcie, że musi zbadać miejsca, z których poprzedniego wieczoru dochodziły jego uszu trudne do określenia dźwięki.

Postanowił zejść przez kasztel rufowy i wiedział, że jeśli tylko wszystko jest tu tak jak na „Amaryllis”, zobaczy tam dziesiątki dział po obu stronach i sienniki albo hamaki marynarzy. Przeszedł ze sterowni do pomieszczenia pod nią, które przecinał poruszający się z powolnym skrzypieniem trzon steru i z którego on mógł wyjść drzwiami na podpokład. Ale – jakby chcąc się oswoić z tą głęboką strefą, zanim stawi czoło nieznanemu wrogowi – pokonał właz prowadzący jeszcze niżej, do miejsca, gdzie zwykle gromadzi się także zapasy. Zobaczył jednak posłania dla tuzina ludzi, rozmieszczone z wielką dbałością o oszczędność miejsca. Tutaj więc spała większość załogi – jakby pozostałe pomieszczenia przeznaczono na inne cele. Posłania były doprowadzone do porządku, któremu nic nie można było zarzucić. Jeśli więc rzeczywiście doszło do wybuchu epidemii, to kiedy któryś umierał, pozostali porządkowali jego rzeczy, by sprawić wrażenie, że nic się nie stało... Kto jednak powiedział, że marynarze umarli, i to wszyscy? Myśl ta nie uśmierzyła jego niepokoju: zaraza zabijająca całą załogę to fakt naturalny, zdaniem niektórych teologów – zrządzenie Opatrzności; ale to coś, co kazało załodze uciec, i to zostawiając statek tak nienaturalnie uładzony, budziło większy lęk.

Być może wyjaśnienie znajdzie się pod pokładem, nie należy tracić ducha. Robert wspiął się i otworzył drzwi prowadzące do miejsca, którego tak się bał.

Zrozumiał wtedy, do czego służą zakratowane otwory w pokładzie. Dzięki nim podpokład zmienił się w jakby nawę kościelną, oświetlaną przez kraty światłem pełnego już dnia, padającym ukośnie i krzyżującym się z tym, które przenikało przez otwory strzelnicze, zabarwione bursztynowym teraz odblaskiem od dział.

W pierwszej chwili Robert zobaczył tylko klingi promieni słonecznych, w których unosiły się niezliczone korpuskuły, a widząc je, musiał przypomnieć sobie (i jakże rozwodzi się, jakże igra uczonymi wspomnieniami, byleby olśnić swą Panią – miast markować wypowiedzi!) słowa, jakimi Kanonik z Digne zachęcał go do obserwowania kaskad światła, rozpraszającego się w mrokach katedry i ożywającego we własnym wnętrzu mnóstwem monad, pękających samorzutnie nasion, niepodzielnych natur, kropli męskiego pachnidła – pierwotnych atomów, toczących całymi zastępami walki, bitwy, potyczki, łączących się ze sobą i rozdzielających, a wszystko to dla oczywistego poświadczenia kompozycji naszego Uniwersum, zbudowanego nie z czego innego, lecz właśnie z owych ciał pierwszych wirujących w pustce.

Zaraz potem, prawie jakby dla potwierdzenia, że wszystko, co stworzone, jest tylko dziełem owego tańca atomów, poczuł się jak w ogrodzie i uświadomił sobie, że gdy tylko tu wszedł, osaczyło go mnóstwo zapachów – znacznie silniejszych niż te, które dochodziły przedtem od lądu.

Ogród, warzywnik pod dachem – oto co ludzie, którzy zniknęli z „Dafne”, utworzyli w tym miejscu, by zawieźć do ojczyzny kwiaty i rośliny z odkrywanych wysp, jeśli tylko słońce, wiatry i deszcze umożliwią im przeżycie. Skoro w ciągu wielomiesięcznego rejsu ten leśny łup nie uległ zniszczeniu, skoro przy pierwszym sztormie nie unicestwiła go morska sól, Robert musiał dojść do wniosku, że – podobnie jak zapas żywności – zgromadzono go niedawno.

Kwiaty, krzewy, drzewka przewożono wraz z korzeniami i bryłami ziemi, umieszczając je w wykonanych pospiesznie koszach i skrzynkach. Ale wiele pojemników popękało, ziemia rozsypała się, tworząc między nimi warstwę wilgotnego kompostu, w którym zadomowiły się odrosty roślin, i Robert odnosił wrażenie, że przebywa w jakimś Edenie wyrastającym prosto z desek „Dafne”.

Blask słońca nie był na tyle mocny, żeby razić oczy, a jednocześnie wystarczający, by podkreślić barwy listowia i rozchylić pierwsze pączki kwiatowe. Spojrzenie Roberta spoczęło na dwóch liściach, które na pierwszy rzut oka przypominały ogon raka, a z których wyłaniały się białe kwiaty, a potem na innym, delikatnie zielonym liściu; na nim z białej niby kość słoniowa kiści jujuby wyrastał jakby bukiet kwiatów. Fala przykrej woni skierowała uwagę Roberta ku żółtemu uchu z wetkniętym w nie czymś w rodzaju kaczana kukurydzy, obok spływały w dół porcelanowe girlandy śnieżnobiałych muszli z różanymi szpicami, a z innej kiści zwieszały się trąbki czy odwrócone dzwoneczki, z których wydzielał się lekki zapach porostów. Zobaczył kwiat barwy cytryny, którego zmienność miał poznać w następnych dniach, ponieważ był morelowy po południu, a ciemnoczerwony o zachodzie słońca, i inne, szafranowe w środku, które przechodziły łagodnie w liliową biel. Odkrył chropowate owoce, których nie odważyłby się tknąć, gdyby jeden z nich, dojrzawszy widać, nie spadł na ziemię i nie otworzył się, ukazując wnętrze granatu. Ośmielił się wtedy skosztować innych i oceniał je bardziej językiem, którym się mówi, niż tym, którym się smakuje, jako że jeden z owoców określił jako woreczek miodu, mannę zmrożoną w bujności swego pnia, klejnot szmaragdowy wysadzany mnogimi rubinami. Czytając później uważnie jego słowa, gotów byłbym uznać, że chodziło o coś bardzo podobnego do figi.

Nie znał żadnego z tych kwiatów ni owoców, wydawało mu się, że zrodziły się w wyobraźni malarza, który zapragnął pogwałcić prawa natury i wymyślił przekonywające niepodobieństwa, dokuczliwe delicje i smakowite kłamstwa, jak korona tego kwiatu, pokryta białawym puszkiem i rozkwitająca czubem fioletowych piór, albo nie – jak maska okrywająca

twarz ze srebrzystobiałą kozią bródką. Któż mógł wymyślić ten krzew, mający z jednej strony liście ciemnozielone i ozdobione dzikimi różowo-żółtymi aplikacjami, a z drugiej – płomieniste, otoczone innymi, o zabarwieniu najdelikatniej jasnozielonym, zbudowane z mięsistej substancji zwiniętej w konchę, dzięki czemu przechowały do tej chwili wodę z ostatniego deszczu?

Zafascynowany tym miejscem Robert nie zastanawiał się nawet, o jakiego deszczu resztki tu chodzi, bo przecież nie padało od co najmniej trzech dni. Wonie zamroczyły go, skłaniając do uznania wszelkich czarów za rzecz naturalną.

Uważał za coś całkowicie oczywistego, że zwiędły i wątły owoc wydaje zapach fermentującego sera i że to coś w rodzaju fioletowego owocu granatu, pustego w środku, przy potrząśnięciu wydaje z wnętrza grzechot tańczącego ziarenka, jakby nie z kwiatem miał do czynienia, ale z dziecinną zabawką, i nie dziwił go kwiat o spiczastym kształcie, a spodzie twardym i zaokrąglonym. Nigdy nie widział palmy płaczącej niby wierzba, a miał ją przed oczyma, krocząca wieloma korzeniami, na których zaszczepiony był pień wystrzelający z jednego krzaka, podczas gdy liście tej rośliny zrodzonej na roślinie zwieszały się, znużone własną bujnością; Robert nie zauważył jeszcze innego krzaka, rodzącego liście szerokie i mięsiste, ze szpicem pośrodku, który robił wrażenie żelaznego – gotowe talerze i tace; obok wyrastały inne, młode jeszcze liście, usłużnie przybierające postać łyżek.

Robert, niepewny, czy przebywa w jakimś mechanicznym lesie, czy błądzi po raju ukrytym w trzewiach ziemi, chodził to tu, to tam po tym Edenie, który nasączał jego jestestwo wonnymi majakami.

Kiedy potem będzie pisał o tym Pani, opowie o nieokrzesanych szałach, ogrodowych kaprysach, proteuszowym szaleństwie liści, cedrach (cedrach?) ogarniętych rozkosznym obłędem... Albo przedstawi jej obraz jakby pływającej spelunki, pełnej oszukańczych automatów, gdzie wyłaniają się opasane przerażająco poskręcanymi sznurami namiętne nasturcje, niecne odrośla okrutnego lasu... Napisze o opium zmysłów,

o roncie gnijących żywiołów, który rzucił go w nieczyste ekstrakty i zawiódł na antypody zdrowego rozsądku.

Wrażenie, że wśród kwiatów i roślin rozlegają się ptasie głosy, przypisał w pierwszej chwili śpiewom dochodzącym już przedtem z Wyspy, ale nagle dostał gęsiej skórki, gdyż jakiś nietoperz prawie musnął mu twarz; zaraz potem musiał uskoczyć, by uniknąć sokoła, który rzucił się na ofiarę i powalił ją jednym uderzeniem zakrzywionego dzioba.

Kiedy Robert schodził pod pokład, brzmiały mu jeszcze w uszach dalekie głosy ptaków z Wyspy i był przekonany, że nadal dochodzą doń przez otwory w poszyciu, ale teraz miał wrażenie, iż są to dźwięki znacznie bliższe. Nie mogły dobiegać z brzegu, a zatem inne ptaki, nie te dalekie, śpiewały ukryte za roślinami, gdzieś od strony dziobu i schowka, z którego poprzedniej nocy dochodziły jego uszu tajemnicze dźwięki.

Szedł dalej i wydało mu się w pewnym momencie, że ogród kończy się u stóp wysokiego pnia, który przechodzi przez górny pokład, potem zaś zrozumiał, że dotarł mniej więcej do środka statku, gdzie główny maszt schodzi na samo dno kadłuba. Ale teraz dzieła rąk ludzkich przemieszały się już z naturą do tego stopnia, że śmiało możemy usprawiedliwić konfuzję naszego bohatera. Również z tej przyczyny, iż nagle jego nozdrza poczuły mieszaninę woni spleśniałej ziemi i zwierzęcego smrodu – jakby przechodził powoli z ogrodu do stajni.

A kiedy minął maszt główny i ruszył dalej w stronę dziobu, ujrzał wolierę.

Nie umiał określić inaczej tego nagromadzenia wiklinowych klatek, przez które przechodziły mocne konary pełniące rolę kobyłek i w których mieszały się ptaki, odgadujące brzask po docierającej tu jałmużnie światła i odpowiadające zniekształconymi głosami na wezwanie swych rozśpiewanych i wolnych kuzynów z Wyspy. Stojące na ziemi lub zaczepione o kraty pokładu klatki tworzyły w tej drugiej nawie jakby stalaktyty i stalagmity, nadając życie kolejnej grocie cudów, gdzie przelatujące ptaki wprawiały w kołysanie swe więzienia, przeszyte

promieniami słonecznymi, co powodowało migotanie barw, zawieruchę tęcz.

Robert dotychczas nigdy tak naprawdę nie słyszał ptaków, ale nie mógłby też powiedzieć, że kiedykolwiek je widział, a w każdym razie w ten sposób; sam sobie zadawał więc pytanie, czy są one w stanie naturalnym, czy też ręka artysty pomalowała je i ozdobiła w celu odegrania jakiejś pantomimy albo udawania paradującej armii, której każdy piechur i jeździec byłby okryty własnym sztandarem.

Zakłopotany Adam nie miał nazw dla wszystkiego, co go otaczało, poza nazwami ptaków ze swojej hemisfery. To czapla – mówił sobie – żuraw, przepiórka... Lecz było to tak, jakby bociana nazwać gęsią.

Tutaj stado prałatów o szerokich ogonach barwy kardynalskiej purpury i dziobach w kształcie alembiku otwierało skrzydła zabarwione trawiasto, nadymając purpurowe podgardla, ukazując błękitną pierś i zawodząc prawie po ludzku; tam mnogie zastępy wstępowały w szranki, oblegając wklęśnięte kopuły, które otaczały ich arenę – pośród gruchających błysków oraz czerwonych i żółtych cięć, przypominających sztandary podrzucane i chwytane w powietrzu przez chorążego. Naburmuszeni lekkokonni o długich, żylastych nogach rżeli z oburzeniem w zbyt ciasnej przestrzeni, krakali niby wrony, czasem podskakując z wahaniem na jednej nodze i rozglądając się wyzywająco dokoła, potrząsając czubami na uniesionych głowach... Jakiś wielki wódz, w niebieskim płaszczu, w obcisłym i, podobnie jak oko, szkarłatnym kaftanie, z kitą lilii na szyszaku, samotny w zbudowanej na miarę klatce, wydawał gołębie pojękiwania. W klatce obok stali na podłodze trzej bezskrzydli piechociarze, podrygujące kłębki ubłoconej wełny o mysich pyszczkach – wąsatych u nasady długiego, zakrzywionego dzioba z nozdrzami, którymi te potworki węszyły, skubiąc robaki znalezione na trasie przemarszu... W innej klatce, wijącej się jak kiszka, mały bocian o marchewkowych nogach, piersi koloru akwamaryny, czarnych skrzydłach i sinym dziobie przemieszczał się niepewnie, wiodąc za sobą sznureczek piskląt, a kiedy jego ścieżka się kończyła, skrzeczał ze złością, najpierw próbując z uporem rozerwać to, co uważał za gmatwaninę

roślinnych wąsów, a potem rezygnując i ruszając w przeciwnym kierunku razem z potomstwem, które nie wiedziało teraz, czy ma iść z przodu, czy z tyłu.

Robert czuł się rozdarty między ekscytacją spowodowaną odkryciem a litością dla więźniów, pragnieniem, by pootwierać klatki i ujrzeć, jak całą tą katedrą zawładną heroldowie powietrznego wojska, gdy on uwolni stworzenia z zamknięcia na „Dafne", obleganej z kolei od zewnątrz przez ich kuzynów. Pomyślał, że ptaki muszą być wygłodniałe, i zobaczył, iż w klatkach pozostały już tylko resztki pokarmu, a naczynka i miseczki na wodę są puste. Na szczęście obok klatek stały worki z ziarnem i wisiały suszone ryby, przygotowane przez kogoś, kto chciał sprowadzić swój łup do Europy, albowiem żaden statek nie płynie na morza południowe drugiej półkuli, nie dostarczając po powrocie dworom i akademiom okazów z tych ziem.

Idąc dalej, ujrzał ogrodzenie z desek, a za nim z dziesięć grzebiących w ziemi ptaków, które zaliczył do gatunku *gallinacea*, chociaż w swoich stronach nie widział podobnego upierzenia. Także one były wygłodniałe, ale kury złożyły sześć jaj (celebrując to wydarzenie zupełnie tak samo jak ich krewniaczki na całym świecie).

Robert wziął natychmiast jedno z jaj, zrobił czubkiem noża dziurki w skorupce i wypił zawartość, jak przywykł to czynić w dzieciństwie. Resztę jaj wetknął za koszulę, a chcąc wynagrodzić stratę matkom i nadzwyczajnie płodnym ojcom, przyglądającym mu się gniewnie i potrząsającym koralami, podał im wodę i pokarm. Powtarzał tę czynność, idąc od klatki do klatki i zastanawiając się, jakim cudem trafił na „Dafne" dokładnie w momencie, kiedy ptaki osiągnęły ten stan wyczerpania. Rzeczywiście, spędził już na statku dwie noce i ktoś musiał podać ptakom pokarm najwyżej dzień przed jego przybyciem. Czuł się jak gość, który wprawdzie spóźnia się na ucztę, ale przybywa tuż po wyjściu ostatnich biesiadników, kiedy jeszcze nie sprzątnięto ze stołów.

Zresztą – powiedział sobie – nie ulega wątpliwości, że ktoś przedtem tu był, a teraz go nie ma. To, czy opuszczono to miejsce dzień, czy dziesięć

dni przed moim przybyciem, nie zmienia w niczym mego losu, co najwyżej czyni go dotkliwszym: gdybym rozbił się dzień wcześniej, mógłbym dołączyć do marynarzy z „Dafne”, dokądkolwiek się udali. A może nie, może umarłbym z nimi, jeśli rozstali się z życiem. Westchnął (przynajmniej nie miał do czynienia ze szczurami) i pomyślał, że jest zaopatrzony również w drób. Zastanowił się raz jeszcze nad zamiarem uwolnienia dwunogów szlachetniejszego rodu i doszedł do wniosku, że gdyby jego wygnanie miało potrwać dłużej, one także mogłyby okazać się jadalne. Piękni i barwni byli także *hidalgos* pod Casale, a jednak strzelaliśmy do nich, i gdyby oblężenie potrwało dłużej, nawet byśmy ich zjadali. Jeśli ktoś brał udział w wojnie trzydziestoletniej (tak mówię ja, ale kto żył wówczas, nie nazywał jej w ten sposób, a może nawet nie zdawał sobie sprawy, że chodzi o jedną długą wojnę, w której toku podpisywano co jakiś czas pokój), nauczył się, że trzeba mieć twarde serce.

4

Fortyfikacja Pokazana

Dlaczego, opisując pierwsze dni na statku, Robert wspomina Casale? Z pewnością w grę wchodzi upodobanie do podobieństw, tu i tam jest unieruchomiony, ale po człowieku z jego czasów można by oczekiwać czegoś więcej. Raczej już powinny zafascynować go odmienności, obfitujące w wyszukane antytezy: do Casale trafił z własnego wyboru, aby nie wkroczyli tam inni, na „Dafne” zaś został rzucony przez los i pragnął się stamtąd wydostać. Powiedziałbym jednak raczej, że przeżywając pewną historię w półcieniu, wracał ku historii wypełnionej gorączkowymi działaniami w jaskrawym słońcu, tak że olśniewające dni oblężenia, przywrócone przez pamięć, były dlań rekompensatą w tej na poły mrocznej wędrówce. I może coś jeszcze. W pierwszej części życia Robert miał tylko dwa okresy, kiedy dowiadywał się czegoś o świecie i sposobach istnienia, a mam na myśli parę miesięcy oblężenia i ostatnie lata spędzone w Paryżu: teraz przeżywał trzeci okres kształtowania, zapewne ostatni, pod koniec którego dojrzałość pokryje się z rozkładem, i próbował się domyślić tajemnego posłannictwa, patrząc na przeszłość jako na figurę teraźniejszości.

Casale to na początku historia wycieczek. Robert opowiada o nich Pani, przeobrażając je, jakby chciał powiedzieć, że nie mogąc wziąć szturmem twierdzy jej nieskalanych śniegów, ugodzonej, lecz niepokonanej przez płomień jego dwóch słońc, przy płomieniu innego słońca potrafił jednak stawić czoło każdemu, kto oblegał jego monferracką cytadelę.

Następnego ranka po przybyciu ludzi z Grivy Toiras posłał samotnych oficerów ze strzelbami gotowymi do strzału, by obserwowali, co

neapolitańczycy instalują na zdobytym poprzedniego dnia wzgórzu. Oficerowie podeszli zbyt blisko, doszło do strzelaniny, podczas której poległ młodziutki lejtnant z regimentu Pompadour. Towarzysze przynieśli go do twierdzy i Robert po raz pierwszy w życiu zobaczył zabitego. Toiras postanowił zająć domy, o których wspomniał poprzedniego dnia.

Z bastionów widać było doskonale dziesięciu posuwających się muszkieterów, którzy w pewnym momencie się rozdzielili, by wziąć pierwszy dom z dwóch stron. Z murów padła salwa, która przetoczyła się nad ich głowami i rozwaliła dach domu: ze środka wybiegli niby chmara insektów Hiszpanie i natychmiast rzucili się do ucieczki. Muszkieterowie pozwolili im uciec, zawładnęli domem, zabarykadowali się w nim i otworzyli w stronę wzgórza ogień nękający.

Byłoby rzeczą właściwą powtórzenie tej operacji z innymi domami: nawet z bastionów widać było, jak neapolitańczycy zaczęli drążyć okopy i zabezpieczać je faszyną oraz koszami szańcowymi. Ale okopy nie otaczały wzgórza; biegły w stronę równiny. Robert się dowiedział, że w ten sposób zaczyna się budowa podkopów. Kiedy dotrą do murów, ostatni odcinek tunelu zostanie wypełniony beczkami z prochem. Trzeba zawsze dbać o to, by roboty ziemne nie osiągnęły etapu drążenia podziemnego tunelu, kiedy nieprzyjaciel pracuje już w ukryciu. Cała gra do tego się sprowadza: uniemożliwić przystąpienie do budowy tunelu i drążyć kontrminy, póki nie nadciągnie odsiecz i póki wystarczy spyży i amunicji. Oblężeni nie mają nic innego do roboty, jak tylko przeszkadzać przeciwnikowi i czekać.

Następnego ranka, zgodnie z obietnicą, przyszła pora na fort. Robert przewiesił strzelbę przez ramię i wraz z całą niezdyscyplinowaną gromadą ludzi, którym nie chciało się pracować w Lù, Cuccaro albo Odalengo, oraz milkliwych Korsykanów znalazł się na zatłoczonej barce, by w ślad za dwiema kompaniami Francuzów dotrzeć na drugi brzeg Padu. Toiras w otoczeniu świty obserwował operację z prawego brzegu, a stary Pozzo przekazał synowi pozdrowienie, najpierw machając ręką, jakby chciał

powiedzieć: „Naprzód, naprzód!”, a potem pocierając palcem wskazującym kość jarzmową, by dać sygnał: „Miej się na baczności!”

Trzy kompanie rozbiły obozowisko w forcie. Budowla była niedokończona, a część prac już wykonanych poszła na marne. Oddział spędził dzień na barykadowaniu wyrw w murach, ale fort był dobrze chroniony przez fosę, na której drugim brzegu wystawiono czujki. W nocy było tak jasno, że czujki zapadły spokojnie w drzemkę i nawet oficerowie uważali, że atak jest mało prawdopodobny. W pewnym momencie jednak rozległa się salwa i nadciągnęła hiszpańska jazda.

Robert, który na rozkaz kapitana Bassianiego zajął stanowisko za belami słomy wypełniającymi zburzony odcinek muru, nie dość szybko zrozumiał, co się dzieje. Za każdym z jezdnych siedział na koniu muszkieter, a podjechawszy do fosy, konnica okrążyła fort, muszkieterzy zeskoczyli z końskich zadów i sturlali się do fosy. Jezdni ustawili się w półkole naprzeciwko bramy i prowadząc gęsty ogień, kazali kryć się obrońcom, a w tym czasie muszkieterzy dotarli bez szwanku do bramy i słabiej bronionych wyłomów.

Kompania włoska, która pełniła straż, tylko raz wystrzeliła i rozpierzchła się w panice, przez co długo okazywano jej pogardę, ale kompanie francuskie wcale nie spisały się lepiej. Od początku ataku do zdobycia murów minęło niewiele minut i żołnierze zostali zaskoczeni przez szturmujących, którzy wdarli się do środka, zanim tamci zdążyli chwycić oręż.

Nieprzyjaciele, wykorzystując zaskoczenie, masakrowali garnizon, a było ich tylu, że kiedy jedni powalali walczących jeszcze obrońców, inni rzucili się do grabienia poległych. Robert najpierw strzelał do muszkieterów, ładując z trudem, gdyż miał ramię obolałe od odrzutu, a potem został zaskoczony przez szarżę kawalerii i kopyta koni przeskakujących nad jego głową pogrzebały go pod szczątkami barykady. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności: pod belami słomy uniknął pierwszego, śmiertelnego impetu, a teraz patrzył przerażony z ukrycia, jak

nieprzyjaciele dobijają rannych, ucinają im palce, żeby zabrać pierścień, albo całe dłonie, żeby zdjąć bransoletę.

Kapitan Bassiani, pragnąc zmazać hańbę swoich ludzi, którzy rzucili się do ucieczki, bił się jeszcze z wielką odwagą, ale został otoczony i musiał się poddać. Od strony rzeki zorientowano się, że sytuacja jest krytyczna, i pułkownik de la Grange, który dopiero co przeprowadzał inspekcję fortu i wracał teraz do Casale, chciał rzucić się obrońcom na ratunek, lecz powstrzymali go oficerowie, doradzając wezwanie posiłków z miasta. Z prawego brzegu ruszyły następne łodzie, przygalopował też obudzony w środku nocy Toiras. Natychmiast stało się jasne, że Francuzi poszli w rozsypkę i jedyne, co można zrobić, to dać osłonę ogniową, by ułatwić uciekającym dotarcie do rzeki.

W tym zamęcie widziano starego Pozza, który pędził konno ze sztabu głównego do miejsca, gdzie przybijały do brzegu łodzie, i szukał wśród uciekinierów Roberta. Kiedy prawie się już upewnił, że wszystkie barki dobiły do brzegu, wykrzyknął: „O, zajęcze serca!” Następnie, jak przystało na kogoś, kto zna kaprysy rzeki, i wskazując jako na głupców na tych, co trwonią siły, pracując ciężko wiosłami, wybrał punkt naprzeciwko jednej z wysepek, spiął konia ostrogami i runął w nurt. Pokonał mieliznę i znalazł się na drugim brzegu, nawet nie każąc koniowi płynąć, a następnie dobył szpady i jak szalony rzucił się w stronę fortu.

Przy jaśniejącym już niebie wystąpiła z przeciwka grupa nieprzyjacielskich muszkieterów, którzy nie byli w stanie pojąć, co to za samotnik; samotnik zaś minął ich, powalając co najmniej pięciu pewnymi pchnięciami, po czym wpadł na dwóch jezdnych, spiął konia, odchylił się, unikając ciosu, zaraz się jednak wyprostował i zrobił szpadą młynka. Pierwszy przeciwnik osunął się na siodło, a trzewia spłynęły mu aż na buty, kiedy koń rzucił się do ucieczki, drugi zaś znieruchomiał z wybałuszonymi oczami, szukając palcami ucha, które przyczepione do policzka zwisało gdzieś poniżej podbródka.

Pozzo znalazł się pod fortem i napastnicy, zajęci rabowaniem ostatnich uciekinierów, którzy dostali postrzał od tyłu, nie mogli pojąć, skąd się

wziął. Wtargnął w obręb murów, wołając na cały głos syna, i powalił następnych czterech przeciwników, wywijając szpadą na cztery strony świata. Robert wygrzebał się spod słomy, zobaczył go z daleka, a pierwej jeszcze niż ojca rozpoznał Pagnuflego, ojcowskiego konia, z którym bawił się od lat. Wetknął dwa palce w usta i gwizdnął. Koń znał doskonale ten sygnał, stanął więc dęba, zastrzygł uszami i poniósł ojca w stronę wyłomu w murze. Pozzo zobaczył Roberta i zakrzyknął: „Co za miejsce sobie wybrałeś? Wskakuj, głupcze!” A kiedy Robert wskoczył na koński zad i chwycił ojca w pasie, ten dodał: „Do diabła, zawsze musisz wleźć, gdzie nie trzeba!” Potem spiął ostrogami Pagnuflego i ruszył galopem w stronę rzeki.

W tym momencie niektórzy z rabusiów uświadomili sobie, że ten człowiek jest intruzem, i zaczęli wykrzykiwać, pokazując go sobie palcami. Pewien oficer w poobijanym pancerzu próbował na czele trzech żołnierzy przeciąć mu drogę. Pozzo zobaczył go, chciał skręcić, ale zamiast tego ściągnął wodze i zawołał: „Widać los tak chciał!” Robert wyjrzał zza jego pleców i zobaczył Hiszpana, który przepuścił ich dwa dni wcześniej. Ten także rozpoznał ojca, oko mu rozbłysło i z dobytą szpadą ruszył do przodu.

Stary Pozzo przełożył czym prędzej szpadę do lewej dłoni, wyjął zza pasa pistolet i wyciągnął rękę, a wszystko tak szybko, że zaskoczył Hiszpana, który z rozpędu znalazł się tuż przy koniu. Pozzo nie od razu strzelił. Najpierw powiedział: „Przepraszam za pistolet, ale skoro ty, panie, jesteś w pancerzu, mam prawo...” Nacisnął spust i wypalił tamtemu prosto w usta. Żołnierze, widząc padającego dowódcę, dali drapaka. Pozzo zaś wetknął pistolet z powrotem za pas i powiedział: „Lepiej się stąd wynośmy, zanim stracą cierpliwość... Dalej, Pagnufli!”

Popędzili, wzbijając obłoki kurzu, przez równinę, potem, rozpryskując wodę, przez rzekę, a w uszach brzmiały im ciągle dochodzące z tyłu strzały.

Na prawym brzegu powitano ich owacją. Toiras powiedział:

– *Très bien fait, mon cher ami*. – A zwracając się do Roberta, dorzucił: – La Grive, dzisiaj wszyscy uciekli i tylko ty wytrwałeś na posterunku. Co to

znaczy dobra krew! Marnujesz się w tej tchórzliwej kompanii. Przydzielam cię do mojej świty.

Robert podziękował, a potem, zeskoczywszy z konia, podał rękę ojcu, by podziękować także jemu.

Pozzo niedbale uścisnął dłoń syna i oznajmił:

– Przykro mi z powodu tego hiszpańskiego pana, gdyż był człowiekiem szlachetnym. Cóż, wojowanie to paskudne rzemiosło. Z drugiej strony zapamiętaj na zawsze, synu mój: grzeczny obyczaj ponad wszystko, jeśli jednak ktoś chce cię zabić, postępuje źle. Racja?

Wrócili do miasta, a Robert usłyszał jeszcze, jak ojciec mruczy pod nosem:

– Ja go nie szukałem...

5

Labirynt Świata

Zdaje się, że Robert wspomniał o tym wydarzeniu, poczuł przypływ synowskiej miłości i rozmarzył się, myśląc o szczęśliwych czasach, kiedy opiekuńcza postać ratowała go z zamętu oblężenia; musiał jednak przypomnieć sobie także to, co zdarzyło się później. I nie wydaje mi się, aby była to zwykła igraszka pamięci. Powiedziałem już, że moim zdaniem Robert kojarzył te dawne zdarzenia ze swoimi przeżyciami na „Dafne”, jakby szukał ogniw, przyczyn, znaków przeznaczenia. Teraz powiedziałbym, że przeżywanie raz jeszcze dni oblężenia miało mu tutaj, na statku, ułatwić prześledzenie etapów powolnego przyswajania sobie w latach młodzieńczych prawdy, iż świat to budowla wzniesiona wedle zasad wielce osobliwych.

Było to tak, jakby z jednej strony fakt, że trwa oto zawieszony między niebem a morzem, jawił mu się wyłącznie jako konsekwencja trzech pięcioleci peregrynacji po terytorium, które trzeba przebyć, idąc rozwidlającymi się raz po raz skrótami, a z drugiej – właśnie wspominając niepowodzenia, szukał pociechy, jak mniemam, w swoim obecnym położeniu, jak gdyby katastrofa statku przeniosła go z powrotem do owego ziemskiego raju, którym było dzieciństwo w Grivie i który opuścił, wkraczając w mury oblężonego miasta.

Teraz Robert nie iskał już wszy w żołnierskiej kwaterze, lecz wraz z przybyłymi z Paryża szlachcicami zasiadał do stołu u Toirasa i słuchał ich przechwałek, wspomnień z innych kampanii, słów pustych, acz błyskotliwych. Z tych rozmów już pierwszego wieczoru wywnioskował, że oblężenie Casale nie jest zgoła tym, czego oczekiwał.

Przybył tu, by tchnąć życie w rycerskie marzenia, wyrosłe na pożywce poematów przeczytanych w Grivie: mieć w żyłach dobrą krew i szpadę u boku oznaczało dlań być bohaterem, który oddaje życie za jedno słowo swego króla albo dla ratowania jakiejś damy. Kiedy tu przybył, okazało się, że święte zastępy, do których dołączył, to zbieranina gnuśnych chłopów, gotowych dać drapaka przy pierwszym starciu.

Teraz został przyjęty do grona mężów, którzy traktowali go jak równego. Wiedział jednak, że jego męstwo było wynikiem nieporozumienia i że jeśli nie uciekł, to tylko z tego powodu, iż bał się jeszcze bardziej niż ci, co wzięli nogi za pas. Co gorsza, kiedy po wyjściu pana Toirasa obecni pogasili światła i zaczęli mówić bez skrępowania, co myślą, uświadomił sobie, że oblężenie jest tylko rozdziałem pozbawionej sensu historii.

Wincenty z Mantui zmarł więc i zostawił księstwo Neversowi, ale wystarczyłoby, żeby ktoś inny znalazł się jeszcze później przy łożu śmierci, a wszystko potoczyłoby się inaczej. Na przykład również Karol Emanuel powoływał się na swoje prawa do Monferrato poprzez bratanka (oni wszyscy żenili się między sobą) i od dawna chciał zagarnąć markizat, tkwiący jak cierń w boku jego księstwa, zagłębiony na odległość kilkudziesięciu ledwie mil od Turynu. Nic dziwnego, że wkrótce po wskazaniu Neversa Gonzales z Kordowy, wykorzystując ambicje księcia sabaudzkiego w celu unicestwienia dążeń Francuzów, podszepnął mu pomysł przymierza z Hiszpanami, aby przy ich pomocy zająć Monferrato, a potem podzielić się z nimi po połowie. Cesarz, który miał na głowie dość kłopotów z resztą Europy, nie zgodził się na wszczęcie kroków wojennych, a nawet nie wypowiedział się przeciwko Neversowi. Gonzales i Karol Emanuel przestali w tej sytuacji zwlekać i jeden z nich przystąpił do zajmowania Alby, Trino i Moncalvo. Cesarz może i był zacny, ale na pewno nie głupi, położył więc rękę na Mantui i powierzył miasto cesarskiemu komisarzowi.

Przyjęcie postawy wyczekującej było korzystne dla wszystkich pretendentów, Richelieu jednak potraktował wstępne rozgrywki jako zniewagę Francji. Tak było mu zapewne najwygodniej, chociaż na razie nic

nie zrobił, bo oblegał jeszcze protestantów w La Rochelle. Hiszpania patrzyła życzliwym okiem na rzeź garstki heretyków, lecz jednocześnie nie miała nic przeciwko temu, żeby Gonzales wykorzystał tę okoliczność i ruszył z ośmioma tysiącami ludzi na Casale, bronione przez zaledwie ponaddwustuosobową załogę. Doszło do pierwszego oblężenia.

Ponieważ jednak nie wyglądało na to, by cesarz zechciał ustąpić, Karol Emanuel spostrzegł, że sprawy przybierają zły obrót, i nie zrywając współdziałania z Hiszpanami, nawiązał po cichu kontakty z Richelieum. W tym czasie La Rochelle padło, dwór madrycki nie szczędził Richelieumu komplementów z okazji tego wspaniałego zwycięstwa prawdziwej wiary, ten zaś podziękował, doprowadził do koncentracji wszystkich swoich wojsk i w lutym 1629 roku posłał je, z Ludwikiem XIII na czele, przez Monginevro pod Susę. Karol Emanuel zdał sobie sprawę, że prowadząc podwójną grę, może stracić nie tylko Monferrato, ale i Susę, i w tej sytuacji – próbując sprzedać to, co i tak mu zabierali – zaproponował ją w zamian za jakieś miasto francuskie.

Jeden ze współbiesiadników Roberta opowiedział o tym wszystkim tonem, w którym brzmiało rozbawienie. Richelieu dał popis ironii, pytając, czy książę woli Orlean, czy może Poitiers, a jednocześnie przed susyjskim garnizonem stanął francuski oficer, który zażądał kwatery dla króla Francji. Sabaudzki komendant, człowiek niepozbawiony dowcipu, odparł, że jego wysokość książę byłby zapewne oczarowany, mogąc gościć jego królewską mość, skoro jednak królewska mość przybywa z tak licznym towarzystwem, on musi uprzedzić o tym jego wysokość. Marszałek de Bassompierre z nie mniejszą wytwornością popędził konia po śniegu, zamiótł kapeluszem podłogę przed swoim królem i doniósłszy mu, iż skrzypce gotowe są do gry, a tancerze w maskach stoją już w drzwiach, poprosił o pozwolenie otwarcia balu. Richelieu odprawił mszę polową, piechota francuska ruszyła do szturmu i Susa padła.

W takim stanie rzeczy Karol Emanuel doszedł do wniosku, że Ludwik XIII jest gościem jak najmilej widzianym, ruszył więc, by go powitać, i poprosił tylko, ażeby król nie tracił czasu pod Casale, bo tym miastem sam

już się zajął, natomiast pomógł mu zdobyć Genuę. Poproszono go uprzejmie, by nie plótł trzy po trzy, wsunięto w dłoń piękne gęsie pióro i kazano złożyć podpis pod traktatem, w którym godzi się na to, że Francuzi będą robić w Piemoncie, co im się podoba. W nagrodę pozwolili zatrzymać Trino i polecili księciu Mantui płacić mu doroczną daninę z Monferrato.

– W ten sposób Nevers – ciągnął współbiesiadnik – chcąc dostać to, co jego, musi płacić temu, kto nigdy tego nie posiadał!

– I zapłacił! – roześmiał się drugi. – *Quel con!*

– Nevers zawsze płacił za swoje kaprysy – wtrącił się do rozmowy ksiądz, którego przedstawiono Robertowi jako spowiednika Toirasa. – Nevers to szaleniec boży, który uważa się za świętego Bernarda. Zawsze myślał tylko o zjednoczeniu książąt chrześcijańskich i nowej krucjacie. W naszych czasach chrześcijanie zabijają się między sobą, komu więc w głowie walka z niewiernymi? Panowie z Casale, jeśli z tego przyjemnego miasta pozostanie kamień na kamieniu, wasz nowy senior poprowadzi was wszystkich do Jerozolimy!

Ksiądz uśmiechnął się z rozbawieniem, gładząc zadbane jasne wąsy, a Robert pomyślał: Ładne rzeczy, dziś rano prawie zginąłem za tego szaleńca, a nazywają go szaleńcem dlatego, że marzy, jak niegdyś ja, o czasach pięknej Melisandy i Króla Trędowatego.

Wydarzenia, które nastąpiły potem, nie dały bynajmniej Robertowi okazji do rozwikłania motywów całej tej historii. Gonzales z Kordowy, zdradzony przez Karola Emanuela, zrozumiał, że przegrał kampanię, uznał traktat z Susy i wrócił ze swoimi ośmioma tysiącami ludzi w mediolańskie strony. W Casale osadzono jeden garnizon francuski, w Susie drugi, a reszta armii Ludwika XIII pokonała z powrotem Alpy, by rozprawić się z ostatnimi hugenotami w Langwedocji i dolinie Rodanu.

Jednak żaden z tych panów ani przez chwilę nie myślał dotrzymać paktów i współbiesiadnicy mówili o tym jako o rzeczy całkowicie naturalnej, niektórzy zaś potakiwali, zauważając: *La Raison d’Estat, ah, la Raison d’Estat*. Kierując się właśnie racją stanu, Olivares – Robert domyślił się, iż chodzi o kogoś w rodzaju hiszpańskiego Richelieu, tyle że mniej

faworyzowanego przez los – zorientował się, że wyszedł nie najlepiej na całym tym zamieszaniu, usunął więc bez ceregieli Gonzalesa, postawił na jego miejsce Spinolę i jął rozpowiadać, że zniewaga wyrządzona Hiszpanii przynosi ujmę Kościołowi.

– Gadanie – oznajmił ksiądz. – Urban VII sprzyjał objęciu dziedzictwa przez Neversa.

A Robert zaczął się zastanawiać, co papież może mieć wspólnego ze sprawami bynajmniej niedotykającymi kwestii wiary.

W tym czasie cesarz – kto wie, jak dalece naciskany na tysiąc sposobów przez Olivaresa – przypomniał sobie, że Mantua nie podlega nadal jego komisarzowi i że Nevers nie może ani płacić, ani nie płacić za coś, co jeszcze mu nie przypadło. Stracił cierpliwość i wysłał dwadzieścia tysięcy ludzi, żeby oblegali miasto. Papież, kiedy dowiedział się, że po całej Italii harcują protestanccy najemnicy, zaraz przypomniał sobie *sacco di Roma* i wysłał wojska na granicę mantuańską. Spinola, ambitniejszy i bardziej stanowczy od Gonzalesa, postanowił raz jeszcze przystąpić do oblężenia Casale, ale tym razem bez żadnych żartów. A zatem – pomyślał Robert – jeśli chce się uniknąć wojny, nie trzeba podpisywać żadnych traktatów pokojowych.

W grudniu roku 1629 Francuzi znowu przekroczyli Alpy. Karol Emanuel, zgodnie z paktami, powinien był ich przepuścić, jednak pragnąc najwyraźniej dać dowód lojalności, przypomniał swoje pretensje do Monferrato i zażądał sześciu tysięcy francuskich żołnierzy do oblężenia Genui, do której widocznie czuł feblik. Richelieu, uważając go za węża, nie mówił ani tak, ani nie. Pewien kapitan, który stroił się w Casale tak, jakby przebywał na dworze, opowiedział o jednym z lutowych dni:

– Cóż za wspaniała uczta, przyjaciele! Brakowało tylko muzyków z pałacu królewskiego, ale była za to orkiestra wojskowa. Jego królewska mość galopował na czele wojska pod Turynem, odziany w czarny strój haftowany złotem, z piórem na kapeluszu i w lśniącym pancerzu!

Robert oczekiwał opowieści o wielkim szturmie, ale nie, także w tym wypadku chodziło tylko o paradę; król nie zaatakował, niespodziewanie

skręcił za to na Pinerolo i zawładnął tym miastem, a raczej je odzyskał, gdyż parę setek lat wcześniej należało do Francji. Robert miał niejasne pojęcie o tym, gdzie leży Pinerolo, i nie rozumiał, czemu trzeba było je zdobyć, żeby uwolnić Casale. Może jesteśmy oblegani w Pinerolo? – jął się zastanawiać.

Papież, strapiony obrotem spraw, posłał swego przedstawiciela do Richelieugo, by nakłonić go do oddania miasta Sabaudii. Biesiadnicy zaczęli plotkować o tym wysłanniku, niejakim Giuliu Mazzarinim, Sycylijczyku, rzymskim plebejuszu. Ależ skąd – podbił bębenka ksiądz – to naturalny syn jakiegoś nieznanego pochodzenia chłopaka z Ciociarii, nie wiadomo, jak został kapitanem, służył papieżowi, ale wyłaził ze skóry, żeby zyskać zaufanie Richelieugo, i patrzył w niego jak w obraz. A warto było mieć go na oku, jako że w tym momencie wyruszał w kierunku Ratyzbony, miejsca diabelskiego, i tam właśnie rozstrzygały się losy Casale, nie zaś tutaj, ze wszystkimi minami i kontrminami.

Ponieważ w tym samym czasie Karol Emanuel starał się przeciąć francuskie linie komunikacyjne, Richelieu zagarnął także Annecy i Chambéry, aż w końcu Francuzi i Sabaudczycy starli się pod Aviglianą. W toku tej niespiesznej rozgrywki cesarscy zagrozili Francji, wkraczając do Lotaryngii; Wallenstein ruszył na pomoc Sabaudczykom, a w lipcu garstka cesarskich dotarła barkami i wzięła przez zaskoczenie śluzę w Mantui, potem cała armia wkroczyła do miasta, przez siedemdziesiąt godzin oddawała się grabieży, pustosząc całkowicie pałac książęcy, a chcąc widać zyskać przychylność papieża, luteranie z armii cesarskiej ogołocili wszystkie kościoły w mieście. Tak, byli to właśnie ci lancknechci, których Robert widział, bo zjawili się tutaj, by wesprzeć Spinolę.

Armia francuska była na razie zajęta na północy i nikt nie potrafił powiedzieć, czy dotrze tu przed upadkiem Casale. Nie pozostaje nic innego, jak powierzyć się Bogu – powiedział ksiądz.

– Panowie, w polityce cnotą jest wiedzieć, że trzeba poszukiwać sposobów ludzkich, jakby nie istniały boskie, i boskich, jakby nie istniały ludzkie.

– Ufajmy więc w sposoby boskie! – wykrzyknął pewien szlachcic, ale tonem niezbyt skruszonym; potrząsał przy tym kielichem, tak że wino opryskało księdzu kaftan.

– Panowie, oblaliście mnie winem! – wrzasnął ksiądz i pobladł na twarzy, w ten bowiem sposób wyrażano w owych czasach oburzenie.

– Proszę uznać – odparł tamten – że zdarzyło się to podczas konsekracji. To wino i to wino.

– Panie de Saint-Savin! – krzyknął ksiądz, kładąc dłoń na rękojeści szpady. – Nie po raz pierwszy hańbisz swe imię, bluźniąc przeciw Bogu naszemu! Lepiej byś zrobił, gdybyś, oby Bóg mi wybaczył, pozostał w Paryżu i hańbił damy, jak to jest w waszym, wyznawców Pyrrona, zwyczaju!

– Ejże! – odparł wyraźnie pijany Saint-Savin. – My, pyrroniści, przygrywamy damom, a prawdziwi mężczyźni, jeśli chcą się zabawić, dołączają do nas. Ale kiedy dama nie podchodzi do okna, wiem, że nie chce się jej wyjść z łóżka, które grzeje jakiś katabas z rodziny.

Pozostali oficerowie zerwali się, by powstrzymać księdza, który chciał obnażyć szpadę. Pan de Saint-Savin jest pod wpływem wina – tłumaczyli – trzeba przecież okazać trochę pobłażliwości człowiekowi, który dobrze się bił w tych dniach, i trochę szacunku poległym niedawno towarzyszom.

– Niech tam – zamknął sprawę ksiądz, wychodząc z sali. – Panie de Saint-Savin, niech pan odmówi na zakończenie nocy *De profundis* za naszych poległych towarzyszy, a uznam się za usatysfakcjonowanego.

Ksiądz wyszedł, Saint-Savin zaś, który siedział obok Roberta, zwalił mu się na ramię i powiedział:

– Psy i ptaki rzeczne nie robią tyle hałasu, ile my, wywrzaskując *De profundis*. Czemu tylu poległych i tyle mszy za wskrzeszenie umarłych? – Opróżnił jednym haustem kielich, podniósł palec, jakby chciał przypomnieć Robertowi, że należy prowadzić życie prawe, a także pamiętać o świętych tajemnicach naszej świętej religii. – Panie, bądź człowiekiem dumnym; dzisiaj o włos uniknąłeś pięknej śmierci i równie beztrosko zachowuj się w przyszłości, wiedz bowiem, iż dusza umiera wraz z ciałem. Zakosztujesz

więc żywota, a później umrzesz. Jesteśmy zwierzętami pośród zwierząt, jedni i drudzy jesteśmy synami materii, tyle że zostaliśmy gorzej uzbrojeni. Ponieważ jednak w odróżnieniu od zwierząt wiemy, że czeka nas śmierć, przygotowujemy się na tę chwilę, korzystając z życia, które otrzymaliśmy od przypadku i przez przypadek. Mądrość nakazuje nam spędzać dni na piciu i miłych pogawędkach, jak przystało szlachcicom, którzy gardzą duszami nikczemnymi. Koledzy, życie ma wobec nas dług do spłacenia! Gnijemy tu, w Casale, i zbyt późno przyszliśmy na ten świat, by radować się czasami dobrego króla Henryka, kiedy w Luwrze widywało się bastardów, małpy, szaleńców, błaznów królewskich, karły, *culs-de-jatte*, muzyków i poetów, którzy zabawiali króla. Dzisiaj lubieżni jak kozły jezuici ciskają gromy na tych, którzy czytają Rabelais'go i łacińskich poetów, i chcieliby, abyśmy wszyscy byli cnotliwi i zabijali hugenotów. Panie Boże, wojna to piękna rzecz, ale chcę bić się dla własnej przyjemności, nie zaś dlatego, że mój przeciwnik je w piątki mięso. Poganie byli od nas mądrzejsi. Też mieli trzech bogów, ale matka, Kybele, nie utrzymywała, że pozostała dziewicą, choć wydała ich na świat.

– Ależ, panie! – zaprotestował Robert, podczas gdy pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Panie – odparł Saint-Savin – pierwszą cnotą prawego człowieka jest pogarda dla religii, która każe nam lękać się najnaturalniejszej w świecie rzeczy, jaką jest śmierć. Nienawidzimy jedynej pięknej rzeczy, jaką przeznaczył nam los, życia, i wzdychamy do nieba, gdzie z wiecznej szczęśliwości korzystają tylko planety, które radują się nie nagrodą czy potępieniem, lecz własnym odwiecznym ruchem w łonie pustki. Bądź silny jak mędrcy antycznej Grecji i patrz śmierci prosto w oczy i bez lęku. Jezus zbyt się męczył, czekając na nią. Czegóż się bał, skoro miał przecież zmartwychwstać?

– Dość tego, panie de Saint-Savin – prawie rozkazał mu jakiś oficer, ujmując go pod ramię. – Nie gorsz naszego młodego przyjaciela, który nie wie jeszcze, że dzisiaj w Paryżu bezbożność oznacza najwykwintniejszy *bon ton*, i mógłby wziąć sobie twoje słowa za bardzo do serca. Ty też, panie

de la Grive, udaj się na spoczynek. Wiedz, że dobry Bóg jest tak łaskawy, iż wybaczy nawet panu de Saint-Savin. Jak powiedział pewien teolog: mocny jest król, bo wszystko niszczy, mocniejsza białogłowa, bo wszystko uzyska, ale jeszcze mocniejsze wino, bo odbiera rozum.

– Cytujesz nie do końca, panie – wybełkotał Saint-Savin, którego dwaj kamraci wlekli do drzwi, zupełnie bezwładnego. – To zdanie przypisuje się Językowi, co dodał: jeszcze mocniejsza jest jednak prawda, a ją właśnie głoszę. I mój język nie zamilknie, choć teraz poruszam nim z takim trudem. Mędrzec winien kłamstwo atakować nie tylko szpadą, lecz również językiem. Przyjaciele, jakże możecie nazwać opiekuńczym bóstwo, które pragnie naszej wieczystej nieszczęśliwości tylko po to, by uśmierzyć swój chwilowy gniew? My mamy przebaczać naszym bliźnim, a On nie? I mamy jeszcze kochać istotę tak okrutną? Ksiądz nazwał mnie pyrronistą, ale my, uczniowie Pyrrona, jeśli tak mu się już podoba, chcemy nieść pociechę ofiarom oszustwa. Onegdaj, wraz z trzema druhami, rozdałem damom różańce ze sprośnym medalikiem. Gdybyście wiedzieli, jakie pobożne stały się od tego czasu!

Wyszedł przy wtórze śmiechu całej kompanii, oficer zaś tak skomentował jego słowa:

– Jeśli nie Bóg, my przynajmniej wybaczmy jego językowi, zważywszy na to, że ma tak piękną szpadę. – I zwracając się do Roberta, dodał: – Uważaj go, panie, za przyjaciela i nie sprzeciwiaj się mu bardziej, niż trzeba. Więcej Francuzów położył w Paryżu z powodów teologicznych niż moja kompania Hiszpanów w ostatnich dniach. Nie chciałbym mieć go obok podczas mszy, ale uznałbym się za szczęśliwego, gdyby stał przy mnie na polu bitwy.

Robert, w ten sposób pouczony przy pierwszych zwątpieniach, miał następnego dnia zaznać innych wątpliwości. Wrócił do tego skrzydła zamku, gdzie spędził dwie pierwsze noce z Monferratczykami, by zabrać stamtąd swą sakwę, ale z trudem orientował się wśród dziedzińców i korytarzy. Szedł właśnie jednym z nich, zdając sobie sprawę, że zabłądził,

kiedy zobaczył w głębi brudne ołowiane zwierciadło, a w nim siebie. Jednak zbliżywszy się, zauważył, że widzi wprawdzie, owszem, swoją twarz, ale szaty z hiszpańska strojne i włosy zebrane w siatkę. Mało tego, ten „on sam” w pewnym momencie nie był już zwrócony doń przodem, lecz umykał jakoś w bok.

Nie było to więc zwierciadło. Zdał sobie sprawę, że ma przed sobą okno o zakurzonych szybach, wychodzące na zewnętrzny stok twierdzy – okno, z którego można było zejść po schodkach na dziedziniec. Widział więc nie siebie, ale kogoś innego, bardzo podobnego, kogo w tym momencie stracił z oczu. Naturalnie przypomniał mu się od razu Ferrante. Ferrante przybył po nim albo przed nim do Casale, pewnie z inną kompanią tego samego regimentu lub z którymś regimentem francuskim, i kiedy on narażał życie w forcie, tamten być może ciągnął z wojny nie wiadomo jakie korzyści.

W tym wieku Robert śmiał się już raczej ze swoich dziecięcych fantazji i zastanawiając się nad tą wizją, prędko przekonał sam siebie, że widział po prostu kogoś trochę podobnego.

Chciał zapomnieć o tym wydarzeniu. Przez lata rozmyślał o niewidzialnym bracie, a tego wieczoru wydało mu się, że go zobaczył, lecz właśnie (powiedział sobie, próbując rozumem zaprzeczyć sercu) jeśli kogoś widział, nie był on *figmentum*, a ponieważ Ferrante był *figmentum*, ten, którego widział, nie mógł być Ferrante.

Mistrz logiki zapewne uznałby, że ten paralogizm budzi zastrzeżenia, lecz dla Roberta był wtedy wystarczający.

6

Wielka Sztuka Światła i Mroku

Napisawszy list poświęcony pierwszym wspomnieniom z oblężenia, Robert znalazł w izdebce kapitana parę butelek hiszpańskiego wina. Nie możemy mieć mu za złe tego, że rozpaliwszy ogień i usmażywszy jajka z kawałkami wędzonej ryby, odkorkował butelkę i urządził sobie królewską ucztę na stole zastawionym bez mała zgodnie z regułami sztuki. Jeśli rozbitek miał pozostać tu długo, a nie chciał popaść w stan zezwierzęcenia, powinien dbać o dobre obyczaje. Przypomniał sobie, że w Casale, kiedy rany i choroby zmusiły oficerów do tego, by zachowywali się jak rozbitkowie, pan de Toiras żądał, by przynajmniej przy stole każdy pamiętał o tym, czego nauczył się w Paryżu.

– Zasiadać do posiłku w czystym stroju, nie popijać każdego kęsa, wytrzeć najpierw wąsy i brodę, nie oblizywać palców, nie pluć na talerz, nie wycierać nosa w obrus. Panowie, nie jesteśmy ludźmi cesarza!

Rano obudziło Roberta pianie koguta, ale długo się jeszcze wylegiwał. Kiedy znowu przymykał okno wychodzące na galerię, zobaczył, że wstał później niż poprzedniego dnia i jest już jaśniej, niż bywa o brzasku. Za wzgórzami niebo wyglądające spoza kłębiących się chmur stawało się coraz intensywniej różowe.

Ponieważ już wkrótce pierwsze promienie słoneczne tak rozświetlą plażę, że nie da się na nią patrzeć, Robert postanowił spojrzeć w stronę, którą nie zawładnęło jeszcze słońce, i przeszedł galerią na drugą stronę „Dafne”, tę od zachodu. Natychmiast rzucił mu się w oczy jakby wycięty z papieru turkusowy kontur, który po kilku minutach podzielił się na dwa poziome pasy, olśniewającą zieloną szczotkę jasnych palm i mroczną strefę

gór z uparcie utrzymującymi się powyżej nocnymi oparami. Ale chmury te, bardzo czarne pośrodku, strzępiły się już na skraju, tworząc biało-czerwoną mieszankę.

Było to tak, jakby słońce, zamiast ruszyć do frontalnego ataku, próbowało zrodzić się w ich środku, lecz one, wytracając światło po brzegach, nabrzmiewały oparami i opierały się roztopieniu w niebie, tak by stało się wiernym zwierciadłem morza, które było teraz cudownie klarowne i oślepiało roziskrzonymi cętkami, jakby płynęły w nim ławice ryb wyposażonych w wewnętrzne światełka. Jednym słowem, chmury ustąpiły jednak pod naporem światła, wyzbyły się same siebie, ginąc nad wierzchołkami, i z jednej strony przywierały do stoków, kondensując się, osiadając jak bita śmietana, zwiewniejsza tam, gdzie spłynęła na dół, gęstsza u góry, a z drugiej, zmieniając się w pole śnieżne i jednolitą lawę lodu u szczytu, wybuchały w powietrzu kształtem grzyba – smakowite erupcje w jakiejś krainie obfitości.

To, co miał przed oczyma, mogło być wystarczającym uzasadnieniem katastrofy, którą przeżył: nie tyle z powodu przyjemności, jaką dawało mu owo ruchome pozowanie natury, ile ze względu na światło, jakie tutejsze światło rzucało na słowa, które słyszał z ust Kanonika z Digne.

Dotychczas bowiem zastanawiał się często, czy nie śni. Tego, co przeżywał, ludzie zwykle nie przeżywali; w najlepszym razie mógł powołać się na przeczytane w dzieciństwie romanse – niby twór snu były bowiem i statek, i stworzenia, które na nim napotkał. Cienie otaczające go od trzech dni wydawały się utkane z tejże dziwnej substancji co sny i chłodny umysł dostrzegał, że nawet barwy podziwiane w ogródku i wolierze były jaskrawe tylko dla jego zachwyconych oczu, w rzeczywistości jednak widziało się je jakby poprzez patynę na starej lutni, patynę pokrywającą wszystko na okręcie, w świetle, które liznęło przedtem belki i klepki, wyschnięte, przesiąknięte olejami, farbami i smołami... Czyż zatem nie mógł być snem także wielki teatr niebiańskiej tłuszczy, którą, zdawało się, widział w tej chwili na horyzoncie?

Nie – powiedział sobie – ból, jaki to światło sprawia moim oczom, mówi mi, że nie śnię, lecz widzę naprawdę. Moim źrenicom cierpienie niesie ta burza atomów, które bombardują mnie z brzegu jak wielki okręt wojenny, a przecież niczym innym jest ogląd, jak zderzeniem oka z pyłem materii. Zapewne – powiedział mu Kanonik – nie tylko w tym sedno, iż rzeczy odległe wysyłają ci, jak chciał Epikur, doskonałe *simulacra*, odsłaniające ich zewnętrzną formę i ukrytą naturę. Dostajesz jeno emblematy, indykacje i z nich wyłuskujesz domysł, który zwiemy oglądem. Sam fakt jednak, iż Robert, używając rozmaitych tropów, nazywał niedawno to, co zdawało mu się, że widzi, i tym sposobem stwarzał w kształcie słownym rzecz zasugerowaną przez coś na razie bezkształtnego, w jego mniemaniu potwierdzał właśnie, że widzi, a spośród mnogich pewności, nad których absencją bolejemy, obecna jest tylko jedna – fakt, że wszystkie rzeczy jawią się nam tak, jak się jawią, i nie możemy nawet pomyśleć, by nie było prawdą, iż jawią się nam akurat w ten sposób.

Tak zatem, widząc i nie wątpiąc, że widzi, Robert miał jedną tylko pewność, na którą zmysły i rozum mogły liczyć – tę mianowicie, iż coś wiedział, a to coś stanowiło jedyną formę bytu, o jakiej mógł mówić, albowiem byt niczym innym jest, jak wielkim teatrem przejawień rozmieszczonych w muszli kosmosu. I to niejedno nam mówi o tamtym dziwacznym stuleciu.

Żył, a nie spał, zaś w oddali, na wyspie czy lądzie stałym, było coś. Nie wiedział co: jak kolory zależą od przedmiotu, z którym są złączone, od światła, które on odbija, i od oka, które go ogląda, tak odległa ziemia jawiła mu się jako prawdziwa w swym przygodnym i przelotnym konkubinacie światła, wiatrów, chmur i jego rozegzaltowanych i zarazem strapionych oczu. Być może jutro albo za parę godzin ta ziemia będzie inna.

To, co widział, było nie tylko przesłaniem od nieba, lecz wynikiem przyjaźni między niebem, ziemią i pozycją (także godziną, porą roku, kątem), z jakiej na nie patrzył. Gdyby statek był zakotwiczony zgodnie z inną kreską na kompasie, Robert miałby przed sobą inny widok; słońce, jutrzenka, morze i ziemia byłyby innym słońcem, inną jutrzenką, innym

morzem i inną ziemią – pozostawałyby bliźniacze, lecz odmienne. Tej nieskończoności światów, wspomnianej przez Saint-Savina, trzeba szukać nie tylko poza gwiazdozbiorami, ale także w samym środku owej bańki kosmosu, w której on, będący wyłącznie okiem, stanowił krynicę nieskończonych paralaks.

Pozwólmy Robertowi, wśród wszystkich przeciwieństw losu, nie posunąć się dalej w swych spekulacjach, zarówno metafizycznych, jak i dotyczących fizyki ciał; jak zobaczymy, uczyni to później, posuwając się zresztą dalej, niż trzeba; ale już teraz widzimy go, jak rozmyśla nad tym, że gdyby istniał jeden świat, w którym ukazywałyby się rozmaite wyspy (mnogie w tym momencie dla mnogich Robertów patrzących z mnogich statków rozmieszczonych na różnych południkach), wówczas w tym samym świecie mogliby spotykać się i mieszać między sobą mnodzy Robertowie i mnodzy Ferrante. Być może tamtego dnia w zamku nieświadomie przemieścił się o parę sążni względem najwyższej góry Wyspy Żelaznej i ujrzał świat zamieszkany przez innego Roberta, który nie musiał zdobywać fortu za murami albo został uratowany przez innego ojca, który z kolei nie zabił uprzejmego Hiszpana.

Jednak do tych rozważań Robert wracał z pewnością po to, by nie przyznać, że tamto odległe ciało, które stwarzało się i ginęło w toku lubieżnych metamorfoz, stało się dla niego anagramem innego ciała, które chciałby posiąść, a ponieważ ziemia uśmiechała się doń tęsknie, chciałby dotrzeć do niej i stopić się z nią w jedno, jak szczęśliwy Pigmej na łonie tej powabnej olbrzymki.

Myślę, że nie poczucie wstydu, lecz strach przed nadmiarem światła skłonił go do odwrotu – a może jakieś inne wezwanie. Usłyszał bowiem, że kury zapowiadają nową partię jajek, i przyszło mu do głowy, żeby wieczorem uraczyć się kurczakiem z rożna. Poświęcił jednak jakiś czas na to, by korzystając z nożyczek kapitana, doprowadzić do porządku wąsy, brodę i włosy, nadal nadające mu wygląd rozbitka. Postanowił przeżyć swój los jak wakacje w pałacyku, który zapewniał mu szczodry ciąg świtów, jutrzenek i (smakował to z góry) zachodów słońca.

Tak więc po niecałej godzinie zszedł do miejsca, skąd dochodziło gdakanie, i zaraz zobaczył, że jeśli kury złożyły jajka (a nie mogły przecież swym gdakaniem kłamać), on tych jajek zgoła nie widzi. Co więcej, wszystkie ptaki miały starannie dosypane nowe ziarno, którego chyba jeszcze nawet nie dziobnęły.

Ogarnięty nagłym podejrzeniem, pobiegł do ogrodu i zobaczył, że liście, podobnie jak dnia poprzedniego, a nawet obficiej, lśnią od rosy, że w dzwoneczkach zebrała się przezroczysta woda, ziemia przy korzeniach jest wilgotna, błoto jeszcze bardziej błotniste – znak, iż ktoś w nocy podlał rośliny.

To ciekawe, ale pierwszym odruchem Roberta była zazdrość: ktoś panował nad jego własnym statkiem i pozbawiał go korzyści, które mu się należały. Utracić świat i zyskać porzucony statek, by potem spostrzec, że jeszcze ktoś go zamieszkuje, było dlań równie trudne do zniesienia jak obawa, iż jego Pani, nieosiągalny kres pragnień, mogła zaspokoić pragnienia innego mężczyzny.

Potem pojawił się niepokój bardziej wyrozumowany. Jak świat jego dzieciństwa był zamieszkany przez Innego, który szedł przed nim i za nim, tak na „Dafne” były najwyraźniej drugie dna i skrytki, których on dotąd nie poznał, a w których ukrywał się jakiś mieszkaniec, chadzający tymi samymi co Robert ścieżkami, gdy ten tylko z nich zszedł albo zanim na nie wkroczył.

Pobiegł ukryć się w swojej kabinie, jak afrykański struś, który chowając głowę, mniema, że odgradza się od świata.

Zdążając w stronę kasztelu rufowego, minął luk ze schodami prowadzącymi do ładowni. Co to miejsce mogło skrywać, skoro pod pokładem znalazł miniaturę wyspy? Byłożby to królestwo Intruza? Zauważmy, że traktował już wtedy statek jako przedmiot miłości, do którego, gdy tylko zostanie odkryty i gdy tylko samemu się odkryje, że się go pragnie, zgłaszają pretensję wszyscy wcześniejsi jego władcy. W tym właśnie momencie Robert, pisząc do Pani, wyznał, że za pierwszym razem, gdy ją zobaczył, a zobaczył ją, podążając wzrokiem za spoczywającym na

niej spojrzeniem kogoś innego, poczuł dreszcz odrazy, jakby zobaczył gąsienicę na róży.

Dobrze byłoby, gdyby ten przystęp zazdrości o beczkę cuchnącą rybami, dymem i odchodami skłonił go do uśmiechu, ale w tej chwili Robert gubił się już w zmiennym labiryncie, którego każde rozwidlenie prowadziło zawsze do tego samego obrazu. Cierpiał zarówno z powodu Wyspy, której nie miał, jak i statku, który miał jego, a obie te rzeczy były nieosiągalne, jedna z powodu oddalenia, druga przez swą zagadkę, lecz obie zajmowały miejsce ukochanej, unikającej go i jednocześnie kojącej obietnicami – jakie tylko sam sobie składał. I nie umiałbym inaczej wyjaśnić tego listu, w którym Robert roztapia się w płaczliwych ozdobnikach po to jedynie, by oznajmić w końcu, że ktoś go pozbawił porannego posiłku.

Pani!

Jakże mogę czekać zmiłowania od kogoś, kto mnie unicestwia? Komuż jednak, jeśli nie Tobie, mogę zawierzyć swoją mękę, szukając ukojenia, jeśli nie Twemu posłuchaniu, jeśli nie moim niesłuchanym słowom? Jeżeli miłość jest panaceum, które wszelką boleść leczy boleścią jeszcze większą, czyż nie mogę rozumieć jej jako męki zabijającej swym nadmiarem wszelką inną mękę, stającej się lekarstwem na wszystkie, choć nie na siebie samą? Gdy widziałem piękno i pragnąłem go, było tylko marzeniem o Twojej piękności, winienem więc li cierpieć, że tamto piękno jest dla mnie również snem? Gorzej byłoby, gdyby to piękno stało się moim, zaspokoiło mnie i przestałbym cierpieć z powodu Twego piękna. Jakże marnym balsamem bym się radował, a przecież ból wzmógłby się tylko, by sumienie wyrzucało mi niewierność. Lepiej zawierzyć Twemu obrazowi, tym bardziej teraz, gdy przemknął mi znowu przed oczyma nieprzyjaciel, którego rysów ni znam, ni chciałbym, być może, poznać. Łatwiej nie zwracać uwagi na tę nienawistną mi zjawę, mając wsparcie w Twoim ukochanym wizerunku. Gdybyż jakaś bogdaj nieczuła cząstka mnie spełniała miłość, jakaś mandragora, jakieś płaczące kamienne źródło, precz wszelka trwoga!

Jednak, dręcząc się tak, Robert nie zmienił się w kamienne źródło i trwoga zaraz wróciła, zbudziła inną trwogę, tę z Casale, która dała skutki – jak zobaczymy – znacznie smutniejsze.

7

Pavane Lachryme

Historia jest równie klarowna jak niejasna. Trwały jedna po drugiej drobne potyczki, mające takie samo znaczenie, jakie może przybrać w szachach nie ruch, lecz spojrzenie komentujące zamysł jakiegoś ruchu u przeciwnika i mające go zniechęcić do zwycięskiego zagrania – Toiras uznał więc, że czas pomyśleć o jakimś poważniejszym wypadzie. Nie ulegało wątpliwości, że toczy się gra między szpiegami i kontrszpiegami; po Casale krążyły pogłoski, że odsiecz nadciąga pod wodzą samego króla, natomiast pan de Montmorency zdąża z Asti, a marszałkowie de Créqui i de la Force z Ivrei. Była to nieprawda i Robert domyślił się tego z wybuchów gniewu Toirasa po przybyciu kolejnych kurierów z północy. W tej wymianie korespondencji Toiras zawiadomił Richelieugo, że nie ma już prowiantu, ten zaś odpowiedział, że pan Agencourt przeprowadził w swoim czasie inspekcję magazynów i uznał, że Casale doskonale może się utrzymać przez całe lato. Armia ruszy w sierpniu, żeby wykorzystać w drodze fakt, iż będzie tuż po zbiorach.

Robert był zdumiony tym, że Toiras kazał Korsykanom dezerterować i donosić Spinoli, iż odsiecz jest spodziewana dopiero we wrześniu. Słyszał jednak, jak Toiras oznajmia swemu sztabowi:

– Jeśli Spinola uwierzy, że ma czas, nie będzie się spieszył z robieniem podkopów, a my zdążymy wydrążyć kontrminy. Jeśliby uznał, że odsiecz dotrze tu lada chwila, cóż by pozostawało? Z pewnością nie wyjście naprzeciw armii francuskiej, wie bowiem, że ma na to za mało sił, nie mógłby również czekać tutaj, bo sam znalazłby się w sytuacji obleganego, ani wrócić do Mediolanu, by przygotować obronę księstwa, gdyż honor nie

pozwala mu dać za wygraną. Musiałby w tej sytuacji zdobyć czym prędzej Casale. Ponieważ jednak nie ma mowy o tym, żeby generalny szturm mógł się zakończyć powodzeniem, wydałby fortunę na przekupywanie moich ludzi. I w rezultacie każdy przyjaciel stałby się dla nas nieprzyjacielem. Wyślemy w takim razie szpiegów do Spinoli, aby go przekonać, że pomoc się opóźnia, pozwolimy mu drążyć podkopy, póki nam to za bardzo nie przeszkadza, a zniszczymy je, gdy tylko naprawdę nam zagrożą; jednym słowem, pozwolimy mu trwonić siły na tę zabawę. Panie Pozzo, znasz teren, powiedz więc nam, w jakich miejscach możemy dać mu spokój, a gdzie powinniśmy go za wszelką cenę zatrzymać.

Stary Pozzo, nie patrząc nawet na mapy (które wydawały mu się zbyt ozdobne, by mogły być prawdziwe!) i wskazując palcem przez okno, wyjaśnił, że w pewnych miejscach podłoże jest mało stabilne, gdyż podmokłe od rzeki, i minerzy Spinoli mogą kopać, ile chcą, aż zadławią się ślimakami. Jednocześnie w innych miejscach drążenie podkopu to sama rozkosz i tamte miejsca musi ostrzelać artyleria, tam też trzeba posyłać wycieczki.

– Dobrze – powiedział Toiras – jutro zmusimy ich zatem do skoncentrowania się na obronie pozycji pod bastionem Świętego Karola, a zaskoczymy ich pod bastionem Świętego Jerzego.

Posunięcie zostało przygotowane bardzo dobrze, wszystkie kompanie otrzymały dokładne instrukcje. Ponieważ okazało się, że Robert ma piękny charakter pisma, Toiras od szóstej wieczorem do drugiej w nocy dyktował mu rozkazy, a potem kazał spać w ubraniu na skrzyni pod drzwiami izby, by mógł przyjmować i sprawdzać meldunki, gdyby zaś coś się działo – obudzić go. I Robert musiał to czynić wielokrotnie między drugą a świtem.

Następnego ranka oddziały stanęły w gotowości w niewidocznych przejściach kontraskarpy i w obrębie murów. Na skinienie Toirasa, który śledził operację z cytadeli, pierwszy zastęp, nader liczny, ruszył w kierunku pozorowanym: przodem awangarda z pikami i muszkietami oraz tuż za nią rezerwa pięćdziesięciu muszkietów, a dalej, nie kryjąc się zgoła,

pięćdziesięciu piechoty i dwie kompanie jazdy. Była to piękna parada i dopiero później zrozumiano, że tak właśnie przyjęli ją Hiszpanie.

Robert zobaczył, jak trzydziestu pięciu ludzi w szyku rozproszonym rusza pod dowództwem kapitana Columbata do ataku na okop i jak dowódca hiszpański pokazuje się, by oddać im honory wojskowe. Columbat i jego ludzie byli nie mniej grzeczni, zatrzymali się więc i odpowiedzieli równie uprzejmie. Potem Hiszpanie udali, że się cofają, a Francuzi zaczęli maszerować w miejscu. Toiras rozkazał oddać salwę artyleryjską w stronę okopu, Columbat zrozumiał tę zachętę, dał rozkaz do ataku, za nim ruszyła jazda, oskrzydlając okop: Hiszpanie, radzi nieradzi, zajęli z powrotem pozycje i zostali zniszczeni. Francuzów ogarnął szał bojowy i któryś z nich, wywijając szpadą, wykrzykiwał nazwiska przyjaciół zabitych podczas poprzednich wypadów: „To za Bessières'a, to za serowarnię Bricchetta!" Wszystkich ogarnął taki zapał, że gdy Columbat chciał przywrócić porządek w oddziale, nikt go nie słuchał i jego ludzie pastwili się nad poległymi, potrząsając w stronę miasta swoimi trofeami: kolczykami, pasami, pikami z nadzianymi jak na rożen skalpami nieprzyjaciół.

Na razie nikt nie kontratakował i Toiras popełnił błąd, uznając to za błąd, nie zaś za wyrachowanie. Doszedłszy do wniosku, że cesarscy zamierzają użyć innych oddziałów, by powstrzymać ten atak, zachęcał ich do tego, oddając następne salwy, oni jednak zadowalali się ostrzałem miasta i w końcu jeden z pocisków zburzył kościół Świętego Antoniego, sąsiadujący z kwaterą główną.

Toiras był z tego zadowolony i wydał następnemu oddziałowi rozkaz wyjścia z bastionu Świętego Jerzego. Był to hufiec nieliczny, ale komendę sprawował pan de la Grange, mąż mimo pięćdziesiątki na karku żwawy jak młodzieniaszek. La Grange wycelował szpadę przed siebie i rzucił rozkaz do ataku na opuszczony kościółek, wzdłuż którego trwały zaawansowane już prace nad podkopem, kiedy ni z tego, ni z owego zza kanału ściekowego wyłoniły się główne siły hiszpańskie, od wielu godzin czekające na to spotkanie.

– Zdrada! – krzyknął Toiras, schodząc do bramy. La Grange dostał rozkaz odwrotu.

Wkrótce potem chorąży regimentu Pompadour doprowadził przed oblicze Toirasa casalskiego chłopaka z rękami związanymi sznurem, widziano bowiem, jak z małej wieży w pobliżu zamku daje białą szmatą sygnały oblegającym. Toiras kazał położyć go na podłodze, wcisnął mu kciuk prawej dłoni pod odwiedziony kurek swojego pistoletu, skierował lufę w stronę jego lewej dłoni, przyłożył palec do spustu i zapytał: *Et alors?*

Chłopak w lot zrozumiał, że sprawy przybrały zły obrót, i zaczął mówić. Poprzedniego wieczoru, gdzieś koło północy, przed kościołem Świętego Dominika, niejaki kapitan Gambero obiecał mu sześć pistoli, dając trzy jako zaliczkę, jeśli zrobi to, co później zrobił, kiedy tylko oddziały francuskie opuszczą bastion Świętego Jerzego. Chłopak miał minę, jakby domagał się pozostałych pistoli, najwyraźniej nie rozumiejąc nic ze sztuki wojennej i sądząc, że Toiras winien być zadowolony z jego służby. W pewnym momencie zobaczył Roberta i zaczął krzyczeć, że sławetny Gambero to właśnie on.

Robert oniemiał ze zdumienia, ojciec Pozzo runął na nędznego oszczercę i byłby chłopaka zadusił, gdyby nie powstrzymało go kilku panów ze świty. Toiras od razu przypomniał sobie, że Robert był przez całą noc u jego boku, a choć miał groźną minę, nikt nie mógłby wziąć go za kapitana. W tym czasie inni ustalili, że istotnie w regimencie Bassianiego był kapitan Gambero, i sprowadzili go do Toirasa, nie szczędząc kopniaków i szturchańców. Gambero zapewniał o swej niewinności i rzeczywiście ujęty chłopak go nie rozpoznał, ale Toiras na wszelki wypadek kazał podejrzanego zamknąć. Ogólny zamęt doszedł do szczytu, kiedy jeden z ludzi przybiegł z wiadomością, że podczas odwrotu de la Grange’a ktoś uciekł z bastionu Świętego Jerzego ku liniom hiszpańskim i został tam przyjęty radosnymi okrzykami. Niewiele umiano o tym kimś powiedzieć poza tym, że był młody, ubrany z hiszpańska i miał na włosach siatkę. Robertowi zaraz przyszedł na myśl Ferrante. Ale najbardziej wstrząsnęło

nim to, że Francuzi zaczęli spoglądać podejrzliwie na Włochów ze świty Toirasa.

– Dość więc jednego hultaja, by zatrzymać armię? – usłyszał padające z ust ojca pytanie i zobaczył, że ten wskazuje na cofających się Francuzów. – Wybacz, przyjacielu – ciągnął stary Pozzo, zwracając się do Toirasa – ale chyba uważa się, że my, tutejsi, wszyscy jesteśmy trochę jak ten łobuz Gambero, nieprawdaż? – A kiedy Toiras zapewnił go o szacunku i przyjaźni, oznajmił z roztargnieniem: – Daj pokój. Zdaje mi się, że wszyscy mają tu jedni drugich gdzieś, a mnie staje to już kością w gardle. Nie miałem dotąd do czynienia z tymi zafajdanymi Hiszpanami, jeśli więc pozwolisz, rozpłatam dwóch albo trzech, aby zobaczyli, że kiedy trzeba, potrafimy ruszyć w tany, a wtedy nie sprawdzamy, z kim mamy sprawę, *mordioux*.

Wypadł, dosiadł konia i jak szalony ruszył z podniesioną szpadą przeciw nieprzyjacielskiej armii. Oczywiście nie myślał o zmuszeniu jej do ucieczki, ale uznał, że czas wziąć się do rzeczy po swojemu i pokazać innym, co potrafi.

Było to dobre jako dowód odwagi, ale jako manewr wojskowy – mierne. Kula trafiła go prosto w czoło, powalając jeźdźca na zad Pagnuflego. Druga salwa poszła wyżej, w stronę kontraskarpy, Robert poczuł mocne uderzenie w skroń, jakby kamieniem, i zatoczył się. Nie zważając na kontuzję, wyszarpnął się z podtrzymujących go ramion. Z imieniem ojca na ustach zerwał się i od razu zobaczył Pagnuflego, który z bezwładnym ciałem swego pana na grzbiecie galopował to tu, to tam po ziemi niczyjej.

Raz jeszcze uniósł palce do ust i gwizdnął. Pagnufli usłyszał gwizd i zawrócił w stronę murów, ale niespiesznie, dostojnym kłusem, aby nie zrzucić jeźdźca, który nie ściskał mu już władczo boków nogami. Wrócił, a jego rżenie było pawaną za zmarłego pana, i oddał ciało Robertowi, który zamknął wytrzeszczone jeszcze oczy i wytarł twarz zalaną zakrzepłą już krwią, gdy jednocześnie inna, nadal żywa krew spływała po jego policzkach.

Kto wie, czy postrzał nie uszkodził mu nerwu: następnego dnia, ledwie wyszedł z katedry Świętego Ewazjusza, gdzie Toiras zarządził uroczyste egzekwie za pana Pozza di San Patrizio della Griva, stwierdził, że z trudem znosi światło dzienne. Być może miał oczy zaczerwienione od łez, faktem jest jednak, że od tego czasu zaczęły go boleć. Dzisiejsi badacze psychiki powiedzieliby, że kiedy ojciec wkroczył w krainę cienia, syn chciał podążyć jego śladem. Robert niewiele wiedział o psychice, lecz ta krasomówcza figura powinna go oczarować – przynajmniej w świetle lub mroku tego, co stało się później.

Przyjmuję, że Pozzo zginął przez swego ducha przekory, co wydaje mi się niezwykłe, choć Robert nie potrafił tego docenić. Wszyscy wychwalali bohaterstwo ojca, trzeba mu więc było nosić żałobę z dumą, on jednak szlochał. Przypomniawszy sobie słowa ojca, który powtarzał, że szlachcic winien przywyknąć do znoszenia bez mrugnięcia powieką przeciwności losu, usprawiedliwiał swą słabość (przed ojcem, który nie mógł już zapytać o jej przyczynę), mówiąc sobie, iż po raz pierwszy w życiu został sierotą. Sądził, że powinien się do tego przyzwyczaić, nie zrozumiał jeszcze bowiem, że do straty ojca nie warto się przyzwyczajać, gdyż drugi raz się to nie zdarzy; śmiało więc można nie dbać o krwawiącą ranę.

Miał jednak tylko jeden sposób, by nadać jakiś sens temu, co się stało, a mianowicie raz jeszcze wykorzystać Ferrante. Ferrante, chodzący za nim krok w krok, sprzedał wrogom tajemnice, które poznał, a potem bezwstydnie stanął w nieprzyjacielskich szeregach, by cieszyć się zasłużoną nagrodą; ojciec zrozumiał wszystko i chciał zmyć hańbę z nazwiska, rzucić na Roberta blask własnej odwagi, by uwolnić go od cienia podejrzeń, który ledwie musnął niewinnego młodzieńca. Ażeby śmierć ojca nie poszła na marne, Robert musiał postępować zgodnie z tym, czego wszyscy w Casale oczekiwali po synu bohatera.

Inaczej być nie mogło: oto stał się prawowitym panem Grivy, dziedzicem rodowego imienia i rodowych dóbr, tak że Toiras nie śmiał już zatrudniać go przy drobnych zajęciach. Nie mógł też wzywać go do wielkich czynów. A więc Robert, i tak osamotniony, stwierdził, że jest jeszcze bardziej

samotny, odgrywając rolę sławnego sieroty, że od nikogo nie może oczekiwać wsparcia w swych czynach: w samym środku oblężenia, wolny od wszelkich obowiązków, zastanawiał się, czym wypełnić swoje dni mieszkańca oblężonego miasta.

8

Osobliwa Doktryna Pięknych Duchów Owego Czasu

Wstrzymując na chwilę falę wspomnień, Robert zdał sobie sprawę, że myśl o śmierci ojca nie miała wcale zbożnego celu, jakim byłaby dbałość o to, by nie zabliźniła się ta rana Filokteta, lecz przyszła mu do głowy przypadkowo, kiedy przypomniawszy sobie zjawę Intruza na „Dafne”, przypomniał też sobie zjawę Ferrante. Ci dwaj wydali mu się w tej chwili do tego stopnia bliźniakami, że postanowił pozbyć się słabszego, ażeby potem rozprawić się z silniejszym.

Czy właściwie – zaczął się zastanawiać – w dniach oblężenia miałem jeszcze poczucie obecności Ferrante? Nie? Co się więc zdarzyło? O jego nieistnieniu przekonał mnie Saint-Savin.

Otóż Robert związał się przyjaźnią z Saint-Savinem. Zobaczył go podczas pogrzebu i to go ujęło. Saint-Savin, kiedy wino nie szumiało mu w głowie, był wzorem szlachcica. Ten niewysoki, szczupły, zwinny mężczyzna o twarzy naznaczonej, być może, paryską rozwiązłością, o której opowiadał, nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Przeprosił za swój wybryk podczas tamtej wieczerzy – nie za to, co mówił, ale za to, że mówił to w sposób tak mało grzeczny. Poprosił, by Robert opowiedział mu o panu Pozzo, i młodzieniec poczuł wdzięczność, że tamten przynajmniej udaje zainteresowanie. Wyjawił więc, jak ojciec nauczył go wszystkiego, co wiedział o fechtunku. Saint-Savin zadawał rozmaite pytania; zaciekawiło go jedno z pchnięć, bezzwłocznie, na środku placu, obnażył więc szpadę i zażądał, by Robert mu pokazał, jak się to robi. Albo znał już ten manewr, albo był bardzo zręczny, gdyż odparł zgrabnie atak, przyznając jednak, że pchnięcie jest dobrej marki.

W podzięce napomknął o pewnym swoim sposobie natarcia. Poprosił, by Robert przyjął pozycję obronną; zrobili kilka zwodów, wyczekał na pierwszy atak i nagle runął na ziemię, a kiedy zdumiony Robert się odsłonił, Saint-Savin zerwał się jakby cudem i odciął mu guzik kaftana – na dowód, że mógłby go zranić, gdyby tylko zechciał.

– Co o tym myślisz, przyjacielu? – spytał, kiedy Robert salutował szpadą, uznając się za pokonanego. – To *coup de la mouette* albo, po włosku, manewr mewy. Gdy znajdziesz się któregoś dnia nad morzem, zobaczysz, że te ptaki pikują w dół, jakby spadały, ale tuż nad powierzchnią wody wzbijają się w powietrze, unosząc w dziobie łup. To pchnięcie wymaga długich ćwiczeń i nie zawsze się udaje. Nie udało się temu, który chciał się nim przede mną pochwalić. Oddał mi i swe życie, i sekret. Myślę, że bardziej zabolała go strata drugiego niż pierwszego.

Zapewne długo jeszcze wymienialiby doświadczenia, gdyby dokoła nie zebrał się tłumek mieszczuchów.

– Dajmy już pokój – powiedział Robert. – Nie chciałbym, aby ktoś spostrzegł, że sprzeniewierzyłem się żałobie.

– Lepiej czcisz pamięć ojca teraz, wspominając jego nauki – rzekł Saint-Savin – niźli wprzód, kiedyś słuchał w kościele marnej łaciny.

– Panie de Saint-Savin, nie boisz się, że skończysz na stosie? – spytał Robert.

Saint-Savin spochmurniał na chwilę.

– Kiedym był mniej więcej w twoim wieku, podziwiałem kogoś, kto był dla mnie jakby starszym bratem. Podobnie jak starożytny filozof, nazywał się Lucyliusz, sam też był filozofem, a na dodatek księdzem. Skończył na stosie w Tuluzie, ale przedtem wyrwali mu język, jego zaś zadusili. Widzisz więc, że jeśli my, filozofowie, mamy obrotne języki, to nie tylko po to, by okazywać *bon ton*. Chodzi o wykorzystanie języka, zanim zostanie nam wyrwany. Czyli, mówiąc poważnie, o zerwanie z przesądami i odkrycie naturalnej przyczyny rzeczy.

– Naprawdę więc nie wierzysz w Boga?

– Nie znajduję Jego uzasadnienia w naturze. I nie tylko ja. Strabon powiada, że mieszkańcy Galii nie znali zgoła pojęcia istoty wyższej. Acosta (przecież jezuita) donosi, że misjonarze musieli używać hiszpańskiego słowa *Dios*, kiedy mieli mówić tubylcom z Indii Zachodnich o Bogu. Nie uwierzyłbyś, ale w ich języku nie było żadnego odpowiednika tego terminu. Skoro idea Boga nie jest znana w stanie naturalnym, mamy widać do czynienia z wynalazkiem człowieka... Nie patrz jednak na mnie tak, jakbym wyzbył się zdrowych zasad i nie był wiernym sługą mego króla. Prawdziwy filozof nie zmierza w istocie do obalenia porządku rzeczy. Godzi się z nim. Pragnie tylko, by pozwolono mu snuć myśli, które przynoszą ukojenie ludziom mocnym duchem. Co się zaś tyczy innych, na szczęście są papieże i biskupi, którzy wstrzymują tłum od buntu i zbrodni. Ład państwa wymaga jednolitości zachowań, religia jest niezbędna dla ludu, a mędrzec winien część swej niezależności poświęcić, by nie burzyć społecznego ładu. Jeśli o mnie chodzi, uważam się za człowieka prawego. Jestem wierny w przyjaźni, nie kłamię, miłuję wiedzę i jeśli wierzyć temu, co mówią inni, układam nie najgorsze wiersze. Dlatego damy uznają mnie za grzecznego kawalera. Chciałbym pisać romanse, bo to bardzo modne, ale myślę o wielu, a nie biorę się do pisania żadnego...

– O jakich romansach myślisz?

– Czasem patrzę na księżyc i wyobrażam sobie, że te plamy to pieczary, miasta, wyspy, a miejsca jasne są tam, gdzie na morze pada światło słońca niby na powierzchnię lustra. Chciałbym opowiedzieć historię ich króla, ich wojen i przewrotów albo historię o tamtejszych nieszczęśliwych kochankach, którzy nocami wzdychają, spoglądając na naszą Ziemię. Z przyjemnością opowiedziałbym o wojnie i przyjaźni między rozmaitymi częściami ciała, o rękach wydających batalię nogom, o żyłach kochających się z tętnicami, kościach – ze szpikiem. Prześladują mnie wszystkie romanse, które chciałbym napisać. Kiedy jestem u siebie, zdaje mi się, że są ze mną jak owe diabełki i jeden ciągnie mnie za ucho, drugi za nos, a każdy mówi: „Panie, napisz mnie, jestem piękny”. Potem dostrzegam, że mógłbym opowiedzieć równie piękną historię o niezwykłym pojedynku, na

przykład o tym, jak podczas walki przekonuje się uczestnika, by zaparł się Boga, a potem przebija mu się pierś, tak że czeka go potępienie. Baczność, panie de la Grive, jeszcze raz proszę dobyć szpady, o tak, parada, dobrze! Ustawiasz pięty w jednej linii, niedobrze, bo nie stoisz wtedy pewnie. Głowy nie trzyma się prosto, albowiem między szpadą a głową jest wtedy za dużo miejsca – to zachęta dla ostrza przeciwnika...

– Ale kryję głowę szpadą w wyciągniętej ręce.

– To błąd, w takiej pozycji ujmujesz sobie siły. A poza tym ja przyjąłem pozycję niemiecką, ty zaś włoską. To źle. Kiedy masz przełamać jakąś pozycję, musisz ją jak najwierniej naśladować. Nie opowiedziałeś mi jednak o sobie i kolejach swego losu przed przybyciem do tej doliny prochu.

Nic bardziej nie fascynuje młodzieńca niż dorosły popisujący się przewrotnymi paradoksami – natychmiast chciałby z nim rywalizować. Robert otworzył serce przed Saint-Savinem i chcąc wydać się bardziej interesującym – jako że pierwsze siedemnaście lat życia nie dało mu do tego zbyt wielu okazji – opowiedział tamtemu o swojej obsesji nieznanego brata.

– Przeczytałeś za dużo romansów – odparł Saint-Savin – i próbujesz jeden z nich przeżyć, ponieważ romans ma uczyć, bawiąc, a uczy rozpoznawania pułapek, jakie zastawia na nas ten świat.

– A czegóż miałby uczyć mnie ów romans, który nazwałeś romansem o Ferrante?

– Romans – wyjaśnił mu Saint-Savin – winien zawsze mieć za fundament jakieś nieporozumienie co do osoby, intrygi, miejsca, czasu lub okoliczności, z tego zaś nieporozumienia fundamentalnego winny wywodzić się nieporozumienia epizodyczne, zagmatwania, perypetie, a wreszcie nieoczekiwane i przyjemne rozwiązania. Mam na myśli takie nieporozumienia, jak rzekoma śmierć jakiejś postaci albo zabicie niewłaściwej osoby, a także nieporozumienia ilościowe, jak na przykład, gdy niewiasta sądzi, że ukochany nie żyje, i poślubia innego, albo jakościowe, kiedy błądzi osąd zmysłowy czy kiedy grzebie się kogoś, kto

wydaje się martwy, choć jest tylko pod wpływem napoju usypiającego. Bywają też nieporozumienia co do relacji, jak wtedy, gdy kogoś niesłusznie uznaje się za zabójcę innego człowieka, albo co do narzędzia, jak wówczas, gdy pozoruje się zasztyletowanie kogoś, używając broni, której ostrze przy zadawaniu ciosu nie zagłębia się w gardle, tylko chowa w rękojeści i nasącza krwią gąbkę... Nie wspomnę już o sfałszowanych pismach, naśladowaniu głosu, listach doręczonych z opóźnieniem lub doręczonych w innym miejscu czy innej osobie. A wśród tych forteli najznamienitszy, choć zbytnio pospolity, jest ten, który polega na pomyleniu osób, uzasadniając to poprzez wprowadzenie Sobowtóra... Sobowtór to lustrzane odbicie, które dana postać ma cały czas za lub przed sobą. Dzięki takiej pięknej intrydze czytelnik odnajduje siebie w owej postaci, z którą dzieli wszak niejasny lęk przed Bratem Wrogiem. Ale człowiek, widzisz, jest jak maszyna i wystarczy poruszyć kółeczkiem na powierzchni, by wprawić w obrót inne kółeczko, wewnętrzne. Brat i nieprzyjaźń nie są niczym innym, tylko odbiciem lęku każdego z nas przed samym sobą oraz przed zakamarkami własnej duszy, w których ukrywa się niewyznane pragnienia albo, jak powiadają w Paryżu, tłumione i nigdy niewyrażone myśli. Dowiedziono, że istnieją myśli niepoznawalne, wpływające na duszę, choć dusza o nich nie wie, myśli zakryte, o których istnieniu świadczy fakt, że wystarczy, by ktoś baczniej przyjrzał się samemu sobie, a niechybnie spostrzeże, iż nosi w swym sercu miłość i nienawiść, radość i zmartwienie, aczkolwiek nie potrafi przypomnieć sobie wyraźnie myśli, z jakich te uczucia wyrosły.

– A zatem Ferrante... – rzekł niepewnym głosem Robert.

Saint-Savin zaś dokończył za niego:

– A zatem Ferrante oznacza twoje lęki i rzeczy wstydliwe. Ludzie, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że są twórcami swego losu, często patrzą na ten los jak na romans obmyślony przez autora, który jest łotrem z wyobraźnią.

– Cóż jednak miałaby oznaczać ta parabola, którą ponoć sam bezwiednie zbudowałem?

– Kto wie? Może nie kochałeś ojca tak, jak sądzisz, lecz bałeś się rygorów, które miały uczynić cię cnotliwym, więc przypisałeś mu winę, aby potem ukarać go winami nie twoimi, lecz obciążającymi kogoś innego.

– Panie, mówisz do syna, który jeszcze opłakuje umiłowanego ojca! Mniemam, że większym grzechem jest nauczać pogardy dla ojców niż dla Pana naszego!

– Dajże pokój, drogi de la Grive! Filozofowi nie może zbraknąć odwagi w krytykowaniu wszelkich kłamliwych nauk, które nam wpajano, a do których zaliczyć wypada niedorzeczny szacunek dla starości, jakby młodość nie była największym z dóbr i największą z cnót. Przyznaj uczciwie, czy człowiek młody, pomysłowy, mający rozeznanie i umiejący działać, nie jest zdatniejszy do pokierowania rodziną niż przytępiały sześćdziesięciolatek, któremu śnieg oprószył głowę i zmroził fantazję? To, co czcimy u starszych jako przezorność, jest tylko panicznym strachem przed działaniem. Chceszli się im podporządkować, choć gnuśność doprowadziła do zwiotczenia ich mięśni, stwardnienia żył, choć osłabiła rozum i wyssała szpik z kości? Czyż nie z powodu urody wielbisz niewiastę? A może będziesz nadal padał przed nią na kolana, kiedy starość zmieni jej ciało w upiora zdatnego tylko do tego, by przypominać o bliskości śmierci? Skoro zaś tak, a nie inaczej traktujesz swe kochanki, czemuż nie miałbyś stosować tego samego do starców? Powiesz, że ten właśnie starzec jest twym ojcem i że niebiosa obiecały ci długie życie, jeśli będziesz go czcił. Kimże są jednak ci, którzy tak twierdzą? To żydowscy starcy, którzy mniemali, że mogą przeżyć na pustyni, korzystając wyłącznie z owocu swoich lędźwi. Jeśli myślisz, że niebiosa przedłużą ci choćby o dzień żywot dlatego, że byłeś owieczką swego ojca, mylisz się. Czyżbyś oczekiwał, iż zamiótłszy piórem kapelusza ziemię przed swym rodzicem, wyleczysz się ze złośliwego abscesu, uzyskasz zabliźnienie rany po pchnięciu szpadą albo pozbędziesz się kamienia w pęcherzu? Gdyby tak było, medycy nie zapisywaliby swoich plugawych naparów, ale by uwolnić cię od italskiej choroby, kazaliby kłaniać się czterokroć panu ojcu przed kolacją i składać pocałunek na czole pani matki przed snem. Powiesz, że

gdyby nie ojciec, nie byłoby cię na świecie, ani jego, gdyby nie ojciec ojca, i tak dalej, aż do Melchizedecha. Lecz przecież to on jest ci coś winien, nie zaś ty jemu, płacisz bowiem wieloma latami łez za to, że przeżył chwilę pobudzenia zmysłów i rozkoszy.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Tutaj zgoda. Prawie nigdy nie wierzę. Ale filozof jest jak poeta. Ten ostatni układa idealne listy dla swej idealnej nimfy po to tylko, by zbadać dzięki słowom tajniki namiętności. Filozof poddaje próbie chłód swego spojrzenia, by zobaczyć, jak dalece da się skruszyć mur hipokryzji. Nie chcę zgoła, by zmniejszył się twój szacunek dla ojca, powiedziałeś bowiem, że wpajał ci zdrowe nauki. Niech jednak nie zasmuca cię wspomnienie. Widzę łzę w twym oku...

– Och, nie jest to łza boleści. Wszystko pewnie przez to zranienie w głowę, bo osłabiło mi oczy...

– Pijasz kawę?

– Kawę?

– Przysięgnę, że już wkrótce stanie się modna. To prawdziwe panaceum. Postaram się o nią. Wysusza humory zimne, usuwa wiatry, wzmacnia wątrobę, jest wybornym lekarstwem na puchlinę wodną i świerzb, odświeża serce, uśmierza bóle żołądka. Jej napar zaleca się właśnie na przekrwienie oczu, szum w uszach, katar, przeziębienie czy fluksy z nosa, możesz to nazwać, jak chcesz. A potem pogrzeb wraz z ojcem tego natrętnego braciszka, któregoś sam stworzył. A przede wszystkim znajdź sobie jakiś przedmiot miłości.

– Przedmiot miłości?

– To lepsze nawet niż kawa. Cierpiąc przez istotę żywą, złagodzisz udrękę z powodu istoty martwej.

– Nigdy jeszcze nie kochałem niewiasty – wyznał Robert.

– Od razu widać, żeś człek wiejski.

W najwyższym stopniu zaambarasowany, Robert przeprosił kompana, mówiąc, że za bardzo rozbolały go oczy, i zakończył tę pogawędkę.

Pragnąc uładzić jakoś to, co usłyszał, powiedział sobie, że Saint-Savin zadworował sobie z niego: niby w pojedynku, chciał pokazać, ile sztychów znają w Paryżu. A Robert wyszedł na prowincjusza. Co gorsza, biorąc sobie te słowa do serca, zgrzeszył, do czego by nie doszło, gdyby uznał je za krotochwilę. Opracował wykaz występków, jakie popełnił, słuchając tylu twierdzeń przeciw wierze, obyczajności, państwu, poszanowaniu należnemu rodzinie. A kiedy tak myślał o swym uchybieniu, ogarnęła go inna trwoga: przypomniał sobie, że ojciec umarł z bluźnierstwem na ustach.

9

Luneta Arystotelesowska

Następnego dnia wrócił, żeby pomodlić się w katedrze Świętego Ewazjusza. Przyszedł tu, szukając ochłody. Był pierwszy czerwca i tego popołudnia słońce nie szczędziło na wpół opustoszałych ulic – podobnie teraz na „Dafne” czuł wypełniający zatokę skwar, przed którym nie chroniły burty statku, jakby nawet drewno rozżarzyło się do czerwoności. Ale jednocześnie gorąco pragnął wyznać zarówno swój grzech, jak i ojcowski. Zagadał w nawie do jakiegoś duchownego, a ten powiedział mu najpierw, że przecież nie jest z tej parafii, lecz potem, widząc spojrzenie młodzieńca, zgodził się i zasiadł w konfesjonale, gotów wysłuchać penitenta.

Ojciec Emanuel nie wydawał się stary, miał może ze czterdzieści lat, i wedle słów Roberta był „czerstwy i różowy na dostojnym i ujmującym obliczu”, co dodało młodzikowi odwagi, by wyznać wszystkie swe strapienia. Najpierw opowiedział o ojcowskim bluźnierstwie. Czy to wystarczający powód, by ojciec, miast spoczywać teraz w ramionach Ojca naszego, jęczał na dnie piekieł? Spowiednik zadał parę pytań i przekonał Roberta, że bez względu na to, w jakim momencie stary Pozzo odszedł z tego świata, jest nader podobne do prawdy, iż zdarzyło się to w czasie, kiedy wzywał imienia bożego nadaremnie. Przeklinanie to paskudny nawyk przejęty od chłopów, a szlachetka z monferrackiej wsi zwykle za oznakę pogardy uważa przemawianie w obecności równych sobie językiem swoich wieśniaków.

– Widzisz, synu – konkludował spowiednik – twój ojciec zginął, dokonując jednego z tych wielkich a szlachetnych Aktów, przez które

wchodzi się ponoć do Raju Herosów. Otóż, choć nie wierzę, by taki raj istniał, a wbij sobie do głowy, iż w Królestwie Niebieskim współżyją w świętej harmonii Hołysze & Monarchowie, Herosi & Tchórze, dobry Pan Bóg z pewnością nie odmówi swego Królestwa twojemu ojcu z tej tylko przyczyny, że ów popuścił nieco wodzy językowi w chwili, kiedy myśl miał zaprzątniętą wielką Sprawą, i ważyłbym się nawet uznać, iż w takich momentach nawet tego rodzaju Okrzyk może być sposobem wzywania Boga na Świadka & Sędziego swego jakże pięknego Czynu. Jeśli jednak nadal się trapisz, módl się za duszę swego Rodzica & zamów za niego parę mszy – nie tyle by skłonić naszego Pana do zmiany swoich Wyroków, które nie są jak chorągiewka obracająca się tam, gdzie dmuchnie byle świętoszek, ile by zadbać o własną Duszę.

Robert opowiedział mu wówczas o buntowniczych dyskursach swojego przyjaciela, a ksiądz rozłożył ze smutkiem ramiona.

– Synu, niewiele wiem o Paryżu, lecz z tego, co słyszę, jestem świadom, ilu Wartogłowów, Ambitników, Odstępców, Szpiegów, Intrygantów zamieszkuje tę nową Sodomę. A są wśród nich Fałszywi Świadkowie, Złodzieje Cyboriów, Deptacze Krucyfiksów & tacy, co dają pieniądze Żebrakom, by ci zaparli się Pana Boga, & takoż ludzie, którzy dla szyderstwa chrzcili Psy... I nazywają to iść z Duchem Czasów. W Kościołach nie odmawia się już Oracji, ale przechadza, śmieje i zza filarów zastawia sidła na Damy, tak że panuje nieustanny gwar, nawet podczas Podniesienia. Twierdzą, że filozofują & osaczają człeka przebiegłymi Dlaczego?, dlaczego Bóg nadał Światu Prawa, dlaczego zabrania się fornikacji, dlaczego Syn Boży wcielił się w Człowieka, & wykorzystują wszelki twój Respons, by przerobić go na Dowód Ateizmu. Oto Najtęższe Umysły Czasu: Epikurejczycy, Pyrroniści, Diogenezyjczycy & Libertyni! Nie możesz więc dawać Ucha tym Uwodzeniom, które wzięły się od Diabła.

Robert zwykle nie nadużywał w ten sposób majuskuły, w czym celowali współcześni mu pisarze, kiedy jednak przytacza słowa i sentencje ojca Emanuela, wiele z nich zapisuje, jakby ksiądz ów nie tylko pisał, lecz

i mówił w ten sposób, by słyszalna była osobliwa godność spraw, które miał do powiedzenia – znak, iż był człowiekiem wielkiej i pociągającej elokwencji. I w istocie Robert poczuł się ukojony jego słowami, a nawet zapragnął trochę jeszcze z nim pogawędzić po wyjściu z konfesjonału. Dowiedział się, że duchowny jest sabaudzkim jezuitą i z pewnością kimś znacznym, jako że przebywał w Casale jako obserwator z ramienia księcia sabaudzkiego; tak to w owych czasach bywało w toku oblężenia.

Ojciec Emanuel z przyjemnością spełniał ten swój obowiązek: posępna atmosfera stanu oblężenia zapewniała mu możliwość prowadzenia swobodnych i obszernych studiów, które kłóciły się z bujnym życiem takiego miasta jak Turyn. A kiedy padło pytanie, czymże takim się zajmuje, odparł, że zamierza, zupełnie jak astronomowie, skonstruować lunetę.

– Pewnie słyszałeś o tym florenckim Astronomie, który pragnąc objaśnić Uniwersum, użył Lunety, hiperboli oczu, i dzięki Lunecie ujrzał to, co oczy mogą sobie tylko wyobrazić. Wielce szanuję takie wykorzystanie Przyborów Mechanicznych do zrozumienia, jak zwykło się dzisiaj mówić, Rzeczy Rozciągłej. Aby jednak zrozumieć Rzecz Myślącą, czyli nasz sposób poznawania Świata, musimy uciec się do innej Lunety, tejże, której użył Arystoteles, a która nie jest ni tubusem, ni soczewką, ale Treścią Słów, Przenikliwą Myślą, albowiem darem jeno Sztucznej Elokwencji jest to, co pozwala nam zrozumieć Uniwersum.

Tak przemawiając, prowadził ojciec Emanuel Roberta poza kościół, a podczas przechadzki wspięli się na skarpę twierdzy, docierając do miejsca w tym dniu spokojnego, gdyż stłumiony huk wystrzałów armatnich dochodził od przeciwległej strony miasta. Przed ich oczami rozciągały się w oddali cesarskie obozowiska, ale długo jeszcze nie było wojsk ani furgonów, a łąki i wzgórza lśniły w wiosennym słońcu.

– Cóż widzisz, synu? – spytał ksiądz Emanuel.

A Robert, mało jeszcze wymowny, odparł:

– Łąki.

– To pewne, każdy potrafi zobaczyć tam Łąki. Lecz zakonotuj sobie, że zależnie od pozycji Słońca, od barwy Nieba, pory dnia & roku mogą jawić

się w rozmaitych formach, narzucając ci rozmaite Sentymenta. Utrudzonemu wiejskiemu grubianinowi będą się jawić jako Łąki & nic innego. Toż samo przydarzy się nieokrzesanemu rybakowi, którego przestraszą niektóre z tych nocnych Wizerunków Ognia pojawiających się niekiedy na niebie & siejących trwogę, ledwie jednak Meteoryści, będący wszak Poetami, ośmielili się nazwać je Kometami Grzywiastymi, Brodatymi & Ogoniastymi, Kozami, Belkami, Puklerzami, Pochodniami & Strzałami, te figury języka pokazały ci, przez jakie dowcipne Symbole chce przemawiać Natura, posługująca się tymi Wizerunkami jako Hieroglifami, co z jednej strony odsyłają nas do Znaków Zodiaku & z drugiej do Wydarzeń przeszłych i przyszłych. A Łąki? Spójrz, ile rzec możesz o Łąkach & jak, mówiąc to, coraz więcej w nich widzisz & pojmujesz: wieje zachodni Wietrzyk, Ziemia się otwiera, płaczą Słowiki, pysznią się Drzewa w koronie Listowia Runi wykarmionej przez Strumyki, które zaśmiewają się uciesznie jak dzieci. Łąki w godowej szacie radują się, rozdokazywane i wesołe, gdy pokazuje się Słońce, odsłaniają swe oblicze & widzisz tęczę uśmiechu & cieszą się powrotem Astrum, upojone słodkimi pocałunkami, jakich nie szczędzi Auster & śmiech tańcuje po szczerej Ziemi, która otwiera się na nieme Wesele & poranne ciepło tak przepełnia je Szczęściem, że roztapiają się w łzach Rosy. Przybrane w Diademy Kwiatów, Łąki zawierzają siebie Bóstwu Opiekuńczemu & układają przenikliwe Hiperbole Tęcz. Lecz rychło ich Miłość umie już zdążać pospiesznie ku śmierci, śmiech ulega zamąceniu nagłą bladością, niebo traci barwy & zapóźniony Zefir wzdycha nad omdlałą Ziemią, a kiedy zimowy nieboskłon zaczyna się raz po raz srożyć, zasmucają się Łąki & nakłada się na nie szronowy Szkielet. Otóż więc, synu: gdybyś powiedział po prostu, że Łąki są urocze, nie co innego byś uczynił, jak przedstawił mi ich zielenienie – o czym sam wiem – jeśli jednakowoż mówisz, że Łąki się śmieją, podsuwasz mi przed oczy Ziemię jako Człowieka Żywego & nauczę się wypatrywać na ludzkich twarzach tych wszystkich odcieni, które dostrzegłem na łąkach... A to jest rola Figury najwznioślejszej ze wszystkich, Metafory. Jeśli Umysł, a zatem Wiedza, polegają na wiązaniu odległych Pojęć i znajdowaniu Podobieństwa w rzeczach niepodobnych,

Metafora, z wszystkich Figur najbardziej przenikliwa i osobliwa, jako jedyna może wytworzyć Zachwyt, z którego, niby ze zmian scen teatralnych, rodzi się Rozkosz. A jeśli Rozkosz, jaką niosą nam Figury, polega na tym, że bez mozołu uczymy się rzeczy nowych i wielu zawartych w małej objętości, Metafora, porywając nasz umysł do lotu od jednego Rodzaju do innego, pozwala nam dostrzec w jednym Słowie coś więcej niźli Przedmiot.

– Trzeba jednak umieć wynajdywać metafory, a to nie dla takiego wieśniaka jak ja, który na łąkach przez całe życie strzelał tylko do ptasząt...

– Jesteś *gentilhomme*, a niewiele brakuje, byś stał się tym, kogo w Paryżu nazywają *honnête homme*, tak samo zręcznym we władaniu językiem, jak szpadą. Biegłe układanie Metafor, a tym samym widzenia Świata jako znacznie bardziej urozmaiconego, niż pokazuje się on ludziom ciemnym, to Sztuka, której można się nauczyć. A jeśli chcesz wiedzieć, na tym świecie wszyscy dzisiaj wytężają rozum, budując mnogie i cudowne Maszyny – niektóre z nich widujesz, niestety, także przy Oblężeniu – ja też buduję Maszyny Arystotelesowskie, które każdemu pozwalają widzieć poprzez Słowa...

W ciągu następnych dni Robert poznał pana della Saletta, oficera łącznikowego między Toirasem a władzami miasta. Toiras skarżył się na casalczyków, których wierności nie dowierzał.

– Czyż nie rozumieją – mawiał z irytacją – że nawet w czasie pokoju Casale jest w takiej sytuacji, iż nie może wysłać zwykłego piechura ani koszyka z prowiantem, nie pytając o pozwolenie hiszpańskich plenipotentów? Że jedynie protekcja francuska zapewni miastu poszanowanie?

I oto dowiedział się od pana Saletty, że Casale nie czuło się swojsko nawet pod książętami Mantui. Polityka Gonzagów zawsze polegała na osłabianiu casalskiej opozycji i od sześćdziesięciu lat miasto musiało znosić stopniowe uszczuplanie swych przywilejów.

– Pojmujesz, panie de la Grive? – mówił Saletta. – Przedtem płakaliśmy nad wysokimi podatkami, teraz ponosimy koszty utrzymania garnizonu. Nie kochamy tutaj Hiszpanów, czy jednak kochamy naprawdę Francuzów? Umierają za nas czy za siebie?

– Za kogo więc umarł mój ojciec? – spytał Robert.

A pan della Saletta nie umiał mu odpowiedzieć.

Znudzony sporami politycznymi, Robert kilka dni później znowu stawił się u ojca Emanuela w klasztorze, gdzie skierowano go nie do celi, ale do mieszkania, które przeznaczono dla jezuity pod cichym sklepieniem krużganków. Zastał go przy rozmowie z dwoma szlachcicami, jednym w stroju pełnym przepychu: był okryty purpurą ze złotym szamerunkiem, miał na sobie płaszcz ozdobiony złocistymi galonami i podszyty krótkowłosym futrem, kaftan z czerwoną falistą lamówką i wstążeczką małych szlachetnych kamieni. Ksiądz Emanuel przedstawił go jako chorążego don Gaspara de Salazar, a zresztą już po wyniosłym tonie i sposobie przystrzyżenia wąsów i włosów Robert domyślił się, że ma przed sobą szlachcica z nieprzyjacielskiego obozu. Tym drugim był pan della Saletta. Robertowi przemknęło przez głowę podejrzenie, że znalazł się w gnieździe szpiegów, ale zaraz zrozumiał, podobnie jak ja przy tej okazji, że *etiqueta* oblężenia dawała przedstawicielowi oblegających dostęp do obleganego miasta w celu nawiązania kontaktów i prowadzenia rokowań – podobnie jak pan della Saletta miał swobodny wstęp do obozu Spinoli.

Ojciec Emanuel powiedział, że właśnie gotował się do zademonstrowania swoim gościom Maszyny Arystotelesowskiej. Poprowadził towarzystwo do izby, w której znajdował się najdziwniejszy sprzęt, jaki można sobie wyobrazić; nie jestem nawet pewien, czy na podstawie opisu, który Robert podał Pani, potrafię odtworzyć dokładnie jego kształt, chodziło bowiem o rzecz niewidzianą ani przedtem, ani potem.

Składał się z podstawy dolnej w formie komody czy skrzyni z rozmieszczonymi w szachownicę osiemdziesięcioma jeden szufladkami – dziewięć rzędów poziomych i tyleż pionowych, przy czym każdy rząd

poziomy i pionowy opatrzony został wyrytą literą (BCDEFGHIK). Na blacie owej skrzyni znajdował się z lewej strony pulpit, na którym złożono wielką księgę, manuskrypt z kolorowymi incipitami. Na prawo od pulpitu były trzy walce, kolejno coraz krótsze, ale za to coraz grubsze (dzięki temu w najgrubszy dało się wsunąć dwa pozostałe), przy czym umieszczoną z boku korbką można było, wykorzystując bezwładność, nadać jednym w drugich ruchy obrotowe o prędkościach zróżnicowanych i zależnych od ciężaru. Każdy walec miał wyryte na lewym skraju te same litery, co litery opisujące szufladki. Wystarczył ruch korbki, by walce obróciły się niezależnie jeden w drugim, a kiedy się zatrzymały, każdy mógł odczytać trzy przypadkowo zestawione litery, na przykład CBD, KFE albo BGH.

Ojciec Emanuel przystąpił do objaśniania koncepcji swojej Maszyny.

– Nauczył nas Filozof, że niczym innym jest Zdolność zgłębiania przedmiotów względem dziesięciu Kategorii, którymi są: Substancja, Ilość, Jakość, Relacja, Działanie, Doznawanie, Położenie, Czas, Miejsce & Wygląd. Substancje to samo *subiectum* wszelkiej pojętności & co do nich winno się głosić zmyślne Podobieństwa. Jakie są to Substancje, zostało zapisane w tej księdze pod literą A, lecz nie starczyłoby pewnie mojego żywota, by sporządzić pełny ich Wykaz. Atoli zgromadziłem ich już parę Tysięcy, czerpiąc z ksiąg poetów i uczonych oraz z tego zadziwiającego Rejestru, którym jest *fabrica* Świata Alumna. A zatem wśród Substancji umieścimy, poniżej Boga Najwyższego, Osoby Boskie, Idee, Bogów Legendarnych, większych, średnich & najmniejszych, Bogów Niebiańskich, Powietrznych, Morskich, Ziemskich & Piekielnych, deifikowanych Herosów, Aniołów, Demonów, Chochliki, Niebo i Gwiazdy błądzące, Znaki niebieskie i Konstelacje, Zodiak, Kręgi i Sfery, Elementy, Wapory, Wyziewy, a dalej – by nie wymieniać wszystkiego – Ognie Podziemne i Skry, Meteory, Morza, Rzeki, Źródła & Jeziora i Rafy... I tak dalej, i tak dalej, nie opuszczając Substancji Sztucznych, wraz z dziełami wszelkich Sztuk, Księgami, Piórami, Inkaustami, Globusami, Kompasami, Ekierkami, Pałacami, Świątyniami & Ruderami, Tarczami, Mieczami, Bębnami, Obrazami, Pędzlami, Posągami, Toporami & Piłami, a wreszcie

Substancji Metafizycznych, jak Rodzaj, Gatunek, Atrybut i Akcydens, & podobne Pojęcia.

Wskazał teraz szufladki swojego mebla i otwierając je, objaśniał, że w każdej znajdują się kwadraciki bardzo twardego pergaminu, jakiego używa się do oprawiania ksiąg, ułożone w porządku alfabetycznym.

– Trzeba wam wiedzieć, panowie, że każdy rząd pionowy, od B do K, odnosi się do jednej z pozostałych dziewięciu Kategorii, a dla każdej z nich każda z dziewięciu szufladek zawiera rodziny Członków. *Verbi gratia*, w przypadku Ilości rejestruje się rodzinę Ilości Masy, rodzina zaś poprzez swych Członków podaje Mały, Wielki, Długi lub Krótki, albo rodzinę Ilości Numerycznej, której Członkami są Zero, Jeden, Dwa & albo Liczny i Nieliczny. A pod Jakością znajdzie się rodzina jakości właściwych Widzeniu, jak Widoczny, Niewidoczny, Piękny, Niekształtny, Jasny, Ciemny, albo Węchowi, jak Woń Słodka i Smród, albo Jakości Doznań, jak Wesele i Smutek. I tak samo, jeśli chodzi o każdą z kategorii. A ponieważ każdy arkusik zawiera jednego Członka, tym samym wskazuje wszystkie Rzeczy jemu podlegające. Czy to jasne?

Wszyscy przytaknęli, pełni podziwu, ksiądz zaś ciągnął: – Otwórzmy teraz na chybił trafił wielką Księgę Substancji i poszukajmy jakiejkolwiek... Mam, Krasnal. Zanim zajmiemy się nim subtelniej, pomyślmy, co potrafimy o nim powiedzieć?

– *Que es pequeño*, tyci, *petit* – oświadczył don Gaspar de Salazar – *y que es feo, e infeliz, y ridículo*...

– No właśnie – przyznał ojciec Emanuel – ale nie wiem, co mam wybrać, & czyż mogę choć ufać, że gdybym miał mówić nie o Krasnalu, ale, powiedzmy, o Koralach, umiałbym od razu wydobyć cechy równie ważkie? A zresztą Małość dotyczy Ilości, Brzydkość – Jakości, & od czego tu zacząć? Nie, lepiej zawierzyć Fortunie, której Plenipotentami są moje Walce. Wprawiam je teraz w Ruch & otrzymuję, jak zrządził przypadek, triadę BBB. B na pierwszym miejscu to Ilość, na drugim Miejscu nakazuje mi, bym w rzędzie Ilość szukał w szufladce Masy, & tam, na samym początku Rzeczy B znajduję Mały. A na arkuszu poświęconym określeniu

Mały znajduję, że mały jest Anioł, który mieści się w punkciku, & Biegun, który jest nieruchomym punktem Sfery, & wśród rzeczy elementarnych Skra, Kropelka wody & *Scrupulus* Kamienia, & Atom, z którego wedle Demokryta składa się wszelka rzecz. Jeśli chodzi o Rzeczy Ludzkie, mamy Embriona, Źrenicę, Kostkę u Nogi; o Zwierzęta – Mrówkę & Pchłę: o Rośliny – Gałązkę, Ziarnko Gorczycy & Okruszynę Chleba; o nauki Matematyczne – Minimum Quod Sic, Literę I, księgę formatu szesnastkowego, Szczyptę Korzeni; o Architekturę – szkatułkę albo zwornik; o Bajki – Psychopax powszechny Myszy przeciwko Żabom & Myrmidonów zrodzonych z mrówek... Poprzestańmy jednak na tym, jak bowiem mógłbym nazwać naszego Krasnala Szkatułką Natury, Smoczkiem dla Dzieci, Okruszyną Człowieka? A zważcie, panowie, że gdybyśmy jeszcze raz zakręcili walcami i otrzymalibyśmy, o jest, CBF, litera C odesłałaby mnie do Jakości, B nakazała szukać moich Członków w tym, co dotyczy Widzenia, & wtedy litera F podałaby mi jako Członka Istotę Niewidzialną. A wśród Rzeczy Niewidzialnych znalazłbym – cóż za dziwny traf! – Atom & Punkt, co pozwoliłoby mi opisać mojego Krasnala jako Atom Człowieka lub Punkt Cielesny.

Ojciec Emanuel zakręcił walcami i szybko, niczym prestidigitator, przeszukał szufladki, tak że miało się wrażenie, jakby metafory pojawiały się wskutek działania czarów; nie dostrzegało się nawet, by zdążyła zadyszeć wytwarzająca je maszyna. Nadal jednak był nieusatysfakcjonowany.

– Panowie – ciągnął – zmyślona Metafora musi być znacznie bardziej skomplikowana! Wszelka Rzecz, jaką dotychczas znajdowałem, musiała być z kolei analizowana z punktu widzenia dziesięciu Kategorii &, jak objaśnia moja księga, jeśli mielibyśmy rozważyć Rzecz jaką zależną od Jakości, winniśmy zobaczyć, czy jest widzialna & w jakiej odległości, czyli Szpetna lubo Urodziwa & jakiego Koloru, ile Dźwięku, ile Woni, ile Smaku; czy jest postrzegalna Zmysłami lubo dotykalna, czy rzadka lubo gęsta, gorąca lubo zimna & jakiej Postaci, jaka co do Namiętności, Miłości, Sztuki, Zdrowia, Ułomności & czy może być przedmiotem Nauki. A te

pytania nazywam Drobinami. W tym momencie wiem, że pierwsza próba podsunęła nam Ilość, która gości wśród swoich Członków Małość. Obracam raz jeszcze Walcami i otrzymuję triadę BKD. Litera B, którą postanowiliśmy już odnieść do Ilości, powiada mi, jeśli zerknę do mojej księgi, że pierwsza Drobina stosowana do wyrażenia Rzeczy Małej to ustalenie, Czym Się Mierzy. Jeśli poszukam w księdze, co odnosi się do Miary, znowu zostanę odesłany do szufladki Jakości i Rodziny Ilości w Ogóle. Sięgam po arkusz Miara & wybieram rzecz K, która jest miarą Palca Geometrycznego. I oto potrafię już ułożyć definicję nader zręczną, na przykład: w celu zmierzenia tego Smoczka, tego Atomu Człowieka, Palec Geometryczny jest Miarą Niewspółmierną, a to, dodając do Metafory Hiperbole, niejedno mi mówi o Niedoli & Śmieszności Krasnala.

– Zadziwiające! – wykrzyknął pan della Saletta. – Ale z drugiej triady nie wykorzystałeś, ojcze, jeszcze jednej litery, D.

– Tego mogłem właśnie oczekiwać od twego, panie, dowcipu – rzekł z ukontentowaniem ojciec Emanuel. – Oto dotknąłeś Cudownego Punktu mojej konstrukcji! Ta właśnie litera daje Postęp (& mógłbym ją odrzucić, gdybym się znudził albo uznał, że mam już, co chciałem), ona pozwala mi rozpocząć poszukiwanie od nowa! Dzięki tej literze mogę otworzyć nowy cykl Drobin, przystąpić do poszukiwań w kategorii Wyglądu (na przykład, jaki strój jest dlań najstosowniejszy lub czy może służyć czemuś za szyld) & postępować tak samo jak przy Ilości, wprawiając w obrót Walce, wykorzystując dwie pierwsze litery & dobywając trzecią jako wynik następnej próby, & tak w nieskończoność poprzez miliony Możliwych Koniugacji, aczkolwiek jedne z nich okażą się zmyślniejsze od innych, a ja wedle mego Rozeznania wyłuskam najstosowniejsze do tego, by wzbudziły Zadziwienie. Nie chcę jednak, panowie, wprowadzać was w błąd. Krasnala wziąłem zgoła nieprzypadkowo, albowiem tej nocy starałem się wielce skrupulatnie dobyć wszystko, co się uda, z tej właśnie Substancji.

Machnął arkusikiem i jął odczytywać serię definicji, przytłaczając nimi biedaczynę krasnala, człeczka krótszego niż swe miano, embrion, fragmencik homunkulusa, postać taką, że nawet korpuskuły, co wraz ze

światłem wdzierają się przez okno, wydają się większe, ciało, które z milionami sobie podobnych mogłoby zaznaczać godziny wzdłuż szyjki klepsydry, kompleksję, która zbliża stopy do głowy, cielesny segment, który kończy się tam, gdzie ma początek, ostrze igły, przedmiot, do którego przemawiać trzeba ostrożnie, by go nie zdmuchnąć, substancję tak maleńką, że nie da się jej przypisać żadnego zabarwienia, ziarnko gorczycy, ciałko, które nie ma nic mniej, nic więcej niźli to, co w ogóle istnieje, materię bez formy, formę bez materii, ciało bez ciała, byt wytworzony przez czysty rozum, wynalazek umysłu zbrojny swą maleńkością, gdyż żaden cios nie może być tak wymierzony, by go zranić, potrafiący umknąć przez lada jaką szparę i żywić się przez cały rok jednym ziarnem jęczmiennym, istotę tak dalece sprowadzoną do epitomy, że nigdy nie wiadomo, czy siedzi, leży czy stoi, zagrożoną utopieniem w skorupce ślimaka, nasionko, ziarnko, pestkę, kropkę nad „i”, jednostkę matematyczną, arytmetyczne zero...

I tak mógłby ciągnąć, gdyż materii by nie zbrakło – lecz obecni przerwali mu oklaskami.

10

Geografia i Hydrografia Reformowane

Robert zrozumiał teraz, że ksiądz Emanuel w gruncie rzeczy działał jak zwolennik Demokryta i Epikura: gromadził atomy pojęć i zestawiał je rozmaicie, tworząc mnogie przedmioty. I jak Kanonik utrzymywał, że świat zbudowany z atomów nie jest zgoła w sprzeczności z ideą Bóstwa, które zarządza nimi zgodnie z rozumem, tak ojciec Emanuel z tego prochu pojęć przyjmował wyłącznie układy naprawdę zmyślne. Być może przyjąłby tę samą postawę, gdyby poświęcił się scenom teatralnym, czyż bowiem komediopisarze nie wydobywają wydarzeń nieprawdopodobnych i zmyślonych ze strzępów spraw prawdopodobnych i nijakich, aby sprawić nam przyjemność nagłymi zwrotami akcji?

A skoro tak, czy ta zbieżność okoliczności, która doprowadziła i do katastrofy, i do sytuacji, w jakiej Robert znalazł się na „Dafne” – przy czym każde z drobnych wydarzeń było prawdopodobne: odór stęchlizny i skrzypienie pod pokładem, woń roślin, głosy ptaków – czy wszystko nie sprzysięgło się, by podsunąć wrażenie obecności będącej niczym innym, jak tylko fantasmagorycznym efektem postrzeganym przez umysł, na podobieństwo śmiechu łąk albo łez rosy? Tak więc zjawa ukrywającego się intruza była kompozycją atomów akcji, zupełnie tak samo jak zjawa utraconego brata – ponieważ obie zostały uformowane z fragmentów jego własnego oblicza, a także jego pragnień i myśli.

I właśnie kiedy wsłuchiwał się w stukający o szyby deszczyk, który łagodził nieco południowy skwar, mówił sobie: wszystko jest zrozumiałe, przecież to ja, nie zaś kto inny, wspiąłem się niby intruz na ten statek, ja odgłosem kroków zakłócam tę ciszę i oto, prawie zatrwożony tym, że

pogwałciłem nie moje wszak sanktuarium, stworzyłem drugiego siebie, który krząta się pod tymi samymi co ja pokładami. Jakiż mam dowód, że ten ktoś tu jest? Parę kropli wody na liściach? Jeśli teraz pada, nie mogłoż padać, choćby trochę, ubiegłej nocy? Ziarno? Czy same ptaki, grzebiąc w ziemi, nie mogłyż poruszyć tego, co już miały, podsuwając mi w ten sposób myśl, że ktoś dorzucił ziarna? Zniknięcie jaj? Sam przecież widziałem wczoraj, jak białozór pożera latającą mysz! Zaludniam miejsca, których jeszcze nie obejrzałem, i może robię to, by uspokoić samego siebie, bo przeraża mnie fakt, że tkwię tu samotny między niebem a morzem. Panie Robercie de la Grive – mówił sobie – jesteś samotny i samotny możesz pozostać po kres swych dni, a kres ten może być rychły, chociaż bowiem prowiantu na statku nie brak, jest go na tygodnie, a nie na miesiące. Lepiej więc ustaw na pokładzie jakieś naczynie, by zebrać jak najwięcej wody pitnej, i naucz się znosić blask słońca, by łowić ze statku ryby. A wcześniej czy później znajdziesz jakiś sposób, żeby dotrzeć na Wyspę i żyć na niej jako jedyny mieszkaniec. O tym winieneś rozmyślać, a nie wynajdywać sobie intruzów i utraconych braci.

Wyszukał puste baryłki i porozstawiał je na kasztelu rufowym, z trudem wytrzymując światło przefiltrowane przez chmury. Przy tej pracy spostrzegł, jak bardzo jest jeszcze osłabiony. Wrócił na dół, podał karmę zwierzętom (być może chodziło mu o to, żeby komuś nie przyszło do głowy zastąpić go w tej czynności) i raz jeszcze zrezygnował z zejścia niżej. Wszedł do siebie i leżał kilka godzin, wsłuchując się w deszcz, który ani myślał ustać. Parę razy powiało mocniej i po raz pierwszy miał uczucie, że znajduje się w domu pływającym, który kolebie się jak kołyska, przy czym zatrzaskujące się drzwi dawały życie wielkiemu gmachowi drewnianego łona.

Docenił urodę tej metafory i zadał sobie pytanie, jak ojciec Emanuel odczytałby statek jako źródło Podziałów Enigmatycznych. Potem pomyślał o Wyspie i zdefiniował ją jako nieosiągalną bliskość. Ten piękny koncept ukazał mu, już po raz drugi tego dnia, niepodobne podobieństwo między

Wyspą a Panią, zatem do późnych godzin nocnych czuwał i opisywał to, co z jego słów dobyłem dla tego rozdziału.

„Dafne” kołysała się wzdłużnie przez całą noc i jej ruch, nakładający się na falowanie zatoki, ustał dopiero nad ranem. Robert zobaczył przez okno oznaki poranka chłodnego, lecz promiennego. Wspomniawszy Hiperbolę Oczu, która przyszła mu do głowy poprzedniego dnia, uznał, że warto przyjrzeć się brzegowi przez lunetę, którą widział w sąsiednim pomieszczeniu, bo w ten sposób skraj soczewki, ograniczający przecież widok, zmniejszy ilość słonecznych refleksów.

Oparł więc przyrząd na parapecie okna galerii i śmiało skierował spojrzenie na krańce zatoki. Wyspa jaśniała, nad nią zaś wznosił się szczyt zwieńczony wełnistymi kłębami. Kiedy płynął na „Amaryllis”, dowiedział się, że wyspy wysysają wilgoć z pasatów i kondensują ją w mgielne kłaki, dzięki czemu żeglarze rozpoznają bliskość lądu, zanim jeszcze zobaczą brzeg – po kłębach lotnego żywiołu, jakby uczepionego cumą do wyspy.

O pasatach opowiadał mu doktor Byrd; nazywał je *trade-winds*, Francuzi zaś mówili *alisées*. Nad tymi morzami przemykają wichury, które decydują zarówno o huraganach, jak i o morskich ciszach, a z którymi igrają pasaty, wiatry tak kapryśne, że ich szlaki przedstawia się na mapach w formie roztańczonych krzywych i prądów, rozmarzonych carol i wdzięcznych pląsów. Wślizgują się w pęd potężniejszych wichrów i burzą go, tną w poprzek, oplatają jego kierunek. To jaszczurki przemykające nieprzewidywalnymi ścieżkami, zderzają się i wymijają na chybił trafił, jakby w Morzu Przeciwności obowiązywały wyłącznie reguły sztuki, nie zaś natury. Mają postać sztuczną i zamiast skłaniać się ku harmonii, jak przystało rzeczom pochodzącym z nieba lub ziemi – śniegowi czy kryształom – przybierają kształt owych wolut, który architekci nadają kopułom i kapitelom.

Robert już od jakiegoś czasu podejrzewał, że znalazł się na morzu sztuczności; potrafił dzięki temu zrozumieć, dlaczego kosmografowie zawsze wyobrażali sobie tutaj istoty ukształtowane wbrew przyrodzonym prawom, chodzące z nogami w górze.

Z pewnością nie artyści, którzy budują dla europejskich dworów groty inkrustowane lapis-lazuli, fontanny uruchamiane za pomocą specjalnych pomp, natchnęli naturę do stworzenia tutejszych lądów ani też nie natura Nieznanego Bieguna natchnęła artystów. Chodzi o to – mówił sobie Robert – że i Sztuka, i Natura miłują machinacje, a toż samo przecie czynią atomy, kiedy łączą się w taki albo inny sposób. Czy istnieje gdzieś cud bardziej sztuczny niż żółw, dzieło jakiegoś złotnika sprzed tysięcy lat, cierpliwie zdobiona techniką niello tarcza Achillesa, w której uwięziony został wąż z nogami?

W naszych stronach – rozmyślał – całe życie roślinne ma w sobie kruchość liścia z jego unerwieniem i kwiatu, który żyje jeden tylko poranek, tutaj zaś roślinność robi wrażenie skóry, materii gęstej i oleistej, błony gotowej stawiać opór rozwścieczonym promieniom słonecznym. Każdy liść – na tych lądach, gdzie mieszkańcy nie znają sztuki wytapiania metali ani koła garncarskiego – może pełnić rolę narzędzia, ostrza, kielicha, łopatki, liście zaś kwiatów są uczynione z laki. Wszystko, co roślinne, jest obdarzone ogromną siłą, a wszystko zwierzęce jest słabe, jeśli sądzić po ptakach, które widział, jakby uprzędzionych z wielobarwnego szkła, gdy tymczasem u nas dzielność konia i tępa siła wołu są zwierzęce...

A owoce? U nas substancja jabłka o zdrowych kolorach wskazuje swojski smak, a siność grzyba ujawnia skryty w nim jad. Tutaj natomiast, i widziałem to wczoraj, a także na „Amaryllis”, mamy szyderczą grę przeciwieństw: śmiertelna biel owocu zapewnia orzeźwiającą słodycz, natomiast najbardziej rumiane owoce mogą wydzielać soki trujące.

Błądził lunetą po brzegu morskim i widział między ziemią a wodą te pełzające korzenie, które wyglądały, jakby podskakiwały ku otwartemu niebu, i kiście podłużnych owoców, które zapewne swą melasową dojrzałość ujawniały wyglądem niedojrzałych jagód. I rozpoznawał na innych palmach żółte kokosy, jakby melony w środku lata, a wiedział, że dojrzałość będą świętować, gdy przybiorą barwę jałowej ziemi.

Aby zatem żyć w tych ziemskich Zaświatach – musiał to zapamiętać, jeśli chciał pozostawać w zgodzie z naturą – należało postępować wbrew

nakazom instynktu, gdyż instynkt był zapewne wymysłem owych pierwszych gigantów, co to starali się dopasować do natury z innej części planety, a mniemając, iż najnaturalniejszą naturą jest ta, do której się dopasowali, uznali, że została w sposób naturalny zrodzona po to, ażeby dopasować się do nich. Dlatego sądzili, że słońce jest tak małe, jak je widzieli, a za ogromne brali niektóre źdźbła trawy, patrzyli bowiem na nie z okiem przy ziemi.

W tej sytuacji życie na Antypodach oznaczało rekonstrukcję instynktu, umiejętność czynienia z cudu natury i z natury cudu, odkrywanie niestabilności świata, który na jednej połowie podlega określonym prawom, na drugiej zaś – prawom przeciwnym.

Znowu usłyszał z oddali głosy budzących się ptaków i w odróżnieniu od pierwszego dnia spostrzegł, jaką sztuką był ich śpiew w porównaniu ze świergotem, jaki wydawały ptaki w jego ojczyźnie: były w tym bulgotania, pogwizdywania, burczenia, trzaskania, cmoknięcia, pojękiwania, stłumione odgłosy muszkietowych strzałów, całe skale chromatyczne bębnień, a od czasu do czasu dawały się słyszeć jakby homeryczne chichoty, rechot żab bagiennych wśród liści drzew.

Dzięki lunecie widział wrzeciona, pierzaste kule, czarne lub nieokreślonej barwy dreszcze, które zeskakiwały z najwyższych drzew i waliły się w dół niby jakiś Ikar pragnący z głupoty przyspieszyć własną zgubę. W pewnym momencie wydało mu się nawet, że jedno z drzew, być może chińskiej pomarańczy, wystrzeliło w powietrze owoc, jaskrawy motek szafranu, który natychmiast znalazł się poza zasięgiem okrągłego oka lunety. Robert powiedział sobie, że to tylko błysk, i przestał o tym myśleć, a przynajmniej tak mu się zdawało. Przekonamy się jeszcze, że jeśli chodzi o utajone myśli, rację miał Saint-Savin.

Sądzę, że lotne rzeczy o naturze tak nienaturalnej były symbolem paryskich kręgów towarzyskich, które opuścił przed wieloma miesiącami. W tym Uniwersum bez ludzi, w którym jeśli nie jedynymi istotami żywymi, to z pewnością jedynymi istotami mówiącymi były ptaki, odnajdował się jak w tamtym salonie, gdzie wchodząc, był w stanie usłyszeć tylko

niezrozumiałą paplaninę w nieznanym języku, którego smak nieśmiało odgadywał – aczkolwiek, powiedziałbym, znajomość tego smaku musiał w końcu dobrze opanować, inaczej nie mógłby w tym języku rozprawiać, jak czynił to teraz. Wspomniawszy jednak, że poznał tam Panią – jeśli zatem istnieje miejsce najwznioślejsze ze wszystkich, jest nim tamto, nie zaś to – doszedł do wniosku, że nie naśladowano tam ptaków z Wyspy, lecz właśnie tu, na Wyspie, zwierzęta starały się dorównać temu jakże człowieczemu Językowi Ptaków.

Rozmyślając o Pani i jej oddaleniu, które porównał poprzedniego dnia do oddalenia od lądu w kierunku zachodnim, obrócił z powrotem wzrok w stronę Wyspy, lecz luneta wyławiała jedynie zamazane i niewielkie jej fragmenty, podobne do obrazów, jakie ogląda się w wypukłych zwierciadłach, które odbijając jedną tylko ścianę małej izby, nasuwają na myśl sferyczny kosmos, nieskończony i osłupiały.

Jaką ukazałaby mu się Wyspa, gdyby któregoś dnia do niej przybił? Na podstawie tego, co widział ze swojego mostka, i okazów, jakie zastał na statku, była może Edenem, może w strumykach płynął miód z mlekiem – pośród tryumfalnej obfitości owoców i łagodnych zwierząt? Czegóż innego szukali na przeciwległych wyspach południowych ci śmiałkowie, którzy żeglowali tam, rzucając wyzwanie oceanowi złudnie spokojnemu? Czy nie tego chciał Kardynał, kiedy powierzał mu zadanie odkrycia sekretu „Amaryllis”, zbadania możliwości zaniesienia francuskich lilii na Ziemię Nieznaną, by odnowić wreszcie oferty doliny, której obcy jest grzech wieży Babel i powszechnego potopu, i pierwszego upadku Adamowego? Tamtejsi mieszkańcy – o ciemnej skórze, ale czystym jak śnieg sercu, niedbający o góry złota i wonności, których są nieuważnymi strażnikami – muszą być ludźmi prawymi.

Czyż takie pragnienie pogwałcenia cnoty Wyspy nie jest jednak powtórzeniem błędu pierwszego grzesznika? Może Opatrzność wybrała go właśnie na cnotliwego świadka piękna, którego nie powinien nigdy zakłócać. Czy kochanie na odległość i wyrzeczenie się dumy płynącej

z posiadania nie jest przejawem miłości spełnionej do końca, miłości, jaką opiewał swojej Pani? Czy miłość dąży do podboju? Jeśli Wyspa stopiła się w sercu z przedmiotem jego miłości, winien jest jej taką samą powściągliwość jak owemu przedmiotowi.

Nawet szaleńcza zazdrość, jaką odczuwał za każdym razem, kiedy spojrzenie innego zagrażało temu sanktuarium oporu, nie mogła być rozumiana jako domniemanie jego prawa, ale jako negowanie prawa innych, i taki obowiązek narzuciła mu miłość jako strażnikowi tego Graala. Do takiej samej czystości winien czuć się zobligowany w stosunku do Wyspy, a im mocniej łaknął, by napełniły ją obietnice, tym mniej miał myśleć o tym, by jej dotknąć. Przebywał daleko od Pani, daleko od Wyspy, o obu mógł jedynie mówić, pragnąc, ażeby były nieskalane i takież pozostały, zaznając jeno pieszczoty żywiołów. Jeśli istniało gdzieś piękno, to w tym tylko celu, by trwało bez celu.

Czy naprawdę taka była Wyspa, którą oglądał? Kto zachęcił go do rozszyfrowania w ten właśnie sposób jej hieroglifu? Od czasu pierwszych wypraw na te wyspy, których położenie mapy wskazywały nader niedokładnie, wiadomo było, że zostawiano tam zbuntowanych majtków i że owe wyspy stawały się dla nich więzieniami o powietrznych kratach; sami skazani byli wówczas swymi strażnikami i samych siebie mogli na zmianę karać. Nieprzybijanie do brzegu takich wysp, nieodkrywanie ich tajemnic było nie obowiązkiem, lecz prawem do ucieczki od nieskończonej grozy.

A może nie, może jedyną rzeczywistością Wyspy było to, że w samym jej środku rosło kuszące delikatnymi barwami Drzewo Zapomnienia, którego owoce mogłyby przynieść mu ukojenie, gdyby ich skosztował.

Zatracić się. Spędził tak cały dzień, gnuśnie z pozoru, lecz w rzeczywistości pracowicie, robił bowiem, co mógł, by osiągnąć stan *tabula rasa*. Ale jak to bywa z kimś, kto chce za wszelką cenę zapomnieć, im bardziej się wysilał, tym bardziej ożywiała się pamięć.

Spróbował wprowadzić w czyn wszystkie zalecenia, o jakich słyszał. Wyobrażał sobie, że znajduje się w pokoju pełnym przedmiotów

brzemiennych we wspomnienia – jak woalka damy jego serca, karty, na których przywoływał jej wizerunek, płacząc nad nieobecnością ukochanej, meble i sprzęty pałacu, w którym ją poznał – i że wyrzuca wszystkie te rzeczy przez okno, aż pokój (a wraz z nim jego umysł) stanie się nagi i pusty. Z nadludzkim wysiłkiem ciągnął w stronę parapetu naczynia, szafy, krzesła i panoplie, lecz wbrew temu, co mu mówiono, w miarę jak trudził się coraz bardziej, postać Pani ulegała powieleniu i z rozmaitych miejsc śledziła jego znój, uśmiechając się przy tym szelmowsko.

Tak więc cały dzień przesuwania sprzętów nie przyniósł mu zapomnienia. Przeciwnie. Były to dni, kiedy rozmyślał o swej przeszłości, wbijając spojrzenie w jedyną scenerię, jaką miał przed oczami, a mianowicie scenerię „Dafne”, i oto „Dafne” przeobrażała się w teatr wspomnień, rozumiany w duchu ówczesnych czasów, i każdy fragment tego teatru przypominał mu o jakimś dawnym albo całkiem świeżym epizodzie z jego życia: bukszpryt – moment, gdy dotarł tu jako rozbitek i zrozumiał, że nie ujrzy już ukochanej; zwinięte żagle – jak patrząc na nie, marzył godzinami o swej Utraconej, o Niej; galeria, z której przyglądał się dalekiej Wyspie – Jej oddalenie... A tyle poświęcił rozmyślań tej niewieście, że dopóki tu zostanie, każdy kąt tego morskiego domu będzie mu sekunda po sekundzie przypominał wszystko, o czym chciał zapomnieć.

O prawdzie tych słów przekonał się, kiedy wyszedł na mostek, pragnąc, by wiatr uniósł ze sobą jego myśli. Był to jego las i przychodził tutaj, jak przychodzą do lasu nieszczęśliwi kochankowie; oto urojona natura tego lasu, oto rośliny wygładzone przez cieśli z Antwerpii, oto rzeki szarego płótna na wietrze, oto jaskinie uszczelnione smołą, oto gwiazdy astrolabium. I jak zakochani, wracając do jakiegoś miejsca, rozpoznają ukochaną w każdym kwiatku, w każdym szeleście listowia i w każdej drożynie, tak on gotów byłby umrzeć teraz z miłości, gładząc wylot armatniej lufy...

Czy nie wysławiają poeci damy swego serca, opisując jej rubinowe wargi, oczy czarne jak węgle, marmurową pierś, diamentowe serce? Otóż Robert także – zamknięty w tej kopalni martwych jodeł – żywiłby

namiętności czysto mineralne, cięgno kotwiczne skręcone w węzły jawiłoby mu się niby Jej włosy, blask gwoździ – niby Jej zapomniane oczy, ciąg okapów – Jej zęby ociekające wonną śliną, kabestan, z którego zsunęła się lina – Jej szyja ozdobiona konopnymi naszyjnikami, i ukołysałby się złudzeniem, że pokochał dzieło budowniczego maszyn.

Potem jął żałować twardości serca, z którą domniemywał, iż to Jej serce jest twarde, i powiedział sobie, że pozwalając, by skamieniały rysy Jej twarzy, doprowadził do skamienienia swoje pożądanie – choć chciał przecież, ażeby było ono żywe i niezaspokojone – a ponieważ zapadł już zmierzch, zwrócił wzrok ku niebu usianemu niemożliwymi do rozpoznania konstelacjami. Tylko kontemplując ciała niebieskie, mógł powziąć niebiańskie myśli, jakie przystoją temu, kto z wyroku niebios został skazany na miłowanie najbardziej niebiańskiej z ludzkich istot.

Królowa lasów, która odziana w jasną szatę pobiela bory i posrebrza pola, nie pokazała się na szczycie okrytej żałobnym płaszczem Wyspy. Pozostała część nieba była płomienista i widoczna, a na południowo-zachodnim horyzoncie, prawie na poziomie morza, poza wielką ziemią, zobaczył gruzełek gwiazd, które nauczył go rozpoznawać doktor Byrd: Krzyż Południa. I Robert z dzieł zapomnianego poety, których parę fragmentów wbił mu jednak w głowę karmelicki preceptor, przypomniał sobie wizję fascynującą go w dzieciństwie, wizję pielgrzyma po królestwach zaświatów, co zjawiwszy się w tym nieznanym rejonie, zobaczył owe cztery gwiazdy, widziane tylko przez pierwszych (i ostatnich) mieszkańców Ziemskiego Raju.

11

Sztuka Ostrożności

Czy widział je dlatego, że naprawdę padł ofiarą katastrofy na skraju Edenu, czy dlatego, że jakby z piekielnego leja wynurzył się z brzucha statku? Być może jedno i drugie. Katastrofa, wprowadzając Roberta w spektakl innego rodzaju natury, wyrwała go z Piekła Świata, dokąd, tracąc złudzenia dzieciństwa, wkroczył w dniach oblężenia Casale.

Był tam jeszcze, gdy Saint-Savin, przedstawiwszy historię jako obszar wielu kaprysów i niezrozumiałych knowań związanych z Racją Stanu, wbił mu do głowy, że wielka machina świata jest bardzo wiarołomna, gdyż trapią ją nikczemne pułapki Przypadku. W ciągu paru dni prześnił się Robertowi młodzieńczy sen o bohaterskich czynach, a dzięki ojcu Emanuelowi zrozumiał, że warto zapalać się do Bohaterskich Czynów – i że można spędzić życie nie na walce z olbrzymem, ale na opisywaniu krasnala aż nazbyt licznymi określeniami.

Z klasztoru wyszedł w towarzystwie pana della Saletta, który z kolei towarzyszył panu de Salazar, poza obręb murów. A zmierzając w stronę bramy, którą Salazar nazywał Puerta de Estopa, szli przez jakiś czas po obwałowaniu.

Obaj szlachetni panowie wychwalali machinę ojca Emanuela, a Robert zapytał naiwnie, jaką wartość ma ta ogromna wiedza dla rozstrzygnięcia losów oblężenia.

Pan de Salazar wybuchnął śmiechem.

– Mój młody przyjacielu – powiedział – my wszyscy, służący rozmaitym monarchom, jesteśmy tu po to, żeby ta wojna zakończyła się zgodnie

z wymogami sprawiedliwości i honoru. Minęły już jednak czasy, kiedy mieczem można było odmienić szlaki gwiazd. Minęły czasy, kiedy szlachta powoływała króla. Dzisiaj królowie powołują szlachtę. Niegdyś życie na dworze było wyczekiwaniem na moment, gdy szlachcic będzie mógł pokazać na polu bitwy, że jest naprawdę szlachcicem. Teraz cała szlachta, której domyślasz się tam – wskazał namioty hiszpańskie – i tam – wskazał kwatery francuskie – bierze udział w tej wojnie, by wrócić na swe prawdziwe miejsce, którym jest dwór, dwór zaś, przyjacielu, nie rywalizuje już, by dorównać królowi cnotą, lecz by zyskać sobie jego względy. W dzisiejszych czasach widuje się w Madrycie szlachciców, którzy nigdy jeszcze nie obnażyli szpady i nie oddalili się od miasta, okrywając się bowiem kurzem na polach chwały, zostawiliby miasto w rękach majętnych mieszczan i *noblesse de robe*, ludzi, których nawet monarcha darzy teraz wielkim poważaniem. Człowiekowi wojennemu pozostaje tylko wyrzec się męstwa i kroczyć drogą ostrożności.

– Ostrożności? – zdziwił się Robert.

Salazar poprosił go, by zechciał spojrzeć na równinę. Obie strony toczyły bez większego zapału potyczki i widać było obłoczki pyłu wzbijającego się przy wejściach do podkopów, tam bowiem padały kule armatnie. Po stronie północno-zachodniej cesarscy pchali osłonę. Był to mocny furgon, wyposażony po obu stronach w ostrza, z przodu zabezpieczony ścianą z dębowych klepek wzmocnionych ryglami i ćwiekami. Z otworów strzelniczych tej fasady sterczały moździerze, kolubryny i rusznice, po bokach widać było zabarykadowanych na wozie lancknechtów. Maszyna, najeżona lufami z przodu i bronią białą po bokach, skrzypiąca łańcuchami, rzygała co jakiś czas ogniem z jednej ze swych gardzieli. Nieprzyjaciele nie zamierzali z pewnością użyć jej teraz, gdyż takie urządzenia podsuwa się pod mury w momencie, kiedy miny dokonują już swego dzieła; pokazywali ją raczej po to, żeby wywołać grozę w szeregach oblężonych.

– Widzisz, panie – ciągnął Salazar – o wyniku wojny przesądzi technika, wóz z ostrzami, podkop. Niektórzy z naszych dzielnych towarzyszy z obu stron barykady nadstawili pierś nieprzyjacielowi i czasem polegli wskutek

jakiejś omyłki, ale nie czynili tego dla zwycięstwa, lecz po to, by zyskać sławę, którą będzie można wykorzystać po powrocie na dwór. Najmężniejszym z nich rozum nakazał zdecydować się na czyn, który stanie się głośny, nie omieszkali jednak przy tym starannie skalkulować niebezpieczeństw i ewentualnych zysków...

– Mój ojciec... – zaczął Robert, sierota po bohaterze, który niczego nie kalkulował.

Salazar mu przerwał.

– Twój ojciec, panie, był właśnie człowiekiem z innej epoki. Nie sądź, iż takich ludzi nie opłakuję, czyż jednak warto jeszcze dokonywać zuchwałych czynów, skoro i tak więcej się będzie mówić o pięknym odwrocie niż o śmiałym szturmie? Czyż nie widziałeś machiny wojennej, która snadniej rozstrzygnie losy oblężenia niźli niegdyś miecz? A czyż wiele już lat temu miecz nie ustąpił miejsca rusznicy? My nosimy jeszcze puklerze, ale lada łotrzyk w jeden dzień nauczy się przebijać zbroję wielkiego Bayarda.

– Cóż więc pozostaje szlachcicowi?

– Roztropność, panie de la Grive. Sukces nie ma dzisiaj barwy słońca, lecz wzrasta przy świetle księżyca, a nikt nie może powiedzieć, że ta gwiazda nie cieszy się łaską w oczach Stwórcy wszechrzeczy. Sam Jezus rozmyślał w ogrodzie oliwnym nocą.

– I postanowił wedle najbardziej heroicznej z cnót, i za nic mając ostrożność...

– My jednak nie jesteśmy Synem pierworodnym Wiekuistego, jesteśmy dziećmi tego świata. Co będziesz robił, panie de la Grive, po zakończeniu oblężenia, jeśli oczywiście nie zbędziesz przez tę machinę żywota? Może wrócisz na wieś, gdzie nie przydarzy ci się sposobność, by okazać, żeś godny swego ojca? Ledwie kilka dni obracasz się wśród paryskich szlachciców, a już widać po tobie, żeś uległ ich obyczajom. Chcesz przecież wypróbować w wielkich miastach, czy Fortuna ci sprzyja, i wiesz dobrze, iż tam właśnie winieneś zużytkować aureolę chwały, zyskaną dzięki długiemu nieróbstwu w tych murach. Będziesz uganiał się za boginią Fortuną

i musisz okazać zręczność, jeśli chcesz wkraść się w jej łaski. Tutaj nauczyłeś się unikać kul z muszkietu, tam nauczysz się unikać zawiści, zazdrości, zachłanności, walcząc tą samą bronią z przeciwnikami, to jest ze wszystkimi. Posłuchaj mnie zatem. Pół godziny temu przerwałeś mi, mówiąc, co myślisz, a teraz, robiąc zdziwioną minę, chcesz mi pokazać, że jestem w błędzie. Nigdy więcej tego nie czyń, zwłaszcza wobec możnych tego świata. Czasem wiara we własną przenikliwość i poczucie, że musisz dać świadectwo prawdzie, będą cię skłaniać do udzielania dobrych rad tym, którzy są nad tobą. Nie czyń tego nigdy. Zwycięstwo rozbudza w zwyciężonym nienawiść, a jeśli odnosi się je nad swym panem, jest albo głupotą, albo szkodzeniem sobie samemu. Książęta pragną, by im pomagano, nie zaś by nad nimi górowano. Bądź jednak ostrożny także z równymi sobie. Nie upokarzaj ich swoją cnotą. Nie mów nigdy o sobie, albowiem pyszniłbyś się, co oznacza próżność, albo poniżał, a to jest głupotą. Pozwalaj raczej, aby inni dostrzegli u ciebie jakiś grzeszek, który zawiść może sobie przetrawiać bez zbytniej twojej szkody. Musisz być kimś, a okazywać niekiedy, że jesteś nikim. Struś nie wzdycha do tego, ażeby wzbić się do lotu, narażając się na upadek, lecz pozwala nam powoli odkrywać urodę swych piór. A nade wszystko, jeśli masz jakieś namiętności, nie wystawiaj ich na pokaz, choćbyś uznawał je za nie wiedzieć jak szlachetne. Roztropne i ostrożne milczenie to sanktuarium mądrości.

– Panie, powiadasz mi oto, że pierwszym obowiązkiem szlachcica jest nauczyć się symulowania!

Do rozmowy wtrącił się z uśmiechem pan della Saletta.

– Widzisz, drogi panie Robercie, pan de Salazar nie twierdzi zgoła, że człowiek mądry winien symulować. Sugeruje raczej, jeśli dobrze go zrozumiałem, że trzeba nauczyć się dysymulować. Symuluje się coś, czego nie ma, a dysymuluje coś, co jest. Jeśli przechwalasz się czymś, czego nie dokonałeś, symulujesz. Jeśli unikasz, tak jednak, by nikt tego nie zauważył, wyjawienia, coś uczynił, wówczas dysymulujesz. Dysymulowanie cnót to cnota nad cnotami. Pan de Salazar poucza cię, jak być cnotliwym w sposób

roztropny, zgodny z nakazami ostrożności. Kiedy pierwszy człowiek otworzył oczy i poznał, że jest nagi, postarał ukryć się przed oczyma Stwórcy, a stąd wniosek, że skwapliwość do dysymulowania zrodziła się prawie jednocześnie ze światem. Dysymulacja jest rozpinaniem zasłony uczciwych mroków, ta zaś nie formuje fałszu, tylko daje chwilę wytchnienia prawdzie. Róża zda się nam piękna, albowiem przy pierwszym naszym spojrzeniu ukrywa swą nietrwałość, a choć o urodzie śmiertelnej zwykło się mówić, że jest czymś więcej niż tylko rzeczą ziemską, niczym innym jest niż trupem osłoniętym maską młodości. Na tym świecie nie zawsze trzeba odkrywać serce, a najważniejsze dla nas prawdy wyrażane są tylko w połowie. Dysymulacja nie jest oszustwem. To umiejętność, która polega na tym, by nie pokazywać bliźniemu rzeczy takimi, jakimi są. A nie jest łatwo tę umiejętność nabyć. Aby w niej celować, musimy osiągnąć to, że inni nie dostrzegą, jak dalece w niej celujemy. Gdyby ktoś zyskał sławę dzięki biegłości, z jaką potrafi przybierać maski niby aktor, wszyscy dowiedzieliby się, że nie jest tym, za kogo się podaje. O niegdysiejszych i dzisiejszych dysymulantach doskonałych nikt nic nie wie.

– I zauważ – dodał pan de Salazar – że zachęcając cię do dysymulowania, nie zachęcamy zgoła, byś był niemy jak głupiec. Przeciwnie. Musisz nauczyć się przemawiać roztropnie, by w ten sposób osiągnąć to, czego nie możesz osiągnąć, przemawiając otwarcie, poruszać się w świecie, który ceni pozór, wykorzystywać wszystkie sztuczki wymowy, tkać ze słów jedwab. Strzały zagłębiają się w ciało, słowa zaś mogą przeniknąć w głąb duszy. Niechaj będzie w tobie naturą to, co w urządzeniu ojca Emanuela jest sztuczką mechaniczną.

– Ależ, panie – rzekł Robert – machina ojca Emanuela zda się wizerunkiem Umysłu, który nie chce wszak zadawać ciosów ani uwodzić, lecz odkrywać i pokazywać koneksje między rzeczami, a zatem być nowym narzędziem prawdy!

– Owszem, dla filozofów. Ale przy głupcach używaj Umysłu, by olśniewać, a zyskasz przychylne przyjęcie. Ludzie chcą być olśniewani. Jeśli o twoim przeznaczeniu i twojej fortunie ma rozstrzygnąć nie pole

bitewne, lecz dworski salon, jeden punkt zyskany w konwersacji będzie bardziej owocny niż udany atak na wojnie. Człowiek ostrożny jednym grzecznym zdaniem wydobywa się z trudnej sytuacji i umie tak się posłużyć językiem, by wydał się lekki jak piórko. Za prawie wszystko na tym świecie można wypłacić się słowami.

– Czekają cię przy bramie, panie de Salazar – powiedział Saletta.

I tak skończyła się dla Roberta ta nieoczekiwana lekcja życia i mądrości. Nie był nią zbudowany, ale zachował wdzięczność dla obu nauczycieli. Objaśnili mu wiele doczesnych tajemnic, o których w Grivie nikt nie wspomniał mu ani słowem.

12

Namiętności Duszy

Pośród tego burzenia wszelkich złudzeń Robert padł ofiarą manii miłosnej.

Czerwiec zbliżał się już do końca i zrobiło się upalnie, od dziesięciu dni rozchodziły się pogłoski o przypadku dżumy w obozie hiszpańskim. W mieście zaczynało brakować amunicji, żołnierze dostawali tylko po czternaście uncji czarnego chleba, a za dzban wina trzeba było zapłacić casalczykowi trzy floreny, co równało się dwunastu realom. Salazar w mieście i Saletta w obozowisku na zmianę pertraktowali w sprawie okupu za oficerów wziętych w toku starć do niewoli po jednej i drugiej stronie, przy czym wykupieni mieli przysiąc, że nie wezmą już oręża do ręki. Znowu zaczęło się mówić o Mazzarinim, tym robiącym karierę dyplomatyczną kondotierze, któremu papież powierzył prowadzenie rokowań.

Szczypta nadziei, od czasu do czasu jakiś wypad i gra w niszczenie sobie nawzajem podkopów – oto jak przebiegało to opieszałe oblężenie.

W tym oczekiwaniu na rokowania albo przybycie odsieczy opadły wojownicze nastroje. Ten i ów z casalczyków, nie bacząc na ospały ogień prowadzony z daleka przez Hiszpanów, decydował się wyjść za mury, by zżąć zboże, jakie pozostało po przejazdach furgonów i galopadach koni. Nie wszyscy z tych ludzi byli bezbronni. Robert zobaczył jakąś wysoką rudą chłopkę, która co pewien czas rzucała sierp, przykucała wśród zboża, unosiła strzelbę, niby stary żołnierz przykładała ją do ramienia, opierając rumiany policzek na kolbie, i strzelała w stronę tych, którzy przeszkadzali jej w pracy. Hiszpanów znudził ten ostrzał z ręki wojowniczej Cerery,

odpowiedzieli ogniem i pocisk musnął jej nadgarstek. Zaczęła się wycofywać, nie przestając ładować i strzelać, i wykrzykiwała coś w stronę nieprzyjaciół. Kiedy znalazła się prawie pod murami, paru Hiszpanów zaczęło ją znieważać: *Puta de los franceses!* Na co odkrzyknęła: „Niech tam, jestem dziwką Francuzów, ale nie waszą!”

Ta dziewicza postać, ta kwintesencja bujnej urody i wojennej furii w połączeniu z domyślnym bezwstydem, tak ozdobionym obelgą, rozbudziła zmysły młodzika.

Tego dnia przebiegał ulice Casale, by odnowić tę wizję. Wypytywał chłopów i dowiedział się, że dziewczyna zwie się, zdaniem jednych, Anna Maria Nowaryjka, zdaniem innych – Franciszka, a w jakiejś tawernie powiedzieli mu, że ma dwadzieścia lat, jest z pobliskiej wsi i romansuje z francuskim żołnierzem. „Sama cnota ta Franciszka, waży się na wszystko!” – mówili z porozumiewawczymi uśmieszkami i Robertowi ukochana wydawała się tym godniejsza pożądania, że te swawolne powiedzonka raz jeszcze jej schlebiały.

Kilka dni później, przechodząc koło jednego z domów, spostrzegł ją w mrocznej izbie na parterze. Siedziała przy oknie, bo wiał leciutki wietrzyk, który ledwie, ledwie łagodził monferracką duchotę; oświetlała ją niewidoczna z zewnątrz lampka, umieszczona gdzieś blisko parapetu. W pierwszej chwili nie rozpoznał ukochanej, gdyż piękne włosy miała upięte wysoko i jedynie przy uszach zwieszały się dwa kosmyki. Widać było tylko lekko pochyloną twarz, czysty owal z paroma perłami potu. W tym półmroku miało się wrażenie, że to właśnie jest jedyna lampka.

Szyła coś na niskim stoliku, wpatrując się, skupiona, w swą pracę, tak że nie dostrzegła młodzieńca, który cofnął się i skulił przy murze, by patrzeć na nią z boku. Z bijącym sercem wpijał się wzrokiem w usta ocienione jasnym meszkiem. W pewnym momencie podniosła rękę, jeszcze bardziej jaśniejącą niż twarz, by wziąć w usta ciemną nić. Wsunęła ją między czerwone wargi, odsłaniając białe zęby, i niby pełne gracji dzikie zwierzę

odgryzła ją gwałtownym ruchem szczęk, uśmiechając się, rozweselona tym dobrodusznym okrucieństwem.

Robert mógłby tkwić tam całą noc, ledwie śmiąc oddychać z lęku, że zostanie dostrzeżony, a poza tym zmroził go żar namiętności. Ale wkrótce dziewczyna zgasiła lampę i wizja zniknęła.

Przechodził tą ulicą w następnych dniach, ale zobaczył ową piękność tylko raz, a i tego nie był pewny, ponieważ siedziała, jeśli to była ona, z pochyloną głową, obnażoną różaną szyją i twarzą zasłoniętą kaskadą włosów. Za jej plecami stała jakaś matrona, żeglując po tych lwich falach czymś, co przypominało raczej zgrzebło niż grzebień, i co pewien czas odkładając ten przyrząd, by chwycić w palce umykającą bestyjkę, którą następnie szybkim ruchem rozgniatała, z lekkim trzaskiem, między paznokciami.

Robert, któremu nieobcy był rytuał iskania, po raz pierwszy docenił jego urok i wyobraził sobie, jak wsuwa palce w tę jedwabistą toń, naciska opuszkami kark, całuje te fale, własnoręcznie zabija stada brukających je myrmidonów.

Musiał uwolnić się od tego oczarowania, gdyż ulicą zbliżała się hałaśliwa hołota, i tak to po raz ostatni okno obdarzyło go miłosną wizją.

W inne popołudnia i wieczory widywał jeszcze matronę i inną dziewczynę, ale tamtej – nie. Doszedł do wniosku, że nie jest to jej dom, ale mieszkanie krewnej, do której przychodziła tylko wykonać jakieś prace. Przez wiele długich dni nie wiedział nic o miejscu jej pobytu.

Ponieważ tęsknota miłosna jest napojem, który największej krzepkości nabiera, gdy zostanie przelany do uszu przyjaciela, Robert, zajęty bezowocnym bieganiem po Casale i wychudły od tych poszukiwań, nie zdołał ukryć swego stanu przed Saint-Savinem. Wyjawił mu wszystko z próżności, jako że każdy kochanek przystraja się w urodę ukochanej, a on w jej urodę nie wątpił w najmniejszym stopniu.

– Cóż, jesteś zakochany – odparł niedbale Saint-Savin. – Nic nowego. Zdaje się, że istoty ludzkie, w odróżnieniu od zwierząt, delektują się tym

stanem.

– Zwierzęta nie kochają?

– Nie, proste machiny nie kochają. Co robią koła wozu na pochyłej drodze? Obracają się ku dołowi. Machina to ciężar, a ciężar ciąży i jest zależny od ślepej potrzeby, która zmusza go do opadania. Tak samo zwierzę: ciąży ku spółkowaniu i nie znajdzie ukojenia, póki nie spełni swej potrzeby.

– Czyż nie powiedziałeś mi wczoraj, że ludzie są też machinami?

– Owszem, ale machina ludzka jest bardziej złożona od machiny z minerałów i od machiny zwierzęcej. Upodobała sobie ruch oscylacyjny.

– I co z tego?

– A to, że ty kochasz i tym samym pożądasz i nie pożądasz. Miłość czyni z nas swoich własnych wrogów. Lękasz się, że osiągnięcie celu przyniesie ci rozczarowanie. Rozkoszujesz się *in limine*, jak powiadają teologowie, przyjemność czerpiesz z opóźnienia.

– To nieprawda, ja... ja chcę mieć ją zaraz!

– Gdyby tak było, pozostawałbyś nadal i tylko wieśniakiem. Ty masz jednak duszę. Gdybyś chciał, byłaby już twoja, lecz wtedy okazałbyś się grubianinem. Nie, ty chcesz, żeby twoje pragnienie rozpalało się i żeby jednocześnie rozpalało się jej pragnienie. Jeśliby jej pragnienie rozpaliło się tak dalece, że skłonna byłaby natychmiast ci ulec, zapewne już byś jej nie chciał. Miłość rozkwita w oczekiwaniu. Oczekiwanie wędruje po rozległych terytoriach Czasu ku Sposobności.

– Ale co ja robię w tym czasie?

– Zalecasz się.

– Ale... ona wcale o tym nie wie i muszę ci wyznać, że nie wiem, jak się do niej zbliżyć...

– Napisz list i wyjaw swoją miłość.

– Nigdy nie pisałem listów miłosnych! A nawet, choć wstyd to przyznać, nie pisałem żadnych listów.

– Kiedy zawodzi natura, można uciec się do sztuki. Podyktuję ci. Szlachcic chętnie układa listy do damy, której nigdy nie widział, a mnie wena nie zawodzi. Nie kocham, ale umiem rozprawiać o miłości lepiej niż ty, któremu miłość odejmuje mowę.

– Ale chyba każdy kocha inaczej... Byłoby to sztuczne.

– Gdyby w twoim wyznaniu miłosnym znalazły się akcenty szczere, wypadłoby ono niezgrabnie.

– Ale powiedziałbym prawdę...

– Prawda to dziewczę równie piękne jak wstydliwe i dlatego zawsze trzeba okrywać ją płaszczem.

– Ale ja chcę wyznać moją miłość, a nie tę, którą ty opiszesz!

– Jeśli chcesz, żeby ci wierzono, udawaj. Nie ma perfekcji bez blasku machinacji.

– Przecież domyśli się, że nie o niej mowa w liście.

– Nic się nie bój. Uwierzy, że to, co napisałeś, zostało pomyślane na jej miarę. Nuże, siadaj i pisz. Pozwól tylko, by spłynęło na mnie natchnienie.

Saint-Savin krążył po pokoju – powiada Robert – jakby naśladował lot pszczoły wracającej do ula. Prawie tańczył, błądził wzrokiem w przestrzeni, jak gdyby chciał odczytać w powietrzu nieistniejące jeszcze słowa. Potem zaczął.

– Pani...

– Pani?

– A jak chcesz się do niej zwracać? Może: hola, ty, casalska dziwko?

– *Puta de los franceses* – mruknął mimo woli Robert, przerażony tym, że Saint-Savin tak bardzo zbliżył się w żartach jeśli nie do prawdy, to do oszczerstwa.

– Coś rzekł?

– Nic. Dobrze. Pani. Co dalej?

– Pani, w cudownej architekturze świata już w dniu stworzenia zostało zapisane, że ujrzę Cię i pokocham. Lecz od pierwszej linijki tego listu

czuję, że moja dusza roztapia się tak dalece, że uleci z mych warg i mego pióra, nim zdołam dotrzeć do końca.

– ...do końca. Nie wiem, czy będzie to zrozumiałe dla...

– Prawda jest tym milej widziana, im gęściej jest najeżona trudnościami, i tym więcej ceni się wyznanie, im więcej włożymy w nie wysiłku. Trzeba też uderzyć w wyższy ton. Powiedzmy więc... Pani...

– Znowu?

– Tak jest. Pani, damie pięknej niby Alcydiana, bez wątpienia niezbędna była, jak owej heroinie, siedziba nie do zdobycia. Zda mi się, że przez jakieś czary zostałaś przeniesiona gdzie indziej i że Twoją prowincją stała się druga Wyspa Pływająca, którą powiew moich westchnień pcha ku mnie, w miarę jak próbuję się do niej zbliżyć, prowincją na Antypodach, ziemią bronioną przez nieprzebyte lody. La Grive, widzę, żeś nieswój. Czyżbyś sądził, że to nazbyt przyziemne?

– Nie, raczej... chodzi o przeciwieństwo.

– Nie lękaj się – odparł Saint-Savin, który zrozumiał to niewłaściwie. – Nie zabraknie kontrapunktów i kontrastów. Idźmy dalej. Być może Twe wdzięki dają Ci prawo, byś pozostawała odległa, jak bogom przystało. Czyżbyś jednak nie była świadoma, iż bogowie przychylnie patrzą na dym kadzidła, które spalamy dla nich my, istoty niskie? Nie odrzucaj więc mego uwielbienia, skoro bowiem obdarzona zostałaś najwyższą urodą i najwznioślejszym blaskiem, maszli serce tak twarde, by skazywać mnie na bezbożność, zabraniając adorowania w Twej osobie dwóch spośród najważniejszych boskich atrybutów?... Czy tak będzie lepiej?

Robertowi przyszła właśnie do głowy myśl, że jedyny kłopot w tym, czy Nowaryjka umie czytać. Jeśliby ten bastion miała za sobą, wszystko, co by przeczytała, z pewnością by ją upoiło, jak upajało jego, piszącego te słowa.

– O Boże! – wykrzyknął. – Niechybnie zakręci się jej w głowie...

– Tak będzie. Pisz. Składając Ci w darze mą wolność, nie tylko nie straciłem serca, lecz widzę teraz, iż nader się powiększyło, pomnożyło,

jakby do miłowania Ciebie nie dość było jednego, i w każdej arterii czuję jego bicie.

– Boże!

– Siedź spokojnie. W tej chwili nie kochasz, lecz mówisz o miłości. Wybacz, Pani, uniesienie desperata albo lepiej nie trudź się zgoła, nigdy bowiem nie słyszano, by władczyni wystawiano rachunek za śmierć niewolnika. O tak, muszę uznać mój los za godny pozazdroszczenia, albowiem zechciałaś mnie unicestwić. Gdybyś chociaż raczyła okazać mi nienawiść, jakże radowałbym się, widząc, że nie jestem Ci obojętny! Nawet śmierć, którą mnie ukarzesz, przyjmę z sercem pełnym wesela. Tak, śmierć! Skoro miłować to zrozumieć, że dwie dusze po to są stworzone, by połączyły się ze sobą, to gdy jedna widzi, iż druga nie kocha, musi umrzeć. O czym – jako że na razie ciało trwa przy życiu – dusza ma, ulatując, przyniesie Ci wiadomość...

– ...ulatując, przyniesie Ci...?

– Wiadomość.

– Muszę zaczerpnąć tchu. Mam ogień w głowie...

– Opanuj się! Nie mieszaj miłości ze sztuką.

– Przecież kocham! Kocham, pojmujesz?

– Ale ja nie. Dlatego właśnie zwróciłeś się do mnie. Pisz, nie myśląc o niej. Pomyśl sobie, powiedzmy, o panu de Toiras...

– Proszę cię!

– Nie rób takiej miny. W końcu to piękny mężczyzna! No, pisz. Pani...

– Znowu?

– Znowu. Pani, moim przeznaczeniem jest, co gorsza, umrzeć ślepym. Czyż bowiem nie uczyniłaś z moich oczu dwóch alembików, by przedestylować w nich me życie? I jakże to się dzieje, że im bardziej me oczy wilgotnieją, tym bardziej palą? Być może ojciec nie uformował mego ciała z tej samej gliny, z której ulepiony został pierwszy człowiek, jeno z wapna, albowiem przelewam wodę łez, lecz płonę. I jak się to dzieje, że płonąc żywcem, znajduję nowe łzy, by nie przestać płonąć?

– Czy nie przesadzasz?

– W niezwyczajnej okoliczności niezwyczajna musi być też myśl.

Robert już nie protestował. Czuł, jakby był teraz Nowaryjką, i przeżywał to, co ona winna przeżywać, czytając list. Saint-Savin dyktował:

– Porzucając me serce, pozostawiłaś w nim impertynentkę, którą jest Twój wizerunek i która pyszni się tym, że jest panią mego życia i mej śmierci. Ty zaś oddaliłaś się ode mnie, jak to czynią władcy, oddalając się od miejsca kaźni, gdyż nie życzą sobie, by nękano ich prośbą o łaskę. Ma dusza i miłość są dwoma czystymi westchnieniami, a gdy będę umierał, ubłagam Agonię, by westchnienie mej miłości zostawiła sobie na koniec, i dokonam cudu – mego ostatniego daru – z którego winnaś być dumna, albowiem przez maleńką chwilkę będzie do ciebie wzdychać ciało już martwe.

– Martwe. Koniec?

– Nie, daj pomyśleć, w zakończeniu musi się znaleźć jakaś *pointe*...

– *Puen* co?

– Tak, akt intelektu, który wyrazi nadzwyczajną korespondencję między dwoma podmiotami, wychodzący poza wszystkie nasze wierzenia, aby w tej wdzięcznej igraszce umysłu zatraciła się szczęśliwie troska o substancję spraw.

– Nie pojmuję...

– Pojmiesz w swoim czasie. Mam! Odwróćmy na chwilę sens wezwania, przecież nadal żyjesz, trzeba dać jej szansę, by mogła przybiec na ratunek konającemu. Pisz. Być może mogłabyś mnie jeszcze, o Pani, ocalić. Złożyłem Ci w darze serce. Jakże jednak mogę być pozbawiony tego motoru życia? Nie proszę, abyś je oddała, gdyż tylko w Twych okowach raduję się najsubtelniejszą z wolności, ale błagam, żebyś w zamian dała mi swoje, które nigdzie indziej nie ma stosowniejszego dla siebie sanktuarium. Jedno serce wystarczy Ci wszak do życia, a moje bije tak mocno, że zapewni Ci wieczysty żar.

Zrobił półobrót i skłoniwszy się jak aktor czekający na oklaski, spytał:

– Czyż to nie piękne?

– Piękne? Uważam to za... jak by tu powiedzieć... śmieszne. Czy nie staje ci przed oczyma owa pani, jak biegnie przez Casale, by niby sługa zabierać i oddawać serca?

– Chcesz, by kochała mężczyznę, który przemawia do niej jak pierwszy lepszy mieszczuch? Dalej, podpis, pieczęć!

– Nie myślę o tej damie, ale o tym, że pokaże komuś list, a wtedy umrę ze wstydu.

– Nie pokaże. Ukryje go na łonie i co noc będzie zapalać świeczkę przy łóżku, żeby odczytywać go i okrywać pocałunkami. Podpis i pieczęć.

– Wyobraźmy sobie jednak, że owa dama nie umie czytać. Będzie musiała uciec się do czyjejś pomocy...

– Ależ, panie de la Grive! Chcesz mi powiedzieć, że zakochałeś się w wieśniaczce? Że roztrwoniłeś moje natchnienie, by wprawić w zakłopotanie grubiankę? Nie pozostaje nam nic innego, jak dobyć szpady!

– To tylko przykład. Żarcik. Pouczono mnie jednak, że człowiek ostrożny winien rozważyć wszystkie przypadki i okoliczności, możliwe i niemożliwe...

– Widzisz, już uczysz się wysławiać w sposób stosowny. Lecz rozważyłeś to źle i wybrałeś najśmieszniejszą z możliwości. Tak czy inaczej, nie chcę cię do niczego przymuszać. Skreśl ostatnie zdanie i pisz, co ci podyktuję...

– Przecież w takim razie będę musiał przepisać cały list!

– Jesteś też leniem. Ale mędrzec winien wyciągać korzyść także z niepowodzeń. Skreślaj... Już? Dobrze. – Saint-Savin umoczył palec w dzbanie i spuścił kroplę na przekreślony ustęp, tak że powstała wilgotna plama o niewyraźnym konturze, ciemniejąca powoli od czarnego inkaustu, który rozpływał się po kartce. – A teraz pisz. Wybacz, Pani, że nie miałem dość ducha, by zostawić przy życiu myśl, która kradnąc mi łzę, przeraziła swą śmiałością. Zdarza się, iż żar Etny rodzi słodki strumień słonych wód.

Lecz me serce, o Pani, jest jak morska koncha, która spijając pot jutrzenki, poczyna perłę i wraz z nią wzrasta. Na myśl, że Twa obojętność chce wyrwać z mego serca ową perłę, którą ono tak zazdrośnie karmiło, serce tryska mi oczami... No, la Grive, tak jest bez wątpienia lepiej, usunęliśmy przesadę. Lepiej w zakończeniu złagodzić emfazę kochanka, by wzmóc poruszenie ukochanej. Podpisz, opieczętuj, wyślij. Potem czekaj.

– Na co?

– Północ na busoli Ostrożności to rozwijać żagle, gdy powieje wiatr Sprzyjającej Chwili. W tych sprawach cierpliwość nie zaszkodzi. Obecność osłabia łaknienie, oddalenie je pobudza. Jeśli będziesz trzymał się z daleka, zostaniesz uznany za lwa, obecność może zmienić cię w mysz zrodzoną przez górę. Nie brak ci wspaniałych przymiotów, to pewna, ale cnoty tracą blask, gdy zbyt często się ich dotyka, natomiast fantazja sięga dalej niż spojrzenie.

Robert podziękował i pobiegł do domu, ukrywszy list na piersi, jakby go ukradł. Bał się, że ktoś zabierze mu owoc oszustwa.

Znajdę ją – powiedział sobie – ukłonię się i wręczę list. Potem przewracał się w łóżku z boku na bok, wyobrażając sobie, jak dziewczyna czyta, poruszając wargami. Widział teraz Annę Marię Franciszkę Nowaryjkę jako osobę obdarzoną tymi wszystkimi cnotami, które przypisał jej Saint-Savin. Deklarując dziewczynie, choćby i ustami innego, swą miłość, poczuł, że kocha jeszcze bardziej. Wbrew temu, co nakazywał umysł, uległ Umysłowi. Jego miłość do Nowaryjki zyskała tę wykwintną siłę, o której mówił list.

Nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie niosły kule armatnie spadające na miasto, błądził w poszukiwaniu tej, od której gotów był trzymać się z daleka, aż kilka dni później zobaczył ją na rogu ulicy, obładowaną kłosami niby postać mitologiczna. W jego sercu rozpętała się burza i pobiegł naprzeciw dziewczynie, nie wiedząc nawet zbyt dobrze, co zrobi lub powie.

Kiedy zbliżył się do niej, drżąc na całym ciele, zatrzymał się i powiedział:

– Panienko...

– Ja? – zapytała ze śmiechem dziewczyna. – Co?

– To – odparł Robert, któremu nic lepszego nie przyszło do głowy – że nie wiem, którędy iść do zamku.

Dziewczyna wskazała do tyłu głową i spływającą z niej masą włosów.

– Przecie tamtędy, no nie? – I skręciła za róg.

Robert wahał się, czy pójść za nią, kiedy na sam róg spadł ze świstem pocisk, który zburzył murek jakiegoś ogrodu i wzbił obłok kurzu. Robert zakaszlał, zobaczył, że kurz trochę opadł, i zrozumiał, iż przemierzając z nadmierną ekscytacją rozległe obszary Czasu, stracił właśnie Sposobność.

Pragnąc ukarać samego siebie, przygnębiony podarł list i ruszył w stronę swej kwatery, a strzępy jego serca skręcały się na ziemi.

Pierwsza, niezbyt wyrazista miłość przekonała go raz na zawsze, że przedmiot miłości przebywa daleko, i sądzę, iż ten epizod odcisnął niezatarte piętno na jego losach jako kochanka. W następnych dniach wracał na wszystkie rogi ulic (gdzie otrzymał wiadomość, gdzie wpadł na trop, gdzie słyszał, jak o niej mówią, i gdzie ją zobaczył), by odtworzyć pejzaż pamięci. Nakreślił w ten sposób Casale swej namiętności, przeobrażając uliczki, fontanny, place w Rzekę Skłonności, Jezioro Obojętności albo Morze Niechęci; uczynił ze zranionego miasta Krainę swojej niezaspokojonej Czułości, Wyspę (już wtedy, przeczuwam) swej Samotności.

13

Mapa Czułości

Dwudziestego dziewiątego czerwca w nocy obudził oblężonych straszliwy huk, po czym zawarczały bębny. Wybuchła pierwsza mina, którą nieprzyjaciele zdołali odpalić pod murami, wysadzając jeden z szańców i zabijając dwudziestu pięciu żołnierzy. Następnego dnia, koło szóstej po południu, na zachodzie usłyszano jakby odgłos burzy, a na wschodzie ukazał się bledszy niż reszta nieba róg obfitości, którego zakończenie na zmianę wydłużało się i skracało. Była to kometa, która wywołała wstrząs wśród wojskowych, a mieszczan skłoniła do zamknięcia się w domach. W następnych tygodniach wyleciały w powietrze inne fragmenty murów, oblężeni zaś strzelali ze skarp twierdzy w powietrze, gdyż nieprzyjaciel przemieszczał się teraz pod ziemią, a kopanie kontrmin wcale go nie przepłoszyło.

Robert przeżywał tę katastrofę jak podróżny z zagranicy. Całymi godzinami rozmawiał z księdzem Emanuelem o najlepszych sposobach opisywania ognia podczas oblężenia, ale coraz częściej spotykał się z Saint-Savinem, by pracować z nim nad równie żywymi metaforami, które uzmysławiałyby ogień jego miłości – atoli nie śmiał przyznać się do klęski swego uczucia. Saint-Savin zapewniał mu scenę, na której jego miłosna przygoda mogła rozwijać się szczęśliwie; Robert w milczeniu znosił haniebną współpracę przyjaciela przy następnych listach, udawał, że dostarcza je adresatce, i rozczytywał się w nich co noc, jakby relację z wszystkich tych udręk ona kierowała do niego.

Zmyślał sytuacje, w których Nowaryjka, ścigana przez lancknechtów, padała mu wyczerpana w ramiona, on zaś rozpraszał wrogów i prowadził ją

do ogrodu, gdzie mógł wreszcie zakosztować jej nieokiełznanej wdzięczności. Takim myślom oddawał się, leżąc w łóżku, a doszedłszy do siebie po długotrwałym omdleniu, układał sonety poświęcone ukochanej.

Jeden z nich pokazał Saint-Savinowi, który tak skomentował utwór:

– Uważam, że jest okropny, jeśli się nie obrazisz, ale pociesz się, gdyż większość z tych, którzy mają się w Paryżu za poetów, robi to jeszcze gorzej. Nie poetyzuj swej miłości, namiętność odbiera ci ten boski chłód, który był chwałą Katullusa.

Robert odkrył, że ma charakter melancholiczny, i zwierzył się z tego Saint-Savinowi.

– Raduj się – odparł przyjaciel – bo melancholia nie jest osadem krwi, lecz jej kwiatem, i rodzi bohaterów, ponieważ pcha ich do najzuchwalszych czynów, jako że jest bliska szaleństwu.

Jednak Robert nie czuł, by coś pchało go do jakichkolwiek czynów, i pogrążał się coraz bardziej w melancholię z tego powodu, że jest nie dość melancholiczny.

Był głuchy na wrzaski i strzały armatnie, słyszał jednak pogłoski podnoszące na duchu (o kryzysie w obozie hiszpańskim, o zbliżaniu się armii francuskiej), cieszył się, gdy w połowie lipca kontrmina zabiła wreszcie wielu Hiszpanów; ale w tym czasie przyszło opuścić wiele szańców i awangardy nieprzyjacielskie mogły już prowadzić w stronę miasta ogień bezpośredni. Dowiedział się, że niektórzy casalczycy próbowali łowić w Padzie ryby, i nie troszcząc się, iż podąża szlakiem narażonym na ogień nieprzyjacielski, pobiegł z duszą na ramieniu zobaczyć, czy cesarscy nie strzelają do Nowaryjki.

Po drodze przepychał się między zbuntowanymi żołnierzami, których kontrakt nie przewidywał kopania okopów. Casalczycy odmówili tego rodzaju prac i Toiras musiał obiecać żołnierzom dodatek do żołdu. Podobnie jak wszyscy, z radością przyjął wiadomość, że Spinola zachorował na dżumę, cieszył się, kiedy gromada neapolitańskich dezerterów weszła do Casale, porzucając ze strachu zagrożony zarazą obóz

nieprzyjacielski, słuchał, jak ojciec Emanuel mówi, że może to spowodować wybuch choroby w mieście...

W połowie września dżuma istotnie się pojawiła, ale Robert nie dbał o to, lękając się tylko, by nie zachorowała Nowaryjka. Jednak pewnego ranka obudził się z wysoką gorączką. Zdołał przez posłańca zawiadomić o tym ojca Emanuela i został po kryjomu przeniesiony do klasztoru, unikając w ten sposób jednego z zaimprowizowanych lazaretów, gdzie chorzy marli jak muchy – po cichu, żeby nie rozpraszać innych, których przeznaczeniem była śmierć pirotechniczna.

Nie myślał o śmierci, gorączka myliła mu się z miłością i śnił o tym, że dotyka ciała Nowaryjki, chociaż miętosił tylko siennik albo gładził spocone i obolałe części własnego ciała.

Potęga pamięci zbyt obrazowej sprawiła, że wtedy na „Dafne”, o coraz późniejszej nocnej godzinie, kiedy niebo dokonywało niespiesznych obrotów, a Krzyż Południa zniknął za horyzontem, Robert nie wiedział już, czy płonie wskrzeszoną miłością do wojennej Diany z Casale, czy do Pani przebywającej daleko poza zasięgiem jego spojrzeń.

Chciał sprawdzić, dokąd mogła umknąć, i pobiegł do kabiny z przyrządami nawigacyjnymi, gdzie, jak mu się zdawało, widział mapę tych mórz. Znalazł wielką kolorową mapę – niepełną, gdyż w owych czasach siłą rzeczy wielu map nie można było ukończyć: żeglarz kreślił te brzegi nowo odkrytego lądu, które zobaczył, ale całego konturu nie mógł narysować, nie wiedząc wszak, jak i dokąd ów ląd się ciągnie. Z tego powodu mapy Pacyfiku jawiły się często jako arabeski plaży, szkice obwodów, hipotezy wymiarów, a wyraziste były na nich tylko nieliczne wysepki, które zdołano opłynąć, oraz znane z doświadczenia kierunki wiatrów. Niektórzy, by dało się rozpoznać jakąś wyspę, rysowali po prostu bardzo precyzyjnie kształt gór i unoszących się nad nimi obłoków, dzięki czemu można ją było zidentyfikować podobnie, jak poznajemy z daleka jakąś osobę po rondzie kapelusza albo po ruchach.

Na mapie widać było granice dwóch znajdujących się naprzeciw siebie brzegów, które oddzielał kanał ciągnący się z południa na północ, przy czym jeden z tych brzegów był prawie zamknięty falistymi liniami sugerującymi, że chodzi o wyspę, i mogła to być jego Wyspa. Ale za szerokim obszarem morza znajdowały się grupy innych przypuszczalnych wysp o dosyć podobnych kształtach i tam też mogło być miejsce, w którym się znajdował.

Mylilibyśmy się, sądząc, że Roberta ogarnęła geograficzna ciekawość: zbyt mocno ojciec Emanuel wpoił mu nawyk odmieniania – za pomocą soczewki w Lunecie Arystotelesowskiej – tego, co widome. Zbyt intensywnie uczył go Saint-Savin podsycać pragnienie słowami, językiem, który dziewczynkę przeobraża w łabędzia, a łabędzia w kobietę, słońce w kociołek, a kociołek w słońce! Do późnej nocy widzimy Roberta bujającego w obłokach nad mapą, którą przeobraził w pożądane ciało niewieście.

Jeśli błędem kochanków jest pisać imię ukochanej istoty na piasku plaży, by zaraz zmyły je fale, jakimż przezornym kochankiem czuł się Robert, który ukochane ciało utożsamił z zakolami zatok i mierzejami, włosy z prądami wśród meandrów archipelagów, letnią wilgotność oblicza z refleksem światła na wodach, tajemnicę oczu z błękitem pustego bezmiaru – tak że mapa, poprzez najrozmaitsze zatoki i cyple, raz po raz odtwarzała omdlewające zarysy umiłowanego ciała. Poddając się żądzom, ustami doprowadzał na mapie do katastrof morskich, wysysał ten ocean rozkoszy, łechtał jakiś przylądek, nie ważąc się jednak wtargnąć do cieśniny, z licem przywartym do arkusza wdychał oddech wiatrów, pragnął wchłonąć źródła i krynice, zlec spragniony i osuszyć delty rzek, zmienić się w słońce, by całować brzegi, w przypływ, by zgłębić arkana rzecznych ujść...

Jednak rozkoszował się nie posiadaniem, lecz utratą: kiedy z taką żarliwością obmacywał to powabne trofeum erudycyjnego pędzla, być może Tamci, na prawdziwej Wyspie – tam gdzie rozpościerała swe czarowne kształty, których mapa nie była jeszcze w stanie odtworzyć – brali

do ust jej owoce, może kąpali się w jej wodach... Tamci, zdumieni i okrutni olbrzymi, zbliżali w tej chwili szorstką dłoń do jej piersi, oszpeceni bracia Wulkana posiedli tę delikatną Afrodytę, muskali jej wargi z taką samą tępotą, z jaką rybak z Wyspy Nieznalezionej, gdzieś za ostatnim horyzontem Archipelagu Kanaryjskiego, ciska w morze najpiękniejszą z pereł...

Oto Ona w innych kochających rękach... Ta myśl, zamroczenie ostateczne, sprawiała, że Robert skręcał się i wył w swej zbrojnej w dziryt impotencji. I pogrążony w tym szale, błądząc po omacku po stole, jakby chwytając chociaż kraj sukni, prześlizgnął się spojrzeniem od wyobrażenia tego pacyficznego, miękko falistego ciała ku innej mapie, na której nieznany autor próbował, być może, przedstawić zapalnikowe przewody wulkanów zachodniej ziemi: był to portolan całego naszego globu – wszędzie pióropusze dymów na wierzchołkach wybrzuszeń skorupy, wewnątrz zaś gmatwanina rozżarzonych żył. I nagle poczuł się żywym wizerunkiem tego globu, rzygającym z charkotem lawą ze wszystkich porów, wybuchającym limfą swojego niezaspokojonego nasycenia, odchodzącym w końcu od zmysłów – unicestwionym przez zapiekłą wodną puchlinę (tak napisał) – nad tym umiłowanym ciałem astralnym.

14

Traktat o Sztuce Orężnej

Także w Casale marzył o otwartych przestrzeniach i rozległej konsze, gdzie ujrzał po raz pierwszy Nowaryjkę. Ale pokonał już chorobę i trzeźwiej myślał o tym, że nigdy ukochanej nie odnajdzie, bo wkrótce zemrze, a być może ona też rozstała się z życiem.

W rzeczywistości wcale nie umierał, a nawet wracał powoli do zdrowia, choć nie zdawał sobie z tego sprawy i zachcianki rekonwalescenta brał za słabnięcie tętna życia. Saint-Savin odwiedzał go często i przekazywał najświeższe nowiny, gdy przy chorym znajdował się ojciec Emanuel (który wbijał w niego spojrzenie, jakby chciał zabrać mu duszę), kiedy zaś ksiądz musiał się oddalić (gdyż w klasztorze prowadzono coraz intensywniejsze rokowania), zapuszczał się w filozoficzne rozważania na temat życia i śmierci.

– Miły przyjacielu, Spinola umiera. Zostałeś zaproszony na festyn, jaki wyprawimy po jego zgonie.

– W przyszłym tygodniu mnie również nie będzie wśród żywych...

– Nieprawda, umiałbym poznać twarz umarlaka. Źle bym jednak czynił, gdybym odwodził cię od myślenia o śmierci. Owszem, korzystaj z choroby jako okazji do tych poczciwych ćwiczeń.

– Panie Saint-Savin, mówisz jak duchowny.

– Bynajmniej. Nie mówię ci, byś gotował się do przyszłego życia, lecz byś dobrze użył tego, które ci dano, i kiedy przyjdzie ta jedyna śmierć, z jaką będziesz miał do czynienia, byś umiał godnie ją przyjąć. Trzeba przedtem medytować, i to wielekroć, nad sztuką umierania, by w stosownej chwili zrobić to dobrze.

Robert chętnie by już wstał, ale ojciec Emanuel kazał mu leżeć, uważał bowiem, że rekonwalescent nie doszedł jeszcze na tyle do siebie, by rzucić się w wir wojenny. Robert dał mu do zrozumienia, że chciałby się z kimś jak najszybciej zobaczyć. Ojciec Emanuel uznał, że byłoby głupotą, gdyby wysuszone ciało pacjenta osłabiało się jeszcze bardziej myśleniem o ciele bliźniego, i spróbował go przekonać, iż kobiecy ród jest godny tylko pogardy.

– Ten czczy Świat Niewieści, który wzięły na swe ramiona niektóre nowomodne Atlaski, obraca się wokół Niesławy i ma znaki Raka i Koziorożca jako Zwrotniki. Zwierciadło, Pierwszy w nim Mebel, nigdy tak nie ciemnieje jak wtedy, gdy odbija Gwiazdy tych Oczu lubieżnych, które emanując Wapory otumanionych Kochanków, stają się Meteorami zwiastującymi klęskę zacności.

Robert nie zachwycił się astronomiczną alegorią ani też nie rozpoznał swej umiłowanej w portrecie światowych wiedźm. Pozostał w łóżku, ale jeszcze mocniej emanował Wapory swego Oczarowania.

Inne nowiny przyniósł w tym czasie pan della Saletta. Casalczycy zastanawiali się, czy nie dać Francuzom dostępu do cytadeli, zrozumieli bowiem, że jeśli ma się uniemożliwić dostęp do niej nieprzyjacielowi, trzeba połączyć siły. Ale pan della Saletta wskazał im, że w momencie, kiedy upadek miasta jest, jak wszystko wskazuje, bliski, oni, bardziej niż kiedykolwiek pokazując gotowość do współpracy, rewidują w swych sercach pakt sojuszniczy.

– Trzeba – oznajmił – być niewinnymi jak gołąbki w stosunku do pana de Toiras, ale i chytrymi jak węże w wypadku, gdyby jego król zechciał później sprzedać Casale. Należy walczyć, by uznano naszą zasługę, jeśli Casale się obroni, lecz bez przesady, by wina spadła na Francuzów, jeśli się nie utrzyma. – I dla pouczenia Roberta dodał: – Człek ostrożny nie powinien się zaprzęgać do jednego wozu.

– Ale Francuzi mówią, że jesteście kupcami i nigdy nie widać, byście walczyli, wszyscy natomiast widzą, że uprawiacie lichwiarski proceder.

– Jeśli chce się długo żyć, trzeba mało znaczyć. Wyszczerbiony wazon tłucze się na końcu, gdy już znuży swą trwałością.

Pewnego ranka w pierwszych dniach września spadła na Casale zbawienna ulewa. Wszyscy zdrowi i rekonwalescenci wyszli na zewnątrz, by zmyć deszczem wszelki ślad po zarazie. Był to raczej sposób na dodanie sobie otuchy niż kuracja i choroba panoszyła się także po tej burzy. Jedynymi pocieszającymi wiadomościami były te mówiące o dziele, jakiego dżuma dokonała w szeregach nieprzyjacielskich.

Robert miał teraz dość sił, by stanąć na nogi, odważnie wyszedł więc poza mury klasztorne i po jakimś czasie na progu domu oznaczonego zielonym krzyżem, który ostrzegał przed miejscem dotkniętym zarazą, ujrzał Annę Marię czy może Franciszkę Nowaryjkę. Wychudła i wyglądała jak postać z *Tańca Śmierci*. Kiedyś miała cerę barwy śniegu i owocu granatu, teraz z jej dawnych wdzięków pozostała na schorowanej twarzy żółtość, nie całkiem jednak pozbawiona uroku. Robert przypomniał sobie słowa, które padły z ust Saint-Savina: „A może będziesz nadal rzucał się przed nią na kolana, kiedy starość zmieni jej ciało w upiora zdatnego tylko do tego, by przypominać o bliskości śmierci?”

Dziewczyna płakała, wsparta na ramieniu jakiegoś kapucyna, jakby utraciła kogoś drogiego, może swego Francuza. Kapucyn, o twarzy bielszej niż broda, podtrzymywał ją, wznosząc ku niebu kościsty palec, jakby chciał powiedzieć: „Kiedyś, tam...”

Miłość staje się sprawą psychiki tylko wtedy, gdy ciało jest trawione pragnieniem i pragnienie owo zostanie zdeptane. Jeśli ciało jest w stanie żałosnym, aspekt psychiczny znika. Robert spostrzegł, że wskutek osłabienia nie może kochać. *Exit* Anna Maria (Franciszka) Nowaryjka.

Wrócił do klasztoru i położył się do łóżka, zdecydowany umrzeć tym razem naprawdę, zbyt bowiem wielkich cierpień przysparzało mu to, że przestał cierpieć. Ojciec Emanuel zachęcał go do wychodzenia na powietrze. Ale nowiny docierające z zewnątrz nie zachęcały zgoła do życia. Po dżumie pojawił się głód, a z nim coś jeszcze gorszego – zaciekłe polowanie na żywność, którą casalczycy jeszcze ukrywali i której nie

chcieli oddać swym sprzymierzeńcom. Robert uznał, że skoro nie mógł umrzeć od dżumy, umrze z głodu.

Wreszcie ojciec Emanuel postawił na swoim i przegonił go z klasztoru. Ledwie Robert skręcił za róg, wpadł na grupkę hiszpańskich oficerów. Zrobił ruch, jakby chciał uciekać, ale oni zasalutowali mu ceremonialnie. Zrozumiał, że po wysadzeniu wielu bastionów wrogowie opanowali rozmaite punkty miasta i można było nawet powiedzieć, że to nie z pola oblega się Casale, ale że z Casale oblega się zamek.

W głębi ulicy natknął się na Saint-Savina.

– Drogi de la Grive – powiedział ten ostatni – zachorowałeś jako Francuz, doszedłeś do zdrowia jako Hiszpan. Ta część miasta jest teraz w rękach nieprzyjacielskich.

– A my możemy chodzić to tu, to tam?

– Nie wiesz, że podpisano zawieszenie broni? A poza tym Hiszpanie chcą zamku, a nie nas. W części francuskiej coraz trudniej o wino, a casalczycy dobywają go z piwnic opieszale, jakby to była krew Pana naszego. Nie można zabronić dobrym Francuzom odwiedzania tawern w tej części miasta, do której oberżyści sprowadzają teraz doskonałe wino z okolicy. A Hiszpanie goszczą nas, jak przystało na wielkich panów. Tyle że trzeba przestrzegać pewnych konwencji. Jeśli jesteś spragniony bijatyki, oddaj się jej u siebie, z ziomkami, tutaj bowiem należy przestrzegać dwornych obyczajów, jak to wśród nieprzyjaciół. Wyznaję więc, że część hiszpańska jest mniej zajmująca niż francuska, przynajmniej dla nas. Dołącz jednak do kompanii. Dzisiaj wieczorem będziemy śpiewać serenadę pewnej damie, która ukrywała przed nami swe wdzięki aż do przedwczoraj, kiedy to ujrzałem, jak staje na chwilę w oknie.

I tak Robert znowu zobaczył tego wieczoru pięć znajomych twarzy ze świty Toirasa. Nie brakowało nawet księdza, który przystroił się na tę okazję w koronki i satynową szarfę.

– Niech Pan nam wybaczy – powiedział obłudnie, ale dość lekko – musimy jednak nabrać pogody ducha, jeśli nadal zamierzamy spełniać nasz

obowiązek...

Dom znajdował się przy placu w hiszpańskiej teraz części miasta, ale o tej porze wszyscy Hiszpanie udali się do szynków. W prostokącie nieba, zamkniętym niskimi dachami i koronami drzew wokół placu, widać było jasny, ledwie nieco dziobaty księżyc, przeglądający się w wodzie fontanny, która szemrała pośrodku tego zadumanego kwadratu.

– O najsłodsza Diano! – wykrzyknął Saint-Savin. – Jakże ciche i spokojne muszą być teraz twe miasta i wioski, które nie znają wojny, albowiem Selenici żyją w naturalnym stanie szczęśliwości, nie wiedząc, co to grzech...

– Nie bluźnij, panie Saint-Savin – ostrzegł go ksiądz. – Jeśli bowiem Księżyc jest zamieszkany, jak roił niedawno w swym romansie pan de Moulinet, czego nie potwierdza Pismo, jakże nieszczęśliwi byliby jego mieszkańcy, nieznający Wcielenia!

– I jakże okrutny byłby Pan Bóg, gdyby pozbawił ich takiego objawienia! – odparował Saint-Savin.

– Nie próbuj przeniknąć tajemnic boskich. Bóg nie udzielił nauk Syna swojego także mieszkańcom Ameryk, lecz w swej dobroci posłał misjonarzy, by zanieśli im światło.

– Czemu więc pan papież nie wyśle misjonarzy na Księżyc? Czyżby Selenici nie byli synami bożymi?

– Nie mów, panie, głupstw!

– Nie podniosę tego, księże, żeś nazwał mnie głupcem, wiedz jednak, że pod tą głupotą kryje się tajemnica, której pan papież z pewnością nie chce odsłonić. Gdyby misjonarze odkryli mieszkańców Księżyca i ujrzeli, iż ci patrzą na inne światy, dostępne ich oczom, naszym zaś nie, musieliby zadać sobie pytanie, czy w tych światach nie żyją czasem inne podobne nam istoty. I musieliby też rozważyć, czy gwiazdy stałe nie są wszystkie słońcami, otoczonymi swymi księżycami i innymi planetami, i czy mieszkańcy tych planet tak samo nie widzą innych jeszcze gwiazd, nam nieznanych, które byłyby z kolei słońcami dla jakichś planet, i tak w nieskończoność...

– Bóg nie dał nam mocy wyobrażenia sobie nieskończoności, ukontentuj się więc istotami ludzkimi stąd.

– Serenada, serenada – szemrali pozostali. – Oto okno.

Ukazało się okno rozświetlone czerwonawym światłem, które padało z wymarzonej alkowy. Ale obu przeciwnikom krew wzburzyła się już w żyłach.

– Dodajże więc – nalegał szyderczo Saint-Savin – że gdyby świat był skończony i otoczony Nicością, skończony byłby również Bóg. Jego rolą jest bowiem, jak powiadasz, przebywać w niebie i na ziemi, i w każdym miejscu, a nie mógłby przecież przebywać tam, gdzie jest tylko Nicość. Nicość nie jest miejscem. Aby więc powiększyć świat, musiałby powiększyć siebie, wyłaniając się po raz pierwszy tam, gdzie Go nie było, co daje sprzeczność z Jego roszczeniem, iż jest wieczny.

– Dość tego, panie! Negujesz wieczność Boga, a na to nie ma zgody! Nadszedł czas, bym cię zabił, aby twój rzekomo tęgi umysł nie mógł już zachwiać naszą wiarą!

Obnażył szpadę.

– Jak chcesz, panie – odparł Saint-Savin, kłaniając się i przyjmując pozycję. – Ja cię jednak nie zabiję, nie chcę bowiem ujmować żołnierzy memu królowi. Pozwolę sobie tylko cię oszpecić, abyś przez resztę życia musiał nosić maskę, jak czynią to italscy komedianci, gdyż ich godność do ciebie pasuje. Będziesz miał szramę od oka do ust, a to piękne cięcie trzebiciela wieprzy zadam ci dopiero, kiedy między jednym a drugim starciem zapoznam cię z zasadami filozofii naturalnej.

Ksiądz rzucił się do ataku, tnąc z rozmachem, wykrzykując, że przeciwnik jest jadowitym robakiem, pchłą, wszą, którą trzeba bezlitośnie rozgnieść. Saint-Savin odparował atak, po czym sam z kolei jął nacierać; przyparł księdza do drzewa, filozofując przy każdym ruchu szpady.

– Ejże, takie wywijanie szpadą jak twoje to sposób atakowania godny człowieka zaślepionego gniewem! Nie przyswoiłeś sobie, panie, Idei Zasłony. Lecz gardząc pchłami i wszami, okazujesz, że brak ci też miłosierdzia. Jesteś zwierzęciem zbyt małym, by wyobrazić sobie świat,

jaki widzą wielkie zwierzęta i jaki pokazał nam już boski Platon. Spróbuj pomyśleć, że gwiazdy to inne światy, pełne zwierząt niższych, i że zwierzęta niższe są jak świat dla innych ludów, a wtedy nie znajdziesz sprzeczności w poglądzie, iż także my i konie, i słonie to całe światy dla pcheł i wszy, których jesteśmy mieszkaniem. Nasza wielkość sprawia, że nie dostrzegają nas, jak my z powodu naszej małości nie dostrzegamy światów większych. Może jest jakiś lud wszy, które biorą twe ciało za świat, i kiedy jedna z nich przemierzy drogę od czoła po kark, jej towarzyszki powiadają, że ważyła się wyprawić ku granicom znanego świata. Ten ludek uważa twoje włosy za bór swojej krainy, a kiedy już zadam ci cios, uzna rany za jeziora i morza. Gdy się czeszesz, biorą te zaburzenia za przypływy i odpływy oceanu, a nie cieszą się wcale, że ich świat jest tak niespokojny wskutek twojego nader niewieściego upodobania do grzebienia, teraz zaś, kiedy obcinam ci ten frędzel, twój gniewny okrzyk uznają za huragan. Ciach!

I rozpruł mu ozdobę stroju, prawie rozcinając haftowany kaftan.

Ksiądz pienił się z wściekłości. Przesunął się na środek placu, rozejrzał, czy ma dość miejsca do wykonania zamierzonego zwodu, i cofnął się, żeby fontanna zabezpieczała mu tyły.

Saint-Savin tańczył wokół niego, nie atakując jednak.

– Unieś głowę, księże, spójrz na księżyc i tylko pomyśl. Skoro twój Bóg umiał stworzyć duszę nieśmiertelną, mógł stworzyć także nieskończony świat. Jeśli jednak świat jest nieskończony, jest taki zarówno względem przestrzeni, jak i czasu, a tym samym jest wieczny, jeśli zaś mamy do czynienia ze światem wiecznym, niepotrzebującym zgoła, by go stwarzano, to niepotrzebna staje się idea Boga. Cóż to za pyszny żart, księże! Jeśli Bóg jest nieskończony, nie możesz ograniczać jego potęgi, nigdy nie może On *ab opere cessare*, a więc nieskończony jest świat, nie ma Boga, zupełnie jak zaraz nie będzie już frędzli przy twoim kaftanie.

I przechodząc od słów do czynów, obciął kilka następnych frędzli, którymi ksiądz bardzo się pysznił, a potem skrócił dystans, podnosząc trochę wyżej ostrze, i kiedy duchowny spróbował natarcia, ciął nagle ostrze

przeciwnika. Ksiądz prawie wypuścił szpadę i chwycił się lewą ręką za obolały nadgarstek.

Wrzasnął:

– Na rany boskie, zaraz skończę z tobą, bezbożny bluźnierco, na wszystkich cholernych świętych z raju, na krew Ukrzyżowanego!

Okno damy otworzyło się, ktoś w nim stanął i wydał okrzyk. Obecni zapomnieli już, po co tu przyszli, i otoczyli pojedynkujących się przeciwników, którzy okrążali fontannę, przy czym Saint-Savin rozpraszał uwagę księdza serią parad, to wywijając szpadą młynka, to atakując wysuniętym ostrzem.

– Nie wzywaj na pomoc, księże, tajemnic wcielenia – szydził. – Twój święty Kościół rzymski nauczył cię, że ta nasza grudka błota jest środkiem wszechświata, który wiruje wokół niej niczym minstrel, przygrywając muzyką sfer. Uwaga, za bardzo umykasz ku fontannie, zamoczysz poły jak starzec cierpiący na kamienie... Jeśli jednak w wielkiej pustce krąży nieskończona liczba światów, jak utrzymuje wybitny filozof, którego tacy jak ty spalili w Rzymie, w tym wiele zamieszkanych przez istoty nam podobne, i jeśli wszystkie zostały stworzone przez twojego Boga, cóż poczniemy z Odkupieniem?

– Co Bóg pocznie z tobą, synu piekieł! – krzyknął ksiądz, z trudem parując cios.

– Czy Chrystus wcielił się raz tylko? Czy zatem grzech pierworodny został popełniony jeden jedyny raz, na naszej planecie? Cóż za niesprawiedliwość! Albo względem innych, gdyż pozbawieni zostali Wcielenia, albo względem nas, gdyż w takim razie we wszystkich innych światach ludzie byliby doskonali jak nasi rodzice, nim zgrzeszyli, i cieszyliby się naturalną szczęśliwością, nie dźwigając ciężaru Krzyża. Bądź też nieskończenie liczni Adamowie nieskończenie wiele razy upadali po raz pierwszy, skuszeni przez nieskończenie liczne Ewy nieskończenie licznymi jabłkami, i Chrystus musiał wcielać się, nauczać i cierpieć na Kalwarii nieskończenie wiele razy, a skoro światów jest nieskończenie wiele, nigdy nie skończy się Jego posłannictwo. Nieskończone

posłannictwo, nieskończone formy męki. Jeśli gdzieś poza Galaktyką jest Ziemia, gdzie ludzie mają po sześć ramion, jak u nas na Ziemi Nieznanej, Syn Boga zostanie ukrzyżowany nie na krzyżu, lecz na konstrukcji w kształcie gwiazdy, a to wydaje mi się godne komediopisarza.

– Dość, skończę raz na zawsze z twoją komedią! – ryknął niepanujący już nad sobą ksiądz i rzucił się do ostatniego ataku na Saint-Savina.

Saint-Savin odpowiedział kilkoma pięknymi paradami, a potem wszystko stało się w jednej chwili. Ksiądz miał jeszcze szpadę uniesioną po primie, kiedy Saint-Savin wykonał ruch, jakby chciał zadać cios, i udał, że pada do przodu. Ksiądz odsunął się w bok, mając nadzieję trafić przeciwnika, gdy ten będzie padał. Lecz Saint-Savin, który dobrze panował nad pracą nóg, wyprostował się błyskawicznie i dodając sobie siły przez to, że lewicą oparł się o ziemię, prawicę wyrzucił ku górze. Był to manewr mewy. Koniec szpady rozpłatał twarz księdza od nasady nosa do wargi, odcinając lewy wąs.

Ksiądz zaklął paskudniej, niż śmiałby jakikolwiek epikurejczyk, Saint-Savin zasalutował szpadą, a obecni przyjęli oklaskami mistrzowskie cięcie.

Jednak w tym właśnie momencie w głębi placu ukazał się hiszpański patrol, być może zwabiony hałasem. Francuzi instynktownie położyli dłonie na rękojeściach szpad, Hiszpanie zobaczyli sześciu uzbrojonych wrogów i zaczęli krzyczeć: „Zdrada!” Jeden z żołnierzy wymierzył z muszkietu; rozległ się strzał i Saint-Savin runął na ziemię, trafiony prosto w pierś. Oficer zobaczył, że czterech mężczyzn, miast ruszyć do starcia, upuściło broń i skupiło się wokół rannego; spojrzał na zalanego krwią księdza, zrozumiał, że zakłócił przebieg pojedynku, rzucił rozkaz i patrol zniknął.

Robert pochylił się nad nieszczęsnym przyjacielem.

– Widziałeś – odezwał się z wysiłkiem Saint-Savin – widziałeś, de la Grive, mój atak? Przemyśl to i ćwicz. Nie chcę, żeby jego sekret umarł wraz ze mną...

– Saint-Savin, przyjacielu – zapłakał Robert – nie możesz umrzeć w sposób tak głupi!

– Głupi? Pokonałem głupca, umieram w walce, od kuli nieprzyjacielskiej. W życiu zachowywałem mądrze miarę... Nie można przemawiać zawsze z powagą, bo to nudne. Szydzić, bo to świadectwo pogardy. Filozofować, bo to smutne. Żartować, bo to przykre. Przyjmowałem wszystkie role, zależnie od chwili i okoliczności, a parę razy byłem nawet dworskim błaznem. Ale dzisiejszego wieczoru, jeśliby dobrze opowiedzieć tę historię, nie było komedii, lecz wspaniała tragedia. I nie smuć się, Robercie, że umieram. – Po raz pierwszy zwrócił się doń po imieniu. – *Une heure après la mort, notre âme évanouie, sera ce que'elle estoit une heure avant la vie*... Piękne wiersze, prawda?

Skonał. Postanowiono, że należy uciec się do szlachetnego kłamstwa, na które przystał także ksiądz, i rozgłoszono, iż Saint-Savin zginął w potyczce z lancknechtami, którzy podchodzili pod zamek. Toiras i wszyscy przyjaciele opłakiwali go jak bohatera. Ksiądz opowiedział, że został ranny w toku tejże potyczki, i gotował się już na przyjęcie kościelnego beneficjum po powrocie do Paryża.

W krótkim czasie Robert stracił ojca, ukochaną, zdrowie, przyjaciela, a może nawet przegrał wojnę.

Nie znalazł ukojenia u ojca Emanuela, zbyt zaprzątniętego swymi intrygami. Zgłosił się do służby u pana de Toiras, ostatniego już z ludzi bliskich, i nosząc jego rozkazy, był świadkiem końcowych wydarzeń.

Trzynastego września przybyli do zamku wysłannicy króla Francji, księcia sabaudzkiego i kapitana Mazzariniego. Armia zdążająca z odsieczą także podjęła rokowania z Hiszpanami. I wcale nie ostatnim dziwactwem tego oblężenia był fakt, że Francuzi prosili o zawieszenie broni, by zdążyć na odsiecz miastu; Hiszpanie godzili się na to, gdyż również w ich obozie, spustoszonym przez dżumę, panowała sytuacja kryzysowa, mnożyły się wypadki dezercji, a Spinola resztką sił trzymał się życia. Toiras dostrzegł, że nowo przybyli narzucili mu warunki układu, pozwalające kontynuować obronę Casale, chociaż Casale już padło: Francuzi mieli zająć pozycje w cytadeli, miasto i zamek pozostawiając Hiszpanom co najmniej do

piętnastego października. Jeśli do tego czasu armia nie dotrze z odsieczą, Francuzi opuszczą także cytadelę, ponosząc ostateczną klęskę. W przeciwnym razie Hiszpanie oddadzą miasto i zamek.

Do tego czasu oblegający będą dostarczać oblężonym prowiant. Nie jest pewne, jak naszym zdaniem winno przebiegać w owych czasach oblężenie, ale w owych czasach godzono się, by tak właśnie przebiegało. Nie była to wojna, lecz gra w kości, którą przerywało się, kiedy jeden z graczy musiał wyjść na chwilę, żeby opróżnić pęcherz. Albo stawianie na zwycięskiego konia. A koniem była tamta armia, której liczebność coraz wyżej wzlatywała na skrzydłach nadziei, ale której nikt na razie nie widział. W Casale, w cytadeli, żyło się jak na „Dafne”: wyobrażając sobie odległą Wyspę i mając w domu intruzów.

Awangarda hiszpańska zachowywała się przyzwoicie, ale teraz wkroczyły do miasta główne siły i casalczycy zetknęli się z szatańskim pomiotem – z żołnierzami, którzy wszystko rekwirowali, gwałcili kobiety, chłostali mężczyzn i po miesiącach spędzonych w lasach i w polu korzystali z uciech, jakich dostarczało miasto. Jednakowo za to zdobywcy, podbici i zabarykadowani w cytadeli dzielili między siebie dżumę.

Dwudziestego piątego września rozeszła się pogłoska o śmierci Spinoli. Radość w cytadeli, wstrząs wśród zdobywców, którzy stali się sierotami zupełnie jak Robert. Były to dni bez historii, i to jeszcze bardziej niż na „Dafne”, aż dwudziestego drugiego października ogłoszono, że armia posiłkowa dotarła do Asti. Hiszpanie przystąpili do opatrywania zamku i ustawiania dział wzdłuż brzegu Padu, łamiąc (klął Toiras) układ, który mówił wszak, że po dotarciu posiłków winni wyjść z Casale. Hiszpanie zaś przypominali ustami pana de Salazar, że układ przewidywał jako ostateczny termin dzień piętnasty października i to raczej Francuzi powinni już tydzień temu oddać cytadelę.

Dwudziestego czwartego października ze stoków cytadeli dojrzano wielkie poruszenie w oddziałach nieprzyjacielskich i Toiras przygotował się, by wesprzeć działami przybywających Francuzów. W następnych dniach Hiszpanie zaczęli pakować dobytek na barki, by odesłać go do

Alessandrii, co uznano w cytadeli za dobry znak. Ale zaczęli także budować mosty pontonowe, przygotowując się do odwrotu. Toiras uznał to posunięcie za tak mało eleganckie, że zaczął ostrzeliwać ich z dział. W odwecie Hiszpanie aresztowali wszystkich przebywających nadal w mieście Francuzów, choć jak się tam znaleźli, nie mam pojęcia, powtarzam jednak za Robertem i wiem już, że po tym oblężeniu można spodziewać się wszystkiego.

Francuzi byli już blisko, a Mazzarini – z mandatu papieża – robił, co mógł, by nie dopuścić do starcia. Przenosił się od jednej armii do drugiej, wracał na narady z ojcem Emanuelem, wyruszał konno z kontrpropozycjami dla jednych i drugich. Robert widywał go wyłącznie z daleka, okrytego kurzem, wymieniającego z wszystkimi zamaszyste ukłony. Obie strony trwały na razie w miejscu, gdyż pierwsza, która ważyłaby się na ruch, dostałaby natychmiast mata. Robert zaczął się nawet zastanawiać, czy armia posiłkowa nie jest czasem wymysłem tego młodego kapitana, który oblegającym i obleganym kazał śnić ten sam sen.

W rzeczywistości od czerwca odbywało się w Ratyzbonie zgromadzenie elektorów cesarskich i Francja posłała tam swoich ambasadorów, a wśród nich ojca Józefa. I już trzynastego października podzielono się miastami i regionami; między innymi doszło do porozumienia w sprawie Casale. Mazzarini dowiedział się o tym bardzo szybko, jak powiedział Robertowi ojciec Emanuel, i chodziło tylko o to, by przekonać bądź tych, którzy tu zdążali, bądź tych, którzy na nich czekali. Hiszpanie też otrzymali sporo informacji, ale wzajemnie sprzecznych. Francuzi wiedzieli to i owo, lecz bali się, że Richelieu stanie okoniem – i tak właśnie uczynił, ale już wtedy przyszły kardynał Mazarin starał się prowadzić sprawy po swojemu i za plecami tego, który miał się stać jego protektorem.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy dwudziestego szóstego października dwie armie stanęły naprzeciw siebie. Na wschodzie, w linii wzgórz biegnącej ku Frassineto, pozycje zajęła armia francuska; naprzeciwko, mając rzekę po lewej ręce, na równinie między murami miasta a wzgórzami – wojsko hiszpańskie, które Toiras ostrzeliwał od tyłu.

Z miasta wyjeżdżał właśnie nieprzyjacielski tabor, Toiras zebrał więc resztkę jazdy i rzucił ją poza mury, by zatrzymać Hiszpanów. Robert błagał, by pozwolono mu wziąć udział w akcji, ale daremnie. Czuł się teraz, jakby przebywał na pokładzie okrętu, z którego nie mógł zejść, i obserwował bezmiar morza oraz sterczącą z niego niedostępną dlań Wyspę.

W pewnym momencie rozległy się wystrzały, być może starły się ze sobą awangardy obu stron. Toiras postanowił dokonać wypadu, gdyż chciał, by żołnierze Jego Królewskiej Katolickiej Mości mieli co robić. Oddziały wychodziły poza obręb murów, kiedy Robert zobaczył z bastionu czarnego jeźdźca, który nie zważając na pierwsze kule, przemykał między dwoma wojskami, dokładnie wzdłuż linii ognia, wymachując jakimś arkuszem papieru i wykrzykując, jak opowiadali później świadkowie: „Pokój, pokój!”

Był to kapitan Mazzarini. W toku swoich pielgrzymek od jednych do drugich przekonał Hiszpanów do zaakceptowania układu z Ratyzbony. Wojna się skończyła. Casale zostało przy Neversie, Francuzi i Hiszpanie zobowiązali się do opuszczenia miasta. Kiedy szeregi się rozsypywały, Robert wskoczył na wiernego Pagnuflego i pogalopował w stronę miejsca niedoszłego starcia. Ujrzał szlachciców w złocistych puklerzach, wymieniających skomplikowane ukłony, komplementy, taneczne kroki. Jednocześnie rozstawiano zaimprowizowane stoliki, by przypieczętować pakty.

Następnego dnia zaczęły się wyjazdy, najpierw Hiszpanie, potem Francuzi, dochodziło przy tym do zamętu, przypadkowych starć, wymiany podarunków, zapewnień o przyjaźni, a w tym samym czasie w mieście gniły na słońcu trupy zadżumionych, płakały wdowy, niektórzy mieszczanie wzbogacili się o brzęczącą monetę i francuską chorobę, choć kładli się do łóżek tylko z własnymi małżonkami.

Robert zaczął rozglądać się za swoimi wieśniakami. Ale nikt nic nie wiedział o żołnierzach z Grivy. Pewnie jedni poumierali na dżumę, inni się rozproszyli. Pomyślał, że niechybnie wrócili do domu i matka dowiedziała się już od nich o śmierci męża. Rozważył, czy nie powinien być w tym

momencie przy niej, ale nie wiedział już, jakie właściwie spoczywają na nim obowiązki.

Trudno powiedzieć, czy jego wiarą bardzo wstrząsnęły owe nieskończenie małe i nieskończenie wielkie, zawieszone w pustce bez Boga i zasad światy, które wskazał mu Saint-Savin, lekcje ostrożności udzielone przez Salettę i Salazara, sztuka Bohaterskich Czynów, którą zostawił mu ojciec Emanuel jako jedyną naukę.

Ze sposobu, w jaki opowiada o tym na „Dafne”, wnioskuję, że w Casale, tracąc ojca i zatracając siebie w toku wojny, która miała zbyt wiele znaczeń, a jednocześnie nie miała żadnego, Robert nauczył się patrzeć na wszechświat jako na niewyraźną gmatwaninę zagadek, za którymi nie stoi Stwórca, a jeśli nawet stoi, jest zaprzątnięty odnajdywaniem siebie samego pośród zbyt licznych perspektyw.

Tam, w Casale, przeczuł, że świat nie ma już centrum, że składa się wyłącznie z perymetrów; tutaj czuł się, jakby naprawdę przebywał na najdalszych, najbardziej zagubionych peryferiach, jeśli bowiem jakieś centrum istniało, znajdowało się przed nim, on zaś był jego nieruchomym satelitą.

15

Zegary (niektóre z Wahadłem)

Sądzę, że właśnie dlatego opowiadam od ponad stu stron o tym, co działo się przed katastrofą, nie wprowadzam natomiast do opowieści żadnych wydarzeń z „Dafne”. Jeśli dni na pokładzie opuszczonego statku są puste, nie można obarczać winą ani mnie, ponieważ nie wiadomo jeszcze, czy ta historia warta jest spisania, ani Roberta. Co najwyżej możemy mu zarzucić, że cały dzień (nawiasem mówiąc, minęło ledwie trzydzieści godzin od chwili, kiedy spostrzegł, że ktoś ukradł jaja) spędził na obracaniu na wszystkie strony myśli o jedynej możliwości, która mogłaby nadać smak pobytowi na „Dafne”. Jak miał już wkrótce zobaczyć z całą jasnością, nie warto było uważać „Dafne” za zbytnio niewinną. Po tych deskach krzątał się lub na nich czaił ktoś, może coś, kto nie był wyłącznie nim samym. Nawet na tym statku nie mogło być mowy o oblężeniu w stanie czystym. Nieprzyjaciel znajdował się w domu.

Robert powinien był podejrzewać to już tamtej nocy wypełnionej kartograficznymi uściskami. Oprzytomniawszy, poczuł pragnienie, karafka była pusta, wyruszył więc na poszukiwanie baryłki z wodą. Te, które rozstawił, by zebrać do nich wodę deszczową, były ciężkie, ale w pentrze nie brakowało mniejszych. Udał się tam, wziął pierwszą z brzegu – a kiedy znalazł się u siebie, postawił ją na stole i odkręcił kurek.

Nie była to woda; kaszląc, uświadomił sobie, że w baryłce jest okowita. Nie potrafiłby powiedzieć, co to za rodzaj gorzałki, ale jak przystało na dobrego wieśniaka, od razu wiedział, że z pewnością nie napił się wina. Uznał, że trunek nie jest wcale najgorszy, i beztrosko go nadużył. Nie przyszło mu do głowy, iż wszystkie baryłki w pentrze zawierają to samo,

a powinien przecież zatroszczyć się o zapas czystej wody. Nie zadał też sobie pytania, jak to się stało, że pierwszego wieczoru napoczął pierwszą baryłkę z zapasów i była pełna słodkiej wody. Dopiero później powiedział sobie, że Ktoś postawił ten zdradziecki dar tak, by sam wpadł mu w rękę, Ktoś pragnący go upoić, ażeby łatwiej nim zawładnąć. Jeśli jednak taki był plan, Robert wykonał go z przesadnym zapałem. Nie sądzę, żeby wypił dużo, ale dla katechumena jak on nawet kilka kieliszków to już za wiele.

Z całej opowieści wynika, że następne wydarzenia Robert śledził, będąc w stanie zachwianej równowagi, i że tak samo było nie tylko tego dnia.

Jak to bywa z pijakami, zasnął dręczony jeszcze większym pragnieniem. W tym łagodnym śnie pojawił mu się ostatni obraz Casale. Przed wyjazdem Robert poszedł pożegnać się z ojcem Emanuelem, którego zastał przy rozbieraniu i pakowaniu machiny poetyckiej, ksiądz wybierał się bowiem do Turynu. Po wyjściu od niego natknął się na furgony, na które Hiszpanie i cesarscy ładowali machiny oblężnicze.

Te właśnie zębate koła wypełniały jego sny, czuł rdzewienie rygli, skrzypienie zawiasów i były to dźwięki, których nie mógł wytwarzać wiatr, gdyż morze było gładkie niczym powierzchnia oliwy. Rozdrażniony jak ktoś, kto obudziwszy się, śni, że śni, zmusił się do otwarcia oczu i znowu usłyszał ten dźwięk, dochodzący spod pokładu i z ładowni.

Kiedy wstał, poczuł straszny ból głowy. Nie znalazł na niego lepszego sposobu niż przywrzeć z powrotem do baryłki, lecz potem czuł się jeszcze gorzej. Uzbroił się, z trudem trafiając nożem przy próbach wetknięcia go za pas, przeżegnał się kilka razy i zszedł na chwiejnych nogach.

Pod nim, i wiedział już o tym, znajdował się trzon steru. Zszedł jeszcze niżej, do samego końca schodków. Gdyby ruszył w stronę dziobu, znalazłby się w warzywniku. Od strony rufy zobaczył zamknięte drzwi, których dotychczas nie pokonał. Z tego miejsca dochodziło bardzo głośne, zróżnicowane i nieregularne tykanie, jakby nakładało się na siebie wiele rytmów, wśród których usłyszał i tik-tik, i tok-tok, i tak-tak, ale w sumie brzmiało to jak titkete-tok-takatakete-tik. Miało się wrażenie, jakby za tymi drzwiami krył się zastęp os i szerszeni i wszystkie one latały jak oszalałe po

najrozmaitszych trajektoriach, wpadając na ściany i zderzając się ze sobą. Bał się nawet otworzyć drzwi, żeby nie obsiadły go rozszalałe atomy tego roju.

Po długich wahaniach w końcu się zdecydował. Kolbą strzelby zerwał kłódkę i wszedł do środka.

Komórka oświetlona była padającym z innego otworu strzelniczego światłem i służyła jako schowek na zegary.

Zegary. Zegary wodne, piaskowe, porzucone pod ścianą zegary słoneczne, ale przede wszystkim zegary mechaniczne, rozmieszczone na różnych półkach i komodach, zegary poruszane powoli opadającymi balansami i kontrbalansami, kółkami sprzężonymi z innymi kółkami, te zaś z jeszcze innymi, aż wreszcie ostatnie zaczepiało o nierówność łopatką pionowego pręta, narzucając mu dwa półobroty w przeciwnych kierunkach, tak że w tym sprośnym rozkołysaniu poruszał w balansie poziomą poprzeczką, umocowaną do górnego końca; zegary na sprężynę, w których rowkowana konoida rozwijała łańcuszek, ciągnięty ogniwo po ogniwie obrotowym ruchem bębenka.

Niektóre z tych zegarów ukrywały swój mechanizm, ukazując tylko zardzewiałe ornamenty i skorodowane dzieła snycerskiego dłuta, a także niespieszny ruch wskazówek, większość jednak wystawiała na pokaz zgrzytające żelastwa, przywodząc na myśl te *Tańce Śmierci*, w których jedynymi żywymi są szkielety, uśmiechające się szyderczo i potrząsające kosą Czasu.

W tej chwili wszystkie te urządzenia działały, największe klepsydry przesypywały nadal piasek, najmniejsze były już prawie wypełnione w dolnej połowie, a wszystkie pozostałe – jeden zgrzyt zębów, jedno astmatyczne przeżuwanie.

Kiedy ktoś wchodził tu po raz pierwszy, musiał odnieść wrażenie, że ta zegarowa przestrzeń ciągnie się w nieskończoność: w głębi izdebki rozwieszono płótno przedstawiające amfiladę pokojów wypełnionych wyłącznie zegarami. Wystarczyło jednak, uwalniając się od magii tego

trompe-l’oeil, skupić uwagę na zegarach, że tak powiem, z krwi i kości, by popaść w osłupienie.

Wydaje się to czymś nie do wiary – tobie, czytającemu z roztargnieniem o tych wydarzeniach – ale rozbitek, zanurzony w oparach okowity i znajdujący się na pustym statku, natknąwszy się na sto zegarów opowiadających prawie unisono dzieje jego czasu bez końca, najpierw myśli o owych dziejach, nie zaś o ich Autorze. Tak też czynił Robert, oglądając kolejne chronometry, zabawki starczej młodości człowieka skazanego na długie umieranie.

Grzmot z nieba rozległ się później, jak napisał Robert, kiedy dobywając się spod władzy czaru, poddał się konieczności znalezienia przyczyny: skoro zegary chodzą, ktoś musiał je uruchomić, a nawet jeśliby można było nakręcać je rzadko, jeśliby zostały nakręcone przed jego przybyciem na statek, słyszałby je, przechodząc koło tych drzwi.

Gdyby w grę wchodził jeden mechanizm, można by pomyśleć, że został nastawiony przedtem i wystarczyło go trącić, aby wprawić w ruch. Takie trącenie mogło nastąpić wskutek kołysania statku albo wskutek tego, że jakiś ptak morski wleciał przez otwór strzelniczy i przycupnął na którejś dźwigni lub korbce, wywołując serię mechanicznych skutków. Czyż silny wiatr nie rozkołysuje czasem dzwonów, czyż nie zdarzało się, że rozbrzmiewały, choć były zamknięte i nikt ich nie popychał aż do samego końca?

Jednak ptak nie może uruchomić za jednym zamachem dziesiątków zegarów. Nie. To, czy Ferrante istnieje, czy nie, to jedno, ale z pewnością na statku przebywał Intruz.

Wszedł on do komórki i uruchomił mechanizmy. Po co? – to pierwsze, lecz mniej naglące pytanie. Drugie brzmiało: gdzie się następnie ukrył?

Trzeba więc było zejść do ładowni. Robert powiedział sobie, że nie może już tego odkładać, ale choć powtarzał w duchu to stanowcze postanowienie, zwlekał z jego wykonaniem. Uznał, że nie czuje się najlepiej, wyszedł więc na pokład, by zmoczyć głowę w deszczowej wodzie, i z jaśniejszym umysłem zaczął się zastanawiać nad tożsamością Intruza.

Nie mógł to być dzikus z Wyspy ani nawet ocalały marynarz, który zrobiłby wszystko (zaatakowałby go w świetle dnia, próbował zabić nocą, prosił o łaskę), ale z pewnością nie sypałby pokarmu kurom i nie uruchamiał mechanizmów. Tak więc na „Dafne” ukrywał się człowiek nastawiony pokojowo, człowiek wiedzy, być może mieszkaniec kabiny z mapami. Stąd wniosek – skoro w takim razie jest tu dłużej niż Robert – że chodzi o Intruza Prawowitego. Ale ta piękna antyteza nie uśmierzyła trwogi i gniewu naszego bohatera.

Jeśli tamten jest Intruzem Prawowitym, to czemu się ukrywa? Ze strachu przed nieprawowitym Robertem? A jeśli się ukrywa, czemu ujawnił swą obecność, przygotowując ten zegarowy koncert? Może jest to człowiek o przewrotnym umyśle, ktoś czujący przed Robertem lęk i niezdolny stawić mu czoło, ale pragnący go zgubić, doprowadziwszy do szaleństwa? Lecz po co? Przecież jego też spotkał los rozbitka na tej sztucznej wyspie, czyż więc nie byłoby dlań rzeczą korzystną mieć towarzysza niedoli? Być może – pomyślał Robert – „Dafne” kryje inne jeszcze sekrety, których On nie chce nikomu odsłonić.

Złoto, diamenty i całe bogactwo Ziemi Nieznanej i Wysp Salomona – wszystko, o czym mówił Colbert...

W chwili gdy przypomniał sobie o Wyspach Salomona, spłynęło na niego objawienie. Oczywiście, zegary! Co robi takie mnóstwo zegarów na statku pływającym po morzach, na których poranki i wieczory wskazuje bieg słońca i na których niczego więcej nie potrzeba wiedzieć? Intruz dotarł aż do tego odległego równoleżnika, by jak doktor Byrd szukać *el punto fijo*!

Z pewnością tak właśnie było. Zdumiewający zbieg okoliczności sprawił, że Robert, który wypłynął z Holandii, by jako szpieg Kardynała śledzić tajemne manewry pewnego Anglika, przebywającego prawie konspiracyjnie na holenderskim statku i szukającego *punto fijo*, znalazł się na statku (holenderskim) Tamtego, który pochodził z nie wiadomo jakiego kraju i też dążył do odkrycia tej tajemnicy.

16

Dyskurs o Prochu Sympatii

Jak wplątał się w tę zagmatwaną sprawę?

Robert niewiele opowiedział o latach, jakie minęły między powrotem do Grivy a pierwszymi krokami w paryskiej socjecie. Z rozrzuconych tu i ówdzie napomknień można wywnioskować, że póki nie osiągnął dwudziestego roku życia, był przy matce, niechętnie wykłócając się z rządcami od siewów i zbiorów. Ledwie matka połączyła się z ojcem na tamtym świecie, Robert odkrył, że ten świat jest mu całkowicie obcy. Powierzył być może posiadłość jakiemuś krewnemu, zapewniając sobie solidny dochód, który pozwalał na wędrówki po świecie.

Prowadził korespondencję z kimś, kogo poznał w Casale i kto gotów był życzliwie ułatwić mu poszerzenie kręgu znajomości. Nie wiem, jak znalazł się w Aix-en-Provence, ale na pewno tam był, gdyż z wdzięcznością wspomina dwa lata spędzone u boku tamtejszego szlachcica, biegłego we wszystkich naukach i dysponującego biblioteką bogatą nie tylko w księgi, lecz także w dzieła sztuki, zabytki starożytności i wypchane zwierzęta. Zapewne dzięki swemu amfitrionowi z Aix poznał tego mistrza, o którym mówi dalej z należnym szacunkiem jako o Kanoniku z Digne, a czasem jako o *doux prêtre*. Nieznany jest dzień, w którym ostatecznie dotarł do Paryża – z listami polecającymi od Kanonika w kieszeni.

W Paryżu nawiązał od razu kontakt z przyjaciółmi Kanonika i dzięki temu bywał w najznamienitszych domach. Często napomyka o gabinecie braci Dupuy, który wspomina jako miejsce, gdzie każdego popołudnia jego umysł otwierał się coraz szerzej na kontakty z ludźmi nauki. Nie brak jednak wzmianek o innych odwiedzanych w tych latach gabinetach,

bogatych w kolekcje medali, noży z Turcji, agatów, matematycznych osobliwości, konch z Indii...

Po jakich rozstajach krążył w radosnym kwietniu (lub może maju) swych lat, mówią częste cytaty z mądrości, które nam wydają się wzajemnie sprzeczne. Całe dnie spędzał na wysłuchiwaniu nauk Kanonika o tym, jak można rozumieć świat zbudowany, zgodnie ze słuszną doktryną Epikura, z atomów, a jednak rządzony przez boską Opatrzność. Ale kierując się tąże miłością do Epikura, wieczory spędzał z przyjaciółmi, którzy nazywali siebie epikurejczykami i umieli na zmianę dyskutować o wieczności świata i odwiedzać piękne panie, niesłynące zgoła z cnotliwości obyczajów.

Często wspomina o grupie beztroskich przyjaciół, wiedzących jednak w wieku dwudziestu lat takie rzeczy, których znajomość byłaby tytułem do chwały dla niejednego pięćdziesięciolatka. Byli wśród nich Linières, Chapelle, Dassoucy, sofista i poeta, który krążył po świecie z lutnią przewieszoną przez ramię, Poquelin, który przekładał Lukrecjusza, ale marzył o pisaniu komedii buffo, Ercole Saviniano, który bił się mężnie podczas oblężenia Arras, układał deklaracje miłosne dla imaginowanych kochanków i nie krył związków uczuciowych z młodymi szlachcicami, chwaląc się, że nabawił się od nich włoskiej choroby, ale jednocześnie kpił sobie z rozpustnego kompana, *qui se plasoit à l’amour des masles*, i mówił złośliwie, iż trzeba mu wybaczyć przez wzgląd na jego nieprzystępność, skłaniającą go zawsze do ukrywania się za plecami przyjaciół.

Robert został przyjęty do towarzystwa tęgich głów i poczuł, że jeśli nawet nie jest uczonym, gardzi ignorancją, którą dostrzegał zarówno u dworskiej szlachty, jak i u pewnych świeżo wzbogaconych mieszczan, ustawiających w widocznym miejscu puste pudełka oprawione w lewantyński safian, z wytłoczonymi złotymi literami na grzbiecie nazwiskami najznamienitszych autorów.

W sumie Robert wszedł w krąg tych *honnêtes gens*, którzy nie mając w żyłach szlachetnej krwi, lecz pochodząc z *noblesse de robe*, stanowią jednak sól tego świata. Był atoli młody, spragniony nowych doświadczeń

i choć bywał w świątyniach nauki i dopuszczał się libertyńskich wybryków, nie pozostał nieczuły na arystokratyczne fascynacje.

Bardzo długo, przechodząc wieczorami rue Saint-Thomas-du-Louvre, podziwiał z daleka pałac Rambouillet i jego piękną fasadę, ozdobioną gzymsami, fryzami, architrawami i pilastrami, rozigraną czerwonymi cegłami, białym kamieniem i ciemnym łupkiem.

Wpatrywał się w oświetlone okna, widział wchodzących gości, wyobrażał sobie słynne już uroki wewnętrznego ogrodu, snuł fantazje na temat atmosfery tego małego dworu sławionego przez cały Paryż, a skupionego wokół kobiety, której smak uznał za niezbyt wyrafinowany ten inny dwór, podporządkowany kaprysom króla nieumiejącego docenić finezji umysłu.

W końcu Robert przeczuł, że jako Cisalpińczyk może liczyć na pewne względy damy zrodzonej z matki rzymianki i pochodzącej z rodu starszego niż sam Rzym, wywodzącego się bowiem z Alba Longa. Nie przypadkiem jakieś piętnaście lat wcześniej honorowy gość tego domu, kawaler Marino, wskazał Francuzom szlaki nowej poezji, mającej przyćmić sztukę starożytnych.

Osiągnął to, że został przyjęty w tej świątyni elegancji i intelektu, szlachty i *précieuses* (jak zwykło się wtedy mówić), uczonych wolnych od pedanterii, galantów dalekich od rozpusty, dowcipnisiów stroniących od pospolitości, purytan, którzy nie popadali w śmieszność. Robert czuł się swojsko w tym środowisku: miał wrażenie, że oddycha powietrzem wielkiego miasta i dworu, a przy tym nie musi kłaniać się tym zasadom ostrożności, które wpajał mu w Casale pan de Salazar. Nie żądano, by poddawał się woli możnych tego świata, lecz by obnosił się ze swoją odmiennością. Nie wymagano symulowania, ale zmierzenia się – aczkolwiek zgodnie z regułami dobrego smaku – z lepszymi od siebie. Nie domagano się popisów dworności, lecz odwagi, ujawniania talentów w zacnej i uprzejmej konwersacji, umiejętności wyrażania w lekki sposób najgłębszych myśli... Nie czuł się zatem sługą, ale stroną w pojedynku, kimś, od kogo oczekuje się wyłącznie zuchwałości umysłowej.

Uczył się unikania afektacji, wykorzystywania talentu do ukrywania sztuczności i znużenia, tak aby wszystko, co robi i mówi, wyglądało na spontaniczny dar. Dążył do tego, ażeby stać się mistrzem w tym, co we Włoszech nazywają pogardliwie prostotą obejścia, a w Hiszpanii *despejo*.

Robert przywykł do pachnących lawendą przestrzeni w Grivie, a teraz, wchodząc do pałacu Arthénice, poruszał się po salach, w których unosił się zapach niezliczonych *corbeilles*, jakby panowała tu wieczna wiosna. Nieliczne szlacheckie siedziby, jakie poznał, składały się z komnat wychodzących na centralne schody; u Arthénice schody znajdowały się w kącie dziedzińca, aby resztę przestrzeni mogła wypełnić jedna amfilada sal i gabinetów z wysokimi drzwiami naprzeciw także wysokich okien; pokoje nie wszystkie były pomalowane na czerwono lub kolor garbowanej skóry, ale różniły się barwami; na przykład gościnny Chambre Bleue miał na ścianach błękitne tkaniny zdobione złotem i srebrem.

Arthénice przyjmowała przyjaciół, leżąc w swoim pokoju – wśród parawanów i grubych obić, które chroniły gości przed chłodem, nie znosiła bowiem ani światła słonecznego, ani żaru z piecyków. Ogień i światło dzienne rozgrzewały jej krew w żyłach i powodowały utratę przytomności. Pewnego razu zostawiono przez zapomnienie piecyk pod jej łóżkiem i zapadła na różę. Była w tym podobna do tych kwiatów, które jeżeli mają zachować świeżość, nie mogą być stale wystawione na światło ani przebywać stale w mroku, tak że ogrodnicy muszą szukać dla nich specjalnych stanowisk. Cienista Arthénice przyjmowała w łóżku, z nogami w worku z niedźwiedziej skóry i w tylu szlafmycach, że – jak sama dowcipnie powiadała – głuchła na świętego Marcina i odzyskiwała słuch na Wielkanoc.

Mimo to niemłoda już przecież Gospodyni, wysoka, pięknie zbudowana, z powabnymi rysami twarzy, była wizerunkiem gracji. Nie da się opisać światła jej oczu, które nie skłaniały ku niestosownym myślom, lecz budziły miłość i onieśmielenie, oczyszczając serca, które rozpłomieniły.

W tych salach Gospodyni, nie narzucając się, kierowała rozmowami o przyjaźni i miłości, ale z równą lekkością poruszała kwestie moralne,

polityczne, filozoficzne. Robert odkrywał cnoty drugiej płci w ich najsłodszym wyrazie, adorując z daleka niedostępne księżniczki, piękną mademoiselle Paulet, zwaną z powodu wspaniałych włosów La Lionne, Lwicą, i damy umiejące łączyć z urodą umysł, jaki dawne Akademie przyznawały tylko mężczyznom.

Po kilku latach takiego terminowania był przygotowany do spotkania z Panią.

Po raz pierwszy zobaczył ją pewnego wieczoru, kiedy miała na sobie ciemną suknię i była osłonięta welonem niby wstydliwa Luna, która kryje się za satyną chmur. Plotka, *bruit*, jedyna forma odgrywająca w paryskiej socjecie rolę prawdy, dostarczyła mu o niej opinie sprzeczne: że cierpi srogie wdowieństwo, nie po mężu jednak, lecz po kochanku, i obnosi się z tą stratą, by potwierdzić swoją władzę nad utraconym dobrem. Ktoś szepnął Robertowi, że zasłania twarz, gdyż jest piękną Egipcjanką przybyłą z Morei.

Bez względu na to, jak było naprawdę, wystarczył szelest sukni, zbliżanie się lekkich kroków, tajemnica zasłoniętego oblicza, by Robert oddał jej serce. Jaśniał tymi promiennymi mrokami, wyobrażał ją sobie jako nocnego ptaka o pierwszym brzasku dnia, w drżenie wprawiał go cud, przez który światło ciemniało, ciemność się rozświetlała, inkaust zmieniał się w mleko, heban w kość słoniową. W jej włosach połyskiwał onyks, zwiewna tkanina, która ujawniała, zasłaniając, zarys jej twarzy i całego ciała, miała srebrzysty powab gwiazd.

Nagle jednak, i to w wieczór, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, welon opadł jej na chwilę z czoła i pod tym księżycowym sierpem Robert dostrzegł jaśniejącą otchłań jej oczu. Dwa kochające się serca mówią więcej, niż mogłyby wyrazić przez cały dzień wszystkie języki świata – pochlebiał sobie Robert, pewny, że spojrzała nań, a spojrzawszy – zobaczyła. Po powrocie do domu napisał do niej.

Pani!

Ogień, którym mnie rozpłomieniłaś, daje dym tak wątły, iż roztapiając owe poczerniałe wapory, odebrał światło Twym oczom. Wystarczyła moc Twego spojrzenia, by wysunął się z mej dłoni oręż dumy i bym jął Cię błagać, ażebyś zażądała mego żywota. Jakże ja sam ułatwiłem Twą wiktorię, gdym przystąpił do bitwy jak ktoś, kto pragnie ulec, wystawiając na Twój atak najbezbronniejszą z części mego ciała, serce, które wylewało już łzy krwawe, co służy wszak za dowód, iż pozbawiłaś wody mój dom, by wydać go na pastwę pożogi przywabionej Twym przelotnym spojrzeniem!

Wydało mu się, że list tak wspaniale czerpie inspirację z Arystotelesowskiej Machiny ojca Emanuela, że tak zgrabnie odsłania przed Panią naturę jedynej osoby zdolnej do równie potężnego uczucia, iż uznał podpis za rzecz zbędną. Nie wiedział jeszcze, że wykwintnisie kolekcjonują listy miłosne niby żaboty lub klamerki i bardziej ciekawe są zawartych w nich konceptów niż osoby autora.

W ciągu następnych tygodni i miesięcy nie było żadnego znaku odpowiedzi. W tym czasie Pani zrezygnowała najpierw z ciemnej sukni, potem z welonu i ukazała mu się wreszcie w całym blasku bieli swej wcale nie mauretańskiej cery, jasnych włosów i w tryumfie nieumykających już źrenic, owych okien Jutrzenki.

Teraz jednak, gdy mógł bez przeszkód zaglądać w jej oczy, nauczył się przechwytywać spojrzenia przeznaczone dla innych; zachwycał się muzyką słów, które nie do niego kierowała. Potrafił żyć tylko w jej blasku, lecz był skazany na pozostanie w trójkącie mroku rzucanego przez inne ciało, które pochłaniało promieniowanie ukochanej.

Pewnego wieczoru podchwycił jej imię, usłyszał bowiem, jak ktoś nazywa ją Lilią; było to z pewnością wykwintne imię wykwintnisi i wiedział doskonale, że takie imiona nadaje się dla zabawy. Samą markizę obdarzano imieniem Arthénice, co było anagramem imienia prawdziwego, Cathérine, ale powiadano, że mistrzowie tej *ars combinatoria*, Racan i Malherbe, wymyślili jej także imiona Éracinthe i Carinthée. Uznał jednak,

że tylko Lilią można było nazwać jego Panią, naprawdę lilijną w swej wonnej bieli.

Od tego momentu Pani stała się dla niego Lilią i jako Lilii dedykował jej miłosne wiersze, które następnie zaraz niszczył, lękając się, że będą hołdem jej niegodnym. *O przesłodka Lilio, /Ledwiem zerwał kwiat, jużem cię utracił! /Czy pozwolisz się zobaczyć? /Ścigam cię, lecz ty uciekasz, /Mówię, lecz ty milczysz...* Nie powiedział jej jednak nic, przemawiał tylko spojrzeniem pełnym zuchwałej miłości, gdyż im bardziej się kocha, tym większą ma się skłonność do urazy, doświadczając dreszczy od zimnego ognia, ekscytując się słabowitym zdrowiem, z duszą radosną jak ołowiane pióro, z ciałem przenikniętym drogimi sercu efektami miłości bez afektu; i pisał ciągle listy, które bez podpisu słał Pani, i wiersze dla Lilii, które zachowywał zazdrośnie dla siebie i codziennie odczytywał.

Pisząc (lecz nie wysyłając): *Lilio, Lilio, gdzieżeś? Gdzieś się ukryła? /Lilio, blasku nieba, /Przyjdź w błyskawicy, /By zranić, by zniknąć*, pomnażał jej obecność. Podążając za nią nocą, kiedy wracała w towarzystwie pokojówki (*Przez najmroczniejsze bory, /Przez najmroczniejsze zaułki /Radośnie, choć daremnie, śledził będę /Leciutkiej stopy ulotne tropy...*), dowiedział się, gdzie mieszka. Zajmował nieopodal stanowisko w godzinie codziennej przechadzki i kiedy wychodziła, ruszał za nią. Po kilku miesiącach umiał powiedzieć z pamięci, jakiego dnia i o jakiej godzinie zmieniła ułożenie włosów (poetyzując przy tym na temat owych umiłowanych sideł dla duszy, błąkających się po białym czole niczym lubieżne wężyki), i przypominał sobie ten czarowny kwiecień, gdy po raz pierwszy włożyła pelerynkę koloru janowca, która dawała jej, idącej w pierwszym wiosennym wietrzyku, smukłą sylwetkę promienistego ptaszka.

Czasem śledził ją jak szpieg, a potem zawracał biegiem, okrążał kwartał domów i zwalniał dopiero, kiedy za rogiem mógł, niby przypadkiem, wyjść jej naprzeciw. Mijając ją, kłaniał się z rozedrganym sercem. Ona zaś uśmiechała się dyskretnie, zaskoczona tym spotkaniem, i pozdrawiała go ukradkowym gestem – jak wymaga konwenans. On zastygał na środku

ulicy niczym słup soli, opryskiwany przez karety, powalony w tej miłosnej batalii.

W ciągu wielu miesięcy Robert zdołał odnieść dobrych pięć wiktorii tego rodzaju. O każdą walczył, jakby miała być pierwszą i ostatnią, i wmawiał sobie, że taka ich częstotliwość nie może być dziełem przypadku i zapewne to nie on pomagał przypadkowi, lecz ona.

Romeo tej wymykającej się ziemi świętej, pełen płochości zakochany, pragnął być wiatrem rozwiewającym jej włosy, poranną wodą całującą jej ciało, suknią pieszczącą ją w nocy, książką pieszczoną przez nią za dnia, rękawiczką grzejącą jej dłoń, zwierciadłem mogącym podziwiać ją w najrozmaitszych pozach... Pewnego razu dowiedział się, że dostała od kogoś wiewiórkę, i rozmarzył się, że jest pełnym ciekawości zwierzątkiem, które, głaskane przez nią, wsuwa niewinny pyszczek między dziewicze piersi, a ogonkiem pieści policzki.

Żar powodował wybuch płomienia, Robert popadał więc w zmieszanie; bezwstyd i wyrzut sumienia przekładał na burzliwe strofy, a potem mówił sobie, że uczciwy człowiek może kochać jak szaleniec, ale nie jak głupiec. Jedynie dając dowód dowcipu w Chambre Bleue, mógł rozstrzygnąć swój los kochanka. Był nowicjuszem w tych grzecznych obrządkach, zrozumiał jednak, że wykwintnisie można zdobyć wyłącznie słowami. Wsłuchiwał się więc w salonowe dysputy, w które szlachetni panowie wstępowali jak w szranki, lecz czuł, że nie jest jeszcze do tego gotowy.

Dopiero zażyłość z uczonymi z gabinetu braci Dupuy podsunęła mu myśl, w jaki sposób zasady nowej nauki, nieznane jeszcze socjecie, mogą stanowić analogie do poruszeń serca. A kiedy spotkał pana Igby, ten podsunął mu dyskurs, który miał go doprowadzić do zguby.

Pan Igby, tak przynajmniej nazywano go w Paryżu, był Anglikiem, którego poznał najpierw u braci Dupuy, a potem spotkał w pewnym salonie.

Nie minęły jeszcze trzy lustra od czasu, kiedy książę de Bouquinquant udowodnił, że Anglik może przecież mieć *roman en teste* i być zdolny do wyszukanych szaleństw: powiedziano mu, że królowa Francji jest piękna

i dumna, i marzeniu o niej poświęcił życie aż po śmierć, pędząc przez długi okres żywot na statku, na którym wzniósł ołtarz ku czci ukochanej. Kiedy dowiedziano się, że Igby, i to właśnie z rozkazu Bouquinquanta, tuzin lat wcześniej prowadził korsarską wojnę z Hiszpanią, wykwintny świat uznał go za człowieka fascynującego.

Jeśli chodzi o krąg przyjaciół braci Dupuy, Anglicy nie cieszyli się szczególną estymą, gdyż kojarzono ich z takimi postaciami, jak Robertus a Fluctibus, Medicinae Doctor, Eques Auratus i Armigero Oxeniensis, przeciw którym pisano paszkwile piętnujące nadmierną wiarę w tajemne działania natury. Ale w tymże kręgu przyjmowano opętanego duchownego, jakim był pan Gaffarel, który pod względem zaciekawienia sprawami nadprzyrodzonymi w niczym nie ustępował Brytyjczykom, a z drugiej strony okazało się, iż taki Igby potrafi z wielkim znawstwem rozprawiać o konieczności istnienia próżni – w grupie filozofów natury widzących horrendum w tym, że ktoś czuje *horror vacui*.

Utracił jednak zaufanie paru szlachcianek, polecił im bowiem swego wynalazku balsam piękności, po którym u jednej z dam pojawiły się pęcherzyki, i ktoś nawet puścił pogłoskę, że ofiarą jego żmijowego dekoktu padła kilka lat wcześniej umiłowana małżonka Venetia. Ale z pewnością były to potwarze rzucane przez zawistników, dotkniętych pewnymi jego wypowiedziami na temat remediów na kamienie nerkowe, przyrządzanych z krowiego łajna i zajęcy zagryzionych przez psy. Wypowiedzi te nie mogły spotkać się z poklaskiem w kręgach, gdzie w konwersacjach z damami starannie dobiera się słów, by nie kryła się w nich ani sylaba brzmiąca choćby odrobinę sprośnie.

Pewnego wieczoru Igby zacytował w salonie wiersz poety ze swego kraju.

A jeśli dwie są nasze dusze,
to jak bliźniacze nóżki cyrkla;
twa stopa zda się nieruchoma,

lecz w ruchu, kiedy w ruchu druga.
A chociaż pozostaje w środku,
gdy druga od niej się oddala,
skłoni się i podąży skwapliwie,
prostując się, gdy tamta
powraca do swojej siedziby.
Taką i ty będziesz dla mnie,
który podążam ukośnie skłoniony;
twa stałość włada mym okręgiem
i wzywa mnie tam, gdziem zrodzony.

Robert wysłuchał, wpatrując się w obróconą do niego plecami Lilię, i postanowił, że będzie Ona dla niego na całą wieczność nieruchomą nóżką cyrkla i że on musi się nauczyć angielskiego, by przeczytać inne utwory tego poety, który tak pięknie interpretował drżenie jego serca. W owych czasach nikomu w Paryżu nie przyszłoby do głowy uczyć się języka równie barbarzyńskiego, jednak odprowadzając Igby'ego do zajazdu, Robert spostrzegł, że ten, choć podróżował po półwyspie, z trudem wysławia się w dobrej włoszczyźnie i czuje się upokorzony tym, iż nie włada dostatecznie mową niezbędną każdemu dobrze wychowanemu człowiekowi. Postanowili, że będą się odwiedzać i ulepszać wzajemnie elokwencję w obu językach.

Tak narodziła się trwała przyjaźń między Robertem a owym człowiekiem, który miał, jak się okazało, rozległą wiedzę medyczną i przyrodniczą.

Wiele wycierpiał w dzieciństwie. Jego ojciec był zamieszany w spisek prochowy i został stracony. Igby poświęcił życie rozważaniom nad innym prochem – i była to zbieżność niezwykła lub może uzasadniona konsekwencja niezbadanych odruchów serca. Dużo podróżował: najpierw osiem lat po Hiszpanii, potem trzy po Włoszech, gdzie – jeszcze jeden zbieg okoliczności – poznał karmelickiego preceptora Roberta.

Igby był też dobrym szermierzem, wymagała tego przecież korsarska kariera, i wkrótce zaczął się zabawiać fechtunkiem z Robertem. Tego dnia dotrzymywał im towarzystwa muszkieter, który postanowił spróbować swych sił z pewnym chorążym kompanii kadetów; bawili się tylko i zachowywali wielką ostrożność, lecz w pewnym momencie muszkieter zbyt gwałtownie ruszył do ataku, zmuszając przeciwnika do równie energicznej obrony, i skończyło się to dla niego dosyć paskudną raną ramienia.

Igby natychmiast go opatrzył, ściskając ramię podwiązką, by zamknąć tym sposobem żyły, ale i tak po paru dniach okazało się, że rannemu grozi gangrena, i chirurg oświadczył, że trzeba uciąć rękę.

Wtedy to zaofiarował swoje usługi Igby, ostrzegając jednak, że być może uznają go za intryganta, i prosząc, by okazano mu zaufanie. Muszkieter, który nie wiedział już, do jakiego świętego wznosić modły, odpowiedział przysłowiem hiszpańskim: *Hágase el milagro, y hágalo Mahoma*.

Igby poprosił go wówczas o jakąś szmatkę, na której byłaby krew z rany, i muszkieter wręczył mu opatrunek zachowany z poprzedniego dnia. Igby kazał przynieść sobie miskę z wodą, do której wsypał i czym prędzej rozmieszał witriol w proszku. Do tej kąpieli wrzucił szmatkę. Muszkieter, który nie zwracał uwagi na te operacje, nagle zadrżał i chwycił się za zranione ramię; powiedział, że rana przestała go palić, a nawet poczuł w tym miejscu jakby chłód.

– Dobrze – powiedział Igby. – Teraz wystarczy, byś trzymał, panie, ranę w czystości, przemywając ją codziennie wodą z solą, ażeby docierał do niej właściwy wpływ. Ja zaś będę stawiał tę miskę w ciągu dnia na oknie, a w nocy przy rogu kominka, aby zachowywała stale umiarkowaną temperaturę.

Ponieważ Robert przypisał nagłą poprawę jakiejś innej przyczynie, Igby z wyrozumiałym uśmiechem wziął szmatkę i osuszył ją przy kominku. Muszkieter natychmiast zaczął znowu jęczeć, trzeba więc było z powrotem zamoczyć płótno w roztworze.

Rana zagoiła się w ciągu tygodnia.

Uważam, że w czasach, kiedy ludzie mieli dosyć niejasne pojęcie o dezynfekcji, wystarczyło codzienne przemywanie rany, żeby doprowadzić do jej zagojenia, trudno jednak ganić Roberta za to, że przez następne dni wypytywał przyjaciela o tę kurację, która poza wszystkim innym przypomniała mu to, czego był świadkiem w dzieciństwie, a mianowicie dokonanie karmelity. Tyle że karmelita przysypał prochem broń, która zraniła ojca.

– W istocie – powiedział Igby – dysputa nad *unguentum armarium* trwa już od bardzo dawna, a pierwszy wspomniał o tej kwestii wielki Paracelsus. Niektórzy używają tłustej mazi i utrzymują, że działa ona najskuteczniej na broni. Ale jak sam rozumiesz, broń, która zadała ranę, i szmatka, która służyła za opatrunek, to jedno i to samo, albowiem preparat winno się aplikować tam, gdzie jest ślad krwi rannego. Wielu, widząc, że medyk zajmuje się orężem, miast leczyć ranę tym orężem zadaną, mniemało, iż chodzi tu o czary, gdy tymczasem mój Proch Sympatii od natury bierze swą moc!

– Dlaczego nazywa się Prochem Sympatii?

– Także w tym wypadku nazwa może kogoś zwieść. Wielu mówiło o zgodności albo sympatii łączącej rzeczy.

Agrypa powiada, że chcąc zbudzić moc gwiazdy, trzeba zwrócić się ku rzeczom, które są do niej podobne, a tym samym przyjmują jej wpływ. I oto wzajemne przyciąganie rzeczy nazywa sympatią. Jak smoła, siarka i olej pozwalają przygotować drewno do przyjęcia płomienia, tak stosując rzeczy zgodne z działaniem i z gwiazdą, uzyskamy to, że za pośrednictwem duszy świata osobliwe dobrodziejstwo spłynie na odpowiednio umieszczoną materię. Żeby wpłynąć na Słońce, trzeba więc działać na złoto, słoneczne wszak ze swej natury, i na te rośliny, które zwracają się ku słońcu lub składają i zamykają listki o zachodzie słońca, by znowu się otworzyć, kiedy wstanie – jak lotos, peonia, jaskółcze ziele. Ale możesz to włożyć między bajki, bo tego rodzaju analogie nie wyjaśnią dostatecznie działania natury.

Igby podzielił się z Robertem swoim sekretem. *Orbis*, czyli strefa powietrzna, jest wypełniony światłem, światło zaś to substancja materialna

i korpuskularna. Owo pojęcie zaakceptował Robert chętnie, gdyż w salonie braci Dupuy usłyszał, że także światło jest niczym innym, tylko drobniutkim pyłem atomów.

– Rzecz oczywista – ciągnął Igby – że światło, wychodząc bez ustanku ze Słońca i pędząc na wszystkie strony z ogromną prędkością po liniach prostych, napotyka na swojej drodze przeszkody w postaci ciał stałych i nieprzezroczystych, odbija się od nich *ad angulos aequales* i mknie innym szlakiem, potem znowu zbacza, natknąwszy się na jakieś ciało, i tak dalej, i tak dalej, aż zgaśnie. Zupełnie jak w grze sznurową piłką, kiedy piłka, rzucona o jedną ścianę, odbija się, by lecieć ku ścianie naprzeciwko, i często zamyka cały obieg, wracając do punktu wyjścia. Cóż się dzieje, gdy światło pada na jakieś ciało? Promienie odbijają się, zabierając ze sobą atomy, owe maleńkie cząstki, podobnie jak piłka mogłaby zabrać trochę świeżego tynku ze ściany. A ponieważ są to atomy czterech żywiołów, światło dzięki swemu ciepłu zabiera cząstki lepkie i nosi je daleko. Dowodem może być to, że kiedy suszysz przy ogniu mokre płótno, promienie odbijane przez płótno zabierają ze sobą jakby wodny opar. Te wędrowne atomy są niby jeźdźcy na skrzydlatych rumakach i pędzą przez kosmos, póki zachodzące słońce nie zabierze im pegazów – ich wierzchowców. Wtedy to mkną całą masą ku ziemi, z której się wzięły. Te fenomeny zachodzą nie tylko ze światłem, ale także na przykład z wiatrem, który niczym innym jest, jak wielką rzeką podobnych sobie atomów przyciąganych przez ziemskie ciała stałe...

– Tak samo dym – podpowiedział Robert.

– Słusznie. W Londynie rozpalają ogień z węgla ziemnego, który sprowadzają ze Szkocji, a który zawiera wielką ilość soli, lotnych i bardzo kwaśnych. Sole te, przenoszone przez dym, rozpraszają się w powietrzu i niszczą mury, łoża i sprzęty o jasnej barwie. Kiedy jakiś pokój jest przez parę miesięcy zamknięty, widzi się w nim później czarny proszek pokrywający wszystkie rzeczy, podobnie jak biały proszek widzi się w młynach i sklepach z pieczywem.

– Jak to możliwe, że tyle korpuskuł rozprasza się w powietrzu, a ciało, które je emanuje, wcale się nie zmniejsza?

– Może się zmniejsza, a przekonasz się o tym, kiedy będziesz odparowywał wodę. Jednak w wypadku ciał stałych nie dostrzegamy tego; podobnie jest z piżmem i innymi substancjami wonnymi. Każde ciało, choćby nie wiem jak małe, można zawsze podzielić na mniejsze części, nigdy nie dochodząc do końca dzielenia. Zważ, jak subtelne są korpuskuły oddzielające się od ciała żywego, ale dzięki nim nasze angielskie psy, prowadzone węchem, potrafią iść tropem zwierzęcia. Czy lis po zakończeniu pogoni wyda się nam mniejszy? Otóż właśnie dzięki tym korpuskułom dokonują się zjawiska przyciągania, które wielu uznaje za działanie na odległość, a które wcale nie odbywa się na odległość, a tym samym nie ma nic wspólnego z czarami, rzecz cała bowiem polega na obcowaniu atomów. Tak jest z przyciąganiem przez wsysanie, na przykład wody albo wina z syfonu, z przyciąganiem żelaza przez magnes albo przyciąganiem przez filtrację, jak wtedy, gdy zanurzysz pasek bawełnianej materii w naczyniu pełnym wody, pozwalając, by spory odcinek paska zwisał poza naczyniem, i ujrzysz, że woda pnie się poza krawędź i kapie na ziemię. A ostatnim przyciąganiem jest to, które odbywa się przez ogień; ten przyciąga otaczające powietrze wraz z wszystkimi wirującymi w nim korpuskułami. Ogień, działając w zgodzie ze swą naturą, unosi ze sobą pobliskie powietrze, podobnie jak rzeka unosi muł ze swego łożyska. Zważywszy zaś na to, że powietrze jest wilgotne, a ogień suchy, nie dziwota, iż mają się ku sobie. Żeby więc wypełnić miejsce po powietrzu uniesionym, musi pojawić się inne, inaczej powstałaby próżnia.

– Zaprzeczasz więc istnieniu próżni.

– W żadnym razie. Powiadam tylko, że natura, napotkawszy próżnię, zaraz wypełnia ją atomami, starając się całą nią zawładnąć. Gdyby tak nie było, mój Proch Sympatii nie mógłby działać, choć doświadczenie pokazuje przecież, iż działa. Ogień swym działaniem wywołuje stały napływ powietrza, a boski Hipokrates oczyścił z dżumy prowincję, rozkazując rozpalić wszędzie wielkie ogniska. W czas dżumy zabija się też koty,

gołębie i inne zwierzęta ciepłe, które wypacają nieprzerwanie duchy; chodzi o to, aby powietrze weszło na miejsce duchów uwolnionych w toku tej ewaporacji i aby w ten sposób zadżumione atomy uwięzły w piórach i sierści zwierząt. Podobnie chleb wyjęty z pieca przyciąga pianę i psuje wino, jeśli położy się go na pokrywie beczki. Tak samo zresztą dzieje się, kiedy wystawisz na powietrze funt soli tartarowej, kalcynowanej i wyżarzonej należycie; będziesz miał z tego dziesięć funtów dobrego oleju tartarowego. Medyk papieża Urbana VIII opowiedział mi historię pewnej rzymskiej siostrzyczki, która wskutek zbyt częstych postów i modłów tak bardzo schłodziła swe ciało, że kości całkiem jej wyschły. Wewnętrzny żar przyciągał bowiem powietrze, które osiadało w kościach, tak samo jak osiada w soli tartarowej, i wychodziło w punkcie, gdzie mieści się wylot surowiczy, a więc przez pęcherz, toteż biedna święta oddawała ponad dwieście funtów uryny w ciągu dwudziestu czterech godzin, któren to cud wszyscy brali za dowód jej świętości.

– Skoro jednak wszystko przyciąga wszystko, czemu żywioły i ciała pozostają oddzielone i nie dochodzi do zderzenia jakiejś siły z inną?

– Nie brak ci, widzę, dowcipu. Ponieważ ciała o jednakiej wadze łączą się łatwiej, tak jak olej łatwiej łączy się z olejem niż z wodą, musimy uznać, że tym, co trzyma mocno ze sobą atomy tej samej natury, jest ich gęstość bądź rzadkość, jak mogliby ci powiedzieć owi filozofowie, których spotykasz.

– Powiedzieli, dowodząc swej racji na przykładzie rozmaitych rodzajów soli, które można kruszyć albo pozwalać, by krzepły, a które zawsze wracają do swej formy naturalnej, sól pospolita zaś zawsze przedstawia się nam w formie kubicznej i ma ścianki kwadratowe. Saletra znowu jawi się w słupkach o sześciu bokach, a sól amonowa jest sześciokątna i ma sześć szpiców, zupełnie jak śnieg.

– Sól z uryny układa się w pięciokąty, a tę jej formę pan Davidson objaśnia, powołując się na każdy z osiemdziesięciu kamieni znalezionych w pęcherzu pana Pelletiera. Skoro jednak ciała o podobnej formie mieszają

się chętniej, tym bardziej też przyciągają się silniej. Dlatego gdy sparzysz się w rękę, uśmierzysz cierpienie, trzymając ją przez chwilę blisko ognia.

– Kiedy pewnego wieśniaka ukąsiła żmija, mój preceptor przyłożył do rany łeb gada...

– Oczywiście. Trucizna przesączająca się ku sercu wróciła do swego źródła, gdzie przecież znajdowała się w większej ilości. Jeśli w czas zarazy będziesz miał przy sobie słój z proszkiem z ropuchy albo też żywą ropuchę czy żabę, a nawet arszenik, jadowita substancja przyciągnie infekcję unoszącą się w powietrzu. A suche cebule zaczynają psuć się na strychu, kiedy te w ogrodzie zaczynają kiełkować.

– Wyjaśnia to także dziecinne kaprysy. Matka pragnie bardzo mocno jakiejś rzeczy i...

– W tej sprawie byłbym ostrożniejszy. Bywa, że podobne fenomeny mają odmienne przyczyny, i człowiek nauki nie może dawać wiary żadnym zabobonom. Wróćmy jednak do mojego proszku. Co się stało, kiedy na kilka dni wystawiłem na jego działanie szmatkę zbrukaną krwią naszego przyjaciela? Przede wszystkim dzięki ciepłu otoczenia Słońce i Księżyc przyciągnęły z daleka duchy krwi przebywające w szmatce, zatem duchy witriolu przebywające we krwi nie mogły uniknąć tego samego szlaku. Z drugiej strony rana wysyłała nadal wielką obfitość duchów ciepłych i ognistych, przyciągając tym sposobem otaczające powietrze, a duchy krwi i witriolu, rozproszone w wielkiej odległości, łączyły się w końcu z tym powietrzem, które niosło ze sobą inne atomy tejże krwi. Otóż, ponieważ atomy z krwi, ze szmatki oraz z rany spotykały się, wypierając powietrze jako zbędnego towarzysza życia, i poddawały się przyciąganiu ku swej głównej siedzibie, ku ranie, wraz z nimi przenikały do mięśni duchy witriolu.

– Czemu więc nie przyłożyłeś witriolu bezpośrednio na ranę?

– Mógłbym, gdybym miał ranę przed sobą. Skoro jednak rana była oddalona? Dodam, że gdybym przyłożył witriol bezpośrednio na ranę, jego kąśliwa moc jeszcze bardziej by ją rozjątrzyła, a tymczasem witriol

przenoszony z powietrzem oddaje tylko swą część łagodną i balsamiczną, tamującą krew, bywa więc wykorzystywany także jako krople do oczu.

Robert nastawił w tym miejscu ucha, zostawiając sobie jednak na przyszłość skarb tych przepisów, co z pewnością tłumaczy, dlaczego zaostrzyły się jego dolegliwości.

– Z drugiej strony – dodał Igby – nie można z pewnością używać zwykłego witriolu, jaki stosowano dawniej, przynosił bowiem więcej złego niż dobrego. Ja sprowadzam witriol z Cypru i najpierw wyprażam go na słońcu. Usuwam w ten sposób zbytek wilgotności, jakbym robił z niego esencjonalny rosół, a poza tym takie prażenie daje duchom tej substancji zdolność do przenoszenia się z powietrzem. Na koniec dodaję tragant, który przyspiesza zabliźnianie rany.

Zatrzymałem się przy tym, czego Robert nauczył się od Igby’ego, gdyż ta właśnie wiedza miała określić jego przeznaczenie.

Trzeba jednak powiedzieć, że – ku wstydowi naszego przyjaciela, który przyznaje to w swych listach – te wszystkie wyjaśnienia ujęły go nie ze względu na wiedzę naturalną, ale, jak zawsze, ze względu na miłość. Innymi słowy, opis świata pełnego duchów, które łączą się zgodnie ze swym powinowactwem, wydał mu się alegorią miłowania. Robert zaczął więc odwiedzać księgozbiory, szukając dalszych wiadomości na temat balsamu naorężnego, a było tego wtedy niemało i jeszcze miało się rozrosnąć w latach następnych. Idąc za radami pana Gaffarela (udzielanymi półgłosem, by nie słyszeli ich inni bywalcy salonu braci Dupuy, niedający tym rzeczom wielkiej wiary), czytał *Ars magnesia* Kirchera, *Tractatus de magnetica vulnerum curatione* Gocleniusa, Fracastora, *Discursus de unguento armario* Fludda, *Hopolochrisma spongus* Fostera. Zdobywał wiedzę, by swą uczoność przełożyć na język poezji i pewnego dnia błysnąć elokwencją jako człowiek niosący posłannictwo powszechnej sympatii tam, gdzie teraz czuł się wiecznie upokorzony elokwencją innych.

Przez wiele miesięcy – tyle bowiem trwały jego uporczywe poszukiwania, kiedy to nie zrobił ani kroku na drodze podboju – Robert

praktykował pewnego rodzaju zasadę dwoistej, może nawet mnogiej prawdy, koncepcję, którą w Paryżu wielu uważało za zuchwałą i jednocześnie ostrożną. Za dnia rozprawiał o wieczności materii, nocami zaś psuł sobie wzrok, rozczytując się w traktatach, które obiecywały mu – aczkolwiek w terminach filozofii naturalnej – tajemne cuda.

Podejmując wielkie przedsięwzięcie, trzeba nie tyle stwarzać okazje, ile wykorzystywać je, kiedy się nawiną. Pewnego wieczoru u Arthénice, po ożywionej dyspucie na temat *Astrei*, Gospodyni poprosiła obecnych, by rozważyli, co mają wspólnego miłość i przyjaźń. Robert zabrał głos i zwrócił uwagę słuchaczy, że zasada miłości, zarówno między przyjaciółmi, jak i kochankami, nie różni się od tej, która rządzi działaniem Prochu Sympatii. Kiedy zobaczył zainteresowanie zebranych, powtórzył opowieści Igby'ego, rezygnując tylko z historii o świętej i urynie, a następnie zagłębił się w temat, zapominając zgoła o przyjaźni, a skupiając się na miłości.

– Miłość podlega tym samym prawom co wiatr, wiatry zaś tęsknią zawsze do miejsc, z których przybyły, jeśli zatem wzięły się z ogrodu lub parku, rozsiewają zapach jaśminu, mięty lub rozmarynu i w ten sposób sprawiają, iż żeglarze pragną dobić do lądu wysyłającego owe wonności. Nie inaczej zakochane dusze upajają nozdrza zakochanego serca (wybaczmy Robertowi niezbyt szczęśliwą przesadę) – miłowane serce jest lutnią, która rozbudza współbrzmienia strun innej lutni, podobnie jak dźwięk dzwonów porusza powierzchnię wody, a osobliwie nocą, kiedy nie ma innego dźwięku i na wodzie rodzi się ten sam ruch, co zrodził się przedtem w powietrzu. Miłującemu sercu przytrafia się to samo co kamieniowi winnemu, który czasem pachnie wodą różaną, jeśli pozostawi się go w mroku piwnicy w porze kwitnienia róż, by powietrze, wypełnione różanymi atomami, zmieniając się w wodę wskutek przyciągania soli tartarowych, nasyciło ów kamień swą wonią. Na nic okrucieństwo umiłowanej. Kiedy winnice są obsypane kwieciem, beczka z winem fermentuje i wyrzuca na powierzchnię swój biały kwiat, który pozostaje, póki nie opadną kwiaty z winorośli. Atoli miłujące serce, bardziej

zapamiętałe niźli wino, rozkwitnąwszy w chwili kwitnięcia miłowanego serca, pielęgnuje młody pęd, nawet kiedy wyschnie już źródło.

Wydało mu się, że dostrzega rozczulone spojrzenie Lilii. Ciągnął:

– Miłowanie jest jakby kąpielą księżycową. Promienie dochodzące z Księżyca to promienie słoneczne, odbite i docierające aż do nas. Koncentrując promienie słoneczne niby zwierciadło, wzmaga się ich siłę grzewczą. Koncentrując promienie księżycowe za pomocą srebrnej miseczki, ujrzymy, że wklęsłe dno odbija promienie odświeżające, jako że zawierają w sobie rosę. Ktoś może uznać mycie się w pustej miseczce za niedorzeczność, a jednak dłonie w niej wilgotnieją i jest to niechybne remedium na brodawki.

– Panie de la Grive – przerwał któryś ze słuchaczy – ależ miłość nie jest lekarstwem na brodawki!

– Z pewnością nie – poprawił się Robert, którego nic już nie mogło powstrzymać przed kontynuowaniem wywodu. – Podałem jednak przykłady rzeczy najnikczemniejszych, by przypomnieć, jak dalece miłość zależy od pyłu korpuskularnego. A to oznacza, że miłość podlega tym samym prawom, które rządzą i ciałami sublunarnymi, i niebieskimi, tyle że jest ich najszlachetniejszym przejawem. Miłość rodzi się ze spojrzenia i od pierwszego spojrzenia się rozpala, czymże zaś jest spojrzenie, jeśli nie zapaleniem światła odbitego od ciała, na które się spogląda? Kiedy patrzę, przez moje ciało przenika najlepsza cząstka ciała umiłowanej, ta najbardziej zwiewna, ta docierająca przez oczodoły wprost do serca. Tak zatem pokochać od pierwszego wejrzenia to spijać duchy serca umiłowanej istoty. Wielki Architekt natury, tworząc nasze ciała, umieścił w nich duchy wewnętrzne na kształt straży, która melduje o spostrzeżeniach swemu generałowi, to jest imaginacji, tej jakby głowie cielesnej rodziny. I jeśli jakaś rzecz jest dla niej uderzająca, dzieje się to co wówczas, gdy słyszymy dźwięki wioli, zapamiętujemy melodię i słyszymy ją nawet we śnie. Wyobraźnia buduje sobie pozór owej muzyki, dający miłującemu rozkosz bez udręki, jako że jest tylko pozorem. Dlatego mężczyzna, zaskoczony widokiem ukochanej, zmienia się na twarzy – to rumieni się, to blednie,

zależnie od tego, czy owi posłańcy, którymi są wewnętrzne duchy, prędko czy opieszale zdążają ku przedmiotowi, by powrócić następnie do wyobraźni. Ale duchy te mkną nie tylko ku mózgowi, lecz prosto do serca, a to tym wielkim kanałem, którym ciągną od niego do mózgu duchy witalne, stając się tam duchami animalnymi. Tymże kanałem wyobraźnia śle do serca część atomów, które przyjęła od jakiegoś obiektu zewnętrznego, i te właśnie atomy powodują wrzenie duchów witalnych, czasem niosące sercu rozkosz, a innym razem omdlenie.

– Powiadasz nam, panie, że miłość jest jak ruch fizyczny, że przypomina zakwitanie wina; nie mówisz jednak, jak to się dzieje, iż miłość, w odróżnieniu od innych fenomenów materii, jest cnotą elektywną, wybiórczą. Z jakiej to przyczyny miłość czyni nas niewolnikami tej, nie zaś innej istoty?

– Właśnie dlatego sprowadziłem przymioty miłosne do samej zasady Prochu Sympatii, do tej, która powiada, że atomy równe i podobnej formy przyciągają takie same atomy! Gdybym natarł tym prochem oręż, który zranił Pyladesa, nie uleczyłbym rany Oresta. Tak zatem miłość jednoczy tylko dwie istoty, które w pewnym sensie już przedtem miały tę samą naturę, ducha szlachetnego z duchem równie szlachetnym i ducha prostackiego z duchem równie prostackim, zdarza się bowiem, że miłują również prostacy, jak choćby pastereczki, i poucza nas o tym cudowna opowieść pana d’Urfé. Miłość odsłania zgodność dwóch istot przeznaczonych sobie od początku czasu, tak jak zawsze było przez Los zdecydowane, że Pyramos i Tysbe złączą się w jednym drzewie morwowym.

– A miłość nieszczęśliwa?

– Nie wierzę, by istniała miłość naprawdę nieszczęśliwa. Bywają jedynie miłości, które nie dojrzały w pełni, kiedy to miłowana nie przyjęła jeszcze z jakiegoś powodu wezwania płynącego z oczu miłośnika. Miłośnik jednak wie już dobrze, jakie podobieństwo natur zostało mu ujawnione, że czerpiąc siłę z tej wiary, może czekać choćby całe życie. Wie, że objawienie i połączenie obojga może nastąpić nawet po śmierci, kiedy wyparują już

atomy obu ciał, które rozłożą się w ziemi, i zjednoczenie nastąpi w jakimś niebie. I może tak jak ranny, nieświadom, że ktoś posypał Prochem broń, co go zraniła, raduje się powrotem do zdrowia, któż wie, ile kochających serc raduje się w tym momencie nagłym ukojeniem ducha, nie wiedząc zgoła, iż ich szczęście jest dziełem miłowanego serca, które oto pokochało i zapoczątkowało jednoczenie bliźniaczych atomów.

Muszę powiedzieć, że cała ta skomplikowana alegoria była trafna tylko do pewnego stopnia i być może Machina Arystotelesowska ojca Emanuela ujawniłaby niedostatek jej stabilności. Ale tego wieczoru wszyscy byli przekonani do tej paranteli między Prochem leczącym z chorób a miłością, która nie zawsze leczy, lecz często zadaje ból.

Z tego powodu historia dyskursu o Prochu Sympatii i Sympatii Miłosnej przez kilka miesięcy, może nawet dłużej, krążyła po Paryżu z rezultatami, o których opowiemy.

I dlatego też po zakończeniu mowy Lilia uśmiechnęła się znowu do Roberta. Ten uśmiech oznaczał komplement, mówił o podziwie, nie ma jednak nic bardziej naturalnego niż uwierzyć, że jesteśmy kochani. Robert zrozumiał ów uśmiech jako akceptację wszystkich listów, które wysłał. Zbyt przywykł już do udręk nieobecności, opuścił więc zgromadzenie, rad ze swej wiktorii. Uczynił źle – i zobaczymy poniżej dlaczego. Od tej chwili odważał się wprawdzie mówić do Lilii, ale odpowiedzią zawsze był opór. Czasem szeptała: „Dokładnie jak mówiliśmy kilka dni temu”. Czasem zaś: „Przecież mówiłeś coś zupełnie innego”. Niekiedy znów, znikając, obiecywała: „Ależ pomówimy o tym, bądźże wytrwały”.

Robert nie wiedział, czy skutkiem roztargnienia przypisuje mu słowa i czyny innego mężczyzny, czy też zalotnie go prowokuje.

To, co miało mu się zdarzyć, winno skłonić go do połączenia tych nieczęstych epizodów w historię znacznie bardziej niepokojącą.

17

Upragniona Wiedza o Długościach Geograficznych

Był – jakaś w końcu data, która może posłużyć nam za punkt zaczepienia – wieczór drugiego grudnia 1642 roku. Wychodzili z teatru, gdzie Robert, siedząc między publicznością, w milczeniu recytował partię zakochanego. Przy wyjściu Lilia uścisnęła mu dłoń i szepnęła:

– Panie de la Grive, stałeś się nieśmiały. Nie byłeś taki tamtego wieczoru. A więc do jutra, na tej samej scenie.

Wyszedł oszołomiony, z zamętem w głowie, po tym zaproszeniu na spotkanie w miejscu, którego nie mógł znać, wezwany do powtórzenia tego, czego nigdy nie śmiał powiedzieć. Nie mogła jednak pomylić go z kimś innym, bo przecież wymieniła jego nazwisko.

Och – powiedział sobie (wedle tego, co napisał) – oto strumyki płyną ku źródłom, białe rumaki pną się na wieże Matki Boskiej Paryskiej, ogień uśmiecha się gorąco spośród lodów, bo przecież zdarzyło się, że mnie zaprosiła. Albo nie, dzisiaj krew tryska ze skały, koliber spółkuje z niedźwiedzicą, słońce przystroiło się w czerń, albowiem moja umiłowana ofiarowała mi puchar, którego nie wychylę, gdyż nie wiem, gdzie wyznaczyła mi spotkanie...

Zrozpaczony, o krok od szczęścia, pobiegł do domu, jedynego miejsca, gdzie z pewnością jej nie było.

Słowa Lilii można wyjaśnić w sposób znacznie mniej tajemniczy: po prostu przypominała mu dawną już mowę o Prochu Sympatii, zachęcała go, by powiedział coś jeszcze w tym samym salonie Arthénice, w którym raz już zabrał głos. Od tego czasu zawsze widziała go adorującego w milczeniu, to zaś było naruszeniem rygorystycznych reguł gry, jaką jest

uwodzenie. Przypominała mu, powiedzielibyśmy dzisiaj, o światowych obowiązkach. Nuże, mówiła, tamtego wieczoru nie byłeś przecież nieśmiały, odegraj raz jeszcze tę scenę, czekam. Takiego właśnie wezwania można oczekiwać od wykwintnisi.

Robert zrozumiał to inaczej: „Jesteś nieśmiały, choć parę wieczorów temu taki nie byłeś i powiedziałeś mi... (wyobrażam sobie, że zazdrość przeszkadzała Robertowi, zachęcając go jednocześnie, domyślić się dalszego ciągu zdania). Więc jutro znowu, na tej samej scenie, w tym samym sekretnym miejscu”.

Jest rzeczą naturalną, że – skoro jego fantazja wybrała sobie bardziej ciernistą drogę – zaraz pomyślał o pomyłce, o kimś, kto udawał jego i w jego szatach uzyskał od Lilii to, za co on oddałby życie. Znowu więc pojawił się Ferrante, a wraz z nim zawiązały się na nowo wszystkie nici łączące Roberta z przeszłością. Ferrante, złośliwe *alter ego,* wkradł się nawet w tę sprawę, wykorzystując jego nieobecność, opieszałość, ucieczki, a we właściwym momencie przywłaszczył sobie nagrodę za oracją na temat Prochu Sympatii.

I kiedy Robert tak się trapił, usłyszał pukanie do drzwi. Nadzieja, sen na jawie! Rzucił się do drzwi przekonany, że zaraz ujrzy ją w progu, ale w drzwiach stanął oficer gwardii kardynalskiej z dwuosobową świtą.

– Pan de la Grive, spodziewam się – powiedział. A przedstawiwszy się jako kapitan de Bar, ciągnął: – Przykro mi, że będę musiał zrobić to, co muszę. Jesteś, panie, aresztowany i proszę, byś oddał mi szpadę. Jeśli obiecasz, że zachowasz się odpowiednio, wsiądziemy jak przyjaciele do karety, która na nas czeka, i nie będziesz miał powodów do wstydu.

Dał do zrozumienia, że nie wie nic o przyczynach aresztowania i pragnie, by cała rzecz okazała się nieporozumieniem. Robert poszedł za nim w milczeniu, formułując w myślach to samo pragnienie, a kiedy dotarł do celu, został przekazany w ręce zaspanego strażnika i znalazł się w Bastylii.

Spędził tam dwie zimne noce, odwiedzany wyłącznie przez nieliczne szczury (było to przygotowanie do rejsu na „Amaryllis”) i strażnika, który na wszystkie pytania odpowiadał, że w tym miejscu tylu przebywało

znamienitych gości, iż on sam przestał zadawać sobie pytanie, jak się tu mogli dostać, a skoro od siedmiu lat znajduje się w celi taki wielki pan jak Bassompierre, nie ma powodu, ażeby Robert lamentował po paru marnych godzinach.

Przeznaczywszy Robertowi dwa dni na zapoznanie się ze smakiem tego co najgorsze, trzeciego wieczoru zjawił się de Bar, który zapewnił mu możliwość umycia się i oznajmił, że ma stanąć przed obliczem Kardynała. Robert zrozumiał przynajmniej, że jest więźniem stanu.

Zjawili się w pałacu późnym wieczorem i już po sposobie otwierania bramy można się było domyślić, że chodzi o wieczór wyjątkowy. Mnóstwo osób różnych stanów biegało schodami to w górę, to w dół. Do przedpokoju wpadali zadyszani szlachcice i duchowni, spluwali dwornie na pokryte freskami ściany, robili zbolałe miny i wchodzili do następnej sali, z niej zaś wychodzili lokaje, wzywając głośno jakiegoś famulusa, który gdzieś się zapodział, i gestem nakazując wszystkim ciszę.

Do tej właśnie sali wprowadzono Roberta, który zobaczył tylko obrócone plecami osoby, stojące na palcach w drzwiach następnej komnaty, jakby wpatrzone w jakiś smutny spektakl. De Bar rozejrzał się, szukając kogoś wzrokiem, a wreszcie dał Robertowi znak, by ten został w kącie komnaty, sam zaś się oddalił.

Inny strażnik, który próbował wyprowadzić wielu z obecnych, okazując względy zależne od ich stanu, widząc nieogolonego Roberta w ubraniu wymiętym po pobycie w więzieniu, spytał go szorstko, co tu robi. Robert odparł, że czeka go Kardynał, na co strażnik odpowiedział, że niestety to Kardynała oczekuje ktoś znacznie ważniejszy.

Dał mu jednak spokój, a ponieważ de Bar (jedyna przyjazna twarz, jaka pozostała) nie wracał, Robert powolutku przesunął się tak, by zebrani go zasłonili, i po trosze czekając, a po trosze się przepychając, dotarł na próg ostatniego pokoju.

Tam ujrzał w łożu i rozpoznał oparty o śnieżnobiałe poduszki cień tego, którego cała Francja się bała, a niewielu kochało. Wielki Kardynał

spoczywał w otoczeniu ubranych na czarno medyków, robiących wrażenie, jakby bardziej niż chorym interesowali się dysputą w swoim gronie, a jakiś kleryk ocierał mu usta, na które słabe ataki kaszlu wyrzucały czerwonawą pianę. Pod przykryciem można było się domyślić mozolnego oddechu wycieńczonego już ciała; z rękawa koszuli wystawała dłoń ściskająca krucyfiks. Kleryk wybuchnął w pewnym momencie szlochem. Richelieu z trudem obrócił głowę, spróbował się uśmiechnąć i szepnął:

– Sądziłeś więc, żem nieśmiertelny?

Kiedy Robert zadawał sobie pytanie, kto mógł sprowadzić go do łoża umierającego, za jego plecami powstało wielkie zamieszanie. Niektórzy szeptali imię proboszcza kościoła Saint-Eustache, a wszyscy rozstąpili się, dając przejście księdzu ze świtą niosącemu święte oleje.

Robert poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Był to de Bar.

– Idziemy – powiedział. – Kardynał czeka.

Robert nie rozumiał, co ma na myśli, ale poszedł za nim korytarzem. De Bar wprowadził go do jakiejś sali, dał znak, żeby czekał, i wyszedł.

Była to obszerna sala z wielkim globusem pośrodku i – na tle czerwonej portiery – zegarem na komódce w rogu. Na lewo od portiery, pod wielkim, przedstawiającym całą postać portretem Richelieugo, Robert dostrzegł w końcu obróconego tyłem mężczyznę w szatach kardynalskich, stojącego przy pulpicie i zaprzątniętego pisaniem. Purpurat obrócił się z lekka, tak że stał teraz ukośnie do Roberta, i dał znak, żeby gość się zbliżył, kiedy jednak ten szedł ku niemu, dostojnik pochylił się nad pulpitem i przyłożył lewą rękę do marginesu kartki, chociaż Robert, zatrzymując się w odległości, jaką nakazywał szacunek, i tak niczego nie mógłby przeczytać.

Następnie mężczyzna ów obrócił się całkiem wśród szelestu purpury i stał przez parę sekund wyprostowany, odtwarzając prawie pozę z wielkiego portretu, który miał za plecami, z prawicą wspartą na pulpicie, lewicą na wysokości piersi – nienaturalnie skierowaną wnętrzem dłoni ku górze. Następnie zasiadł na krześle stojącym obok zegara, pogładził wytwornym ruchem wąsy i spiczastą bródkę i spytał:

– Pan de la Grive?

Pan de la Grive aż do tej chwili był przekonany, że w jakimś koszmarze śni mu się ten sam Kardynał, który kona dziesięć metrów stąd, lecz teraz zobaczył go odmłodzonego, mniej wynędzniałego, jakby na bladej arystokratycznej twarzy z portretu ktoś przyciemnił barwę skóry i nadał wargom linię wyrazistszą i bardziej falistą; później głos o cudzoziemskim akcencie obudził w nim dawne wspomnienie owego kapitana, który dwanaście lat temu galopował pod Casale między szeregami wrogich wojsk.

Robert znalazł się przed obliczem kardynała Mazarina i domyślił się, że w miarę agonii swego protektora człowiek ten przejmuje powoli jego obowiązki i dlatego oficer określił go już jako Kardynała, jakby innych kardynałów nie było.

Miał właśnie odpowiedzieć na pierwsze pytanie, ale szybko się zorientował, że Kardynał z pozoru pyta, lecz w istocie rzeczy stwierdza, przyjmując, iż rozmówca może wyłącznie przytaknąć.

– Robert de la Grive – potwierdził takoż Kardynał – z rodu Pozzo di San Patrizio. Znamy ten zamek, podobnie jak znamy dobrze Monferrato. Kraina to żyzna, taka powinna być Francja. W czasach Casale twój ojciec walczył jak człowiek honoru i był nam wierniejszy niż inni twoi ziomkowie: – Powiedział „nam”, jakby już w tamtych czasach był człowiekiem króla Francji. – Ty też, jak nam powiedziano, stawałeś mężnie w tej potrzebie. Czy nie tym większy, i ojcowski, żal musi nas gnębić, że będąc gościem w tym królestwie, uchybiłeś obowiązkom gościa? Nie wiedziałeś, że tutaj te same prawa rządzą poddanymi i gośćmi? Oczywiście, oczywiście, nie zapominamy, że szlachcic pozostaje szlachcicem, jakąkolwiek zbrodnię popełnił, skorzystasz więc z tych samych przywilejów co Cinq-Mars, którego pamięć najwyraźniej nie budzi w tobie należytej odrazy. Umrzesz więc od topora, nie na stryczku.

Robert znał naturalnie sprawę, o której mówiła cała Francja. Markiz de Cinq-Mars próbował namówić króla do odprawienia Richelieugo, a Richelieu przekonał króla, że Cinq-Mars spiskuje przeciwko monarsze.

Skazaniec próbował w Lyonie zachować się w obliczu kata zuchwale i godnie, ten jednak tak niegodnie zmasakrował mu szyję, że oburzony tłum zmasakrował jego.

Ponieważ wystraszony Robert otworzył usta, Mazarin powstrzymał go gestem dłoni.

– Ależ, panie San Patrizio – powiedział i Robert domyślił się, że użył tego nazwiska, by przypomnieć mu, iż jest cudzoziemcem; a poza tym mówił po francusku, choć mógłby przecież posłużyć się włoszczyzną. – Poddałeś się występkom tego miasta i kraju. Jak zwykł powiadać Jego Eminencja, właściwa Francuzom lekkomyślność każe im pożądać zmiany, gdy nudzi ich teraźniejszość. Paru tych lekkomyślnych szlachciców, którym król dodał jeszcze lekkości, zabierając im głowy, uwiodło cię podburzającymi przemowami. Twoja sprawa jest tego rodzaju, że nie ma potrzeby fatygować nią trybunału. Państwa, których zachowanie winno leżeć nam na sercu, szybko popadłyby w ruinę, gdyby w materii zbrodni zmierzających do ich zniszczenia żądano równie wyraźnych dowodów jak w przypadkach przestępstw pospolitych. Dwa dni temu widziano cię wieczorem, jak rozmawiałeś z przyjaciółmi Cinq-Marsa, którzy raz jeszcze ujawnili zamysł dokonania zdrady. Ten, który cię z nimi widział, jest człowiekiem godnym zaufania, jako że wślizgnął się między nich z mojego upoważnienia. To wystarczy. Milczże – powstrzymał go, robiąc znudzoną minę – nie po to cię sprowadziliśmy, by dawać ucha zapewnieniom o niewinności, masz więc słuchać i nie odzywać się.

Robert nie uspokoił się wprawdzie, ale wyciągnął parę wniosków: w momencie kiedy Lilia musnęła jego dłoń, widziano go gdzie indziej, spiskującego przeciw Państwu. Mazarin był tak o tym przekonany, że myśl stała się faktem. Wszędzie szeptano, że gniew Richelieugo jeszcze się nie uśmierzył, i wielu się lękało, że zostaną wybrani, by posłużyć za przykład dla innych. On zatem został wybrany i tak czy inaczej jest zgubiony.

Mógłby pomyśleć o tym, że często, nie tylko dwa wieczory wcześniej, rozmawiał, opuszczając salon Rambouillet, że nie można wykluczyć, iż któryś z jego rozmówców był bliski Cinq-Marsowi, że Mazarin z jakichś

powodów dąży do jego zguby, a do tego wystarczy pierwsze lepsze zdanie powtórzone przez szpiega i zinterpretowane w złośliwy sposób... Ale naturalnie Robert zaprzątał sobie głowę innymi myślami, które potwierdzały jego lęki. Ktoś wziął udział w spiskowym zebraniu, chełpiąc się jego twarzą i imieniem.

To dodatkowy powód, żeby nie podejmować prób obrony. Nie potrafił tylko wyjaśnić sobie, dlaczego – skoro już został skazany – Kardynał zadaje sobie trud osobistego zawiadomienia skazańca o czekającym go losie. Kardynał nie był adresatem żadnego listu, lecz gryfem, samą zagadką, którą inni, niepewni jeszcze co do intencji króla, musieliby rozszyfrować. Robert w milczeniu czekał na wyjaśnienie.

– Widzisz, panie San Patrizio, gdybyśmy nie zostali wyróżnieni godnością kościelną, którą dzięki papieżowi i na życzenie króla uhonorowano nas rok temu, powiedzielibyśmy, że twoimi nieostrożnymi krokami kierowała Opatrzność. Od jakiegoś czasu obserwowaliśmy cię, rozważając, w jaki sposób zażądać usługi, której nie miałeś zgoła obowiązku się podjąć. Twój fałszywy krok sprzed trzech wieczorów przyjęliśmy jak szczególny dar niebios. Teraz możesz być naszym dłużnikiem i nasza sytuacja jest inna, nie mówiąc już o twojej.

– Dłużnikiem?

– Zawdzięczając nam życie. Oczywiście nie jest w naszej mocy udzielić ci wybaczenia, ale mamy prawo się za tobą ująć. Powiedzmy, że mógłbyś uniknąć rygorów prawa, uciekając. Po roku, może później, pamięć świadka z pewnością się zmąci i będzie on mógł, nie plamiąc swego honoru, przysiąc, że człowiekiem sprzed trzech wieczorów nie byłeś ty, może nawet wyjaśni się, że o tej porze grałeś zupełnie gdzie indziej w tryktraka z kapitanem de Bar. Wtedy, a zważ, że niczego nie postanawiamy, tylko bawimy się w przypuszczenia i może się zdarzyć coś zupełnie przeciwnego, choć ufamy, iż nie zawodzi nas wyczucie sytuacji, wtedy oddana ci zostanie w pełni sprawiedliwość i wolność bez żadnego warunku. Usiądź, proszę – ciągnął. – Chcę ci zaproponować pewną misję.

Robert usiadł.

– Misję?

– I to delikatną. W jej toku, i zgoła tego nie ukrywam, przyjdzie ci czasem igrać ze śmiercią. Oto nasza propozycja: wydobędziemy cię spod katowskiego topora i zadbamy, byś wrócił zdrów i cały, jeśli tylko okażesz dość zręczności. Powiedzmy, że czeka cię rok przeciwieństw losu w zamian za całe życie.

– Eminencjo – powiedział Robert, który widział, że przynajmniej rozpływa się obraz kata – o ile rozumiem, jest rzeczą zbędną, bym przysięgał na honor lub krzyż, bym...

– Uchybilibyśmy chrześcijańskiemu miłosierdziu, gdybyśmy całkiem wykluczyli, że jesteś niewinny, my zaś padliśmy ofiarą nieporozumienia. Lecz owo nieporozumienie okazało się tak zgodne z naszymi zamysłami, że nie widzimy powodów, by je ujawniać. Nie próbuj jednak insynuować, że proponujemy ci nieuczciwy targ. Ktoś mógłby pomyśleć: albo niewinny zostanie oddany katu, albo zbrodniarz przyzna się i uda, że staje w naszej służbie...

– Jestem, eminencjo, jak najdalszy od takiej intencji, gdyż świadczyłaby ona o braku szacunku.

– Otóż tak. Proponujemy możliwość niebezpieczeństw, ale pewność chwały. I wyjaśnimy, jak się stało, że nasze spojrzenie spoczęło na tobie, choć przedtem nie wiedzieliśmy o twym pobycie w Paryżu. Widzisz, w mieście wiele się mówi o tym, co dzieje się w salonach, i cały Paryż plotkował swego czasu o pewnym wieczorze, podczas którego zabłysnąłeś w oczach wielu dam. Cały Paryż, nie musisz się rumienić. Mamy na myśli ten wieczór, kiedy z wielkim polotem przedstawiłeś przymioty tak zwanego Prochu Sympatii i na modłę (tak się mówi w tych miejscach, nieprawdaż?) taką, że temu tematowi szyderstwa przydały soli, paronomazje gracji, sentencje podniosłości, hiperbole bogactwa, paralele przejrzystości...

– Och, eminencjo, opowiadałem o rzeczach, których się dowiedziałem...

– Podziwiam modestię, ale zdaje się, że ujawniłeś niezłą znajomość sekretów naturalnych. Idzie o to, że potrzebny mi człowiek o takiej wiedzy, który nie byłby Francuzem i nie kompromitując Korony, wślizgnąłby się na

statek wypływający z Amsterdamu z zamiarem odkrycia nowego sekretu, w pewien sposób związanego z użyciem owego proszku.

Uprzedził jeszcze jedno zastrzeżenie ze strony Roberta:

– Nie lękaj się, rozumiemy, że musisz dobrze wiedzieć, czego szukamy, abyś potrafił interpretować najmniej nawet pewne znaki. Chcemy, byś dobrze zapoznał się z tematem, widzimy bowiem, że skłonny jesteś nam służyć. Będziesz miał utalentowanego nauczyciela i nie daj się zwieść jego młodemu wiekowi.

Szarpnął za sznur. Nie rozległ się żaden dźwięk, ale szarpnięcie musiało uruchomić dzwonek lub inny sygnał gdzie indziej – taki wniosek wysnuł w każdym razie Robert, były to bowiem czasy, kiedy nawet wielcy panowie wzywali służbę głośnym okrzykiem.

Rzeczywiście, wkrótce wkroczył do komnaty pełen szacunku młodzieniec, który z wyglądu nie mógł mieć dużo więcej niż dwadzieścia lat.

– Witaj, panie Colbert, oto osoba, o której dzisiaj rozmawialiśmy – powiedział Mazarin i zwrócił się do Roberta: – Colbert, który zapoznaje się z tajnikami administrowania państwem, okazując nie lada talenty, rozważa od jakiegoś czasu problem, który bardzo leżał na sercu kardynałowi de Richelieu, a teraz leży mnie. Być może wiesz, San Patrizio, że zanim ujął on w swe dłonie ster wielkiej nawy, której kapitanem jest Ludwik XIII, marynarka francuska była, w czas pokoju czy wojny, niczym w porównaniu z marynarką naszych wrogów. Dzisiaj możemy być dumni z naszej floty Lewantu, a także Ponentu, i pamiętasz zapewne, z jakim powodzeniem nie dalej niż pół roku temu markiz de Brézé ustawił w szyku naprzeciwko Barcelony czterdzieści cztery okręty, czternaście galer i nie pamiętam już ile innych jednostek. Utwierdziliśmy nasze zdobycze w Nowej Francji, zapewniliśmy sobie panowanie nad Martyniką i Gwadelupą oraz mnóstwem Wysp Peruwiańskich, jak lubi powtarzać Kardynał. Zaczęliśmy tworzyć kompanie handlowe, aczkolwiek nie odnieśliśmy w tym zakresie pełnego sukcesu, ale przecież, niestety, w Zjednoczonych Prowincjach, Anglii, Portugalii i Hiszpanii nie znajdzie się rodziny szlacheckiej, której

jakiś członek nie szukałby fortuny na morzach. We Francji jest inaczej, i szkoda. Za dowód niechaj posłuży fakt, że wiemy może wystarczająco dużo o Nowym Świecie, ale niewiele o Najnowszym. Pokaż no, panie Colbert, naszemu przyjacielowi, jakże jeszcze się nam jawi druga połowa globu.

Młodzieniec zakręcił globusem, a Mazarin uśmiechnął się smutno.

– Niestety, ten obszar wodny pusty jest nie dlatego, że natura obeszła się z nim po macoszemu. Jest pusty, gdyż za mało wiemy o jego szczodrości. A przecież po odkryciu zachodniego szlaku na Moluki w grę wchodzi właśnie ta rozległa, niezbadana strefa, która rozciąga się od zachodnich wybrzeży kontynentu amerykańskiego po najdalsze ku wschodowi odgałęzienia Azji. Mam na myśli ocean zwany Pacyfikiem, jak zechcieli go mianować Portugalczycy, na nim bowiem z pewnością znajduje się Ziemia Nieznana Australna, z której poznano ledwie parę wysp i parę niezbyt wyraźnych wybrzeży, dość jednak, by wiedzieć, że kryje ona bajeczne bogactwa. I te wody przemierza od dawna mnóstwo awanturników, którzy nie mówią naszym językiem. Nasz przyjaciel Colbert nie tylko, mniemam, dla młodzieńczego kaprysu pieści myśl o francuskiej obecności na tych morzach. Tym bardziej że, jak sądzimy, pierwszym, który postawił stopę na Ziemi Australnej, był Francuz, pan de Gonneville, i to szesnaście lat przed wyprawą Magellana. A jednak ten waleczny szlachcic, czy może człowiek Kościoła, nie zadbał o to, by zaznaczyć na mapach miejsce, do którego przybił. Czyż możemy choćby pomyśleć, że dzielny Francuz był tak nieroztropny? Po tysiąckroć nie, sprawa raczej polega na tym, że w owych dawnych czasach nie umiano w pełni rozwiązać pewnego problemu. I ten problem, a zdziwisz się, kiedy powiem, o jaki problem chodzi, pozostaje tajemnicą także dla nas.

Przerwał i Robert zrozumiał, że ponieważ zarówno Mazarin, jak i Colbert znają jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej imię tajemnicy, tą przerwą zaszczycono właśnie jego. Uznał, że dobrze będzie odegrać rolę urzeczonego widza, i spytał:

– Jakaż to tajemnica, jeśli wolno spytać?

Mazarin zerknął porozumiewawczo na Colberta i oznajmił:

– To tajemnica długości geograficznych.

Colbert z powagą potwierdził.

– Za rozwiązanie problemu *punto fijo* – ciągnął Kardynał – już siedemdziesiąt lat temu Filip II hiszpański ofiarowywał fortunę, a później Filip III obiecywał sześć tysięcy dukatów renty wieczystej i dwa tysiące dożywotniej, Stany Generalne Holandii zaś trzydzieści tysięcy florenów. My też nie skąpiliśmy pieniężnego wsparcia dla zdolnych astronomów... À propos, panie Colbert, ten doktor Morin, już osiem lat każemy mu czekać...

– Eminencjo, sam byłeś przekonany, że sprawa paralaksy księżycowej to chimera...

– Owszem, ale broniąc tej nader wątpliwej hipotezy, skutecznie zbadał i poddał krytyce inne. Włączmy go do tego nowego projektu, pan San Patrizio wiele może się od niego nauczyć. Wyznaczymy mu pensję, nic bowiem lepiej niż pieniądze nie podtrzymuje dobrych skłonności. Jeśli w jego koncepcie tkwi ziarno prawdy, będziemy mogli lepiej to sprawdzić, a jednocześnie unikniemy tego, że czując się opuszczony przez ojczyznę, ustąpi naleganiom Holendrów. Zdaje mi się, że właśnie Holendrzy, widząc wahania Hiszpanów, rozpoczęli rozmowy z owym Galileuszem, my zaś zrobimy dobrze, nie pozostając poza tą sprawą...

– Eminencjo – powiedział niepewnie Colbert – zechciej sobie przypomnieć, że Galileusz zmarł na początku tego roku...

– Doprawdy? Prośmy Boga, by zaznał więcej szczęścia niż za życia.

– A przecież podane przez niego rozwiązanie długo wydawało się ostateczne, choć takie nie jest...

– Na szczęście uprzedziłeś nas, panie Colbert. Przypuśćmy jednak, że także rozwiązanie Morina niewarte jest złamanego solda. Mimo to wspierajmy go, niech na nowo rozgorzeje dysputa wokół jego konceptów, zaostrzmy ciekawość Holendrów. Postarajmy się, by kuszono go przez jakiś czas, a zwabimy przeciwnika na fałszywy trop. Tak czy inaczej, będą to

pieniądze dobrze wydane. Ale dość na ten temat. Proszę kontynuować, abym i ja czegoś się nauczył wraz z panem San Patrizio.

– Jego eminencja nauczyłeś mnie wszystkiego, co wiem – odparł Colbert, oblewając się rumieńcem – lecz twoja dobroć dodaje mi ducha i pozwala zabrać głos. – W tym momencie poczuł zapewne, że znalazł się na przyjaznym gruncie. Podniósł głowę, którą zawsze trzymał pochyloną, i żwawym krokiem podszedł do globusa. – Panowie, na oceanie, gdzie nawet widząc brzeg, nie wiemy, co to za ląd, a kiedy płynie się ku ziemi znanej, przebywa się przez wiele dni wśród wodnego bezkresu – na oceanie więc żeglarz nie ma innych punktów odniesienia niż gwiazdy. Za pomocą instrumentów, które rozsławili już dawni astronomowie, ustala się wysokość gwiazdy nad horyzontem, oblicza się na tej podstawie odległość od zenitu i znając jej deklinację, zważywszy na to, że odległość zenitalna plus albo minus deklinacja daje szerokość geograficzną, od razu wiemy, na jakim znajdujemy się równoleżniku, czyli ile jesteśmy na północ albo południe od znanego punktu. Wydaje mi się to jasne.

– Nawet dziecko by pojęło – powiedział Mazarin.

– Winno więc być tak – ciągnął Colbert – że w podobny sposób można też określić, jak daleko jest się na wschód albo zachód od tego punktu, to znaczy, na jakiej długości, czyli na którym południku. Jak powiada Sacrobosco, południk to okrąg, który przechodzi przez bieguny naszego świata i zenit nad naszymi głowami. Nazwa zaś „południk” wzięła się stąd, że gdziekolwiek człowiek się znajduje i bez względu na porę roku, kiedy słońce dociera do owego południka, w tym miejscu i dla tego człowieka jest południe. Niestety, wskutek jakiejś tajemnicy natury wszelki sposób, jaki wynajdywano w celu określenia długości geograficznej, okazywał się zawodny. Co to ma za znaczenie? – mógłby spytać profan. Ma, i to nie byle jakie.

Nabierał coraz większej wiary w siebie; obrócił globus i wskazał zarys Europy.

– Mniej więcej piętnaście stopni południkowych oddziela Paryż od Pragi, trochę ponad dwadzieścia Paryż od Wysp Kanaryjskich. Cóż

powiedzielibyście, panowie, o dowódcy wojsk lądowych, który myślałby, że walczy pod Białą Górą, ale zamiast zabijać protestantów, mordowałby doktorów Sorbony na Montagne Sainte-Geneviève?

Mazarin z uśmiechem wyciągnął przed siebie ręce, jakby życzył wszystkim, by tego rodzaju rzeczy zdarzały się tylko na właściwym południku.

– Dramat polega na tym – ciągnął Colbert – że popełniamy tak znaczne błędy, określając długość za pomocą środków, jakimi dysponujemy. W ten sposób zdarza się to, co zdarzyło się prawie wiek temu owemu Hiszpanowi nazwiskiem Mendaña, który odkrył Wyspy Salomona, pobłogosławione przez niebo owocami ziemi i złotem spod ziemi. Mendaña ustalił pozycję odkrytego przez siebie lądu i po powrocie do ojczyzny obwieścił o swoim sukcesie, ale kiedy zaledwie niecałe dwadzieścia lat później wypożyczył cztery statki, by wrócić tam i ostatecznie ustanowić panowanie jego królewskiej i katolickiej mości, jak powiada się dzisiaj, co się okazało? Nie umiał znaleźć swojego lądu. Holendrzy nie czekali z założonymi rękami, na początku naszego wieku założyli Kompanię Indyjską, zbudowali w Azji miasto Batawia, służące za bazę wielu wypraw w kierunku wschodnim, dotarli do Nowej Holandii i innych lądów leżących zapewne na wschód od Wysp Salomona, zetknęli się z angielskimi piratami, którym Dwór Świętego Jakuba nie zawahał się nadać indygenatów szlacheckich. Ale nikt nie znalazł już śladu Wysp Salomona, nic więc dziwnego, że niektórzy skłonni są włożyć je między bajki. Bajeczne czy nie, Mendaña jednak do nich dotarł, tyle że prawidłowo określił ich szerokość geograficzną, a nieprawidłowo długość. A gdyby nawet z pomocą niebios ustalił ją zgodnie z prawdą, inni żeglarze szukający tej długości (i on sam podczas drugiej wyprawy) nie wiedzieliby zbyt dobrze, na jakiej sami się znajdują. Jeślibyśmy nawet wiedzieli, gdzie jest Paryż, lecz nie umielibyśmy ustalić, czy jesteśmy w Hiszpanii, czy wśród Persów, jak sam widzisz, panie, poruszalibyśmy się na wzór ślepców prowadzących innych ślepców.

– Doprawdy – ośmielił się zabrać głos Robert – aż wierzyć się nie chce, że przy tym wszystkim, co słyszałem o postępach wiedzy w naszym

stuleciu, tak mało wiemy.

– Nie wymieniam ci, panie, proponowanych metod, od tej opartej na zaćmieniach Księżyca do uwzględniającej odchylenia igły magnetycznej, nad którą to metodą trudził się jeszcze niedawno nasz Le Tellier, nie wspominając nawet o metodzie logu; za nią zaś gwarantował nasz Champlain... Wszystkie jednak okazały się niewystarczające i pozostaną takie, dopóki Francja nie zbuduje obserwatorium, w którym można będzie wszelkie hipotezy wypróbować. Oczywiście jest sposób niechybny: mieć na pokładzie zegar, który wskazywałby godzinę południka paryskiego, określić na morzu godzinę obowiązującą w danym miejscu i z różnicy obliczyć długość geograficzną. Oto planeta, na której żyjemy i którą mądrość starożytnych podzieliła na trzysta sześćdziesiąt stopni długości geograficznej, zaczynając zwykle komput od południka przechodzącego przez Wyspę Żelazną z Archipelagu Kanaryjskiego. Słońce w swym biegu po niebie (a czy ono się porusza, czy, jak chce się dzisiaj, Ziemia, dla naszych celów nie ma większego znaczenia) pokonuje w godzinę piętnaście stopni długości i kiedy w Paryżu mamy, jak w tej chwili, północ, sto osiemdziesiąt stopni od Paryża jest południe. Jeśli więc jesteś pewny, że w Paryżu zegary wskazują, załóżmy, południe, i zobaczysz, że w miejscu, dokąd dotarłeś, jest szósta rano, to obliczysz różnicę czasów, zamiast każdej godziny weźmiesz piętnaście stopni, i dowiesz się, iż znalazłeś się w odległości dziewięćdziesięciu stopni od Paryża, czyli mniej więcej tu. – Zakręcił globusem i wskazał punkt na kontynencie amerykańskim. – Chociaż jednak bez trudu określisz godzinę w miejscu przebywania, trudno uzyskać to, by po miesiącach żeglowania na rzucanym przez wiatry statku zegar podawał nadal właściwą godzinę, wstrząsy bowiem powodują błędne wskazania najnowocześniejszych nawet instrumentów, nie mówiąc już o zegarach piaskowych i wodnych, które muszą stać na nieruchomej płaszczyźnie, jeśli mają dobrze funkcjonować.

Przerwał mu kardynał.

– Nie sądzimy, ażeby pan San Patrizio musiał wiedzieć w tej chwili coś więcej na ten temat, panie Colbert. Postarasz się, by swoje wiadomości

poszerzył w czasie podróży do Amsterdamu. Potem zaś nie my jego będziemy uczyć, ale, ufamy, on nas. Kardynał bowiem... a jego wzrok sięgał, nadal sięga i, miejmy nadzieję, długo jeszcze będzie sięgał dalej niż nasz... dawno już, drogi San Patrizio, utworzył siatkę zaufanych informatorów, mających za zadanie podróżować do innych krajów, odwiedzać porty i wypytywać kapitanów gotujących się do rejsu albo wracających z mórz, aby w ten sposób zorientować się, czy inne rządy czynią i wiedzą więcej niźli my, albowiem, i wydaje mi się to oczywiste, państwo, które odkryje sekret długości geograficznej i zadba, żeby wieść o tym się nie rozniosła, zyska wielką przewagę nad innymi. Otóż – w tym miejscu Mazarin jeszcze raz zrobił przerwę, znowu pogładził wąsy, a potem złożył dłonie, jakby chciał się skupić, a jednocześnie wybłagać wsparcie niebios – otóż dowiedzieliśmy się, że pewien angielski medyk, doktor Byrd, wymyślił nowy i cudowny sposób określania południka, oparty na wykorzystaniu Prochu Sympatii. W jaki sposób, drogi San Patrizio, nie pytaj, gdyż ja ledwie znam nazwę tego diabelskiego wynalazku. Wiemy z całą pewnością, że chodzi o ten właśnie proszek, ale nie wiemy nic o metodzie, jakiej Byrd chce użyć, a nasz informator z pewnością nie jest biegły w magii naturalnej. Nie ulega jednak wątpliwości, że angielska Admiralicja pozwoliła mu wyposażyć statek, który wypłynie na wody Pacyfiku. Sprawa jest tak ważna, że Anglicy woleli, by ten statek płynął pod inną banderą. Należy więc do pewnego Holendra, udającego dziwaka i utrzymującego, że chce powtórzyć wyprawę szlakiem dwóch swoich ziomków, którzy jakieś dwadzieścia pięć lat temu odkryli nową drogę łączącą Atlantyk z Pacyfikiem, inną niż Cieśnina Magellana. Ponieważ koszta takiej przygody mogłyby wzbudzić podejrzenia, że otrzymał wsparcie od kogoś zainteresowanego, Holender rozgłasza, iż zabiera ładunek i szuka pasażerów jak ktoś rozglądający się za możliwością pokrycia wydatków. Prawie przypadkiem wśród pasażerów znajdą się doktor Byrd i trzech jego asystentów, którzy podadzą się za zbieraczy egzotycznej flory. W rzeczywistości to oni pokierują całym przedsięwzięciem. Jednym z pasażerów będziesz ty, panie San Patrizio, a wszystkim zajmie się nasz agent w Amsterdamie. Będziesz sabaudzkim

szlachcicem, banitą, który uznał, że uczyni najrozsądniej, jeśli ukryje się na dłuższy czas na morzach. Jak sam widzisz, nie będziesz musiał nawet kłamać. Okaże się, że jesteś słabego zdrowia, a fakt, iż naprawdę cierpisz, jak powiadają, na oczy, dodatkowo sprzyja naszym planom. Będziesz pasażerem, który prawie cały czas spędza w zamknięciu, z okładem na twarzy, a poza tym nie widzi dalej niż koniec własnego nosa. Ale zaprzątnięty samym sobą, a przy tym roztargniony i rozbawiony, będziesz miał przez cały czas oczy szeroko otwarte i uszy nastawione. Wiemy, że rozumiesz po angielsku, lecz udasz, że ni w ząb, aby wrogowie nasi mogli swobodnie przy tobie rozmawiać. Jeśli ktoś na pokładzie będzie znał włoski lub francuski, zaczniesz go wypytywać, zapamiętując dobrze to, co usłyszysz. Spoufalaj się z ludźmi prostymi, którzy za pieniądze gotowi są na wszystko. Muszą to jednak być pieniądze niewielkie, datek, nie zaś nagroda, inaczej mogą coś podejrzewać. O nic nie pytaj bezpośrednio, a jeśli zadasz pytanie dziś, powtórz je, innych używając słów, jutro, by ten, kto najpierw skłamał, musiał zaprzeczyć samemu sobie. Ludzie niskiej kondycji zapominają bajki, których naopowiadali, i następnego dnia wymyślają zupełnie inne. Zresztą rozpoznasz kłamców. Kiedy się śmieją, mają w policzkach dwa jakby dołki, a poza tym obcinają krótko paznokcie. Podobnie strzeż się niskich, kłamią, gdyż lubią się chełpić. Tak czy inaczej, rozmowy mają być krótkie i nie możesz wywoływać wrażenia, że sprawiają ci satysfakcję. Prawdziwe rozmowy masz prowadzić z doktorem Byrdem, a jest rzeczą całkiem naturalną, że będziesz szukał towarzystwa jedynego człowieka dorównującego ci wykształceniem. To człowiek nauki, zna więc z pewnością francuski, być może włoski, niewątpliwie łacinę. Jako człek chory poprosisz go o radę i pociechę. Nie uczynisz jak ci, co zjadają morwy albo czerwoną glinkę, by udawać, że plują krwią, ale każesz sprawdzić sobie po kolacji puls, bo wtedy wskazuje na gorączkę, i powiesz, że w nocy nie możesz zmrużyć oka. Dzięki temu nikogo nie zdziwi, jeśli zobaczy cię w jakimś miejscu na statku, i to całkiem rozbudzonego, a przecież musi się tak zdarzyć, skoro ich eksperymenty dotyczą gwiazd. Ten Byrd jest pewnie roztargniony jak wszyscy ludzie nauki. Znajdź sobie jakiegoś konika i powiedz mu o tym, aby jeszcze chętniej opowiedział o koniku, który jest

jego sekretem. Okaż zainteresowanie, ale udawaj, że pojmujesz niewiele albo zgoła nic, aby następnym razem opowiedział ci wszystko jaśniej. Powtarzaj jego słowa, jakbyś rozumiał, lecz zadbaj o błędy, aby z próżności zapragnął cię poprawiać, objaśniając ze szczegółami to, co powinien zmilczeć. Nie mów niczego wprost, zawsze napomykaj mimochodem. Aluzje służą do tego, by sondować dusze i zaglądać w serca. Musisz pozyskać jego zaufanie. Jeśli często się śmieje, śmiej się wraz z nim, jeśli jest skory do gniewu, bądź jak on, ale zawsze podziwiaj jego wiedzę. Jeśli jest cholerykiem i znieważy cię, znieś zniewagę, wiesz wszak, że zaczniesz go karać, zanim zdąży cię znieważyć. Dni na morzu są długie, a noce bez końca, i nie masz rzeczy, która lepiej uśmierzyłaby angielską nudę niż parę dzbanów piwa, którego zapas Holendrzy zawsze przechowują w ładowni. Udasz miłośnika tego napoju i będziesz zachęcał nowego przyjaciela, by pił go więcej niż ty. W końcu może zacząć coś podejrzewać i polecić, by przeszukano twoją kabinę, niczego więc nie będziesz zapisywał, ale możesz prowadzić dziennik, by opowiedzieć w nim o swym nieszczęsnym losie albo wzdychać do Najświętszej Panny, świętych czy ukochanej, której nie masz już nadziei ujrzeć, pamiętając, by znalazły się tam pochlebne wzmianki o doktorze, jedynym twym przyjacielu na pokładzie. Nie będziesz jednak podawał jego słów odnoszących się do przedmiotu naszego zainteresowania, lecz tylko sentencjonalne spostrzeżenia, wszystko jedno jakie. Choćby były głupie, on nie uważa ich za takie, bo inaczej by je przemilczał, i będzie ci wdzięczny za zapamiętanie jego słów. W gruncie rzeczy nie zamierzamy podawać ci kompendium dobrego tajnego informatora. Nie są to rzeczy, w których celowałby człowiek Kościoła. Zawierz swemu natchnieniu, bądź roztropnie baczny i bacznie roztropny, postaraj się patrzeć bystrzej, niż pozwalają ci twoje oczy, i zgodnie z bystrością twego rozumu.

Mazarin wstał, by dać swemu gościowi do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca, i by przez moment, zanim tenże także wstanie, nad nim dominować.

– Pójdziesz z panem Colbertem. Poda dalsze instrukcje i przekaże cię osobom, które zadbają, byś dotarł do Amsterdamu i znalazł się na pokładzie. Ruszaj, życzę ci szczęścia.

Wychodzili, kiedy Mazarin przywołał ich z powrotem. – Byłbym zapomniał, San Patrizio. Pojmujesz chyba, że od tej chwili będzie śledzony każdy twój krok, lecz zastanawiasz się, dlaczego się nie lękamy, że później, podczas pierwszego postoju, nie weźmie cię chętka, by ulecieć w dal. Nie lękamy się, gdyż byłoby to dla ciebie niekorzystne. Nie mógłbyś wrócić tutaj, gdzie zawsze już byłbyś bandytą, ani schronić się w dalekich krajach, gdyż do końca życia bałbyś się, że odnajdą cię nasi agenci. W obu zaś wypadkach musiałbyś się wyrzec swego imienia i stanu. Nie przyszło nam nawet do głowy, by człowiek taki jak ty mógł zaprzedać się Anglikom.

Cóż masz zresztą do sprzedania? Jesteś szpiegiem, ale ten sekret po odsłonięciu nie byłby już nic wart, co najwyżej pchnięcie sztyletem. Jeśli natomiast wrócisz i dostarczysz nam skromnych chociażby wskazówek, zasłużysz sobie na naszą wdzięczność. Źle byśmy uczynili, odprawiając człowieka, który pokazał, że potrafi wywiązać się należycie z trudnego zadania. Reszta zależeć będzie od ciebie. Kiedy już zyska się łaskę możnych tego świata, trzeba strzec jej zazdrośnie, by nie stracić, i karmić usługami, by utrwalić. Sam uznasz w tym momencie, czy twoja wierność wobec Francji jest dość duża, abyś poświęcił swą przyszłość królowi. Powiadają, że byli tacy, co urodzili się gdzie indziej, ale w Paryżu doszli do fortuny.

Kardynał proponował mu wzorzec wierności nagrodzonej. Ale Robert w tym momencie z pewnością nie myślał o nagrodach. Kardynał odsłonił przed nim możliwość przygody, nowe horyzonty i przekazał mądrość życia, której on nie znał, co dotychczas pozbawiało go, być może, szacunku u innych. Zapewne warto przyjąć zaproszenie od losu i rozstać się ze swymi nieszczęściami. Jeśli chodzi o drugie zaproszenie, to sprzed trzech wieczorów, rozjaśniło mu się w głowie, kiedy Kardynał zaczął swą mowę. Skoro Tamten uczestniczył w spisku, a wszyscy uznali, że to Robert, Tamten z pewnością się postarał, by podsunąć Jej zdanie, które przyniosło

mu udrękę radości i miłość zazdrości. Zbyt wielu Innych wcisnęło się między niego a rzeczywistość. Tym więc lepiej usunąć się na morza, gdzie będzie mógł posiąść umiłowaną w jedyny sposób, jaki został mu dany. W końcu perfekcja miłości nie polega na tym, żeby być kochanym, lecz kochającym.

Ugiął kolano i powiedział:

– Eminencjo, jestem twoim człowiekiem.

Tego w każdym razie pragnąłbym, zważywszy na to, że nie wydaje mi się rzeczą grzeczną sprawić, by wręczono mu glejt zawierający słowa: *C’est par mon ordre et pour le bien de l’état que le porteur du présent a fait ce qu’il a fait*.

18

Nadzwyczajne Kurioza

Jeśli „Dafne”, tak samo jak „Amaryllis”, została wysłana na poszukiwanie *punto fijo*, Intruz był niebezpieczny. Robert wiedział już, że między potencjami europejskimi trwa głucha walka o zawładnięcie tym sekretem. Musiał dobrze się przygotować i okazać przebiegłość. Intruz najwyraźniej działał na początku nocy, a potem poruszał się otwarcie, kiedy Robert zaczynał swoje czuwanie bądź przebywał za dnia w kabinie. Czy powinien zatem zamącić jego plany, przekonać go, że śpi za dnia, czuwa zaś nocami? Po co? Przecież tamten zmieniłby swe obyczaje. Nie, winien raczej uniemożliwić mu wszelkie przewidywanie, zbić go z pantałyku co do swoich zamierzeń, przekonać, że śpi, kiedy czuwa, i śpi, kiedy on mniema, że czuwa...

Musiał wyobrazić sobie, co tamten myśli, że on myśli, albo co myśli, że on myśli, że tamten myśli... Dotychczas Intruz był jego cieniem, teraz Robert musi stać się cieniem Intruza, nauczyć się podążania tropem kogoś, kto podąża jego tropem. Ale czy takie wzajemne czatowanie na siebie może trwać w nieskończoność, czy może wiecznie jeden wchodzić po jakichś schodach, kiedy drugi schodzi po przeciwległych, jeden być w ładowni, gdy drugi czuwa na mostku, jeden pędzić pod pokład, a drugi przesuwać się na zewnątrz wzdłuż nadburcia?

Każdy rozsądny człowiek uznałby od razu, że trzeba zwiedzić pozostałe części statku, nie zapominajmy jednak, iż Robert nie był już człowiekiem rozsądnym. Znowu uległ pokusie okowity, wmawiając sobie, że pije, by nabrać sił. Człowieka, dla którego miłość zawsze oznaczała czekanie, ten odurzający napój nie mógł natchnąć aktywnością, Robert postępował więc

w zwolnionym tempie, choć sądził, że jest jak błyskawica. Mniemał, że skacze, a szedł na czworakach. Tym bardziej że nadal nie śmiał wyjść w ciągu dnia, czuł się zaś mocny nocą. Nocami jednak pił i był gnuśny. A tego właśnie chciał jego wróg – mówił sobie rankiem. I dla nabrania animuszu wyrywał szpunt.

W każdym razie pod wieczór piątego dnia postanowił udać się do tej części ładowni, której jeszcze nie zwiedził, pod schowkiem z prowiantem. Spostrzegł, że na „Dafne” dbano o jak najlepsze wykorzystanie miejsca i między drugim pokładem a ładownią porobiono przepierzenia i jakby antresole, by uzyskać połączone chwiejnymi drabinkami komórki. Wszedł do komory cumowej, gdzie potykał się co chwila o kręgi najrozmaitszych typów lin, nasiąkniętych jeszcze wodą morską. Zszedł niżej i znalazł się w *secunda carina*, wśród różnych skrzyń i paczek.

Znalazł tam następne zapasy prowiantu i następne baryłki ze słodką wodą. Powinno go to ucieszyć – i ucieszył się, ale tylko dlatego, że będzie mógł prowadzić w nieskończoność swoje poszukiwania i odkładać je ciągle na później, by tym większą sprawiały przyjemność. A była to przyjemność odczuwania strachu.

Za beczkami z wodą znalazł jeszcze kilka baryłek z okowitą. Wspiął się do pentry i kolejny raz sprawdził znajdujące się tam baryłki. Wszystkie zawierały wodę, co świadczyło o tym, że ta z okowitą, którą znalazł poprzedniego dnia, została zaniesiona na górę, by go skusić.

Zamiast przejąć się zasadzką, zszedł z powrotem do ładowni, zabrał na górę baryłkę z trunkiem i znowu się napił.

Potem wrócił do ładowni – możemy łatwo wyobrazić sobie, w jakim stanie – i zatrzymał się, wyczuwając smród zgnilizny, która spłynęła do zęz.

Powinien pójść w stronę rufy, ale lampka zaczęła przygasać i o coś się potknął. Domyślił się, że to balast, czyli że znalazł się tam, gdzie na „Amaryllis” doktor Byrd polecił urządzić pomieszczenie dla psa.

Właśnie tam, wśród kałuż i resztek prowiantu, dostrzegł odcisk stopy.

Istnienie Intruza uznał za dowód, że nie jest pijakiem, i była to jedyna myśl, jaka przyszła mu do głowy, a przecież dowodu na to każdy pijak

szuka bez ustanku. Tak czy owak, miał przed sobą potwierdzenie swoich przypuszczeń, i to olśniewające, jeśli takie określenie można uznać za odpowiednie w tym rozpraszanym błyskami lampki mroku. Był tak pewny obecności Intruza na statku, że nie pomyślał, iż chodząc to tu, to tam, mógł sam zostawić ślad buta. Wszedł na górę, gotów wydać bitwę.

Zapadał zmierzch. Po raz pierwszy widział zmierzch po pięciu dniach, na które składały się noce, świty i poranki. Kilka czarnych chmur przesuwało się prawie równolegle wzdłuż dalszej wyspy, by skupić się przy wierzchołku, a stamtąd pomknąć jak strzały w stronę południową. Brzeg rysował się wyrazistą, ciemną kreską na tle morza, które przybrało barwę jasnego atramentu, podczas gdy reszta nieba miała kolor wyblakłego i przywiędłego rumianku, jakby słońce nie celebrowało za horyzontem swej ofiary, tylko raczej zasypiało powoli, prosząc niebo i morze, by towarzyszyły półgłosem temu układaniu się do snu.

Robert natomiast odzyskał ducha wojowniczego. Postanowił zbić wroga z tropu. Poszedł do komórki, wyniósł na pokład tyle zegarów, ile tylko zdołał, i rozstawił je jak kręgle, jeden pod grotem, trzy na kasztelu rufowym, jeden pod windą kotwiczną, inne wokół fokmasztu i po jednym przy każdych drzwiach i każdym luku, tak by ktoś przechodzący tamtędy po ciemku musiał na któryś wpaść.

Potem nakręcił zegary mechaniczne (nie zważając, że w ten sposób zdradza ich obecność wrogowi, którego chciał przecież zaskoczyć) i odwrócił klepsydry. Spojrzał z podziwem na pokład usiany maszynami Czasu, dumny z wydawanych przez nie dźwięków, pewny, że zmyli Intruza i opóźni jego pochód.

Kiedy już rozstawił te nieszkodliwe pułapki, pierwszy padł ich ofiarą. Na spokojne morze zstępowała noc, a on chodził od jednego do drugiego metalowego trzmiela, wsłuchiwał się w brzęczenie martwej esencji, patrzył, jak te kapki wieczności rozpływają się kropla po kropli, bał się tej zgrai czerwi bez gęb żarławych (tak napisał, naprawdę), tych kół zębatych, które rozszarpywały dzień na strzępy chwil i pochłaniały życie, wygrywając melodię śmierci.

Przypomniał sobie pewne zdanie ojca Emanuela. „Cóż za radosny Spektakl, gdyby przez Kryształ Piersi mogły przezierać ruchy Serca jak w Horologium!” Wpatrywał się przy świetle gwiazd w niespieszny różaniec ziarenek piasku, szeptany przez jedną z klepsydr, i filozofował na temat tych wiązek chwil, tych sukcesywnych sekcji czasu, tych szczelin, przez które przeciekają godziny.

Jednak z rytmu mijającego czasu wyłuskiwał przepowiednię własnej śmierci, do której zbliżał się ruch po ruchu, i przysuwał oko krótkowidza, by rozszyfrować logogryf wyciekania, figurą retoryczną przeobrażał machinę wodną we fluidową trumnę, a w końcu pomstował na tych hultajów astrologów, potrafiących przepowiadać tylko godziny już minione.

I kto wie, co by jeszcze napisał, gdyby nie poczuł potrzeby porzucenia swych poetyckich mirabiliów, jak uprzednio porzucił mirabilia chronometryczne – a to nie z własnej woli, lecz dlatego, że mając w żyłach więcej wody życia niż życia, pozwolił, by stopniowo owo tykanie stało się dlań urywanym lulaniem.

Rankiem szóstego dnia, obudzony przez ostatnie dyszące jeszcze machiny, zobaczył, że wśród zegarów, z których żaden nie pozostał na swoim miejscu, dwa małe żurawie (były to żurawie?) grzebią, dziobiąc niespokojnie, przewróciły bowiem i rozbiły jedną z najpiękniejszych klepsydr.

Intruz, zgoła niewystraszony (a czemuż miałby się wystraszyć, skoro wiedział doskonale, kto jest na statku?), odpowiadając niedorzecznym żartem na niedorzeczny żart, uwolnił spod pokładu dwa ptaki. By wywrócić wszystko do góry nogami na moim statku – szlochał Robert – by dowieść, że jest potężniejszy ode mnie...

Dlaczego jednak żurawie? – zastanawiał się, przywykły do tego, by w każdym wydarzeniu widzieć znak i w każdym znaku czyn. Co Tamten chciał przez to powiedzieć? Robert próbował przypomnieć sobie symboliczne znaczenie żurawi według tego, co zapamiętał z Picinellego i Valeriana, ale nie znalazł odpowiedzi. My wiemy teraz, że w tej Menażerii

Zadziwień nie było żadnego celu ni konceptu, gdyż Intruz tak samo tracił rozum jak on, ale Robert nie mógł o tym wiedzieć, próbował więc odczytać to, co było tylko gniewliwymi gryzmołami.

– Dostanę cię, w końcu cię dostanę, nicponiu! – zakrzyknął. I jeszcze zaspany chwycił szpadę i popędził do ładowni, koziołkując na schodkach i spadając do nieznanego dotychczas rejonu, między wiązki chrustu i kupy świeżo porąbanych pniaków. Upadając, potrącił pnie, potoczył się wraz z nimi, aż zległ twarzą w dół na okratowaniu i znowu wdychał ohydny zapach zęzy. I ujrzał kątem oka kłębiące się skorpiony.

Prawdopodobnie wraz z drewnem załadowano te insekty, a nie wiem nawet, czy naprawdę były to skorpiony, tyle że Robert jako skorpiony je widział – naturalnie przyniesione tu przez Intruza, by zabiły go jadem. Uciekając przed tym niebezpieczeństwem, ruszył z trudem do drabiny, ale biegnąc po pniach, tkwił w miejscu, aż w końcu stracił równowagę i musiał chwycić się drabiny. Po jakimś czasie wydostał się jednak na górę i zobaczył, że ma rozcięte ramię.

Z pewnością zranił się własną szpadą. I oto, miast się zająć raną, wrócił do drewutni, z trudem znalazł między belkami zakrwawiony oręż, przyniósł go do kasztelu i polał ostrze okowitą. Ponieważ jednak nie przyniosło to ulgi, wyrzekł się wszelkich zasad naukowych i wylał trunek na ramię. Zbyt poufale wezwał na pomoc paru świętych, wybiegł na zewnątrz, nie zważając na to, że zaczyna się straszliwa ulewa, w której natychmiast gdzieś przepadły żurawie. Uderzyła go fala deszczu. Zaniepokoił się o zegary, ruszył biegiem, by zanieść je w bezpieczne miejsce, zabolała go noga, która uwięzła w jakiejś kracie, wrócił na pokład, skacząc na jednej nodze jak żuraw, zrzucił z siebie ubranie i w jedynej reakcji na te wszystkie bezsensowne wydarzenia wziął się do pisania, a w tym czasie deszcz najpierw gęstniał, potem ucichł, wróciło kilka godzin słonecznych i wreszcie zapadła noc.

To, że pisał, jest dla nas korzystne, możemy bowiem dowiedzieć się, co mu się przytrafiło i co odkrył podczas podróży na „Amaryllis”.

19

Nautyka w Blasku Świetności

„Amaryllis” opuściła Holandię i zatrzymała się na krótki postój w Londynie. W nocy załadowano coś potajemnie, przy czym marynarze utworzyli kordon między pokładem a ładownią, tak że Robert nie mógł zobaczyć, co to takiego. Potem podniesiono kotwicę i statek popłynął na południowy zachód.

Robert z rozbawieniem opisał towarzystwo, które poznał na statku. Miało się wrażenie, że kapitan ze szczególną troskliwością dobierał pasażerów bujających w obłokach i ekstrawaganckich, dobrych jako pretekst wyprawy – nie dbając, że może ich podczas rejsu utracić. Dałoby się podzielić owych pasażerów na trzy kategorie: tych, co zrozumieli, że statek kieruje się na zachód (jak małżeństwo galisyjskie, które płynęło do syna w Brazylii, i stary Żyd, który ślubował, że odbędzie pielgrzymkę do Jerozolimy, ale najdłuższą drogą), tych, co nie mieli jeszcze jasnego wyobrażenia o wielkości planety (jak paru śmiałków, którzy postanowili szukać szczęścia na Molukach, choć łatwiej by tam dotarli szlakiem wschodnim), a wreszcie pozostałych, pięknie wystrychniętych na dudka, jak grupka heretyków z piemonckich dolin, którzy zamierzali dołączyć do angielskich purytanów na wybrzeżach północnych Nowego Świata, a nie wiedzieli, że statek weźmie kurs prosto na południe i zawinie najpierw do Recife. Kiedy ci ostatni uświadomili sobie, że wyprowadzono ich w pole, statek dopłynął właśnie do tej kolonii – wówczas w rękach holenderskich – toteż zgodzili się, by zostawiono ich w tym protestanckim porcie, bali się bowiem, że wśród Portugalczyków znajdą się w gorszych opałach. W Recife zaokrętował się pewien kawaler maltański o twarzy flibustiera, stawiający sobie za cel odnalezienie wyspy, o której słyszał od pewnego wenecjanina,

której nadano nazwę Escondida i której pozycji nie znał, na „Amaryllis” zaś nikt nie znał nawet tej nazwy. Świadczyło to w każdym razie o tym, że kapitan, przyjmując pasażerów, przebierał jak w ulęgałkach.

Nikt też specjalnie nie troszczył się o ten mały tłumek stłoczony pod pokładem. Póki płynęli przez Atlantyk, jedzenia nie brakowało, a po przybiciu do wybrzeży amerykańskich uzupełniono zapasy. Jednak po żegludze między wydłużonymi, postrzępionymi obłokami i niebieskim niebem, już poza Fretum Magellanicum, prawie wszyscy, oprócz podróżnych wyższego stanu, przez dwa miesiące pili wodę, która powodowała kołowaciznę, i jedli suchary, które cuchnęły mysimi szczynami. Kilku ludzi z załogi i wielu pasażerów zmarło na szkorbut.

Szukając możliwości zaprowiantowania, statek popłynął wzdłuż wybrzeży chilijskich i przybił do bezludnej wyspy, którą mapy pokładowe nazywały Más Afuera. Pozostali tam przez trzy dni. Klimat był zdrowy, roślinność bujna i kawaler maltański oznajmił, że szczęściem byłoby rozbić się przy tym wybrzeżu i żyć tu sobie, nie pragnąc powrotu do ojczyzny. Próbował nawet przekonać samego siebie, że jest to Escondida. Escondida czy nie – powiedział sobie Robert na „Dafne” – gdybym tam został, nie byłbym teraz tutaj i nie bałbym się Intruza dlatego tylko, że widziałem w ładowni odcisk jego stopy.

Potem powiały przeciwne wiatry – jak oznajmił kapitan – i statek bez żadnego rozsądnego powodu popłynął na północ. Robert nie czuł żadnych przeciwnych wiatrów, a nawet kiedy decydowano się na zmianę kursu, statek płynął z wydętymi wszystkimi żaglami i chcąc dokonać zwrotu, musiał mocno przechylić się na burtę. Zapewne doktor Byrd i jego ludzie, aby przeprowadzić swoje eksperymenty, musieli płynąć wzdłuż któregoś południka. Faktem jest, że dotarli do wysp Galópegos, gdzie zabawiali się, przewracając na plecy ogromne żółwie i gotując je we własnej skorupie. Maltańczyk długo oglądał swoje mapy i doszedł do wniosku, że nie jest to Escondida.

Wzięli kurs znowu na zachód, minęli dwudziesty piąty stopień szerokości południowej i nabrali wody na wyspie, której mapy nie

uwzględniały. Nie było tam żadnych atrakcji poza pustką, ale kawaler – który nie znosił jedzenia na statku i żywił awersję do kapitana – powiedział Robertowi, że wspaniale byłoby mieć ze sobą kompanię gotowych na wszystko śmiałków, opanować statek, zostawić kapitana i każdego, kto by tego chciał, w szalupie, spalić „Amaryllis” i osiąść na tej ziemi, tak odległej od znanego świata, by zbudować tu nowe społeczeństwo. Robert zapytał go, czy jest to Escondida, a Maltańczyk pokręcił ze smutkiem głową.

Dzięki przychylnym pasatom popłynęli na północny zachód, dotarli do grupki wysp zamieszkanych przez dzikusów o skórze bursztynowej barwy, z którymi wymienili dary; wzięli też udział w ich świętach, bardzo wesołych i ożywionych dzięki dziewczętom wykonującym w tańcu ruchy na podobieństwo pewnych roślin, chwiejących się na wietrze tuż nad wodą. Kawaler, który nie złożył zapewne ślubów czystości, bez wątpienia znalazł sposób, żeby pod pretekstem portretowania tych stworzeń (a robił to z pewną zręcznością) połączyć się z niektórymi cieleśnie. Załoga zapragnęła pójść w jego ślady i kapitan przyspieszył moment wyjścia w morze. Kawaler wahał się, czyby nie zostać. Wydawało mu się, że pięknym sposobem dokonania żywota byłoby spędzenie całych dni na rysowaniu. Potem jednak uznał, że nie jest to Escondida.

Później skręcili znowu na północny zachód i natknęli się na wyspę zamieszkaną przez bardzo łagodnych tubylców. Zatrzymali się tu na dwa dni i dwie noce, a kawaler maltański zaczął opowiadać im historię. Posługiwał się dialektem, którego nawet Robert nie rozumiał, a tym bardziej tamci, ale pomagał sobie rysunkami na piasku i aktorską gestykulacją, budząc entuzjazm tubylców, albowiem sławili go, śpiewając: „Tusitala, Tusitala!” Kawaler zastanawiał się z Robertem nad tym, jak pięknie byłoby dokonać swych dni wśród tych ludzi, opowiadając im wszystkie legendy świata. „Ale czy to Escondida?” – spytał Robert. Kawaler pokręcił głową.

Zginął w katastrofie – rozmyślał Robert na „Dafne” – a ja znalazłem jego Escondidę, lecz nigdy mu o tym nie opowiem, jak nie opowiem nikomu

innemu. Może dlatego pisał listy do Pani. Żeby żyć, trzeba opowiadać historie.

Ostatni zamek z piasku dla kawalera napotkali pewnego wieczoru, na niewiele dni przed katastrofą i niedaleko miejsca, gdzie do niej doszło. Płynęli wzdłuż jakiegoś archipelagu, do którego kapitan postanowił się nie zbliżać, gdyż doktor Byrd chciał znowu popłynąć jak najprędzej w stronę równika. W trakcie rejsu Robertowi wydało się oczywiste, że kapitan nie postępuje jak żeglarze, o których słyszał, a którzy drobiazgowo opisywali wszystkie nowe lądy, doskonaląc w ten sposób swe mapy, rysując kształt chmur, szkicując linię brzegową, zbierając przedmioty wytworzone przez tubylców... „Amaryllis” płynęła, jakby była ruchomą pieczarą alchemika, skupionego całkowicie na swym czarnym dziele, obojętnego na wielki świat otwierający się przed jego oczami.

Zapadał zmierzch. Igraszki chmur na niebie na tle cienia wyspy kreśliły po jednej stronie jakby szmaragdowe ryby, które żeglowały nad wierzchołkiem. Po drugiej napływały zagniewane kule ognia. Powyżej – szare chmury. Zaraz potem płomieniste słońce zaczęło niknąć za wyspą, ale od chmur, krwistoczerwonych przy dolnym skraju, odbijała się rozległa różowość. Po kilku dalszych sekundach pożoga na tyłach wyspy rozszerzyła się i zawisła nad statkiem. Niebo stało się jednym rozżarzonym paleniskiem na osnowie paru nitek jasnego błękitu. Potem krew rozlała się wszędzie, jakby zgraja rekinów pożarła zatwardziałych grzeszników.

– Może najwłaściwiej byłoby umrzeć w tym momencie – powiedział kawaler maltański. – Czy nie czujesz, panie, pragnienia, by zwiesić się na wylocie lufy armatniej i osunąć do morza? Wszystko odbyłoby się szybko i wiedzielibyśmy już...

– Tak, tylko że ledwie byśmy się dowiedzieli, przestalibyśmy wiedzieć – odparł Robert.

I statek płynął dalej, zapuszczając się na morza barwy sepii.

Mijały dni nieróżniące się od siebie niczym. Jak przewidział Mazarin, Robert mógł nawiązać znajomości tylko ze szlachetnie urodzonymi.

Majtkami byli galernicy, którzy budzili strach, gdy spotykało się ich nocą na pokładzie. Podróżni byli wygłodniali, chorzy i pogrążeni w modłach. Trzej asystenci Byrda nie ośmieliliby się usiąść przy jego stole i przemykali w milczeniu, wykonując polecenia. Kapitana jakby nie było: wieczorami się upijał, a zresztą mówił tylko po flamandzku.

Byrd był chudym i suchym Brytem o wielkiej głowie i rudych włosach, które mogłyby służyć jako latarnia okrętowa. Robert, który starał się myć, kiedy tylko to było możliwe, i korzystał z deszczu, by przeprać ubranie, w ciągu wielu przecież miesięcy żeglowania ani razu nie widział, żeby Byrd zmieniał koszulę. Na szczęście fetor na statku panuje taki, że nawet młodzieniec przywykły do paryskich salonów nie czuje zgoła woni bijących od bliźnich.

Anglik był nie lada piwoszem i Robert nauczył się dotrzymywać mu towarzystwa, udając, że pije, ale nie obniżając zbytnio poziomu płynu w szklanicy. Byrd jednak nauczył się najwidoczniej napełniać tylko puste kielichy. Ponieważ zaś to jego kielich był wiecznie pusty, ten właśnie napełniał i unosił, by wznieść *brindis*. Kawaler nie pił, słuchał, czasem zadawał jakieś pytanie.

Byrd posługiwał się nie najgorzej francuskim, jak każdy Anglik, który w owych czasach chciał wyprawić się poza swoją wyspę, i zapalił się do opowieści Roberta o uprawie winorośli w Monferrato. Robert zaś grzecznie słuchał o tym, jak warzy się w Londynie piwo. Potem rozmowa zeszła na sprawy morskie. Robert po raz pierwszy płynął statkiem, a Byrd miał minę, jakby nie chciał zbyt wiele powiedzieć o żeglowaniu. Kawaler zadawał wyłącznie pytania odnoszące się do położenia Escondidy, ponieważ jednak nie przytaczał żadnych wskazówek, nie mógł liczyć na odpowiedź.

Doktor Byrd jakoby podjął wyprawę, żeby studiować kwiaty, i Robert sondował go w tej kwestii. Anglik z pewnością nie był ignorantem w sprawach roślin i mógł zapuszczać się w długie wyjaśnienia, których Robert wysłuchiwał z udawanym zainteresowaniem. Rzeczywiście, Byrd i jego asystenci zbierali na każdym lądzie rośliny, aczkolwiek nie z taką

dbałością, jaka przystoi uczonym, którzy w tym właśnie celu wyruszyli w drogę, i wiele wieczorów spędzali, badając swoje zdobycze.

Przez pierwsze dni Byrd próbował dowiedzieć się czegoś o przeszłości Roberta i kawalera, jakby powziął co do nich jakieś podejrzenia. Robert podał mu wersję przygotowaną w Paryżu: jest Sabaudczykiem, walczył pod Casale po stronie cesarskich, napytał sobie biedy najpierw w Turynie, potem w Paryżu, stając wielokrotnie do pojedynków, na swoje nieszczęście zranił protegowanego Kardynała i w konsekwencji postanowił uciec na Pacyfik, by jak największa przestrzeń wodna oddzieliła go od prześladowców. Kawaler opowiedział mnóstwo historyjek: jedne rozgrywały się w Wenecji, inne w Irlandii, jeszcze inne w Ameryce Środkowej, trudno było jednak dociec, które z nich dotyczyły jego, a które innych osób.

Robert odkrył w końcu, że Byrd lubi rozmawiać o niewiastach. Zmyślił szaleńcze amory z szalonymi kurtyzanami, a doktorowi rozbłysły oczy i oznajmił, że musi odwiedzić kiedyś Paryż. Potem opanował swoje porywy i zauważył, że wszyscy papiści są zepsuci do szpiku kości. Robert zwrócił mu uwagę, że wielu Sabaudczyków to prawie hugenoci. Kawaler przeżegnał się i powrócił do rozmowy o kobietach.

Do momentu wyjścia na Más Afuera zdawało się, że życie doktora toczy się regularnym rytmem i że jeśli prowadzi on na statku jakieś obserwacje, musi to czynić, kiedy inni schodzą na ląd. Na morzu dzień spędzał na pokładzie, wieczorami do późnych godzin siedział za stołem ze współbiesiadnikami, a nocami z pewnością spał. Miał kajutę przylegającą do kajuty Roberta; były to dwie ciasne kiszki przedzielone przepierzeniem i Robert mógł wszystko słyszeć.

Ledwie jednak znaleźli się na Pacyfiku, obyczaje Byrda uległy zmianie. Po postoju na Más Afuera Robert widział, jak co rano, między siódmą a ósmą, oddala się, chociaż poprzednio zwykli o tej porze zasiadać do śniadania. Przez cały czas, kiedy statek płynął na północ, aż do wyspy z żółwiami, Byrd znikał koło siódmej rano. Gdy tylko statek skierował się

dziobem ku zachodowi, począł wstawać już o piątej i Robert słyszał, jak przychodzi go budzić jeden z asystentów. W miarę upływu czasu zaczęto budzić go o czwartej, trzeciej, drugiej.

Robert mógł to sprawdzać, gdyż zabrał mały zegar piaskowy. O zmierzchu, niby to błądząc po statku, zaglądał do sterówki, gdzie obok pływającej w oleju wielorybim busoli stał stolik, na którym nawigator, biorąc za punkt wyjścia najnowsze dane, zaznaczał pozycję i przypuszczalną godzinę. Robert zapamiętywał to, potem szedł odwrócić klepsydrę i wracał do kajuty, kiedy mu się wydawało, że godzina dobiega końca. Dzięki temu, nawet spóźniając się po kolacji, mógł dosyć dokładnie ustalić czas i przekonać się, że każdego dnia Byrd oddala się coraz wcześniej i że jeśli wszystko potoczy się w tym tempie, kiedyś zrobi to o północy.

Po tym wszystkim, czego Robert dowiedział się od Mazarina, Colberta i ich ludzi, nie trzeba było zbyt długo myśleć, by dojść do wniosku, że te wypady Byrda związane są z przekraczaniem południków. Było to tak, jakby codziennie o północy według czasu Wysp Kanaryjskich albo o ustalonej godzinie według jakiegoś innego miejsca ktoś z Europy wysyłał sygnał, który Byrd szedł odbierać. Znając godzinę na pokładzie „Amaryllis”, Byrd mógł dzięki temu obliczyć swoją długość geograficzną.

Wystarczyłoby pójść za Byrdem, kiedy się oddalał. Nie było to jednak łatwe. Póki znikał rankiem, nie dało się go śledzić, samemu pozostając niezauważonym. Kiedy Byrd zaczął się oddalać w godzinach nocnych, Robert słyszał to doskonale, ale nie mógł ruszyć za nim natychmiast. Odczekiwał więc jakiś czas, a potem próbował trafić na jego ślad. Wszystkie wysiłki okazały się jednak daremne. Nie mówię nawet o tym, że idąc po omacku, Robert wiele razy trafiał między hamaki załogi albo potykał się o śpiących pielgrzymów. Ale często też zderzał się z kimś, kto winien o tej porze spać. Wniosek: ktoś tu bezustannie czuwał.

Spotykając któregoś z tych szpiegów, Robert wspominał o swojej bezsenności, po czym wychodził na pokład, nie budząc na szczęście podejrzeń. Od dawna wyrobił sobie opinię cudaka, który w nocy śni

z otwartymi oczami, a zamyka je dopiero w dzień. Kiedy jednak znalazł się potem na pokładzie, gdzie spotykał majtka pełniącego nocną wachtę i musiał zamienić z nim parę słów, jeśli przypadkiem mogli się porozumieć, noc należało uznać za straconą.

Wyjaśnia to, dlaczego po paru miesiącach Robert był bliski odkrycia tajemnicy „Amaryllis”, ale nie zdołał jeszcze wetknąć nosa tam, gdzie by pragnął.

Poza tym od samego początku próbował skłonić Byrda do zwierzeń. Wynalazł nawet metodę, której nie umiał mu podsunąć sam Mazarin. Chcąc zaspokoić ciekawość, zadał kiedyś parę pytań kawalerowi, który nie potrafił na nie odpowiedzieć. Wyjaśnił mu wtedy, że to, o co pyta, ma ogromne znaczenie dla odnalezienia Escondidy. Dzięki temu wieczorem kawaler zadał te same pytania doktorowi.

Pewnej nocy przyglądali się z pokładu gwiazdom i doktor oznajmił, że jest pewnie północ. Kawaler, pouczony kilka godzin wcześniej przez Roberta, powiedział:

– Kto wie, która jest teraz godzina na Malcie...

– To proste – wymknęło się doktorowi. Zaraz jednak się poprawił: – To znaczy bardzo trudne, mój przyjacielu.

Kawaler zdumiał się, że nie można tego wywnioskować na podstawie południka.

– Czyż słońce nie potrzebuje godziny, żeby przemierzyć piętnaście stopni południkowych? Wystarczy więc powiedzieć, że jesteśmy tyle a tyle stopni od Morza Śródziemnego, podzielić to przez piętnaście, znać, jak przecież znamy, godzinę w tym miejscu, a zaraz będziemy wiedzieli, która jest tam godzina.

– Wyglądasz mi, panie, na jednego z tych astronomów, co to spędzili życie na wertowaniu map, ale nigdy nie żeglowali. Wiedziałbyś w przeciwnym razie, że nie da się ustalić, na którym południku jesteśmy.

Byrd powtórzył z grubsza to, co Robert już wiedział, ale o czym nie miał pojęcia kawaler. W tej jednak kwestii Byrd okazał wielką elokwencję.

– Nasi starożytni mniemali, że mają niezawodną metodę wykorzystującą zaćmienia Księżyca. Wiecie, co to takiego zaćmienie. To taka sytuacja, w której Słońce, Ziemia i Księżyc są w jednej linii i cień Ziemi pada na powierzchnię Księżyca. Ponieważ można przewidzieć dzień i godzinę przyszłych zaćmień i wystarczy mieć ze sobą tabele Regiomontana, powiedzmy, że w danym dniu zaćmienie ma być widoczne w Jerozolimie o północy, ty zaś widzisz je o dziesiątej. Będziesz wiedział, że od Jerozolimy oddzielają cię dwie godziny, a więc twój punkt obserwacyjny jest oddalony na zachód o trzydzieści stopni od Jerozolimy.

– To wspaniałe! – wykrzyknął Robert. – Chwała starożytnym!

– Owszem, tyle że ten sposób liczenia sprawdza się tylko w pewnym zakresie. Sam wielki Kolumb podczas drugiej wyprawy wykonał obliczenia na podstawie zaćmienia, kiedy stał na kotwicy na wysokości Hispanioli, i pomylił się o dwadzieścia trzy stopnie na zachód, to znaczy o półtorej godziny! A podczas czwartej wyprawy, znowu licząc na podstawie zaćmienia, pomylił się o dwie i pół godziny!

– To jego błąd czy Regiomontana? – spytał kawaler.

– Kto to wie? Na statku, który jest zawsze ruchomy, choć by stał na kotwicy, trudno dokonać dokładnych pomiarów. A może Kolumb chciał za wszelką cenę udowodnić, że dotarł do Azji, i to pragnienie pchnęło go do błędu, który wskazywał, że dotarł znacznie dalej, niż dotarł naprawdę... A odległości księżycowe? Były bardzo modne w ostatnich stu latach. W tym pomyśle był (jak by to powiedzieć?) *wit*. Podczas swego miesięcznego biegu Księżyc wykonuje pełny obrót z zachodu na wschód w kierunku przeciwnym do ruchu gwiazd, jest więc jak wskazówka niebieskiego zegara przemierzająca kwadrant zodiaku. Gwiazdy poruszają się po niebie ze wschodu na zachód z prędkością mniej więcej piętnastu stopni na godzinę, a Księżyc w tym samym czasie przesuwa się o czternaście i pół stopnia. Tak więc Księżyc odchyla się względem gwiazd o pół stopnia na godzinę. Otóż starożytni myśleli, że odległość między Księżycem a *fixed sterre*, jak się powiada, gwiazdy stałej jest w danym momencie taka sama dla każdego obserwatora w dowolnym punkcie Ziemi.

Wystarczyłoby więc skorzystać ze zwykłych tabel albo *ephemerides* i obserwować niebo przez *astronomers staffe, the Crosse*...

– *Balestriglia?*

– Właśnie, dzięki temu *cross* można obliczyć odległość Księżyca od tej gwiazdy o danej godzinie naszego wyjściowego południka i wiedzieć, że o godzinie dokonywania obserwacji na morzu jest w danym mieście ta a ta godzina. Znając różnicę czasu, mamy długość. Ale, ale... – Byrd przerwał, żeby tym bardziej porwać słuchaczy – ale mamy *parallaxes*. To bardzo skomplikowana sprawa, której nie będę wam tłumaczył, a która jest związana z refrakcją ciał niebieskich na rozmaitych wysokościach nad horyzontem. Chodzi o to, że przez paralaksę odległość określona tutaj nie byłaby tą samą odległością co ta, którą określiliby nasi astronomowie w Europie.

Robert przypomniał sobie, co słyszał od Mazarina i Colberta o paralaksie i o tym panu Morinie, któremu wydawało się, że znalazł sposób na jej obliczanie. Chcąc sprawdzić wiedzę Byrda, zapytał, czy astronomowie nie umieją obliczyć paralaksy. Byrd odparł, że owszem, ale to bardzo trudne, a ryzyko błędu znaczne.

– Zresztą – dodał – ja jestem profanem i mało wiem o tych sprawach.

– W takim razie pozostaje tylko szukać jakiejś pewniejszej metody – podsunął Robert.

– Czy wiesz, panie, co powiedział nasz Vespucci? Powiedział: co się tyczy długości geograficznej, jest to rzecz bardzo trudna i niewiele osób ją pojmuje poza tymi, które umieją wyrzec się snu, by obserwować koniunkcje Księżyca i planet. Powiedział też: obliczaniu długości często poświęcałem sen i przez nią skróciłem sobie życie o lat dziesięć... Ja mówię, że był to czas stracony. *But now behold the skie is over cast with cloudes; wherfore let us haste to our lodging, and ende our talke*.

Kilka wieczorów później Robert poprosił doktora o pokazanie Gwiazdy Polarnej. Ten uśmiechnął się. Na tej hemisferze nie można jej zobaczyć i trzeba odnosić wszystko do innych gwiazd stałych.

– Kolejna klęska badaczy długości – skomentował. – Nie mogą wykorzystać nawet wariacji igły magnetycznej.

Następnie na prośbę przyjaciół podzielił się z nimi jeszcze okruszynami z chleba swej wiedzy.

– Igła busoli winna wskazywać zawsze północ, a więc Gwiazdę Polarną. A jednak, z wyjątkiem południka Wyspy Żelaza, we wszystkich innych miejscach odsuwa się od właściwego bieguna północnego, odchylając się raz ku wschodowi, raz ku zachodowi, zależnie od klimatu i szerokości geograficznej. Każdy majtek wie, że kiedy wyruszysz z Wysp Kanaryjskich ku Gibraltarowi, igła odchyla się o ponad sześć rumbów ku północnemu zachodowi, z Malty zaś do Trypolisu w Barbarii jest wariacja dwóch trzecich rumba na lewo, a jak wiecie, rumb to kwadrant róży wiatrów. Otóż te dewiacje, jako się rzekło, określone są ścisłymi regułami, zależnie od różnych długości. Mając więc dobrą tabelę dewiacji, można wskazać miejsce. Ale...

– Znowu „ale”?

– Niestety, tak. Nie ma dobrych tablic deklinacji igły magnetycznej, a kto próbował takie opracować, ponosił porażkę. I nie brak powodów, by przypuszczać, że igła nie odchyla się jednostajnie i zależnie tylko od długości. A poza tym te wariacje są bardzo powolne i na morzu trudno je śledzić, nawet jeśli kołysanie wzdłużne nie zakłóca równowagi igły. Kto ufa igle, jest szalony.

Innego wieczoru przy kolacji kawaler, który przetrawiał niedokończone zdanie, rzucone jak gdyby nigdy nic przez Roberta, powiedział, że być może Escondida to jedna z Wysp Salomona, i spytał, czy znajdują się daleko od tych wysp.

Byrd wzruszył ramionami.

– Wyspy Salomona! *Ça n’existe pas!*

– Czyż nie dotarł do nich kapitan Draco? – spytał kawaler.

– Bzdura! Drake odkrył New Albion, i to zupełnie gdzie indziej.

– Hiszpanie pod Casale mówili o tym jako o rzeczy znanej i twierdzili, że to ich odkrycie – wtrącił się Robert.

– Tak też twierdził ten Mendaña ponad siedemdziesiąt lat temu. Ale utrzymywał, że znajdują się między siódmym a jedenastym stopniem szerokości południowej. Jakby między Paryżem a Londynem. Ale na jakiej długości? Queirós mówił, że są tysiąc pięćset mil od Limy. To śmieszne! Na splunięcie od wybrzeży Peru! Niedawno pewien Hiszpan powiedział, że są siedem tysięcy pięćset mil od tegoż Peru. Chyba za daleko. Zechciejcie jednak, panowie, zerknąć na te mapy. Niektóre z nich opracowałem niedawno na nowo, odtwarzając te najstarsze i inne, które proponuje się jako ostatnie odkrycia. Spójrzcie, jedni umieszczają wyspy na dwieście dziesiątym południku, inni na dwieście dwudziestym, jeszcze inni na dwieście trzydziestym, nie wspominając już o tych, którzy podają sto osiemdziesiąty. Jeśliby któryś z nich miał rację, inni popełniliby błąd wynoszący pięćdziesiąt stopni, co oznacza w przybliżeniu dystans oddzielający Londyn od ziemi królowej Saby!

– Doprawdy podziwiam twoją wiedzę, doktorze – oznajmił kawaler, spełniając pragnienie Roberta, który zamierzał powiedzieć to samo. – Jakbyś w swoim życiu nic innego nie czynił, tylko badał długość geograficzną.

Na twarzy doktora Byrda, usianej bladymi piegami, wykwitł rumieniec. Napełnił sobie dzban piwem i wychylił, nie zaczerpując tchu.

– Och, ciekawość naturalisty. W rzeczywistości, gdybym miał powiedzieć, gdzie jesteśmy, nie wiedziałbym, od czego zacząć...

– Ale – zaryzykował Robert – przy rumplu sterowym widziałem tabelę, w której...

– Tak, tak – odparł doktor, odzyskawszy kontenans – statek z pewnością nie płynie na chybił trafił. *They pricke the Carde*. Zapisują dzień, wskazania igły i jej deklinacje, kierunek wiatru, godzinę na zegarze pokładowym, liczbę przebytych mil, wysokość Słońca i gwiazd oraz szerokość i stąd wnioskują, jaka jest przypuszczalna długość. Widzieliście pewnie nieraz na rufie majtka, który rzuca do wody sznur z tabliczką na końcu. To log albo,

jak mówią inni, pływak. Wypuszcza się swobodnie linkę z węzłami rozmieszczonymi w stałych odległościach i mając obok zegar, można się dowiedzieć, w jakim czasie została pokonana określona odległość. W ten sposób, gdyby wszystko przebiegało należycie, zawsze wiedziano by, ile mil pokonano od ostatniego znanego południka, a dokonując odpowiednich obliczeń, określono by południk właśnie mijany.

– Sam pan widzi, że jest jednak sposób! – wykrzyknął tryumfalnie Robert, który z góry wiedział, co odpowie na to doktor. Że logu używa się, gdy nie ma nic lepszego, bo naprawdę powiedzieć, jaką drogę się przebyło, można by tylko wtedy, gdyby statek płynął po linii prostej. Ponieważ jednak statek płynie tak, jak chcą wiatry, to kiedy wieje wiatr nieprzychylny, musi płynąć kawałek w prawo, a potem kawałek w lewo.

– Sir Humphrey Gilbert – powiedział doktor – mniej więcej w tych samych czasach co Mendaña, kiedy chciał, wyruszając z Nowej Ziemi, posuwać się wzdłuż czterdziestego siódmego równoleżnika, *encountered winde alwayes so scant*, wiatry, jak się mówi, tak leniwe i skąpe, że trwało to długo, i poruszał się między czterdziestym pierwszym a pięćdziesiątym pierwszym, a więc z odchyleniem dziesięciu stopni, moi panowie, było to więc tak, jakby ogromny wąż pełzł z Neapolu do Portugalii, najpierw docierając do Hawru głową, a ogonem do Rzymu, a potem z ogonem w Paryżu, a głową w Madrycie! Stąd wniosek, że trzeba obliczać dewiacje, prowadzić rachunek i mieć się stale na baczności, tego zaś żaden marynarz nie czyni, boć przecież nie może mieć przy sobie przez okrągły dzień astronoma. Oczywiście można snuć domysły, zwłaszcza jeśli płynie się znanym szlakiem, i porównywać rezultaty osiągnięte przez innych. Dlatego od wybrzeży europejskich po amerykańskie mapy podają odległości południkowe raczej godne zaufania. A poza tym na Ziemi trochę dobrych danych mogą dostarczyć obserwacje ciał niebieskich, dlatego wiemy, na jakiej długości leży Lima. Ale także w tym wypadku, przyjaciele moi – ciągnął żwawo doktor – cóż takiego się dzieje? – I obrzucił rozmówców spojrzeniem pełnym przebiegłości. – Otóż dzieje się to – stuknął palcem w mapę – że ten pan pozwala sobie umieścić Rzym na trzydziestym trzecim

stopniu wschodnim od południka kanaryjskiego, ten drugi zaś – pogroził po ojcowsku palcem autorowi drugiej mapy – umieszcza Rzym na stopniu czterdziestym! A ten sam manuskrypt zawiera ponadto relację pewnego Flamanda, który niejedno wie i ostrzega króla Hiszpanii, że nigdy nie było zgody co do odległości między Rzymem a Toledo, *por los errores tan enormes, como se conoce por esta línea, que muestra la diferencia de las distancias*, i tak dalej, i tak dalej. A oto owa linia: jeśli jako pierwszy przyjmiemy południk przechodzący przez Toledo (Hiszpanom zawsze się zdaje, że żyją w środku świata), zdaniem Merkatora Rzym znajduje się dwadzieścia stopni na wschód, ale Tycho de Brahe uważa, że dwadzieścia dwa, Regiomontanus – że prawie dwadzieścia pięć, Clavius – że dwadzieścia siedem, poczciwy Ptolemeusz – że dwadzieścia osiem, a Origanus – że trzydzieści. Te wszystkie błędy odnoszą się do odległości między Rzymem a Toledo. Możecie sobie zatem wyobrazić, co dzieje się na takich szlakach jak ten, gdzie być może pierwsi przybiliśmy do niektórych wysp, a relacje innych podróżników są bardzo niejasne. Dodajmy, że kiedy Holendrowi uda się zebrać prawidłowe dane, nie powie tego Anglikom, tak samo jak Anglicy nie powiedzą Hiszpanom. Na tych morzach liczy się węch kapitana, który posługując się swym marnym logiem, przekonuje, że jesteśmy na przykład na dwieście dwudziestym południku, choć może to być nawet trzydzieści stopni w jedną lub drugą stronę.

– Ale w takim razie – podchwycił kawaler – kto znajdzie sposób ustalania południków, będzie panem oceanów!

Byrd znowu oblał się rumieńcem, wbił w niego spojrzenie, jakby chciał zrozumieć, czy kawaler ma coś konkretnego na myśli, a ten obdarzył go kąśliwym uśmiechem.

– Spróbuj, panie!

– Ja niestety muszę zrezygnować – oświadczył Robert, unosząc ręce na znak, że się poddaje. I tego wieczoru rozmowa skończyła się wśród wybuchów śmiechu.

Robert przez wiele dni był zdania, że lepiej na razie nie wracać do wątku długości geograficznej. Zmienił temat, a w tym celu musiał się zdobyć na odważną decyzję. Zranił się nożem w dłoń. Owinął ranę strzępami koszuli, i tak już zniszczonej od wody morskiej i wiatrów. Wieczorem pokazał ranę doktorowi.

– Przez własną głupotę! Włożyłem nóż bez pochwy do torby i grzebiąc w moich rzeczach, skaleczyłem się. Bardzo boli.

Byrd obejrzał ranę okiem człowieka znającego się na rzeczy, a Robert błagał Boga, by doktor postawił na stole miskę i rozpuścił w niej witriol. Ale doktor Byrd powiedział tylko, że rana nie wydaje mu się poważna, i poradził, żeby Robert przemył ją rano starannie. Szczęśliwy traf sprawił jednak, że z odsieczą zjawił się kawaler.

– Hm, przydałby się balsam naorężny!

– A co to takiego? – spytał Robert.

Kawaler jął zachwalać cnoty tej substancji, jakby przeczytał wszystkie księgi, z którymi zapoznał się Robert. Byrd milczał. Kiedy kawaler zakończył swój piękny popis, Robert uznał, że teraz przyszła jego kolej.

– To bajania starej niani! Jak ta historia o brzemiennej niewieście, która zobaczyła swego kochanka ściętego przez kata i powiła dziecię z głową oddzieloną od tułowia. Albo jak z tymi wieśniaczkami, które chcąc ukarać psa, bo napaskudził w kuchni, biorą głownię i wtykają w łajno, mniemając, że pies poczuje pieczenie pod ogonem! Kawalerze, nikt rozumny nie wierzy w te *historiettes*!

Był to celny strzał i Byrd nie utrzymał języka za zębami.

– O nie, mój panie, historia z psem i jego ekskrementami jest do tego stopnia prawdziwa, że ktoś tak samo postąpił z mężczyzną, który załatwiał się przed jego domem, żeby zrobić mu na złość, i zapewniam cię, że paskudnik zaczął bać się tego miejsca! Naturalnie całą operację należy powtarzać, i to wiele razy, musisz więc mieć przyjaciela czy nieprzyjaciela, który bardzo często będzie ci się załatwiał na progu! – Robert roześmiał się, jakby doktor stroił sobie z niego żarty, i w ten sposób rozzłościł go i skłonił do uzasadnienia swojego twierdzenia. Były to mniej więcej te same

dowody, które podał niegdyś Igby. Ale teraz doktor zapalił się. – Otóż tak właśnie jest, mój panie, który potrafisz pięknie filozofować i gardzisz wiedzą konowałów. Skoro zaś jesteśmy już przy gównie, powiem ci nawet, że jeśli ktoś ma przykry oddech, powinien stawać z otwartymi szeroko ustami nad gnojówką, a prędzej czy później się wyleczy. Smród gnojówki jest mocniejszy niż smród z jego ust, a przecież mocniejsze przyciąga i usuwa słabsze!

– Powiadasz rzeczy zdumiewające, doktorze Byrd, i jestem pełen podziwu dla twojej wiedzy.

– Mógłbym powiedzieć ci jeszcze niejedno. W Anglii, kiedy ktoś zostanie pogryziony przez psa, zabija się zwierzę, nawet jeśli nie jest wściekłe. Może bowiem nabawić się tej choroby, a zaczyn wścieklizny psiej, pozostając w ciele pogryzionej osoby, przyciągnąłby do siebie ducha wodowstrętu. Widziałeś kiedy, jak wieśniaczki leją mleko na rozżarzone węgle? Zaraz potem rzucają też garść soli. Ileż mądrości ma pospólstwo! Mleko wylane na węgle zmienia się w parę i wskutek działania światła i powietrza para ta, połączona z atomami ognia, niesie się aż do miejsca, gdzie stoi krowa, która dała mleko. Otóż wymiona krowie to organ z wielką liczbą gruczołów i bardzo delikatny, ogień zaś rozgrzewa je, utwardza, wytwarza wrzody, a ponieważ wymię jest blisko pęcherza, pobudza także pęcherz, powodując anastomozę zbiegających się w tym miejscu żył, i krowa oddaje mocz z krwią.

Zabrał głos Robert:

– Kawaler mówił o balsamie naorężnym jako rzeczy pożytecznej w medycynie, ty zaś, panie, dajesz nam do zrozumienia, że można go wykorzystywać także do czynienia zła.

– Z pewnością, i dlatego właśnie niektóre sekrety są skrywane przed ogółem, aby nie zostały źle użyte. Cóż, mój panie, dysputa o balsamie, proszku albo tym, co my, Anglicy, nazywamy *weapon salve*, obfituje w punkty sporne. Kawaler powiedział nam, że odpowiednio praktykowana broń może przynieść ulgę zranionemu. Jeśli jednak tę samą broń położysz obok ognia, ranny, choćby był wiele mil od tego miejsca, zawyje z bólu.

A jeśli zanurzysz zakrwawione jeszcze ostrze w lodowatej wodzie, ranny dostanie dreszczy.

Z pozoru ta rozmowa nie dała Robertowi nic, czego by już przedtem nie wiedział, pozwoliła jednak zrozumieć, że doktor Byrd wie niejedno o Prochu Sympatii. Ale doktor zbytnio skupił się na jego szkodliwych działaniach – z pewnością nieprzypadkowo. Co to ma jednak wspólnego z łukiem południka, to już inna historia.

Aż pewnego ranka jeden z majtków spadł z rei, rozbijając sobie głowę. Na pokładzie powstało zamieszanie, wezwano do nieszczęśnika doktora. Robert wykorzystał sytuację i wślizgnął się do ładowni.

Właściwą drogę znalazł prawie po omacku. Może sprzyjał mu los, a może bestia skomlała tego ranka głośniej niż zwykle, w każdym razie w tymże miejscu, gdzie później, na „Dafne”, miał znaleźć baryłki z okowitą, zobaczył widok mrożący krew w żyłach.

Ukryty starannie przed ciekawskimi spojrzeniami, przebywał tam, w komórce zbudowanej na miarę, pies, wokół którego wszystko pokryte było warstwą łajna.

Był to może pies rasowy, ale cierpienia sprawiły, że zostały zeń skóra i kości. Jednak oprawcy nie zamierzali zgoła doprowadzać do tego, by zdechł: dostarczali mu w obfitości pożywienie i wodę, i nie było to psie żarcie, ale raczej to, którego poskąpiono pasażerom.

Leżał, z łbem odrzuconym i wywieszonym językiem. Na boku miał rozległą, okropnie wyglądającą ranę. Była to rana świeża, ale jednocześnie już się paskudziła: dwie różowe wargi, a między nimi, wzdłuż całego cięcia – ropiejące wnętrze, z którego wydzielał się jakby twaróg. Robert spostrzegł, że rana wygląda tak okropnie, gdyż ręka konowała, miast zszyć wargi blizny, zadbała, żeby pozostały rozchylone, przymocowując je do sierści.

Rana, bękarcka córa sztuki lekarskiej, została nie tylko zadana z rozmysłem, ale w dodatku bezlitośnie utrzymywana w takim stanie, by się nie zabliźniła. Pies cierpiał nadal z jej powodu, i kto wie od jak dawna. Co

więcej, wokół i wewnątrz cięcia Robert zobaczył resztki jakiejś substancji krystalicznej, jakby lekarz (lekarz, tak okrutnie sprytny!) codziennie sypał na nią jątrzącą sól.

Robert był bezsilny i pogłaskał tylko nieszczęsne zwierzę, które skomlało teraz przymilnie. Zadał sobie pytanie, jak mógłby mu pomóc, ale dotykając psa bardziej stanowczym gestem, wzmagał tylko jego cierpienia. Zresztą nad litością górę wzięło poczucie tryumfu. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że miał przed sobą sekret doktora Byrda, tajemniczy ładunek zabrany z Londynu.

Z tego, co zobaczył Robert, każdy człowiek wiedzący to co on mógłby wywnioskować, że ranę otworzono psu jeszcze w Londynie, a Byrd dbał o to, by pozostawała otwarta. Ktoś przebywający w Londynie codziennie o ustalonej porze dokonywał jakiejś czynności z bronią, która zadała ranę, albo ze szmatką nasączoną krwią zwierzęcia, powodując reakcję – być może ulgę, być może jeszcze większy ból, bo przecież doktor Byrd powiedział, że *weapon salve* może także szkodzić.

Dzięki temu na „Amaryllis” można było sprawdzić, która jest godzina w Europie. Znając godzinę w miejscu, gdzie znalazł się w tym czasie statek, z łatwością obliczało się południk!

Pozostawało jedynie poczekać, by teza ta znalazła potwierdzenie w faktach. W tym okresie Byrd znikał zawsze koło jedenastej, a zatem statek zbliżał się do Antypołudnika. Musiał o tej mniej więcej porze czuwać w ukryciu nieopodal psa.

Robert miał szczęście, jeśli o szczęściu można mówić w związku ze sztormem, który sprowadził przecież na ten statek, wraz z wszystkimi, co znaleźli się na jego pokładzie, najgorsze z nieszczęść. Tego popołudnia morze było już dosyć wzburzone i Robert, utrzymując, że ma mdłości i żołądek mu się wywraca, mógł zostać w łóżku i nie stawić się na kolację. Kiedy tylko zaczęło zmierzchać i nikt jeszcze nie myślał o pilnowaniu, zszedł ukradkiem do ładowni, zabierając ze sobą tylko krzesiwo i nasmołowany sznur, którym oświetlał drogę. Dotarł do psa i zobaczył nad budą podest z belami słomy, którą wymieniano pasażerom, kiedy ich

legowiska stawały się zbyt brudne. Przecisnął się między belami i wydrążył w słomie zagłębienie, z którego wprawdzie nie mógł widzieć psa, ale mógł przyjrzeć się temu, kto znajdzie się przy nim, a już z całą pewnością podsłuchać rozmowę.

Oczekiwanie trwało wiele godzin, które jeszcze bardziej się wydłużały wskutek skomleń nieszczęsnego zwierzęcia, w końcu jednak usłyszał inne dźwięki i dostrzegł światło.

Wkrótce był świadkiem eksperymentu, którego parę kroków od kryjówki dokonali doktor i trzej jego asystenci.

– Notujesz, Cavendish?

– A jakże, doktorze.

– Czekamy więc. Jakoś głośno dzisiaj skomli.

– Czuje morze.

– Dobry, poczciwy Hakluyt – mówił doktor, uspokajając psa obłudną pieszczotą. – Źle zrobiliśmy, nie ustalając sekwencji działań. Najlepiej byłoby zaczynać zawsze od uśmierzających.

– Wcale nie wiadomo, doktorze, bywają wieczory, że o właściwej porze śpi i trzeba go budzić, stosując środki jątrzące.

– Uwaga, chyba zaczyna się niepokoić... Dobry Hakluyt... Tak, rzuca się! – Pies zaczął potwornie skowyczeć. – Włożyli oręż do ognia. Withrington, zapisz godzinę!

– Tutaj mamy mniej więcej pół na dwunastą.

– Sprawdź zegary. Minęło pewnie z dziesięć minut.

Pies skowyczał jeszcze przez jakiś czas. Potem wydał z siebie inny dźwięk, przechodzący w coś w rodzaju „arff arff” i gasnący, aż wreszcie zapanowała cisza.

– Dobrze – powiedział doktor Byrd. – Która godzina, Withrington?

– Chyba się zgadza. Brakuje kwadransa do północy. – Jeszcze nie czas na pieśń zwycięstwa. Poczekajmy na kontrolę.

Znowu zdawało się, że czekanie nigdy się nie skończy, potem pies, który najwyraźniej poczuł ulgę i zasnął, zawył nagle, jakby ktoś nastąpił mu na ogon.

– Czas, Withrington?

– Minęła godzina, brakuje paru ziarenek piasku.

– Zegar wskazuje już północ – odezwał się trzeci głos. – Myślę, że starczy. Teraz, panowie – powiedział doktor Byrd – mam nadzieję, że przerwą podrażnianie, gdyż biedny Hakluyt nie panuje już nad sobą. Hawlse, woda i sól, i szmatka. Dobry Hakluyt, dobre psisko, teraz lepiej... Śpij, śpij, twój pan jest tutaj, już po wszystkim... Hawlse, środek nasenny w wodzie...

– A jakże, doktorze.

– Masz, Hakluyt, pij... dobry piesek, napij się dobrej wody...

Nieśmiałe skomlenie, a potem znowu cisza.

– Doskonale, panowie – oznajmił doktor Byrd. – Gdyby ten przeklęty statek tak nie kołysał bez miary, moglibyśmy powiedzieć, że wieczór był udany. Jutro rano, Hawlse, jak zwykle sól na ranę. Bierzemy się, panowie, do rachunków! W rozstrzygającej chwili tutaj jest prawie północ, a z Londynu sygnalizują nam południe. Znaleźliśmy się na antypołudniku Londynu, czyli na sto osiemdziesiątym od Wysp Kanaryjskich. Jeśli Wyspy Salomona leżą, jak chce tradycja, na antypołudniku Wyspy Żelaza i jeśli jesteśmy na odpowiedniej długości, to płynąc z dobrym wiatrem prosto w rufę na zachód, winniśmy dotrzeć do San Christoval czy jak tam inaczej nazwiemy tę przeklętą wyspę. Znajdziemy to, czego Hiszpanie szukali przez parę dziesiątków lat, i w nasze ręce wpadnie jednocześnie sekret *punto fijo*. Piwa, Cavendish, musimy wznieść toast na cześć jego królewskiej mości, niech Bóg ma go zawsze w swej opiece.

– Boże, zbaw króla – odpowiedzieli jednogłośnie tamci. I najwyraźniej wszyscy czterej byli ludźmi wielkiego serca, nadal wiernymi monarsze, który w tym czasie, jeśli jeszcze nie stracił głowy, był co najmniej u progu utraty królestwa.

Robert postanowił dokładnie rozważyć sprawę. Widząc psa rano, spostrzegł, że kiedy go głaskał, zwierzę uspokoiło się, a kiedy dotknął mocniej pewnego punktu, zaskowyczało z bólu. Wystarczało byle co, żeby na rzucanym przez wiatry i fale statku uzyskać potrzebne reakcje schorowanego ciała. Być może ci niegodziwcy myśleli, że dociera do nich sygnał z daleka, a tymczasem pies cierpiał albo doznawał ulgi zależnie od tego, czy fale nim rzucały, czy też kołysały. Albo też, jeśli były jakieś – jak powiadał Saint-Savin – głuche zmowy, Byrd ruchami rąk wywoływał takie reakcje psa, jakich w duchu pragnął. Czyż nie opowiedział sam o Kolumbie, który mylił się, bo chciał udowodnić, że dotarł dalej, niż było w rzeczywistości? Czyżby burczenie w brzuchu nieszczęsnego zwierzęcia miało przekonać tych niegodziwców, że zbliżają się do miejsca pożądanego przez równie niegodziwych Hiszpanów, Francuzów, Holendrów i Portugalczyków albo że się od owego miejsca oddalają? On zaś został wplątany w tę awanturę, by pewnego dnia dostarczyć Mazarinowi albo młodemu Colbertowi sposób zapełniania francuskich statków umęczonymi psami?

Tamci oddalili się. Robert wyszedł ze swojej kryjówki i w świetle nasmołowanego sznura stanął przed śpiącym psem. Musnął mu łeb. W biednym zwierzęciu dostrzegł całe cierpienie świata, szaloną opowieść idioty. Powolna edukacja, która trwała od czasów Casale do tego momentu, tyle mu zapewniła prawdy. O, gdybyż pozostał jako rozbitek na bezludnej wyspie, jak chciał kawaler, gdybyż, jak chciał kawaler, podpalił „Amaryllis”, gdybyż zakończył rejs na trzeciej wyspie, wśród tubylców barwy ziemi sieneńskiej, albo na czwartej zostałby bardem tamtejszych ludzi! Gdybyż znalazł Escondidę, gdzie mógłby skryć się przed wszystkimi mordercami bezlitosnego świata!

Wtedy jeszcze nie wiedział, że los przygotował dla niego piątą wyspę, być może Ostatnią.

Zdawało się, że „Amaryllis” wychodzi z siebie; chwytając się, czego się dało, Robert wrócił do swej kwatery, zapominając o niegodziwościach świata, aby znosić chorobę morską. Potem nastąpiła katastrofa, o której już

opowiedzieliśmy. Pomyślnie wykonał swoje zadanie. Jako jedyny pozostał przy życiu i uniósł ze sobą tajemnicę doktora Byrda. Nie mógł jej jednak już nikomu wyjawić. A zresztą może za tą tajemnicą nie kryło się nic.

Czy nie powinien uznać, że opuściwszy świat niezdrowy, odzyskał prawdziwe zdrowie? Katastrofa była darem najwyższym, zyskał bowiem wygnanie i Panią, której nikt nie mógł mu odebrać...

Jednak Wyspa nie należała do niego i pozostawała daleka. Także „Dafne” nie była jego własnością i ktoś przypominał o swoich do niej prawach. Być może po to, by kontynuować badanie nie mniej okrutne od tych, które prowadził doktor Byrd.

20

Przenikliwość i Sztuka Subtelności

Robert nadal przejawiał skłonność do tracenia czasu, pozwalając, by Intruz prowadził grę, gdyż miał nadzieję łatwiej ją w ten sposób rozszyfrować. Wynosił zegary na pokład, codziennie je nakręcał, potem biegł karmić zwierzęta, aby nie mógł zrobić tego Tamten, a wreszcie porządkował wszystkie kabiny i pokład, ażeby móc zauważyć, że Tamten którędyś przeszedł. W dzień przebywał w zamknięciu, ale zostawiał drzwi uchylone, aby usłyszeć każdy dźwięk dochodzący z zewnątrz albo spod pokładu, nocą zaś obejmował wachtę, pił okowitę, zapuszczał się w głąb „Dafne”.

Pewnego razu, idąc w kierunku dziobu, odkrył dwie następne komórki po drugiej stronie komory cumowej. Jedna była pusta, druga wypełniona po brzegi; pod ścianami stały półki z listewkami z przodu, żeby przy wzburzonym morzu nie spadały z nich przedmioty. Zobaczył wysuszone na słońcu jaszczurcze skóry, pestki nie wiadomo już jakich owoców, najrozmaiciej zabarwione kamienie, otoczaki z morskiego dna, fragmenty koralu, owady przytwierdzone szpilkami do tabliczek, muchę i pająka w kawałku bursztynu, zasuszonego kameleona, słoje wypełnione płynem, w którym unosiły się małe węże i węgorze, ogromne, jakby wielorybie ości, miecz, który zdobił pewnie pysk jakiejś ryby, i długi róg, należący, jak się zdawało Robertowi, do jednorożca, ale w rzeczywistości zapewne do narwala. Jednym słowem, pomieszczenie wskazywało na upodobanie do erudycyjnego kolekcjonerstwa, jako że w tamtych czasach na statku można się było zawsze spodziewać badaczy i naturalistów.

Na środku stała otwarta skrzynia, wyścielona słomą, ale pusta. Robert domyślił się, co w niej mogło być, kiedy otwierając po powrocie drzwi swojej kabiny, ujrzał wyprostowane zwierzę, które wydało mu się w tym momencie bardziej przerażające niż Intruz z krwi i kości.

Coś jakby mysz, jakby szczurzysko prosto z kanału ściekowego, jakby wilkołak sięgający człowiekowi do pasa, z długim ogonem spoczywającym na podłodze, z nieruchomymi oczami, stało pewnie na dwóch łapach, dwie górne kończyny wyciągając ku niemu niby ramiona. Miało krótką sierść, a na brzuchu torbę, otwór, naturalny worek, z którego wyglądało małe monstrum tego samego gatunku. Wiemy już, jak Robert fantazjował na temat szczurów przez pierwsze dwa wieczory i jak spodziewał się, że będą ogromne i dzikie, bo takie żyły na statkach. Ale to zwierzę przerastało wszystkie jego najstraszliwsze oczekiwania. Nie myślał, by oczy ludzkie oglądały kiedykolwiek takie szczury – i miał rację, bo zobaczymy niezadługo, że – jak się domyśliłem – był to torbacz.

Kiedy minął pierwszy strach i zobaczył, że stworzenie stoi nieruchomo, pojął z całą jasnością, że ma przed sobą zwierzę wypchane, i to wypchane źle albo źle przechowywane w ładowni, gdyż przez sierść dobywała się woń gnijących organów, a z grzbietu sterczały słomiane wiechcie.

Najwyraźniej Intruz tuż przed nim poszedł do pokoju cudowności, zabrał stamtąd najefektowniej wyglądający okaz i kiedy Robert podziwiał owo muzeum – ustawił go tutaj, być może spodziewając się, że jego ofiara straci rozum i rzuci się z nadburcia do morza. Chce mojej śmierci, chce, bym oszalał – szeptał Robert – ale zmuszę go do zjedzenia tego szczura po kawałeczku, zabalsamuję i ustawię tam na półce. Gdzie się ukrywasz, przeklęty, gdzie jesteś? Może przyglądasz się, czy postradałem zmysły, ale to ja sprawię, że postradasz, łotrze, zmysły.

Kolbą muszkietu wypchnął zwierzę na pokład i przezwyciężając odrazę, chwycił je rękami i cisnął do morza.

Był teraz zdecydowany odnaleźć kryjówkę Intruza; wrócił do drewutni, uważając, by nie potoczyć się razem z rozsypanymi po podłodze pniakami. Za drewutnią natrafił na miejsce, które na „Amaryllis” nazywano zasobnią

(albo *soute*, albo *sota*) sucharową. Pod płótnem znalazł przede wszystkim starannie owiniętą i zabezpieczoną lunetę, bardzo dużą, mocniejszą od tej, którą miał w kabinie; może była to Hiperbola Oczu, przeznaczona do badania nieba. Jednak teleskop był umieszczony w wielkiej misce z lekkiego metalu, a obok owej misy zobaczył akuratnie zapakowane w szmaty instrumenty niewiadomego zastosowania, coś w rodzaju hełmu, wreszcie trzy pękate pojemniki, które zawierały, jak poczuł nosem, gęsty i zatęchły olej. Do czego ten zestaw mógł służyć, Robert nawet się nie zastanawiał. W tej chwili szukał istoty żywej.

Sprawdził więc, czy pod zasobnią nie ma wolnej przestrzeni. Była, tyle że bardzo niska, i mógł się w niej przemieszczać tylko na czworakach. Zbadał to miejsce, opuszczając nisko lampkę, bał się bowiem skorpionów, a zresztą mógł przecież podpalić powałę. Po krótkim pełzaniu dotarł do końca pomieszczenia i uderzył głową w twardy modrzew, Ultima Thule „Dafne", zza której dochodził plusk wody o kadłub. A poza tym ślepo kończącym się tunelem nie było już niczego.

Potem zaprzestał poszukiwań, jakby „Dafne" nie mogła kryć następnych sekretów.

Jeśliby komuś wydawało się dziwne, że podczas tygodniowego i dłuższego, bezczynnego pobytu na statku Robert nie obejrzał wszystkiego, niechaj pomyśli o tym, co dzieje się z chłopcem, który zwiedza poddasza i piwnice wielkiej, zbudowanej przez przodków siedziby o piętrach na najrozmaitszych poziomach. Na każdym kroku trafia na skrzynie ze starymi książkami, znoszone ubrania, puste butelki, kupy chrustu, połamane meble, zakurzone i chwiejące się szafy. Chłopak chodzi, zatrzymuje się przy jakimś skarbie, zerka w jakieś przejście, w mroczny korytarz i wyobraża sobie z lękiem, że ktoś tam jest, odkłada więc poszukiwania na inny raz i dokonuje odkryć krok po kroku, z jednej strony bojąc się za bardzo zagłębić, z drugiej smakując z góry czekające go odkrycia, przytłoczony jeszcze emocjami po swych ostatnich znaleziskach, i dlatego poddasze albo

piwnica nie ma końca, może kryć jakieś dalsze niespodzianki, których wystarczy na całe dzieciństwo, a nawet dłużej.

A gdyby chłopca przerażały za każdym razem jakieś nieznane odgłosy albo nie chcąc, by błądził po tym labiryncie, opowiadano mu codziennie bajki mrożące krew w żyłach – i gdyby na dodatek ten chłopiec był pijakiem – sami rozumiemy, jak bardzo przestrzeń się rozszerza przy każdej nowej przygodzie. Tak samo przeżywał Robert poznawanie tego wrogiego mu nadal terytorium.

Poranek dopiero się zaczynał i Robert znowu śnił. Śniła mu się Holandia. Ludzie kardynała odwozili go do Amsterdamu, żeby się zaokrętował na „Amaryllis”. Po drodze zatrzymali się w jakimś mieście i Robert wszedł do katedry. Uderzył go blask wnętrza, tak odmienny od tego, co widywał w kościołach włoskich i francuskich. Wolne od upiększeń, oprócz paru chorągwi zawieszonych na nagich kolumnach, jasne szyby, żadnych witraży; wszędzie rozlewało się światło słoneczne o mlecznym zabarwieniu, zakłóconym jedynie przez nieliczne czarne postacie wiernych. W tej atmosferze spokoju słychać było tylko jeden dźwięk – smutną melodię, która zdawała się błąkać w powietrzu koloru kości słoniowej, rodząc się z kapiteli i zworników sklepień. Potem spostrzegł, że w kaplicy ukrytej w krużganku chóru inna ubrana na czarno, samotna w tym zakątku postać gra na małym flecie prostym, z oczyma wpatrzonymi w pustkę.

Później, kiedy muzyka ucichła, podszedł do mężczyzny, zastanawiając się, czy powinien wręczyć mu datek; ten, nie patrząc mu w oczy, podziękował za pochwałę i wtedy Robert spostrzegł, że to ślepiec. Był mistrzem od muzyki dzwonów (*der Musicyn en Directeur van de Klok-werken, le carillonneur, der Glockenspieler* – starał się wyjaśnić), ale do jego obowiązków należało również zabawiać dźwiękami fletu wiernych, którzy wieczorami spędzali czas na dziedzińcu kościelnym albo przylegającym do kościoła cmentarzu. Znał wiele melodii i każdą wzbogacał o dwie, trzy wariacje, czasem nawet o pięć, coraz bardziej skomplikowanych, i nie potrzebował wcale czytać nut. Urodził się ślepcem

i umiał się poruszać po tej pięknej świetlistej przestrzeni (tak właśnie powiedział: świetlistej) swojego kościoła, widząc – wyjaśnił – słońce skórą. O instrumencie opowiadał jak o żywej istocie, reagującej na pory roku, temperaturę poranka czy zmierzchu, chociaż w kościele zawsze panuje miłe, rozproszone ciepło, które stwarza doskonałe warunki dla drewna, i Robert, marznąc w tej jasności, musiał zastanowić się nad wyobrażeniem, jakie miał ten człowiek północy o rozproszonym cieple.

Muzyk zagrał mu jeszcze dwa razy pierwszą melodię i wyjaśnił, że nosi tytuł *Doen Daphne d'over schoone Maeght*. Odmówił przyjęcia datku, dotknął jego twarzy i powiedział – a w każdym razie tak się zdawało Robertowi – że *Daphne* jest pełna słodyczy i będzie mu towarzyszyć przez całe życie.

I Robert, teraz na „Dafne", otwierał oczy i bez wątpienia słyszał dochodzące z dołu, przez szpary w drewnie, nuty *Daphne*, jakby granej na instrumencie bardziej metalicznym, który nie ważąc się porywać na wariacje, wracał w regularnych odstępach czasu do pierwszej frazy melodii niby do natrętnego refrenu.

Powiedział sobie zaraz, że jest nader subtelnym symbolem przebywać na *fluyt* o nazwie „Dafne" i słuchać utworu na flet o tytule *Daphne*. Nie warto się łudzić, że chodzi o sen. To następny znak od Intruza.

Raz jeszcze ujął w rękę oręż, raz jeszcze dodał sobie sił, sięgając po baryłkę, i ruszył za dźwiękiem. Miał wrażenie, że dochodzi on z komórki zegarowej. Odkąd rozstawił chronometry na pokładzie, było tam pusto, mimo to zajrzał do środka. Nadal było pusto, lecz muzyka dobywała się ze ściany w głębi.

Za pierwszym razem był zaskoczony widokiem zegarów, za drugim – zaprzątnięty myślą, żeby je powynosić, i jakoś nigdy się nie zastanawiał, czy ta kajuta przylega do poszycia. Jeśliby tak było, ściana w głębi musiałaby mieć kształt zakrzywiony. Czy tak to wyglądało w rzeczywistości? Wielkie płótno z namalowanymi zegarami zwodziło oko, tak że nie sposób było stwierdzić z całą pewnością, czy owa ściana jest płaska, czy też wklęsła.

Robert pomyślał, że trzeba zerwać płótno, lecz spostrzegł, iż zwisa ono swobodnie jak kurtyna. A za kurtyną znajdowały się następne drzwi, także zaryglowane.

Z odwagą właściwą wyznawcom Bachusa uznał, że z takimi wrogami można się rozprawić jednym strzałem, po czym wymierzył, krzyknął najgłośniej, jak potrafił (i Bóg jeden wie dlaczego): *Nevers et Saint-Denis!*, kopnął drzwi i nieustraszenie rzucił się do ataku.

Przedmiotem wypełniającym to nieznane mu dotąd miejsce były organy z dwiema dziesiątkami piszczałek na górze i z nich to dobywały się nuty melodii. Same organy, przytwierdzone do ściany, składały się z drewnianej konstrukcji wspartej na rusztowaniu metalowych słupków. Z górnej płaszczyzny sterczały pośrodku piszczałki, a po obu stronach poruszały się małe automaty. Zestaw lewy składał się z okrągłej podstawy, na której stało coś w rodzaju kowadełka, z pewnością pustego w środku jak dzwon. Wokół tej podstawy rozmieszczono cztery figurynki, które poruszały rytmicznie ramionami, bijąc w kowadło metalowymi młoteczkami. Młotki, jedne lżejsze, drugie cięższe, wydawały tym sposobem srebrzyste dźwięki, które nie kłócąc się z melodią płynącą z piszczałek, komentowały ją serią akordów. Robert przypomniał sobie o rozmowie, jaką miał w Paryżu z pewnym minorytą, który opowiadał mu o swoich badaniach harmonii uniwersalnej i szanował – bardziej za urząd muzyczny niż za rysy twarzy – Wulkana oraz trzech cyklopów, na nich bowiem, według legendy, powołał się Pitagoras, twierdząc, że interwały muzyczne zależą od liczby, wagi i miary.

Na prawo od piszczałek widać było amorka, który wskazywał (pałeczką nad drewnianą książką spoczywającą w jego dłoni) takt trójdzielny, stanowiący rusztowanie melodii, melodii *Daphne*.

Na płaszczyźnie tuż poniżej umieszczono klawiaturę organową, której klawisze unosiły się i opadały zgodnie z dźwiękami wydawanymi przez piszczałki, jakby po owej klawiaturze przebiegały czyjeś dłonie. Pod klawiaturą, tam gdzie grający zwykle uruchamia nogami miechy, znajdował

się cylinder, do którego przytwierdzono zęby i szpice w porządku nieprzewidywalnie regularnym i regularnie nieoczekiwanym, podobnie jak nuty rozmieszczone są w porządku wznoszącym się i opadającym, nagle urywającym się, pozostawiającym rozległe połacie bieli i zagęszczenia ósemek na pięciolinii.

Pod cylindrem znajdował się poziomy pręt, podtrzymujący dźwigienki, które przy obrotach cylindra zahaczały o jego zęby i za pośrednictwem na wpół ukrytych drążków uruchamiały klawisze, te zaś – piszczałki.

Jednak najbardziej zdumiewającym fenomenem była przyczyna sprawiająca, że cylinder się kręcił, a piszczałki otrzymywały tchnienia. Obok organów umocowano szklany syfon, kształtem przypominający kokon jedwabnika i mający w swym wnętrzu dwa sita, jedno nad drugim, które dzieliły go na trzy komory. Do syfonu wpadała porcja wody z rurki, która dochodziła dołem od otworu strzelniczego (dawał on pomieszczeniu światło) i dostarczała ciecz, zasysaną najwyraźniej (dzięki jakiejś ukrytej pompie) z morza, lecz w ten sposób, by do owego kokonu dostawała się przemieszana z powietrzem.

Kipiąca woda wdzierała się do dolnej części syfonu, rozpływała się, wirując, po ściankach i uwalniała powietrze zasysane przez dwa sita. Powietrze przepływało rurą, łączącą górną część kokonu z podstawą piszczałek, i dzięki sztucznym ruchom duchowym przeobrażało się w śpiew. Natomiast woda, która zebrała się w części dolnej, wypływała cewką i poruszała koło z łopatkami, by spłynąć następnie do znajdującej się poniżej metalowej misy i stamtąd, inną rurką, poza otwór.

Koło poruszało drążkiem, który zazębiając się o cylinder, przekazywał mu swój ruch.

Pijanemu Robertowi wydawało się to wszystko naturalne, a nawet poczuł się oszukany, kiedy cylinder zaczął zwalniać, a piszczałki grać tak, jakby muzyka gasła w ich gardzielach, jednocześnie zaś cyklopi i amorek ustawali w wybijaniu rytmu. Oczywiście – choć w tamtych czasach wiele się mówiło o ruchu nigdy nieustającym – ukryta pompa, która regulowała

zasysanie i podawanie wody, mogła działać tylko przez jakiś czas po otrzymaniu pierwszego impulsu, a potem wyczerpywała swoje siły.

Robert nie wiedział, czy bardziej zachwycać się misterną technasmą – a słyszał o innych podobnych, powodujących taniec zmarłych dzieciątek lub skrzydlatych aniołków – czy faktem, że Intruz – on tylko mógł być tu sprawcą – uruchomił technasmę tego ranka, i to o tak wczesnej godzinie.

I jaki znak chciał mu w ten sposób przekazać? Może ten, że Robert od samego początku był skazany na porażkę?

A może ten, iż „Dafne” kryje tyle zdumiewających niespodzianek, że choćby całe życie spędził na próbach pogwałcenia ich tajemnic, musi pożegnać się z wszelką nadzieją?

Pewien filozof powiedział mu, że Bóg lepiej zna świat niż my, bo go stworzył. Żeby więc dorównać, choćby w niewielkiej mierze, boskiej wiedzy, trzeba wyobrazić sobie świat jako wielki gmach i spróbować go zbudować. Taki właśnie winien przyjąć tryb postępowania. Chcąc poznać „Dafne”, musi ją skonstruować.

Usiadł więc za stołem i narysował sylwetkę statku, czerpiąc natchnienie z tego, co wiedział o budowie „Amaryllis”, i z tego, co zobaczył dotychczas na „Dafne”. No więc – mówił sobie – mamy pomieszczenia w kasztelu rufowym, poniżej sterownię. Jeszcze niżej (ale nadal na poziomie pokładu) – odwach i pomieszczenie, przez które przechodzi trzon steru. Trzon ten wychodzi na rufie i dalej nie może być już nic. To wszystko w kasztelu dziobowym jest kambuzem. Dalej wznosi się bukszpryt i tam – jeśli dobrze zrozumiałem świadczące o zakłopotaniu peryfrazy, jakich użył Robert – znajdowały się owe miejsca, które zajmowało się w tamtych czasach z wystawionym siedzeniem, by załatwić swoje potrzeby. Schodząc pod kambuz, trafiało się do pentry. Zwiedził ją po sam bom, aż po koniec taranu, i wiedział, że Tamtego być tam nie mogło. Poniżej znalazł tylko liny i zbiór skamielin. Dalej pójść już się nie dało.

Trzeba więc było zawrócić i przemierzyć cały podpokład, gdzie znalazł wolierę i warzywnik. Jeśli Intruz nie przyjmował na zawołanie postaci

zwierzęcej lub roślinnej, tam ukryć się nie mógł. Pod rumplem były organy i zegary. W tym miejscu także dotarł Robert do poszycia.

Schodząc jeszcze niżej, trafił do najobszerniejszej ładowni, gdzie rozmieszczono dalsze zapasy prowiantu, balast oraz drwa; stukał nawet w ściany, żeby sprawdzić, czy nie ma za nimi jakiegoś drugiego dna, jakiejś pustej przestrzeni. Zęza, jeśli nie odbiegała od normy, nie pozwalała na urządzenie żadnych innych kryjówek. Chyba że Intruz jak pijawka przywierał pod wodą do kilu i wpełzał na pokład nocą, ze wszystkich jednak wyjaśnień – a Robert gotów był próbować najrozmaitszych – to wydawało mu się najmniej naukowe.

Na rufie, mniej więcej pod organami, znajdowała się komórka z misą, teleskopem i innymi instrumentami. Dokonując oględzin – rozmyślał – nie sprawdziłem, czy to pomieszczenie kończy się ścianką oddzielającą od steru; ale sądząc z rysunku, który jednocześnie sporządzał, wydawało się, że kartka nie pozwala na dalsze puste miejsca – jeśli dobrze wyobraził kształt rufy. Poniżej znalazł tylko kończący się ślepo tunel i niczego więcej być tam nie mogło – tego był pewny.

W ten sposób, dzieląc statek na przedziały, wypełnił go całkowicie i na żadną dodatkową komórkę nie pozostało miejsca. Wniosek: Intruz nie przebywa w jakimś stałym pomieszczeniu. Przemieszcza się zależnie od tego, jak przemieszcza się Robert; jest jak druga strona Księżyca, o której wiemy, że być musi, lecz nigdy jej nie oglądamy.

Któż mógł zobaczyć drugą stronę Księżyca? Mieszkaniec gwiazd stałych: mógł czekać bez ruchu, aż objawi mu się zasłonięta strona. Póki będzie się przemieszczał wraz z Intruzem lub pozwoli, by Intruz dopasowywał swe poruszenia do niego, nie zobaczy go nigdy.

Musi stać się gwiazdą stałą i zmusić Intruza do obrotów. Ponieważ zaś Intruz najwyraźniej przebywał na pokładzie, kiedy on był pod pokładem, i na odwrót, winien udać, że jest pod pokładem, by zaskoczyć go na pokładzie.

W celu wprowadzenia Intruza w błąd pozostawił światło w kabinie kapitańskiej, by Tamten pomyślał, że Robert pisze. Potem ukrył się na

kasztelu dziobowym, tuż za dzwonem, ażeby obróciwszy się, widzieć przestrzeń pod bukszprytem, a przed sobą mieć pokład i drugi kasztel aż po latarnie na rufie. Obok położył strzelbę oraz – obawiam się – postawił baryłkę z okowitą.

Spędził noc, wsłuchując się w każdy odgłos, jakby nadal musiał śledzić doktora Byrda, i szczypiąc się w uszy, żeby nie zasnąć do samego świtu. Daremnie.

Wrócił do kabiny, gdzie światło zdążyło zgasnąć. Zobaczył, że wszystkie papiery są w nieładzie. Intruz spędził więc noc tutaj, czytając być może jego listy do Pani, kiedy on kostniał z zimna nocą i od rosy o świcie!

W jego wspomnienia wtargnął teraz Przeciwnik... Robert przypomniał sobie ostrzeżenia, jakich udzielił mu Salazar: ujawniając swoje namiętności, otworzył wyłom we własnej duszy.

Wypadł na pokład i wystrzelił na oślep, odłupując drzazgę z masztu, i nie przestał strzelać, póki nie uświadomił sobie, że nie zabije w ten sposób nikogo. W czasie kiedy on ładował muszkiet, między jednym a drugim strzałem, nieprzyjaciel zdążyłby pójść na spacer, śmiejąc się w kułak z całego zamieszania, które zrobiło wrażenie tylko na zwierzętach pod pokładem, dały się bowiem słyszeć dochodzące stamtąd hałasy.

Śmieje się więc? Ale gdzie? Robert wrócił do swojego rysunku i powiedział sobie, że nie ma bladego pojęcia o budowie statków. Rysunek pokazywał bowiem tylko górę, dół i długość, ale szerokości – nie. Widziany wzdłużnie (my powiedzielibyśmy: w przekroju), statek nie odsłaniał żadnej możliwości kryjówki, jeśliby jednak przyjrzeć się mu poprzecznie, odkryłoby się, być może, kryjówki wciśnięte między znane już pomieszczenia.

Robert pomyślał o tym dopiero teraz, ale na tym statku zbyt wielu rzeczy jeszcze brakowało. Na przykład nie znalazł więcej broni. Mogli jednak zabrać ją marynarze – jeśli opuścili okręt z własnej woli. Ale na „Amaryllis” w ładowni zgromadzono spory zapas drewna budowlanego, żeby w razie jakichś szkód spowodowanych przez sztormy reperować nim maszty, ster albo poszycie, tutaj zaś znalazł dość dużo drobnego, świeżo

wysuszonego drewna do palenia pod kuchnią, natomiast żadnego dębu, modrzewia czy sezonowanej jodły. A wraz z drewnem ciesielskim brakowało narzędzi do ciesiołki, pił, rozmaitych toporów, młotów, gwoździ...

Byłyżby więc tu jakieś inne pomieszczenia? Sporządził nowy rysunek, starając się przedstawić statek widziany nie z boku, ale jakby patrzył nań z wysokości stengi. I doszedł do wniosku, że w tym narysowanym ulu można by pod kajutę z organami wcisnąć przejście, z którego dałoby się następnie zsunąć bez drabiny do tunelu. Było tam za mało miejsca, by zmieścić wszystko, czego brakowało, ale w każdym razie miał przed oczyma dodatkowe puste miejsce. Jeśli w niskim suficie ślepego tunelu jest właz, dziura, przez którą można się przecisnąć do nowo odkrytej komórki, stamtąd łatwo byłoby się dostać do zegarów i biegać sobie po całym kadłubie.

Robert nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że Przeciwnik tam właśnie się znajduje. Pobiegł na dół, wślizgnął się do tunelu, tym razem oświetlając górną jego część. I znalazł drzwiczki. Oparł się impulsowi nakazującemu natychmiast je otworzyć. Jeśli Intruz jest nad nim, czeka tylko, żeby Robert wystawił głowę, i bez trudu się z nim rozprawi. Trzeba zaskoczyć go od tej strony, od której najmniej spodziewa się ataku; tak właśnie postępowano w Casale.

Jeżeli więc jest jakaś pusta przestrzeń, z pewnością przylega do kabiny z teleskopem i tam musi być przejście.

Wspiął się, przeszedł przez zasobnię, odsunął instrumenty i znalazł się przed ścianą, której – spostrzegł to dopiero teraz – nie wykonano z tego samego twardego drewna co poszycie.

Było to dosyć wątłe przepierzenie. Podobnie jak wtedy, gdy chciał dostać się do pomieszczenia, z którego dochodziła muzyka, kopnął z całej siły i ściana ustąpiła.

Znalazł się w norze, rozjaśnionej mdłym światłem padającym z okienka we wklęsłej ścianie w głębi. I tam spoczywał na legowisku, z kolanami

podkulonymi prawie pod brodę i trzymając pistolet w wyciągniętej ręce – Tamten.

Był to starzec patrzący rozszerzonymi źrenicami, o twarzy wysuszonej i okolonej szpakowatą bródką, rzadkich srebrzystych włosach sterczących na czaszce, prawie bezzębnych ustach z dziąsłami koloru borówki, okryty tkaniną, niegdyś być może czarną, a teraz usianą wyblakłymi plamami.

Mierząc z pistoletu, w który wczepił się obiema drżącymi rękami, piszczał żałośnie. Pierwsze zdanie wypiszczał po niemiecku, może po holendersku, drugie zaś – z pewnością powtarzając treść – w mozolnej włoszczyźnie; dowód, że odkrył pochodzenie swego rozmówcy, przeglądając jego papiery.

– Jeden ruch i strzelam!

Robert był tak zaskoczony widokiem, że reagował z opóźnieniem. I dobrze się stało, miał bowiem czas, by zauważyć, że Przeciwnik nie uniósł lufy pistoletu, co świadczyło, iż nie jest zbytnio biegły w sztuce wojennej.

Podszedł więc, ujął grzecznym gestem pistolet za lufę i spróbował wyjąć go z dłoni zaciśniętej na kolbie, podczas gdy dziwna istota wykrzykiwała coś gniewnie po niemiecku.

Robert odebrał wreszcie Intruzowi, choć z trudem, broń; tamten opadł na legowisko, więc Robert przyklęknął obok i uniósł mu głowę.

– Panie – powiedział – nie chcę cię skrzywdzić. Jestem przyjacielem. Rozumiesz? *Amicus!*

Starzec otwierał i zamykał usta, ale nic nie mówił; widać było tylko zaczerwienione białka oczu i Robert zląkł się, że mężczyzna umiera. Wziął bezwładne ciało w ramiona i zaniósł do swojej kabiny. Dał starcowi wody, potem odrobinę okowity, ten zaś powiedział: *Gratias ago, domine*, uniósł dłoń, jakby chciał go pobłogosławić, i Robert, przyjrzawszy się lepiej sukni, pojął, że ma do czynienia z osobą duchowną.

21

Telluris Theoria Sacra

Nie będziemy odtwarzać dialogu, jaki toczył się przez następne dwa dni. Także dlatego, że od tej chwili teksty Roberta stały się bardziej lakoniczne. Ponieważ obce oczy ujrzały wyznania, jakie czynił Pani (nie zdobył się nigdy na odwagę, by spytać o to nowego towarzysza), przez wiele dni nie pisał nic, a potem opisał dosyć sucho to, czego się dowiedział i co się zdarzyło.

A zatem Robert miał przed sobą księdza Kacpra Wanderdrossla, *Societate Jesu, olim in Herbipolitano Franconiae Gymnasio, postea in Collegio Romano Matheseos Professor*, i nie tylko, gdyż także astronoma i badacza w wielu innych dziedzinach przy Generalnej Kurii Towarzystwa. „Dafne”, pod dowództwem holenderskiego kapitana, który próbował już żeglować tymi szlakami z polecenia Vereenigde Oost-Indische Compagnie, opuściła wiele miesięcy temu wybrzeże śródziemnomorskie i opłynęła Afrykę z zamiarem dotarcia do Wysp Salomona. Dokładnie tak samo jak doktor Byrd na „Amaryllis”, tyle że doktor szukał Wysp Salomona, podążając na wschód od zachodu, „Dafne” zaś płynęła kursem przeciwnym. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż na Antypody można dotrzeć zarówno od jednej, jak i od drugiej strony. Na Wyspie (i ksiądz Kacper wskazał poza plażę i drzewa) miano zmontować Strażnicę Maltańską. Czym miała być owa Strażnica, nie bardzo wiadomo, i Kacper szeptał o tym jak o tajemnicy tak sławnej, że cały świat o niej mówi.

„Dafne” płynęła tutaj tyle samo czasu co „Amaryllis”. Wiadomo, jak wyglądało wówczas żeglowanie po tych morzach. Po opuszczeniu Moluków, wziąwszy kurs na południowy wschód – w stronę Porto Sancti

Thomae na Nowej Gwinei, ponieważ należało dotrzeć do miejsc, gdzie Towarzystwo Jezusowe miało swoje misje – statek, rzucany burzą, zagubił się na nigdy nieoglądanych morzach i przybił do wyspy zamieszkanej przez szczury wielkości dziecka, z długimi ogonami i torbą na brzuchu, też same, których wypchany egzemplarz Robert widział na własne oczy (ojciec Kacper zganił go, że wyrzucił „*Wunder* wart tyle co Peru").

Były to – opowiadał ksiądz Kacper – zwierzęta przyjazne, otaczające ludzi, którzy zeszli na brzeg, i wyciągające łapy z prośbą o pożywienie, a nawet szarpiące za ubrania, lecz w sumie patentowani złodzieje, ukradły bowiem niejednemu majtkowi suchary z kieszeni.

Niechaj wolno mi będzie wtrącić w tym miejscu swoje trzy grosze – z całym szacunkiem dla ojca Kacpra. Taka wyspa naprawdę istnieje i nie można jej pomylić z żadną inną. Te pseudokangury nazywają się *quokkas* i żyją wyłącznie na Rottnest Island, świeżo odkrytej wówczas przez Holendrów i nazwanej *rottenest*, gniazdem szczurów. Ponieważ jednak owa wyspa leży naprzeciwko Perth, oznacza to, że „Dafne" dotarła do zachodnich wybrzeży Australii. Jeśli uświadomimy sobie, że tym samym znalazła się na trzydziestym równoleżniku południowym i na zachód od Moluków, chociaż miała płynąć na wschód i trochę poniżej równika, musimy przyznać, że rzeczywiście zabłądziła.

Jednak to nie wszystko! Ludzie z „Dafne" musieli zobaczyć niedaleko wyspy ląd, ale pomyśleli, że to kolejna wysepka z kolejnym gryzoniem. Szukali czegoś innego i któż może wiedzieć, co ojcu Kacprowi mówiły pokładowe przyrządy? Z pewnością znaleźli się o parę uderzeń wioseł od owej Terra Incognita et Australis, o której ludzkość śniła od wieków. Trudno natomiast się rozeznać – zważywszy na to, iż „Dafne" znalazła się w końcu (jak zobaczymy) na szerokości osiemnastu stopni południowych – jak zdołali opłynąć co najmniej dwie trzecie Australii, nie dostrzegając jej. Albo popłynęli na północ i prześlizgnęli się między Australią a Nową Gwineą, narażeni na to, że osiądą na mieliźnie przy jednym lub drugim brzegu, albo wzięli kurs na południe i przepłynęli między Australią a Nową Zelandią, mając stale przed oczami otwarte morze.

Mógłby ktoś pomyśleć, że snuję tu powieść, gdyby nie to, iż mniej więcej w tych samych miesiącach, w których rozgrywa się nasza historia, również Abel Tasman, wyruszając z Batawii, dotarł do lądu, który nazwał Ziemią Van Diemena, a który dzisiaj znamy jako Tasmanię. Ponieważ jednak on także szukał Wysp Salomona, płynął, mając zawsze po lewej ręce południowe wybrzeże tej ziemi, a jako że nie wyobrażał sobie, iż dalej ciągnie się kontynent sto razy większy, płynął na południowy wschód ku Nowej Zelandii, wzdłuż jej brzegów w kierunku północno-wschodnim, wreszcie zaś oddalił się od nich i dotarł do wysp Tonga. Potem znalazł się, z grubsza biorąc, tam, gdzie – jak przypuszczam – była „Dafne", ale także w tym miejscu prześlizgnął się między koralowymi barierami i wziął kurs na Nową Gwineę. Był to szlak odpowiedni dla kuli bilardowej, zdaje się jednak, że jeszcze przez wiele lat żeglarze przepływali dwa kroki od Australii, nie zauważając jej zgoła.

Przyjmijmy więc za dobrą monetę opowieść ojca Kacpra. Pchana często kaprysami pasatów, „Dafne" po jednym ze sztormów była w takim stanie, że musieli przybić do jakiejś wyspy, Bóg jeden wie gdzie leżącej, bezdrzewnej, piaszczystej, z jeziorkiem pośrodku. Tam doprowadzili statek do ładu, co wyjaśniało fakt, że nie było już na nim drewna budowlanego. Potem odpłynęli i wreszcie rzucili kotwicę w tej zatoce. Kapitan wysłał na brzeg szalupę z oddziałem rozpoznawczym, uznał, że Wyspa jest bezludna, na wszelki wypadek kazał załadować i wycelować nieliczne armaty, a potem przystąpił do wprowadzania w życie trzech przedsięwzięć, wszystkich o charakterze podstawowym.

Pierwszym było zaopatrzenie okrętu w wodę i prowiant, gdyż zapasy były bliskie wyczerpania; drugim – schwytanie zwierząt i zebranie roślin dla przyjemności naturalistów z Towarzystwa; trzecim – zrąbanie drzew, by znowu zaopatrzyć się w potężne pnie, deski i materiały potrzebne na wypadek dalszych nieszczęść, a wreszcie uruchomienie w jakimś wynioślejszym miejscu Wyspy Strażnicy Maltańskiej, i to okazało się zadaniem wymagającym największego nakładu pracy. Musieli wydobyć z ładowni i przewieźć na brzeg narzędzia ciesielskie i rozmaite części

Strażnicy, a wszystkie te roboty zajęły mnóstwo czasu, między innymi z tej przyczyny, że nie można było przybić do brzegu bezpośrednio w zatoce, gdyż statek od brzegu oddzielało ledwie parę wąskich przesmyków, zapora w fosie, nasyp, koralowy *Erdwall* – jednym słowem to, co dzisiaj nazwalibyśmy rafą koralową. Po wielu bezowocnych próbach odkryli, że trzeba za każdym razem opłynąć miejsce dające dostęp do brzegu. „I dlatego tej łodzi od marynarzy opuszczonej nie widzimy *hora*, choć tam jest, *heu me miserum!*” Jak można wywnioskować z dokonanej przez Roberta transkrypcji, ten Teuton mieszkał w Rzymie, porozumiewając się ze swoimi konfratrami ze stu krajów po łacinie, ale włoskiego praktykował nie za wiele.

Po ukończeniu Strażnicy ojciec Kacper przystąpił do prac, które przez blisko dwa miesiące toczyły się pomyślnie. Co w tym czasie robiła załoga? Rozleniwiała się, a dyscyplina na statku słabła. Kapitan wziął na pokład wiele baryłek z okowitą, która miała służyć wyłącznie jako kordiał w czasie burz i być wydzielana skąpo albo też przydać się w handlu wymiennym z krajowcami, jednak niesłuchająca już żadnych rozkazów załoga zaczęła wynosić baryłki na pokład, wszyscy, w tym kapitan, nadużywali trunku. Ojciec Kacper pracował, a oni żyli jak zwierzęta i do Strażnicy dochodziły nader sprośne śpiewki.

Pewnego dnia ojciec Kacper zdjął sutannę, gdyż trudząc się samotnie w Strażnicy, zgrzał się w upale (zgrzeszyłem – przyznał zacny jezuita – przeciwko modestii, oby Bóg mi wybaczył, bo kara już mnie spotkała!), a wtedy jakiś owad ukąsił go w pierś. Z początku poczuł tylko ukłucie, ale wieczorem, po powrocie na pokład, dostał wysokiej gorączki. Nikomu nie powiedział zrazu o swoim wypadku, w nocy huczało mu w uszach i ciążyła głowa; kapitan rozpiął jego sutannę i co zobaczył? Krostę jak po użądleniu przez osę... co powiadam... jak przez większego komara. Ale rychło zaczerwienienie zmieniło się w jego oczach w *carbunculus*, czyrak, furunkuł czerniejący, jednym słowem – w oczywisty symptom *pestis*, *quae dicitur bubonica*, co zostało natychmiast odnotowane w dzienniku pokładowym.

Na statku wybuchła panika. Daremnie ojciec Kacper opowiadał o insekcie: wiadomo, że zadżumiony zawsze kłamie, by nie porzucono go na łaskę losu. Daremnie zapewniał, że dobrze zna się na dżumie, a jego przypadłość dżumą nie jest, i to z wielu powodów. Załoga omal nie wyrzuciła go za burtę, aby zapobiec szerzeniu się zarazy.

Ojciec Kacper próbował wyjaśnić, że podczas wielkiej zarazy w Mediolanie i północnej Italii przed parunastu laty wysłano go wraz z kilkoma konfratrami, by pomagał w lazaretach i z bliska zbadał zjawisko. Wiedział więc niejedno o tym zaraźliwym luesie. Bywają choroby, których ofiarą padają tylko jednostki, i to w różnym czasie i różnych miejscach, jak *sudor Anglicus*, inne właściwe są jednej okolicy, jak *dysenteria Melitensis* albo *elaphantiasis Aegyptia*, jeszcze inne, jak dżuma, szaleją przez długi czas i dotykają wielu mieszkańców różnych rejonów. Otóż dżumę zapowiadają plamy na Słońcu, zaćmienia, komety, pojawianie się zwierząt podziemnych, które wychodzą ze swoich *latibula*, więdnięcie roślin z powodu zaduchu, a przecież żaden z tych znaków nie pokazał się ani na pokładzie, ani na lądzie, ani na niebie, ani na ziemi.

Poza tym dżuma jest z pewnością spowodowana przez smrodliwe powietrze, dobywające się z bagien, ze zwłok rozkładających się masowo podczas wojny, a nawet z martwej szarańczy, która wielkimi stadami topi się w morzu, a potem wyrzucana jest na brzeg. Zarażenie następuje właśnie wskutek wdychania tych wyziewów, które dostają się do ust i płuc, a potem żyłą przepływają do serca. Ale na morzu, poza fetorem wody i pożywienia, niosącym zresztą szkorbut, nie zaś dżumę, żeglarze nie byli przecież narażeni na żadne złoczynne wyziewy, a nawet oddychali powietrzem czystym i nader zdrowymi wiatrami.

Kapitan twierdził, że resztki wyziewów przywierają do ubrań i wielu innych przedmiotów i że na pokładzie pozostało coś, co przez długi okres przechowało, a potem przekazało zakażenie. Przypomniano sobie o księgach.

Ojciec Kacper zabrał ze sobą trochę ksiąg poświęconych nawigacji, jak *L’Arte del navegar* Mediny, *Typhis Batavus* Snelliusa i *De rebus oceanicis*

et orbe novo decades tres Pietra d’Anghiera, i opowiedział pewnego razu kapitanowi, że kupił je prawie za darmo i właśnie w Mediolanie, gdyż po cofnięciu się dżumy wzdłuż Navigli wystawiono na sprzedaż całą bibliotekę pewnego pana, który zmarł przedwcześnie. Był to jego prywatny księgozbiór, który zabierał ze sobą nawet na morze.

Zdaniem kapitana nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że książki, należące niegdyś do osoby zadżumionej, przechowały zarazę. Jak wszyscy wiedzą, dżuma jest roznoszona poprzez jadowite smarowidła i on sam czytał o osobach zmarłych wskutek tego, że śliniły palce przy przerzucaniu kart dzieł, których stronice posmarowano trucizną.

Ksiądz Kacper zaczął się niepokoić. Przecież badał w Mediolanie krew zadżumionych, korzystając przy tym z najnowszego wynalazku, technasmy zwanej okularem albo mikroskopem, i widział zawieszone w tej krwi jakby *vermiculi*, zatem to one właśnie są czynnikami tego *contagium animatum*, rodzącymi się poprzez *vis naturalis* z wszelkiej zgnilizny i przekazywanymi, *propagatores exigui*, poprzez pory albo usta, czasem nawet przez ucho. Ale ta zaraza jest żywa i musi karmić się krwią, nie przetrwa zatem dwunastu, czy nawet więcej, lat wśród martwych tkanek papieru.

Kapitan nie chciał słuchać głosu rozsądku i piękna biblioteczka ojca Kacpra została uniesiona przez morskie prądy. To nie wszystko – chociaż bowiem ojciec Kacper trudził się, by wyjaśnić, że dżuma może być przenoszona przez psy i muchy, o ile jednak wie, z pewnością nie przez myszy, cała załoga zaczęła polowanie na te gryzonie, strzelając gdzie popadnie i nie zważając na ryzyko przedziurawienia ładowni. A wreszcie, ponieważ następnego dnia gorączka nie opuściła ojca Kacpra i nic nie wskazywało na to, żeby wrzód zamierzał się zmniejszyć, kapitan podjął decyzję: wszyscy przeniosą się na Wyspę i będą czekać, aż ksiądz umrze albo powróci do zdrowia, a statek oczyści się z wszystkich złośliwych influksów i fluksów.

Jak postanowiono, tak zrobiono. Kto żyw wsiadł do załadowanej bronią i sprzętem szalupy. A ponieważ przewidywano, że od śmierci ojca Kacpra

do momentu oczyszczenia statku muszą minąć dwa, może nawet trzy miesiące, uznano, że trzeba zbudować na brzegu szałasy, i w rezultacie wszystko, co na „Dafne” mogło posłużyć do urządzenia warsztatu, zostało zabrane na Wyspę.

Nie mówiąc nawet o większości baryłek z okowitą.

– Źle jednak uczynili – skomentował ten fakt ksiądz Kacper. Mówił z goryczą i przykrością, gdyż niebo zesłało na nich karę za to, że zostawili go na zgubę.

Zaraz po przybiciu do brzegu wyprawili się na polowanie, a potem rozpalili na plaży ogromne ogniska i ucztowali trzy dni i trzy noce.

Prawdopodobnie ogniska przyciągnęły uwagę dzikusów. Chociaż Wyspa była bezludna, na archipelagu żyli ludzie czarni niczym Afrykańczycy i zapewne sprawni żeglarze. Pewnego ranka ojciec Kacper zobaczył, jak zza wielkiej wyspy na zachodzie wyłania się znienacka z dziesięć *piragve*, które płyną w stronę zatoki. Były to łodzie wydrążone z jednego pnia, jak u Indian Nowego Świata, tyle że podwójnie: w jednej części przebywała załoga, a druga ślizgała się po wodzie niby sanie.

Ojciec Kacper obawiał się na początku, że ruszą ku „Dafne”, ale tamci woleli trzymać się z daleka od statku i skierować w stronę miejsca, gdzie przybili do brzegu marynarze. Krzyczał, żeby ostrzec tamtych na Wyspie, jednak spali upojeni okowitą. Jednym słowem, zobaczyli tubylców dopiero, kiedy ci wyłonili się spomiędzy drzew.

Zerwali się na równe nogi, krajowcy bowiem okazywali zamiary wojownicze, lecz nikt nie wiedział w gruncie rzeczy, co się dzieje i gdzie porzucono broń. Tylko kapitan zrobił krok do przodu i zastrzelił jednego z napastników z pistoletu. Kiedy krajowcy usłyszeli strzał i zobaczyli, że ich pobratymiec pada, choć nic go nie tknęło, chcieli się poddać i jeden podszedł do kapitana, by ofiarować mu własny naszyjnik. Kapitan skłonił się, po czym, najwyraźniej szukając jakiegoś przedmiotu, który mógłby ofiarować w zamian, odwrócił się i powiedział coś do swoich ludzi.

Pokazał tym samym plecy krajowcom.

Ojciec Wanderdrossel pomyślał, że zanim padł strzał, na dzikich wywarła wrażenie postawa kapitana, który był batawskim olbrzymem o jasnej brodzie i błękitnych oczach, te bowiem cechy przypisywali zapewne swoim bogom. Kiedy tylko jednak zobaczyli jego plecy (oczywiste jest bowiem, że te dzikie ludy nie dopuszczały myśli, by istota boska mogła mieć plecy), wódz tubylców rozłupał mu czaszkę maczugą, którą trzymał w ręku. Kapitan padł bez życia. Czarni rzucili się do ataku i wymordowali marynarzy, którzy nie wiedzieli nawet, jak się bronić.

Zaczęła się trwająca trzy dni straszliwa uczta. Chory ojciec Kacper przyglądał się wszystkiemu przez lunetę, ale był bezsilny. Zobaczył istną rzeźnię: tubylcy najpierw zdarli z trupów odzienie (wśród okrzyków radości dzieląc się ubraniami i różnymi przedmiotami), potem poćwiartowali zwłoki, upiekli je, a wreszcie najspokojniej w świecie przystąpili do jedzenia, popijając jadło jakimś parującym napojem i śpiewając pieśni, które mogłyby się wydać pokojowe, gdyby przedtem nie doszło do tego nikczemnego widowiska.

Nasyciwszy się, zaczęli pokazywać sobie palcami statek. Prawdopodobnie nie kojarzyli go z obecnością marynarzy. Majestatyczność masztów i ożaglowania, tak nieporównywalna z ich czółnami, kazała im pewnie uznać, że nie może to być dzieło rąk ludzkich. Zdaniem ojca Kacpra (który uważał, że zna całkiem nieźle umysłowość bałwochwalców z całego świata, opowiadali bowiem o nich powracający do Rzymu jezuici) uznali statek za zwierzę, a fakt, iż zachował obojętność, kiedy oni oddawali się swoim antropofagicznym rytuałom, utwierdził ich w tym mniemaniu. Z drugiej strony już Magellan – zapewniał ojciec Kacper – opowiadał, że niektórzy tubylcy uważali, iż statki przyleciały z nieba i były naturalnymi matkami szalup, które karmiły, pozwalając zwieszać się im ze swych burt, by potem odstawić je od piersi i rzucić na wodę.

Teraz jednak któryś z nich sugerował pewnie, że jeśli zwierzę jest łagodne, a jego mięso soczyste jak mięso marynarzy, warto nim zawładnąć. Popłynęli więc w stronę „Dafne”. W tym momencie pokojowo nastawiony jezuita, chcąc utrzymać ich z daleka (zakon nakazywał mu żyć *ad maiorem*

Dei gloriam, nie zaś umierać dla ukontentowania pogaństwa *cuius Deus venter est*), podpalił lont armaty, naładowanej i wymierzonej w stronę Wyspy, i oddał strzał. Rozległ się huk, z boku „Dafne” wykwitł obłok dymu, jakby zwierzę prychnęło gniewnie, i kula wpadła między łodzie, dwie z nich niszcząc.

Ten cud okazał się bardzo wymowny. Dzicy zawrócili na Wyspę i zniknęli w zaroślach, by wkrótce wyłonić się stamtąd z uplecionymi z kwiatów i liści wieńcami, które cisnęli do wody, kłaniając się z wielkim szacunkiem, potem wzięli kurs na południowy zachód i zniknęli za wyspą zachodnią.

Złożyli wielkiemu, rozgniewanemu zwierzęciu wystarczającą – ich zdaniem – daninę i z pewnością nie pokażą się więcej w tych stronach, doszli bowiem do wniosku, że okolica jest we władaniu drażliwej i mściwej istoty.

Taka była historia ojca Kacpra Wanderdrossla. Ponad tydzień przed przybyciem Roberta czuł się jeszcze źle, ale dzięki wynalezionym przez siebie preparatom (*Spiritus, Olea, Flores und andere dergleichen vegatabilische, animalische und mineralische Medicamenten*) był już rekonwalescentem, kiedy pewnej nocy usłyszał na pokładzie czyjeś kroki.

Ze strachu znowu się rozchorował, opuścił swoją kabinę i schronił się w tej klitce, zabierając ze sobą medykamenty i pistolet, przy czym nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że broń nie jest naładowana. Wychodził tylko po jedzenie i wodę. Najpierw ukradł jaja, żeby nabrać sił, potem zadowalał się wykradaniem owoców. Przekonał się, że Intruz (w opowieści ojca Kacpra był nim oczywiście Robert) jest człowiekiem uczonym, zainteresowanym statkiem i jego ładunkiem, i doszedł do wniosku, że nie chodzi o rozbitka, ale o agenta jakiegoś heretyckiego kraju, pożądającego tajemnic Strażnicy Maltańskiej. Dlatego to zacny ksiądz zachowywał się w sposób tak dziecinny: chciał skłonić Roberta do opuszczenia owładniętego przez demony statku.

Potem przyszła kolej na Roberta, który winien opowiedzieć swoje dzieje, nie wiedząc jednak, ile Kacper wyczytał z jego papierów, zatrzymał się przede wszystkim na zadaniu i rejsie. Opowiadał pod koniec owego dnia, kiedy ugotowali sobie kogucika i odkorkowali ostatnią z kapitańskich butelek. Ojciec Kacper odzyskał siły i w jego żyły napłynęła nowa krew, czcili więc to, co w tej chwili każdemu z nich wydawało się powrotem do społeczności ludzkiej.

– To śmieszne! – skomentował ojciec Kacper niewiarygodną historię doktora Byrda. – Jeszcze nigdy nie spotkałem się z takim okrucieństwem. Czemu zadawali mu taki ból? Wszystkie słyszeć musiały o długości geograficznej tajemnicy, ale nigdy żeby szukać, *unguentum armarium* używając! Gdyby to było możliwe, wymyśliłby jezuita. Nie ma to nic do rzeczy z długościami, wyjaśnię ci, jak dobra była moja praca, i sam zobaczysz, że to inaczej...

– W końcu jednak – spytał Robert – szukałeś Wysp Salomona czy próbowałeś rozwiązać problem długości?

– I to, i to, prawda? Znajdziesz Wyspy Salomona i wiesz, gdzie jest sto osiemdziesiąty południk, znajdziesz sto osiemdziesiąty południk i wiesz, gdzie są Wyspy Salomona!

– Ale dlaczego Wyspy mają być właśnie na tym południku?

– Och, *mein Gott*, oby Pan wybaczył mi, że używam Jego Najświętszego Imienia nadaremno. Najpierw, kiedy Salomon świątynię już budował, zbudował też *grosse Flotte*, jak powiada Księga Królewska, i *Flotte* ta dotarła do Wyspy Ofiar, skąd dostarczono mu (jak powiadają Włosi?)... *quadringenti und viginti*...

– *Quattrocentoventi*.

– Czterysta dwadzieścia talentów złota, bardzo wielkie bogactwo. Biblia mówi mało, aby powiedzieć dużo, jak by powiedzieć, *pars pro toto*. A żaden kraj blisko Izraela nie miał bogactwa wielkiego tak, *quod significat*, że ta flota do granic ostatnich świata dotarła. Tutaj.

– Dlaczego tutaj?

– Bo tu jest południk sto i osiemdziesiąty, to jest południk Ziemi na dwie części podzielonej, a po drugiej stronie jest południk pierwszy. Liczysz jeden, dwa, trzy, trzysta sześćdziesiąt stopni południkami, a kiedy jesteś przy sto i osiemdziesiątym, tu masz północ, a na pierwszym południe. *Verstanden?* Odgadujesz, dlaczego tak nazwali Wyspy Salomona? Salomon *dixit*: przetnij dziecko na pół, Salomon *dixit*: przetnij Ziemię na pół.

– Pojąłem, że jeśli jesteśmy na sto osiemdziesiątym południku, jesteśmy na Wyspach Salomona. Kto jednak powiedział, że jesteśmy na sto osiemdziesiątym południku?

– Strażnica Maltańska, nie? Gdyby wszystkich moich poprzednich dowodów było za mało, że sto osiemdziesiąty południk przechodzi tutaj, ujawniła mi Strażnica. – Wyciągnął Roberta na pokład i pokazał mu zatokę. – Widzisz to *promontorium* na północy, gdzie wielkie drzewa stoją i do wody wielkie łapy sięgają? A teraz widzisz drugie *promontorium* na południu? Linię łączącą dwa *promontoria* zrób, widzisz, że linia przechodzi między nimi a brzegiem, trochę bardziej *apud* brzegu niż *apud* statku... Widzisz linię, ja mówię *geistige* linię, którą widzisz oczyma wyobraźni? *Gut*, to linia południka!

Następnego dnia ojciec Kacper, który nie zapomniał o kompucie dni, oświadczył, że jest niedziela. Odprawił w swojej kabinie mszę, konsekrując okruch jednej z niewielu hostii, jakie mu zostały. Potem podjął na nowo swój wykład, najpierw w kabinie z globusem i mapami, potem na pokładzie. A kiedy Robert zaczął się skarżyć, mówiąc, że nie może znieść pełnego światła – wydobył z szafy okulary, ale z zadymionymi szkłami, których z powodzeniem używał przy oglądaniu otchłani wulkanu. Robert zobaczył po raz pierwszy świat w kolorach delikatniejszych, w gruncie rzeczy powabnych, i stopniowo zaczął przyzwyczajać się do światła dziennego.

Aby można było zrozumieć to, co miało nastąpić, muszę dodać glosę, jeślibym bowiem tego nie uczynił, sam bym się w tym nie rozeznał. Ojciec

Kacper był przekonany, że „Dafne” znajduje się między szesnastym a siedemnastym stopniem szerokości południowej i na sto osiemdziesiątym stopniu długości. Jeśli chodzi o szerokość, możemy mu w pełni zaufać. Wyobraźmy sobie jednak, że trafił też z długością. Z niejasnych notatek Roberta można przypuścić, że ksiądz liczył trzysta sześćdziesiąt stopni, wychodząc od Wyspy Żelaza, która znajduje się osiemnaście stopni na zachód od Greenwich, jak chce tradycja sięgająca czasów Ptolemeusza. Jeśli więc uznawał, że przebywa na południku sto osiemdziesiątym, oznacza to, że w istocie był na sto pięćdziesiątym drugim na wschód od Greenwich. Wyspy Salomona zaś położone są w okolicy sto sześćdziesiątego południka wschodniego, ale między piątym a dwunastym stopniem szerokości południowej. A tym samym „Dafne” zawędrowała zbyt nisko na zachód od Nowych Hybryd, w strefę, gdzie spotyka się tylko rafy koralowe, które miały przybrać nazwę Recifs d’Entrecasteaux.

Czy mogło się zdarzyć, że ojciec Kacper liczył od innego południka? Z pewnością. Jak powie pod koniec wieku Coronelli w *Libro dei Globi*, jako pierwszy południk przyjmowali „Heratostenes Słupy Heraklesa, Marcin z Tyru Wyspy Szczęśliwe, Ptolemeusz w *Geografii* trzymał się tego samego poglądu, ale w *Księgach astronomicznych* przeniósł go do egipskiej Aleksandrii. Pośród nowożytnych Ismael Abulfeda wskazuje Kadyks, Alfons – Toledo, Pigafetta i Herrera tak samo, Kopernik prowadzi go przez Frombork, Reinhold przez Monte Reale albo Królewiec, Kepler przez Oranienburg, Longomontanus przez Kopenhagę, Lansbergius przez Goes, Riccioli przez Bolonię. W atlasach Janszoona i Blawiusza przechodzi przez Monte Picco. Pragnąc postępować w zgodzie z porządkiem mej *Geografii*, umieściłem na tym Globie Pierwszy Południk w najbardziej zachodniej części Wyspy Żelaza, idąc poza tym za dekretem Ludwika XIII, który ze swą Radą Geogr. ustanowił go w 1634 roku w tymże miejscu”.

Jeśli jednak ojciec Kacper postanowił nie zważać na dekret Ludwika XIII i umieścił swój pierwszy południk, powiedzmy, w Bolonii, wówczas „Dafne” stałaby na kotwicy mniej więcej między Samoa a Tahiti. Tam jednak tubylcy nie mają ciemnej skóry jak ci, których widział.

Z jakiego powodu należałoby uznać za dobrą tradycję Wyspy Żelaza? Trzeba wyjść od zasady, że ksiądz Kacper mówi o Pierwszym Południku jako o niezmiennej linii, ustalonej boskim dekretem w dniu stworzenia. Którędy poprowadziłby go sam Stwórca? Przez to miejsce o niepewnej lokalizacji, choć z pewnością leżące na Wschodzie, jakim był Eden? Przez Ultima Thule? Przez Jerozolimę? Nikt dotychczas nie odważył się podjąć teologicznej decyzji, i słusznie. Bóg rozumuje inaczej niż ludzie. Wystarczy przypomnieć, że Adam pojawił się na ziemi, kiedy było już Słońce, Księżyc, dzień i noc, a więc także południki.

Tak zatem rozwiązanie trzeba podać nie w terminach Historii, lecz Świętej Astronomii. Trzeba doprowadzić do zgodności danych biblijnych z naszą wiedzą o prawach rządzących niebem. Chodzi o to, że według Księgi Rodzaju Bóg stworzył przede wszystkim niebo i ziemię. W tym momencie nad otchłanią była jeszcze ciemność, a *spiritus Dei fovebat aquas*, lecz nie mogło chodzić o wody, które my znamy, te bowiem podzielił Bóg drugiego dnia, odgraniczając wody ponad firmamentem (z którego nadal padają nam na głowy deszcze) od wód poniżej firmamentu, to jest rzek i mórz.

Oznacza to, że pierwszym skutkiem dzieła stworzenia była Materia Pierwsza, niekształtna i pozbawiona wymiarów, jakości, właściwości, skłonności, a także ruchu i spoczynku, czysty pierwotny chaos, *hyle*, niebędący na razie ni światłem, ni ciemnością. Była to jakaś źle przetrawiona masa, w której cztery żywioły pozostawały przemieszane, podobnie jak zimno i ciepło, suchość i wilgotność, wrząca magma, wybuchająca kropelkami żaru jak rondel z fasolą, jak brzuch udręczony biegunką, jak zatkana rura, jak staw, na którym wskutek nagłego wynurzenia się i zanurzenia ślepych larw powstają i znikają kręgi wodne. Do tego stopnia, że heretycy dedukują stąd, iż owa materia, tak tępa i oporna wobec wszelkiego twórczego tchnienia, jest co najmniej równie wieczna jak Bóg.

Niezbędne było jednak boskie tchnienie, by z niej, w niej i na niej odcisnęło się na przemian następstwo światła i mroku, dnia i nocy. To

światło (i ten dzień), o którym wspomina się przy drugim etapie stwarzania, nie było jeszcze światłem, jakie znamy, światłem gwiazd i dwóch wielkich ciał, te bowiem zostały stworzone dopiero czwartego dnia. Było to światło stwórcze, boska energia w stanie czystym, jak eksplozja baryłki z prochem, który najpierw jest tylko czarnymi granulkami zamkniętymi w nieprzezroczystej masie, a potem nagle obłokiem żaru, skoncentrowanym blaskiem, rozprzestrzeniającym się po najdalsze swe peryferie. Potem stwarzają się na mocy opozycji ciemności (nawet jeśli u nas wybuch zdarzyłby się w ciągu dnia). To tak, jakby ze wstrzymywanego oddechu, z węgla zdającego się jarzyć wewnętrznym tchem, z tej *goldene Quelle des Universums*, zrodziła się skala doskonałości, degradująca się stopniowo ku najbardziej nieodwracalnej z niedoskonałości; jakby stwórcze tchnienie dobyło się z nieskończonej i skoncentrowanej mocy świetlnej Bóstwa, tak rozpalonej, że jawi się naszym oczom jako ciemna noc, i obniżało się poprzez względną doskonałość Cherubinów i Serafinów, poprzez Trony i Terytoria aż ku najdrobniejszemu z okruchów, gdzie pełza dżdżownica i trwa nieczuły kamień, ku samej granicy Nicości. „I to był *Offenbarung göttlicher Mayestät*!”

A jeśli trzeciego dnia rodzą się już zielska, drzewa i łąki, to dlatego, że Biblia nie mówi jeszcze o krajobrazie radującym nasze oczy, ale o mrocznej sile wegetatywnej, o łączeniu się nasienia, o drganiu cierpiących i poskręcanych korzeni, które szukają słońca, choć trzeciego dnia jeszcze się ono nie pojawiło.

Życie wyłania się czwartego dnia, kiedy stworzone zostały i Księżyc, i Słońce, i gwiazdy, by dać światło Ziemi i oddzielić dzień od nocy w tym sensie, w jakim my to rozumiemy, obliczając bieg czasu. Tego dnia nastąpiło uładzenie nieboskłonów, od Pierwszego Kręgu i Gwiazd Stałych po Księżyc, z Ziemią pośrodku, twardym kamieniem, ledwie oświetlonym promieniami ciał niebieskich; wokół zaś girlanda cennych kamieni.

Ustanawiając nasz dzień i naszą noc, Słońce i Księżyc stały się pierwszym i niedościgłym modelem wszystkich przyszłych zegarów, wskazując, jako małpy firmamentu, człowieczy czas na zodiakalnym

kwadrancie, ów czas, który nie ma nic wspólnego z czasem kosmicznym, jest bowiem ukierunkowanym niespokojnym dyszeniem, złożonym z wczoraj, dziś i jutra, nie zaś spokojnym oddechem Wieczności.

– Zatrzymajmy się więc przy czwartym dniu – mówił ksiądz Kacper. – Bóg stwarza Słońce, kiedy zaś Słońce jest już stworzone – nie wcześniej, to zrozumiałe – zaczyna się poruszać. Otóż w momencie, kiedy Słońce zaczyna swój bieg, by nigdy go nie przerwać, w tym *Blitz*, w tym błysku przed pierwszym krokiem, wznosiło się nad linią dzielącą pionowo Ziemię na dwie części.

– Pierwszym Południkiem jest ten, nad którym nagle zrobiło się południe! – skomentował Robert, któremu zdawało się, że wszystko zrozumiał.

– *Nein!* – skarcił go nauczyciel. – Mniemasz, że Bóg jest taki głupi jak ty? Jakże pierwszy dzień stworzenia od południa mógł się zacząć? Może ty zacząłbyś stworzenie od nieudanego dnia, od *Leibesfrucht*, embrionu dnia słonecznego dwunastogodzinnego?

Nie, z pewnością nie. Na Pierwszym Południku bieg Słońca winien rozpocząć się przy blasku gwiazd, o północy plus odrobinka, pierwej zaś był Nie-Czas. Na tym południku miał początek – nocą! – pierwszy dzień stwarzania.

Robert sprzeciwił się, mówiąc, że skoro na tym południku była noc, poroniony dzień pojawił się po drugiej stronie, tam gdzie nagle rozbłysło Słońce, choć przedtem nie było ni nocy, ni niczego, lecz tylko mroczny chaos poza czasem. Ojciec Kacper odparł, że Święta Księga nie mówi nam, iż Słońce ukazało się jak na skinienie różdżki czarodziejskiej, i że nie budzi zgoła jego niechęci myśl (jaką narzuca wszelka logika naturalna i boska), iż Bóg je stworzył i kazał mu podążać po niebie jako zgasłej przez pierwsze godziny gwieździe, która rozpalała się stopniowo na szlaku między Pierwszym Południkiem a jego Antypodami. Może rozżarzało się powoli, stopniowo, jak świeże drewno, na które pada pierwsza iskierka krzesiwa; najpierw ledwie się dymi, a potem, wspomożone tchnieniem, zaczyna trzeszczeć, by w końcu ulec i rozgorzeć wysokim i żwawym płomieniem.

Być może nie jest rzeczą piękną wyobrażać sobie, jak to Ojciec Uniwersum dmucha w tę niedojrzałą jeszcze kulę, by zmusić ją do celebrowania Jego tryumfu dwanaście godzin po narodzinach Czasu, i to na Południku Antypodycznym, na którym oni dwaj znaleźli się w tym momencie.

Pozostawało określić, gdzie jest Pierwszy Południk. Ojciec Kacper uznawał, iż nadal najlepszym kandydatem jest ten przechodzący przez Wyspę Żelaza, jako że – Robert wiedział już to od doktora Byrda – tam igła kompasu nie odchyla się, lecz układa wzdłuż linii bliziutkiej Biegunowi, gdzie znajdują się najwyższe żelazne góry. A to jest z pewnością znak stabilności.

Podsumowując: jeślibyśmy zgodzili się, że ojciec Kacper wychodził od tego południka i trafnie obliczył długość geograficzną, wystarczyłoby przyjąć, iż kreśląc poprawnie szlak jako nawigator, poniósł klęskę jako geograf, gdyż „Dafne” znalazła się nie wśród Wysp Salomona, ale gdzieś na zachód od Nowych Hybryd, amen. Jednak najmniejszej przyjemności nie sprawi mi opowiadanie historii, która, jak zobaczymy, musi dziać się na sto osiemdziesiątym południku – inaczej traci wszelki smaczek – jeśli pogodzę się z tym, iż rozegra się na nie wiadomo ilu stopniach w tę albo tamtą stronę.

Spróbuję więc wysunąć hipotezę, która będzie dla każdego czytelnika wyzwaniem, by rzucił wyzwanie. Ksiądz Kacper pomylił się mianowicie tak dalece, że nie wiedząc o tym, znalazł się na naszym sto osiemdziesiątym południku, to znaczy licząc od tego, który przechodzi przez Greenwich – ostatni punkt narodzin świata, jaki mógłby przyjść mu do głowy, jest to bowiem terytorium schizmatycznych antypapistów.

W takim wypadku „Dafne” stałaby przy wyspach Fidżi (tam krajowcy mają właśnie bardzo ciemną skórę), dokładnie w miejscu, gdzie przebiega dzisiaj nasz sto osiemdziesiąty południk, to znaczy nieopodal wyspy Taveuni.

Rachunki częściowo by się zgodziły. Sylwetka Taveuni ujawnia wulkaniczny łańcuch górski, tak samo jak wielka wyspa, którą Robert widział na zachodzie. Bieda w tym, że ojciec Kacper powiedział Robertowi,

iż feralny południk przechodzi tuż przy zatoce Wyspy. Otóż skoro mamy południk na wschodzie, także Taveuni widzimy na wschodzie, a nie na zachodzie; skoro jednak widzimy na zachodzie wyspę, która zdaje się odpowiadać opisowi podanemu przez Roberta, wówczas mamy na wschodzie wysepki mniejsze (ja wybrałbym Qameę), co oznaczałoby, że południk przechodzi za plecami tego, kto patrzy na Wyspę z naszej opowieści.

Prawda jest taka, że dysponując danymi, jakie przekazał nam Robert, nie da się wyjaśnić, gdzie było miejsce postoju „Dafne". A zresztą wszystkie te wysepki są jak Japończycy dla Europejczyków i *vice versa*: nie różnią się jedna od drugiej. Po prostu była to z mojej strony próba. Chętnie odbyłbym kiedyś rejs śladami Roberta. Ale moja geografia to jedno, a jego historia – drugie.

Możemy się pocieszać tym tylko, że wszystkie te zawiłe rozważania nie wnoszą absolutnie nic z punktu widzenia naszej niezbyt wyraziście rysującej się powieści. W każdym razie ojciec Wanderdrossel mówi Robertowi, że są na sto osiemdziesiątym południku, czyli na antypodach Antypodów, a tam, na owym sto osiemdziesiątym południku, leżą nie nasze Wyspy Salomona, ale jego Wyspa Salomona. Co za znaczenie ma zresztą to, czy ona tam jest, czy nie? Ma to być przecież opowieść o dwóch ludziach, którzy są przekonani, że tam właśnie się znaleźli, nie zaś o takich, którzy się tam znaleźli, a kiedy słucha się opowieści – to dogmat nawet dla największych w tym względzie liberałów – trzeba wyrzec się niedowierzania.

Dlatego: „Dafne" miała przed sobą sto osiemdziesiąty południk, dokładnie Wyspy Salomona, a nasza Wyspa była – z Wysp Salomona – najbardziej salomonowa, jak salomonowy jest mój wyrok, to jest przecięcie raz na zawsze tej kwestii.

– I co z tego? – spytał Robert po zakończeniu wyjaśnień. – Naprawdę myślisz, że znajdziesz na tej wyspie wszystkie bogactwa, o których mówił Mendaña?

– Ależ to *Lügen der spanischen* monarchy! Mamy przed sobą największy cud w całej ludzkiej i świętej historii, którego ty jeszcze pojąć nie możesz! W Paryżu zerkałeś na damy i szedłeś za *ratio studiorum* epikurejczyków, miast zastanawiać się nad wielkimi cudownościami naszego Uniwersum, niechaj najświętsze imię jego Stwórcy zawsze chwalone będzie!

Widzimy więc, że racje, które skłoniły ojca Kacpra do wyruszenia na morze, niewiele miały wspólnego z łupieżczymi zamysłami żeglarzy z innych krajów. Wszystko wzięło się stąd, że ojciec Kacper pisał monumentalne dzieło o Potopie Powszechnym, które miało być trwalsze od spiżu.

Jak przystało duchownemu, zamierzał pokazać, że Biblia nie kłamie, ale jak przystało człowiekowi nauki, chciał pogodzić święte dane z tym, co osiągnęła w jego czasach nauka. Dlatego zbierał kopaliny, badał obszary wschodnie, by znaleźć coś na szczycie góry Ararat, i prowadził ścisłe obliczenia wymiarów arki, aby mogła pomieścić takie mnóstwo zwierząt (a zważmy, że chodziło o siedem okazów każdego z nich) i jednocześnie miała właściwe proporcje, jeśli chodzi o część wynurzoną i zanurzoną, i nie poszła na dno pod tym ciężarem ani nie wywróciły jej fale, których w czasie potopu nie można uznać za pozbawione znaczenia.

Sporządził szkic, by pokazać Robertowi przestrzenny plan arki, ogromnego prostokątnego gmachu o sześciu poziomach: ptaki na górze, aby miały światło słoneczne, ssaki za ogrodzeniami, w których mogły przebywać nie tylko koty, ale i słonie, płazy w jakby zęzie, gdzie znalazłyby sobie miejsce w wodzie także zwierzęta ziemno-wodne. Nie przewidziano miejsca dla gigantów i dlatego ten gatunek wymarł. Noe nie miał na szczęście kłopotu z rybami, jedynymi zwierzętami, które nie musiały lękać się potopu.

Jednak, badając zagadnienie potopu, ojciec Kacper musiał rozwiązać z pozoru nierozwiązywalny problem *physicus-hydrodynamicus*. Bóg, jak powiada Biblia, zechciał sprawić, że deszcz padał na ziemię przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy i wody podniosły się tak, iż zakryły

najwyższe góry, a nawet ich poziom ustalił się piętnaście łokci powyżej najwynioślejszego z wierzchołków i ziemia pozostawała przykryta wodami przez sto pięćdziesiąt dni. No dobrze.

– Czy jednak deszcz zbierać próbowałeś? Pada dzień cały, a ty go ledwie na dnie beczki zebrałeś! Po tygodniu z trudem beczkę napełni! A wyobraź sobie *ungeheuere* deszcz, że wytrwać pod nim nie możemy, że całe niebo na twoją biedną głowę się wali, deszcz gorszy niż sztorm, przez który rozbitkiem zostałeś... W czterdzieści dni *ist das unmöglich*, niemożliwe, napełnić ziemię po najwyższe szczyty!

– Chcesz powiedzieć, że Biblia kłamie?

– *Nein!* Z pewnością nie! Muszę jednak wskazać, skąd Bóg całą tę wodę wziął, bo niemożliwe, by spuścił ją wszystką z nieba! Za mało!

– No i?

– No i *dumm bin ich nicht*, głupcem nie jestem ja! Ojciec Kacper rzecz jedną wymyślił, która przez żadną istotę ludzką przedtem wymyślona nie była. *In primis*, przeczytałeś uważnie Biblię, gdzie mówi się, że Bóg, owszem, otworzył wszystkie upusty niebieskie, ale także przerwał wszystkie *Quellen*, *Fontes Abyssy Magnae*, wszystkie źródła głębiny wielkiej. Księga Rodzaju siedem jedenaście. Kiedy zaś potop skończony był, zawarł źródła głębiny. Księga Rodzaju osiem dwa! Czym są owe źródła głębiny?

– Czym są?

– To wody, które w największych głębiach mórz się znajdują! Bóg nie tylko deszczu użył, ale wód z największych morskich głębin też, i wylał je na ziemię! A skąd je wziął, skoro bowiem góry najwyższe na świecie są koło Pierwszego Południka, między Jeruzalem a Wyspą Żelazną, z pewnością największe głębiny morskie tu być muszą, na Antypołudniku, a to ze względu na symetrię.

– Dobrze, ale wody ze wszystkich mórz świata nie wystarczą, by pokryć góry, inaczej byłoby tak zawsze. A skoro Bóg rozlał wody mórz po ziemi, zakrył ziemię, lecz opróżnił morze, które stało się wielką pustą dziurą, i Noe wpadł w nią razem z całą arką...

– Bardzo słuszna uwaga. Gdybyż to tylko! Gdyby Bóg wziął całą wodę z Ziemi Nieznanej i wylał na Ziemię Znaną, pozbawiając wody tę hemisferę, zmieniłaby ziemia swoje *Zentrum Gravitatis* i wywracała się cała, a może pędziła w niebo jak piłka, którą kopnąłeś.

– No więc?

– No więc spróbuj pomyśleć, co byś uczynił, gdybyś był Bóg.

Roberta pochłonęła już ta gra.

– Gdybym był Bóg – rzekł, gdyż przyjmuję, że nie umiał już budować zdań, jak Bóg Włochów przykazał – stworzyłbym nową wodę.

– Ty, ale Bóg nie. Bóg może wodę *ex nihilo* stworzyć, ale co uczyni z nią po potopie?

– No więc Bóg na początku czasu umieścił wielki zapas wody pod głębinami, ukrył ją w środku ziemi i wydobył przy tej sposobności tylko na czterdzieści dni, trysnęła jakby z wulkanów. Z pewnością to właśnie powiada Biblia, kiedy czytamy, że przerwały się wszelkie źródła głębiny.

– Tak sądzisz? Ale z wulkanów tryska przecież ogień. Całe *Zentrum* ziemi, owo serce *Mundus Subterraneus* jest jedną ognia masą! Skoro w *Zentrum* ogień jest, nie może w nim woda być! Gdyby woda tam była, wulkany fontannami byłyby – zakończył.

Robert nie dawał za wygraną.

– Gdybym więc był Bóg, wziąłbym wodę z innego świata, jako że jest ich nieskończenie wiele, i wylałbym ją na Ziemię.

– Słuchałeś w Paryżu tych ateuszy, co o nieskończonej wielości światów gadają. Ale Bóg jednego świata stworzył i ten starczy dla Jego chwały. Nie, myśl lepiej, jeśli nieskończoności światów nie masz ani czasu, by je akurat na potop stworzyć i cisnąć potem w Nicość, co zrobisz?

– W takim razie nie mam pojęcia.

– Bo mało myślenia masz.

– Niech będzie, że mam mało myślenia.

– O tak, bardzo mało. Pomyśl teraz. Jeśli Bóg wodę wziąć potrzebuje, co była wczoraj na całej ziemi, i mieć ją dzisiaj, a jutro całą wodę potrzebuje,

co jest dziś, a jej już podwójna ilość jest, i mieć ją na pojutrze, i tak *ad infinitum*, może nastanie dzień, w którym całą naszą kulę napełnić zdoła i nawet wszystkie góry zakryć?

– Nie jestem biegły w rachunkach, ale powiedziałbym, że do pewnego stopnia i owszem.

– *Ja!* W czterdzieści dni napełni On ziemię czterdzieści razy ilością wody, jaka jest w morzach, a jeśli weźmiesz czterdzieści razy głębokość mórz, z pewnością góry przykryjesz. Głębiny są dużo głębsze i tak głębokie, jak góry wysokie są!

– Skąd jednak brał Bóg wczorajszą wodę, skoro wczoraj minęło?

– Przecież stąd! Słucha teraz. Pomyśl, że byłbyś na Pierwszym Południku. Możesz?

– Ja tak.

– Teraz pomyśl, że południe jest, i powiedzmy, południe Wielkiego Czwartku. Jaką godzinę w Jeruzalem mamy?

– Wedle tego wszystkiego, czego dowiedzieliśmy się o biegu Słońca i o południkach, w Jerozolimie Słońce jakiś już czas temu minęło południk i mamy późne popołudnie. Widzę, dokąd zmierzasz. No dobrze, na Pierwszym Południku jest południe, a na południku Sto i Osiemdziesiątym jest północ, bo Słońce przeszło tamtędy przed dwunastu godzinami.

– *Gut*. Tu jest więc północ, koniec Wielkiego Czwartku. Co dzieje się tu zaraz potem?

– Nadchodzą pierwsze chwile Wielkiego Piątku.

– Na pewno nie na Pierwszym Południku?

– Nie, tam jest jeszcze południe czwartkowe.

– *Wunderbar*. No więc tutaj jest już piątek, a tam jeszcze czwartek, nie? Ale kiedy tam piątek nastaje, tutaj już sobota jest. I tak Pan nasz tutaj z martwych powstał, kiedy tam jeszcze w grobie jest!

– Tak, no dobrze, ale nie pojmuję...

– Zaraz pojmiesz. Kiedy tu jest północ i jedna minuta, a nawet maleńki kawałek minuty, powiadasz, że tu już piątek jest?

– Oczywiście!

– Pomyśl jednak, że w tym samym czasie byłbyś nie na okręcie, ale na Wyspie, którą widzisz na wschodzie, po drugiej stronie linii południka. Może powiesz, że tam też piątek jest?

– Nie, tam jest jeszcze czwartek. Północ minus minuta, minus chwilka, ale czwartek.

– *Gut!* W tej samej chwili tu piątek, tam czwartek!

– Niechybnie i... – Robert przerwał, bo uderzyła go pewna myśl. – I nie tylko! Powiadasz mi, że gdybym dokładnie o północy stanął na linii południka i spojrzał na zachód, ujrzałbym północ piątkową, a na wschód – północ czwartkową. Na Boga żywego!

– Nie mów na Boga żywego, *bitte*!

– Wybacz, ojcze, ale to cudowne!

– A zatem w obliczu cudu imienia Boga nadaremno nie używaj! Powiedz raczej *sacrobosco*. Ale największy cud jest ten, że nie ma w tym żadnego cudu! Wszystko zostało przewidziane *ab initio*! Skoro Słońce potrzebuje dwudziestu czterech godzin na to, by obiec Ziemię, na zachodzie od Sto Osiemdziesiątego Południka nowy dzień się zaczyna, a na wschodzie dzień poprzedni jeszcze mamy. Piątkowa północ na okręcie czwartkową północą na Wyspie jest. Czy nie wiesz, co marynarzom Magellana się przytrafiło, kiedy skończyli wyprawę dokoła świata, jak powiada Piotr Męczennik? Że po powrocie myśleli, że jest dzień poprzedni, a był następny, do przekonania doszli więc, iż Bóg skarał ich, odbierając jeden dzień, nie przestrzegali bowiem postu w Wielki Piątek. Była to jednak rzecz naturalna, gdyż ku zachodowi żeglowali. Jeśli z Ameriki do Azji podróżujesz, tracisz dzień jeden, jeśli w stronę przeciwną podróżujesz, zyskujesz dzień jeden. Dlatego „Dafne” wybrała drogę azjatycką, a wy, głupcy, drogę przez Amerikę. Jesteś teraz o jeden dzień starszy niż ja! Nie śmieszy cię to?

– Gdybym jednak popłynął na Wyspę, byłbym o dzień młodszy – zauważył Robert.

– To był mój mały *iocus*. Czy jesteś młodszy, czy starszy, jednak znaczenia nie ma dla mnie. Dla mnie ważne jest, że w tym miejscu świata pewna linia jest, że z tej strony dzień następny, z tej zaś poprzedni mamy. I nie tylko o północy, ale też o siódmej, dziesiątej, o każdej godzinie! Bóg zaczerpnął więc z tej głębiny wodę wczorajszą (którą widzisz tam) i wylał ją na świat dzisiejszy, a potem na dzień następny, i tak dalej! Bez żadnego cudu, *naturaliter*! Bóg Naturę przygotował jako Wielkie Horologium! To tak, jakby ja miał horologium wskazujące nie dwanaście godzin, ale dwadzieścia cztery. Na tym horologium porusza się wskazówka czy strzałka ku dwudziestej czwartej i na prawo od dwudziestej czwartej było wczoraj, a na lewo dziś.

– Jak jednak Ziemia wczorajsza mogła pozostawać w swoim miejscu na niebie, nie mając już wody na tej hemisferze? Nie traciła swego *Zentrum Gravitatis*?

– Ty ludzkimi koncepcjami czasu myślisz. Dla nas, ludzi, istnieje wczoraj minione i jutro przyszłe. *Tempus Dei*, *quod dicitur aevum*, zupełnie inny.

Robert rozumował, że skoro Bóg zabierał wodę wczorajszą i wlewał ją w dzień dzisiejszy, być może wczorajsza woda miała jakieś wstrząśnienie w związku z tym przeklętym środkiem ciężkości, dla ludzi nie powinno to być jednak ważne, albowiem w ich wczoraj nie było owego *succusio*, lecz tylko we wczoraj Pana Boga, który oczywiście wie, jak zarządzać rozmaitymi czasami i rozmaitymi historiami, niczym Narrator, co pisze rozmaite powieści, ale wszystkie z tymi samymi postaciami, tyle że odmieniając koleje ich losów. Jakby istniała *Pieśń o Rolandzie*, w której Roland umiera pod sosną, i jakaś inna, w której po śmierci Karola zostaje królem Francji i robi sobie dywan ze skóry Ganelona. Ta myśl, o czym będzie jeszcze mowa, towarzyszyła mu długo, prowadząc do przekonania, że światów może być nie tylko nieskończone mnóstwo w przestrzeni, ale że mogą być także równoległe w czasie. Ale o tym nie chciał rozmawiać z ojcem Kacprem, który za heretycką uważał już myśl o mnogich światach istniejących w tej samej przestrzeni i któż wie, co by powiedział o takiej

dygresji Roberta. Zapytał więc Robert tylko, jak Bóg przemieścił całą tę wodę z wczoraj do dziś.

– Dzięki wybuchom podmorskich wulkanów, *natürlich*! Jak myślisz? Tchną ognistymi wichrami, a co się dzieje, kiedy ogrzewasz z jednej strony rondelek z mlekiem? Mleko rośnie, do góry pełznie, z rondelka kipi, po piecu rozlewa się! Ale wtedy nie było to mleko, *sed aqua* kipiąca! Wielka katastrofa!

– A jak Bóg usunął tę wodę po czterdziestu dniach?

– Skoro przestało padać, pojawiło się słońce i parowała woda stopniowo. Biblia powiada, że pięćdziesięciu pięciu dni trzeba było. Jeśli ty w jeden dzień pierzesz i wysuszysz ubranie, osuszysz ziemię w pięćdziesiąt pięć. A poza tym mnóstwo wody do jezior podziemnych spłynęło, które nadal między powierzchnią a ogniem centralnym są.

– Prawie mnie przekonałeś – powiedział Robert, który przykładał wagę nie tyle do tego, jak przemieszczała się woda, ile do faktu, że znalazł się dwa kroki od wczoraj. – Dowiodłeś jednak tego, przebywając tutaj, a nie mogłeś dowieść przedtem, w świetle rozumu.

– Światło rozumu pozostaw starej teologii. Dzisiaj nauka dowodu z doświadczenia wymaga. A dowód z doświadczenia to ten, że tu jestem. Zresztą nim tu przybyłem, wiele sondowań zrobiłem i wiem, jak głębokie tu morze jest.

Ojciec Kacper przerwał wyjaśnienia geoastronomiczne i zagłębił się w opis potopu. Posługiwał się uczoną łaciną, unosił ramiona, jakby powołując się na zjawiska niebieskie i piekielne, chodząc przy tym wielkimi krokami po pokładzie. W tym właśnie czasie niebo nad zatoką okryło się chmurami i zapowiadało jedną z tych nagłych burz, jakie zdarzają się tylko na morzach tropikalnych. Kiedy otwarły się wszystkie źródła otchłani i upusty niebieskie, jakież *horrendum et formidandum spectaculum* ukazało się oczom Noego i jego rodziny!

Ludzie uciekali najpierw na dachy, ale flukta przybywające z Antypodów zmiatały je z siłą boskiego wichru, który unosił ich i przenosił, wspinali się

na drzewa, te jednak były wyrywane jak gałązki, dostrzegali jeszcze korony starych dębów i czepiali się ich, lecz wiatr targał konarami tak wściekle, że nie byli w stanie się utrzymać. Teraz w morzu pokrywającym góry i doliny unosiły się nabrzmiałe trupy, na których próbowały siadać przerażone ptaki niby na straszliwych gniazdach, ale rychło traciły te ostatnie podpory i także ulegały, wycieńczone, z ciężkimi od wody piórami i bezsilnymi już skrzydłami. *O, horrenda iustitiae divinae spectacula!* – radował się ojciec Kacper. A to przecież nic – zapewniał – w porównaniu z tym, co dane nam będzie ujrzeć w dniu, kiedy Chrystus zstąpi, by sądzić żywych i umarłych...

A na wielką wrzawę natury odpowiadały zwierzęta z arki, wyciu wiatru wtórowały wilki, dla grzmotów kontrapunktem był głos lwa, rozedrganiu błyskawic towarzyszył ryk słoni, psy ujadały, słuchając swych zdychających współplemieńców, owieczki płakały, słuchając dziecięcych szlochów, wrony krakały, słuchając ryku fal, i wszystkie stworzenia ziemne i powietrzne swymi nieszczęsnymi piskami i żałosnymi skowytami włączały się w żałobę, która okryła planetę.

Jednak przy tej właśnie sposobności – zapewniał ojciec Kacper – Noe i jego rodzina odkryli na nowo język, którym Adam przemawiał w Edenie, a którego synowie jego zapomnieli po upadku i który zatracili prawie wszyscy potomkowie Noego w dniu wielkiego pomieszania języków w związku z wieżą Babel – poza synami Gomera, co zanieśli ów język do północnych borów, gdzie przechował go wiernie naród niemiecki. Tylko język niemiecki – wykrzykiwał teraz w swym rodzinnym narzeczu ojciec Kacper – *redet mit der Zunge, donnert mit dem Himmel, blitzet mit den schnellen Wolken*, czyli – jak ciągnął potem z wielką inwencją, mieszając chropowate dźwięki rozmaitych mów człowieczych – tylko mowa niemiecka przemawia językiem natury, „blitza z Chmurami, brumma z Jelonkiem, gruntza ze Schwaino, zissca z Anglicolo, maua z Katzo, schnattera z Anserculo, kwacze z Kaczką, kokkodacze z Kurą, klappera z Bocianem, krakka z Krukiem, schwirra z Hirundine!” Na koniec ksiądz zachrypł od tego babelowania, a Robert był przekonany, że prawdziwy

język Adamowy, odzyskany w czasie potopu, zakorzenił się tylko w landach, nad którymi panował święty cesarz rzymski.

Duchowny zakończył swą ewokację, spływając potem. Niebo, przerażone widać konsekwencjami wszelkiego potopu, odwołało burzę, jak bywa z kichnięciem, które zda się nieuniknione, a jednak zostaje wstrzymane dzięki chrząknięciu.

22

Gołębica Koloru Pomarańczy

W następnych dniach ujawniło się z całą oczywistością, że Strażnica Maltańska jest niedostępna, gdyż ojciec Wanderdrossel także nie umie pływać. Łódź tkwiła daleko, w zatoczce, więc tak, jakby jej nie było.

Mając przy sobie mężczyznę młodego i pełnego wigoru, ksiądz Kacper umiałby zbudować tratwę z wielkim wiosłem, ale – jak wyjaśnił – materiały i narzędzia pozostały na Wyspie. Nie mając nawet siekiery, nie zdołają powalić masztów czy rei, bez młotów nie zdołają wyjąć z zawiasów drzwi i zbić ich ze sobą.

Z drugiej strony ojciec Kacper nie kłopotał się tą długotrwałą katastrofą morską, a nawet cieszył się, że może znowu korzystać ze swojej kabiny, pokładu i instrumentów pozwalających na kontynuowanie badań i obserwacji.

Robertowi nie udało się dotychczas zrozumieć, kim właściwie jest ksiądz Wanderdrossel. Mędrcem? Z pewnością, a przynajmniej erudytą i kimś ciekawym zarówno nauk naturalnych, jak i boskich. Człowiekiem egzaltowanym? Bez wątpienia. Pewnego razu wymknęło mu się, że statek został wyposażony nie kosztem Towarzystwa, ale jego własnym, czy raczej brata, bogatego kupca, równie postrzelonego jak nasz jezuita; przy innej okazji pozwolił sobie na skargi pod adresem tych konfratrów, którzy „oszwabili go z nader płodnych myśli”, choć przedtem udawali, że odrzucają je jako zbyt zawiłe. Dawało to podstawę do przypuszczeń, że wielebni rzymscy ojcowie nic nie wiedzieli o wyprawie tej sofistycznej osobistości, a ponieważ wyruszał na własny koszt i można było nie bez podstaw mieć nadzieję, że zawieruszy się gdzieś na tych nieznanych

szlakach, to gdy już się dowiedzieli, nie szczędzili mu zachęt, byleby się go pozbyć.

Robert obracał się w Prowansji i Paryżu w takich kręgach, że teraz z wahaniem przyjmował twierdzenia z zakresu fizyki i filozofii naturalnej wysuwane przez starca. Ale wiemy przecież, że całą wiedzę, z jaką się stykał, chłonął niby gąbka, nie wystrzegając się nadmiernie prawd wzajemnie sprzecznych. Może nie dlatego, że nie czuł potrzeby ujęcia wiedzy w system, tylko świadomie.

W Paryżu świat jawił mu się jako scena, na której prezentują się oszukańcze pozory, a każdy z widzów pragnie śledzić i podziwiać co wieczór inną intrygę, jakby rzeczy zwykłe, a nawet te cudowne, nikogo już nie oświecały, i ludzie potrafili się ekscytować tylko sprawami niezwykle niepewnymi albo niepewnie niezwykłymi. Starożytni utrzymywali, że na każde pytanie jest tylko jedna odpowiedź, a tymczasem wielki paryski teatr proponował spektakl pytania, na które odpowiadało się na najbardziej zróżnicowane sposoby. Robert postanowił tylko połowę swego umysłu oddać sprawom, w które wierzył (lub wierzył, że wierzy), a drugą swobodnie dysponować, na wypadek gdyby prawdą było coś przeciwnego.

Skoro takie było jego nastawienie, rozumiemy, czemu nie miał żadnej motywacji do tego, by zaprzeczać bardziej lub mniej wiarygodnym rewelacjom ojca Kacpra. Ze wszystkich opowieści, jakie słyszał, ta, którą przedstawił mu jezuita, była z pewnością najniezwyklejsza. Dlaczego więc miałby uznawać ją za fałszywą?

Niech ujawni się ten, kto znalazłszy się na opuszczonym statku, w przestrzeni zagubionej między niebem a morzem, nie byłby skłonny marzyć, że w tym wielkim nieszczęściu przypadł mu chociaż ten szczęśliwy los, iż znalazł się w samym środku czasu.

Robert mógł więc się zabawiać, zgłaszając mnóstwo zastrzeżeń do tych opowieści, lecz często wolał się zachowywać jak uczniowie Sokratesa, którzy prawie błagali o własną porażkę.

Z drugiej strony, jakże odrzucić wiedzę tej ojcowskiej już postaci, nagle uwalniającej go od kondycji przerażonego rozbitka, aby nadać mu rangę

pasażera statku, który jest komuś znany i przez kogoś zarządzany? Ojciec Kacper, może przez autorytet, jaki dawała mu sutanna, a może przez to, że był pierwotnym panem tego morskiego zamku, reprezentował w jego oczach Władzę, Robert zaś wystarczająco zaznajomił się z poglądami obowiązującymi w jego czasach, by wiedzieć, że sile trzeba przytakiwać, przynajmniej z pozoru.

Kiedy potem zaczął powątpiewać w swego amfitriona, ten zaraz prowadził go na ponowne zwiedzanie statku i pokazywał przyrządy, które uszły jego uwagi, pozwalał mu uczyć się tylu i takich rzeczy, że odzyskiwał zaufanie gościa.

Na przykład dzięki niemu Robert poznał sieci i haczyki do wędki. „Dafne” stała na wodach, które roiły się od ryb, i nie było sensu zjadać zapasów, skoro mogli złowić świeżutką rybę. Robert, który wkładał przydymione okulary i poruszał się teraz po statku za dnia, bardzo szybko nauczył się zapuszczać sieci i zarzucać wędkę, bez trudu łowił okazy tak ogromne, że nieraz omal nie został ściągnięty z pokładu wskutek szarpnięć ryby, kiedy ta połknęła haczyk.

Układał swą zdobycz na pokładzie i wydawało się, że ojciec Kacper zna nie tylko naturę każdego z okazów, ale nawet nazwę. Robert nie umiałby zresztą powiedzieć, czy ksiądz nazywał je zgodnie z ich naturą, czy też zupełnie dowolnie.

Ryby na ojczystej hemisferze były szare, co najwyżej srebrzyste, te zaś pyszniły się błękitem, miały wiśniowej barwy płetwy, szafranowe brody albo purpurowe pyski. Złapał kiedyś węgorza z dwiema parami oczu, po jednej z każdego końca ciała, lecz ojciec Kacper zwrócił jego uwagę na fakt, że druga głowa jest tylko ogonem, w ten właśnie sposób ozdobionym przez naturę, i że wymachując tym ogonem, zwierzę odstrasza także wrogów podpływających od tyłu. Złowił też Robert rybę z cętkowanym brzuchem, paskami czerni na grzbiecie, wszystkimi barwami tęczy wokół oka, kozim pyskiem, ale ojciec Kacper kazał mu ją natychmiast wyrzucić do morza, wiedział bowiem (opowieści konfratrów, doświadczenia zebrane

w czasie podróży, bajania majtków?), że jest ona bardziej trująca niż borowik szatański.

O innej, odznaczającej się żółtymi oczami, mięsistą paszczą i zębami jak gwoździe, ojciec Kacper od razu powiedział, że to kreatura Belzebuba. Niech leży i dusi się na pokładzie do samej śmierci, a potem precz z nią, niech idzie, skąd przyszła. Mówił tak, bo miał o tej rybie jakąś wiedzę, czy też sądził ją z wyglądu? Poza tym wszystkie ryby, które ojciec Kacper ocenił jako jadalne, były wspaniałe – a o jednej umiał nawet powiedzieć, że lepsza jest gotowana niż pieczona.

Wtajemniczając Roberta w sekrety tego salomonowego morza, jezuita podał mu również dokładniejsze dane o Wyspie, którą „Dafne”, dotarłszy tutaj, całą opłynęła. Na wschodzie było kilka małych plaż, ale zbyt wystawionych na wiatry. Tuż za południowym przylądkiem, w miejscu, gdzie potem przybiła szalupa z majtkami, znajdowała się spokojna zatoczka, za płytka jednak, by zakotwiczyć tam „Dafne”. Punkt, w którym statek stał teraz, był najstosowniejszy. Gdyby zbliżyli się do Wyspy, osiedliby na mieliźnie, a gdyby się bardziej od niej oddalili, znaleźliby się w bardzo mocnym prądzie, przepływającym z południowego zachodu na północny wschód między dwiema wyspami. Nietrudno było udowodnić to Robertowi. Ojciec Kacper kazał mu rzucić z całej siły martwe cielsko Belzebuba w stronę morza na zachodzie i dopóki ścierwo potwora było widoczne, mogli się przyglądać, jak unosi je gwałtownie ten niewidzialny nurt.

I Kacper, i majtkowie wystarczająco zbadali Wyspę, a w każdym razie znaczną jej część, by uznać, że wierzchołek, na którym postanowili urządzić Strażnicę, jest najstosowniejszym miejscem, ażeby ogarnąć spojrzeniem całą tę ziemię, dorównującą wielkością obszarowi miasta Rzymu.

W głębi Wyspy natrafili na wodospad i wspaniałą roślinność. Były tam nie tylko orzechy kokosowe i banany, ale również drzewa o pniach w kształcie gwiazdy, której zakończenia zwężają się, tworząc ostrza.

Niektóre ze zwierząt Robert widział pod pokładem. Wyspa była ptasim rajem, nie brakowało tu nawet latających lisów. Dostrzegli przemykające przez zarośla świnie, ale nie udało im się żadnej złapać. Widzieli też węże, jednak nie napotkali jadowitych albo agresywnych, natomiast stwierdzili nieskończoną różnorodność jaszczurek.

Najbogatsza fauna była jednak wzdłuż rafy koralowej. Żółwie, kraby i najróżniejszych kształtów ostrygi, trudne nawet do porównania z tymi, które żyją w naszych morzach, wielkie jak kosze, jak garnki, jak duże talerze, często trudne do otwarcia, ale za to po otworzeniu ukazujące białą masę ciała, miękkiego i tłustego – prawdziwy specjał. Niestety, nie można było dostarczać ich na statek, gdyż po wyjęciu z wody psuły się natychmiast od żaru słonecznego.

Nie zobaczyli żadnego z wielkich i groźnych zwierząt, w jakie obfitują inne miejsca w Azji, ani słoni, ani tygrysów, ani krokodyli. A z drugiej strony niczego, co przypominałoby wołu, byka, konia czy psa. Miało się wrażenie, że w tym miejscu wszelka forma życia została pomyślana nie przez architekta, lecz przez rzeźbiarza, a nawet złotnika: ptaki niby barwne kryształy, zwierzęta leśne – małe, ryby – płaskie i prawie przezroczyste.

Ani ojcu Kacprowi, ani majtkom, ani kapitanowi nie wydawało się, by żyły w tych wodach ryby psy, które widać z daleka z powodu ostrej jak topór płetwy. A pomyśleć, że na tych wodach jest ich pełno. Brak wokół Wyspy rekinów był, moim zdaniem, złudzeniem tego eksploratora dziwaka albo może prawdą było to, co twierdził, a mianowicie, że z powodu bliskiego silnego prądu, od zachodu, zwierzęta te wolały przebywać głębiej, tam bowiem miały więcej pożywienia. Jakkolwiek było, dla dalszego ciągu opowieści lepiej będzie, by ani Kacper, ani Robert nie lękali się obecności rekinów, bo w przeciwnym razie nie odważyliby się zejść do wody i nie wiedziałbym, o czym mam opowiadać.

Robert wsłuchiwał się w te opisy, rozkochiwał coraz bardziej w odległej Wyspie, próbował wyobrazić sobie kształt, kolor i ruchy stworzeń, o których mówił mu ojciec Kacper. A korale... jakież były te korale, które

znał jedynie jako klejnoty, co mocą poetyckiej definicji miały barwę warg pięknej niewiasty?

W sprawie korali ojciec Kacper nie miał nic do powiedzenia i zadowalał się wznoszeniem oczu do nieba, z wyrazem szczęśliwości na twarzy. Robert miał na myśli korale martwe, jak martwa była cnota owej kurtyzany, do której libertyni odnosili to przesadne porównanie. I na rafie nie brakowało korali martwych; one to raniły tego, kto ich dotykał. Ale w niczym nie mogły się równać z koralami żywymi, które były – jak by to powiedzieć? – podmorskimi kwiatami, anemonami, hiacyntami, ligustrami, jaskrami, fiołkami i lewkoniami – skądże, to nic nie mówi – były festynem galasów, złotogłowów, jagód, pąków, rzepów, pędów, szczeci sukienniczej, batożycy – nie, były czym innym, ruchliwe, barwne jak ogród Armidy, i naśladowały wszystkie rośliny polne, ogrodowe, leśne, od cedreli po muchomora cesarskiego i kapustę...

On widział je już gdzie indziej dzięki urządzeniu, które zbudował jego konfrater (i zaraz ruszył do swojej kabiny, pogrzebał w jakiejś skrzyni i wydobył ów przyrząd); była to jakby skórzana maska z wielkim szklanym okularem oraz obszytym i wzmocnionym otworem, zaopatrzona w parę sznurówek, aby można było przymocować ją na karku tak, że przylegała do całej twarzy – od czoła do podbródka. Płynąc łodzią z dnem płaskim, żeby nie osiadła na jakiej mieliźnie, nachylało się głowę, zanurzając nieco twarz w wodzie, i widziało się dno – gdyby zaś ktoś zanurzył głowę bez owej maski, poczułby tylko pieczenie oczu, a nie zobaczył nic.

Kacper sądził, że przyrząd – nazywał go Perspicillum, Okular albo Osoba Przezroczysta (maska, która nie ukrywa, lecz właśnie odsłania) – mógłby zakładać także ktoś, kto umiałby pływać między skałami. Wprawdzie woda wcześniej czy później przenikała do środka, ale przez jakiś czas, wstrzymując oddech, można było patrzeć. Potem należało się wynurzyć, wylać wodę i zacząć od początku.

– Gdybyś ty pływać się wyuczył, mógłbyś to tam w dole zobaczyć – powiedział Kacper.

A Robert mu zawtórował:

– Gdybym ja pływać umiał, moja pierś zmieniłaby się w manierkę!

Żałował jednak, że nie może zejść do morza.

– A poza tym, a poza tym – dodał ojciec Kacper – na Wyspie jest Gołębica z Płomienia.

– Gołębica z Płomienia? Co to takiego? – zapytał Robert, a trwoga, z jaką zadał to pytanie, nam wydaje się przesadna. Jakby Wyspa od dawna obiecywała mu jakiś mroczny emblemat, który dopiero teraz nabrał oślepiającej jasności.

Wyjaśnił ojciec Kacper, że trudno opisać piękno tego ptaka i trzeba go zobaczyć, aby o nim mówić. On sam dostrzegł go przez lunetę w dniu przybycia. I z dala był jak rozpalona kula złota albo kula złocistego ognia, która z wierzchołków najwyższych drzew wystrzelała ku niebiosom. Gdy tylko stanął na lądzie, chciał dowiedzieć się czegoś więcej i pouczył majtków, aby mogli tego ptaka wypatrzyć.

Czatowanie trwało bardzo długo, aż pojęli, wśród których drzew mieszka. Wydawał bardzo osobliwy dźwięk, jakby „tok tok”, którego człowiek dobywa, cmokając językiem o podniebienie. Kacper spostrzegł, że ptak odpowiada, kiedy przyzwać go takim cmoknięciem i strzeleniem palcami, i czasem udawało się go spostrzec, jak przeskakuje z gałęzi na gałąź.

Kacper wiele jeszcze razy czatował, ale z lunetą, i przynajmniej raz zobaczył ptaka w całej okazałości, i to prawie nieruchomego. Łepek miał ptak ciemnooliwkowy – nie, może barwy szparagowej, jak łapki – a dziób koloru lucerny był tak rozłożysty, że otaczał oko, które wyglądało niby ziarno kukurydzy, przy czym źrenica iskrzyła się czernią. Miał krótki złocisty pasek na szyi i równie złociste zakończenia skrzydeł, ale ciało, od piersi po ogon, gdzie delikatne piórka przypominały niewieście włosy, było (jak by to powiedzieć?) – nie, czerwone to nieodpowiednie słowo...

Rubinowawe, karminowawe, pąsowawe, szkarłatnawe, czerwonawe, ryżawe, ceglaste, rumiane – podsuwał Robert. *Nein*, *nein* – irytował się ojciec Kacper. Więc Robert ciągnął: jak truskawka, geranium, malina, wiśnia szklanka, rzodkiewka; jak jagoda ostrokrzewu, brzuch paszkota albo

droździka, ogon pleszki, pierś rudzika... Ależ nie, nie – upierał się ojciec Kacper i dalej się zmagał z językiem swoim i bliźniego, by znaleźć odpowiednie słowo. I – sądząc z syntezy podanej następnie przez Roberta, przy czym nie wiadomo już było, czy emfazą popisywał się informujący, czy informowany – ptak musiał mieć radosną barwę pomarańczy gorzkiej, pomarańczy słodkiej, był, jednym słowem, skrzydlatym słońcem, a kiedy widziało się go na tle białego nieba, było to tak, jakby jutrzenka cisnęła na śnieg owoc granatu. Kiedy zaś wystrzelał ku słońcu, był bardziej promienisty niż cherubin!

– Ten ptak barwy pomarańczy – ciągnął ojciec Kacper – z pewnością mógł żyć tylko na Wyspie Salomona, albowiem mamy go w Pieśni tego wielkiego króla, gdzie mówi się o gołębicy zrywającej się do lotu jak zorza powstająca, jaśniejącej jak słońce, *terribilis ut castrorum acies ordinata*. A pióra gołębicy były, tak powiada inny psalm, posrebrzone i tył grzbietu żółcił się złotem.

Jednocześnie z tym ptakiem Kacper zobaczył innego, który niewiele się różnił, tyle że pióra miał nie pomarańczowe, lecz zielonobłękitne, a ponieważ oba one siadały zwykle na tej samej gałęzi, można się było domyślić, że to samiec i samiczka. O tym, że są, być może, gołębiami, mówił ich kształt i tak częste pogruchiwanie. Które z dwojga było samcem, nie sposób orzec; tak czy inaczej, zakazał majtkom ich zabijania.

Robert zapytał, ile gołębi może być na Wyspie. Z tego, co wiedział ksiądz Kacper, który za każdym razem widział jedną pomarańczową kulę tryskającą ku chmurom, na Wyspie jest, być może, tylko jedna para i tylko jeden okaz barwy pomarańczowej. To przypuszczenie sprawiło, że Robert jął pożądać owego osobliwego piękna, które, jeśli nań czekało, czekało zawsze od dnia poprzedniego.

Z drugiej strony, jeśliby Robert wytrwał wiele godzin z lunetą przy oku – powiedział Kacper – mógłby zobaczyć gołębicę nawet ze statku. Byleby zdjął zadymione okulary. Kiedy zaś Robert odpowiedział, że nie pozwalają

mu na to oczy, Kacper wygłosił parę pogardliwych uwag na temat tej choroby godnej dziewczątka i doradził mu użycie płynów, którymi sam wyleczył się ze swojego karbunkułu (*Spiritus*, *Olea*, *Flores*).

Nie wiemy na pewno, czy Robert zastosował się do tej rady, czy przyzwyczaił się stopniowo do patrzenia na świat bez okularów, najpierw rankami i wieczorami, a potem w środku dnia, i czy nosił je jeszcze, kiedy, jak zobaczymy, próbował nauczyć się pływania, ale jest faktem, że od tego czasu nie powoływał się już na oczy, żeby usprawiedliwić jakiekolwiek zaniechanie czy krycie się po kątach. Mamy więc prawo wnosić, że dzięki leczniczym przymiotom balsamicznego powietrza i morskiej wody stopniowo pozbył się rzeczywistej czy urojonej dolegliwości, która od lat ponad dziesięciu czyniła z niego likantropa (chyba że czytelnik insynuuje, iż chcę go mieć teraz przez okrągły dzień na pokładzie, a nie znajdując zaprzeczenia w jego papierach, z właściwą autorom arogancją uwalniam go od wszelkiej choroby).

Może jednak Robert chciał pozbyć się dolegliwości, żeby za wszelką cenę zobaczyć gołębicę. I pewnie rzuciłby się z pokładu, by spędzić dzień na wpatrywaniu się w drzewa, gdyby jego uwagi nie przykuła inna nierozstrzygnięta kwestia.

Kiedy ojciec Kacper opisał już Wyspę i jej bogactwa, podkreślił, że tyle przyjemnych rzeczy mogło znaleźć się tylko na Południku Antypodycznym.

Robert zapytał wówczas:

– Wielebny ojcze, powiedziałeś, że dzięki Strażnicy Maltańskiej utwierdziłeś się w mniemaniu, iż jesteś na Południku Antypodycznym, i ja ci wierzę. Ale przecież nie stawiałeś Strażnicy na każdej napotkanej podczas podróży wyspie, tylko na tej. Jakim więc sposobem, nie sprawdziwszy tego dzięki Strażnicy, zyskałeś pewność, żeś znalazł długość geograficzną, której szukałeś?

– Myślisz poprawnie. Jeślibym przybył tu, nie wiedząc, że tu jest tu, nie mógłbym wiedzieć, że jestem tu... Wyjaśniam. Ponieważ wiedziałem, że

Strażnica to jedyne urządzenie pozwalające znaleźć miejsce, gdzie można Strażnicę wypróbować, musiałem użyć metod fałszywych. Tak uczyniłem.

23

Rozmaite i Wymyślne Machiny

Ponieważ Robert był niedowiarkiem i miał pretensje do wiedzy o tym, jakie i jak dalece niewłaściwe są metody określania długości geograficznej, ojciec Kacper zwrócił jego uwagę na fakt, że choć każda jest błędna, to jeśli zastosuje się jedną po drugiej, uwzględniwszy wszystkie łącznie, można zbilansować rozbieżne wyniki i skompensować pojedyncze błędy. „Taka *est mathematica*!”

Nie ulega wątpliwości, że zegar po przebyciu wielu mil nie daje już pewności, iż wskazuje dobrze czas w miejscu, z którego się wyruszyło. A liczne i rozmaite zegary, jakie Robert odkrył na „Dafne”, niektóre zbudowane w sposób szczególny i bardzo odpowiedni? Porównujesz ich niedokładne wskazania, sprawdzasz codziennie odpowiedź jednego na dekrety innych i uzyskujesz niemałą pewność.

Co można powiedzieć o logu, czyli okręciku? Te zwykłe nie spełniają swego zadania, ale ojciec Kacper zbudował inny: skrzyneczkę z dwiema prostopadłymi osiami, przy czym na jedną z nich nawija się sznurek o stałej długości odpowiadającej stałej liczbie mil, z drugiej zaś tenże sznurek się odwija. A na osi, na którą sznurek się nawija, umocował liczne deszczułki, które obracają się niczym wiatrak, poruszane tymi samymi wiatrami co te wydymające żagle, zwalniając albo przyspieszając swój ruch – a więc nawijając mniej albo więcej sznurka – zależnie od siły i prostego czy ukośnego kierunku podmuchu, i rejestrując tym samym dewiacje wynikające z halsowania lub płynięcia pod wiatr. Ta metoda nie była najpewniejsza, ale doskonała, jeśli porównywało się wyniki z innymi obserwacjami.

Zaćmienia Księżyca? Z całą pewnością obserwowanie ich podczas rejsu prowadzi do nieskończenie wielu pomyłek. Co jednak powiedzieć o zaćmieniach obserwowanych z Ziemi?

– Potrzebni są liczni obserwatorzy, rozsiani w wielu miejscach świata i skłonni do współpracy dla większej chwały Pana, nie zaś do obrzucania się obelgami, robienia jeden drugiemu na złość i okazywania wzajemnego lekceważenia. Posłuchaj, ósmego listopada tysiąc sześćset dwunastego roku w Makau wielebny pater Iulius de Alessis widzi wieczorem zaćmienie od ósmej trzydzieści do jedenastej trzydzieści. Donosi o tym wielebnemu ojcu Carolusowi Spinoli, który w Nagasaki w Japonii toż samo zaćmienie i tegoż wieczoru o dziewiątej trzydzieści obserwował. A pater Christophorus Schnaidaa to samo zaćmienie o piątej po południu w Ingolstadt widział. Różnica jednej godziny to piętnaście stopni południkowych, taka więc odległość między Makau a Nagasaki jest, nie szesnaście stopni i dwadzieścia, jak utrzymuje Blaeu. *Verstanden?* Naturalnie przy tych obserwacjach trzeba wystrzegać się gorzołki i dyma, mieć dokładne zegary, nie pozwolić, by umknął *initium totalis immersionis*, i zachować właściwy środek między *initium et finis eclipsis*, obserwować chwile pośrednie, kiedy zaciemniają się plamy, *et cetera*. Jeśli miejsca odległe są, maleńki błąd robi niewielką różnicę, lecz kiedy miejsca *proximi* są, błąd kilkuminutowy robi dużą różnicę.

Pomijając to, że – tak mi się zdaje – co do Makau i Nagasaki rację miał Blaeu, nie zaś ojciec Kacper (a to wskazuje, jaka zagmatwana była w tamtych czasach sprawa długości), oto jak, gromadząc i zestawiając obserwacje prowadzone przez swoich konfratrów misjonarzy, jezuici ustalili Horologium Catholicum, co nie oznaczało wcale, że był to zegar osobliwie wierny papieżowi, ale tylko – zegar powszechny. Chodziło w rzeczywistości o rodzaj planisfery, na której zaznaczono wszystkie placówki Towarzystwa, od Rzymu po granice znanego świata, w każdym z tych miejsc podając tamtejszą godzinę. W ten sposób – wyjaśniał ojciec Kacper – nie muszę rachować czasu od początku podróży, ale od ostatniej placówki chrześcijańskiego świata, której długość geograficzna nie budzi

wątpliwości. W tenże sposób zmniejsza się też znacznie margines błędu, między jedną placówką zaś a drugą można wykorzystywać metody, które w terminach absolutnych nie dają żadnej gwarancji, jak wariacje igły albo rachunek na podstawie plam księżycowych.

Na szczęście jego konfratrzy rozsiani są po całym świecie, od Pernambuco po Goa, od Mindanao po Porto Sancti Thomae, i jeśli nawet wiatry uniemożliwią mu dotarcie do jednego portu, trochę dalej trafi na inny. Na przykład na Makau... ach, Makau, na samo wspomnienie tej przygody ojciec Kacper popadał w zmieszanie. Była to posiadłość portugalska, Chińczycy nazywali Europejczyków długonosymi, jako że pierwsi do ich wybrzeży przybili Portugalczycy, którzy w istocie mają długie nosy, a wraz z nimi jezuici. Miasto było jednym wieńcem białych i niebieskich fortec na wzgórzu, pozostających we władaniu ojców z Towarzystwa, którzy musieli zajmować się także sprawami wojskowymi, ponieważ miastu zagrażali holenderscy heretycy.

Ojciec Kacper wybrał szlak przez Makau, znał tam bowiem pewnego współbrata, bardzo uczonego w sprawach astronomicznych, zapomniał jednak, że jego statkiem jest *fluyt*.

Cóż uczynili dobrzy ojcowie z Makau? Ujrzawszy statek holenderski, oddali głos działom i kolubrynom. Daremnie ojciec Kacper wymachiwał rękami na dziobie statku, daremnie kazał podnieść natychmiast chorągiew Towarzystwa – przeklęci długonosi konfratrzy portugalscy, otuleni wojennym dymem, który zachęcał do świętej rzezi, wcale tego nie dostrzegli i dalejże sypać kulami wokół „Dafne”. Dzięki niech będą Panu, że statek zdołał wytracić wiatr, zrobić zwrot i oddalić się z trudem na pełne morze, wraz z kapitanem, który w swym luterańskim języku rzucał grubiańskie słowa w stronę zbyt popędliwych ojców. I tym razem on miał rację: dobrze jest posłać Holendrów na dno, ale nie wtedy, gdy na pokładzie przebywa jezuita.

Na szczęście nietrudno było znaleźć w pobliżu inne misje, więc wzięli kurs na niezbyt odległe Mindanao. I tak od postoju do postoju kontrolowali

długość (Bóg jeden wie jak – dodam – skoro rzucając kotwicę o piędź od Australii, musieli stracić wszelki punkt odniesienia).

– *Et hora* musimy nowe eksperymenta zrobić, aby najjaśniej i *evidenter* pokazać, że na Sto Osiemdziesiątym Południku jesteśmy. Inaczej moi koledzy z Kolegium Rzymskiego pomyślą, żem kiep.

– Nowe eksperymenty? – spytał Robert. – Czyż nie rzekłeś dopiero co, że Strażnica dała ci wreszcie pewność, iż jesteś na Sto Osiemdziesiątym Południku, przy Wyspie Salomona?

– Owszem – odparł jezuita – mam tę pewność. Wprowadziłem wszak w życie rozmaite wynalezione przez innych niedoskonałe metody, a zgodność tylu marnych metod musi dać pewność wystarczająco mocną, jak to jest z dowodem na istnienie Boga przez *consensus gentium*, to prawda bowiem, że wierzy w Boga tylu ludzi ulegających wszak błędom, ale niemożliwe jest, by wszyscy się mylili, od puszcz afrykańskich po pustynie w Chinach. Przez to też wierzymy w ruch Słońca, Księżyca i innych planet albo w ukrytą moc jaskółczego ziela, albo że w środku ziemi jest podziemny ogień; od wielu tysięcy lat ludzie w to wierzyli, a wierząc, potrafili żyć na tej planecie i nawet uzyskać wiele pożytków ze sposobu, w jaki odczytywali wielką księgę natury. Ale tego rodzaju znaczne odkrycie wymaga potwierdzenia innymi dowodami, ażeby nawet sceptycy ulegli w obliczu oczywistości.

A zresztą naukę trzeba uprawiać nie tylko z miłości do wiedzy, ale także po to, by korzystali z niej nasi bracia. Ponieważ zaś tyle trudu kosztowało znalezienie właściwej długości, ojciec Kacper powinien teraz poszukać potwierdzenia innymi, łatwiejszymi metodami, aby ta wiedza stała się *patrimonium* wszystkich naszych braci, „a przynajmniej braci chrześcijan albo tylko braci katolików, lepiej byłoby bowiem, gdyby heretycy holenderscy albo angielscy, a co gorsza, morawscy, nigdy z tymi sekretami nie zapoznali się”.

Otóż ze wszystkich metod mierzenia długości geograficznej dwie uznawał za pewne. Jedną, dobrą na stałym lądzie, był skarb wszelkiej metody, czyli Strażnica Maltańska; drugą, dobrą do prowadzenia obserwacji

na morzu, była metoda Instrumentum Arcetricum, które spoczywało pod pokładem i nie zostało jeszcze użyte, gdyż najpierw trzeba było dzięki Strażnicy uzyskać pewność co do własnej pozycji, a dopiero potem zobaczyć, czy Instrumentum ją potwierdzi. A wtedy będzie je można uznać za przyrząd najpewniejszy pośród wszystkich.

Tego eksperymentu dokonałby ojciec Kacper znacznie wcześniej, gdyby nie zdarzyło się wszystko, co się zdarzyło.

Nadszedł jednak moment, i to jeszcze tej nocy: niebo i efemerydy potwierdzają, że jest to noc odpowiednia.

Co to takiego Instrumentum Arcetricum? Był to przyrząd wymyślony wiele lat wcześniej przez Galileusza – choć, uwaga, przewidziany, opowiedziany, obiecany, lecz nigdy nie zbudowany, póki nie wziął się do dzieła ojciec Kacper. A Robertowi, który spytał, czy chodzi o tegoż Galileusza, który bronił potępionej wszak tezy dotyczącej ruchu Ziemi, ojciec Kacper odpowiedział, że owszem, wtrącając się do metafizyki i świętych tekstów, Galileusz powiedział rzeczy bardzo niewłaściwe, ale jako mechanik był geniuszem, i to jakim! Na pytanie zaś, czy jest stosowne korzystać z pomysłów człowieka potępionego przez Kościół, jezuita odparł, iż większej chwale naszego Pana mogą służyć nawet pomysły heretyka, jeśli tylko nie są heretyckie w swej istocie. Jakże można sobie wyobrazić, że ojciec Kacper, który gromadził wszystkie istniejące metody, nie ufając żadnej, ale czerpiąc korzyści z ich skłóconych koncyliacji, mógłby nie wykorzystać także metody Galileusza?

Było nawet z wielkim pożytkiem dla nauki i wiary skorzystać czym prędzej z pomysłu Galileusza; próbował on już sprzedać go Holendrom, całe szczęście, że ci, podobnie jak Hiszpanie parę dziesiątków lat wcześniej, odnieśli się do niego nieufnie.

Galileusz doszedł do dziwactw, wychodząc od przesłanki jak najbardziej słusznej, to jest, żeby wykraść pomysł lunety Flamandom (którzy używali jej tylko do przyglądania się statkom w porcie) i skierować ten przyrząd ku niebu. I tam, wśród innych rzeczy, których ojciec Kacper nie myślał podawać w wątpliwość, odkrył, że Jupiter, czyli Jowisz, jak nazywał go

Galileusz, ma cztery satelity, jakby cztery księżyce, przez nikogo nieoglądane od początku świata po te czasy. Cztery gwiazdki, które obracają się wokół niego, gdy on sam obraca się wokół Słońca – a zobaczymy, że dla ojca Kacpra obroty Jowisza wokół Słońca były całkowicie dopuszczalne, byleby zostawić w spokoju Ziemię.

Że nasz Księżyc jest czasem zasłonięty, kiedy przechodzi przez cień Ziemi, to rzecz dobrze znana – tak samo, jak wiadomo wszystkim astronomom, kiedy nastąpi zaćmienie księżycowe – i poświadczają to efemerydy. Nic więc dziwnego, że także księżyce Jowisza mają zaćmienia. A nawet, w każdym razie dla nas, mają dwa, jedno – zaćmienie właściwe, a drugie – zakrycie.

Rzeczywiście, Księżyc znika nam z oczu, kiedy Ziemia znajdzie się między nim a Słońcem, ale satelity Jowisza giną nam z oczu dwukrotnie: kiedy znajdą się za nim i kiedy znajdą się całkiem przed nim, wtedy bowiem zlewają się z jego światłem, i mając dobrą lunetę, można doskonale śledzić ich pojawianie się i znikanie. Z tą nieocenioną korzyścią, że do zaćmienia Księżyca dochodzi tylko wtedy, gdy umiera jakiś biskup, i trwa ono bardzo długo, zaćmienia satelitów Jowisza zaś są częste i trwają krótko.

Przypuśćmy teraz, że godzina i minuta zaćmienia każdego z satelitów (każdy bowiem porusza się po orbicie innej wielkości) zostały ściśle wyznaczone na danym południku i jest to ujęte w efemerydach. W tym momencie wystarczy ustalić godzinę i minutę, kiedy do zaćmienia dochodzi na południku (nieznanym), na którym się przebywa, by szybko dokonać obliczeń, a z tego można już wywnioskować, na jakiej długości geograficznej dokonano obserwacji.

Co prawda, są jeszcze drobne niedogodności, o których nie warto wspominać profanom, ale takie przedsięwzięcie powiodłoby się każdemu biegłemu rachmistrzowi, który miałby miernik czasu, to znaczy *perpendiculum* albo wahadło, albo Horologium Oscillatorium, jak kto woli, zdolne mierzyć z absolutną ścisłością różnicę nawet jednej sekundy; *item*, miałby dwa zwykłe zegary, które wskazałyby mu dokładną godzinę początku i końca fenomenu zarówno na południku obserwatora, jak i na

południku Wyspy Żelaza; *item*, dzięki tabeli sinusów umiałby zmierzyć, jaki kąt tworzą w oku oglądane ciała – kąt, który, rozumiany jako pozycja wskazówki zegara, wyraziłby w minutach i sekundach dystans między dwoma ciałami i jego stopniową zmianę.

Byleby – warto powtórzyć – miało się te dobre efemerydy, których chory już i stary Galileusz nie zdążył dokończyć, ale które konfratrzy ojca Kacpra, tak biegle obliczywszy zaćmienia Księżyca, opracowali teraz bez błędu.

Jakie są największe niedogodności jątrzące przeciwników Galileusza? Że chodzi o obserwacje, których nie można prowadzić nieuzbrojonym okiem, gdyż potrzebna jest dobra luneta albo teleskop, jak powiada się dzisiaj? Ojciec Kacper miał doskonale wykonany teleskop, o jakim sam Galileusz nawet nie marzył. Że mierzenie i obliczanie przerasta możliwości majtków? Przecież wszystkie inne metody, wyjąwszy, być może, log, wymagają wiedzy astronoma! Skoro kapitanowie nauczyli się korzystać z astrolabium, co nie jest wszak rzeczą dostępną dla byle profana, nauczą się też używać lunety.

Jednak, powiadają pedanci, obserwacje wymagające takiej precyzji mogą być prowadzone zapewne z ziemi, ale nie na płynącym statku, gdzie nikt nie zdoła utrzymać nieruchomo lunety skierowanej na ciało niebieskie, którego nie widać gołym okiem... No cóż, ojciec Kacper znalazł się tutaj, by dowieść, że przy odrobinie zręczności obserwacje można prowadzić również ze statku w ruchu.

Na koniec niektórzy Hiszpanie wystąpili z zastrzeżeniem, że w czasie zaćmienia satelity są niewidoczne za dnia, a także w burzliwe noce. „Wydaje się im pewnie, że wystarczy klasnąć, aby *illico et immediate* mieć do dyspozycji zaćmienia Księżyca?” – irytował się ksiądz Kacper. A kto powiedział, że obserwacje trzeba prowadzić przez cały czas? Jeśli ktoś podróżował z jednych Indii do drugich, wie, że pomiaru długości nie trzeba dokonywać częściej, niż dokonuje się pomiaru szerokości, a nawet tego nie można dokonywać ani za pomocą astrolabium, ani za pomocą *balestriglia*, kiedy morze jest wzburzone. Gdybyż ową błogosławioną długość dało się

dobrze zmierzyć chociaż raz na dwa lub trzy dni, a między jedną a drugą obserwacją prowadzić rachunek czasu i przebytej drogi, jak to czyni się teraz, używając logu! Tyle że dotychczas trzeba robić tylko to, i przy tym całymi miesiącami. „Są dla mnie – mówił ze wzrastającym oburzeniem dobry ojciec – jak człek, którego podczas wielkiego głodu, dając koszyk chleba, ratujesz, ten zaś, miast być wdzięcznym, nęka cię, boś na stół pieczonego prosiaka albo zajączka mu nie postawił. O, *sacrobosco*! Czy zepchnąłbyś do morza armaty z tego statku jedynie dlatego, że widziałbyś, iż na sto wystrzelonych pocisków dziewięćdziesiąt podnosi tylko fontannę wody?”

Tak zatem ojciec Kacper zatrudnił Roberta przy rychtowaniu eksperymentu, który trzeba przeprowadzić w taki wieczór, jaki się właśnie zapowiada, pod względem astronomicznym odpowiedni, z bezchmurnym niebem, ale morzem nieco wzburzonym. Gdybyśmy eksperyment przeprowadzili podczas ciszy morskiej – tłumaczył ojciec Kacper – byłoby tak jak na ziemi, a tam udałby się z pewnością, tyle wiadomo. Ten eksperyment musiał dawać obserwującemu pozór ciszy, ale jednocześnie statkiem winno kołysać wzdłużnie i poprzecznie.

Przede wszystkim spośród zegarów, tak źle traktowanych w ubiegłych dniach, trzeba wybrać taki, który działa jeszcze należycie. W tym szczęśliwym przypadku chodzi o jeden, nie o dwa: rzeczywiście, należało nastawić go na czas miejscowy zgodnie ze staranną obserwacją całodzienną (to zostało wykonane), a ponieważ z pewnością przez to miejsce przechodzi Południk Antypodyczny, niepotrzebny był drugi, który wskazywałby godzinę na Wyspie Żelaza. Wystarczyło wiedzieć, że różnica wynosi dokładnie dwanaście godzin. Północ tu, południe tam.

Jeśliby dobrze to rozważyć, można by dojść do wniosku, że mamy tu do czynienia z błędnym kołem. Że jest się na Południku Antypodycznym, dowieść miał właśnie eksperyment, nie można było więc przyjmować takiego ukrytego założenia. Ale ojciec Kacper był tak pewny swoich poprzednich obserwacji, że pragnął tylko ich potwierdzenia, a zresztą – najpewniej – po całym tym zamieszaniu na statku nie znalazłby się już

zegar, który wskazywałby jeszcze godzinę po drugiej stronie globu, i trzeba było przejść nad tą przeszkodą do porządku dziennego. Z drugiej strony Robert nie był na tyle bystry, żeby dostrzec usterkę ukrytą w tym trybie postępowania.

– Kiedy powiem „już”, masz spojrzeć na zegar i zanotować godzinę. I natychmiast masz trącić pion.

Pion był umocowany na małym metalowym rusztowaniu z miejscem na miedzianą pałeczkę z okrągłym wahadłem na końcu. W najniższym punkcie, przez jaki przechodziło wahadło, znajdowało się poziome kółko z zębami, takimi jednak, że jedna strona zęba wystawała prostopadle nad płaszczyzną kółka, a druga była ukośna. Zbliżając się z jednej lub drugiej strony, wahadło potrącało ostrzem szczecinę, która z kolei dotykała zęba od prostej strony, i wprawiało koło w ruch; kiedy jednak wahadło wracało, szczecina stykała się ze ściętą stroną zęba i koło się nie poruszało. Jeśli oznaczyło się zęby numerami, można było po ustaniu ruchu wahadła policzyć, o ile zębów koło się poruszyło, a tym samym poznać liczbę cząstek czasu, jaki minął.

– W ten sposób nie musisz za każdym razem liczyć: jeden, dwa, trzy i tak dalej, ale kiedy ci powiem „dość”, zatrzymasz wahadło i policzysz zęby, pojmujesz? I zapiszesz, ile ich było. Potem patrzysz na zegar i piszesz: godzina ta a ta. A kiedy znowu „już” mówię, ty dajesz z wigorem impuls i wahadło znowu się buja. Proste, dziecko nawet zrozumie.

Pewnie, nie chodziło tu o wielkie wahadło i ojciec Kacper dobrze to wiedział, ale o tym zagadnieniu dopiero zaczęto dyskutować i dopiero za jakiś czas można było budować doskonalsze wahadła.

– Rzecz niełatwa i trzeba nam niejednego się jeszcze nauczyć, ale gdyby Pan Bóg nie zakazywał *die Wette*... jak to mówisz, obstawiania...

– Zakładów.

– Otóż to. Gdyby Bóg nie zakazywał, mógłbym się założyć, że w przyszłości wszyscy długości szukać będą i wszystkich innych fenomenów ziemskich, korzystając z wahadła. Ale to bardzo trudne na statku i musisz uważać.

Kacper polecił Robertowi ustawić oba mechanizmy – oraz ułożyć obok przybory do pisania – na kasztelu rufowym, najwyższym punkcie obserwacyjnym na „Dafne”, tam gdzie umocują Instrumentum Arcetricum. Wynieśli z zasobni wihajstry, które Robert widział, ścigając Intruza. Nietrudno było je przenieść, z wyjątkiem metalowej misy, która została wyciągnięta na pokład wśród przekleństw i po wielu nieudanych próbach, gdyż nie mieściła się na schodach. Ale ojciec Kacper – choć taki wychudzony – kiedy doszło do realizacji jego planów, ujawnił siły fizyczne nieustępujące siłom ducha.

Prawie bez pomocy wszedł na górę z narzędziem do zaciskania ćwieków, z urządzeniem złożonym z żelaznych półobręczy i drążków oraz, jak się okazało, z kolistą podstawą, do której za pomocą pierścieni przymocowali okrągłe płótno, tak że w końcu uzyskali jakby wielką misę w kształcie półkuli i o średnicy około dwóch metrów. Trzeba było ją nasmołować, aby nie przeciekał przez nią cuchnący olej z baryłek, którym Robert napełnił potem misę, uskarżając się przy tym na wielką plugawość płynu, ale ojciec Kacper, rozanielony jak braciszek kapucyn, przypomniał, że nie służy on do przysmażania cebulki.

– Do czegóż więc?

– Spróbujemy na tym małym morzu jeszcze mniejszy statek puścić. – I przy pomocy Roberta umieścił w wielkim płóciennym basenie misę metalową, prawie płaską, o średnicy nieco tylko mniejszej od średnicy zbiornika. – Nigdy żeby ktoś mówił, że morze jest jak oliwa gładkie, nie słyszałeś? Oto widzisz już, że pokład pochyla się w lewo, a olej w wielkim naczyniu na prawo i *vice versa*, albo tak ci się wydaje, bo naprawdę olej jest zawsze w równowadze, nie podnosi się ani opada, i równoległy do horyzontu. Nie inaczej gdyby woda tam była, ale na oleju jest mała miska jak na morzu w czas ciszy. A ja już mały eksperyment w Rzymie zrobiłem z dwiema małymi miskami, większą pełną wody i drugą z piaskiem, i w piasek mały patyk wetknąłem i umieściłem małą, żeby pływała w dużej, i dużą ruszałem, i ty mogłeś patyk prosty jak kampanila widzieć, a nie pochylony jak wieże w Bononii!

– *Wunderbar!* – wykrzyknął ksenoglota Robert. – Co teraz?

– Wyjmiemy teraz miskę małą, że mamy na niej całą machinę umocować.

Miska wyposażona była w drobne, rozmieszczone od zewnętrznej strony sprężynki, tak by pływając w większej misie – wyjaśniał ojciec – zawsze znajdowała się w odległości co najmniej palca od dna zbiornika, a jeśliby jakiś nadmierny ruch gościa pchnął ją zbytnio w dół („Jakiego gościa?" – spytał Robert. „Zaraz zobaczysz" – odparł zakonnik), dzięki tym sprężynom wynurzy się bez nadmiernych wstrząsów. Od wewnętrznej strony należało umocować fotel o pochylonym oparciu, aby półleżący na nim człowiek mógł patrzeć do góry, oparłszy się stopami o żelazną płytę służącą za przeciwwagę.

Ustawili basen na pokładzie, unieruchomili go za pomocą podpórek, ojciec Kacper zasiadł w fotelu i wyjaśnił Robertowi, jak ma umocować mu do ramion, przysznurowując w talii, zbroję ze skórzanych i płóciennych pasów, a do niej z kolei czepiec w kształcie hełmu. W hełmie był otwór na oko, z nasady nanośnika sterczał pręt z pierścieniem na końcu. W ów pierścień wsuwało się lunetę, z której odchodziła w dół do policzka sztywna oś. Hiperbolą Oczu można było dowolnie poruszać, aż wypatrzyło się dane ciało niebieskie, a gdy tylko znalazło się pośrodku soczewek, zahaczało się sztywną oś o bandoliery piersiowe i od tego momentu, dzięki unieruchomieniu owego cyklopa, miało się zapewniony stały widok.

– Doskonale! – radował się jezuita.

Kiedy miska została umieszczona na spokojnej powierzchni oleju, można było przypatrywać się nawet najbardziej niepewnym ciałom niebieskim, przy czym żadne ruchy wzburzonego morza nie mogły oderwać badającego gwiazdy oka od wybranego przedmiotu obserwacji.

– To właśnie pan Galileusz wymyślił, a ja wykonałem.

– To pięknie – powiedział Robert. – Ale kto umieści wszystko w naczyniu z olejem?

– Teraz się rozwiążę i zejdę, potem my umieścimy pustą misę na powierzchni *oleum*, potem ja wejdę znowu.

– Chyba nie będzie łatwo.

– Dużo łatwiej niż misę ze mną w środku umieścić.

Wymagało to sporego wysiłku, ale w końcu misa z fotelem pływała po powierzchni *oleum*. Potem ojciec Kacper, wraz z hełmem i całą zbroją oraz lunetą umocowaną na przyłbicy, spróbował wspiąć się na rusztowanie przy pomocy Roberta, który podtrzymywał go, jedną ręką ściskając za dłoń, a drugą pchając poniżej pleców. Próbowali kilka razy, ale z miernym powodzeniem.

Nie o to chodzi, że metalowa podstawa podtrzymująca większą misę nie wytrzymywała ciężaru gościa, ale o to, że nie zapewniała żadnego punktu oparcia. Kiedy tylko ojciec Kacper próbował – a próbował parę razy – postawić jedną stopę na metalowym obrzeżu, a drugą natychmiast w mniejszej misie, ta umykała przed ładunkiem i przesuwała się po *oleum* w przeciwną stronę zbiornika, tak że nogi ojca Kacpra rozjeżdżały się jak nóżki cyrkla i zatrwożony zakonnik wzywał Roberta na ratunek, ten zaś chwytał go w pasie i przyciągał do siebie – można by powiedzieć, ku stałemu lądowi „Dafne” – przeklinając przy tym pamięć Galileusza i chwaląc jego oprawców i prześladowców. W tym momencie wtrącił się ojciec Kacper, który padając w ramiona wybawcy, zapewnił go z jękiem, że owi prześladowcy nie byli zgoła oprawcami, lecz godnymi synami Kościoła, spragnionymi jedynie tego, by stawać w obronie prawdy, i że Galileuszowi okazali ojcowską miłość, a także miłość bliźniego. Potem, nadal w swej zbroi i ze spojrzeniem utkwionym w niebo, z lunetą w poprzek twarzy, niby jakiś Poliszynel z mechanicznym nosem, przypomniał Robertowi, że w każdym razie co do tego wynalazku Galileusz się nie mylił i że po prostu trzeba ponawiać próby.

– A zatem, *mein lieber* Robertus – oznajmił później – może mnie zapomniałeś i myślisz, że jestem żółw, którego przewraca się brzuchem do góry? Dalej, pchnijże mnie raz jeszcze, tak, niech dotknę tego brzegu, tak, w ten sposób nadaje się człowiekowi postawę wyprostowaną.

W toku tych wszystkich zakończonych niepowodzeniem operacji *oleum* nie pozostawało bynajmniej gładkie jak oliwa i po jakimś czasie obaj

eksperymentatorzy byli niczym w galarecie i, co gorsza, przeoliwieni – jeśli kronikarz może pozwolić sobie na taki neologizm bez powoływania się na źródło.

Ojciec Kacper tracił już nadzieję, że zasiądzie na fotelu, ale w pewnym momencie Robert zauważył, iż może należałoby opróżnić zbiornik z oleju, umieścić wewnątrz misę, posadzić na niej zakonnika, a dopiero potem wlać nowy olej, a kiedy poziom *oleum* będzie się podnosił, to samo będzie się dziać z misą z jasno patrzącym, unoszącą się na powierzchni.

Tak zrobili, gdy zbliżała się już północ, przy czym mistrz nie szczędził pochwał uczniowi, który okazał wielką przenikliwość. Może całość nie robiła wrażenia nadmiernie stabilnej, póki jednak ojciec Kacper baczył, żeby nie wykonywać gwałtownych ruchów, mogli z nadzieją spoglądać w najbliższą przyszłość.

W pewnym momencie ojciec Kacper wydał tryumfalny okrzyk: „Ja teraz widzę go!” Przy wydawaniu okrzyku jednak poruszył nosem, luneta, dosyć ciężka, omal nie ześlizgnęła się z okularu, ksiądz poruszył z kolei ręką, by nie rozluźnić uchwytu, ten ruch zachwiał równowagę pleców i misa już się wywracała. Robert rzucił mapę i zegar, podtrzymał Kacpra, przywrócił równowagę całości i zalecił astronomowi, by pozostawał bez ruchu i bardzo ostrożnie przesuwał lunetę, a osobliwie wstrzymał się od wyrażania uczuć.

Następny meldunek został więc wypowiedziany szeptem, który pomnożony przez przyłbicę zabrzmiał chrapliwie jak trąba piekielna.

– Widzę ich znowu. – Rozważnym ruchem Kacper przytwierdził lunetę do napierśnika. – Och, *wunderbar*! Trzy gwiazdki są od Jupitera na wschód, jedna na zachód... Najbliższa zda się najmniejsza i jest... czekaj... zero minut i trzydzieści sekund od Jupitera. Ty pisz. Zaraz dotknie Jupitera, rychło zniknie, ty uważaj i zapisz moment, kiedy zniknie...

Robert, który opuścił swoje stanowisko, żeby ratować mistrza, wziął znowu do ręki tabelę, w którą miał wpisywać czas, ale usiadł tak, że zegary miał za plecami. Obrócił się zbyt gwałtownie i obalił wahadło. Pałeczka zsunęła się ze sznurka. Robert chwycił ją i próbował założyć z powrotem, ale bez powodzenia. Ojciec Kacper krzyczał już, by podawał godzinę,

Robert obrócił się do zegara i trącił piórem kałamarz. Odruchowo postawił go prosto, by nie wyciekł inkaust, ale przewrócił zegar.

– Zanotowałeś godzinę. Ruszże wahadło! – krzyczał Kacper.

A Robert odpowiedział:

– Nie mogę, nie mogę!

– Jak to nie mogę, fujaro?! – I nie słysząc odpowiedzi, wrzeszczał dalej: – Jak to nie mogę, głupcze?! Zaznaczyłeś, zapisałeś, pchnąłeś? Znika, prędzej!

– Przepadło, nie, nie przepadło, wszystko popsułem – oznajmił Robert.

Ojciec Kacper odsunął lunetę od przyłbicy i spojrzawszy z ukosa, zobaczył połamane wahadło, przewrócony zegar, Roberta z rękami w inkauście. Nie wytrzymał i wybuchnął: *Himmelpotzblitzherrgottsakrament!*, aż rozdygotało mu się całe ciało. Przy tym nierozważnym poruszeniu misa nadmiernie się przechyliła i ześlizgnął się do *oleum*; luneta wysunęła mu się z dłoni i z przyłbicy, a następnie, wskutek kołysania wzdłużnego, potoczył się przez cały kasztel, po schodach i runąwszy na pokład, wpadł prosto na zamek armaty.

Robert nie wiedział, czy ratować najpierw człowieka, czy urządzenie. Człowiek, miotając się w zjełczałym *oleum*, krzyknął wspaniałomyślnie, by ratował lunetę, Robert rzucił się więc za umykającą Hiperbolą, lecz odnalazł ją zgniecioną i z rozbitymi soczewkami.

Kiedy wreszcie wydobył z *oleum* ojca Kacpra, który przypominał prosiaka przygotowanego do nadziania na ruszt, ten oznajmił po prostu z heroicznym uporem, że nie wszystko jest stracone. Pozostał jeszcze jeden równie potężny teleskop, osadzony w Strażnicy Maltańskiej. Wystarczy zabrać go z Wyspy.

– Ale jak? – zapytał Robert.

– Wpław.

– Rzekłeś przecież, że nie umiesz pływać i w twoim wieku nie mógłbyś...

– Ja nie, ty.

– Ależ ja też nie mam pojęcia o tym przeklętym pływaniu!

– Nauczysz się.

24

Dialogi o Najważniejszych Układach Świata

Natura tego, co było potem, nie jest zbyt pewna. Nie rozumiem, czy chodzi o kroniki dialogów między Robertem a ojcem Kacprem, czy o notatki, które pierwszy z nich sporządzał po nocach, by w dzień odciąć się drugiemu. Tak czy owak, jest rzeczą oczywistą, że przez cały czas przebywania na pokładzie razem ze starcem Robert nie pisał listów do Pani. Podobnie przechodził stopniowo od życia nocnego do dziennego.

Na przykład dotychczas oglądał Wyspę o pierwszym brzasku, bardzo krótko, albo wieczorem, kiedy traci się poczucie konturów i odległości. Teraz dopiero widział, że następujące po sobie przypływy i odpływy przez jedną część dnia liżą wodami wstęgę piasku oddzielającą morze od lasu, a przez drugą, cofnąwszy się, odsłaniają strefę podwodnych skał, która – wyjaśnił ojciec Kacper – stanowi ostatnie odgałęzienie rafy koralowej.

Między przypływem, czyli wzbiorem, a odpływem – ciągnął wyjaśnienia towarzysz Roberta – mija około sześciu godzin i taki właśnie jest rytm oddechu morza pod wpływem Księżyca. I nie jest zgoła tak, jak mniemano nieraz w dawnych czasach, że te ruchy wodne należy przypisać dyszeniu potwora z otchłani, nie mówiąc już o tym francuskim panu, co twierdził, iż wprawdzie Ziemia nie porusza się z zachodu na wschód, ale, by tak rzec, kołysze się z północy na południe i na odwrót, i w tym periodycznym i naturalnym ruchu morze podnosi się i opada, jak wtedy, gdy ktoś wzrusza ramionami i suknia zachodzi mu wyżej na szyję albo się osuwa.

Problem przypływów kryje w sobie tajemnice, albowiem przy tej sposobności zmieniają się i ziemia, i morze, a wraz z nimi położenie wybrzeży względem południków. Można powiedzieć, że, ogólnie biorąc,

przy nowym księżycu wysoką wodę mamy w południe i o północy, ale potem dzień po dniu zjawisko opóźnia się o cztery piąte godziny i biada, jeśli ktoś o tym nie wie, ponieważ sądząc, że o takiej a takiej godzinie takiego a takiego dnia taki a taki kanał jest żeglowny, wpływa do niego w dniu następnym i osiada na płyciźnie. Nie mówiąc już o prądach wzbudzanych owymi pływami, tak, bywa, potężnych, iż w momencie odpływu żaden statek nie przybije do brzegu.

A poza tym – mówił starzec – dla każdego miejsca, gdzie się znajdziesz, musisz od nowa wykonać rachunek i potrzebne są do tego tablice astronomiczne. Próbował też wyjaśnić Robertowi te rachunki – powiadając na przykład, że trzeba obserwować opóźnienie Księżyca, mnożąc dni księżycowe przez cztery i dzieląc potem przez pięć, albo na odwrót. W każdym razie Robert nie pojmował ni w ząb, a zobaczymy dalej, że ten niedostatek zapału do nauk ściągnie mu na głowę poważne kłopoty. Dziwował się tylko za każdym razem, kiedy linia południka, która winna przebiegać między jednym a drugim cyplem Wyspy, czasem biegła przez morze, czasem przez rafy, i nigdy nie widział, który moment jest tym właściwym. Także dlatego, że bez względu na przypływy i odpływy ta tajemnica morza była dlań mniej ważna niż tajemnica owej linii, za którą Czas się cofa.

Powiedzieliśmy już, że nie miał szczególnej skłonności do niewiary w to, co opowiadał jezuita, często jednak zabawiał się, zachęcając go, by powiedział coś więcej, a potem sięgał po cały zestaw argumentów, jakie słyszał podczas posiedzeń tamtych zacnych ludzi, których jezuita uważał jeśli nie za wysłanników szatana, to przynajmniej za winopijców i brzuchopasów, którzy swój Likejon uczynili z szynku. W ostatecznym jednak rachunku Robertowi trudno było odrzucić fizykę mistrza, który kierując się zasadami tejże fizyki, miał nauczyć go pływania.

W pierwszym odruchu, nie pomyślawszy nawet o swoich przygodach jako rozbitka, oznajmił, że za nic w świecie nie zanurzy się znowu w wodzie. Ojciec Kacper zwrócił mu jednak uwagę, że po katastrofie statku

ta sama woda utrzymała go, a to znak, iż jest żywiołem życzliwym, nie zaś wrogim. Robert odparł, iż woda utrzymała nie jego, ale drewno, do którego był przywiązany, i ojcu Kacprowi niełatwo przyszło go przekonać, że skoro woda utrzymała drewno, rzecz bezduszną, pożądającą otchłani, o czym wie doskonale każdy, kto rzucił kawał drewna z góry, tym bardziej zechce utrzymać istotę żywą, gotową wspierać naturalne tendencje cieczy. Jeśli Robert choć raz rzucił do wody psiaka, winien wiedzieć, że zwierzę to, poruszając łapami, nie tylko utrzymuje się na powierzchni, ale czym prędzej zdąża ku brzegowi. I być może Robert nie wie – dodał Kacper – że kilkumiesięczne dziecko, włożone do wody, umie płynąć, albowiem natura dała nam tę umiejętność tak samo jak każdemu innemu zwierzęciu. Niestety, bardziej niźli zwierzęta skłaniamy się ku przesądowi i błędowi i wzrastając, urabiamy sobie fałszywe pojęcie o przymiotach płynów, tak że wskutek lęku i nieufności tracimy ten przyrodzony dar.

Robert spytał go wówczas, czy on sam, wielebny ojciec, nauczył się pływać, a wielebny ojciec odparł, że nie uważa, iżby był lepszy od innych, którzy unikają czynienia rzeczy dobrych. Przyszedł na świat w krainie bardzo odległej od morza i na pokład statku wstąpił w późnym wieku, kiedy – wyjaśnił – włosy na szyi zjadły mu mole i roztocza, wzrok się zaćmił, zaczęło kapać z nosa, szumieć w uszach, zęby zżółkły, kark zesztywniał, podgardle zwiędło, pięty rwie podagra, skóra się pomarszczyła, czupryna wyblakła, piszczele trzeszczą, ręce drżą, nogi się plączą i z piersi dobywa się flegma od katarów, pociąga więc nosem, a z ust cieknie mu ślina.

Jednak – dodał zaraz – umysł ma zwinniejszy niźli ciało i wie to, co odkryli już mędrcy antycznej Grecji, a mianowicie, że jeśli zanurzy się ciało w cieczy, będzie podtrzymywane i nawet wypierane ku górze przez taką miarę wody, jaką sobą zastąpi, albowiem woda dąży do tego, by zająć miejsce, z którego została wygoniona. I nie jest prawdą, że ciało unosi się albo nie w zależności od swej formy, i w tym mylili się starożytni, mniemali bowiem, iż rzecz płaska pływa, a spiczasta idzie na dno, a gdyby Robert spróbował wcisnąć z całej siły do wody, bo ja wiem, butelkę (która nie jest wszak płaska), poczułby taki sam opór, jak gdyby wpychał tacę.

Trzeba więc zaufać żywiołowi, a wszystko będzie dobrze samo z siebie. Zaproponował, by Robert ułożył się wzdłuż sznurowej drabinki, która zwisa z dziobu, zwanej również drabiną Jakubową, ale przywiązał się także, dla własnego spokoju, do burty – liną, cumą czy sznurem, jak woli. Dzięki temu, kiedy zlęknie się, że idzie na dno, wystarczy mu szarpnąć za sznur.

Nie trzeba mówić, że mistrz w sztuce, której nigdy nie praktykował, nie rozważył mnóstwa kwestii akcydentalnych, zaniedbywanych zresztą również przez starożytnych. Na przykład, ażeby zapewnić uczniowi swobodę ruchów, wyposażył go w linę o znacznej długości, tak że za pierwszym razem, kiedy Robert, jak każdy terminujący w sztuce pływania, znalazł się pod wodą, musiał wybierać spory odcinek cumy i nim dotarł na powierzchnię, połknął tyle słoności, iż tego dnia ani już myślał o podjęciu następnej próby.

Jednak początki dodały mu ducha. Po zejściu na dół Robert spostrzegł, że woda jest nader przyjemna. Przeżycia rozbitka pozostawiły mu wspomnienie zimna i potęgi, a teraz poczuł, że morze jest prawie gorące, co zachęciło go do pozostawania w zanurzeniu, pozwalał nawet, nie puszczając jednak drabinki, by woda podeszła mu pod brodę. Myśląc, że na tym polega pływanie, delektował się ciepłem i wspomnieniami paryskich wygód.

Odkąd znalazł się na statku, dokonał, jak widzieliśmy, kilku ablucji, ale jak kocię, które wylizuje futerko, ograniczając się do pyszczka i części wstydliwych. Jeśli chodzi o resztę – w miarę jak zacinał się w swojej uporczywej pogoni za Intruzem – stopy coraz bardziej przesiąkały mu brudami z ładowni, a ubranie lepiło się do spoconego grzbietu. W zetknięciu z tym ciepłem obmywającym ciało Robert przypomniał sobie, jak to w pałacu Rambouillet odkrył dwie wanny przeznaczone dla markizy, której troska o czystość ciała była przedmiotem konwersacji w socjecie, niemającej zwyczaju częstego zażywania kąpieli. Nawet najbardziej wyrafinowani z jej gości utrzymywali, że czystość polega na świeżości bielizny, której częste zmienianie było świadectwem wytworności, lecz nie na korzystaniu z wody. I liczne wonne esencje, które markiza rozpylała

wokół siebie, nie były luksusem, lecz – dla niej – koniecznością, wznosiła bowiem w ten sposób zaporę między swoim powonieniem a wydawanymi przez gości aromatami.

Czując się tu bardziej szlachcicem niż w Paryżu, Robert jedną ręką trzymał się z całej siły drabinki, a drugą tarł koszulą i spodniami o spocone ciało, drapiąc jednocześnie palcami jednej nogi piętę drugiej.

Ojciec Kacper obserwował go z zaciekawieniem, ale milczał, pragnąc, by Robert zaprzyjaźnił się z morzem. Lękając się jednak, że umysł Roberta zbytnio zaprzątnięty jest ciałem, próbował odwrócić bieg jego myśli. Dlatego jął mu opowiadać o pływach morskich i przyciągających przymiotach Księżyca.

Chciał, żeby Robert docenił zjawisko, które miało w sobie coś niewiarygodnego: że skoro pływy związane są z wezwaniami Księżyca, powinny występować, kiedy go widać, a nie występować, kiedy znajduje się on akurat po drugiej stronie naszej planety. A jednak przypływy i odpływy trwają po obu stronach globu, powtarzając się co mniej więcej sześć godzin. Robert nastawiał ucha na dyskurs o pływach i rozmyślał o Księżycu, o którym zresztą przez minione noce więcej myślał niż o pływach.

Spytał, jak to się dzieje, że widzimy zawsze jedną jego stronę, a ojciec Kacper wyjaśnił, że Księżyc krąży jak piłka trzymana na sznurze przez atletę, który kręci nią, ale widzi ją tylko od swojej strony.

– Ale – nie dawał za wygraną Robert – tę stronę widzą i Indianie, i Hiszpanie, tymczasem na Księżycu inaczej się dzieje z ich księżycem, który tam nazywają Łonem, a którym jest nasza Ziemia. Mieszkańcy świata subłonowego, którzy zaludniają stronę zwróconą ku nam, widzą Łono zawsze, Przyłonianie zaś, którzy zaludniają drugą hemisferę, wcale go nie znają. Wyobraź sobie, jak to jest, kiedy wyprawiają się na tę stronę. Kto wie, co czują, gdy widzą, jak rozbłyskuje nocą krąg piętnaście razy większy od naszego Księżyca! Boją się, że lada moment spadnie im na głowy, jak starożytni Galowie bali się, że spadnie na nich niebo! Nie mówię nawet

o tych, którzy zamieszkują na granicy dwóch hemisfer i Łono widzą stale na linii horyzontu!

Jezuita pozwolił sobie na ironiczne i aroganckie uwagi na temat bajań o mieszkańcach Księżyca. Ponieważ ciała niebieskie nie mają tej samej natury co nasza Ziemia, nie nadają się więc zgoła do tego, by gościć żywe stworzenia, dlatego lepiej pozostawić je zastępom anielskim, które mogą poruszać się dusznie wśród krystalicznych sfer niebieskich.

– Jakże mogą niebiosa być z kryształu? Przecież komety, przemykając między nimi, byłyby je potłukły.

– Któż rzekł, iż komety przechodzą przez rejony eteryczne? Komety przemierzają rejony sublunarne, a tam jest powietrze, jakie i ty widzisz.

– Nic się nie porusza, co nie byłoby ciałem. Atoli kręgi niebieskie się poruszają. Są zatem ciałem.

– Bylebyś mógł gadać, co ci ślina na język przyniesie, gotówżeś stać się arystotelikiem. Ale ja wiem, dlaczego tak mówisz. Chcesz, by także w kręgach niebieskich było powietrze, i wtedy nie znalazłbyś różnicy pomiędzy tym, co na górze, i tym, co na dole. Wszystko się kręci, a Ziemia porusza zadkiem niby jaka dziewka.

– Przecież każdej nocy widzimy gwiazdy w odmiennym położeniu...

– Słusznie. W rzeczy samej poruszają się.

– Czekaj, nie skończyłem. Chcesz, by Słońce i wszystkie ciała astralne, które są wszak ogromne, krążyły dokoła Ziemi co dwadzieścia cztery godziny i by gwiazdy stałe, czyli wielki pierścień, w jakim są osadzone, przemierzały ponad dwadzieścia siedem tysięcy razy dwieście milionów mil? Tak by jednak być musiało, gdyby Ziemia nie obracała się wokół siebie raz na dwadzieścia cztery godziny. Jak to się dzieje, że gwiazdy stałe mkną tak szybko? Każdemu, kto by na nich mieszkał, zakręciłoby się w głowie!

– Jeśliby tam kto mieszkał. Ale to tylko *petitio principi*. I Kacper zwrócił uwagę, że łatwo wynaleźć jeden jedyny argument za ruchem Słońca, a wiele ich jest przeciwko ruchowi Ziemi.

– Wiem dobrze – odparł Robert – że Eklezjastes powiada: *terra autem in aeternum stat, sol oritur*, i że Jozue zatrzymał Słońce, a nie Ziemię. Ale ty sam przecież nauczałeś mnie, że czytając Biblię dosłownie, będziemy mieli światło, nim Bóg stworzy Słońce. Tak więc Świętą Księgę czytamy ze szczyptą rozsądku i nawet święty Augustyn wiedział, że przemawia ona często *more allegorico*...

Ojciec Kacper uśmiechnął się tylko i przypomniał, że od dawna już jezuici nie zapędzają swoich przeciwników w kozi róg kruczkami zaczerpniętymi z Pisma, lecz sięgając po niedające się podważyć argumenty oparte na astronomii, rozsądku, racjach matematycznych i fizycznych.

– Jakie to racje masz na myśli, na przykład? – spytał Robert, zeskrobując trochę tłuszczu z brzucha.

– Na przykład potężny Argument z Kołem – odpowiedział urażony ojciec Kacper. – Teraz ty mnie słuchaj. Pomyśl o kole, dobrze?

– Myślę o kole.

– Pochwalam, bo to znak, że ty też myślisz, miast jak małpa być i powtarzać, coś usłyszał w Paryżu. Teraz ty pomyśl, że to koło na oś nasadzone jest jak koło garncarskie i ty chcesz, żeby się kręciło. Co robisz ty?

– Kładę dłonie, może tylko palec, na brzegu koła, poruszam palcem i koło się kręci.

– Nie myślisz ty, że zrobiłbyś lepiej, gdybyś wziął oś w środku koła i spróbował nią kręcić?

– Nie, tak by się nie dało...

– Otóż to! A twoi uczniowie Galileusza i Kopernika chcą umieścić nieruchome Słońce w środku świata, by wokół siebie wielki krąg planet poruszało, i nie myślą, że ruch z wielkiego kręgu niebios dany jest, a Ziemia tkwi nieruchomo w środku. Jakże mógł Pan Bóg umieścić Słońce w maleńkim miejscu, a podległą zepsuciu i ciemną Ziemię pośród gwiazd świetlistych i wiecznych? Rozumiesz swój błąd?

– Ależ Słońce musi być w środku świata! Ciała w przyrodzie potrzebują owego ognistego rdzenia i tego, by znajdował się w środku królestwa natury i zaspokajał potrzeby wszystkich części. Czy przyczyna płodna nie musi być w środku wszystkiego? Czy natura nie umieściła nasienia w przyrodzeniu, pośrodku między głową a stopami? I czy nasiona nie znajdują się w środku jabłka? Czy orzech nie jest wewnątrz skorupki? Tak zatem Ziemia, która potrzebuje światła i ciepła od tego ognia, kręci się wokół niego, by przyjmować we wszystkich swych częściach słoneczne przymioty. Byłoby rzeczą śmieszną mniemać, że Słońce kręci się wokół punktu, który na nic mu się nie zda, i byłoby to tak, jakby na widok pieczonego skowronka powiedzieć, że przy pieczeniu obracano wokół niego kominek...

– Czyżby? To kiedy biskup krąży wokół kościoła, by pobłogosławić go trybularzem, chciałbyś ty, żeby kościół kręcił się wokół biskupa? Słońce może krążyć, bo jest żywiołem ognistym. A wiesz dobrze, iż ogień ulatuje i porusza się, i nigdy nie tkwi. Czy kiedy góry poruszające się ty widziałeś? A poza tym, jak porusza się Ziemia?

– Promienie słoneczne, uderzając, wprawiają ją w ruch, jak można, uderzając ręką, potoczyć piłkę, a jeśli jest mała, nawet oddechem... A poza tym chcesz, by Bóg pchnął Słońce, które jest czterysta trzydzieści razy większe od Ziemi, po to tylko, by dojrzewała nam kapusta?

Pragnąc nadać tej ostatniej obiekcji jak największą siłę wyrazu, Robert wyciągnął palec w stronę ojca Kacpra i w tym celu poruszył ramieniem, a także nogami – by oddalić się od statku i mieć lepszy widok na zakonnika. Przy tym ruchu rozluźnił też chwyt drugiej ręki, odchylił głowę do tyłu i znalazł się nagle pod wodą, przy czym, jako się rzekło, nie mógł podciągnąć się na linie, a to ze względu na jej nadmierną długość. Zachował się w tej sytuacji tak jak każdy tonący: zaczął się rzucać bez ładu i składu, napił się jeszcze więcej wody, aż wreszcie ojciec Kacper napiął należycie cumę i przyciągnął go do drabinki. Robert wspiął się na nią, przysięgając, że nigdy już nie zejdzie do morza.

– Jutro spróbujesz znowu. Woda z solą jest jak lekarstwo, nie należy uważać, że to coś bardzo złego – pocieszył go na pokładzie ojciec Kacper.

Kiedy zaś Robert przystąpił do łowienia ryb, żeby w ten sposób pojednać się z morzem, Kacper jął wyjaśniać mu, ile, i to jakich, korzyści będą mieli obaj z tego, że dotrze na Wyspę. Nie mówiąc nawet o odzyskaniu łodzi, dzięki której mogliby krążyć, jak przystało ludziom wolnym, między okrętem a brzegiem i mieliby dostęp do Strażnicy Maltańskiej.

Z tego, co pisze Robert, trzeba nam ciągle wysnuwać wniosek, że wynalazek wykraczał poza jego możliwości zrozumienia – lub że wykład ojca Kacpra na ten temat, podobnie jak wiele innych jego wyjaśnień, był usiany elipsami i eksklamacjami, przez które zakonnik opisywał raz kształt, raz działanie, raz Ideę Przewodnią.

Ta Idea nie wyszła zgoła od niego. O Strażnicy dowiedział się, szperając w papierach zmarłego konfratra, ten zaś przejął ją od innego konfratra, który podczas podróży na szlachetną nader wyspę Maltę, czyli Melitę, usłyszał, jak wychwalano to urządzenie, zbudowane z rozkazu Najznakomitszego Księcia Johannesa Paulusa Lascarisa, Wielkiego Mistrza tych sławnych Kawalerów.

Jak wygląda Strażnica, nie wiedziano, nikt jej bowiem nie widział. Po pierwszym konfratrze został zeszycik ze szkicami i notatkami, co gorsza, też już zaginiony. A z drugiej strony – żalił się Kacper – owa broszurka „była bardzo zwięźle napisana, nie zawierała żadnego schematu *visualiter patefacto*, żadnych *tabulae* ni *rotulae*, żadnych stosownych wskazówek”.

Na podstawie tych skąpych danych ojciec Kacper, zapędziwszy do pracy cieśli pokładowych, podczas długiego rejsu na „Dafne” od nowa zaprojektował, źle może rzecz rozumiejąc, rozmaite elementy technasmy, a potem zmontował na Wyspie i docenił *in loco* niezliczone przedmioty – a Strażnica musiała być naprawdę wcieloną Ara Magna, aczkolwiek wykonaną tylko z drewna, żelaza, płótna i innych substancji, rodzajem Mega Horologium, Żywą Księgą zdolną odsłonić wszelkie tajemnice Uniwersum.

Była – zapewniał ojciec Kacper, a oczy żarzyły mu się jak dwa węgle – Jedyną Syntagmą Najnowszych Instrumentów Fizycznych i Matematycznych „dzięki swym sztucznie rozmieszczonym kółkom i cyklom”. Potem rysował ją palcem na pokładzie lub w powietrzu i mówił, aby Robert pomyślał tylko o pierwszej części kolistej, jakby podstawie lub podwalinie, która wskazuje Nieruchomy Horyzont wraz z Rumbem i jego trzydziestoma dwoma Wiatrami, jako też całą sztukę Nawigacji wraz z zapowiedziami wszelkiej burzy.

– Część Środkową – ciągnął później – co na podstawie zbudowana jest, wyobraź sobie jako *Cubus* o pięciu bokach (wyobraziłeś sobie?), *nein*, nie o sześciu, szósty na podstawie spoczywa i tego nie widzisz. Na pierwszym boku owej Kostki *id est Chronoscopium Universalis*, potem osiem kółek z nieprzerwanymi obrotami, urządzone tak, by było je widać, a Kalendarz Juliański i Gregoriański przedstawiające i kiedy przypadają Niedziele i Epakta, i Krąg Słoneczny, i Święta Ruchome i Wielkanocne, i Nów, Pełnia, Kwadry Słońca i Księżyca. Na drugim boku Kostki *id est das Cosmigraphicum Speculum, in primo loco* widać Horoscopium i dzięki niemu o jakiej na Melicie godzinie jaka godzina w reszcie świata jest, znaleźć można. I znajdziesz Koło z dwiema Planisferami, z których pierwsza pokazuje i przekazuje o całym Pierwszym Kręgu wiedzę, druga Ósmej Sfery i Gwiazd stałych doktrynę i ruch. Oraz przypływ i odpływ albo opadanie i wzbieranie mórz ruchem Księżyca w całym Uniwersum pobudzanych...

Była to najciekawsza strona. Dzięki niej można było poznać owo Horologium Catholicum, o którym już się mówiło, wraz z godzinami w miejscach jezuickich na każdym południku. I nie tylko, pełniło bowiem funkcję zacnego astrolabium, jako że pokazywało długość dni i nocy, wysokość Słońca z proporcją Prostych Cieni oraz wznoszeniem się prostym lub ukośnym, długość zmierzchów, kulminację gwiazd stałych w poszczególnych latach, miesiącach i dniach. Na tym boku się skupiwszy, ojciec Kacper doszedł do pewności, że znalazł się w końcu na Południku Antypodycznym.

Potem był trzeci bok, który w siedmiu kółkach mieścił całość Astrologii, wszystkie przyszłe zaćmienia Słońca i Księżyca, wszystkie wizerunki astrologiczne na czas upraw, medycyny, sztuki nawigacyjnej, wraz z dwunastoma znakami niebieskich siedzib i fizjonomią rzeczy naturalnych, które od każdego znaku zależą, oraz odpowiednim Domem.

Nie ośmielę się streścić całego omówienia, jakie podał Robert, i przejdę do czwartej strony, która miała ponoć wyrażać wszystkie cuda medycyny botanicznej, spagirycznej, chemicznej i hermetycznej, wraz z lekarstwami prostymi i złożonymi, dobytymi z substancji mineralnych i zwierzęcych oraz z „Alexipharmaca przyciągającą, uśmierzającą, przeczyszczającą, rozmiękczającą, ułatwiającą trawienie, drżącą, zlepiającą, apertywną, rozgrzewającą, ochładzającą, oczyszczającą, łagodzącą, przecinającą, usypiającą, moczopędną, narkotyczną, żrącą i wzmacniającą”.

Nie potrafię podać wyjaśnień, więc zmyślam nieco, jeśli chodzi o piątą stronę, będącą... jak by to powiedzieć... dachem Cubusa, paralelnym do linii horyzontu, przysposobionym jako sklepienie niebieskie. Ale wspomina się też o piramidzie, która nie mogła mieć podstawy równej bokowi sześcianu, bo wtedy zakryłaby piątą stronę, i która zapewne okrywała w takim razie cały Cubus jak namiot – jedynie wówczas musiałaby być z materii przezroczystej. Pewne jest natomiast to, że jej cztery ściany miały przedstawiać cztery strefy świata, a dla każdej alfabety i języki rozmaitych ludów wraz z elementami pierwotnego Języka Adamowego, hieroglifami Egipcjan i pismem Chińczyków i Meksykanów. Ojciec Kacper określał ją terminami „Sphynx Mystagoga, Oedipus Aegyptiacus, Monada Hieroglificzna, Clavis Convenientia Linguarum, Theatrum Cosmographicum Historicum, Architektura Osobliwa Nowa, Latarnia Kombinatoryczna, Mensa Izydy, Metametricon, Synopsis Anthropoglottogonica, Basilica Cryptographica, Amphiteatrum Sapientiae, Cryptomenesis Patefacta, Catoptron Polygraphicum, Gazophylacium Verborum, Mysterium Artis Steganographicae, Arca Arithmologica, Archetypon Polyglotta, Eisagoge Horapollinea, Congestorium Artificiosae

Memoriae, Pantometron de Furtivis Literarum Notis, Mercurius Redivivus, Etymologicon Lustgärtlein!”

Fakt, iż cała ta wiedza miała pozostać ich osobistym udziałem, albowiem byli skazani na to, że nie znajdą już drogi powrotnej, nie budził troski jezuity, czy przez ufność w zrządzenia Opatrzności, czy przez miłość do wiedzy samej w sobie – nie wiadomo. Uderzające jest jednak dla mnie to, że w tym momencie Robertowi nawet nie zaświtała w głowie choćby jedna realistyczna myśl i że zaczął patrzeć na dotarcie do Wyspy jak na wydarzenie, które nada, i to raz na zawsze, sens jego życiu.

Przede wszystkim, jeśli chodzi o Strażnicę, nękała go jedna myśl: że to Oraculum powie mu, gdzie jest w tej chwili i co robi Pani. To dowód, że zakochanemu, nawet oderwanemu od pożytecznych zatrudnień cielesnych, nie warto opowiadać o Zwiastunach Syderalnych, gdyż zawsze szuka wiadomości o swej pięknej trosce i drogim sercu zmartwieniu.

Poza tym, bez względu na to, co miał mu do powiedzenia mistrz pływania, marzył nie o Wyspie, jaką miał przed oczami w teraźniejszości, którą sam zamieszkiwał, ale o tej spoczywającej na mocy boskiego dekretu w nierzeczywistości i niebycie dnia poprzedniego.

Rzucając się w toń, rozmyślał o nadziei na dotarcie do Wyspy, która była wczoraj i której symbolem była w jego oczach Gołębica Koloru Pomarańczy, o Wyspie nieosiągalnej, jakby umknęła w przeszłość.

Rządziły nim niejasne koncepty, przeczuwał, że pragnie czegoś innego niż ojciec Kacper, ale nie wiedział na razie wyraźnie, czego mianowicie. I musimy zrozumieć tę jego niepewność, był bowiem w dziejach rodzaju ludzkiego pierwszym człowiekiem, który miał możliwość popłynąć dwadzieścia cztery godziny wstecz.

Tak czy owak, wmówił sam sobie, że naprawdę musi nauczyć się pływać, a wiemy wszyscy, że tylko dobra motywacja pomoże przełamać tysiączne lęki. Dlatego widzimy, jak następnego dnia podejmuje nową próbę.

Na tym etapie nauki ojciec Kacper wyjaśniał mu, że jeśli puści drabinkę i zacznie swobodnie poruszać rękami, jakby w zgodzie z rytmem kompanii

muzyków, nadając nogom ruchy byle jakie, morze go utrzyma. Skłonił go do próby przy napiętej linie, a potem rozluźniał ją bez uprzedzenia, zawiadamiając o tym dopiero, kiedy uczeń nabrał pewności siebie. I rzeczywiście, kiedy tylko Robert się o tym dowiedział, zaraz poczuł, że idzie na dno, ale krzycząc, instynktownie zrobił gwałtowny ruch nogą i wyłonił się na powierzchnię.

Próby trwały dobre pół godziny i Robert zaczął sobie uświadamiać, że może utrzymać się na wodzie. Ledwie jednak spróbował wykonać jakiś gwałtowniejszy ruch, natychmiast głowa poszła mu pod wodę. Wówczas ojciec Kacper zachęcił go, by wykorzystał tę tendencję do powierzenia się wodzie, trzymając głowę odchyloną, ile tylko się da, ciało sztywne i lekko wygięte, a kończyny rozstawione, jakby chciał dotknąć nimi obwodu koła. Poczuje się jak w hamaku i będzie mógł trwać w tej pozycji całymi godzinami, a nawet spać, całowany przez fale i ukośne słońce pory przedwieczornej. Skąd ojciec Kacper wiedział o tym wszystkim, samemu przecież nie umiejąc pływać? To *Theoria Physico-Hydrostatica* – wyjaśniał.

Niełatwo było przyjąć odpowiednią pozycję i Robert omal nie udusił się cumą, plując wodą i kichając, ale wydało mu się w pewnym momencie, że osiągnął równowagę.

Po raz pierwszy poczuł, że morze jest mu przyjazne. Zgodnie ze wskazówkami ojca Kacpra zaczął nawet poruszać rękami i nogami: unosił odrobinę głowę, odrzucał ją następnie do tyłu, przywykł nawet do tego, że czuje w uszach ciśnienie wody. Mógł teraz mówić, wykrzykiwać tak, by słyszano go na pokładzie.

– Jeśli chcesz, możesz się teraz obrócić – powiedział mu w pewnym momencie Kacper. – Opuszczasz prawe ramię, by zwisało pod twoim ciałem, unosisz lekko lewy bark i już płyniesz brzuchem w dół!

Nie pomyślał, żeby nakazać mu wstrzymanie oddechu, gdyż przyjmie przecież pozycję z twarzą w wodzie, i to w wodzie, która tylko czeka, by wtargnąć w nozdrza intruza. W księgach poświęconych Mechanice Hydrauliko-Pneumatycznej nic na ten temat nie napisano. W ten sposób

wskutek *ignoratio elenchi* ojca Kacpra Robert wypił następną konew słonej wody.

Teraz jednak umiał już się uczyć. Dwa czy trzy razy spróbował obrócić się wokół własnej osi i pojął zasadę, którą przyswoić sobie musi każdy pływak, to jest, że kiedy ma się głowę pod wodą, nie należy oddychać – nawet nosem – ani dmuchać z całej siły, jakby się chciało wyrzucić z płuc tę odrobinę powietrza, której tak się przecież potrzebuje. Choć wydaje się to zgodne z instynktem, wcale takie nie jest, o czym świadczy ta historia.

Zrozumiał w końcu, że łatwiej mu leżeć na wznak, z twarzą do góry, niż odwrotnie. Mnie wydaje się inaczej, ale Robert nauczył się najpierw unosić w ten sposób i przez dzień czy dwa nie zmieniał pozycji. Jednocześnie prowadził dialog o najważniejszych systemach.

Wrócili do rozmowy o ruchach Ziemi i ojciec Kacper zaprzątnął mu umysł Argumentem z Zaćmieniem. Zabierając Ziemię ze środka świata, a w jej miejsce wkładając Słońce, trzeba Ziemię umieścić pod Księżycem albo nad nim. Jeśli umieścimy ją pod, nigdy nie dojdzie do zaćmienia Słońca, gdyż Księżyc, przebywając ponad Słońcem i Ziemią, nigdy nie znajdzie się między Ziemią a Słońcem. Jeśli umieścimy ją nad, nie będzie nigdy zaćmienia Księżyca, gdyż Ziemia, znajdując się w górze, nigdy nie wejdzie między Księżyc a Słońce. Co gorsza, astronomia nie mogłaby już czynić tego, co zawsze czyniła z takim powodzeniem, to jest przepowiadać zaćmień, ponieważ wszystkie rachunki opiera na ruchach Słońca; gdyby zatem Słońce tkwiło nieruchomo, byłby to daremny trud.

Potem rozważyli Argument ze Strzelcem. Jeśliby Ziemia obracała się raz na dwadzieścia cztery godziny, to kiedy wystrzeliłoby się strzałę z łuku prosto w górę, spadłaby po stronie zachodniej, wiele mil od strzelającego. I jest to zupełnie tak samo jak w Argumencie z Wieżą. Jeśli zrzuci się jakiś ciężar po zachodniej stronie wieży, winien on upaść nie u stóp budowli, lecz w znacznym od niej oddaleniu, czyli nie powinien spadać prostopadle, tylko ukośnie, w tym bowiem czasie wieża (z całą ziemią) poruszy się ku wschodowi. Ponieważ jednak wszyscy wiedzą z doświadczenia, że ów ciężar spada prostopadle, ruch Ziemi okazuje się bajką.

Nie wspominając już o Argumencie z Ptakami, które, gdyby Ziemia robiła jeden obrót na dobę, nigdy nie mogłyby pokonać jej ruchu, choćby wcale się nie nużyły. A widzimy przecież, że kiedy jedziemy konno w kierunku słońca, byle ptak może nas dogonić i przegonić.

– No dobrze. Nie umiem odpowiedzieć na twoje obiekcje. Słyszałem jednak, że nakazując ruch Ziemi i wszystkim planetom, wstrzymując zaś Słońce, można wyjaśnić mnóstwo zjawisk, a Ptolemeusz musiał wynajdować epicykle i deferensy, i mnóstwo innych bajań, których nie ma ani w niebie, ani na ziemi.

– Ja wybaczam ci, jeśli ty *Witz* zrobić chcesz. Jeśli jednak mówisz poważnie, powiadam tobie, że nie jestem poganinem jak Ptolemeusz i wiem bardzo dobrze, ile błędów on popełnił. Dlatego mniemam, że wielki Tycho z Oranienburga myśl wielce słuszną powziął. Pomyślał, że wszystkie znane nam planety, to znaczy Jupiter, Mars, Wenus, Merkuriusz i Saturn, wokół Słońca krążą, ale Słońce wraz z nimi wokół Ziemi krąży, wokół zaś Ziemi Księżyc, a Ziemia tkwi nieruchomo w środku sfery z gwiazd stałych. Tak wyjaśnisz te błędy Ptolemeusza i herezji nie gadaj, bo Ptolemeusz błędy czynił, a Galileusz herezje gadał. I nie musisz ty wyjaśniać, jak się dzieje, że Ziemia, choć taka ciężka, krąży po niebie.

– A jak się poruszają Słońce i gwiazdy stałe?

– Ty mówisz, że ciężkie są. Ja nie mówię. To ciała niebieskie, a nie sublunarne! Ziemia, owszem, ciężka jest!

– Jak więc się dzieje, że okręt z setką armat krąży po morzach?

– Morze go ciągnie, wiatr go pcha.

– No to, jeśli można powiedzieć rzeczy nowe, nie drażniąc rzymskich kardynałów, słuchałem w Paryżu pewnego filozofa, który utrzymuje, że kręgi niebieskie są z materii ciekłej jak morze i krążą dokoła, tworząc jakby morskie topiele... *tourbillons*...

– A to co takiego?

– Wiry.

– Ach, *so*, wiry, *ja*. I co robią owe wiry?

– Otóż owe wiry wciągają planety w swe wirowanie i wir to ciągnie Ziemię wokół Słońca, ale porusza się wir. Ziemia jest nieruchoma w ciągnącym ją wirze.

– Brawo, signor Roberto! Nie chciałeś, żeby niebiosa z kryształu były, bałeś się bowiem, by komety ich nie potłukły, ale podoba ci się, iż są płynne i ptaki mogą w nich się potopić! Zresztą ta idea z wirami wyjaśnia, jak Ziemia wokół Słońca krąży, ale nie wyjaśnia, że wokół samej siebie się kręci, jakby dziecinnym bąkiem była.

– Tak, ale ten filozof powiadał, że także w tym wypadku powierzchnia morza i wierzchnia skorupa naszego globu wirują, a głęboki środek tkwi w bezruchu. Zdaje mi się.

– Jeszcze głupsze niż przedtem. Gdzie ten pan raczył to wszystko opisać?

– Nie wiem, chyba nie chciał tego opisać ani ogłosić drukiem. Nie chciał drażnić jezuitów, których bardzo miłuje.

– W takim razie ja wolę pana Galileusza, który myśli heretyckie miał, ale wyznał je miłującym go kardynałom i nikt go nie spalił. Mnie się nie podoba ten drugi pan, który ma myśli jeszcze bardziej heretyckie i nie wyznaje ich nawet jezuitom, którzy są jego przyjaciółmi. Może Bóg pewnego dnia Galileuszowi przebaczy, ale jemu nie.

– Wydaje mi się jednak, że poprawił pierwszą ideę. Podobno całe olbrzymie nagromadzenie materii od Słońca po gwiazdy stałe kręci się po wielkim kole, niesione przez ten wicher...

– Czy nie mówiłeś, że kręgi niebieskie są płynne?

– Może nie, może są wielkim wichrem...

– No widzisz! Sam nie wiesz...

– Otóż ten wicher pędzi wszystkie planety wokół Słońca i jednocześnie sprawia, że Słońce obraca się wokół siebie. W ten sposób mamy mniejszy wiatr, który wlecze Księżyc wokół Ziemi, a Ziemię wokół niej samej. Nie można więc powiedzieć, że rusza się Ziemia, bo rusza się wiatr. Tak samo, gdybym spał na „Dafne”, a „Dafne” płynęła ku tej wyspie na zachodzie, przemieściłbym się z jednego miejsca w drugie, a nikt nie mógłby

powiedzieć, że poruszyło się moje ciało. Jeśli zaś chodzi o ruch dobowy, to tak, jakbym siedział na obracającym się wielkim kole garncarskim i z pewnością najpierw pokazałbym ci twarz, a potem plecy, choć to nie ja bym się ruszał, tylko koło.

– To hipoteza godna szelmy, który chce być heretykiem, ale na heretyka nie wyglądać. A ty mówisz mi teraz, gdzie są gwiazdy. Także cała Ursa Maior i Perseusz kręcą się w tym wirze?

– Ależ wszystkie gwiazdy, które widzimy, są równie samotne i każda jest środkiem swojego wiru, i cały świat jest wielkim wirowaniem wirów razem z niezliczonymi słońcami i niezliczonymi planetami, nawet dalej niż nasze oko widzi, a każda ma swoich mieszkańców!

– Aha! Tu cię mam i twoich heretyckich przyjaciół! Tego chcecie, niezliczonych światów!

– Musisz przecież zgodzić się na choć jeden więcej. Inaczej gdzie Bóg umieściłby piekło? Wszak nie w trzewiach Ziemi.

– Czemuż to nie w trzewiach Ziemi?

– Albowiem – i Robert powtórzył w sposób niezbyt dokładny argument zasłyszany w Paryżu, a ja nie potrafię ocenić słuszności jego rachunków – średnica środka Ziemi ma dwieście mil włoskich, a jeśli podniesiemy je do sześcianu, otrzymamy dwieście i czterdzieści tysięcy stóp angielskich, i ponieważ Pan nasz musiał przydzielić każdemu z potępionych co najmniej sześć stóp kubicznych, piekło mogłoby gościć ledwie czterdzieści milionów potępionych, co wydaje mi się liczbą niewysoką, jeśli weźmie się pod uwagę wszystkich niegodziwców, jacy żyli tu od Adama do dzisiaj.

– Tak byłoby – odparł ojciec Kacper, nie zniżając się nawet do sprawdzenia tego komputu – gdyby skazani wraz z ciałami znajdowali się w środku. Ale tak jest dopiero po Wskrzeszeniu Ciał na Sądzie Ostatecznym! A wtedy nie będzie ni Ziemi, ni planet, ale inne nieba i nowe ziemie!

– Zgoda, jeśli to tylko duchy potępieńców, tysiące milionów zmieszczą się nawet na czubku szpili. Ale są wszak gwiazdy, których nie widzimy gołym okiem, lecz tylko przez twoją lunetę. Czyż więc nie możesz

pomyśleć, że luneta sto razy potężniejsza pozwoli ci zobaczyć inne gwiazdy, a tysiąc sto razy potężniejsza jeszcze odleglejsze i tak *ad infinitum*? Chcesz wyznaczyć granice dziełu stworzenia?

– Biblia o tym nie mówi.

– Biblia nie mówi też o Jowiszu, a przecież wpatrywałeś się w niego tamtego wieczoru przez swoją przeklętą lunetę.

Jednak Robert wiedział już, jakie prawdziwe zastrzeżenie zgłosi jezuita. Będzie podobne do tego, z którym wystąpił ksiądz owego wieczoru, kiedy Saint-Savin wyzwał go na pojedynek: że jeśli jest nieskończoność światów, Odkupienie traci sens i trzeba wyobrazić sobie nieskończenie wiele Kalwarii, a o naszej ziemskiej rabatce myśleć jako o szczególnym punkcie kosmosu, na który zezwolił Bóg swemu Synowi zstąpić, by uwolnił nas od grzechu, innym zaś światom nie została przyznana taka łaska – ku niesławie Jego nieskończonej dobroci. I rzeczywiście taka była właśnie reakcja księdza Kacpra, co pozwoliło Robertowi znowu go zaatakować.

– Kiedy doszło do adamowego grzechu?

– Moi konfratrzy rachunki matematyczne bezbłędne zrobili na Pisma podstawie. Adam zgrzeszył trzy tysiące dziewięćset osiemdziesiąt cztery lata przed przyjściem naszego Pana.

– Otóż nie wiesz może, iż podróżnicy wracający z Chin, w tym wielu twoich konfratrów, znaleźli spisy chińskich monarchów i dynastii, i z owych spisów wynika jasno, że Królestwo Chin istniało ponad sześć tysięcy lat temu, a zatem przed upadkiem Adama, a skoro tak jest z Chinami, podobnie może być z wieloma jeszcze narodami. Tym samym upadek Adama, odkupienie Żydów i wspaniałe prawdy naszego Świętego Kościoła Rzymskiego od tych faktów pochodzące dotyczą jedynie części ludzkości. I jest część ludzkości niedotknięta grzechem pierworodnym. Nie uszczupla to ani trochę nieskończonej dobroci Pana Boga, który postępował względem Adamitów jak ojciec z przypowieści o synu marnotrawnym, dla nich tylko poświęcając swego Syna. Ale jak ojciec, każąc zabić utuczone cielę dla syna, który zgrzeszył, nie przestał kochać jego dobrych i cnotliwych braci, tak i sam Stwórca nasz miłuje najczulej Chińczyków

i innych, co urodzili się przed Adamem, i cieszyć się należy, iż nie popadli oni w grzech pierworodny. Skoro tak się stało na ziemi, czemu nie miałoby tak być na gwiazdach?

– Któż ci naplótł takich dupereli?! – wrzasnął rozwścieczony ojciec Kacper.

– Wielu o tym mówiło. A pewien arabski uczony powiedział, że można to wywnioskować także z pewnego ustępu Koranu.

– I powiadasz ty mnie, że Koran może być dowodem czegokolwiek? O Boże Wszechmogący, spuść piorun na tego próżnego pyszałka, nadętego, bezczelnego wichrzyciela, buntownika, ludzką bestię, fujarę, psa i diabła, przeklętego i parszywego kundla, aby jego noga nie stanęła już na tym statku!

I ojciec Kacper uniósł linę i trzasnął nią jak z bicza, najpierw uderzając Roberta w twarz, a potem luzując sznur. Robert poszedł głową pod wodę, zaczął się miotać, wymachując rękami, nie zdołał ściągnąć dość liny, by ją napiąć, krzyknął: „Ratunku!”, pijąc przez cały czas wodę, a ojciec Kacper odkrzyknął, że chce zobaczyć, jak szarpie linę i dusi się w męce konania, by wreszcie runął do piekła, gdzie jest miejsce takiego jak on grubianina.

Ponieważ jednak miał serce chrześcijańskie, to kiedy uznał, że Robert poniósł wystarczającą karę, wyciągnął go w końcu na górę. W ten sposób na ten dzień skończyła się lekcja pływania i astronomii i obaj ruszyli bez słowa w swoją stronę, by ułożyć się do snu.

Następnego dnia pojednali się jednak. Robert wyznał, że on w tę hipotezę z wirami właściwie nie wierzy i myśli raczej, iż nieskończona mnogość światów to skutek zawieruchy atomów w pustce, co nie wyklucza w gruncie rzeczy istnienia opatrznościowej Istoty Boskiej, która wydaje tym atomom rozkazy i rozmieszcza je według swoich dekretów, jak nauczył go Kanonik z Digne. Jednak ojciec Kacper odrzucał także tę myśl, musiałaby bowiem istnieć pustka, w której poruszają się atomy, Robert zaś utracił już wszelką chętkę na prowadzenie dysput z ową Parką tak wspaniałomyślną, że miast przeciąć sznur łączący go z życiem, zbytnio go wydłużała.

Uzyskawszy obietnicę, że jego życiu nic już nie zagrozi, wrócił do swoich eksperymentów pływackich. Ojciec Kacper namawiał go do wykonywania w wodzie ruchów, jest to bowiem zasada konieczna wszelkiej sztuki pływania, i proponował powolne ruchy rąk i nóg, jednak Robert wolał unosić się gnuśnie na morzu.

Ojciec Kacper pozwalał na tę gnuśność i korzystał z niej, by wyłożyć następne argumenty przeciwko ruchowi Ziemi. *In primis*, Argument ze Słońcem. Otóż gdyby to Słońce tkwiło nieruchomo, my zaś dokładnie w południe patrzylibyśmy na nie ze środka pokoju przez okno, Ziemia natomiast kręciłaby się z prędkością, o jakiej się mówi – a musiałaby być niemała, skoro pełny obrót wykonywałaby w dwadzieścia cztery godziny – otóż Słońce w jednej chwili zniknęłoby nam z oczu.

Jako następny szedł Argument z Gradem. Czasem pada przez całą godzinę, ale bez względu na to, czy chmury pędzą na wschód czy zachód, północ czy południe, nigdy nie pokrywa pól na przestrzeni większej niż dwadzieścia cztery mile, a najwyżej trzydzieści. Gdyby jednak Ziemia się obracała, a wiatr gnał chmury gradowe naprzeciw jej biegowi, grad musiałby pokryć co najmniej trzysta albo czterysta mil pola.

Potem przyszła kolej Argumentu z Białymi Chmurami, które płyną w powietrzu przy ładnej pogodzie – zawsze tak samo powoli. Gdyby zaś Ziemia się obracała, te płynące na zachód musiałyby osiągać ogromną prędkość.

Na zakończenie padł Argument ze Zwierzętami Lądowymi, które instynktownie winny zawsze biec ku wschodowi, zgodnie z ruchem Ziemi, bo ma ona nad nimi władzę; winny natomiast okazywać wielki wstręt do poruszania się w stronę zachodnią, albowiem czułyby, iż jest to ruch przeciw naturze.

Robert przez jakiś czas przełykał wszystkie te argumenty, ale potem sprzykrzyły mu się i całej tej nauce przeciwstawił Argument z Pragnieniem.

– W końcu przecież – oznajmił – nie odbierzesz mi przyjemności mniemania, że mógłbym wzbić się do lotu i patrzeć przez dwadzieścia cztery godziny, jak Ziemia obraca się pode mną, wraz z nią przesuwa się

tyle rozmaitych twarzy, białych, czarnych, żółtych, oliwkowych, w kapeluszach albo turbanach, i miast z dzwonnicami to spiczastymi, to krągłymi, zwieńczonymi krzyżem lub półksiężycem, i miast z porcelanowymi wieżami, przysiółków z chatynkami, i Irokezów gotujących się do zjedzenia żywcem jeńca wojennego, i białogłów z ziemi Tesso zajętych malowaniem sobie na niebiesko warg dla najbrzydszych mężczyzn na naszej planecie, i tych z Kamulu, które mężowie dają w darze pierwszemu lepszemu, jak donosi w swej księdze Marco Polo, wielmożny pan Milion...

– Sam widzisz. Jako rzekłem. Kiedy o swojej filozofii w szynku myślisz, zawsze masz myśli lubieżne! A gdybyś takich myśli nie miał, tę podróż mógłbyś mieć, gdyby Bóg dał ci łaskę, ażebyś ty okrążył Ziemię, co nie byłoby zgoła mniejszą łaską, niż zawiesić ciebie w powietrzu.

Robert nie był przekonany, ale nie umiał już przystąpić do ataku czołowego. Wybrał więc drogę okrężną, wychodząc od innych zasłyszanych argumentów, które również wydawały mu się niesprzeczne z ideą Boga opatrznościowego, i zapytał Kacpra, czy zgodzi się uznać naturę za majestatyczny teatr, w którym oglądamy tylko to, co Autor zechciał umieścić na scenie. Z naszego miejsca nie widzimy teatru takim, jakim jest w istocie, albowiem dekoracje i machiny ustawiono tak, by pięknie wyglądały z daleka, ale kółeczka i kontrwagi, które wszak są przyczyną ruchu, pozostają ukryte przed naszymi oczami. Jeśli jednak na widowni jest ktoś obyty ze sztuką, może odgadnąć, jak osiąga się to, by mechaniczny ptak zerwał się do lotu. Tak powinien postępować filozof w obliczu spektaklu natury. Pewnie, dla filozofa sprawa jest trudniejsza, bo w naturze sznury od machin są ukryte tak zmyślnie, że długo zastanawiano się, kto nimi porusza. Jednak także w naszym teatrze, kiedy Faeton pnie się ku słońcu, zawdzięcza to temu, że ciągnie go jakiś sznur, a kontrwaga się opuszcza.

Ergo (tryumfował w końcu Robert, odnajdując powód, dla którego zapuścił się w te dywagacje), na scenie widzimy słońce, które się obraca, lecz natura machiny jest inna i my nie potrafimy spostrzec tego za

pierwszym razem. Widzimy spektakl, lecz nie widzimy krążka dającego Febowi ruch – i w tym punkcie Robert zaplątał się, ponieważ przyjmując metaforę z krążkiem, gubi się metaforę z teatrem, i całe jego rozumowanie stało się tak *pointu* – jak by powiedział Saint-Savin – że straciło wszelką ostrość.

Ojciec Kacper odpowiedział, że jeśli człowiek chce, by maszyna śpiewała, musi stosownie ukształtować drewno i metal, rozmieścić dziurki albo wyregulować struny i pocierać o nie smyczkami bądź – jak on sam uczynił na „Dafne” – wymyślić urządzenie wodne, a przecież, kiedy otworzymy gardło ptaszkowi, nie widzimy żadnej machiny tego rodzaju, co stanowi znak, iż Bóg kroczy po innych niż my ścieżkach.

Potem zadał pytanie, czy Robert, spoglądający tak przychylnym okiem na niezliczone układy słoneczne krążące w niebie, nie mógłby przyznać, że każdy z tych układów jest cząstką układu większego, ze swej strony obracającego się wewnątrz układu jeszcze większego, i tak dalej – skoro, wychodząc od tych przesłanek, jest się jak dziewica skuszona przez uwodziciela, która najpierw ulega odrobinkę, a rychło musi ulec bardziej, i znowu bardziej, choć przecież nie wiadomo zgoła, jak daleko można się na tej drodze posunąć.

Pewnie – odparł Robert – wyobrazić można sobie, co kto chce. Można wymyślić wiry bez planet, wiry zderzające się między sobą, wiry nie okrągłe, lecz sześcioboczne, tak by do każdej strony czy też ściany przyłożyć inny wir, żeby wszystkie pasowały do siebie niby komórki w plastrze miodu, albo wiry wielościenne, aby wspierając się jeden na drugim, pozostawiały pustkę, którą natura wypełni innymi, mniejszymi wirami, zazębiającymi się o siebie jak kółeczka w zegarze, całość zaś, umiejscowiona w powszechnym niebie, porusza się sama i niby wielkie koło napędza w środku inne obracające się koła, każde z mniejszych kół poruszających się w jego łonie, przy czym owo koło wielkie dokonuje w niebie ogromnego obrotu, co trwa tysiące lat, może wokół innego wiru wirów wirów... I w tym momencie Robert omal nie utonął, doznał bowiem zawrotu głowy.

I to była chwila tryumfu ojca Kacpra. W takim razie – wyjaśniał – skoro Ziemia krąży wokół Słońca, a Słońce krąży wokół czego innego (zaniechał tu rozważania możliwości, że to coś innego krąży wokół czegoś jeszcze bardziej innego), mamy do czynienia z problemem *roulette* – o której Robert musiał słyszeć w Paryżu, jako że z Paryża dotarła do Indii między zwolenników Galileusza, którzy uznali ją za odpowiednią do burzenia ładu świata.

– Co to jest *roulette*? – spytał Robert.

– Możesz nazwać ją także trochoidą albo cyklidą, ale to niczego nie zmienia. Ty sobie wyobraź koło.

– To sprzed chwili?

– Teraz ty sobie wyobraź koło od wozu. I ty sobie wyobraź, że na obwodzie tego koła gwóźdź jest. Teraz wyobraź sobie, że koło bez ruchu tkwi i gwóźdź jest nad ziemią. Teraz ty pomyśl, że wóz rusza i koło się kręci. Jak myślisz ty, co z tym gwoździem się stanie?

– No, skoro koło się kręci, w pewnym momencie gwóźdź znajdzie się na górze, a kiedy koło zrobi cały obrót, znowu będzie tuż nad ziemią.

– Myślisz zatem, że ten gwóźdź ruch jako koło wykonał?

– No tak. Z pewnością nie jako kwadrat.

– Teraz posłuchaj, synku. Ty powiadasz, że gwóźdź jest przy ziemi w tym samym punkcie, gdzie przedtem?

– Zaraz, zaczekaj... Nie, skoro wóz ujechał kawałek, gwóźdź jest przy ziemi, ale trochę dalej.

– No to nie zrobił ruchu kolistego.

– Na wszystkich świętych z raju, nie! – wykrzyknął Robert.

– Nie powinieneś ty mówić na wszystkich świętych z raju!

– Wybacz. Jaki więc ruch wykonał?

– Trochoidę wykonał, a żebyś zrozumiał, powiem, że to prawie tak, jak ruch piłki, którą rzucasz przed siebie, i ona odbija się od ziemi, i robi następny łuk koła, i potem znowu, tyle że piłka robi łuki coraz mniejsze,

gwóźdź łuki zawsze takie same robi, jeśli koło z taką samą prędkością jedzie.

– A co to oznacza? – spytał Robert, któremu stanęło już przed oczyma widmo klęski.

– To oznacza, że ty dowieść mnóstwa wirów i nieskończoności światów chcesz i że Ziemia się kręci, aż tu twoja Ziemia nie kręci się już, ale się odbija w nieskończonym niebie jak piłka, pac, pac, pac... Ach, cóż to za piękny ruch dla najszlachetniejszej z planet! I jeśli twoja teoria wirów dobrą jest, wszystkie ciała niebieskie robią pac, pac, pac. A teraz pozwól, że się zaśmieję, bo nigdy się jeszcze tak nie ubawiłem w całym mym żywocie!

Trudno podważyć argument tyleż subtelny i tyleż doskonały pod względem geometrycznym, a co więcej – podany w doskonale złej wierze, bo przecież ojciec Kacper winien wiedzieć, że coś podobnego musiałoby zachodzić, nawet gdyby planety poruszały się tak, jak chciał tego Tycho. Robert poszedł spać mokry, czując się jak zbity pies. W nocy rozmyślał, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nie powinien w tej sytuacji wyrzec się wszystkich swoich heretyckich wyobrażeń o ruchu Ziemi. No cóż – rozważał w duchu – jeśliby ojciec Kacper miał rację i Ziemia by się nie poruszała (w przeciwnym razie poruszałaby się za bardzo i nie dałoby się jej już zatrzymać), czy mogłoby to zagrozić odkryciu Południka Antypodycznego i jego teorii potopu, a w takim razie temu, że Wyspa jest tam, o dzień wcześniej względem dnia, który jest tu? Nijak.

Może więc – rozważał dalej – nie powinienem podważać poglądów astronomicznych mojego nowego mistrza, tylko nauczyć się pływać, by osiągnąć to, co naprawdę mnie obchodzi, a co nie ma nic wspólnego z dowodzeniem, czy rację mieli Kopernik i Galileusz, czy ten dychawiczny Tycho z Uraniborgu – by zobaczyć Gołębicę Koloru Pomarańczy i przejść do dnia poprzedniego, o czym nie marzyli zgoła ani Galileusz, ani Kopernik, ani moi mistrzowie i przyjaciele z Paryża.

Tak więc następnego dnia stanął przed ojcem Kacprem jako uczeń posłuszny zarówno w kwestiach dotyczących pływania, jak i tych astronomicznych.

Jednak ojciec Kacper wymówił się wzburzonym morzem i rachunkami, jakie musi wykonać, i odwołał tego dnia lekcję. Pod wieczór wyjaśnił, że jeśli ktoś chce się nauczyć pływać, musi uczyć się w skupieniu i ciszy, nie zaś bujać w obłokach. Zważywszy na to, że Robert był skłonny do czegoś wręcz przeciwnego, trzeba uznać, iż nie nadaje się do pływania.

Robert zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że jego mistrz, tak dumny z własnego mistrzostwa, rezygnuje raptownie ze swoich planów. I wydaje mi się, że z tych rozważań wysnuł słuszny wniosek. Ojciec Kacper doszedł mianowicie do przekonania, że leżenie, a nawet poruszanie się w wodzie w promieniach słońca wywoła u Roberta wzburzenie umysłu i skłoni go do snucia niebezpiecznych myśli. Oswojenie się z własnym ciałem, zanurzanie się w cieczy, która jest wszak czystą materią, w jakiejś mierze czyniło go bardziej zwierzęcym i skłaniało ku myślom, jakie są właściwe naturom nieludzkim i szalonym.

Tak więc ojciec Wanderdrossel musiał znaleźć inny sposób dotarcia na Wyspę, niezagrażający zbawieniu duszy Roberta.

25

Technica Curiosa

Kiedy ojciec Kacper oznajmił, że znowu jest niedziela, Robert uświadomił sobie, iż minął ponad tydzień od dnia ich spotkania. Ojciec Kacper odprawił mszę, a potem ze stanowczą miną obrócił się w stronę Roberta.

– Nie mogę czekać, aż pływać się nauczysz – powiedział.

Robert odparł, że to nie jego wina. Jezuita przyznał, że może w istocie nie jest to jego wina, ale przez cały ten czas odmiany pogody i dzikie zwierzęta niszczą mu Strażnicę, która przedtem codziennie była doprowadzana do ładu. Dlatego, *ultima ratio*, pozostaje jedno tylko rozwiązanie: na Wyspę uda się osobiście. A na pytanie, jak tego dokona, ojciec Kacper odpowiedział, że spróbuje z Dzwonem Podwodnym.

Wyjaśnił, że od dawna bada możliwości żeglowania pod wodą. Myślał nawet o łodzi z drewna wzmocnionego żelazem i mającej podwójny kadłub, jak gdyby szkatułce z wieczkiem. Statek ten miałby siedemdziesiąt dwie stopy długości, trzydzieści dwie wysokości, osiem szerokości i byłby dość ciężki, by zanurzyć się pod wodę. Poruszałoby go koło z łopatkami, napędzane ze środka przez dwóch mężczyzn, podobnie jak osły wprawiają w ruch kamień młyński. Żeby zaś wiedzieć, dokąd się płynie, na zewnątrz wystawiałoby się *tubospicillum*, lunetę, która dzięki układowi wewnętrznych luster pozwalałaby oglądać ze środka to, co dzieje się na otwartej przestrzeni.

Dlaczego nie zbudował takiej łodzi? Bo tak jest uczyniona natura – odparł – ku upokorzeniu naszej małości. Są pomysły, które na papierze

zdają się bez zarzutu, ale poddane sprawdzeniu okazują się niedoskonałe i nikt nie wie, z jakiej przyczyny.

Jednak ojciec Kacper zbudował Dzwon Podwodny.

– Atoli ciemny gmin, gdyby mu rzec, że ktoś na dno Renu zejść może, zachowując suche suknie, a nawet w rękach ogień w piecyku trzymając, powiedziałby, iż to szaleńczość. A przecież próby eksperymentu dokonano, i to prawie wiek temu, w *oppidum* Toledo w Hiszpanii. I ja dotrę na Wyspę z moim Dzwonem Podwodnym, idąc, jak teraz możesz zobaczyć.

Poszedł do zasobni, która była oczywiście niewyczerpanym magazynem: poza *armamentarium* astronomicznym można tam było znaleźć niejedno. Robert musiał wynosić na pokład dalsze metalowe pręty i półobręcze, a także duży pakunek ze skórą, która pachniała jeszcze swym rogatym dawcą. Na nic zdało się przypomnienie, że jeśli naprawdę jest niedziela, popełniają grzech, pracując w dniu poświęconym Panu. Ojciec Kacper odparł na to, że nie chodzi w tym wypadku o żadną pracę, a już zwłaszcza pracę niewolniczą, lecz o uprawianie najszlachetniejszej ze wszystkich sztuk, i że ich trud przyczyni się do poszerzenia znajomości wielkiej księgi natury. Było to więc jakby medytowanie nad świętymi tekstami, od których księga natury zgoła się nie oddala.

W tej sytuacji Robert musiał wziąć się do roboty, popędzany przez ojca Kacpra, który dołączał doń, kiedy wymagały tego okoliczności, to znaczy przy zespalaniu metalowych elementów przygotowanymi poprzednio złączami. Trudząc się tak przez całe przedpołudnie, zbudował w ten sposób klatkę w kształcie ściętego stożka, niewiele wyższą od człowieka i wspartą na trzech obręczach, z których górna była najmniejsza, a środkowa i dolna kolejno coraz szersze, i które trwały w położeniu względem siebie nawzajem równoległym dzięki czterem nachylonym kołkom.

Do środkowej obręczy przymocował płócienne pętle, w które mógł wsunąć się człowiek – takie, że owinąwszy sobie jeszcze ramiona i pierś, mocował się tym sposobem nie tylko w pachwinie, by nie opadać, ale także unieruchamiał plecy i szyję, aby nie dotknąć górnego kręgu.

Robert zastanawiał się właśnie, do czego może służyć ten zestaw, kiedy ojciec Kacper rozwinął pakunek ze skórą, która okazała się idealnym futerałem czy rękawiczką, czy naparstkiem do nasunięcia na metalowe rusztowanie, co nietrudno było wykonać (przytwierdzało się skórę do środka haczykami), a po skończeniu pracy nie dałoby się całości już obedrzeć ze skóry. A był to rzeczywiście stożek bez czubka, zamknięty od góry, otwarty od dołu – jeśli ktoś chce, rodzaj dzwonu. Między górną a środkową obręczą umieszczono okienko z szybą. Na dachu dzwonu przytwierdzono mocny pierścień.

Teraz Dzwon Podwodny został postawiony obok kabestanu i uczepiony do ramienia, to zaś dzięki stosownemu systemowi krążków umożliwiało unoszenie go, obniżanie, przenoszenie poza burtę, opuszczanie do wody i wciąganie – jak dzieje się z każdą paką, skrzynią czy tobołem, które ładuje się na statek lub z niego wyładowuje.

Nieużywany od wielu dni kabestan trochę zardzewiał, ale w końcu Robert zdołał go uruchomić i podciągnąć Dzwon na pewną wysokość, tak że widać było jego trzewia.

Urządzenie czekało już tylko na przyjęcie pasażera, który wsunąłby się do środka i przysznurował, by zadyndać w powietrzu jak serce dzwonu.

Mógł wejść tam każdy, bez względu na budowę ciała; wystarczyło w tym celu wyregulować pasy, przesuwając i zaciskając klamry i węzły. Odpowiednio przysznurowany mieszkaniec Dzwonu mógł chodzić, zabierając na przechadzkę swoją kabinę, przy czym dzięki taśmom głowa przez cały czas pozostawała na wysokości okienka, a skraj dolny sięgał mniej więcej do łydek.

Teraz Robertowi pozostawało przedstawić sobie – wyjaśniał tryumfalnym głosem ojciec Kacper – co się stanie, kiedy kołowrót opuści Dzwon do morza.

– To, że pasażer utonie – odparł Robert tak, jak odpowiedziałby każdy na jego miejscu.

Ojciec Kacper zaczął mu wyrzucać znikomość wiedzy o „równowadze cieczy”.

– Ty możesz sobie myśleć, że pustka jest gdzieś, jak powiadają ci, którzy ozdobą Synagogi Szatana są, a z którymi zadawałeś się w Paryżu. Może ty jednak przyznasz, że w Dzwonie nie masz pustki, jeno powietrze. A kiedy ty Dzwon pełen powietrza w wodę opuścisz, nie wejdzie woda. Albo powietrze, albo woda.

To prawda – przyznał Robert. Choćby więc nie wiem jak wzburzone było morze, człowiek może kroczyć, a woda nie wejdzie – przynajmniej póki pasażer swym oddechem nie zużyje całego powietrza, przeobrażając je w wapor (jaki widzi się, oddychając w lusterko), który, jako mniej gęsty od wody, ustąpi jej wreszcie miejsca, co dowodzi raz na zawsze – akcentował tryumfalnie ten fakt ojciec Kacper – że natura wstręt do pustki ma. Ale przy dzwonie o takiej pojemności pasażer może liczyć, jak wynika z rachunków ojca Kacpra, na co najmniej trzydzieści minut oddychania. Wyspa zda się bardzo odległa pływakowi, ale na piechotę to mała przechadzka, gdyż mniej więcej w połowie drogi między statkiem a brzegiem zaczyna się rafa koralowa – bo przecież łódź nie mogła tędy przepłynąć i musiała pokonać drogę okrężną, omijając cypel. A w niektórych miejscach korale są tuż pod powierzchnią. Jeśliby rozpocząć ekspedycję w porze odpływu, droga podwodna jeszcze się skróci. Wystarczyło dotrzeć do tych wynurzonych wtedy skał, a jak tylko pasażer znajdzie się na wodzie sięgającej mu do połowy łydki, Dzwon na nowo wypełni się powietrzem.

Ale jak kroczyć po dnie, które musi być najeżone przeszkodami, i jak wspiąć się na rafę, która jest z ostrych kamieni i korali jeszcze ostrzejszych? A poza tym: jak opuści się Dzwon, nie odwracając się w wodzie albo unosząc się na niej dla tych samych przyczyn, dla których człowiek, zanurzywszy się, wypływa zaraz na powierzchnię?

Ojciec Kacper uśmiechnął się tylko przebiegle i dodał, że Robert zapomniał o najważniejszej obiekcji: iż wpychając pod wodę sam Dzwon wypełniony powietrzem, wypchnie się tyle wody, ile wynosi jego objętość, i woda ta będzie ważyła więcej niż ciało, które będzie się w niej zanurzać i któremu z tej przyczyny stawiać będzie wielki opór. Ale w Dzwonie znajdzie się przecież parę funtów człowieka, a poza tym są Metalowe

Koturny. I z miną kogoś, kto o wszystkim pomyślał, poszedł do niewyczerpanej zasobni po wyposażone w żelazne, grube na ponad pięć palców podeszwy trzewiki, które przytwierdzało się do kolan. Żelazo posłuży za balast, a ponadto będzie chroniło stopy wędrownika. Spowolni jego marsz, ale i wyzwoli od troski o nierówności terenu, które zwykle odbierają pewność krokom.

– Jeśli jednak z tej głębiny będziesz zdążał ku brzegowi, przez cały czas będziesz miał pod górkę!

– Ty nie byłeś tu, kiedy kotwicę rzucali! Ja przedtem sondą badałem. Żadna głębina! Gdyby „Dafne” podpłynęła bliżej Wyspy, osiadłaby na mieliźnie!

– Ale jak utrzymasz Dzwon, który opiera ci się na głowie? – spytał Robert.

Ojciec Kacper przypomniał mu, że w wodzie tego ciężaru czuć nie będzie, a gdyby Robert próbował kiedyś wyciągnąć łódź albo wyjąć ręką z kadzi żelazną kulę, sam by wiedział, że największy wysiłek trzeba włożyć poza wodą, nie zaś w zanurzeniu.

Robert, widząc opór starca, próbował przynajmniej opóźnić moment jego klęski.

– Jeśli jednak opuści się Dzwon kołowrotem, jak odczepić potem linę? Przecież będzie cię trzymać i nie oddalisz się wcale od statku.

Kacper odpowiedział, że gdy tylko znajdzie się na dnie, Robert dowie się o tym, bo lina zwiśnie luźno, i wtedy ją przetnie. Może myśli, że on, ojciec Kacper, ma zamiar wracać tym samym sposobem? Jak tylko znajdzie się na Wyspie, pójdzie po łódź i na niej wróci, jeśli Bóg pozwoli.

Kiedy już dotrze do Wyspy i wyplącze się z rzemieni, Dzwon opadnie na ziemię i uwięzi go, ponieważ nie ma tam kabestanu, który by go uniósł.

– Chcesz spędzić resztę życia na Wyspie, zamknięty w Dzwonie?

Starzec odparł, że po uwolnieniu się z rzemiennych majtek wystarczy przeciąć skórę nożem, by wyłonić się jak Minerwa z uda Jowisza.

A jeśli pod wodą napotka którąś z tych wielkich ryb pożerających ludzi? Ojciec Kacper roześmiał się: nawet najgroźniejsza ryba, spotkawszy na swojej drodze samobieżny Dzwon, który przestraszyłby przecież nawet człowieka, będzie tak zbita z pantałyku, że zaraz ucieknie.

– Jednak – rzekł na zakończenie Robert, szczerze zatroskany o przyjaciela – jesteś stary i wątły, jeśli więc ktoś ma spróbować, winienem to być ja!

Ojciec Kacper podziękował mu i wyjaśnił, że on, Robert, dał już wiele dowodów na to, iż jest trzpiotem, nigdy więc nie wiadomo, co mu strzeli do głowy, że on, Kacper, zaznajomił się już nieźle z tą morską odnogą i rafą koralową, a podobne rafy zwiedził gdzie indziej, płynąc płaskodenną łodzią, i że on Dzwon zbudował, zna więc jego zalety i wady, ma też niezłe pojęcie o fizyce hydrostatycznej i będzie wiedział, jak wydobyć się z tarapatów, jeśliby zdarzyło się coś nieprzewidzianego, wreszcie zaś – dodał, jakby chodziło o ostatni argument na jego korzyść – „ja mam wiarę, ty zaś nie”.

I Robert pojął, że w istocie nie była to ostatnia racja, lecz najpierwsza i z pewnością najpiękniejsza. Ojciec Kacper Wanderdrossel wierzył w swój Dzwon tak samo, jak wierzył w swoją Strażnicę, i był przekonany, że powinien go użyć, by dotrzeć do Strażnicy, i że wszystko, co czyni, służy powiększeniu chwały Naszego Pana. A ponieważ wiara wyrównuje góry, z pewnością może pokonać wodę.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko postawić Dzwon na pokładzie i przygotować go do zanurzenia. Ponieważ skóra musiała być tak wyprawiona, by nie przenikała przez nią woda i nie uchodziło powietrze, trzeba było przyrządzić odpowiednią mieszaninę, którą gotowało się na wolnym ogniu, dając trzy funty wosku, jeden weneckiej terpentyny i dwanaście uncji innej tynktury, jakiej używają stolarze. Potem należało nasączyć tą substancją skórę i pozostawić do następnego dnia. I wreszcie inną mazią, złożoną z paku i wosku, wypełnić wszystkie szpary na brzegach okienka, gdzie szybka została poprzednio przymocowana mastyksem, także nasmołowanym.

Omnibus rimis diligenter repletis, jak sam by powiedział, ojciec Kacper spędził noc na modlitwie. Rankiem sprawdzili jeszcze raz Dzwon, wiązania, haki. Ojciec Kacper czekał na moment, kiedy najpełniej będzie mógł wykorzystać odpływ, a słońce znajdzie się dość wysoko, aby oświetlało morze przed jego oczami, a cienie rzucało za niego. Potem padli sobie w ramiona.

Ojciec Kacper oświadczył, że chodzi o przedsięwzięcie radosne i że ujrzy rzeczy zdumiewające, jakich nie oglądali nawet Adam i Noe, i bał się tylko popaść w grzech pychy, był bowiem dumny, iż jako pierwszy człowiek schodzi do świata podmorskiego.

– Ale – dodał – jest to też dowód umartwienia. Skoro Pan Nasz po wodzie chodził, ja pod wodą pójdę, jak przystało grzesznikowi.

Nadszedł moment uniesienia Dzwonu, nałożenia go na ojca Kacpra i sprawdzenia, czy zakonnik może w środku swobodnie się poruszać.

Przez kilka minut Robert śledził wzrokiem ogromnego ślimaka, nie, purchawę, wędrowną bedłkę, która szła powolnym i niezdarnym krokiem, często przystając i wykonując półobroty w jedną lub w drugą stronę, kiedy ksiądz chciał spojrzeć w lewo albo w prawo. Ten ruchomy kaptur nie szedł, lecz raczej próbował figur gawota albo bourée, a brak muzyki sprawiał, że wyglądało to jeszcze niezgrabniej.

W końcu ojciec Kacper, usatysfakcjonowany próbami i głosem, który dobywał się jakby z buta, oznajmił, że można zaczynać.

Podszedł do kołowrotu, a Robert założył hak i zaczął napinać linę, pilnując, czy przy podnoszeniu Dzwonu nogi dyndają i czy starzec nie wysuwa się ze środka albo Dzwon nie wznosi się bez pasażera. Ojciec Kacper kołysał się i grzmiał, że wszystko idzie dobrze, ale trzeba się pospieszyć.

– Te koturny ciągną mi nogi i prawie z brzucha wyrywają! Prędzej, opuść mnie do wody!

Robert wykrzyknął jeszcze parę zdań mających dodać zakonnikowi otuchy i opuścił powoli wehikuł wraz z ludzkim napędem. Co nie było bynajmniej przedsięwzięciem łatwym, jako że sam musiał wykonać pracę

paru majtków. Dlatego wydawało mu się, że opuszczanie nigdy się nie skończy, jakby morze obniżało poziom, w miarę jak mnożył swe wysiłki. Ale w końcu usłyszał plusk, poczuł, że ciężar się zmniejszył, i po paru chwilach (które jemu wydawały się wiekami) kołowrót zaczął się obracać zupełnie luźno. Dzwon znalazł się na dnie. Robert odciął linę i popędził do nadburcia, by spojrzeć w dół. I nie zobaczył nic.

Po ojcu Kacprze i Dzwonie nie pozostał żaden ślad.

– Cóż za jezuicka głowa! – powiedział sobie Robert. – Udało mu się! To dopiero, tam w dole kroczy sobie jezuita, a nikt by się tego nawet nie domyślił. Wszystkie doliny oceanu mogłyby się zaludnić jezuitami i nikt by o tym nie wiedział!

Potem przyszła kolej na myśl ostrożniejszą. To, że ojciec Kacper znajduje się na dole, jest oczywiste, choć niewidoczne. Czy jednak wróci na powierzchnię – jeszcze niepowiedziane.

Wydawało mu się, że woda lekko się wzburzyła. Wybrali rozmyślnie dzień pogodny; podczas przeprowadzania ostatnich działań zerwał się wietrzyk, w tym miejscu marszcząc tylko powierzchnię wody, ale o brzeg Wyspy i wynurzone skały podwodne bijąc już falami, które mogły zakłócić wyłanianie się Dzwonu z morza.

Koło cypla północnego, gdzie brzeg wznosił się stromo, a na górze był prawie płaski, spostrzegł pianę rozbryzgującą się o skały i układającą w powietrzu w kształty jakby białych mniszek. Był to z pewnością skutek tego, że fale rozbijały się o szereg małych głazów, których on nie mógł wypatrzyć, ale ze statku wyglądało to tak, jakby jakiś wąż dyszał z otchłani krystalicznymi płomieniami.

Sam brzeg robił jednak wrażenie spokojniejszego, lekka fala była tylko w połowie drogi i Robert uznał to za dobry znak, wskazywała bowiem miejsce, gdzie rafa sterczała z wody, a więc granicę, za którą ojcu Kacprowi nic już nie będzie groziło.

Gdzie jest jednak starzec? Jeśli ruszył, gdy tylko znalazł się na dnie, winien już przebyć... Ile jednak czasu minęło? Robert stracił poczucie biegnących chwil, z których każda liczyła się za wieczność, raczej więc

pomniejszał przypuszczalny wynik i wmawiał sobie, że starzec dopiero co się opuścił, że może jest jeszcze pod kadłubem i próbuje właśnie wyznaczyć kierunek marszu. Ale w tym momencie zrodziło się w jego głowie podejrzenie, że lina, skręcając się przy opadaniu, obróciła Dzwon, więc ojciec Kacper, nie wiedząc o tym, miał okienko zwrócone na zachód i zdążał teraz ku otwartemu morzu.

Potem powiedział sobie, że kierując się ku otwartemu morzu, każdy by spostrzegł, że idzie w dół, nie zaś pod górę, i zmieniłby marszrutę. Jeśli jednak w tym miejscu dno podnosiło się nieco po stronie zachodniej i wspinający się mógł pomyśleć, że idzie na wschód? Ale odbicia słoneczne wskazałyby, po której stronie porusza się dzienna gwiazda... Czy tam w głębi widać słońce? Czy jego promienie przechodzą, jak przez kościelne witraże, zwartymi wiązkami, czy też rozpraszają się, załamując w kropelkach, tak że mieszkaniec głębin widzi światło jako blask bez żadnego kierunku?

Nie – pomyślał – starzec dobrze wie, dokąd ma iść, może jest w połowie drogi między okrętem a rafą, a nawet już do niej dotarł, teraz zaś zaczyna się wspinać na tych żelaznych podeszwach i zaraz go zobaczę...

Inna myśl: nikt dotychczas nie przebywał na dnie morza. Kto potrafi powiedzieć, czy po paru sążniach nie wchodzi się w całkowitą czerń, zamieszkaną jedynie przez stworzenia, których oczy emanują niewyraźną jasność?... I kto powiedział, że na dnie morza zachowuje się poczucie prostej drogi? Może Kacper krąży w kółko, ciągle wracając w to samo miejsce, aż powietrze z jego płuc przemieni się w wilgoć, która zwabi przyjazną jej wodę do środka Dzwonu...

Wyrzucał sobie, że nie wyniósł na pokład choćby jednej klepsydry. Ile czasu minęło? Może więcej niż pół godziny, a to, niestety, za długo, i sam poczuł, że się dusi. Oddychał więc pełną piersią, wracały mu siły i uznawał, że jest to dowód, iż minęło ledwie kilka chwil i ojciec Kacper ma jeszcze zapas czystego powietrza.

Może jednak starzec ruszył ukośnie i Robert daremnie patrzy przed siebie, jakby tamten miał wynurzyć się gdzieś na linii strzału z arkebuza.

Mógł wielokrotnie zbaczać, szukając najlepszego przystępu do bariery koralowej. Czyż nie powiedział, kiedy składali Dzwon, iż szczęściem jest, że kołowrót opuści go właśnie w tym punkcie? Dziesięć kroków bardziej na północ zapora opadała gwałtownie, tworząc stromy stok, o który zaczepiła kiedyś szalupa, natomiast na wprost przed kołowrotem było przejście i tamtędy przepłynęła łódź, by rzucić kotwicę tam, gdzie zaczynały stopniowo pokazywać się rafy.

Mógł nie utrzymać kierunku i znaleźć się przed ścianą, a teraz idzie wzdłuż niej na południe, szukając jakiegoś przejścia. Albo może na północ. Trzeba przebiegać spojrzeniem cały brzeg, od jednego cypla do drugiego, może wyłoni się gdzieś tam, okryty morskimi bluszczami... Robert obracał głową, patrząc to w jedną, to w drugą stronę zatoki, i bał się, że kiedy wypatruje po lewej, ojciec Kacper wyłoni się po prawej. A przecież na taką odległość od razu udałoby się zobaczyć człowieka, a co dopiero skórzany Dzwon ociekający wodą na słońcu jak para uniesionych dopiero co wioseł...

Ryba! Może naprawdę w tych wodach żyje ryba ludojad, która nie przestraszyła się wcale Dzwonu i połknęła całego jezuitę. Nie, widziałby mroczny cień takiej ryby, jeśli zaś była, musiała pływać gdzieś między statkiem a początkiem skał koralowych, nie dalej. Może jednak starzec dotarł już do tych skał i zwierzęce lub mineralne kolce przebodły Dzwon, tak że uszło z niego całe powietrze, jakie jeszcze pozostało?

Inna myśl: kto mnie zapewni, że powietrza w Dzwonie wystarczy rzeczywiście na tak długo? Tak twierdził jezuita, ale przecież mylił się, kiedy utrzymywał, że urządzenie z misą będzie działać właściwie. W ostatecznym rachunku zacny Kacper okazał się człowiekiem gadającym, co mu ślina na język przyniesie, i być może cała historia o wodach potopu, o południku, o Wyspie Salomona to tylko stek bredni. A zresztą, jeśli nawet nie mylił się co do Wyspy, mógł przecież źle obliczyć ilość powietrza potrzebną człowiekowi. Wreszcie: skąd mam wiedzieć, czy te oleje i esencje naprawdę zatkały wszystkie szpary? Może w tym momencie wnętrze Dzwonu przypomina jedną z tych grot, w których woda tryska zewsząd, może cała skóra przesiąka niczym gąbka, czyż bowiem nie jest

prawdą, że nasza skóra to sito niewidzialnych porów, i musi nawet tak być, skoro właśnie przez nie przenika pot? A jeśli tak jest ze skórą ludzką, czy nie może być podobnie ze skórą wołową? Czy woły się nie pocą? Czy podczas deszczu wół czuje wilgoć także w środku?

Robert załamywał ręce i przeklinał swój pośpiech. To jasne: myślał, że minęły godziny, a tymczasem zegar zdążył ledwie parę razy tyknąć. Powiedział sobie, że on przecież nie ma powodów, żeby drżeć, o wiele więcej ma ich bowiem odważny starzec. Może powinien raczej wspierać jego wyprawę modlitwą albo przynajmniej nadzieją i życzliwością.

A poza tym – mówił sobie – wymyślam zbyt wiele przyczyn tragedii, a przecież to melancholicy płodzą widma, jakich nie jest w stanie wytworzyć rzeczywistość. Ojciec Kacper zna prawa hydrostatyczne, sondował tutaj morze, studiował potop, między innymi badając zwierzęta kopalne, które zapełniają wszystkie morza. Spokój. Wystarczy, bym pojął, że minęło niewiele czasu, a okażę cierpliwość.

Uświadomił sobie, że miłuje tego, który był niegdyś Intruzem, i że płacze na samą myśl, że mogłoby mu się przydarzyć coś złego. Nuże, starcze – szeptał – wracaj, odradzaj się, powstawaj z martwych, na Boga, ukręcimy szyję najtłustszej kurze, chyba nie zechcesz pozostawić na łaskę losu swej Strażnicy Maltańskiej?

I nagle spostrzegł, że nie widzi już skał przybrzeżnych, a więc morze zaczęło się podnosić; słońce, które przedtem widział, nie unosząc głowy, teraz jest nad nim. Tak zatem od zniknięcia Dzwonu Podwodnego minęły nie minuty, ale godziny.

Musiał powtórzyć sobie tę prawdę na głos, by w nią uwierzyć. Brał za sekundy to, co było minutami, wmówił sobie, że ma w piersi oszalały zegar, który pędzi na złamanie karku, a tymczasem jego wewnętrzny zegar wyraźnie się opóźniał. Od nie wiadomo jak dawna mówił sobie, że ojciec Kacper dopiero co znalazł się pod wodą, i czekał na kogoś, komu Bóg wie już kiedy zabrakło powietrza. Nie miał pojęcia, jak długo czekał na ciało, które spoczywało teraz bez życia gdzieś w tej rozległości.

Co mogło się zdarzyć? Wszystko, wszystko, o czym pomyślał – i co być może ściągnął przez swój nieszczęsny strach, on, rzucający złe uroki. Zasady hydrostatyczne ojca Kacpra mogły okazać się złudą, może woda przenika do Dzwonu właśnie od dołu, zwłaszcza jeśli osoba przebywająca wewnątrz wyrzuca ze środka powietrze – cóż mógł wiedzieć Robert o równowadze cieczy? Może uderzenie o wodę było za gwałtowne i Dzwon się obrócił. Albo ojciec Kacper potknął się w połowie drogi. Albo zabłądził. Albo serce siedemdziesięciokilkulatka nie dorównywało jego zapałowi i zawiodło. A wreszcie kto wie, czy na takiej głębokości ciężar wody morskiej nie może zgnieść skóry, jak zgniata się cytrynę albo łuska bób?

Skoro jednak nie żyje, czy jego trup nie powinien wypłynąć na powierzchnię? Nie, był przykuty do dna żelaznymi podeszwami, od których jego biedne nogi oderwą się dopiero wtedy, gdy działanie wody i mnóstwa małych żarłocznych rybek zostawi z niego tylko szkielet...

Potem nagle pojawiło się radosne przeczucie. Co też mu chodzi po głowie? Ależ oczywiście, przecież sam ojciec Kacper powiedział, że Wyspa, którą widzi przed sobą, nie jest Wyspą dzisiejszą, lecz wczorajszą. Po drugiej stronie południka jest nadal dzień poprzedni! Czyż mógł zobaczyć teraz na tamtej plaży, gdzie było jeszcze wczoraj, osobę, która zeszła do wody dzisiaj? Z pewnością nie. Starzec zanurzył się wczesnym rankiem w poniedziałek, ale chociaż na statku mamy poniedziałek, na Wyspie jest jeszcze niedziela, tak więc starca wyłaniającego się przy brzegu zobaczy dopiero jutro, kiedy na Wyspie nastanie poniedziałek...

Muszę poczekać do jutra – powiedział sobie. A potem: ale Kacper nie może czekać całej doby, bo nie starczy mu powietrza! I dalej: przecież to ja muszę odczekać całą dobę, on po prostu wkroczył w niedzielę, jak tylko przeszedł linię południka. Boże mój, w takim razie wyspa, którą widzę, jest Wyspą niedzielną, a skoro dotarł tam w niedzielę, powinienem go już widzieć! Nie, wszystko mi się pomieszało. Wyspa, którą widzę, jest Wyspą dzisiejszą, to niemożliwe, bym zobaczył przeszłość jak w czarodziejskiej kuli. Owszem, na Wyspie, ale tylko tam, jest wczoraj. Skoro zatem widzę

Wyspę dzisiejszą, winienem widzieć jego, który wczoraj na Wyspie już się znalazł i przeżywa drugi raz niedzielę... Poza tym, bez względu na to, czy dotarł tam wczoraj, czy dziś, musiał zostawić na plaży wybebeszony Dzwon, a tego nie widzę. Mógł jednak zanieść go w zarośla. Kiedy? Wczoraj. Wniosek: uznajmy, że to, co widzę, jest Wyspą niedzielną. Muszę doczekać do jutra, by zobaczyć, jak wychodzi na brzeg w poniedziałek...

Możemy przyjąć, że Robert postradał zmysły, i nie bez powodu: jakkolwiek by liczył, rachunek nie mógł się zgodzić. Paradoksy czasu także nas doprowadzają do utraty zmysłów. Było więc rzeczą normalną, że nie wiedział już, co ma czynić, i w rezultacie musiał zrobić to, co zrobiłby każdy prócz tamtego, ofiary własnych nadziei. Nim pogrążył się w rozpaczy, postanowił poczekać do następnego dnia.

Jak spędził ten czas, trudno odtworzyć. Chodził w jedną i drugą stronę po pokładzie, nie dotykał jedzenia, rozmawiał z samym sobą, z ojcem Kacprem, z gwiazdami i być może znowu sięgnął po okowitę. Faktem jest, że w dniu następnym, gdy noc się rozjaśnia i niebo nabiera barwy, a później po wschodzie słońca, widzimy go ogarniętego coraz większym napięciem w miarę mijania godzin, wzburzonego między jedenastą a południem, tracącego głowę między południem a zmierzchem, a w końcu uznającego rzeczywistość – i tym razem bez cienia wątpliwości. Wczoraj, z pewnością wczoraj ojciec Kacper zanurzył się w wody australnego oceanu i ani wczoraj, ani dzisiaj z nich nie wyszedł. A ponieważ cud Południka Antypodycznego rozgrywa się między wczoraj a jutro, nie zaś między wczoraj i pojutrze albo jutrem i przedwczoraj, było rzeczą pewną, że z tego morza ojciec Kacper już nie wyjdzie.

Zawładnąwszy pewnikami nie tylko matematycznymi, ale również kosmograficznymi i astronomicznymi, biedny przyjaciel Roberta jednak zginął. Nie można było nawet powiedzieć, gdzie jest jego ciało. Gdzieś pod wodą, w bliżej nieokreślonym miejscu. Być może pod powierzchnią przepływają jakieś gwałtowne prądy i ciało znalazło się już na otwartym morzu. Albo nie, pod „Dafne” jest rów, jar, Dzwon tam osiadł i starzec nie

mógł się wydostać, tracąc daremnie skąpy oddech, coraz bardziej wodnisty, na wzywanie pomocy.

Być może, chcąc uciec, uwolnił się od wiązań, pełny jeszcze powietrza Dzwon uleciał w górę, ale części żelazne wstrzymały pierwszy rozpęd i zawiesiły go pośrodku wód, nie wiadomo gdzie. Ojciec Kacper próbował pozbyć się butów, ale nie zdołał. Teraz jego ciało bez duszy, przykute do skał, chwieje się w zakolu niby jakaś alga.

Kiedy Robert tak rozmyślał, wtorkowe słońce świeciło mu już w plecy, a chwila śmierci ojca Kacpra Wanderdrossla oddalała się coraz bardziej.

Zmierzch za ciemną zielenią Wyspy i styksowym morzem nadawał niebu barwę oczu człowieka chorego na żółtaczkę. Robert uznał, że przyroda zasmuca się wraz z nim, i – jak zdarza się czasem komuś pozbawionemu na zawsze najdroższej osoby – stopniowo przestawał opłakiwać jej nieszczęście, opłakując własne i odzyskaną samotność.

Kilka dni po swym odejściu ojciec Kacper stał się dlań przyjacielem, ojcem, bratem, rodziną i ojczyzną. Robert zdał sobie sprawę, że znowu jest sam jak palec.

Jednak w tym przygnębieniu nabierała kształtu inna iluzja. Wiedział teraz z całą pewnością, że ucieczki ze swego więzienia musi szukać nie w Przestrzeni, niemożliwej do przebycia, ale w Czasie.

Musi naprawdę nauczyć się pływać i dotrzeć do Wyspy. Nie tyle po to, by znaleźć szczątki ojca Kacpra, zgubione pośród zakamarków przeszłości, ile by powstrzymać straszliwy pochód własnych dni jutrzejszych.

26

Theatrum z Dewizami

Przez trzy dni Robert nie ruszał się od pokładowej lunety (bolejąc nad tym, że druga, mocniejsza, nie nadaje się już do użytku) i wpatrywał się w korony drzew na brzegu. Chciał zobaczyć Gołębicę Koloru Pomarańczy.

Trzeciego dnia otrząsnął się. Stracił jedynego przyjaciela, tkwił tu, zagubiony na najodleglejszym z południków, i pociechą byłby dlań widok ptaka, który być może łopotał skrzydłami tylko w głowie ojca Kacpra!

Postanowił raz jeszcze zwiedzić wnętrze statku, żeby sprawdzić, jak długo utrzyma się przy życiu na jego pokładzie. Kury nadal znosiły jajka, wykluło się ładne stadko piskląt. Warzyw nie przetrwało za dużo, zbyt się już zeschły i można było używać ich jedynie jako karmy dla drobiu. Zostało jeszcze parę baryłek wody, ale jeśli zbierałby wodę deszczową, jakoś by sobie poradził. A wreszcie ryb miał pod dostatkiem.

Potem pomyślał, że nie jedząc świeżych jarzyn, umrze na szkorbut. Były jeszcze uprawy w szklarni, lecz jedynym naturalnym sposobem podlewania był deszcz, jeśliby zaś doszło do długotrwałej suszy, musiałby użyć wody pitnej. A gdyby zdarzyła się burza trwająca kilka dni, miałby wprawdzie wodę, ale nie byłoby mowy o łowieniu ryb.

Pragnąc rozcieńczyć trochę swoje lęki, poszedł do kabiny z organami wodnymi, które ojciec Kacper nauczył go uruchamiać. Słuchał wyłącznie *Daphne*, nie nauczył się bowiem, jak wymieniać cylindry, mimo to słuchanie godzinami tej samej melodii nie sprawiało mu zgoła przykrości. Pewnego dnia „Dafne” zlała się w jego umyśle w jedno z ukochaną kobietą. Czyż Dafne nie zmieniła się w wawrzyn, substancję drzewiastą, a więc

pokrewną tej, z której ukształtowano statek? Melodia wyśpiewywała mu więc Lilię. Jak widzimy, łańcuch skojarzeń nie był zbyt spójny – ale tak właśnie myślał Robert.

Wyrzucał sobie, że dopuścił do tego, by ojciec Kacper odwrócił bieg jego myśli, że podążał za nim w stronę mechanicznych zachcianek, a zapomniał o swych ślubach miłosnych. Ta jedyna pieśń, pieśń o nieznanych mu słowach – jeśli jakieś miała – przeobrażała się w modlitwę, do której codziennego odmawiania chciał zmuszać machinę: *Daphne* wygrywana przez wodę i wiatr w głębi „Dafne” to pamiątka starodawnej przemiany tamtej boskiej Dafne. Co wieczór, ze wzrokiem wbitym w niebo, nucił pieśń ściszonym głosem niby litanię.

Potem szedł do kabiny i pisał znowu do Lilii.

Tak postępując, uświadomił sobie, że poprzednie dni spędzał na pokładzie przy świetle słonecznym, a teraz kryje się z powrotem w tym półmroku, który w rzeczywistości stał się jego środowiskiem naturalnym nie tylko na „Dafne”, nim zetknął się z ojcem Kacprem, ale od chwili kontuzji pod Casale, przed ponad dziesięciu laty.

W gruncie rzeczy nie wierzę, by przez cały ten czas Robert żył, jak przekonywał wielokrotnie, wyłącznie nocami. Że unikał nadmiaru słońca, to podobne do prawdy, ale przecież Lilię śledził za dnia. Przypuszczam, że jego ułomność była bardziej związana z mrocznymi nastrojami niż z zaburzeniami wzroku. Robert tylko w chwilach złego humoru zauważał, że światło go męczy, kiedy zaś kierował umysł ku weselszym myślom, nie zwracał na to uwagi.

Jakkolwiek było wtedy i dawniej, tego wieczoru spostrzegł, że po raz pierwszy zastanawia się nad swą fascynacją mrokami. Pisząc lub unosząc pióro, by umoczyć je w kałamarzu, widział na papierze światło lub coś w rodzaju pozłocistej aureoli, lub jakby woskową i prawie przezroczystą frędzlę, obejmującą kontur jego ciemnych palców. Miał uczucie, że to światło zamieszkuje wnętrze jego dłoni i ujawnia się jedynie przy jej skrajach. Wszystko dokoła było spowite w serdeczny habit kapucyński, w jakąś orzechową świetlistość, która dotykając cienia, w nim umierała.

Wpatrywał się w płomień kaganka i widział, jak rodzą się dwa ognie: jeden płomień czerwony, który zespalał się z materią podlegającą zepsuciu, i drugi, który wznosząc się oślepiająco białym językiem, unicestwiał swój korzeń w barwinkowym wzlocie. Tak samo – powiadał sobie – jego miłość, dla której pożywką jest śmiertelne wszak ciało, daje życie niebiańskiej zjawie ukochanej.

Minęły dni, kiedy ją zdradzał, i pragnął teraz uczcić swe pojednanie z cieniem, wyszedł więc na pokład, między cienie kładące się wszędzie – na statek, na morze, na Wyspę, gdzie dostrzegał już tylko brunatniejące szybko wzgórza. Wspomniawszy rodzime pola, szukał wzrokiem świetlików, tych żywych, skrzydlatych iskierek błądzących pośród mroczniejących opłotków. Nie ujrzał ich, pomedytował nad oksymoronami Antypodów, gdzie świetliki świecą, być może, tylko w biały dzień.

Potem położył się na kasztelu rufowym i zapatrzył w księżyc, poddany kołysaniu statku, słuchając dochodzącego od strony Wyspy szumu fal przemieszanego z cykaniem świerszczy lub ich krewniaków z tej hemisfery.

Rozmyślał o tym, że piękność dnia jest jak piękna blondynka, a piękność nocy jak piękna brunetka. Smakował kontrast, jakim była jego miłość do jasnowłosej bogini, spełniana wśród nocnej ciemności. Wspominając włosy barwy dojrzałego zboża, unicestwiające wszystkie inne światła w salonie Arthénice, uznawał za piękność księżyc, który w swej omdlałości rozcieńczał promienie utajonego słońca. Przysiągł sobie, że wykorzysta odzyskane światło dnia, by w błyskach na wodzie odczytywać enkomion złocistości jej włosów i błękitu oczu.

Smakował też jednak piękność nocy, kiedy wszystko zda się spoczywać, a gwiazdy poruszają się ciszej niźli słońce – i sam siebie nakłonił do wiary, że jest jedyną w całej przyrodzie osobą, która pragnie marzyć.

Tej nocy był bliski podjęcia postanowienia, że do końca swoich dni nie opuści okrętu. Ale wzniósłszy spojrzenie do nieba, zobaczył grupkę gwiazd, które ułożyły się niespodziewanie w kontur gołębicy ze skrzydłami podniesionymi do lotu i z gałązką oliwną w dzióbku. Otóż, w istocie, na niebie australnym spostrzeżono co najmniej czterdzieści lat wcześniej,

nieopodal Wielkiego Psa, gwiazdozbiór Gołębia. Prawdę mówiąc, nie jestem jednak pewny, czy Robert z tamtego miejsca, o tej godzinie i o tej porze roku mógł widzieć te właśnie gwiazdy. Ponieważ jednak ten, kto dopatrzył się tam gołębia (jak Johannes Bayer w *Uranometria Nova* i znacznie później Coronelli w *Libro dei Globi*), popisał się fantazją jeszcze większą niż ta, którą miał Robert, powiedziałbym, że pierwszy lepszy układ gwiazd mógł w takim momencie wydać się Robertowi gołębiem dzikim lub oswojonym czy też grzywaczem, turkawką – co kto woli; chociaż zaś rankiem zwątpił w jej istnienie, Gołębica Koloru Pomarańczy zabiła mu ćwieka – albo raczej, jak zobaczymy, był to złoty guz.

Musimy zadać sobie pytanie, dlaczego Robert tak zapalił się do Gołębicy, gdy tylko ojciec Kacper o niej wspomniał, choć przecież Wyspa tyle innych cudów mogła mu obiecać.

W miarę postępów tej opowieści będziemy coraz wyraźniej widzieli, że w umyśle Roberta (który wskutek osamotnienia czuł coraz większy żar w sercu) owa Gołębica, ledwie, ledwie przecież wspomniana, będzie zyskiwać tym więcej życia, im mniej zdoła ją wypatrzyć, stanie się niewidzialnym kompendium wszelkiej namiętności jego rozkochanej duszy, stanie się podziwem, szacunkiem, czcią, nadzieją, zazdrością, zawiścią, oszołomieniem i radością. Nie wiedział zbyt dokładnie (jak nie wiemy i my), czy wcieliła się w Wyspę, Lilię, czy w obie, a może w dzień wczorajszy, do którego wszystkie trzy zostały zesłane przez tego banitę w niekończące się dzisiaj, banitę, którego przyszłość nadejdzie dopiero w jakimś jutrze dnia poprzedniego.

Możemy powiedzieć, że Kacper przywrócił mu pamięć o Pieśni Salomona, którą – cóż za zbieg okoliczności! – jego karmelita czytał mu tyle razy, że Robert zapamiętał ją prawie w całości. I od lat chłopięcych smakował miodopłynne udręki z przyczyny istoty o oczach jak gołębice, z przyczyny gołębicy, której oblicza i głosu szukał w rozpadlinach skalnych... Jednak to wyjaśnienie satysfakcjonuje mnie tylko w pewnej mierze; moim zdaniem, trzeba by wziąć się do „eksplikacji Gołębicy”,

przygotować notatki do przyszłej rozprawki, która miałaby tytuł *Columba Patefacta*, a zamysł ten nie wydaje mi się zgoła czczy, skoro ktoś poświęcił cały rozdział rozważaniom o Sensie Wieloryba, choć chodzi tu o zwierzę albo czarne, albo szare (co najwyżej można wspomnieć o jednym jedynym białym), gdy tymczasem my mamy do czynienia z *rara avis* koloru jeszcze bardziej rarytnego, a w dodatku ludzkość poświęciła mu o wiele więcej rozważań niż wielorybom.

W tym właśnie sedno. Skoro rozmawiał o tym z karmelitą i dyskutował z księdzem Emanuelem, skoro przekartkował tyle ksiąg wielce w tamtych latach cenionych, skoro słuchał w Paryżu wykładów o tym, co nazywano Dewizami albo Obrazami Zagadkowymi, powinien wiedzieć co nieco o gołębiach.

Przypomnijmy, że mówimy o czasach, kiedy wymyślano ciągle na nowo wszelkiego rodzaju obrazy, by odkrywać ich zakryte i pouczające znaczenia. Wystarczyłoby zobaczyć... nie mówię piękny kwiat albo krokodyla, ale koszyczek, schody, przetak czy kolumnę, by podjąć próbę obudowania tego czegoś całą siecią rzeczy, których na pierwszy rzut oka nikt by się tam nie dopatrzył. Nie chcę tutaj zagłębiać się w rozróżnienia między Dewizą a Emblematem ani w to, jak na rozmaite sposoby skojarzyć te obrazy z wierszami i aforyzmami (nie wspominając przy tym, że Emblemat z opisu poszczególnego zdarzenia, niekoniecznie wyrażonego symbolicznie, dobywał pojęcie powszechne, Dewiza zaś zdążała od konkretnego obrazu poszczególnego przedmiotu do jakości albo tematu pojedynczego osobnika; to jakby powiedzieć „będę bielszy niż śnieg” albo „przebieglejszy niż wąż”, albo „prędzej umrę, niż zdradzę”, dochodząc w ten sposób aż do sławnych *Frangar non Flectar* i *Spiritus durissima coquit*), ale ludzie tamtego wieku uznawali za konieczne przekładanie całego świata na las Symboli, Gestów, Rycerskich Gier, Maskarad, Malowideł, Wielkopańskich Herbów, Trofeów, Odznak Honorowych, Ironicznych Figur, rzeźbionych Rewersów monet, Bajek, Alegorii, Apologów, Epigramów, Sentencji, Ekwiwoków, Przysłów, Kompozycji, lakonicznych Epistoł, Epitafiów, Parergów, lapidarnych Rycin, Puklerzy,

Glifów, Pawęży i na tym, jeśli czytelnik pozwoli, poprzestanę – choć nie poprzestawali oni. I każda Dewiza winna być metaforyczna, poetyczna, złożona, owszem, z duszy, którą należy odsłonić, lecz przede wszystkim z wrażliwego ciała, które kierowałoby ku jakiemuś przedmiotowi świata, i winna być ponadto szlachetna, godna podziwu, nowa, a jednak rozpoznawalna, pozorna, a jednak skuteczna, wyjątkowa, dostosowana do przestrzeni, mądra i krótka, dwuznaczna i nieskalana, gminnie enigmatyczna, odpowiednia, pomysłowa, jedyna i bohaterska.

W sumie Dewiza to tajemnicza rozwaga, wyraz zgodności; poezja, która nie śpiewa, lecz składa się z niemej figury i aforyzmu, zatem przemawia do wzroku; wyszukana na tyle jedynie, na ile niedostrzegalna, a jej splendor kryje się pośród pereł i diamentów, które odsłania po jednym. Najwięcej mówiła, najmniej wywołując zgiełku, a tam, gdzie Poemat Epicki wymagał fabuł i epizodów, Historia zaś deliberacji i okrągłych okresów, Dewizie wystarczały dwie kreski i sylaba: jej wonie sączyły się po nieuchwytnej kropelce i wtedy dopiero można było ujrzeć przedmioty okryte zadziwiającą szatą, jak to bywa z Cudzoziemcami i Maskami. Dewiza więcej zakrywała, niż odkrywała. Nie obciążała ducha materią, lecz żywiła go esencjami. Musiała być (sięgając po termin bardzo często wówczas używany i wykorzystany już przez nas) pielgrzymia, ale w znaczeniu obcokrajowa, a obcokrajowa znaczyło obca i dziwna.

Cóż bardziej obcego niż Gołębica Koloru Pomarańczy? I cóż bardziej wędrownego, pielgrzymiego niż gołąb? O tak, gołębica była obrazem obfitującym w symbole, tym przenikliwsze, że wzajemnie sprzeczne.

Pierwsi o gołębicy zaczęli mówić, i jest to naturalne, Egipcjanie – już w czasach, kiedy Horapollon pisał swoje *Hieroglyphica*, i wtedy wśród mnóstwa innych cech przypisywano temu ptakowi największą czystość, do tego stopnia, że kiedy zaraza zatruwała ludzi i rzeczy, czyści pozostawali ci, którzy jedli tylko gołębie. I musimy uznać to za rzecz oczywistą, albowiem jest to jedyne zwierzę pozbawione żółci (to znaczy jadu, jaki inne zwierzęta gromadzą w wątrobie) i już Pliniusz powiadał, że gdy gołębica choruje,

wyszukuje liść wawrzynu i zaraz wraca do zdrowia. A skoro wawrzyn to laur, a laur to Dafne, sami widzimy, o co tu chodzi.

Jednak choć gołębie są takie czyste, stanowią także bardzo niedobry symbol, gdyż spalają się w swej wielkiej rozwiązłości: całe dnie spędzają na wymienianiu pocałunków (wzmagając je, by nawzajem się uciszać) i splataniu języków, skąd wzięło się niejedno wyrażenie lubieżne, na przykład „gruchać jak gołąbki” albo „kochać się jak dwa gołąbki”, i to i owo mogliby tu jeszcze dorzucić kazuiści. Poeci nie zapominali o tych ptakach, nie tylko mając na myśli kochanie się tkliwe, ale i częste. Robert znał zapewne wiersze mówiące: *Kiedy w łożnicy, gdzie pierwsze zapały/ znalazły ujście dla pragnienia żaru,/ lubieżne serca gołębio gruchały,/ by moc spłynęła z pocałunków czaru*. Warto zauważyć, że wszystkie inne zwierzęta mają pory roku na amory, nie ma zaś takiej, by gołąb nie dosiadał gołębicy.

Sięgając do początków, przypomnijmy, że gołębie pochodzą z Cypru, świętej wyspy Wenery. Apulejusz, a przed nim inni, opowiada, że wóz Wenery ciągną śnieżnobiałe gołębice, zwane właśnie ptakami Wenery, a to ze względu na nieumiarkowaną lubieżność. Inni przypominają, że Grecy nazywali gołębicę *peristera*, gdyż w gołębicę została przemieniona przez zazdrosnego Erosa rozkochana w Wenerze nimfa Peristera, która pomogła bogini zebrać więcej kwiatów niż Eros i pokonać go w tej rywalizacji. Co jednak znaczy, że Wenera „kochała” Peristerę?

Elian powiada, że gołębice zostały poświęcone Wenerze, gdyż na sycylijskiej górze Eryks trwało właśnie święto, kiedy bogini przemierzała przestwór nad Libią; tego dnia na całej Sycylii nikt nie widział gołębic, wszystkie bowiem udały się na drugi brzeg morza, by dołączyć do orszaku bogini. Ale dziewięć dni potem z wybrzeży Libii przyleciała na Trinakrię gołębica czerwona jak płomień, wedle słów Anakreonta (i proszę cię, czytelniku, zwróć uwagę na to zabarwienie), i była to sama Wenera, zwana wszak purpurową, a za nią cała gromada innych gołębic. Elian opowiada również o pewnej dziewczynie zwanej Pytia, którą Jowisz, pokochawszy, zamienił w gołębicę.

Asyryjczycy przedstawiali Semiramidę w postaci gołębicy; Semiramida została wykarmiona przez gołębie, a potem przemieniona w gołębicę. Wszyscy wiemy, że nie była niewiastą o zbyt surowych obyczajach, lecz tak piękną, że król induski Skaurobate zakochał się w niej bez pamięci, mimo że była konkubiną króla Asyrii i codziennie popełniała cudzołóstwo, a nawet – jak twierdzi historyk Juba – zakochała się kiedyś w koniu.

Jednak miłosnemu symbolowi można wybaczyć wiele, a i tak nie przestanie nęcić poetów, z których (a wyobraźmy tylko sobie, że Robert mógłby o tym nie wiedzieć) Petrarka zadawał sobie pytanie: *Jakaż łaska czy miłość lub też przeznaczenie – w dłoń wsunie pióro jak gołębica?*, a Bandello pisał: *Ten gołąb jakby wśród pożogi łona,/ płonie żarliwy Amor w ogniu srogim,/ ulata nagle, by poszukać drogi/ do gołębicy, i z pragnienia kona*.

Jednakowoż gołębice są czymś więcej i czymś lepszym od jakiejś Semiramidy i miłujemy je, gdyż mają tę jeszcze czułą ozdobę swego charakteru, że płaczą i skarżą się, miast śpiewać – jakby mimo zaspokojenia całej namiętności nigdy nie mogły się nasycić. *Idem cantus gemitusque* – głosi emblemat Camerariusa; *gemitibus gaudet* – powiada inny, jeszcze bardziej pod względem erotycznym intrygujący. Można się w tym zgubić.

A przecież fakt, że te ptaki całują się i są tak lubieżne – a mamy tu do czynienia ze wspaniałą sprzecznością cechującą gołębia – to dowód, iż są bardzo wierne, i z tej przyczyny uznaje się je za symbol czystości, a w każdym razie w znaczeniu wierności małżeńskiej. Zwrócił na to uwagę już Pliniusz: choć tak są w sobie rozmiłowane, mają wielkie poczucie wstydliwości i wiedzą, co to cudzołóstwo. Ich wierność małżeńską poświadczają zarówno poganin Propercjusz, jak i Tertulian. Powiada się: owszem, samce w tych rzadkich wypadkach, kiedy podejrzewają zdradę, stają się despotyczne, w ich głosie pobrzmiewa skarga, zadają okrutne ciosy dziobem. Lecz zaraz potem, by naprawić winę, samiec zaczyna nadskakiwać samiczce i schlebia jej, krążąc raz po raz dokoła ukochanej. Myśl, że nieumiarkowana zazdrość rozpala miłość, ta zaś od nowa wierność

– i dalejże całować się bez końca i bez względu na porę roku – wydaje mi się bardzo piękna i taka też wyda się, jak zobaczymy, Robertowi.

Jakże nie miłować wizerunku obiecującego wierność? Wierność nawet po śmierci, albowiem ptaki te, utraciwszy towarzysza lub towarzyszkę życia, nie łączą się już z żadnym innym. Gołębica została więc podniesiona do godności symbolu cnotliwego stanu wdowiego, aczkolwiek Ferro przypomina historię pewnej wdowy, która zasmuciwszy się po śmierci męża, trzymała przy sobie białą gołębicę i kiedy jej to wyrzucano, odpowiadała: *dolor non color*, liczy się ból, a nie kolor.

Bez względu na to, czy gołębie są lubieżne, czy nie, ich oddanie sprawom miłosnym kazało powiedzieć Orygenesowi, że są symbolem miłości bliźniego. Z tej przyczyny – pisze święty Cyprian – Duch Święty przychodzi do nas pod postacią gołębicy, a także dlatego, że ptak ten nie tylko nie ma żółci, ale nie drapie pazurami, nie kąsa, z przyrodzenia kocha siedziby człowieka, zna tylko jedno domostwo, karmi swoje małe i spędza żywot na rozmowie, gawędząc w potwierdzonej pocałunkami zgodzie – w tym wypadku niewątpliwej – ze współmałżonkiem. Skąd widać, że pocałunek może być wielkim znakiem miłości bliźniego, i sam Kościół uznaje rytuał pocałunku pokoju. Zwyczajem Rzymian było wymienianie przy powitaniu pocałunku, także między mężczyzną a kobietą. Złośliwi komentatorzy twierdzą, że czynili tak, gdyż niewiastom zabraniano pić wina i przy pocałunku można było sprawdzić, czy nie zalatuje od nich tym napojem, ale przecież za grubiańskich uznawano Numidyjczyków, którzy całowali tylko swoje dzieci.

Ponieważ wszystkie narody uważają powietrze za żywioł najszlachetniejszy, ze szczególną czcią odnoszą się do gołębi, gdyż latają one wyżej niż inne ptaki, a jednak zawsze dochowują wierności swemu gniazdu. Tak samo czynią wprawdzie jaskółki, nikt jednak nie zdołał wzbudzić w nich przyjaznych uczuć do rodzaju ludzkiego ani ich oswoić, jak to uczyniono z gołębiami. Donosi na przykład święty Bazyli, że gołębiarze spryskują gołębia wonnym balsamem i wszystkie inne gołębie, przyciągnięte zapachem, podążają za nim wielką gromadą. *Odore trahit*.

Nie wiem, czy ma to jakiś związek z tym wszystkim, co napisałem powyżej, ale porusza mnie ta wonna życzliwość, ta pachnąca czystość, ta uwodzicielska cnota.

Jednak gołąb jest nie tylko cnotliwy i wierny, ale również pełen prostoty (*columbina simplicitas*: bądźcie ostrożni jak wąż i prości jak gołębica – powiada Biblia), i przez to uznaje się go czasem za symbol życia monastycznego i pustelniczego – ale co to ma wspólnego z tymi wszystkimi pocałunkami, nie każcie mi, błagam, mówić.

Innym powodem zafascynowania jest *trepiditas* gołębicy: jej greckie imię *treron* wzięło się niechybnie od *treo*, „uciekam, drżąc". Wspominają o tym Homer, Owidiusz i Wergiliusz („Lękliwi jako gołąbki w czas mrocznej burzy"), a nie zapominajmy, że gołębie przez całe życie boją się orła albo, co gorsza, sępa. Czytamy u Waleriana, że właśnie przez to zakładają gniazda w miejscach niedostępnych (stąd inicjatywa *Secura nidificat*); a przypomniał o tym już Jeremiasz, który w psalmie 55 woła: „Kto da mi skrzydło gołębicy, abym uleciał i odpoczął?"[1]

Żydzi powiadali, że gołębie i turkawki to ptaki najbardziej prześladowane, a przez to godne ołtarza, lepiej bowiem być prześladowanym niż prześladowcą. Natomiast zdaniem Aretina, który nie był zgoła łagodny jak Żydzi, tego, kto staje się gołębiem, sokół pożre. Ale Epifaniusz twierdzi, że gołąb nigdy nie chroni się przed zasadzkami, a Augustyn wtóruje, mówiąc, że nie tylko gdy chodzi o duże zwierzęta, przed którymi by się nie obronił, ale nawet gdy chodzi o wróble.

Legenda powiada, że w Indiach rośnie drzewo liściaste i okryte zielenią, które po grecku zwie się *paradision*. Prawą część tego drzewa zamieszkują gołębie, które nigdy nie opuszczają jego cienia; gdyby tylko się oddaliły, padłyby ofiarą smoka, ich śmiertelnego wroga. Dla niego wrogiem jest cień drzewa, kiedy więc cień jest po prawej stronie, on czatuje po lewej, i na odwrót.

Mimo jednak swej lękliwości gołąb ma w sobie coś z ostrożności węża i jeśli na Wyspie żyje smok, Gołębica Koloru Pomarańczy wie, jak ma postępować: rzeczywiście, gołębica lata zawsze nad wodą, kiedy bowiem

pojawi się nad nią jastrząb, ona widzi jego odbity obraz. No to jak, broni się czy nie przed zasadzkami?

Przy tych wszystkich rozmaitych i bardzo rozbieżnych przymiotach gołębiowi przypadła także rola symbolu mistycznego i nie muszę nawet zanudzać czytelnika opowieścią o potopie i o tym, jak ten ptak stał się zwiastunem pokoju, jasnego nieba i nowych lądów, które wyłoniły się spod wody. Ale dla wielu świętych autorów jest także emblematem Mater Dolorosa i jej bezradnych łkań. O niej mówi się *intus et extra*, albowiem jest śnieżnobiała z wierzchu i od środka. Czasem przedstawia się ją, jak zrywa sznur, na którym była uwięziona, *effracto libera vinculo*, i staje się figurą Chrystusa zmartwychwstałego. Poza tym przylatuje, i zda się to pewne, na nieszpory, by nie zaskoczyła jej noc, a więc by nie zatrzymała jej śmierć, zanim zetrze plamy swoich grzechów. Nie mówiąc o tym, co już powiedzieliśmy, a o czym poucza nas Jan: „Ujrzałem Ducha, który jak gołębica zstępował z nieba”.

Jeśli chodzi o inne chwalebne Czyny Gołębie, któż wie, o ilu wiedział Robert, jak choćby *mollius ut cubant*, gdyż gołębica wyrywa sobie pióra, by wymościć gniazdo dla swojego potomstwa, *luce lucidior*, gdyż jaśnieje, wzbijając się ku słońcu; *quiescit in motu*, gdyż leci zawsze z jednym skrzydłem złożonym, by zbytnio się nie trudzić. Był nawet żołnierz, który chcąc usprawiedliwić jakoś swoje nieumiarkowanie miłosne, wziął sobie za hełm szyszak pełniący rolę gniazda dla gołębiej parki oraz dewizę: *Amica Venus*.

Temu, kto przeczyta te słowa, wyda się, że gołębica ma aż za dużo znaczeń. Jeśli jednak trzeba wybrać symbol czy hieroglif i umrzeć z nim, niechaj ma wiele znaczeń, inaczej można bowiem powiedzieć: chleb to chleb, wino to wino, atom to atom czy pustka to pustka. Mogło się to podobać filozofom natury, których Robert spotykał u braci Dupuy, ale z pewnością nie księdzu Emanuelowi – a wiemy przecież, że nasz rozbitek skłaniał się to ku jednej, to ku drugiej sugestii. Wreszcie piękno Gołębicy, w każdym razie (tak uważam) dla Roberta, polegało na tym, że nie była, jak

to jest z Dewizą czy Emblematem, tylko Przesłaniem, ale takim przesłaniem, którego przesłaniem była niezgłębialność przesłań przenikliwych.

Kiedy Eneasz miał zejść do podziemi – i podobnie jak Robert odnaleźć cień ojca, a więc w pewnym sensie dzień poprzedni lub dni poprzednie – cóż czyni Sybilla? Owszem, mówi mu, żeby pogrzebał Misenosa i złożył rozmaite ofiary z byków i innych zwierząt, jeśli jednak chce dokonać czynu, na jaki nikt dotąd się nie zdobył, ważyć się na kuszenie losu, winien znaleźć cieniste i obficie okryte listowiem drzewo ze złotą gałęzią. Ukryte jest ono pośród lasu i mrocznych kotlin, ale bez tej gałęzi *auricomus* nie można przeniknąć tajemnic ziemi. I w jaki sposób Eneasz znajduje gałąź? Dzięki dwóm gołębiom, nawiasem mówiąc, ptakom – winniśmy już teraz wiedzieć – macierzyńskim. Reszta jest znana owrzodzonym i cyrulikom. W sumie Wergiliusz nie miał pojęcia o Noem, a mimo to gołębica, doręczając wiadomość, coś przecież wskazuje.

Poza tym gołębie ponoć pełniły funkcję wyroczni w świątyni Jowisza, który odpowiadał ich ustami. Potem jedna z tych gołębic poleciała aż do świątyni w Delfach, widzimy więc, dlaczego Egipcjanie i Grecy głoszą te same prawdy, choć stroją je w mroczne zasłony. Bez gołębia nie masz objawienia.

Nie mam pojęcia, co Robert wiedział o kabałach żydowskich, które wchodziły w modę w tym schyłkowym czasie, jeśli jednak bywał u pana Gaffarela, coś musiał na ten temat słyszeć. Faktem jest, że na fundamencie gołębia Żydzi wznieśli całe zamki. Przypominamy o tym lub raczej przypominał już o tym ojciec Kacper: w psalmie 68 mówi się o gołębicy, która ma pióra posrebrzane i grzbiet żółcący się jak złoto. Dlaczego? I dlaczego w Księdze Przysłów wraca dość podobny obraz „jabłek złotych na srebrnych łóżkach” i towarzyszący mu komentarz „kto mówi słowa czasu swego”? I czemu w Pieśni Salomona, inwokacji do dziewczyny o „oczach jak gołębice”, mówi się o „łańcuszkach złotych, srebrem nakrapianych”?

Żydzi utrzymywali, że złoto to słowa zapisane, a srebro – białe miejsca między literami lub słowami. A jeden z nich, którego Robert być może nie znał, ale który nadal jest natchnieniem dla wielu rabinów, powiedział, że złote jabłka na delikatnie cyzelowanych srebrnych łóżkach oznaczają, iż w każdym zdaniu Pisma (a już na pewno w każdym przedmiocie i wydarzeniu tego świata) ukryte są dwa oblicza: jedno widome, a drugie zakryte. I kto spogląda na łóżko z oddali, myśli, że jabłka są srebrne, ale kiedy lepiej się przyjrzy, dostrzeże cały splendor złota.

Wszystko, co jest w świętych pismach *prima facie*, świeci srebrzyście, ale sens ukryty lśni jak złoto. Nieskazitelna czystość Słowa Bożego, ukryta przed spojrzeniami profanów, jest jakby spowita w welon wstydliwości i pozostaje w cieniu tajemnicy. Powiada się, że nie należy rzucać pereł między wieprze. Mieć oczy gołębicy oznacza: nie poprzestawać na sensie dosłownym słów, ale umieć przenikać ich sens mistyczny.

A przecież ten sekret wymyka się nam jak gołębica i nigdy nie wiadomo, gdzie jest. Gołębica oznacza, że świat przemawia poprzez hieroglify, sama więc jest hieroglifem, odsyłającym do innych hieroglifów. Hieroglif zaś nie skrywa i nie mówi, lecz tylko pokazuje.

Inni Żydzi twierdzili, że gołębica jest wyrocznią, i nie przypadkiem gołębica nazywa się po hebrajsku *tore*, co kojarzy się z Torą, czyli naszą Biblią, księgą świętą, źródłem wszelkiego objawienia.

Gołębica przelatująca w słońcu wydaje się po prostu srebrzysta, lecz ten tylko, kto umie długo czekać, by ujrzeć jej zakryte oblicze, dostrzeże prawdziwe złoto, to jest jaśniejący kolor pomarańczy.

Od czasów czcigodnego Izydora chrześcijanie przypominali, że gołębica, odbijając w swym locie promienie słońca, które ją oświetlają, jawi się nam rozmaicie ubarwiona. Związana jest ze słońcem tak samo jak dewizy: „Z Twego Światła moje upiększenie” albo „Dla ciebie zdobię się i jaśnieję”. Jej szyja okrywa się w świetle rozmaitymi barwami albo pozostaje zawsze taka sama. I dlatego lepiej nie ufać pozorom, ale jeszcze lepiej znaleźć pod zwodnymi pozorami przejawienie prawdziwe.

Ile kolorów ma gołębica? Jak powiada starożytny bestiariusz:

Uncor m’estuet que vos devis
des columps, qui sunt blans et bis:
li un ont color aierine,
et li autre l’ont stephanine;
li un sont neir, li autre rous,
li un vermel, l’autre cendrous,
et des columps i a plusors,
qui ont trestotes les colors.

Jaka więc będzie Gołębica Koloru Pomarańczy?

Na zakończenie muszę przyznać, że Robert to i owo wiedział; znalazł w Talmudzie, że możni z Edomu wydali przeciw Izraelowi zarządzenie, mówiące, iż wydrą mózg każdemu, kto śmie nosić filakterie. Elizeusz włożył je i wyszedł na ulicę. Dostrzegł go strażnik prawa. Kiedy dogonił Elizeusza, ten zdjął filakterie i ukrył w dłoniach. Nieprzyjaciel spytał: „Co kryjesz w dłoniach?”, Elizeusz zaś odparł: „Skrzydła gołębicy”. Tamten otworzył mu dłonie. I były w nich skrzydła gołębicy.

Nie wiem, co ta historia oznacza, ale uważam, że jest bardzo piękna. Tak samo uważał Robert.

Amabilis columba,
unde, unde ades volando?
Quid est rei, quod altum
coelum cito secando
tam copia benigna
spires liquentem odorem?
Tam copia benigna
unguenta grata stilles?

Chcę powiedzieć, że gołębica jest ważnym znakiem i że potrafimy zrozumieć, dlaczego człowiek zabłąkany gdzieś na Antypodach doszedł do wniosku, iż musi wytężyć wzrok, by zrozumieć, co oznacza ona dla niego.

Skoro Wyspa była nieosiągalna, skoro utracił Lilię, skoro unicestwiona została wszelka nadzieja, czyż przynajmniej Gołębica Koloru Pomarańczy, ulotna jak wszelka rzecz, której namiętnie się pragnie, nie powinna przeobrazić się w *medulla aurea*, w kamień filozoficzny, w cel nad celami? Wzdychać do czegoś, czego nigdy się nie posiądzie – czyż nie jest to sam szczyt najszlachetniejszego z pragnień?

Sprawa wydaje mi się tak jasna (*luce lucidior*), że postanawiam na tym poprzestać w dziele eksplikacji Gołębicy.

Powróćmy więc do naszej opowieści.

27

Sekrety Przypływów Morza

Następnego dnia, o pierwszym blasku słońca, Robert rozebrał się do naga. Przy ojcu Kacprze wstydliwość nakazywała mu zanurzać się w pełnym ubraniu, ale spostrzegł, że ubrania ciążą i krępują ruchy. Teraz był nagi. Związał się liną w pasie, zszedł po drabinie Jakubowej i znalazł się w morzu.

Pozwolił, by woda go unosiła, gdyż tego się już nauczył. Teraz musiał nauczyć się poruszania rękami i nogami, naśladując w tym psa. Spróbował paru ruchów, pracował dłuższą chwilę i spostrzegł, że oddalił się od statku o kilka zaledwie sążni. Poczuł już poza tym zmęczenie.

Wiedział, jak odpoczywać, i położył się na wznak, pozwalając, by woda i słońce uśmierzyły znużenie.

Poczuł, że wróciły mu siły. Musi więc ruszać kończynami, aż się zmęczy, potem jakiś czas odpoczywać bez ruchu, a następnie znowu ćwiczyć. Pokonane odcinki będą króciutkie, czas bardzo długi, ale rzecz jest możliwa do przeprowadzenia.

Po kilku próbach podjął śmiałą decyzję. Drabinka opadała na prawo od bukszprytu, od strony Wyspy. Trzeba spróbować osiągnąć zachodnią stronę statku. Potem odpocznie i wróci.

Przepłynięcie pod bukszprytem nie trwało długo, a na myśl, że może oto spojrzeć na dziób z drugiej strony, ogarnęło go uczucie tryumfu. Położył się brzuchem do góry, z rozłożonymi szeroko kończynami, i spostrzegł, że z tej strony fala kołysze go bardziej niż z tamtej.

W pewnym momencie poczuł szarpnięcie w talii. Lina naprężyła się. Przybrał psią pozycję i doznał nagłego olśnienia: morze uniosło go na

północ wzdłuż lewej burty okrętu i znalazł się wiele sążni od czubka bukszprytu. Mówiąc inaczej, prąd przepływający z południowego zachodu na północny wschód, bardzo mocny nieco na zachód od „Dafne”, dawał o sobie znać już w obrębie zatoki. Nie zauważył go podczas swoich prób przy prawej burcie, gdyż zasłaniała go bryła fleuty, kiedy jednak znalazł się od strony lewej burty, prąd uniósł go i porwałby precz od statku, gdyby nie lina. Wydawało mu się, że tkwi w miejscu, a poruszał się jak Ziemia w swoim wirze. Właśnie dlatego z taką łatwością opłynął dziób: jego umiejętności pływackie nie wzrosły, ale morze mu pomogło.

Zaniepokoił się i spróbował odbyć drogę powrotną o własnych siłach, lecz spostrzegł, że chociaż, miotając się psim stylem, pokonuje parę szerokości dłoni, to gdy tylko spowalnia ruchy, żeby nabrać tchu, lina napina się z powrotem, co oznacza, że prąd znowu go uniósł.

Chwycił więc linę i jął ściągać ku sobie, obracając się, by owinąć ją wokół talii, dzięki czemu bardzo szybko znalazł się pod drabinką. Kiedy wgramolił się na pokład, uznał, że próba osiągnięcia Wyspy jest zbyt niebezpieczna. Musi zbudować tratwę. Rozejrzał się po składzie drewna, jakim była przecież „Dafne”, i doszedł do przekonania, że nie ma żadnego narzędzia, którym mógłby oderwać chociaż jedną belkę, chyba że poświęci parę lat na struganie nożem.

Czyż jednak nie dotarł tu przywiązany do deski? W takim razie cały problem sprowadza się do tego, by wyważyć jakieś drzwi i użyć ich jako łódki, wiosłując chociażby dłońmi. Za młotek posłużyła mu rękojeść szpady, brzeszczot spełnił rolę dźwigni i w końcu Robert zdołał wyrwać zawiasy jednych z drzwi mesy. Przy tej czynności złamał szpadę. Spokojnie, będzie teraz walczył z morzem, nie zaś z ludźmi.

Gdzie jednak poniesie go prąd, kiedy rzuci się do wody na tych drzwiach? Zaciągnął drzwi do lewego nadburcia i zdołał jakoś zwalić je do wody.

Drzwi unosiły się leniwie, ale po minucie były już dość daleko od statku i popłynęły najpierw na lewo, mniej więcej w to samo miejsce, co przedtem Robert, a potem ruszyły na północny wschód. Im bardziej oddalały się od

dziobu, tym bardziej wzrastała ich prędkość, aż w pewnym momencie – na wysokości północnego cypla zatoki – pomknęły w kierunku północnym. Teraz płynęły tak, jak płynęłaby „Dafne”, gdyby podnieść jej kotwicę. Robert widział je gołym okiem, póki nie minęły przylądka, potem wziął lunetę i wzrokiem śledził swoją tratwę jeszcze przez dłuższy czas. Drzwi płynęły łożyskiem szerokiej rzeki, która miała obwałowania i brzegi pośrodku spokojnego po obu stronach morza.

Doszedł do wniosku, że skoro sto któryś tam południk biegnie wzdłuż idealnej linii, łączącej w połowie zatoki dwa przylądki, owa rzeka zaś zmienia bieg po opuszczeniu zatoki i kieruje się na północ, po drugiej stronie przylądka musi płynąć dokładnie wzdłuż Południka Antypodycznego!

Jeśliby płynął na drzwiach, poruszałby się po linii oddzielającej dziś od jutra – i jutro od pojutrza...

Jednak w tym momencie co innego zaprzątało jego umysł. Gdyby znajdował się na drzwiach, jedynym sposobem walki z prądem byłoby wiosłowanie dłońmi. Ileż trudu wkładał w kierowanie własnym ciałem, a cóż dopiero drzwiami pozbawionymi wszak dziobu, rufy i steru!

Tamtej nocy znalazł się pod bukszprytem tylko dzięki wiatrowi i jakiemuś bocznemu prądowi. Jeśli chce przewidzieć pojawienie się takiego samego układu okoliczności, musi całymi tygodniami, może miesiącami, obserwować uważnie przypływy, wrzucając do morza dziesiątki drzwi – a i tak wcale nie wiadomo...

To niemożliwe, w każdym razie przy jego wiedzy hydrostatycznej i hydrodynamicznej. Lepiej zawierzyć sztuce pływackiej. Łatwiej dotrzeć do brzegu psu, który wywija łapami, niż psu, który płynie w koszu.

Musi więc kontynuować ćwiczenia. I nie wystarczy umiejętność dopłynięcia po prostu z „Dafne” do brzegu. Także w zatoce pojawiają się mniejsze prądy, które zależą od przypływów czy odpływów, tak więc, chociaż trzymałby się kierunku wschodniego, woda mogła unieść go najpierw na zachód, a potem prosto ku cyplowi północnemu. Stąd wniosek,

że musi umieć pływać pod prąd. Korzystając z pomocy liny, stawi zatem czoło morzu również po lewej burcie.

Jednego z następnych dni Robert, stojąc po stronie drabinki, przypomniał sobie, że w Grivie widział, jak pływają nie tylko psy, ale i żaby. A ponieważ ciało człowieka leżącego w wodzie z rozpostartymi ramionami i nogami bardziej przypomina żabę niż psa, pomyślał, że lepiej byłoby pływać na sposób żabi. Pomagał sobie nawet głosem. Rechotał jak żaba, wyrzucając przy tym ręce i nogi. Potem zrezygnował z efektów głosowych, gdyż wydając te zwierzęce dźwięki, poruszał się zbyt gwałtownie i otwierał za szeroko usta, co powodowało skutki, których pływak winien zawsze unikać.

Przeobraził się więc w żabę starszą już i stateczną, a przy tym majestatycznie milczącą. Kiedy te szerokie zamachy ramion nazbyt go zmęczyły, wracał do *modo canino*. Pewnego razu, przyglądając się białym ptakom, które drąc się na całe gardło, wykonywały swoje powietrzne ewolucje, czasem nawet opadając pionowo, by wyłowić parę metrów od niego rybę (manewr mewy), spróbował też pływać, jak one latały, to znaczy wymachując rękami niby skrzydłami, ale spostrzegł, że przy tym trudniej mu zamykać usta niż ptakom dziób, i zrezygnował z dalszych prób. Sam już nie wiedział, jakim jest zwierzęciem, psem czy żabą, a może włochatą ropuchą, pływającym czworonogiem, morskim centaurem czy też syreną rodzaju męskiego.

Jednak podczas tych rozmaitych prób spostrzegł, że lepiej czy gorzej, ale przecież się porusza: zaczął wyprawę przy dziobie, a znalazł się w połowie kadłuba. Kiedy jednak postanowił zawrócić w stronę drabinki, zauważył, że brakuje mu sił i musi przyciągnąć się liną.

Nie nabył też jeszcze umiejętności właściwego oddychania. Potrafił popłynąć w jedną stronę, ale z powrotem – już nie... Stał się pływakiem, lecz jak ten pan, o którym mu opowiadano, co pielgrzymował do Rzymu i Jerozolimy, odbywając codziennie półmilowy marsz w swoim ogrodzie. Nigdy nie był mocarzem, jednakże po miesiącach spędzonych na

„Amaryllis”, kiedy nie wychodził prawie z kajuty, po wyniszczającej siły katastrofie, po wyczekiwaniu na pokładzie „Dafne” (pomijając niewiele ćwiczeń, do jakich zmusił go ojciec Kacper), mięśnie jeszcze bardziej mu zwiotczały.

Robert nie zdawał sobie chyba sprawy z tego, że pływając, wzmacnia mięśnie, uważał raczej, że powinien wzmocnić mięśnie, żeby pływać. Widzimy więc, jak pochłania naraz dwa, trzy, cztery żółtka i zjada całą kurę przed kolejnym zanurzeniem się w morzu. Całe szczęście, że był przywiązany do liny. Ledwie znalazł się w wodzie, dostał takich skurczów, że z trudem wgramolił się na pokład.

Wieczorem zaczął rozmyślać o tej nowej trudności. Przedtem, kiedy jeszcze nie miał najmniejszej nadziei na dotarcie do Wyspy, wydawało mu się, że jest ona na wyciągnięcie ręki. Teraz, kiedy przyswajał sobie coraz lepiej sztukę, która pozwoli mu tam dotrzeć, Wyspa się oddalała.

Ponieważ zaś była dlań oddalona nie tylko w przestrzeni, lecz także, i to wstecznie, w czasie, wspominając o tym oddaleniu, Robert za każdym razem sprawia wrażenie, jakby czas mylił mu się z przestrzenią, i pisze: „zatoka jest, niestety, zbyt wczorajsza” i „jakże trudno tam dotrzeć, choć tak prędko” albo „gdy morze oddziela mnie od dnia, co dopiero minął”, a nawet „napływają groźne obłoki znad Wyspy, choć tu jest już pogodnie...”

Skoro jednak Wyspa się oddalała, czy warto było nadal uczyć się pływać? W następnych dniach Robert zrezygnował z prób i zaczął znowu wypatrywać przez lunetę Gołębicy Koloru Pomarańczy.

Widział wśród listowia papugi, rozpoznawał owoce, śledził od świtu do zmierzchu rozpalanie się i gaśnięcie najrozmaitszych barw wśród zieleni, jednak Gołębicy nie zobaczył. Wróciła myśl, że Kacper wprowadził go w błąd albo że po prostu z niego zakpił. Czasem wmawiał sobie nawet, że ojca Kacpra nigdy nie było – i nie znajdował już na okręcie jego śladów. Przestał wierzyć w Gołębicę, ale przestał wierzyć także, iż na Wyspie jest Strażnica. Czerpał z tego pociechę, bo jak się powiada, skażenie czystości tego miejsca machiną byłoby rzeczą niestosowną. I znowu myślał o Wyspie na swoją miarę, na miarę swoich marzeń.

Jeśli Wyspa wznosiła się w przeszłości, była miejscem, do którego winien za wszelką cenę dotrzeć. W tym czasie poza czasem musiał nie odnaleźć, lecz na nowo wymyślić kondycję pierwszego człowieka. Wyspa, nie będąc miejscem, gdzie znajduje się źródło wiecznej młodości, lecz samym owym źródłem, mogła stanowić ten punkt, w którym wszelka ludzka istota, zapominając własnej zwiędłej wiedzy, wymyśliłaby, niby dziecko porzucone w borze, nowy język, jaki może się zrodzić z nowego kontaktu z rzeczami. A wraz z nim pojawiłaby się jedyna prawdziwa i nowa nauka – z bezpośredniego doświadczenia natury, niezbrukana przez żadną filozofię (jakby Wyspa była nie ojcem, który przekazuje synowi słowa prawa, lecz matką, która uczy go, jak wyjąkać pierwsze nazwy).

Wskrzeszony rozbitek tylko w ten sposób mógłby odkryć dane, które rządzą ruchami ciał niebieskich i sensem akrostychów, jakie kreślą one na niebie; nie musiałby błądzić myślami między jakimś *Almagestem* i *Quadripartitusem*, ale odczytywałby bezpośrednio pojawianie się zaćmień, przemykanie bolidów srebrzejących i fazy gwiazd. Jedynie za sprawą rozbitego przez spadający owoc nosa zrozumiałby naprawdę za jednym zamachem zarówno prawa, które narzucają ciałom ciężkim ciążenie, jak i *motu cordis et sanguinis in animalibus*. Tylko obserwując powierzchnię stawu i zanurzając w nim gałąź, trzcinę, jeden z tych długich i sztywnych metalowych płatów, nowy Narcyz – bez żadnego rachowania dioptrycznego – pojąłby zmienne koleje sporu światła z cieniem. I być może zrozumiałby, dlaczego ziemia jest nieprzejrzystym zwierciadłem, malującym inkaustem wszystko, co odbija, woda – ścianą dającą przejrzystość cieniom, które na niej się odciskają, w powietrzu zaś nigdy nie mają powierzchni, od której mogłyby się odbić, więc przenikają przez nie, umykając ku najdalszym granicom eteru i czasem tylko wracając pod postacią miraży i innych przejawień.

Czyż jednak posiąść Wyspę nie było tym samym, co posiąść Lilię? I co z tego? Logika Roberta nie była logiką owych małostkowych i głupawych filozofów, intruzów w atrium Likejonu, którzy zawsze pragną, by rzecz istniejąca na jakiś sposób nie mogła istnieć na sposób przeciwstawny.

Wskutek błędu – a mam tu na myśli to właściwe kochankom błądzenie wyobraźni – wiedział już, że zdobycie Lilii oznaczałoby natychmiastowy początek wszelkiego objawienia. Odkrywanie praw Uniwersum przez lunetę wydawało mu się po prostu mozolniejszym sposobem docierania do prawdy, która objawiłaby się w ogłuszającym blasku rozkoszy, gdyby mógł skłonić głowę na łono ukochanej w Ogrodzie, gdzie każdy krzew byłby Drzewem Dobrego.

Ponieważ jednak – jak wiedzieć winniśmy także my – pożądanie czegoś oddalonego przyzywa upiora kogoś, kto sobie to coś przywłaszcza, Robert mógł się obawiać, że między rozkosze tego Edenu wpełznie wąż. Uderzyła go więc myśl, że na Wyspie czeka go Ferrante, szybszy uzurpator.

28

O Pochodzeniu Romansów

Kochankowie bardziej miłują swe nieszczęścia niż to, co dla nich dobre. Robert nie mógł myśleć o sobie jako o kimś, kto nie byłby oddzielony na zawsze od umiłowanej, lecz im bardziej czuł się od niej daleki, tym bardziej dręczyła go myśl, żeby przypadkiem kto inny nie czuł tej udręki.

Jak widzieliśmy, kiedy Mazarin oskarżył Roberta o to, że ten był tam, gdzie wcale go nie było, Robert wbił sobie do głowy, iż w Paryżu zjawił się i czasem się pod niego podszywał Ferrante. Jeśli tak, Robert został aresztowany przez Kardynała i wysłany na pokład „Amaryllis”, Ferrante zaś nie ruszył się z Paryża i dla wszystkich (nie wyłączając Jej!) był Robertem. Wystarczyło więc wyobrazić sobie Ją u boku Ferrante, a morski czyściec zmienił się w piekło.

Robert wiedział, że zazdrość pojawia się bez żadnego związku z sytuacją, która jest albo której nie ma, a nawet z taką, której nigdy nie będzie; że chodzi o rodzaj przeniesienia, co z wyimaginowanej choroby wydobywa rzeczywiste cierpienie; że zazdrośnik to jakby hipochondryk – chory, gdyż boi się choroby. Biada więc temu – powiadał sobie – kto podda się tej cierpiętniczej bzdurze, która zmusza do wyobrażania sobie Jej z Nim, a nic tak nie sprzyja zwątpieniu jak samotność, nic tak skutecznie nie przeobraża zwątpienia w pewność jak rojenie niestworzonych rzeczy. Jednak – dodawał – skoro nie mogę uniknąć miłości, nie mogę też uniknąć popadnięcia w zazdrość, a nie mogąc uniknąć zazdrości, nie mogę uniknąć snucia rojeń.

Zazdrość jest ze wszystkich lęków najprzykrzejszym; jeśli boisz się śmierci, ulgę znajdujesz, myśląc, że przecież czeka cię długie życie lub że

w toku jakiejś podróży dotrzesz do źródła wiecznej młodości; a jeśli jesteś biedakiem, pociechą będzie ci myśl, że znajdziesz skarb; dla każdego lęku jest przeciwstawna nadzieja, która dodaje nam ducha.

Inaczej kiedy się kocha, a przedmiot miłości przebywa daleko, nieobecność jest bowiem dla miłości tym, czym wiatr dla ognia: gasi mały płomień, podsyca wielki.

Skoro zazdrość rodzi się z wielkiej miłości, kto nie czuje zazdrości, nie kocha lub kocha lekkim sercem, i wiadomo, że byli kochankowie, którzy tak się lękali ostudzenia uczucia, że podsycali je, szukając powodów do zazdrości.

Tak więc zazdrośnik (który pragnie wszak, by ukochana była cnotliwa i wierna) nie chce lub nie potrafi myśleć o niej inaczej niż jako o kimś godnym zazdrości, a już tym samym winnym zdrady, i potęguje tym sposobem w teraźniejszym cierpieniu rozkosz miłości nieobecnej. Między innymi dlatego, że rozmyślanie o sobie jako o tym, który posiadł daleką dzisiaj kochankę – wiedząc, że to nieprawda – nie podsunie ci przed oczy duszy tak żywego i ciepłego jej wizerunku, takich rumieńców, takiego zapachu, jak uczynią to rozmyślania, że z wszystkich tych uroków korzysta Inny. Swojej bowiem nieobecności jesteś pewny, podobnie jak pewny, a przynajmniej nie niepewny, jesteś obecności przeciwnika. Zazdrośnik imaginuje sobie owo miłosne zbliżenie i jest to dla niego jedyny sposób pozwalający wyobrazić sobie związek niewątpliwy, a w najgorszym razie możliwy, jemu bowiem nie zostało dane zaznawać zbliżenia.

Dlatego zazdrośnik nie umie ani nie chce wyobrażać sobie przeciwieństwa tego, czego się boi, a jedynym jego szczęściem jest potęgowanie swego bólu i udręka płynąca ze spotęgowanego szczęścia, które – wie o tym – jest poza jego zasięgiem. Rozkosze miłosne to cierpienia, których się pożąda, to zespolenie słodyczy i męczeństwa, a miłość to dobrowolne szaleństwo, piekielny raj i rajskie piekło, jednym słowem – to zgodność upragnionych przeciwieństw, bolesny śmiech i kruchy diament.

Myślę, że mógłby zbudować opowieść bez siebie w roli protagonisty, gdyż nie rozgrywałaby się ona w tym świecie, ale w Krainie Romansów, a jej perypetie byłyby paralelą do tych ze świata, w którym przebywał, przy czym dwa ciągi przygód nigdy nie mogłyby się spotkać ani na siebie nałożyć.

Co zyskiwałby na tym Robert? Bardzo dużo. Postanawiając wymyślić historię dziejącą się w świecie innym, istniejącym tylko w jego głowie, stałby się tego świata władcą i mógłby urządzić wszystko tak, by to, co mu się przytrafia, nie przekraczało granic jego wytrzymałości. Z drugiej strony, jako czytelnik romansu, którego byłby autorem, mógłby uczestniczyć w zgryzotach postaci, czyż bowiem czytelnicy romansów nie mogą kochać bez zazdrości Tysbe, wykorzystując Pyramosa jako swego zastępcę, i cierpieć z powodu Astrei, podszywając się pod Celadona?

Miłowanie w Krainie Romansów nie ma nic wspólnego z uczuciem zazdrości, to bowiem, co nie należy w pewien sposób do nas, jest tam jednak nasze, to zaś, co było nasze w świecie, a zostało nam odebrane, tam nie istnieje – jeśli nawet to, co tam istnieje, przypomina to, co z istniejącego utraciliśmy albo i nie...

Tak zatem Robert powinien był napisać (albo wymyślić) powieść o Ferrante i jego amorach z Lilią, tylko bowiem budując taki romansowy świat, zdołałby zapomnieć o udrękach, jakie z powodu swojej zazdrości znosił w świecie rzeczywistym.

Ponadto – rozmyślał Robert – aby zrozumieć, co mi się przytrafiło i jak wpadłem w sieć zastawioną przez Mazarina, winienem zrekonstruować Historię tych wydarzeń, odnaleźć jej ukryte sprężyny i motywy. Czyż jednak istnieje jakaś rzecz mniej pewna niż Historie, które dane jest nam czytać, jeśli bowiem dwaj autorzy opowiadają nam o jednej i tej samej bitwie, ujawnia się tyle niezgodności, że mamy prawie uczucie, iż chodzi o dwie różne bitwy? I czyż, przeciwnie, jest coś pewniejszego niż Romans, w którym wszystkie Zagadki są prędzej czy później rozwiązane zgodnie z regułami Prawdopodobieństwa? Romans to opowieść o tym, co być może nie wydarzyło się naprawdę, ale doskonale mogło się wydarzyć. Objaśniać

moje nieszczęścia w formie Romansu to zapewnić sobie to, że w całej tej gmatwaninie istnieje jakiś sposób rozwikłania intrygi, co oznacza, iż nie padłem ofiarą czarów. Ta myśl była zdradliwie autentyczna wobec poprzedniej, gdyż wówczas owa historia romansowa musiałaby nakładać się na jego historię prawdziwą.

A wreszcie – ciągnął swoje rozważania Robert – moje perypetie to zmienne koleje miłości do kobiety, a przecież tylko Romans, nie zaś Historia, zajmuje się kwestiami Miłości i tylko Romans (nigdy Historia) troszczy się o wyjaśnienie myśli i doznań cór Ewy, które wszak, od czasów Ziemskiego Raju po Piekło, jakim są w naszych czasach dwory, tak bardzo wpływały na losy rodzaju ludzkiego.

Każdy z tych argumentów był rozsądny sam w sobie, ale wszystkie razem wzięte – nie. Zachodzi bowiem różnica między tym, kto działa, pisząc romanse, a tym, kto cierpi wskutek zazdrości. Zazdrośnik smakuje to, co najchętniej wykreśliłby z rejestru faktów, nie chcąc przy tym wierzyć, że naprawdę mają miejsce – romansopisarz zaś szuka najrozmaitszych wybiegów, byleby czytelnik nie tylko miał przyjemność z tego, co się nie wydarzyło, ale również zapomniał w pewnym momencie, iż czyta, i uwierzył, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Dla zazdrośnika czytanie romansów napisanych przez innych jest już straszliwą udręką, wydaje mu się bowiem, że wszystko, o czym mu opowiadają, odnosi się do jego przeżyć. Przedstawmy sobie zazdrośnika, który udaje, że wymyśla własne przeżycia. Czy nie powiada się o zazdrośniku, że obleka w ciało cienie? Bez względu więc na to, jak cieniste będą postaci tego romansu, skoro Romans jest cielesnym bratem Historii, te cienie wydadzą się zazdrośnikowi nazbyt korpulentne, a tym bardziej jeśli – miast być cieniami innego – będą jego własnymi.

Z drugiej strony Robert winien wiedzieć, że romanse, przy wszystkich swoich przymiotach, mają i wady. Podobnie jak medycyna naucza też o truciznach, metafizyka mąci niestosownymi subtelnościami dogmaty religijne, etyka zaleca hojność (która nie wszystkim przypada do smaku), astrologia sprawuje pieczę nad zabobonem, optyka zwodzi, muzyka skłania

do miłostek, geometria zachęca do niesprawiedliwego podziału posiadłości, matematyka do skąpstwa – tak Sztuka Romansu, uprzedzając wprawdzie, że dostarcza nam złudzeń, otwiera bramę w Pałacu Absurdu, a jeśli tę bramę lekkomyślnie przekroczymy, zamyka się ona za naszymi plecami.

Nie jest jednak w naszej mocy powstrzymanie Roberta od tego kroku, albowiem wiemy, że go zrobił.

29

Dusza Ferrante

Od jakiego miejsca wrócić do opowieści o Ferrante? Robert uznał, że najlepiej będzie zacząć od tego dnia, kiedy Ferrante, zdradziwszy Francuzów, przybrał nazwisko kapitana Gambero i schronił się w obozie hiszpańskim.

Być może powitał go tam z entuzjazmem jakiś wielki pan, który obiecał, że po zakończeniu wojny zabierze go do Madrytu. I w Madrycie zaczęła się kariera Ferrante na obrzeżach hiszpańskiego dworu, gdzie nauczył się, że cnotą władców jest ich kaprys, Władza to nienasycony potwór, któremu należy służyć z niewolniczym oddaniem, by chwycić dzięki temu każdy okruch spadający ze stołu i przeobrazić go w sposobność do powolnego i krętego wspinania się po szczeblach kariery, najpierw jako siepacz, zbir i konfident, potem – fałszywy szlachcic.

Ferrante musiał mieć bystry, choć nakierowany na zło umysł i od razu nauczył się zachowań obowiązujących w tym środowisku: poznawał (słuchając i odgadując) te zasady dworackiej wiedzy, które pan de Salazar próbował wpoić Robertowi.

Pielęgnował swoją mierność (przywara rodzimych bękartów), bez lęku ujawniając wybitny umysł, gdy szło o sprawy mierne, by nadszedł moment, kiedy nie będzie potrzebował prezentować mierności w sprawach wybitnych.

Zrozumiał, że skoro nie może przystroić się w skórę lwa, musi naciągnąć na grzbiet futro lisa, gdyż więcej uratowało się z potopu lisów niż lwów. Każde stworzenie ma właściwą sobie mądrość, a od lisa nauczył się, że otwarta gra nie przynosi ani korzyści, ani przyjemności.

Kiedy proszono go, by rozpuścił wśród służby jakieś oszczerstwo, które miało po jakimś czasie dojść do uszu pana – choć umiał korzystać z wdzięków pokojówki, czym prędzej mówił, że spróbuje w zajeździe z woźnicą; a jeśli woźnica był w zajeździe jego kompanem od stołu, oznajmiał z porozumiewawczym uśmiechem, że wie, co zrobić, aby wysłuchała go pewna subretka. Jego pan, nie wiedząc, jakie działania Ferrante podejmuje i zamierza podjąć, tracił część własnej przewagi, on zaś zdawał sobie sprawę, że nie odkrywając od razu kart, pogrąża innych w niepewności; w ten sposób roztacza się wokół siebie mgłę tajemnicy, a to wystarcza, by skłonić do szacunku.

Doszedł do wniosku, że w dążeniu do wyeliminowania wrogów, którymi na początku byli paziowie i stajenni, a potem szlachcice uważający go za równego sobie, trzeba zawsze atakować z boku, nigdy frontalnie, mądrość bowiem nakazuje używać w walce pieczołowicie obmyślanych podstępów, nie zaś kroczyć po dobrze znanych ścieżkach. Jeśli stwarzał wrażenie, że chce wykonać ruch, służyło to tylko wprowadzeniu przeciwnika w błąd; jeśli wykonał jakiś zręczny gest w powietrzu, zaraz robił coś nieoczekiwanego, by zamaskować ujawniony zamysł. Nigdy nie atakował, kiedy przeciwnik był w pełni sił (okazywał mu nawet przyjaźń i szacunek), ale czekał na moment, kiedy ten będzie bezbronny, a wtedy z miną, jakby biegł na pomoc, spychał go prosto w przepaść.

Kłamał często, ale z rozeznaniem. Wiedział, że jeśli chce, by mu wierzono, musi okazać, iż czasem wyjawia nawet prawdę, która mu szkodzi, a przemilcza ją, kiedy mogłaby przysporzyć mu pochwał. Z drugiej strony zabiegał u osób niższego stanu o opinię człowieka szczerego, aby wieść o tym dotarła do uszu możnych. Przekonał się, że udawanie w przytomności równych sobie to wada, ale nieudawanie przy stojących wyżej to zuchwalstwo.

Jednak nie popisywał się zbytnią otwartością, a w każdym razie nie zawsze, bał się bowiem, że inni spostrzegą jednostajność takich zachowań i któregoś dnia uprzedzą jego działania. Ale nie przesadzał też w obłudzie, gdyż bał się, że za drugim razem odkryją oszustwo.

Chcąc zostać mędrcem, ćwiczył się w znoszeniu głupców, którymi się otaczał. Nie był tak nieopatrzny, by zrzucać na nich winę za wszystkie swoje błędy, kiedy jednak gra szła o wysoką stawkę, dbał o to, by mieć przy sobie kogoś niezbyt rozgarniętego (komu próżność i ambicja każą zawsze pchać się do pierwszego szeregu, podczas gdy sam Ferrante trzymał się z tyłu), by jego to właśnie, nie Ferrante, inni obarczyli winą.

Jednym słowem, robił wszystko, co mogło obrócić się na jego korzyść, ale starał się robić rękami innych to, co mogłoby ściągnąć nań czyjąś niechęć.

Demonstrując swoje cnoty (które winniśmy raczej nazwać piekielną zręcznością), wiedział, że jeśli z jedną połową tychże będzie się obnosił, a drugiej pozwoli się domyślać, podniesie ich wartość w porównaniu z tą, którą by miały, gdyby odsłonił wszystko. Od czasu do czasu sprowadzał ostentację do wymownego milczenia, do niedbałego pokazu swoich przymiotów, pamiętając przy tym, by nigdy nie ujawniać wszystkiego za jednym razem.

W miarę jak piął się po szczeblach kariery i zaczynał obcować z ludźmi wyższej kondycji, coraz zręczniej naśladował ich gesty i sposób mówienia, ale ograniczał się w tym do osób niższej kondycji, które chciał oczarować w jakimś niezbyt chwalebnym celu; przy możniejszych od siebie dbał, żeby okazywać niewiedzę i podziwiać w nich to, co i tak sam wiedział.

Wywiązywał się ze wszystkich nieobyczajnych misji, jakie mu powierzono, ale pod warunkiem, że zło, które wyrządzał, nie mogło wzbudzić odrazy w jego mocodawcach; jeśli żądano od niego zbyt wielkiego rozminięcia się z prawem, odmawiał, po pierwsze, by nie pomyśleli, iż potrafiłby taki czyn zwrócić przeciwko nim samym, a po drugie (jeśli niegodziwość wołała o pomstę do nieba), by nie być niepożądanym świadkiem ich wyrzutów sumienia.

Publicznie dawał widome świadectwo swojej pobożności, lecz za godną uważał tylko wiarę zaniechaną, cnotę zdeptaną, samolubstwo, niewdzięczność, pogardę dla świętości; bluźnił przeciwko Bogu w sercu swoim i wierzył, że świat zrodził się z przypadku, ufając jednocześnie

przeznaczeniu, które skłonne jest odmienić bieg na korzyść tych, co umieją nagiąć je na swoją korzyść.

Jeśli chciał zabawić się w chwili wolnej, co zdarzało się bardzo rzadko, obcował wyłącznie z zamężnymi prostytutkami, rozwiązłymi wdowami, bezwstydnymi dziewkami. Ale z umiarem, albowiem w swych knowaniach umiał wyrzec się zysku natychmiastowego, byleby miał poczucie, że przystępuje do innej machinacji, jakby nikczemność nie pozwalała mu na wytchnienie.

Żył właściwie z dnia na dzień – jak morderca, który czyha bez ruchu za firanką, gdzie ostrze sztyletu nie wysyła światła. Wiedział, że pierwszy warunek sukcesu to czekać na sposobność, cierpiał jednak, gdyż owa sposobność wydawała mu się jeszcze bardziej odległa.

Ta mroczna i uporczywa ambicja odbierała mu wszelki spokój ducha. Uznał, że Robert pozbawił go miejsca, które mu się należało, i dlatego nie mogła go zaspokoić żadna nagroda, a jedynym kształtem, jaki w jego oczach mogły przybrać dobro i szczęście, było niepowodzenie brata, dzień, w którym on, Ferrante, mógłby sprowadzić klęskę na głowę Roberta. Jeśli chodzi o całą resztę, w jego umyśle toczył się zacięty bój urojonych olbrzymów i na żadnym morzu ani na lądzie, ani w niebie nie było dlań ucieczki ni pokoju. To, co miał, było dlań jak policzek, to, czego pragnął, było przyczyną udręk.

Nigdy się nie śmiał, czasem tylko w szynku, gdy chciał upić nieświadomego niczego powiernika czyichś sekretów. Ale w zaciszu swego pokoju oglądał się codziennie w lustrze, by sprawdzić, czy sposobem poruszania się nie zdradza jakichś niepokojów, czy oko nie wydaje się zbyt zuchwałe, czy odchylona za bardzo głowa nie ujawnia ekscytacji, czy zmarszczki na czole nie wskazują na rozdrażnienie.

Kiedy kończył te zabiegi i późną nocą, zmęczony, porzucał maskę, widać było, jaki jest naprawdę, i wtedy, ach, Robert musiał powtórzyć sobie szeptem wersy, które przeczytał kilka lat wcześniej.

W oczach przez smutek i śmierć zamieszkanych

płonie światło mętne i szkarłatne,
spojrzenie z ukosa, skręcone źrenice
zdają się kometami, kagankami rzęsy,
gniewliwymi, butnymi, pełnymi rozpaczy
grzmotami są jęki, tchnienia zaś błyskawicami.

Ponieważ nikt nie jest doskonały, także w nikczemności, Ferrante nie był w stanie zapanować nad nadmiarem swej złości i w rezultacie uniknąć fałszywego kroku. Gdy pan powierzył mu przygotowanie porwania dziewczyny wysokiego rodu, przeznaczonej pewnemu cnotliwemu szlachcicowi, zaczął pisać do niej listy miłosne, które podpisywał imieniem swego mocodawcy. Potem wtargnął do jej alkowy, kiedy układała się już do snu, i – czyniąc z niej ofiarę gwałtownego uwiedzenia – wykorzystał nieszczęsną. Oszukał za jednym zamachem i ją, i narzeczonego, i tego, który zlecił mu uprowadzenie.

Kiedy występek został ujawniony, Ferrante wskazał palcem swego pana, który zginął w pojedynku ze zdradzonym narzeczonym, ale on sam musiał jednak wyjechać do Francji.

W przypływie dobrego humoru Robert wsadził Ferrante na skradzioną mulicę i posłał go styczniową nocą przez Pireneje; mulica złożyła zapewne śluby w zakonie bigotek reformowanych, gdyż miała sierść jak mnisi habit i była tak roztropna, wstrzemięźliwa, pełna umiaru i spokojna, że poza umartwianiem cielesnym, które łatwo można było poznać po sterczących żebrach, przy każdym kroku przyklękała i całowała ziemię.

Wydawało się, że górskie urwiska okryte są zsiadłym mlekiem, tak oblepiała je biel. Nieliczne drzewa nieprzykryte po czubek śniegiem były równie białe; wyglądały, jakby zrzuciły koszule i drżały z zimna, nie zaś od powiewów wiatru. Słońce skryło się we wnętrzach swego pałacu i nie śmiało się pokazać choćby na balkonie. A jeśli już odsłaniało na chwilkę oblicze, owijało sobie nos żaglem chmur.

Wszyscy z rzadka spotkani wędrowcy robili wrażenie mnichów z Monteoliveto śpiewających po drodze *lavabis me et super nivem*

dealbabor... I sam Ferrante, widząc, jak okryty jest bielą, poczuł się dosłownie, jakby obtoczono go w mące.

Pewnej nocy posypały się z nieba gęste i wielkie płatki białej waty i podróżny zaczął się obawiać, że zmienił się w słup śniegu – jak kto inny w słup soli. Płomykówki i inne sowy, nietoperze, pasikoniki, motylki tańczyły wokół niego moreskę, jakby chciały złowić go w ptasie sidła. A w końcu uderzył nosem o stopy wisielca, który kołysząc się na gałęzi, odgrywał groteskę na popielatym tle.

Jednak Ferrante – choć Romans winny zdobić przyjemne opisy – nie mógł być postacią z Komedii. Musiał zdążać do celu, wyobrażając sobie po swojemu ów Paryż, do którego się zbliżał.

Którego pożądał: „O Paryżu, bezimienna zatoko, w której wieloryby zmniejszają się do wielkości delfinów, kraino syren, emporo przepychu, ogrodzie zaspokojenia, labiryncie intryg, Nilu dworaków i oceanie symulacji!”

I w tym miejscu Robert – chcąc posłużyć się chwytem, jakiego nie wymyślił dotychczas żaden autor romansów, i w ten właśnie sposób oddać uczucia swego nienasyconego bohatera, gotującego się do podboju miasta, w którym mieści się kultura Europy, obfitość wszelkich dóbr Azji, ekstrawagancja Afryki, bogactwo Ameryki, gdzie nowość ma swoje środowisko, oszustwo rytuał, luksus centrum, odwaga arenę, uroda półkole widzów, moda kolebkę, cnota grób – włożył w usta Ferrante aroganckie słowa: „Paryżu, stajemy oko w oko!”

W drodze z Gaskonii do Poitou, a stamtąd do Île-de-France, Ferrante miał dość czasu, by uknuć parę bezczelnych przedsięwzięć, które pozwoliły mu przenieść mały majątek z kieszeni paru durniów do swoich i przybyć do stolicy w szatach pełnego rezerwy i grzecznego panicza występującego pod nazwiskiem Del Pozzo. Ponieważ nie dotarła tu żadna wiadomość o jego łotrostwach madryckich, nawiązał znajomość z kilkoma Hiszpanami z otoczenia królowej, którzy natychmiast docenili jego umiejętności oddawania poufnych przysług władczyni wiernej swemu małżonkowi

i pozornie szanującej Kardynała, ale niewyrzekającej się kontaktów z nieprzyjacielskim dworem.

Sława wiernego wykonawcy dotarła do uszu Richelieugo; ten, jak przystało na głębokiego znawcę ludzkiej duszy, uznał, że pozbawiony skrupułów człowiek, który służy królowej i ma stale za mało pieniędzy, mógłby za lepsze wynagrodzenie służyć jemu, i zaczął wykorzystywać go w sposób tak sekretny, że nawet najbliżsi współpracownicy nie mieli pojęcia o istnieniu młodziutkiego agenta.

Oprócz długiego praktykowania w Madrycie Ferrante miał rzadko spotykany dar szybkiego uczenia się języków i naśladowania akcentów. Nie zwykł się przechwalać swymi talentami, ale któregoś razu, kiedy Richelieu przyjmował w jego przytomności pewnego angielskiego szpiega, ujawnił, że może prowadzić konwersację z tym zdrajcą. Wskutek tego Richelieu, w momencie zaognienia stosunków między Francją a Anglią, wysłał go do Londynu, gdzie miał udawać maltańskiego kupca i zdobyć informacje dotyczące ruchu statków w portach.

W ten sposób Ferrante zwieńczył powodzeniem cząstkę swoich marzeń; był szpiegiem już nie na żołdzie pierwszego lepszego panka, lecz biblijnego Lewiatana, który na wszystkie strony wyciąga swe ramiona.

Szpieg (gorszył się oszołomiony Robert) to najpaskudniejsza zaraza na dworach, harpia, która z okrytym szminką obliczem i potężnymi szponami puszcza się na królewskie stołki lotem żmijo-nietoperzowym i słucha, nastawiając wielkie uszy, to sowa, która widzi tylko w ciemności, żmija pośród róż, karaczan, który spija z kwiatów najsłodsze soki, zmieniając je w jad, pająk z przedpokojów, który snuje pajęczynę przebiegłych słów, by chwycić przelatującą muszkę, papuga o zakrzywionym dziobie, która powtarza wszystko, co usłyszy, przeobrażając prawdę w fałsz i fałsz w prawdę, kameleon, który przybiera każdą barwę, każdą się okrywa – oprócz tej, co jest szatą prawdy. Ma wszystkie te cechy, których wstydziłby się każdy z wyjątkiem tego, kto z boskiego (albo diabelskiego) dekretu narodził się, by służyć złu.

Jednak Ferrante nie zadowalał się rolą szpiega ani tym, że miał w rękach ludzi, których myśli przekazywał; on chciałby jeszcze być, jak to się mówiło w owych czasach, szpiegiem podwójnym, umiejącym, niby bajeczny potwór, poruszać się w dwóch przeciwnych kierunkach. Jeśli igrzyska, na których potykają się między sobą możni tego świata, są istnym labiryntem intryg, jakiż Minotaur powstaje wskutek sczepienia dwóch natur całkiem odmiennych? Podwójny szpieg. Jeśli pole, na którym rozgrywa się batalia między dwoma dworami, można nazwać piekłem, gdzie łożyskiem Niewdzięczności płynie bystrym nurtem Flegeton zapomnienia, gdzie wrze zmętniała woda namiętności, jakiż to trójgardły Cerber ujada, odkrywszy i wywęszywszy tego, kto wszedł tu, by zostać rozdartym na strzępy? Podwójny szpieg...

Ledwie Ferrante postawił stopę w Anglii i wziął się do szpiegowskiej pracy dla Richelieugo, postanowił wzbogacić się, oddając także przysługi Anglikom. Wydarł pewne informacje sługom i drobnym urzędnikom, siedząc nad wielkimi dzbanami piwa w szynkach wypełnionych zapachem baraniego tłuszczu, po czym stawił się w kręgach kościelnych i oświadczył, że jest hiszpańskim księdzem, który postanowił opuścić Kościół rzymski, gdyż nie może już znieść jego brudów.

Był to miód dla uszu tych antypapistów, którzy chwytali się każdej sposobności, byleby pokazać światu nikczemność kleru katolickiego. Ferrante nie musiał nawet wyznawać rzeczy, o których nie wiedział. Anglicy mieli już w rękach rzekome lub prawdziwe anonimowe wyznanie innego księdza. Ferrante potwierdził ten dokument, podpisując go imieniem pewnego pracującego dla madryckiego biskupa księdza, który potraktował go kiedyś wyniośle i któremu zaprzysiągł zemstę.

Otrzymał od Anglików zadanie. Miał wrócić do Hiszpanii i zebrać oświadczenia innych księży skłonnych oczernić Stolicę Apostolską; w tym samym czasie poznał w portowej tawernie podróżnika z Genui, z którym wszedł w zażyłość, by dowiedzieć się rychło, że genueńczyk nazywa się w rzeczywistości Mahmut i jest odszczepieńcem, gdyż przyjął na Wschodzie wiarę mahometańską, a teraz w przebraniu portugalskiego

kupca zbiera informacje o marynarce angielskiej, podczas gdy inni szpiedzy na żołdzie Wysokiej Porty tak samo sobie poczynają we Francji.

Ferrante oznajmił mu, że pracował dla tureckich agentów w Italii, przyjąwszy to samo wyznanie i jednocześnie imię Dżennet Ogłu. Bezzwłocznie sprzedał tamtemu informacje o ruchu w portach angielskich i dostał pewną sumę, by przekazać wiadomość współwyznawcom we Francji. Angielscy duchowni byli przekonani, że wziął już kurs na Hiszpanię, ale on ani myślał rezygnować z ciągnięcia dalszych korzyści z pobytu na ziemi angielskiej, nawiązał natomiast kontakt z ludźmi z Admiralicji, przedstawiając się jako wenecjanin Granceola (wymyślił to imię, przypomniawszy sobie kapitana Gambero), który prowadzi tajną działalność na rzecz Rady Republiki, zwłaszcza w zakresie planów francuskiej marynarki handlowej. Ponieważ poszukiwano go za pojedynek, musiał znaleźć schronienie w przyjaznym kraju. Mógł okazać dobrą wiarę, informując nowych mocodawców, że informacje dla Francji zbiera w portach angielskich niejaki Mahmut, turecki szpieg, który mieszka w Londynie, udając Portugalczyka.

U aresztowanego natychmiast Mahmuta znaleziono rzeczywiście notatki dotyczące portów angielskich i Ferrante, czyli Granceola, został uznany za osobę godną wiary. Z obietnicą, że Anglia przyjmie go na swojej ziemi, kiedy zakończy misję, i z pierwszą okrągłą sumką w kieszeni wysłano go do Francji, by dołączył do pozostałych angielskich agentów.

Natychmiast po przybyciu do Paryża udał się do Richelieugo i przekazał mu informacje, jakie Anglicy wydarli Mahmutowi. Potem odnalazł przyjaciół, których adresy podał mu genueński odszczepieniec; przedstawiał się wszędzie jako Charles de la Bresche, były zakonnik, teraz na służbie u niewiernych, twierdząc, że uknuł dopiero co w Londynie spisek mający zdyskredytować całą chrześcijańską hołotę. Agenci uwierzyli mu, wiedzieli już bowiem o broszurze, w której Kościół anglikański opisał niecne czyny pewnego hiszpańskiego księdza – wskutek tych wiadomości z Anglii aresztowano w Hiszpanii prałata oskarżonego przez Ferrante o zdradę. Czekał teraz w lochach inkwizycji na śmierć.

Od tureckich agentów Ferrante uzyskał informacje, jakie zebrali we Francji, i wysłał je przez kuriera angielskiej Admiralicji, co zapewniło mu następną rekompensatę. Potem poszedł znowu do Richelieugo i ujawnił turecki spisek w Paryżu. Richelieu okazał podziw dla zręczności i wierności Ferrante. Zlecił mu nawet jeszcze trudniejsze zadanie.

Troskę Kardynała budziło od jakiegoś czasu to, co działo się w salonie markizy de Rambouillet, powziął bowiem podejrzenie, że w kręgu tych libertyńskich umysłów szepce się przeciw niemu. Popełnił błąd, gdyż wysłał do Rambouillet swego zaufanego dworzanina, który jak głupiec zaczął o te szeptania wypytywać. Arthénice odpowiedziała mu, iż jej goście tak dobrze wiedzą o szacunku, jaki żywi ona dla Jego Eminencji, że gdyby źle o nim myśleli, nigdy nie ważyliby się w jej obecności powiedzieć czegoś, co nie byłoby dla Kardynała niezwykle pochlebne.

Richelieu zamierzał teraz sprowadzić do Paryża cudzoziemca, który mógłby być dopuszczony do tych konsystorzy. Jednym słowem, Robert nie chciał wymyślać wszystkich wybiegów, jakich mógł użyć Ferrante, by wślizgnąć się do salonu, ale uznał, że będzie stosownie, jeśli zjawi się tam już bogaty w rekomendacje i w przebraniu: peruka, siwa broda, twarz postarzała dzięki pomadom i tynkturom, czarna przepaska na lewym oku – oto cały ksiądz de Morfi.

Robert nie mógł nawet pomyśleć, że Ferrante, pod każdym względem do niego podobny, był tuż przy nim w te wieczory tak już odległe, ale przypomniał sobie widok starszawego księdza z czarną przepaską na oku i uznał, iż to musiał być Ferrante.

Ferrante, który w tych właśnie kręgach, i to po dziesięciu z górą latach, odnalazł Roberta! Nie da się opisać, z jaką radością i zawiścią ten bezecnik spoglądał na niecierpianego brata. Jego twarz byłaby odmieniona i wykrzywiona od nienawiści, gdyby nie zakrywała jej maska. Powiedział sobie, że oto wreszcie ma sposobność zniszczyć Roberta i zawładnąć jego imieniem i majątkiem.

Przede wszystkim przez wiele tygodni przypatrywał mu się podczas tych wieczorów, próbując przeniknąć jego twarz, by uchwycić wszelki ślad myśli. Potrafił nie tylko maskować, ale i spostrzegać. Poza tym miłości nie da się ukryć, gdyż nie ma ognia bez dymu. Podążając za spojrzeniem Roberta, Ferrante od razu zauważył, że brat miłuje Panią. Powiedział więc sobie, że musi przede wszystkim zabrać Robertowi to, co dla niego najdroższe.

Ferrante spostrzegł, że Robert zdołał wprawdzie swoją mową zwrócić na siebie uwagę Pani, ale potem nie śmiał się do niej zbliżyć. Nieśmiałość brata działała na jego korzyść; Pani mogła zrozumieć to jako brak zainteresowania, a lekceważenie jakiejś rzeczy jest najlepszym sposobem, żeby ją zdobyć. Robert torował drogę Ferrante, który pozwolił, żeby Pani znużyła się wątpliwościami i czekaniem, a potem – w najwłaściwszym momencie – zaczął jej schlebiać.

Czy jednak mógł Robert wyposażyć Ferrante w miłość równą jego własnej? Z pewnością nie. Ferrante uważał kobietę za wizerunek niestałości, za narzędzie oszustwa, za istotę płochą w słowach, opieszałą w czynach, skwapliwą w kaprysach. Ponieważ wychowali go podejrzliwi asceci, którzy co chwila przypominali, że *el hombre es el fuego*, *la mujer la estopa*, *viene el diablo y sopla*, przywykł każdą córę Ewy uważać za stworzenie niedoskonałe, błąd natury, udrękę dla oczu, jeśli brzydka, rozpacz dla serca, jeśli piękna, za despotkę wobec tych, którzy ją miłują, nieprzyjaciółkę tych, którzy nią gardzą, za nieumiarkowaną w zachciankach, nieubłaganą w gniewie, zdolną do tego, by czarować ustami i zniewalać oczami.

Ta sama pogarda skłaniała go jednak do zalotów: z jego ust padały słowa pełne goryczy, lecz w sercu radował się poniżeniem swej ofiary.

Gotował się więc Ferrante do tego, by położyć łapy na tym ciele, którego on, Robert, nie śmiał musnąć nawet w myślach. I ten nienawistnik wszystkiego, co dla Roberta było przedmiotem czci, miałby rychło – w tej chwili – odebrać mu Lilię, by zmienić ją w mdłą miłośnicę jego komedii?

Co za tortura! I jakimż uciążliwym obowiązkiem jest podążanie za szaloną logiką romansów, która narzuca uczestniczenie w afektach najbardziej odrażających, kiedy przychodzi począć jako dziecię własnej wyobraźni najbardziej odrażającego z protagonistów.

Inaczej się jednak nie da. Ferrante musi mieć Lilię, po cóż bowiem tworzy się fikcję, jeśli nie po to, by od niej umrzeć? Jak i co się stało, Robert nie był sobie w stanie przedstawić (bo nigdy nie próbował). Może Ferrante wtargnął w środku nocy do sypialni Lilii, chwytając się oczywiście bluszczu (mocno uczepionego, kuszącego nocą każde kochające serce), który piął się aż ku jej alkowie.

Oto Lilia okazuje, że znieważono jej cnotę, i okazuje to tak, że każdy dałby wiarę jej oburzeniu – oprócz osób pokroju Ferrante, które są przekonane, iż wszystkie ludzkie istoty mają skłonność do kłamstwa. Oto Ferrante pada przed nią na kolana i mówi. Co mówi? Mówi głosem pełnym fałszu to wszystko, co Robert nie tylko chciałby jej powiedzieć, ale naprawdę powiedział, choć ona o tym nie wiedziała.

Skąd ten łotr – zastanawiał się Robert – zna treść listów, jakie jej słałem? I gdybyż tylko to! Zna też treść tych, które Saint-Savin podyktował mi w Casale i które przecież zniszczyłem! I te nawet, które piszę na tym okręcie! Nie ma jednak wątpliwości, Ferrante deklamuje w tej chwili szczerym głosem zdania, które Robert zna na pamięć.

Pani, w cudownej architekturze świata już w dniu stworzenia zostało zapisane, że ujrzę Cię i pokocham... Wybacz, Pani, uniesienie desperata albo lepiej nie trudź się zgoła, nigdy bowiem nie słyszano, by władczyni wystawiano rachunek za śmierć niewolnika... Czyż bowiem nie uczyniłaś z moich oczu dwóch alembików, by przedestylować w nich me życie?... Usunięty poza Twoje spojrzenie, jestem ślepcem, bo mnie nie widzisz, niemową, bo do mnie nie mówisz, cierpię na niepamięć, bo o mnie nie pamiętasz... Gdybyż jakaś bogdaj nieczuła cząstka mnie spełniała miłość, jakaś mandragora, jakieś płaczące kamienne źródło, precz wszelka trwoga!

Pani z pewnością w tym momencie drżała, w jej oczach jarzyła się cała skrywana dotąd miłość i z siłą więźnia, przed którym ktoś łamie kraty

Powściągliwości, rzuciła mu jedwabną drabinkę Sposobności. Wystarczyło już tylko trochę przynaglić, i Ferrante nie ograniczał się do mówienia tego, co napisał, ale znał inne słowa, które sączył do ucha urzeczonej niewiasty, urzekając również Roberta, tym bardziej że ten nie przypominał sobie, by te słowa w jego umyśle się ułożyły.

Oto blade moje słońce, przy twej bladości traci szkarłatna jutrzenka wszelki swój ogień! O oczy napełnione słodyczą, nie żądam od was niczego, jeno bym zachorzał. I na nic mi uciekać przez pola lub lasy, by wyrzucić Cię z pamięci. Nie masz na ziemi takiego lasu, nie stoi w lesie drzewo, nie wyrasta z pnia konar, nie wypuszcza konar gałązki, nie śmieje się kwiat na gałązce, nie rodzi się z kwiatu owoc, bym w nich nie obaczył Twojego uśmiechu...

A widząc, że Pani się rumieni, ciągnął:

O Lilio, gdybyś wiedziała! Rozmiłowałem się w Tobie, nim poznał Twą twarz i Twe imię. Szukałem Cię, a nie wiedziałem, gdzieś przebywała. Lecz pewnego dnia ugodziłaś mnie jak anioł... O, wiem, pytasz siebie samą, czemu moje miłowanie nie pozostaje najczystsze w milczeniu, cnotliwe w oddaleniu... Ale ja umieram, o serce moje, widzisz wszak, dusza ze mnie ulata, nie dopuść, by rozproszyła się w powietrzu, pozwól jej zamieszkać w Twoich ustach!

W głosie Ferrante brzmiała taka szczerość, że sam Robert chciał teraz, by umiłowana wpadła w te słodkie sieci. Jedynie w ten sposób mógł się upewnić, że go kocha.

I Lilia schyliła się, by go pocałować, lecz nie śmiała; po trzykroć, pragnąc i pragnienie wstrzymując, zbliżała wargi do pożądanego oddechu i po trzykroć je cofała. Potem wykrzyknęła:

O, tak, tak, jeśli nie przyjmę oków, nigdy nie zyszczę wolności, nie zachowam czystości, jeśli nie weźmiesz mnie przemocą!

I ująwszy dłoń jego, złożyła na niej pocałunek, a potem przytuliła do łona; a jeszcze potem przyciągnęła go do siebie, gasząc mu oddech na wargach. Ferrante pochylił się nad tym naczyniem uciechy (w którym Robert umieścił popioły swego serca) i dwa ciała stopiły się w jedną duszę,

dwie dusze zaś w jedno ciało. Robert nie rozeznawał się już, kto w czyich ramionach spoczywa, jako że ona uważała, iż w jego, a przysuwając usta Ferrante, starał się odsunąć swoje, by nie dopuścić tamtego do pocałunku.

I tak to, kiedy Ferrante całował, a ona się odwzajemniała, pocałunek roztopił się w nicości i Robertowi pozostała tylko pewność, że został okradziony z wszystkiego. Nie potrafił jednak pozbyć się myśli o tym, czego nie chciał sobie wyobrażać: wiedział, że w naturze miłości leży nadmiar.

Poczuł się znieważony tym nadmiarem i zapominając, że ona daje Ferrante, który jest w jej oczach Robertem, dowód, jakiego Robert tak pragnął, nienawidził Lilii i biegając po statku, zawodził:

O nędzna, znieważyłbym całą płeć Twoją, zwąc Cię białogłową! To, coś uczyniła, przystoi Furii, nie zaś niewieście, i nawet imię zwierza z boru byłoby zbytecznie zaszczytne dla takiej bestii z piekła rodem! Gorszaś od Żmii, co otruła Kleopatrę, gorszaś od barasza, co wabi podstępnie ptaszęta, by zaspokoić nimi swój głód, gorszaś od amfisbena, co każdemu, kto go chwyci, wpuszcza tyle jadu, że zaraz umiera; gorszaś niż leps, co uzbrojony w cztery jadowite zęby sprowadza zgniliznę na ciało, które ukąsi, gorszaś niż iaculus, co rzuca się z drzewa i dusi swą ofiarę, gorszaś od zaskrońca, co wyrzuca fontanny jadu, gorszaś od bazyliszka, co zabija spojrzeniem! Piekielna wiedźmo, która nie znasz ni nieba, ni ziemi, ni płci, ni wiary, potworze zrodzony z kamienia, z wysokiej góry, z dębu!

Potem przerwał, bo zdał sobie znowu sprawę z tego, że Lilia oddaje się Ferrante, myśląc, iż to Robert, i że nie może być zgubiona, lecz przeciwnie, trzeba ją wybawić z tej pułapki.

Miej się na baczności, miłości moja umiłowana; ten, który staje przed Tobą, pokazuje Ci moje oblicze, wie bowiem, że innego nie mogłabyś kochać, tylko mnie! Cóż mogę teraz uczynić, jeśli nie znienawidzić siebie, by znienawidzić jego? Czyż mogę się zgodzić, byś została zdradzona, szczęśliwa w jego objęciach, bo mniemasz, że jesteś w moich ramionach? Ja, który już miałem przystać na to, że będę żył w tym więzieniu, by całe dnie i noce poświęcać myśli o Tobie, pozwolęż oto, byś wierzyła, iżeś mnie

urzekła, choć przecież stałaś się sukubem jego czarów? O Miłości, Miłości, czyż nie dość mnie ukarałaś, czyż nie tym jest umierać, nie umierając?

30

O Chorobie Miłosnej, czyli Melancholii Erotycznej

Przez dwa dni Robert znowu uciekał od światła. W snach pojawiali mu się tylko zmarli. Doznał podrażnienia dziąseł i ust. Z trzewi ból rozniósł się po całym ciele, potem przesunął się na plecy i choć Robert niczego nie jadł, wymiotował kwaśne substancje. Czarna żółć, trawiąc i niszcząc całe ciało, fermentowała z bulgotem jak woda, kiedy bardzo mocno ją ogrzać.

Z pewnością padł ofiarą (a nie należy sądzić, że spostrzegł to tylko wtedy) tego, co wszyscy nazywają Melancholią Erotyczną. Czyż tamtego wieczoru u Arthénice nie umiał wyjaśnić, że wizerunek miłowanej osoby wzbudza miłość, wślizgując się jako pozór drogą przez oczy, które są odźwiernymi i szpiegami dla duszy? Potem jednak impresja miłosna przemieszcza się powoli żyłami i dociera do wątroby, wywołując pożądliwość, która ciało podżega do buntu, jeśli nie zmierza prosto do podboju cytadeli serca, gdzie atakuje i obraca w niewolników najszlachetniejsze moce mózgu.

To tak, jakby odbierała swym ofiarom wszelką roztropność, zmysły bowiem się gubią, umysł zmąca, imaginacja znieprawia – i nieszczęsny kochanek chudnie, traci siły, oczy mu się zapadają, wzdycha, wycieńcza się zazdrością.

Jak się wyleczyć? Robertowi wydawało się, że zna lekarstwo nad lekarstwami, choć dlań niedostępne: posiąść umiłowaną osobę. Nie wiedział, że to za mało, albowiem melancholicy nie stają się melancholikami wskutek miłości, lecz zakochują się, by mogła dojść do głosu melancholia. Mają predylekcję do miejsc dzikich, tam bowiem mogą

złączyć się duchem z nieobecną kochanką i rozmyślać o tym, jak osiągnąć jej obecność; kiedy jednak jest już z nimi, trapią się jeszcze bardziej i zaczynają marzyć o jakimś innym celu.

Robert próbował przypomnieć sobie, co mówili ludzie nauki, którzy badali sprawę Melancholii Erotycznej. Zdaje się, że jej przyczyną jest próżniactwo, spanie na plecach i nadmierne nagromadzenie nasienia. On zaś od zbyt wielu już dni musi próżnować; jeśli zaś chodzi o nagromadzenie nasienia, unikał szukania i przyczyny tego stanu rzeczy, i sposobów zaradzenia.

Słyszał, że zachętą do zapomnienia mogą być polowania, doszedł więc do wniosku, iż musi wzmóc ćwiczenia pływackie i zrezygnować z unoszenia się na wznak; ale z drugiej strony wśród substancji pobudzających zmysły są sole, soli zaś przy pływaniu wchłania się niemało... Przypomniał sobie poza tym, że słyszał, iż Afrykanie, bardziej wystawieni na słońce, są też bardziej rozpustni niż Hiperborejczycy.

Być może jakimiś pokarmami sprowadził na siebie te skłonności saturnowe? Medycy zakazują spożywania dziczyzny, gęsich wątróbek, orzeszków pistacjowych, trufli i imbiru, nie mówią jednak, jakich ryb unikać. Ostrzegają przed zbyt wygodnymi strojami, jak futra sobolowe i aksamity, a także przed piżmem, ambrą, gałką muszkatołową i proszkiem cypryjskim, cóż jednak mogą wiedzieć o nieznanych mocach stu woni, dobywających się z oranżerii albo przynoszonych przez wiatr z Wyspy?

Wiele z tych zgubnych wpływów mógłby zwalczyć kamforą, ogórecznikiem i szczawiem, doprowadzając się też do wymiotów za pomocą rozpuszczonej w rosole soli witriolowej, a nawet puszczając krew ze środkowej żyły ramienia albo z żyły na czole; poza tym jedząc tylko cykorię, endywię, laktukę i melony, winogrona, czereśnie, śliwki i gruszki, a osobliwie świeżą miętę... Niestety, to wszystko było niedostępne na „Dafne”.

Wrócił więc do poruszeń w morskiej toni, starając się jednak nie połykać za dużo soli i jak najmniej odpoczywać.

Nie przestał rozmyślać o stworzonej przez siebie opowieści, ale był zirytowany Ferrante, co wyrażało się gwałtownymi wybuchami, i zmagał się wtedy z morzem, jakby ujarzmiając je, brał górę nad swoim wrogiem.

Po kilku dniach odkrył po raz pierwszy pewnego popołudnia bursztynowe zabarwienie włosów na piersi oraz – jak odnotowuje wśród retorycznych akrobacji – na wzgórku łonowym i uświadomił sobie, że jest to skutek opalenizny; ale jednocześnie okrzepł, spostrzegł bowiem, jak napinają mu się na ramionach mięśnie, na które nigdy dotąd nie zwrócił uwagi. Uznał się więc za Herkulesa i stracił wszelkie poczucie rozwagi. Następnego dnia zszedł do wody bez liny.

Zamierzał, porzuciwszy drabinkę, ruszyć wzdłuż prawego boku kadłuba, dotrzeć do steru, opłynąć rufę i wrócić wzdłuż lewego boku kadłuba, dotrzeć do steru, opłynąć rufę i wrócić wzdłuż lewego boku i pod bukszprytem. I rozpoczął pracę rąk i nóg.

Morze nie było zbyt spokojne i drobne fale rzucały nim bez ustanku o kadłub, musiał więc zdwoić wysiłki, żeby posuwać się do przodu i jednocześnie utrzymać w pewnej odległości od kadłuba. Dyszał ciężko, ale płynął nieustraszenie dalej. Dopóki nie przebył połowy drogi, to jest póki nie dotarł do rufy.

W tym miejscu spostrzegł, że zużył już wszystkie siły. Nie starczyłoby ich nie tylko na przepłynięcie wzdłuż lewej burty, ale i na drogę powrotną. Spróbował przytrzymać się steru – który skrzypiał, gdyż fale uderzały o niego to z jednej, to z drugiej strony – ale nie było to wcale łatwe, gdyż ster oklejały zbutwiałe rośliny.

Nad głową miał galerię i wiedział, że po drugiej stronie szyb jest jego bezpieczna kajuta. Rozmyślał o tym, że gdyby przypadkiem urwała się drabinka przy dziobie, umierałby przez wiele godzin, patrząc tęsknie na pokład, który tyle razy pragnął porzucić.

Słońce okryło się gromadką chmur, a Robert zaczął już kostnieć. Odrzucił głowę do tyłu, jakby zasypiał, potem otworzył oczy, obrócił się i spostrzegł, że dzieje się to, czego się obawiał: fale oddalają go teraz od statku.

Zdobył się na wysiłek, by wrócić do kadłuba, i dotknął go, jakby statek mógł przekazać mu siłę. Nad głową widział lufę armatnią sterczącą z otworu strzelniczego. Gdyby miał ze sobą linę, zrobiłby pętlę i spróbował rzucić tak, by ścisnąć za gardło tę ognistą paszczę, a potem podciągnąć się, opierając stopy o kadłub... Ale nie miał sznura, a poza tym nie miałby tyle odwagi i siły, żeby wspiąć się tak wysoko...

Śmierć tutaj, tuż pod bezpiecznym schronieniem, miała w sobie coś niedorzecznego.

Podjął decyzję. Teraz, po opłynięciu rufy, było wszystko jedno, czy wróci na prawą stronę statku, czy też ruszy wzdłuż lewej, gdyż odległość dzieląca go od drabinki będzie w obu wypadkach taka sama. Prawie zdając się na ślepy los, wybrał stronę lewą, lecz nie zapomniał przy tym, że musi baczyć, aby prąd go nie porwał i nie uniósł daleko od „Dafne”.

Płynął, zacisnąwszy zęby, napinając mięśnie, nie śmiąc zawierzyć falom, zaciekle walcząc o życie, choćby ceną – mówił sobie – miała być śmierć!

Kiedy dotarł do bukszprytu, wydał okrzyk radości i szybko już osiągnął drabinę Jakubową – i niechaj Pan, Bóg zastępów, pobłogosławi Jakuba i wszystkich świętych patriarchów z Pisma!

Był całkowicie wyczerpany. Z pół godziny czekał, przywarłszy do drabinki. W końcu jednak wspiął się na pokład i spróbował dokonać bilansu swojego przedsięwzięcia.

Po pierwsze, umiał pływać na tyle, żeby pokonać drogę z jednego końca statku na drugi i z powrotem; po drugie, takie przedsięwzięcie było kresem jego możliwości fizycznych; po trzecie, ponieważ odległość między statkiem a brzegiem jest wielokrotnie większa niż długość „Dafne”, nawet w momencie odpływu, nie było nadziei na to, by zdołał płynąć, aż osiągnie jakiś stały punkt oparcia; po czwarte, wprawdzie odpływ przybliżał ląd stały, ale jednocześnie utrudniał ruchy; po piąte, gdyby jednak zdołał pokonać połowę dystansu i dalej już nie mógł płynąć, nie zdołałby także wrócić do „Dafne”.

Nie może więc zrezygnować z liny, ale tym razem musi użyć dłuższej. Będzie płynął na wschód, dopóki starczy mu sił, a wróci, przyciągając

sznur. Dopiero po wielu dniach takich ćwiczeń będzie mógł podjąć próbę samodzielną.

Wybrał pogodne popołudnie, kiedy słońce świeciło w plecy. Znalazł bardzo długą linę, którą starannie przymocował do głównego masztu i ułożył w licznych zwojach na pokładzie, tak by stopniowo się rozwijała. Płynął spokojnie, nie męcząc się nadmiernie, często odpoczywając. Dopiero teraz, stąd, z dołu, widział, jak bardzo odległa jest ta idealna linia, która łączy cyple, biegnąc z południa na północ, i poza którą znajdzie się w dniu poprzednim.

Widać niedokładnie zrozumiał słowa księdza Kacpra, gdyż był przekonany, że rafa koralowa zaczyna się tam, gdzie drobne, białe fale pokazują pierwsze skały. Jednak nawet podczas przypływu korale zaczynały się wcześniej. W przeciwnym razie „Dafne” zarzuciłaby kotwicę bliżej brzegu.

W rezultacie uderzył obnażonymi nogami o coś, co stało się widoczne pod wodą, dopiero kiedy znalazł się bezpośrednio nad tym miejscem. Prawie jednocześnie dostrzegł pod powierzchnią ruch wielobarwnych kształtów i poczuł nieznośne pieczenie uda i piszczeli. Jakby coś go ukąsiło albo chwyciło szponami. Chcąc oddalić się od płycizny, zrobił gwałtowny ruch nogą i zranił się w stopę.

Chwycił sznur i ciągnął tak zapalczywie, że kiedy wrócił na pokład, miał zdartą skórę z dłoni; bardziej jednak strapiły go rany na nodze i na stopie. Były to bardzo bolesne skupiska krostek. Przemył je słodką wodą i palenie trochę się zmniejszyło. Ale pod wieczór i przez całą noc pieczeniu towarzyszyło straszliwe swędzenie i musiał drapać się przez sen, gdyż następnego dnia z krost płynęła krew zmieszana z białą ropą. Sięgnął po preparaty ojca Kacpra (*Spiritus*, *Olea*, *Flores*), które trochę złagodziły infekcję, ale przez cały dzień miał ochotę rozdrapać pęcherzyki.

Raz jeszcze dokonał bilansu swego przedsięwzięcia i wyciągnął z niego cztery wnioski: rafa jest bliżej, niż wskazywałyby na to odpływy, co zachęcało do ponowienia prób; niektóre żyjące nad nią stworzenia, kraby, ryby, a może same korale albo ostre kamienie, miały moc sprowadzania

swego rodzaju zarazy; jeśli chce wrócić nad te kamienie, musi się ubrać i włożyć buty, co bardzo skrępuje mu ruchy; ponieważ tak czy owak nie jest w stanie zabezpieczyć całego ciała, musi mieć możliwość patrzenia na to, co dzieje się pod wodą.

Ten ostatni wniosek przypomniał mu o Szklanej Personie, czyli masce, którą pokazał mu ojciec Kacper. Zapiął ją sobie na szyi i odkrył, że maska zakrywa twarz, ale pozwala patrzeć na zewnątrz jakby przez okienko. Spróbował oddychać i stwierdził, iż odrobina powietrza się przedostaje. Skoro maska przepuszcza powietrze, przepuszcza także wodę. Używając jej, trzeba zatem wstrzymywać oddech – im więcej powietrza w niej zostanie, tym mniej wody wejdzie – i wyjmować głowę z wody, jak tylko urządzenie się wypełni.

Nie mogła to być operacja łatwa i Robert przez trzy dni sprawdzał wszystkie jej fazy, zanurzony w wodzie tuż przy „Dafne”. Przy legowiskach majtków znalazł parę płóciennych getrów, które chroniły stopy, zbytnio ich nie obciążając, i parę długich spodni zawiązywanych na łydkach. Potrzebował pół dnia, żeby nauczyć się ruchów, które tak dobrze już opanował, pływając nago.

Potem włożył maskę. Przy wysokiej wodzie nie widział wiele, ale spostrzegł złociste ryby przepływające, jakby w akwarium, wiele sążni pod powierzchnią.

Trzy dni – powiedział sobie. W tym czasie najpierw nauczył się patrzeć, wstrzymując oddech, potem wykonywać ruchy, nie przestając patrzeć, a wreszcie zdejmować maskę, nie wychodząc z wody. Przy tej okazji nauczył się jakby mimochodem nowej pozycji, która polegała na tym, że nabierał powietrza, wypinał pierś i wierzgał nogami, jakby szedł bardzo szybko, trzymając jednocześnie brodę pod wodą. Trudniej było natomiast, zachowując ten stan równowagi, włożyć maskę i zawiązać ją na karku. Poza tym pomyślał od razu, że jak tylko znajdzie się nad rafą i przyjmie tę wertykalną pozycję, uderzy nogami o skałę, a jeśli będzie trzymał twarz nad wodą, nie zobaczy, co kopie, poruszając nogami. Z tego powodu uznał, że lepiej byłoby nie wiązać maski, tylko naciągnąć ją obiema rękami na twarz.

Ale to zmuszało do zawierzenia wyłącznie ruchom nóg, w dodatku w pozycji horyzontalnej, by nie zranić się o coś w głębi, tych zaś manewrów nigdy nie próbował, wymagały więc długotrwałych ćwiczeń, zanim będzie je wykonywał z całą ufnością.

Przy tych próbach każdy popędliwy odruch przeobrażał się w rozdział Romansu o Ferrante.

I narzucił tym sposobem swej opowieści kierunek bardziej nasycony nienawiścią, aby Ferrante spotkała zasłużona kara.

31

Brewiarz Polityków

Z drugiej strony nie mógłby zwlekać z podjęciem dalszego ciągu opowieści. To prawda, że poeci po opisaniu jakiegoś pamiętnego wydarzenia porzucają je na pewien czas, aby utrzymać czytelnika w napięciu, i po tym właśnie rozpoznaje się dobrze wymyślony romans. Nie można jednak rozstawać się z tematem na zbyt długo, by czytelnik nie zgubił się wśród wielu równoległych wątków. Należało więc powrócić do Ferrante.

Odebranie Lilii Robertowi to tylko jeden z dwóch celów, jakie wyznaczył sobie Ferrante. Drugim było doprowadzenie do tego, by Robert popadł w niełaskę u Kardynała. Niełatwa sprawa: Kardynał nie miał pojęcia o istnieniu Roberta.

Jednak Ferrante umiał wykorzystywać nadarzające się okazje. Richelieu czytał pewnego razu list w jego obecności.

– Kardynał Mazarin – powiedział – wspomina o jakiejś historii z Anglikami i Prochem Sympatii. Słyszałeś coś o tym w Londynie?

– O co chodzi, eminencjo?

– Panie Pozzo, czy jak się tam nazywasz, naucz się, że nigdy nie należy odpowiadać na pytanie innym pytaniem, zwłaszcza gdy rozmawia się z kimś wyżej postawionym. Gdybym wiedział, o co chodzi, nie zadawałbym ci tego pytania. Skoro jednak nie wiesz nic o tym proszku, może chociaż słyszałeś o nowym sekretnym sposobie obliczania długości geograficznej?

– Wyznaję, że nic nie wiem na ten temat. Jeśliby jego eminencja zechciał mnie oświecić, może potrafiłbym...

– Panie Pozzo, byłbyś zabawny, gdybyś nie był zuchwały. Nie mógłbym władać tym krajem, gdybym opowiadał innym o sekretach, których nie znają, chyba że tym innym byłby król Francji, co w twoim wypadku nie ma chyba miejsca. Czyń więc to tylko, co czynić potrafisz: nastawiaj uszu i odkrywaj sekrety, o których nic nie wiesz. Potem przyjdziesz i wyjawisz je mnie, a jeszcze potem zadbasz, by o nich zapomnieć.

– Tak zawsze postępowałem, eminencjo. Albo przynajmniej tak mi się wydaje, bo zdążyłem zapomnieć, jak postępowałem.

– To już lepiej. Możesz odejść.

Jakiś czas później, właśnie owego pamiętnego wieczoru, Ferrante usłyszał, jak Robert rozprawia o tym proszku. Uznał jednak, że nie wystarczy powiedzieć Richelieumu o włoskim szlachcicu, który bywał u tego Anglika Igby’ego (znanego z powiązań z księciem Bouquinquant) i robił wrażenie, jakby niejedno o proszku wiedział.

Zanim Ferrante zaczął dyskredytować Roberta, musiał uzyskać możliwość zajęcia jego miejsca. Dlatego oznajmił Kardynałowi, że on, Ferrante, podawał się za pana del Pozzo, gdyż praca tajnego agenta wymagała zatajenia prawdziwego nazwiska, ale w rzeczywistości jest prawdziwym Robertem de la Grive, stającym mężnie u boku Francuzów już w casalskiej potrzebie. Tamten, tak podstępnie opowiadający o tym angielskim proszku, jest awanturniczym szalbierzem, który wykorzystał dość niewyraźne podobieństwo, a pod imieniem Mahmut Arab był w Londynie szpiegiem na usługach tureckich.

W ten sposób Ferrante przygotowywał się na chwilę, kiedy doprowadziwszy brata do ruiny, zajmie jego miejsce i będzie uchodził za jedynego i prawdziwego Roberta nie tylko w oczach rodziców pozostających w Grivie, ale także w oczach całego Paryża – jakby tamten nigdy nie istniał.

W tym samym czasie, kiedy przywłaszczył sobie twarz Roberta, by uwieść Lilię, dowiedział się, jak wszyscy, o niełasce Cinq-Marsa i ryzykując wiele, ale gotów oddać życie, byleby dokonać zemsty, nadal

przebrany za Roberta, pokazywał się ostentacyjnie w kompanii przyjaciół spiskowca.

Następnie podszepnął Kardynałowi, że fałszywy Robert de la Grive, który tyle wie o sekrecie ważnym dla Anglików, najwyraźniej spiskuje, i sprowadził nawet świadków mogących potwierdzić, iż widzieli Roberta w towarzystwie tych a tych.

Jak widzimy, wzniósł całą budowlę z kłamstw i pozorów, by wciągnąć Roberta w pułapkę. Ale Robert wpadł w sidła w inny sposób i z powodów nieznanych Ferrante, którego plany spaliły na panewce z powodu śmierci Richelieugo.

Co się w rzeczywistości stało? Richelieu, człowiek nadzwyczaj podejrzliwy, korzystał z usług Ferrante, nie wspominając o tym nikomu, nawet Mazarinowi, któremu przestał ufać, gdyż widział, jak ten czyha niby sęp nad jego schorowanym ciałem. Richelieu przekazał Mazarinowi garść informacji, nie podając jednak ich źródła.

– *À propos*, mój drogi Giulio!

– Słucham, eminencjo i ojcze umiłowany...

– Postaraj się, żeby mieli na oku niejakiego Roberta de la Grive. Bywa wieczorem u pani de Rambouillet, zdaje się, że wie sporo o tym twoim Prochu Sympatii... A poza tym, według jednego z moich informatorów, obraca się w kręgu spiskowców...

– Nie męcz się, eminencjo. Zajmę się wszystkim.

W ten sposób Mazarin rozpoczął na własną rękę śledztwo w sprawie Roberta, aż uzyskał tę odrobinę informacji, którą ujawnił w dniu aresztowania. Jednak nie wiedział nic o Ferrante.

W tym czasie Richelieu umarł. Cóż mogło stać się z Ferrante?

Po śmierci Kardynała zabrakło mu punktu oparcia. Ponieważ nędznik był smętnym heliotropem, zwracającym się zawsze w stronę najmożniejszego, powinien nawiązać kontakt z Mazarinem. Nie mógł jednak stanąć przed nowym ministrem, nie pokazawszy przedtem, ile jest wart. Robert przepadł bez śladu. Zachorował, wyjechał? Ferrante wziął pod uwagę wszystko,

tylko nie to, że jego oszczerstwa odniosły skutek i Robert został aresztowany.

Ferrante nie ważył się chodzić w stroju Roberta, żeby nie obudzić podejrzeń tych, którzy wiedzieli, że brat jest daleko. Ze względu na to, co zaszło między Lilią a nim, zaprzestał z Nią wszelkich kontaktów, niewzruszony w tym postanowieniu jak ktoś, kto wie, że każde zwycięstwo wymaga czasu. Wiedział, że trzeba umieć wykorzystać oddalenie – przymioty tracą swój blask, jeśli zbytnio rzucają się w oczy, a wyobraźnia sięga dalej niż wzrok – dlatego Ferrante krył się gdzieś daleko, by tym sposobem podsycać swoją legendę.

Czas jednak pilił. Mazarin podejrzewał już, że Robert wrócił, i chciał jego śmierci. Ferrante zasięgnął rady swoich kompanów z dworu i dowiedział się, że do Mazarina można dotrzeć przez młodego Colberta, do którego skierował w tym stanie rzeczy list z aluzją do pewnego zagrożenia ze strony angielskiej i do kwestii długości geograficznej (choć nie wiedział nic na ten temat i tylko raz Richelieu wspomniał przy nim o tej sprawie). W zamian za swoje informacje zażądał pokaźnej sumy i uzyskał audiencję, na którą stawił się przebrany za starego księdza z czarną przepaską na oku.

Colbert nie był naiwny. Ten ksiądz miał głos, który wydał mu się znajomy, a to, co powiedział, brzmiało podejrzanie. Colbert wezwał więc gwardzistów, podszedł do swego gościa, zerwał przepaskę i brodę, i kogóż miał przed sobą? Tego samego Roberta de la Grive, którego osobiście przekazał swoim ludziom z poleceniem, by wsadzili go na statek z doktorem Byrdem.

Opowiadając sobie tę historię, Robert nie posiadał się z uciechy. Ferrante z własnej woli wpadł w pułapkę. „Ty, San Patrizio?!” – wykrzyknął zaraz Colbert. Potem, widząc, że Ferrante wpada w zdumienie i milczy, kazał wtrącić go do ciemnicy.

Wyobrażanie sobie rozmowy między Mazarinem a Colbertem, który natychmiast zawiadomił o wszystkim Kardynała, było dla Roberta wyborną zabawą.

– Ten człowiek chyba oszalał, eminencjo. Że nie wykonał swojego zadania, to mogę zrozumieć, ale że miał czelność przyjść tu, by sprzedać nam to, co mu daliśmy, jest oznaką szaleństwa.

– Panie Colbert, nie wierzę, by ktoś oszalał tak bardzo, że wziął mnie za głupca. Tak więc ten człowiek podejmuje grę, uważając, że ma w ręku karty nie do przebicia.

– W jakim sensie?

– Na przykład wsiadł na statek i natychmiast odkrył to, co nakazaliśmy mu wywęszyć, nie miał więc po co tam dłużej pozostawać.

– Ale gdyby chciał nas zdradzić, poszedłby z tym do Hiszpanów albo Holendrów. Nie ważyłby się rzucać nam wyzwania. I czego miałby od nas żądać? Pieniędzy? Dobrze wiedział, że gdyby dochował wierności, miałby zapewnione miejsce na dworze.

– Najwyraźniej jest pewny, że odkrył sekret wart więcej niż stanowisko dworskie. Wierzaj, znam się na ludziach. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przystąpić do tej gry. Chcę go zobaczyć jeszcze dzisiejszego wieczoru.

Mazarin przyjął Ferrante, własnoręcznie poprawiwszy nakrycia tuż przed ucztą, którą polecił przygotować dla swoich gości. Stół był tryumfem rzeczy wyglądających na to, czym nie były. Między koszykami z sałatą, przystrojoną girlandami fałszywych kwiatów i owoców, które nasycono sztucznymi aromatami, paliły się knoty sterczące z pucharów z lodem i stały butelki z winami o barwach odmiennych od oczekiwanych.

Mazarin, przekonany, że Robert, to znaczy Ferrante, jest w posiadaniu sekretu, z którego chce wyciągnąć jak największą korzyść, postanowił okazać, iż wie wszystko (czyli wszystko, czego nie wiedział), aby tym sposobem wydobyć zeń jakieś wskazówki.

Z drugiej strony Ferrante – kiedy stawał przed Richelieum – domyślił się już, że Robert jest w posiadaniu jakiegoś sekretu, z którego należy wyciągnąć jak największą korzyść, postanowił więc okazać, iż wie

wszystko (czyli wszystko, czego nie wiedział), aby tym sposobem wydobyć z Mazarina jakieś wskazówki.

Mamy zatem na scenie dwóch mężczyzn, z których żaden nie wie nic z tego, co w jego przekonaniu wie ten drugi, i chcąc się nawzajem wywieść w pole, posługują się aluzjami, obaj mają bowiem nieuzasadnioną nadzieję, że rozmówca zna klucz do tego szyfru. Cóż za wspaniała historia! – mówił sobie Robert, szukając końca nici w motku, który sam zwinął.

– Panie San Patrizio – rzekł Mazarin, przysuwając półmisek z żywymi homarami, które wyglądały na ugotowane, i drugi z ugotowanymi, które wyglądały jak żywe – tydzień temu wsadziliśmy cię w Amsterdamie na pokład „Amaryllis”. Nie mogłeś wycofać się z przedsięwzięcia, gdyż zapłaciłbyś za to życiem. Wniosek stąd taki, że odkryłeś już to, co miałeś odkryć.

Stojąc wobec takiego dylematu, Ferrante spostrzegł, że lepiej nie przyznawać się do rezygnacji z przedsięwzięcia. Pozostała mu więc tylko ta druga droga.

– Jeśli tak się jego eminencji spodobało – powiedział – w pewnym sensie wiem to, co jego eminencja chciał, bym wiedział. – W duchu zaś dorzucił: Na razie wiem, że sekret znajduje się na pokładzie okrętu noszącego nazwę „Amaryllis”, który tydzień temu wypłynął z Amsterdamu.

– Nuże, po cóż ta skromność? Wiem doskonale, żeś dowiedział się więcej, niż oczekiwałem. Po twoim wyjeździe stąd zebrałem inne informacje, nie wyobrażaj sobie bowiem, że jesteś jedynym moim agentem. Wiem więc, że to, coś znalazł, jest warte dużo, i nie mam zamiaru się z tobą targować. Zastanawiam się jedynie, dlaczego wróciłeś do mnie drogą tak pokrętną.

Jednocześnie wskazywał sługom, gdzie postawić mięsiwa w drewnianych formach o rybim kształcie, polane z jego polecenia nie sosem, lecz kompotem.

Ferrante utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu, że chodzi o sekret bezcenny, ale powtarzał sobie, iż łatwiej ustrzelić w locie ptaka lecącego

prosto niż takiego, który leci zygzakiem. Próbował więc zyskać na czasie, żeby wysondować przeciwnika.

– Jego eminencja wie, że stawka tej gry wymagała środków pokrętnych.

Mam cię, hultaju – powiedział sobie Mazarin. Nie jesteś pewien, ile jest warte twoje odkrycie, i czekasz, żebym ja ustalił cenę. Ale to ty będziesz musiał przemówić pierwszy.

Przestawił na środek stołu lody, przyrządzone tak, że wyglądały jak brzoskwinie na gałęzi, i ciągnął na głos:

– Wiem, co masz. Uważasz, że warto białe nazywać czarnym, a czarne białym?

Przeklęty lisie – powiedział sam do siebie Ferrante – nie wiesz w istocie, co ja powinienem wiedzieć, ale bieda w tym, że nie wiem tego i ja.

Na głos zaś oznajmił:

– Jego eminencja dobrze wie, że czasem prawda może być ekstraktem goryczy.

– Wiedza nigdy nie szkodzi.

– Ale czasem sprawia ból.

– Zadajże mi więc ten ból. Nie będzie większy, niż kiedy doszła mnie wiadomość, że splamiłeś się zdradą stanu i będę musiał zostawić cię w rękach kata.

Ferrante zrozumiał teraz, że udając Roberta, może w końcu trafić na szafot. Lepiej już ujawnić, kim jest, bo grozi to w najgorszym razie wychłostaniem przez lokajów.

– Eminencjo – wyznał – zbłądziłem, nie mówiąc od razu prawdy. Pan Colbert wziął mnie za Roberta de la Grive i jego pomyłka wpłynęła, być może, także na twoje tak bystre przecież spojrzenie, eminencjo. Lecz ja nie jestem Robertem, tylko jego bratem z nieprawego łoża, Ferrante. Stawiłem się, by przekazać informacje, które, moim zdaniem, zainteresują jego eminencję, zważywszy na to, że właśnie jego eminencja pierwszy wspomniał zmarłemu i niezapomnianemu Kardynałowi o angielskim

spisku, jego eminencja wie... Proch Sympatii i problem długości geograficznych.

Na te słowa Mazarin machnął ze złością ręką, omal nie strącając wazy z fałszywego złota, ozdobionej klejnotami misternie naśladującymi szkiełka. Obwinił o to kogoś ze służby, a potem szepnął Colbertowi:

– Wrzuć tego człowieka tam, gdzie był.

Jest prawdą, że bogowie zaślepiają tych, których chcą zgubić. Ferrante myślał, że wzbudzi zaciekawienie, pokazując, iż zna najgłębsze sekrety nieboszczyka Kardynała, i przesadził przez pychę sykofanta, który chce zawsze popisać się tym, że jest lepiej poinformowany od swego pana. Nikt jednak nie powiedział dotychczas Mazarinowi (i byłoby to przecież trudne do udowodnienia), że Ferrante i Richelieu mieli ze sobą coś wspólnego. Stał przed nim ktoś, Robert czy nie, kto nie tylko wiedział to, co on, Mazarin, wyjawił Robertowi, ale również to, o czym pisał do Richelieugo. Od kogo się dowiedział?

Po wyjściu Ferrante Colbert rzekł:

– Jego eminencja wierzy w to, co on mówi? Gdyby to był bliźniak, wszystko by się wyjaśniło. Robert byłby nadal na morzu, a...

– Nie, jeśli to jego brat, wszystko zaciemnia się jeszcze bardziej. Skąd wie to, co przedtem wiedziałem tylko ja, ty i nasz angielski informator, a potem także Robert de la Grive?

– Od brata.

– Nie, brat dowiedział się wszystkiego od nas dopiero tamtej nocy, a potem nie traciliśmy go ani na moment z oczu, póki statek nie podniósł kotwicy. Nie, nie, ten człowiek wie zbyt wiele rzeczy, których nie powinien wiedzieć.

– Co z nim zrobimy?

– Interesująca kwestia, panie Colbert. Jeśli to Robert, wie, co zobaczył na okręcie, i będzie musiał to wyjawić. A jeśli nie jest Robertem, musimy koniecznie się dowiedzieć, skąd ma te informacje. W obu przypadkach nie może być mowy o postawieniu go przed sądem, bo tam powiedziałby zbyt

dużo w przytomności zbyt wielu, nie możemy się go też pozbyć, porzucając ze sztyletem wbitym na kilka palców w plecy. Ma nam przecież niejedno do wyjawienia. Jeśli zresztą nie jest Robertem, ale, jak to powiedział, nazywa się Ferrand czy Fernand...

– Zdaje się, Ferrante...

– Wszystko jedno. Jeśli nie jest Robertem, kto za nim stoi? Nawet Bastylia nie jest miejscem dość pewnym. Wiadomo o ludziach, którzy dostawali się tam i stamtąd wysyłali listy. Trzeba poczekać, aż zacznie mówić, i znaleźć jakiś sposób, żeby mu otworzyć usta, ale przedtem należy ukryć go w nieznanym nikomu miejscu i postarać się, by nikt nie wiedział, kim jest.

I w tym momencie Colbert wpadł na pomysł olśniewający swą ponurością.

Kilka dni wcześniej francuski okręt przechwycił przy bretońskim brzegu statek piracki. Był to, cóż za przypadek, holenderski *fluyt* o niemożliwej oczywiście do wymówienia nazwie „Tweede Daphne”, czyli „Dafne Druga”, co świadczy – zauważył Mazarin – że musi gdzieś istnieć „Dafne Pierwsza”, z czego widać, że tym protestantom nie dostaje nie tylko wiary, lecz i wyobraźni. Załoga składa się z najrozmaitszych ras. Najlepiej byłoby wszystkich powiesić, przedtem jednak należy wypytać, czy nie są na żołdzie angielskim i komu zabrali statek, można bowiem dokonać korzystnej wymiany handlowej z prawowitymi właścicielami.

Postanowiono więc, że statek stanie na kotwicy nieopodal ujścia Sekwany, w małej, prawie zasłoniętej zatoce, której nie zauważyli nawet pielgrzymi do grobu świętego Jakuba, zdążający z Flandrii ku Santiago di Compostela. Na pasku ziemi zamykającym zatokę wznosił się stary fort, który kiedyś służył za więzienie, a teraz stał niewykorzystany. Tam wrzucono do ciemnic piratów, których strzegło zaledwie trzech ludzi.

– Dość tego – powiedział Mazarin. – Weźmiesz dziesięciu moich gwardzistów pod dowództwem dzielnego kapitana, któremu nieobca byłaby ostrożność...

– Biscarat zawsze dobrze się spisywał, odkąd pojedynkował się z muszkieterami, broniąc honoru Kardynała...

– Doskonale. Więźnia trzeba przewieźć do fortu i umieścić w kwaterach gwardzistów. Biscarat będzie razem z nim spożywał posiłki w swoim pokoju i towarzyszył mu podczas spacerów. Strażnik przy drzwiach pokoju także nocą! Pobyt w celi zmiękcza nawet najzuchwalsze serca, a nasz uparciuch będzie miał jako jedynego rozmówcę Biscarata i może wyrwie mu się jakieś zwierzenie. A przede wszystkim trzeba zadbać, żeby nikt nie mógł go rozpoznać ani w podróży, ani po przybyciu do fortu...

– Skoro ma wychodzić, żeby zaczerpnąć powietrza...

– No cóż, panie Colbert, trochę pomysłowości. Trzeba zakrywać mu twarz.

– Czy mogę coś zaproponować? Żelazna maska zamykana na rygielek... Klucz ciśnie się do morza...

– Daj spokój, Colbert, czyżbyśmy żyli w Krainie Romansów? Widzieliśmy wczorajszego wieczoru włoskich komediantów w skórzanych maskach z wielkimi nosami, odmieniających rysy, ale nie zasłaniających ust. Poszukaj takiej maski, niech nałożą mu ją tak, żeby nie mógł jej ściągnąć, i dostarcz do pokoju zwierciadło, by dzień po dniu umierał ze wstydu. Chciał się przebrać za własnego brata? Przebierzemy go za Poliszynela! I pamiętaj: stąd aż do fortu zamknięta kareta, postoje tylko nocne i w szczerym polu, nie pokazujcie go na stacjach pocztowych. Jeśli ktoś zacznie się dopytywać, powiedzą, że odwożą do granicy wielką damę, która spiskowała przeciw Kardynałowi.

Ferrante, zakłopotany groteskowym przebraniem, wpatrywał się od wielu już dni (przez kraty wpuszczające do izby niewiele światła) w szary amfiteatr wypalonych słońcem wydm i stojącą na kotwicy w zatoce „Tweede Daphne”.

Panował nad sobą, kiedy miał przy sobie Biscarata; raz dawał mu do zrozumienia, że jest Robertem, a raz – że Ferrante, aby raporty trafiające na stół Mazarina zawierały zawsze sprzeczne informacje. Zdołał podsłuchać

rozmowę między gwardzistami i domyślił się, że w podziemiach fortu trzyma się piratów.

Dyszał żądzą zemsty na Robercie za coś, z czym ten nie miał nic wspólnego, i zadręczał się, wynajdując sposoby, żeby podnieść bunt, uwolnić tych łotrów, zawładnąć statkiem i ruszyć w pościg za Robertem. Wiedział, gdzie zacząć; w Amsterdamie znalazłby przecież jakichś szpicli, którzy wyjawiliby mu cel wyprawy „Amaryllis”. Dotarłby tam, odkrył sekret Roberta, wrzucił do morza niewygodnego sobowtóra, a potem odsprzedał Mazarinowi ów sekret za bardzo wysoką cenę.

Albo nie, odkrywszy sekret, mógłby uznać, że lepiej sprzedać go innym... A zresztą czemu miałby sprzedawać? Z tego, co wiedział, wydawało mu się, że sekret może dotyczyć mapy wyspy skarbów lub może alumbardów czy różokrzyżowców, o których mówiło się od dwudziestu lat. Obróciłby tę wiedzę na własną korzyść, nie musiałby szpiegować dla żadnego mocodawcy, gdyż miałby na usługi własnych szpiegów. Kiedy już zdobyłby bogactwo i władzę, nie tylko wszedłby w posiadanie rodowego nazwiska, ale i Pani byłaby jego.

Z pewnością Ferrante, zaprzątnięty intrygami, nie był zdolny do prawdziwej miłości, jednak – mówił sobie Robert – są przecież osoby, które nigdy by się nie zakochały, gdyby przedtem nie słyszały o miłości. Może Ferrante znajdzie w swej celi jakiś romans, przeczyta go i przekona się do kochania, dzięki czemu poczuje się jakby przeniesiony w inne miejsce.

Może podczas pierwszego spotkania Pani podarowała Ferrante grzebyk jako świadectwo swych uczuć. Teraz Ferrante całuje go, a całując, topi owego na nic niebaczącego człowieka w zatoce, której toń pruł dziób barwy kości słoniowej.

Być może, któż to wie, nawet taki jak on rozpustnik mógł poddać się wspomnieniu tej twarzy... Robert miał przed oczyma Ferrante siedzącego w ciemności przed zwierciadłem, które komuś stojącemu z boku odsyłało tylko wizerunek ustawionej na wprost świecy. Kiedy się kontempluje dwa światełka, jedno małpujące drugie, wzrok zastyga, umysł poddaje się czarowi, pojawiają się wizje. Przechylając nieco głowę, Ferrante widział

Lilię, czyste woskowe oblicze, tak nasycone światłem, że wchłaniało wszelkie inne promienie i pozwalało, by łagodnie falowały jasne włosy, niczym mroczna masa spływająca na kark, pierś ledwie widoczną pod lekką suknią z małym dekoltem...

Potem Ferrante (nareszcie! – nie posiadał się z radości Robert) chciał zbyt wiele wydobyć z czczego marzenia, spoglądał, nienasycony, prosto w lustro i za odbitym obrazem świecy widział tylko chleb świętojański hańbiący jego gębę.

Bestia, zniecierpliwiona utratą niezasłużonego daru, znowu zaczynała obmacywać grzebyk Lilii, lecz teraz, w świetle filującej świecy, ten przedmiot (który dla Roberta byłby najbardziej czcigodną z relikwii) jawił się Ferrante jako zębata paszcza gotowa kąsać jego przygnębienie.

32

Ogród Rozkoszy

Na myśl, że Ferrante, zamknięty na tamtej wyspie, oddzielony od Pani, patrzy na „Tweede Daphne”, której nigdy nie osiągnie, Robert czuł, musimy to wyznać, satysfakcję naganną, lecz zrozumiałą, mającą w sobie coś z satysfakcji narratora, albowiem – stosując piękną antymetabolę – zdołał swojego adwersarza także osaczyć, ale w sposób będący lustrzanym odbiciem jego własnego osaczenia.

Ty, w skórzanej masce na twarzy, nigdy nie dotrzesz ze swojej wyspy na statek. Ja natomiast, w mojej masce z okienkiem, jestem już bliski dotarcia do mojej Wyspy. Tak sobie mówił, gotując się do nowej wyprawy przez wodę.

Pamiętał, w jakiej odległości od statku się zranił, z początku więc płynął spokojnie, z maską zatkniętą za pas. Kiedy uznał, że znalazł się już blisko rafy, nasunął maskę na głowę i przystąpił do badania morskiej głębiny.

Przez chwilę widział tylko plamy, potem, jak ktoś, kto w pochmurną noc podpływa na statku pod falezę i widzi nagle przed sobą stromo wznoszące się urwisko, zobaczył skraj otchłani, nad którą płynął.

Zdjął maskę, opróżnił, nasunął oburącz i powolnymi ruchami nóg ruszył na spotkanie spektaklu, który dotąd ledwie mu mignął przed oczami.

A więc to są korale! Sądząc z notatek, jego pierwszym wrażeniem było poczucie zmieszania i osłupienie. Poczuł się jak w sklepie bławatnym, gdzie podsuwają mu pod oczy woale i tafty, brokaty, satyny, adamaszki, plusze i kokardy, frędzle i ścinki, a dalej stuły, kapy, ornaty, dalmatynki. Ale

wszystkie te tkaniny poruszały się same, i to ze zmysłowością orientalnych tancerek.

W tym pejzażu, którego Robert nie umie opisać, gdyż widzi go po raz pierwszy i nie znajduje w pamięci obrazów pozwalających wyrazić go słowami, oto nagle pojawia się zastęp istot dających się – o, tak – rozpoznać, a przynajmniej porównać z czymś, co już widział. Były to ryby, krzyżujące swe trajektorie niby gwiazdy na sierpniowym niebie, lecz wydawało się, że układając i dopasowując ich barwy i wzory na łuskach, natura chciała pokazać, jaka różnorodność stworzeń kąsających istnieje we wszechświecie i ile z nich może zamieszkiwać obok siebie jedno miejsce pod powierzchnią wody.

Były więc ryby w różnokolorowe paski, wzdłużne lub poprzeczne, lub nawet ukośne czy faliste. Były jakby intarsjowane drobnymi, kapryśnie rozsianymi plamami, tu ziarnistymi lub pstrymi, tam nakrapianymi, sypniętymi i misternie rozłożonymi albo pożyłkowanymi jak marmur.

Inne jeszcze miały wzór wężykowaty lub w splecione łańcuszki. Były rybki haftowane emalią, usiane skudami i rozetkami. I najpiękniejsza z nich, wyglądająca jak spowita w sznureczki, które tworzyły dwa szeregi wisiorków i cekinów; i cudem było prawdziwym, że ani razu nie zdarzyło się, by nie wrócił u góry sznur, który zaczynał się u dołu, jakby stworzenie wyszło spod ręki artysty.

Dopiero w tym momencie, widząc na tle ryb koralowe formy, których nie rozpoznał na pierwszy rzut oka, Robert dostrzegł kiście bananów, koszyczki z okruszkami chleba, duże kosze pełne spiżowych nieszpułek, nad którymi unosiły się kanarki, jaszczurki i kolibry.

Znalazł się nad ogrodem, nie, pomylił się, nad skamieniałym lasem ze szczątkami grzybów, nie, znowu dał się zwieść, teraz były tam pagórki, zakamarki, urwiska, depresje i pieczary, jedno zbocze żywych kamieni, na którym obca naszej ziemi roślinność układała się w spłaszczone, okrągłe lub łuskowate formy, okryte granitową jakby polewą, bądź sękate albo skulone w sobie. Ale chociaż tak rozmaite, wszystkie były przepiękne w swej gracji i swym powabie – do tego stopnia, że nawet te wykonane

z udawaną niedbałością, jakby spartaczone, demonstrowały swą chropowatość z dostojeństwem i zdawały się potworami, ale potworami piękna.

Albo też (Robert przekreśla i poprawia, a jednak nie potrafi oddać swych doznań, jak ktoś po raz pierwszy mający opisać kwadratowe koło, równinne urwisko, zgiełkliwą ciszę, nocną tęczę) to, na co patrzył, było krzewami cynobru.

Może, wstrzymując z całej siły oddech, doznał oszołomienia, może woda dostająca się do maski powodowała pomieszanie kształtów i odcieni. Wystawił głowę na powierzchnię, by wypełnić płuca powietrzem, i dalej unosił się na skraju rafy, wypatrując jej załomów i pęknięć, miejsc, gdzie otwierały się korytarze szczelin, w które wślizgiwali się pijani arlekini, a za chwilę na jakimś występie widział powoli oddychającego i poruszającego szczypcami homara ze śmietankowym grzebieniem, poniżej zaś – siatkę korali (tym razem podobnych do tych, jakie znał, tyle że rozmieszczonych jak niekończący się ser fra’ Stefano).

To, co ujrzał potem, nie było rybą, ale też nie liściem, choć z pewnością istotą żywą, złożoną z dwóch szerokich płatów białawej materii, karmazynowej po brzegach, i z wachlarzem piór; tam zaś, gdzie spodziewalibyśmy się oczu – były dwa rogi ze zmąconej laki.

Pręgowane polipy, które w swym sprośnym robaczym ruchu ukazywały różowość wielkiej wargi środkowej, muskały grządki białych penisów z amarantową żołędzią; różowe i nakrapiane oliwkowo rybki muskały żółto-popielate kalafiory skropione szkarłatem i pręgowane bulwy z czarniawymi odrostami... A dalej widać było porowatą, zabarwioną jak zimowit wątrobę wielkiego zwierzęcia albo sztuczny ogień jasnosrebrnych arabesek, jeżowce o kolcach z krwawymi kropelkami i wreszcie rodzaj czary z wiotkiej macicy perłowej...

Ta czara skojarzyła mu się w pewnym momencie z urną i pomyślał, że wśród tych skał pogrzebane zostały zwłoki ojca Kacpra. Są już niewidoczne, jeśli najpierw, wskutek działania wody, pokryły się koralową chrząstką, lecz korale, wchłaniając ziemskie humory z tego ciała, przybrały

formę kwiatów i owoców ogrodowych. Może zaraz rozpozna biednego starca przemienionego w stworzenie obce dotąd temu miejscu, z kulą głowy przerobioną na włochaty orzech kokosowy, dwoma jabłkami zamiast policzków, oczami i powiekami przeobrażonymi w dwie cierpkie morele, nosem – w mlecz z naroślami jak zwierzęce łajno; poniżej zaś wzdłuż warg – suche figi, burak z zeschłą łodygą na górze jako podbródek i chropawy kard jako gardło; na obu skroniach łupiny kasztanów miast kosmyków włosów, zamiast uszu dwie połówki łupiny orzecha, zamiast palców marchwie, brzuch z kawona, kolana z owoców pigwy.

Skąd Robertowi wzięły się myśli tak żałobne i w tak groteskowym kształcie? W innym kształcie szczątki biednego przyjaciela wypowiedziałyby w tym miejscu wieszcze słowa: *Et in Arcadia ego...*

Może oto w kształcie czaszki tego żwirowatego koralu... Wydało mu się, że ów sobowtór kamienia został wyrwany ze swego podłoża. Bądź to z politowania nad zmarłym przyjacielem, bądź z pragnienia, by wyrwać morzu przynajmniej jeden z jego skarbów, zabrał ten koral i czując, że dość już się tego dnia naoglądał, przycisnął zdobycz do piersi i wrócił na statek.

33

Światy Podziemne

Korale stały się dla Roberta wyzwaniem. Kiedy już odkrył, do jakiej pomysłowości zdolna jest Natura, poczuł się zaproszony do rywalizacji. Nie mógł zostawić Ferrante w więzieniu, a historii w połowie. W ten sposób uśmierzyłby urazę do rywala, ale nie zaspokoiłby swojej pychy opowiadającego. Co zrobić dalej z Ferrante?

Pomysł przyszedł Robertowi pewnego przedpołudnia, kiedy jak zwykle zajął o świcie stanowisko, by wypatrzyć na Wyspie Gołębicę Koloru Pomarańczy. Od wczesnego ranka słońce raziło w oczy i Robert spróbował nawet zrobić z kartki dziennika pokładowego rodzaj daszka wokół końcowej soczewki lunety, ale i tak chwilami widział tylko błyski. Kiedy potem słońce zawędrowało wyżej nad horyzont, morze zmieniło się w zwierciadło odbijające każdy promień.

Ale tego dnia Robert wbił sobie do głowy, że widział, jak coś wzlatuje nad drzewami ku słońcu i niknie w świetlistym kręgu. Zapewne było to złudzenie. W tym świetle każdy ptak wydałby się olśniewający... Robert był przekonany, że widział Gołębicę, i potem poczuł się zawiedziony swoją pomyłką. I w tym jakże dwuznacznym stanie ducha raz jeszcze miał wrażenie, jakby ktoś go okradł.

Komuś takiemu jak Robert, kto osiągnął stan, w którym cieszyło go tylko to, co zostało mu zabrane, niewiele trzeba było, żeby śnić, iż Ferrante ma to, czego jemu odmówiono. Ponieważ jednak był autorem tej opowieści i nie chciał dawać zbyt wiele Ferrante, uznał, że ten może obcować tylko z innym gołębiem, zielonobłękitnym. A to z tej przyczyny, że Robert, nie

mając żadnej zgoła pewności, zawyrokował, iż stworzenie pomarańczowe winno być gołębicą, jakby Nią. Ponieważ zaś w opowiadaniu o Ferrante gołąb stanowić winien nie cel, ale drogę ku posiadaniu, Ferrante przypadł samczyk.

Czy gołąb zielonobłękitny, latający jedynie nad morzami południowymi, może usiąść na parapecie tego okna, przy którym Ferrante wzdycha do wolności? W Krainie Romansów – owszem! A poza tym, czyż „Tweede Daphne” nie mogła niedawno wrócić z tych mórz, przywożąc w ładowni ptaka, który dopiero teraz wydostał się na wolność?

Tak czy owak, Ferrante nie miał pojęcia o Antypodach, nie mógł więc zadawać sobie tego rodzaju pytań. Zobaczył gołębia; najpierw dla zabicia czasu sypał mu okruszki chleba, potem jął rozważać, czy nie dałoby się go wykorzystać do swoich celów. Wiedział, że gołębie przenoszą czasem listy. Wprawdzie powierzanie liściku ptakowi nie znaczyło bynajmniej, że przesyłka trafi do adresata, ponieważ jednak się nudził, postanowił spróbować.

Kogo mógł prosić o pomoc on, który żywił do wszystkich, także do siebie, tylko nieprzyjazne uczucia i narobił sobie jedynie wrogów, a tych parę osób pozostających na jego usługach było zuchwalcami, chętnie idącymi za nim, dopóki sprzyjała mu fortuna, ale z pewnością nie wtedy, kiedy popadł w tarapaty? Powiedział sobie: poproszę o pomoc Panią, która przecież mnie miłuje. („Skąd ta pewność?” – zastanawiał się zazdrosny Robert, przypisując Ferrante taką pychę).

Biscarat zostawił mu przybory do pisania, na wypadek gdyby któraś z nocy przyniosła dobrą radę i Ferrante zechciał przesłać Kardynałowi swoje wyznanie. Na lewej stronie kartki umieścił adres Pani, dodając, że kto doręczy ten list, dostanie nagrodę. Na drugiej stronie napisał, gdzie się znajduje (nazwa padła kiedyś w rozmowie między strażnikami), że jest ofiarą haniebnego spisku Kardynała i błaga o ratunek. Następnie zwinął kartkę, przywiązał ją do nóżki ptaka i zachęcił go do lotu.

Prawdę mówiąc, zapomniał, albo prawie, o tym liście. Jakże mógł pomyśleć, że błękitny gołąb dotrze właśnie do Lilii? Takie rzeczy zdarzają

się tylko w bajkach, a Ferrante nie należał do ludzi, którzy zawierzyliby siebie bajarzom. Może gołąb padł ofiarą jakiegoś myśliwego i spadając przez gałęzie drzewa, zgubił liścik...

Ferrante nie wiedział, że gołąb wpadł w smołę wieśniakowi, który pomyślał, że może mieć korzyść z tego, co wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi było sygnałem przeznaczonym dla kogoś, może dla jakiegoś dowódcy.

Otóż wieśniak zaniósł list jedynej umiejącej czytać osobie w wiosce, to znaczy księdzu proboszczowi, ten zaś zrobił wszystko tak, jak należało. Kiedy dowiedział się, kim jest Pani, wysłał do niej przyjaciela, który doręczył przesyłkę w zamian za hojną jałmużnę dla Kościoła i napiwek dla chłopa. Lilia przeczytała, zalała się łzami i zwróciła do wiernych przyjaciół z prośbą o radę. Zmiękczyć serce Kardynała? Nic łatwiejszego dla pięknej damy z dworu, ale ta dama bywała w salonie Arthénice, której Mazarin nie ufał. Krążyły już satyryczne wierszyki o nowym ministrze i ktoś doniósł, że ich źródła trzeba szukać w tych właśnie salonach. Pewna wykwintnisia poszła prosić Kardynała o litość dla swego przyjaciela, ale ściągnęła tylko na jego głowę jeszcze większą biedę.

Nie, trzeba zebrać oddziałek śmiałków i spróbować akcji zbrojnej. Do kogo się jednak zwrócić?

Robert nie wiedział, co dalej. Gdyby był muszkieterem króla albo najmłodszym synem gaskońskiej rodziny, Lilia mogłaby się udać do tych walecznych mężów, sławnych z *esprit de corps*. Kto jednak zechce narazić się na gniew ministra, może samego króla, by ratować cudzoziemca obracającego się wśród bibliotekarzy i astronomów? O samych bibliotekarzach i astronomach można zapomnieć, a chociaż chodziło o Romans, nie mógł też wyobrazić sobie Kanonika z Digne albo pana Gaffarela, pędzących co koń wyskoczy ku jego więzieniu – to znaczy, ku więzieniu Ferrante, który już dla wszystkich stał się Robertem.

Natchnienie spłynęło nań kilka dni później. Dał pokój opowieści o Ferrante i wrócił do eksplorowania rafy koralowej. Tego dnia przyglądał

się gromadzie ryb z żółtymi jakby szyszakami na głowach, przypominającej oddział wojska w czasie ćwiczeń woltyżerskich. Wpływały w szczelinę między dwie kamienne wieże – tam gdzie korale stawały się ruinami pałaców jakiegoś zatopionego miasta.

Robert pomyślał, że ryby wędrują wśród ruin tego miasta Ys, o którym mu opowiadano, a które leży ponoć parę mil od wybrzeży bretońskich, tam gdzie pochłonęły je fale. O, ta większa ryba to starodawny król miasta ze świtą dygnitarzy; wszyscy pędzą na koniach, szukając swego skarbu zabranego przez fale...

Po co jednak wracać do starej legendy? Czemu nie patrzeć na ryby jak na mieszkańców świata, który ma swoje lasy, góry, drzewa i doliny i nic a nic nie wie o świecie na powierzchni? Tak samo my żyjemy, nie wiedząc, że puste nieba kryją inne światy, których mieszkańcy nie chodzą ani nie pływają, lecz fruwają lub żeglują w powietrzu; jeśli to, co nazywamy planetami, jest kadłubami ich statków, które ukazują nam tylko swoje połyskliwe dna, podobnie jak ryby, dzieci Neptuna, widzą nad sobą cienie naszych galeonów i uznają je za ciała eteryczne, krążące po ich wygodnym firmamencie.

A skoro mogą istnieć stworzenia żyjące pod wodą, mogłyby też istnieć stworzenia żyjące pod ziemią. Ludy salamander, potrafiących dotrzeć tunelami do centralnego ognia, który ożywia naszą planetę.

Rozmyślając w ten sposób, Robert przypomniał sobie argumentację Saint-Savina: myślimy, że trudno żyć na powierzchni Księżyca, bo naszym zdaniem nie ma tam wody, ale może woda jest, tyle że wypełnia podziemne zagłębienia, natura zaś stworzyła studnie, które my widzimy jako plamy. Kto potrafi powiedzieć, czy mieszkańcy Księżyca nie chronią się w tych wnękach, by uciec od nieznośnej bliskości Słońca? A czy pierwsi chrześcijanie nie żyli pod ziemią? Tak samo Lunatycy żyją stale w katakumbach, które im wydają się swojskie.

I nie jest powiedziane, że muszą żyć w mroku. Być może w skorupie satelity jest mnóstwo dziur i do wnętrza dostaje się światło z tysięcy takich otworów wentylacyjnych; panuje tam ciemność, którą rozpraszają świetliste

wiązki, zupełnie tak samo, jak widzimy to w kościołach czy pod pokładem „Dafne”. Albo nie, na powierzchni znajdują się fosforyczne kamienie, które w ciągu dnia wchłaniają światło słoneczne, a oddają je nocą, Lunatycy zaś sprzedają je o zmierzchu, tak więc tamtejsze tunele są zawsze jaśniejsze od królewskiego pałacu.

Paryż! – pomyślał Robert. Czyż nie jest powszechnie wiadome, że to miasto zostało podziurawione katakumbami, w których chronią się na noc złoczyńcy i żebracy?

Żebracy! Oto pomysł na uratowanie Ferrante! Żebracy, którzy mają ponoć swego króla i rządzą się żelaznymi prawami! Żebracy, zakon okrutnego motłochu żyjącego z występku, kradzieży i łajdactwa, zabójstw i złoczynienia, plugastwa, oszustw i nikczemności, choć udającego, że żyje z chrześcijańskiego miłosierdzia!

Taka myśl mogła zrodzić się tylko w głowie niewiasty zakochanej! Lilia – snuł opowieść samemu sobie Robert – nie poszła zwierzyć się ludziom dworskim czy szlachcie urzędniczej, lecz w towarzystwie najniższej ze swych służek, która obcowała bezwstydnie z pewnym woźnicą znającym szynki wokół Notre-Dame, gdzie o zachodzie słońca, po dniu spędzonym na natarczywym domaganiu się datków pod portalami katedry, pokazują się żebracy... Oto właściwa droga!

Przewodniczka zaprowadziła ją późną nocą do kościoła Saint-Martin-des-Champs, podniosła kamień w posadzce chóru, zeszła przodem do paryskich katakumb i przy świetle łuczywa ruszyła na poszukiwanie Króla Żebraków.

Oto Lilia, przebrana za androginicznego i gibkiego szlachcica, podąża tunelami, po schodach, przez nory, i tu i ówdzie widzi w ciemności leżące na kupach szmat i łachmanów okaleczone ciała, widzi twarze naznaczone brodawkami, piętnami skazańców, różą, parchami, liszajami, ropieniami i zgorzelami, a wszyscy ci ludzie wymachują wyciągniętymi dłońmi – nie wiadomo, prosząc o jałmużnę czy jakby mówiąc z miną szambelana: „Idźcie, idźcie, nasz pan już czeka”.

I pan ich był tam, pośrodku sali znajdującej się tysiąc mil pod powierzchnią miasta, siedział na baryłce w otoczeniu świty rzezimieszków, szachrajów, fałszerzy i szarlatanów – hultajstwa biegłego we wszelkim występku i łamaniu prawa.

Jak mógł wyglądać Król Żebraków? Okrywał się podartym płaszczem, miał czoło pokryte guzami, czerwony nos, z którego niewiele już zostało, oczy jak z marmuru, jedno zielone, drugie czarne, spojrzenie kuny, brwi zwieszone, zającą wargę, która odkrywała ostre i sterczące wilcze zęby, włosy kędzierzawe, cerę ziemistą, dłonie o krótkich palcach z zakrzywionymi pazurami...

Wysłuchał Pani i oznajmił, że ma na usługi wojsko, przy którym armia króla Francji jest jak prowincjonalny garnizon. I znacznie mniej kosztowne; jeśli tych ludzi wynagrodzi się sowicie, podwajając, powiedzmy, to, co w tym samym czasie zarobiliby na żebractwie, dadzą się zabić za tak szczodrego zleceniodawcę.

Lilia zsunęła z palca rubin (jak zwykło się czynić w takich sytuacjach) i zapytała z królewską miną:

– Czy to wystarczy?

– Mnie tak – odparł Król Żebraków, pieszcząc klejnot wilczym spojrzeniem. – Proszę powiedzieć gdzie. – A dowiedziawszy się, dorzucił: – Moi ludzie nie korzystają z koni ani karet, ale można tam dotrzeć Sekwaną, na barkach.

Robert wyobrażał sobie, jak o zmierzchu Ferrante zabawia się na wieżycy fortu rozmową z kapitanem Biscaratem, który nagle widzi nadciągających. Najpierw pokazali się na wydmach, by potem rozlać się po równi.

– Pielgrzymi do grobowca świętego Jakuba – rzucił pogardliwie Biscarat – i to najgorszego albo najbardziej nieszczęśliwego rodzaju, szukają bowiem zbawienia, kiedy są już jedną nogą w grobie.

Rzeczywiście, pielgrzymi podchodzili długim szeregiem do wybrzeża i widać było zastęp ślepców z wyciągniętymi rękami, beznogich o kulach,

trędowatych, ropiejących, owrzodzonych i skrofulicznych, zbieraninę kalek, chromych i koślawców ubranych w szmaty.

– Wolałbym, żeby nie zbliżali się zanadto, szukając schronienia pod wieczór – powiedział Biscarat. – Przynieśliby tylko kupę brudu.

I kazał oddać parę strzałów z muszkietu w powietrze, by uświadomić tamtym, że zameczek nie jest miejscem zbyt gościnnym.

Jednak te strzały podziałały jak wezwanie. Z dala napływali ciągle następni, a pierwsi dochodzili już do fortecy i słychać było nawet zwierzęcy bełkot.

– Na Boga, trzymać ich z daleka! – wrzasnął Biscarat i kazał zrzucić trochę chleba, jakby mówiąc, że tyle miłosierdzia jest w sercu pana tego miejsca i na nic więcej liczyć nie mogą.

Jednak plugawa zgraja, rozrastając się w okamgnieniu, wysunęła już straże przednie pod mur, depcząc ten dar i spoglądając w górę, jakby oczekiwała czegoś lepszego.

Teraz widać było pojedynczych osobników i nie przypominali oni wcale pielgrzymów ani nieszczęśników, którzy pragną pozbyć się parchów. Nie ulega wątpliwości – powiedział z troską Biscarat – że to niepożądani goście, zbieranina awanturników. A przynajmniej na takich wyglądali jeszcze przez chwilę, albowiem zapadł zmierzch i cała równina wraz z wydmami stała się szarym rojowiskiem szczurzej tłuszczy.

– Do broni, do broni! – zakrzyknął Biscarat, który odgadł wreszcie, że nie o pielgrzymkę czy żebranie tu chodzi, lecz o prawdziwe oblężenie.

I rozkazał strzelić parę razy do tych, którzy dotykali już murów. Ale było to tak, jakby strzelano właśnie do zgrai szczurów: ci z tyłu napierali na tych z przodu, poległych deptano, wykorzystywano jako rusztowanie dla następnych i pierwsi czepiali się już pęknięć w starodawnej budowli, zagłębiali palce w szczeliny, wsuwali stopy w szpary, chwytając się krat okiennych, sięgając wykrzywionymi kończynami w głąb strzelnic. Jednocześnie druga gromada hołoty falowała na dole, szykując się do wyłamania bramy.

Biscarat polecił zabarykadować bramę od środka, ale deski skrzydeł, choć mocne, trzeszczały pod naporem bękarciego rodu.

Gwardziści nadal strzelali, lecz dalsze hufce przeskakiwały natychmiast przez nielicznych poległych, teraz widać było jeno kipiel, z której w pewnym momencie jęły się wysuwać wyrzucane w powietrze sznurowe węgorze, i uświadomiono sobie, że to żelazne haki na drągach i że kilka zaczepiło się już o blanki. A ledwie jeden z gwardzistów pokazał się, chcąc zerwać te szponiaste żelaza, pierwsi, którzy zdołali się wspiąć, rzucili się nań z prętami i kijami, gdy tymczasem inni chwycili go w pętlę i ściągnęli pod mur, gdzie zniknął w tłuszczy opętanego plugastwa, w której wyciu zginęło śmiertelne rzężenie żołdaka.

Jednym słowem, jeśliby ktoś przebieg wypadków śledził z wydm, nie ujrzałby już fortu, lecz tylko rój much nad ścierwem, krzątaninę na plastrze miodu, hufiec szerszeni.

Z dołu dał się słyszeć huk padającej bramy i zgiełk na dziedzińcu. Biscarat i gwardziści przenieśli się na drugą stronę wieżycy i nie myśleli nawet o Ferrante, który przywarł do wnęki drzwi wychodzących na schody, niezbyt przestraszony, przeczuwający teraz, że przybysze są w pewnym sensie jego przyjaciółmi.

Owi przyjaciele ogarnęli krenelaże i pokonali je, hojnie szafując życiem i padając od ostatnich muszkietowych strzałów; nie zważając na pierś swą obnażoną, przełamali zaporę ze szpad.

Wprawili przy tym gwardzistów w przerażenie kaprawymi oczami i wykrzywionymi twarzami. Tak więc gwardziści, ludzie skądinąd z żelaza, rzucali oręż, wznosząc do nieba prośby o zmiłowanie do tych, których uznali już za zgraję z piekła rodem, zgraja zaś najpierw powaliła ich ciosami kijów, a potem rzuciła się na garstkę pozostałych przy życiu, waląc po pyskach i żuchwach, mordach i kufach, i zębami rozszarpując gardła, pazurami rozrywając ciała na strzępy, w walce dając upust swemu rozgoryczeniu, pastwiąc się nad poległymi. Ferrante widział nawet, jak niektórzy otwierają czyjąś pierś i wydobywszy serce, pożerają je pośród wrzasków.

Na koniec pozostał Biscarat, który walczył jak lew. Widząc, że nie ma już dlań ocalenia, oparł się plecami o balustradę, skrwawioną szpadą nakreślił na ziemi linię i wykrzyknął: *Icy mourra Biscarat, seul de ceux qui sont avec luy!*

Ale w tym momencie jakiś ślepiec z drewnianą nogą, wymachując toporem, stanął u szczytu schodów, skinął ręką i zakończył jatki, rozkazując związać Biscarata. Potem dostrzegł Ferrante, rozpoznał go po tejże masce, która miała uniemożliwić rozpoznanie, pozdrowił go zamaszystym gestem zbrojnej ręki, jakby chciał zamieść ziemię piórem kapelusza, i powiedział:

– Panie, jesteś wolny!

Wyjął z kaftana list z pieczęcią, którą Ferrante od razu poznał, i wręczył więźniowi.

Był to list od Niej, w którym radziła mu objąć komendę nad tym strasznym, lecz wiernym wojskiem i czekać na miejscu, ona bowiem zjawi się tu o brzasku dnia.

Kiedy Ferrante pozbył się maski, uwolnił przede wszystkim piratów, z którymi zawarł pakt. Chodziło o to, by wrócili na statek i pożeglowali pod jego rozkazami, nie zadając żadnych pytań. Nagrodą miał być skarb wielki jak kocioł z żarciem w Altopascio. Zgodnie ze swoim zwyczajem Ferrante ani myślał dotrzymać słowa. Jak tylko odnajdzie Roberta, wystarczy wydać własną załogę w pierwszym porcie i wszyscy zawisną na szubienicy, on zaś zostanie panem statku.

Żebracy do niczego mu nie byli potrzebni, a ich wódz okazał się człowiekiem lojalnym i wyjaśnił, że zostali już opłaceni. Chcieli wynieść się stąd jak najszybciej. Rozproszyli się w głębi lasu; żebrząc, posuwali się od wioski do wioski, by w końcu wrócić do Paryża.

Nic łatwiejszego, jak wsiąść na łódź stojącą w basenie fortu, dotrzeć do statku i wrzucić do morza dwóch ludzi, którzy stanowili jego załogę. Biscarat został skuty łańcuchami i umieszczony w ładowni, gdyż jako zakładnik mógł się jeszcze przydać. Ferrante pozwolił sobie na krótki odpoczynek, wrócił przed świtem na brzeg, akurat w odpowiednim

momencie, by powitać karetę, z której wysiadła Lilia, piękniejsza niż kiedykolwiek w tym męskim przebraniu.

Robert uznał, że najwięcej cierpień przysporzyła mu myśl o tym, iż przywitali się powściągliwie, by się nie zdradzić przed piratami, którzy mieli – w swym mniemaniu – przyjąć na pokład młodego szlachcica.

Popłynęli na statek, Ferrante sprawdził, czy wszystko jest gotowe do rejsu, i kiedy podniesiono kotwicę, zszedł do kabiny, którą kazał przygotować dla swego gościa.

Lilia już nań czekała, spoglądając oczami, które niczego nie chciały, jeno by je miłować, spowita w falisty feston swoich włosów, opadających teraz swobodnie na plecy. O błędne kędziory, o loki złociste i uwielbione, o pierścienie lotne i rozigrane, a w igrcach swych tak niepoprawne – upajał się Robert za Ferrante.

Ich twarze zbliżyły się, by zebrać żniwo pocałunków, zrodzone z dawnego zasiewu westchnień, i w tym momencie Robert dotknął w myślach tych leciutko zaróżowionych warg. Ferrante całował Lilię, a Robert wyobrażał sobie, jak sam z drżącym sercem kąsa ten najprawdziwszy z korali. Lecz nagle poczuł, że Lilia umyka mu niby tchnienie wiatru, że niknie gdzieś to ciepło, w innych ramionach, w odległej, ukwieconej łożnicy innego statku.

Aby obronić kochanków przed spojrzeniami, spuścił na nich mało przejrzystą kapę i obnażone teraz ciała stały się księgami słonecznej negromancji, których święte słowa objawiały się tylko dwojgu wybranym, sylabizującym je na zmianę z ust do ust.

Statek mknął jak strzała, Ferrante brał górę. Ona miłowała w nim Roberta, w którego serce te obrazy wpadały niby żagiew w wiązkę chrustu.

34

Monolog o Wielości Światów

Pamiętamy – mam nadzieję, gdyż Robert przyswoił sobie od ówczesnych powieściopisarzy nawyk jednoczesnego opowiadania tylu historii, że w pewnym momencie traci się wątek – iż po pierwszej wizycie w świecie koralowym nasz bohater wrócił z „kamiennym sobowtórem”, który przypominał mu czaszkę, może księdza Kacpra.

Teraz, pragnąc zapomnieć o amorach Lilii z Ferrante, usiadł o zmroku na pokładzie, by przypatrzyć się temu przedmiotowi i zbadać jego fakturę.

Wcale nie przypominał czaszki. Był to raczej mineralny ul złożony z nieregularnych wieloboków, choć nie one stanowiły podstawowe zespoły jego tkanki: każdy z wieloboków ukazywał w środku symetrię z promienistymi delikatnymi nitkami, między którymi pojawiały się – ale trzeba było wytężyć wzrok – odstępy tworzące, być może, inne wieloboki, a jeżeliby oko mogło przeniknąć jeszcze głębiej, spostrzegłoby pewnie, iż boki tych maleńkich wieloboków były zbudowane z innych, jeszcze mniejszych wieloboków, aż – dzieląc tak części na części części – dochodziło się do momentu, kiedy miało się przed sobą cząstki już niepodzielne, jakimi są atomy. Ponieważ jednak Robert nie wiedział, jak dalece można dokonywać podziałów materii, nie potrafił powiedzieć, dokąd jego wzrok – niestety, nie rysi, nie miał już bowiem owej soczewki, przez którą ojciec Kacper umiał wypatrzyć nawet żyjątka zarazy – może sięgnąć w głąb, by odnajdywać nowe formy w formach przeczutych.

Nawet głowa księdza – jak wykrzykiwał tamtego wieczoru podczas pojedynku Saint-Savin – może być światem dla wszy i, och, jakże, gdy padły te słowa, kłębiły się w mózgu Roberta myśli o świecie, w którym

żyły, o szczęśliwe insekty, wszy Anny Marii (czy Franciszki) Nowaryjki! Zważywszy jednak na to, że nawet wszy nie są atomami, lecz bezkresnymi wszechświatami dla atomów, z których się składają, może wewnątrz ciała wszy są inne, jeszcze mniejsze zwierzątka, żyjące sobie tam niby w przestrzennym świecie. I może nawet moje ciało – rozmyślał Robert – i moja krew nie są niczym innym, jak tylko tkankami drobniusieńkich zwierzątek, które poruszają się i tym sposobem mnie też nadają ruch, pozwalając, by kierowała nimi moja wola, ich woźnica. I moje zwierzątka pewnie zastanawiają się teraz, dokąd je wiodę, poddając na zmianę wodnym chłodom i słonecznym żarom, i zagubione w następstwach niestałych klimatów, są równie niepewne swego losu jak ja.

A jeśli w przestrzeń tak samo bezmierną czują się rzucone inne zwierzątka, jeszcze mniejsze i żyjące we wszechświecie tych, o których przed chwilą mówiłem?

Czemu nie miałbym sobie tego wyobrazić? Tylko z tej przyczyny, że nic o nich nie wiem? Mówili mi przecież paryscy przyjaciele, że gdyby ktoś, wspiąwszy się na wieżę Notre-Dame, spojrzał w dal w stronę przedmieścia Saint-Denis, nigdy by nie pomyślał, iż ta niewyraźna plama jest zamieszkana przez istoty podobne do nas. Widzimy Jowisza, który jest ogromny, ale z Jowisza nie widzą nas i nawet nie pomyślą, że istniejemy. I czyż byłbym jeszcze wczoraj podejrzewał, że pod morzem – wcale nie na odległej planecie czy w kropli wody, lecz w części naszego Uniwersum – istnieje Inny Świat?

A z drugiej strony, cóż wiedziałem ledwie kilka miesięcy temu o Ziemi Australnej? Powiedziałbym, że to wymysł geografów i heretyków, a kto wie, czy w tym czasie nie spalili na tych wyspach jakiegoś filozofa, który twierdził gardłowym głosem, że istnieje Monferrato i Francja. Przecież w tej chwili jestem tutaj i nie mogę uchylić się od wiary, że Antypody istnieją – i że wbrew poglądom ludzi uważanych niegdyś za mędrców nie chodzę głową w dół. Po prostu mieszkańcy tego świata zajmują rufę, my zaś dziób tego samego statku, na którego pokładzie i jedni, i drudzy zostaliśmy umieszczeni, choć nic o sobie wzajemnie nie wiemy.

Tak, sztuka latania jest dotąd nieznana, a przecież – jeśli przyznać rację niejakiemu panu Godwinowi, o którym mówił mi doktor Igby – pewnego dnia polecimy na Księżyc, podobnie jak dotarliśmy do Ameryki, mimo że przed Kolumbem nikt nie podejrzewał ani istnienia takiego kontynentu, ani tego, że będzie nosił taką właśnie nazwę, jaką nosi.

Zmierzch ustąpił miejsca wieczorowi, a potem przyszła noc. Robert widział teraz na niebie księżyc w pełni i dostrzegł nawet plamy, które dzieci i ludzie nieuczeni biorą za oczy i usta łagodnego oblicza.

Chcąc sprowokować ojca Kacpra (w jakim świecie, na jakiej planecie sprawiedliwych przebywa teraz kochany starzec?), Robert zaczął mu mówić o mieszkańcach Księżyca. Czy jednak naprawdę Księżyc może być zamieszkany? Czemu nie, jest przecież jak Saint-Denis: cóż wiedzą ludzie o świecie, jaki może tam istnieć?

Tak argumentował Robert: czy gdybym był na Księżycu i cisnął do góry kamień, spadłby on na Ziemię? Nie, spadłby na Księżyc. A zatem Księżyc, tak samo jak każda planeta czy gwiazda, jest Uniwersum, które ma swój środek i powierzchnię, i środek ten przyciąga wszystkie ciała znajdujące się w sferze władania tego świata. Jak na Ziemi. Czemu więc nie miałoby dziać się na Księżycu to wszystko, co dzieje się na Ziemi?

Księżyc jest otulony atmosferą. Czy w Niedzielę Palmową czterdzieści lat temu nie widział ktoś, jak mi powiedziano, chmur na Księżycu? Czy nie widać na tej planecie wielkiego drżenia przed zaćmieniem? I czy nie jest to dowód, że istnieje tam powietrze? Planety wietrzeją, tak samo jak gwiazdy – czym innym mogą być plamy, które widać ponoć na Słońcu i z których tworzą się gwiazdy spadające?

I z pewnością jest na Księżycu woda. Jak wyjaśnić inaczej jego plamy, jeśli nie jako wizerunki jezior (ktoś wyraził nawet przypuszczenie, że są to jeziora sztuczne, dzieło prawie ludzkie, tak dobrze zostały zarysowane i rozmieszczone w jednakowych odległościach)? Z drugiej strony, gdyby Księżyc został pomyślany po prostu jak wielkie zwierciadło odbijające ku Ziemi promienie Słońca, czemu Stwórca miałby zabrudzić to zwierciadło

plamami? Stąd wniosek, że plamy nie są niedoskonałościami, lecz doskonałościami, a zatem stawami lub jeziorami, lub morzami. A skoro jest tam i powietrze, i woda, jest też życie.

Może to życie jest odmienne od naszego. Może ta woda ma smak (bo ja wiem?) gliceryny, kardamonu albo nawet pieprzu. Jeśli istnieje mnogość światów, dowodzi to nieskończonej pomysłowości Inżyniera naszego Uniwersum, a w rezultacie ten Poeta nie zna granic. Mógł wszędzie stworzyć światy zamieszkane, umieszczając w nich istoty za każdym razem inne. Może mieszkańcy Słońca są bardziej słoneczni, jaśni i oświeceni niż mieszkańcy Ziemi, tym bowiem ciąży materia, a mieszkańcy Księżyca są w połowie drogi między jednym a drugim. Na Słońcu żyją istoty całkowicie złożone z formy albo czynu, jeśli kto woli, na Ziemi istoty z ewoluujących Potencji w stanie czystym, a na Księżycu są one *in medio fluctuantes*, to znaczy raczej lunatyczne...

Czy moglibyśmy żyć w powietrzu księżycowym? Może nie, może doznawalibyśmy od niego zawrotu głowy; z drugiej strony ryby nie mogą żyć w naszym powietrzu ani ptaki w powietrzu rybim. To powietrze winno być gęstsze od naszego, a ponieważ nasze ze względu na swą gęstość pełni rolę naturalnej soczewki filtrującej promienie słoneczne, Selenici widzą Słońce znacznie wyraźniej. Brzask i zmierzch, kiedy mamy światło, choć Słońce jeszcze nie wzeszło albo już zaszło, to dar naszego powietrza, które obfituje w nieczystości i wskutek tego więzi i przekazuje światło; to światło, które się nam nie należy i z którego korzystamy w nadmiarze. Ale w ten sposób owe promienie przygotowują nas stopniowo na przyjęcie i utratę Słońca. Być może na Księżycu, gdzie powietrze jest rzadsze, dni i noce zaczynają się nagle, Słońce wznosi się od razu nad horyzontem, jakby nastąpiło podniesienie kurtyny. Potem od najbardziej roziskrzonego światła przechodzi się do bitumicznej ciemności. I na Księżycu nie ma pewnie tęczy, która powstaje wskutek zawieszenia w powietrzu oparów. Ale może z tego samego powodu nie znają tam ani deszczu, ani grzmotów, ani błyskawic?

A jacy byliby mieszkańcy planet najbliższych Słońcu? Zapalczywi jak Murzyni, ale znacznie bardziej uduchowieni niż my. Jakiej wielkości jest u nich Słońce? Jak znoszą jego blask? Być może tam metale topią się w przyrodzie i płyną rzekami?

Czy jednak naprawdę mamy nieskończoność światów? Z powodu tego rodzaju pytania doszło w Paryżu do pojedynku. Kanonik z Digne mówił, że nie wie. Lub też studia nad fizyką skłoniły go do odpowiedzi twierdzącej i trzymał się w tym wielkiego Epikura. Świat musi być nieskończony. Atomy stłoczone w pustce. Że ciała istnieją, poświadcza doznanie; że próżnia istnieje, poświadcza rozum. Jak i gdzie poruszałyby się w innym razie atomy? Gdyby nie istniała próżnia, nie byłoby ruchu, chyba że ciała wzajemnie by przez siebie przenikały. Rzeczą śmiechu wartą byłoby mniemać, że gdy muszka odpycha skrzydełkami odrobinę powietrza, to ta odrobina odepchnęłaby inną odrobinę, w ten bowiem sposób jeśliby byle pchła ruszyła nóżką, ruch ten, przekazywany coraz dalej, nabiłby guza komuś na odległym końcu świata!

Z drugiej strony gdyby próżnia była nieskończona, liczba atomów zaś skończona, te ostatnie nie przestałyby nigdy poruszać się to tu, to tam, nigdy nie zderzałyby się ze sobą (jak dwie osoby nie spotkałyby się nigdy – gdyby wykluczyć przypadek doprawdy nie do pomyślenia – błądząc po niezmierzonej pustyni) i nie tworzyłyby żadnych połączeń. Gdyby zaś próżnia była skończona, a ciał – nieskończenie wiele, zabrakłoby dla nich miejsca.

Naturalnie wystarczy wyobrazić sobie próżnię skończoną i skończoną liczbę atomów. Kanonik mówił, że to pogląd najprzezorniejszy. Czemu mielibyśmy uznawać, że Bóg, niby jakiś kierownik trupy teatralnej, musi w nieskończoność stwarzać coraz to nowe widowiska? Swoją wolność przejawia w wieczności, powoławszy do życia jeden jedyny świat i dbając o jego zachowanie. Nie ma żadnych racji przemawiających przeciw wielości światów, ale nie ma także przemawiających za taką wielością. Bóg, który był, kiedy nie było świata, stworzył dostateczną liczbę atomów

i przestrzeń dostatecznie obszerną, by dokonać swego arcydzieła. Część Jego nieskończonej doskonałości stanowi Geniusz Granicy.

Pragnąc zobaczyć, czy światy istnieją też w rzeczach martwych i ile ich jest, Robert poszedł do małego muzeum na „Dafne”, a potem ustawił przed sobą na pokładzie jakby astragal ze wszystkich rzeczy martwych, które tam znalazł, kopalin, czaszek, rybich ości. Przenosił spojrzenia z jednej na drugą i snuł na chybił trafił dalsze rozważania o Przypadku i przypadkach.

Kto mnie jednak przekona (mówił), że Bóg skłania się ku granicy, skoro doświadczenie ujawnia mi ciągle nowe światy w górze i w dole? Mogłoby się wówczas zdarzyć, że to świat, nie zaś Bóg, byłby wieczny i nieskończony, i zawsze istniałby; i zawsze tak jest pośród nieskończonych, coraz to innych układów nieskończenie wielu atomów w nieskończonej pustce i zgodnie z pewnymi prawami, na razie nieznanymi, ale w zestrojeniu z nieprzewidywalnymi, choć regularnymi rozmieszczeniami atomów, które inaczej miotałyby się bez ładu i składu. A wtedy świat byłby Bogiem. Bóg rodziłby się z wieczności jako bezbrzeżny świat, a ja podlegałbym jego prawom, nie wiedząc, jakie są.

Głupota – powiedzą niektórzy. Możesz rozprawiać o nieskończoności Boga, albowiem nie zostałeś powołany, byś pojął ją swym rozumem, ale masz po prostu wierzyć, jak wierzy się w tajemnicę. Jeśli jednak chcesz mówić o filozofii naturalnej, winieneś pojąć jakoś świat nieskończony, a nie potrafisz.

Być może. Wyobraźmy sobie zatem, że świat jest wypełniony i skończony. Spróbujmy pomyśleć następnie o nicości, jaka przyjdzie, gdy świat się skończy. Czy myśląc o tej nicości, możemy wyobrazić ją sobie jako wiatr? Nie, bo przecież ma to być prawdziwa nicość, także bez wiatru. Czy można wykoncypować w terminach filozofii naturalnej – nie wiary – bezkresną nicość? Łatwiej już wyobrazić sobie świat, który rozciąga się dalej, niż wzrok sięga, podobnie jak poeci potrafią wyobrazić sobie rogatych ludzi lub dwuogonowe ryby, składając części przedtem znane. Wystarczy w miejscu, gdzie naszym zdaniem świat się kończy, dołączyć doń inne części (przestrzeń złożoną zawsze i wszędzie z wody i ziemi,

gwiazd i kręgów niebieskich), podobne do tych, które już znamy. I tak bez końca.

Gdyby jednak świat był skończony, lecz nicość, ponieważ jest nicością, nie mogłaby istnieć, co znajdowałoby się poza granicami świata? Pustka. Oto więc, negując nieskończoność, potwierdzamy próżnię, która musi być wszak nieskończona, bo w miejscu, gdzie osiągałaby swój kres, musielibyśmy wyobrazić sobie nową przestrzeń nicości, a wszystko to jest doprawdy nie do pomyślenia. Lepiej więc od razu i bez przymuszenia myśleć o pustce i umieścić w niej atomy, niż myśleć o niej jako pustce, która nie może być bardziej pusta.

Robert korzystał z wielkiego dobrodziejstwa, które dawało sens jego zaprzeczeniom. Miał otóż oczywisty dowód istnienia innych niebios, a poza tym mógł domyślać się mnogich światów w rafie koralowej – bez konieczności wzbijania się poza kręgi niebieskie. Czyż warto było liczyć, na ile sposobów atomy Uniwersum mogą się ze sobą złączyć – i palić na stosie każdego, kto utrzymywał, że ich liczba nie jest skończona – kiedy starczyłoby medytować latami nad jednym z tych morskich przedmiotów, by zrozumieć, iż przemieszczenie, z woli Boga czy wskutek Przypadku, jednego tylko atomu może dać życie Drogom Mlecznym, których istnienia nikt nie podejrzewał?

Odkupienie? Argument fałszywy, a nawet – zapewniał Robert, który wolał uniknąć kłopotów z jezuickimi bliźnimi, jakich mógłby spotkać – argument godny kogoś, kto nie umie wyobrazić sobie boskiej wszechmocy. Któż może wykluczyć, że w planie stwarzania grzech pierworodny został popełniony w jednej i w tej samej chwili we wszystkich światach, choć na sposoby rozmaite i niewyobrażalne, i że Chrystus umarł na krzyżu dla wszystkich, dla Selenitów, Syrian, Koralitów, którzy żyli na molekułach tego podziurawionego kamienia, kiedy był jeszcze żywy?

W gruncie rzeczy Robert nie był przekonany własną argumentacją; upichcił danie złożone ze zbyt wielu ingrediencji lub wrzucił do jednego argumentowego worka rzeczy zasłyszane w rozmaitych miejscach – a nie był na tyle niemądry, by nie zdawać sobie z tego sprawy. Dlatego,

zapędziwszy w kozi róg wyimaginowanego przeciwnika, oddawał mu głos i identyfikował się teraz z jego obiekcjami.

Pewnego razu, kiedy rozmawiali o pustce, ojciec Kacper zamknął mu usta sylogizmem, na który Robert nie umiał znaleźć odpowiedzi: pustka jest niebytem, ale niebytu nie ma, *ergo* nie ma pustki. Był to trafny argument, gdyż negował pustkę, dopuszczając jednak możliwość jej pojęcia. Rzeczywiście, można doskonale rozmyślać o rzeczach, które nie istnieją. Czy chimera, która warczy w pustce, może pożreć zamysły wtóre? Nie, bo przecież chimera nie istnieje, w pustce nie słyszy się żadnego warczenia, zamysły wtóre to wytwory umysłu i nie można się żywić wymyślonymi gruszkami. A jednak myślę o chimerze, choć jest chimeryczna, a więc jej nie ma. Tak samo z pustką.

Robert przypomniał sobie odpowiedź pewnego dziewiętnastolatka, który pewnego razu został zaproszony na zebranie swych przyjaciół filozofów, gdyż powiadało się, że pracuje nad machiną do rachunków arytmetycznych. Robert nie rozumiał zbyt dobrze, jak ma działać owa machina, i uznał tego młodzieńca (może przez zgryźliwość) za zbyt nijakiego, zbyt smętnego i zbyt przemądrzałego jak na swój wiek, albowiem przyjaciele libertyni głosili, że można być mędrcem w sposób radosny. A tym gorzej znosił to, że gdy doszło do rozmowy o pustce, młodzieniec chciał koniecznie wtrącić swoje trzy grosze, i to w sposób dość bezwstydny: „Za dużo mówiło się dotąd o pustce. Teraz trzeba pokazać ją przez doświadczenie”. I mówił to takim tonem, jakby to zadanie miało spaść kiedyś na jego barki.

Robert zapytał, jakie doświadczenie ma na myśli, a ten odparł, że jeszcze nie wie. Robert, chcąc go zgnębić, wysunął wszystkie obiekcje filozoficzne, jakie zapamiętał. Gdyby istniała pustka, nie byłoby materii (która jest pełna), nie byłoby ducha, nie można bowiem wyobrazić sobie ducha, który byłby pustką, nie byłoby Boga, gdyż byłby pozbawiony samego siebie, nie byłoby ni substancji, ni akcydensu, przenosiłaby światło, choć nie byłaby przezroczysta... Cóż by wówczas istniało?

Z nieśmiałą śmiałością i spuszczonym wzrokiem młodzieniec odpowiedział:

– Może byłoby coś pośredniego między materią i nicością, nieuczestniczącego jednak w jednej ni w drugiej. Różniłoby się od nicości, bo miałoby wymiary, od materii zaś różniłaby je nieruchomość. Byłby to quasi-niebyt. Nie supozycja, lecz abstrakcja. Byłby. Byłby... jak to powiedzieć... fakt. Czysty i prosty.

– Czymże jest taki czysty i prosty fakt, wyzbyty wszelkiej determinacji? – spytał ze scholastycznym zarozumialstwem Robert, który choć nie był uprzedzony do tego argumentu, chciał pokazać, jak młodzik jest przemądrzały.

– Nie umiem zdefiniować tego, co jest czyste i proste – odparł tamten. – A poza tym jak zdefiniowałbyś, panie, byt? Żeby wypowiedzieć taką definicję, trzeba stwierdzić, że coś istnieje. Ażeby więc zdefiniować byt, trzeba z góry uznać, że jest, czyli użyć definicji terminu, który mamy zdefiniować. Myślę, że niektórych terminów nie sposób zdefiniować. I może pustka do nich należy. Chyba że się mylę.

– Nie mylisz się. Pustka jest jak czas – wtrącił się do rozmowy jeden z libertyńskich przyjaciół Roberta. – Czas nie jest liczbą ruchu, gdyż ruch zależy od czasu, nie zaś odwrotnie. Jest nieskończony, niestworzony, ciągły, nie jest akcydensem przestrzeni... Czas jest, i tyle. Przestrzeń jest, i tyle. I pustka jest, i tyle.

Ktoś zaprotestował, mówiąc, że jeśli jakaś rzecz jest, i tyle, nie mając żadnej dającej się zdefiniować esencji, to tak, jakby jej nie było.

– Panowie – powiedział wówczas Kanonik z Digne – to prawda, przestrzeń i czas nie są ni ciałem, ni duchem, są zatem niematerialne, jeśli ktoś woli, lecz to nie znaczy jeszcze, że nie są realne. Nie są akcydensem i nie są substancją, a jednak istniały, nim dokonało się dzieło stworzenia, istniały przed wszelką substancją i wszelkim akcydensem i będą istniały, kiedy wszelka substancja ulegnie zniszczeniu. Są niewzruszone i niezmienne bez względu na to, co w nich umieścicie.

– Ale – sprzeciwił się Robert – przestrzeń ma rozciągłość, a rozciągłość to właściwość ciał...

– Nie – obstawał przy swoim przyjaciel libertyn – to, że wszystkie ciała mają rozciągłość, nie znaczy wcale, że wszystko, co ma rozciągłość, jest ciałem, jak chciałby pewien pan, który zresztą nie raczyłby mi odpowiedzieć, bo, jak się zdaje, nie zamierza wracać z Holandii. Rozciągłość to stan wszystkiego, co jest. Przestrzeń to rozciągłość absolutna, wieczna, nieskończona, niestworzona, niedająca się opisać, nie do zmierzenia. Podobnie jak czas, nigdy się nie kończy, nie staje, nie rozprasza, jest białym krukiem, wężem kąsającym własny ogon...

– Panie – przerwał mu Kanonik – nie wyznaczajmy wszelako przestrzeni miejsca należnego Bogu...

– Panie – replikował libertyn – nie możesz podsuwać nam myśli, które wszyscy uznajemy za prawdziwe, a potem bronić nam wyciągania z nich najdalszych konsekwencji. Podejrzewam, że w tym momencie nie potrzebujemy już Boga ani Jego nieskończoności, albowiem gdzie spojrzymy, tam nieskończoność, a każda sprowadza nas do roli cienia, który trwa przez jedną bezpowrotną chwilkę. W tej sytuacji proponuję odłożyć na bok wszelki lęk i udać się całą gromadą do austerii.

Kanonik, potrząsając głową, wymówił się i wyszedł. Również młodzik, który wyglądał na wstrząśniętego tymi dysputami, z opuszczoną głową prosił o wybaczenie i pozwolenie na powrót do domu.

– Biedny chłopak – powiedział libertyn – buduje machiny do liczenia rzeczy skończonych, a my przeraziliśmy go wiekuistym milczeniem nazbyt wielu nieskończoności. *Voilà*, byliśmy świadkami końca znamienitej kariery.

– Nie wytrzyma tego – rzekł inny z pyrronistów. – Spróbuje pojednać się ze światem i skończy jako jezuita.

Robert rozmyślał teraz o tym dialogu. Pustka i przestrzeń są jak czas czy też czas jak pustka i przestrzeń, skoro istnieją przestrzenie syderalne, w których nasza Ziemia wygląda jak mrówka, i przestrzenie w rodzaju świata korali (mrówek w naszym Uniwersum) – choćby jedna wewnątrz drugiej – czy nie można sobie wyobrazić, aby nie było światów podległych

rozmaitym czasom? Czyż nie wiadomo, że dzień na Jowiszu trwa cały rok? Powinny zatem istnieć wszechświaty, które żyją i umierają w ciągu jednej chwili, albo takie, które trwają dłużej, niż potrafimy obliczyć według chińskich dynastii i momentu potopu. Wszechświaty, w których wszystkie ruchy i odpowiedzi na ruchy nie liczą się w godzinach i minutach, lecz w tysiącleciach, i inne, w których planety rodzą się i umierają w jednym mgnieniu oka.

Czyż nie istnieje niedaleko miejsce, gdzie dzisiaj jest wczoraj?

Być może przeniknął już do niejednego z tych światów, gdzie odkąd atom wody zaczął oddziaływać na zewnętrzną powłokę martwego korala, ten zaś zaczął leciutko się kruszyć, minęło tyle samo lat, ile od stworzenia Adama do chwili Odkupienia. I czy on sam nie przeżywa swojej miłości w tym czasie, w którym i Lilia, i Gołębica Koloru Pomarańczy są dlań do zdobycia, dysponuje bowiem całymi stuleciami nudy? Czyż nie gotuje się do życia w niekończącej się przyszłości?

Te wszystkie rozważania snuł młody szlachcic, który niedawno odkrył świat korali... I kto wie, do czego by doszedł, gdyby miał umysł naprawdę filozoficzny. Ale Robert nie był filozofem, lecz nieszczęśliwym kochankiem, który ledwie co wrócił z wyprawy, w końcu nieuwieńczonej jeszcze powodzeniem, ku Wyspie umykającej między lodowate mgły dnia poprzedniego.

Był jednak kochankiem, który, choć wykształcony w Paryżu, nie zapomniał swego życia wiejskiego. Dlatego doszedł do wniosku, że czas, nad którym się zastanawia, można miesić na wiele sposobów, zupełnie jak kobiety z Grivy mieszą mąkę zagniecioną z żółtkami. Nie wiem, czemu Robertowi przyszło do głowy to podobieństwo, może zbyt długie myślenie pobudziło apetyt, a może, także zatrwożony wiekuistym milczeniem tych wszystkich nieskończoności, chciał znaleźć się w domu, w matczynej kuchni. Niewiele było mu jednak potrzeba, żeby przejść do wspominania innych przysmaków.

Jadał tam więc pasztet faszerowany ptaszkami, zajączkami i bażantami, i było z tym dość podobnie jak z wielością światów, które mogą istnieć obok siebie albo jedne w drugich. Ale matka przyrządzała również ciasta, jak to nazywała, po niemiecku; składały się z wielu warstw czy poziomów owoców, przekładanych masłem, cukrem i cynamonem. I od tego przeszła do wynajdywania tortów pikantnych, umieszczając między złożami ciasta raz warstwę szynki, raz plasterki jaj na twardo, innym razem znowu coś zielonego. Nasunęło to Robertowi myśl, że świat jest, być może, rynką, w której podsmażają jednocześnie rozmaite historie, każdą wedle sobie tylko właściwego czasu, ale wszystkie z tymi samymi postaciami. I jak w cieście jaja znajdujące się na spodzie nie wiedzą, co się dzieje z innymi jajami albo szynką, które są ułożone na wyższej warstwie ciasta, tak samo Robert w swojej warstwie wszechświata nie wie, co się dzieje w innej.

Zgoda, nie jest to najpiękniejszy sposób prowadzenia rozumowania – w dodatku brzuchem. Nie ulega jednak wątpliwości, że miał już w głowie punkt, do którego chciał dojść: w tym momencie mnóstwo rozmaitych Robertów robi może rzeczy inne, choćby i pod innymi imionami.

Czy także pod imieniem Ferrante? Ale w takim razie to, co uważał za wymyśloną przez siebie historię o nieprzyjaznym bracie, jest, być może, niewyraźną percepcją świata, w którym jemu, Robertowi, przytrafia się co innego niż w tym świecie i czasie?

Daj pokój – mówił sobie – to jasne, chciałbyś, żebyś to ty przeżywał wszystko, co przeżywał Ferrante, kiedy „Tweede Daphne” postawiła żagle. Ale to dlatego, że, jak wiadomo, istnieją – mówił o tym Saint-Savin – myśli, o których w istocie się nie myśli, które poruszają serce, choć serce (nie umysł) tego nie spostrzega; i jest rzeczą nieuniknioną, że ta czy owa z tych myśli – będąca niczym innym, jak tylko niewyraźnymi, a może nie tak bardzo niewyraźnymi, zachciankami – wślizguje się w uniwersum Romansu, chociaż wydaje ci się, iż wymyślasz opowieść, bo chcesz wprowadzić na scenę myśli innych ludzi... Ale ja jestem sobą, a Ferrante jest Ferrante, i zaraz to sobie udowodnię, każąc mu przeżywać przygody, których bohaterem nie mógłbym zgoła być – jeśli te przygody zdarzają się

w jakimś Uniwersum, jest to Uniwersum Fantazji, nierównoległe do żadnego innego.

I przez tę noc, zapomniawszy o koralach, zabawiał się wymyślaniem przygody, która miała go raz jeszcze doprowadzić do przeżycia najbardziej dręczącej z rozkoszy, najrozkoszniejszej z udręk.

35

Pocieszenie Żeglarzy

Ferrante opowiedział Lilii, gotowej teraz uwierzyć w każdy fałsz, byleby spływał z ust umiłowanego, historyjkę prawie prawdziwą, tyle że on grał w niej rolę Roberta, a Robert jego. Przekonał ją nawet, żeby poświęciła wszystkie klejnoty, jakie zabrała ze sobą w szkatułce, dla odnalezienia uzurpatora i wydarcia mu dokumentu najwyższej wagi, który mógł wpłynąć na losy państwa i jemu został wykradziony; zwracając papiery, uzyskałby z pewnością kardynalskie przebaczenie.

Po opuszczeniu wybrzeży francuskich pierwszy postój wypadł w Amsterdamie. Ferrante, jak przystało na podwójnego szpiega, potrafił znaleźć tam człowieka, który powiedział mu coś o okręcie noszącym nazwę „Amaryllis”. Czegokolwiek się dowiedział, kilka dni później był w Londynie, gdzie kogoś szukał. A człowiekiem, któremu potrafiłby zawierzyć, mógł być tylko jakiś wiarołomca w jego rodzaju, gotów zdradzać tych, dla których zdradzał.

Oto Ferrante, wyłudziwszy od Lilii diament niezwykłej czystości, wślizguje się nocą do rudery, w której wita go osobnik nie wiadomo jakiej płci, może eunuch turecki, człowiek o twarzy bez zarostu i ustach tak małych, że można by powiedzieć, iż uśmiecha się tylko nosem.

Izba, w której się schronił, była przerażająca z powodu sadzy unoszącej się z kupy kości spalanych śmiertelnym ogniem. W jednym kącie wisiał głową w dół obnażony trup, z którego ust sączył się do mosiężnego rożka sok barwy pokrzywy.

Eunuch rozpoznał w Ferrante brata w zbrodni. Usłyszał pytanie, zobaczył diament, zdradził mocodawców. Zaprowadził Ferrante do innej izby,

wyglądającej na aptekę, pełnej dzbanów z gliny, szkła, cyny, miedzi. Wszystkie zawierały substancje, których można było użyć, by wyglądać inaczej, niż się wyglądało, stosowne bądź dla wiedźmy, która chciała uchodzić za młodą i piękną, bądź dla hultaja, który chciałby odmienić oblicze. Były tam więc barwiczki, środki zmiękczające, korzenie złotowłosu, kora draceny i inne substancje, które wydelikacą płeć po przyrządzeniu ze szpikiem sarniego kozła i sokami wiciokrzewu. Były tu maści do rozjaśniania włosów, przygotowane z dębu wiecznie zielonego, żyta, szanty, saletry, ałunu i krwawnika; albo do zmiany karnacji – z wołowiny, niedźwiedziny, kobyliny, wielbłądziny, wężowiny, króliczyny, wielorybiny, bączyny, danieliny, kociny dzikiej albo wydrzyny. A poza tym olejki do twarzy z balsamu orientalnego, cytryny, szyszek sosnowych, wiązów, łubinu, wyki i ciecierzycy oraz półka z pęcherzami, by uchodzić za dziewicę wobec grzeszników. Jeśli ktoś chciał schwytać kogoś w miłosną sieć, miał języki żmij, główki przepiórek, mózgi osłów, mauretański bób, łapy borsuka, kamienie z orlego gniazda, serca z łoju przebite połamanymi igłami i inne paskudztwa wykonane z błota i ołowiu, o odrażającym wyglądzie.

Pośrodku pokoju znajdował się stół, a na nim przykryta skrwawioną szmatą misa, którą eunuch wskazał palcem, robiąc przy tym porozumiewawczą minę. Ferrante nie zrozumiał, więc tamten wyjaśnił, że Ferrante znalazł człowieka, o którego mu chodzi. I rzeczywiście, on to właśnie otworzył ranę psu doktora Byrda i codziennie o ustalonej godzinie, zanurzając w wodzie z witriolem szmatę nasączoną krwią zwierzęcia lub zbliżając ją do ognia, przekazywał na „Amaryllis” sygnał dla doktora Byrda.

Eunuch opowiedział wszystko o wyprawie Byrda i wymienił porty, do których statek miał zawijać. Ferrante naprawdę nie wiedział nic albo bardzo mało o zagadnieniu długości geograficznych, zatem nie potrafił sobie wyobrazić, że Mazarin wysłał Roberta na ów statek po to tylko, żeby ten odkrył coś, co jemu, Ferrante, wydawało się oczywiste; doszedł więc do

wniosku, że rzeczywiście Robert miał wskazać Kardynałowi położenie Wysp Salomona.

Uważał, że „Tweede Daphne” jest szybsza od „Amaryllis”, ufał swemu szczęściu, sądził, że z łatwością znajdzie statek Byrda, a kiedy ten zakotwiczy przy Wyspach, bez trudu zaskoczy załogę na lądzie, wybije co do nogi (nie szczędząc Roberta), a potem będzie mógł swobodnie dysponować tą ziemią, stanie się bowiem jedynym jej odkrywcą.

Właśnie eunuch podpowiedział mu, jak winien płynąć, by nie zbłądzić: wystarczy, by zranił drugiego psa i każdego dnia działał na próbkę jego krwi, zupełnie tak samo, jak postępował w przypadku psa z „Amaryllis”, a Ferrante będzie otrzymywał te same codzienne sygnały co Byrd.

Ferrante oznajmił, że odpływa natychmiast, a kiedy tamten przypomniał mu, że trzeba najpierw znaleźć psa, wykrzyknął:

– Mam już psa na pokładzie!

Zaprowadził eunucha na statek, upewnił się, że wśród ludzi z załogi jest cyrulik biegły w puszczaniu krwi i podobnych zabiegach.

– Ja, kapitanie – oświadczył ten uciekinier spod stu szubienic i tysięcy wisielczych pętli – kroiłem więcej rąk i nóg moich braci w pirackim rzemiośle, niż przedtem zraniłem wrogów!

Zeszli do ładowni, Ferrante kazał przykuć Biscarata do dwóch skrzyżowanych ukośnie kołów i własnoręcznie naciął mu głęboko bok. Nie zważając na jęki Biscarata, eunuch zebrał jego krew w szmatę, którą schował następnie do sakwy. Potem wyjaśnił cyrulikowi, jak należy postępować, żeby rana pozostała otwarta przez cały czas trwania podróży, nie zabliźniając się, ale i nie powodując śmierci rannego.

Po popełnieniu tej kolejnej zbrodni Ferrante dał rozkaz, by postawiono żagle, i wziął kurs na Wyspy Salomona.

Opowiedziawszy sobie ten rozdział swego romansu, sam Robert poczuł odrazę, zmęczenie i przygnębienie z powodu tylu niegodziwych czynów.

Nie chciał wymyślać już dalszego ciągu i chętnie napisałby raczej inwokację do Natury, ażeby – jak matka, która pragnąc, by jej dziecię zasnęło w kołysce, rozpina nad nim płótno i tworzy tym sposobem maleńką noc – rozpięła noc nad planetą. Prosił, by noc, usuwając wszystko poza jego spojrzenia, zachęciła oczy do opuszczenia powiek, by wraz z ciemnością przyszła cisza i by – w przeciwieństwie do lwów, niedźwiedzi i wilków (zwierząt czujących wstręt do światła, podobnie jak złodzieje i mordercy), które wraz ze wschodem słońca zaszywają się w pieczarach, gdzie ich schronienie i wolność od trosk – gdy słońce zniknie po zachodniej stronie nieba, zniknął także cały zgiełk i tumult jego, Roberta, myśli. By, kiedy skona światło, omdlały w nim duchy z tego światła czerpiące życie i zapanowały pokój i milczenie.

Gdy zdmuchiwał kaganek, jego dłonie oświetlał tylko księżycowy promień, który przeniknął tu z zewnątrz. Z żołądka do mózgu podeszła mgła i ścieląc się na powiekach, opuściła je, ażeby duch wyglądał przez oczy i nie patrzył na żaden przedmiot, który zniweczyłby skupienie. I spały w Robercie nie tylko oczy i uszy, ale również ręce i nogi – jedynie serce nie pozwala sobie nigdy na odpoczynek.

Czy zasypia też dusza? Niestety, nie, dusza czuwa, tyle że kryje się za zasłoną i wystawia spektakl. Na scenę wychodzą błazeńskie rojenia i odgrywają komedię, ale jest to tak, jakby przybyła trupa pijanych albo szalonych komediantów: postaci zdają się zmienione, stroje dziwaczne, postawy szkaradne, sytuacje niedorzeczne i kwestie przesadne.

Tak samo, kiedy pokroić na wiele kawałków stonogę, każdy wypuszczony na wolność kawałek biegnie nie wiadomo dokąd, gdyż nic nie widzi – z wyjątkiem pierwszego, ten bowiem zachował głowę; każdy biegnie niby szalony karaczan na tych pięciu czy sześciu nogach, jakie mu zostały, unosząc przynależną sobie cząstkę duszy. I w snach widzimy, jak z łodygi kwiatowej wyrasta szyja żurawia zakończona łbem pawiana, z czterema ślimaczymi rogami, które rzygają ogniem, albo jak z podbródka starca wykwita miast brody ogon pawia; u innego zaś ramiona

przypominają skręcone winorośle, oczy ogarki świecy w muszli albo nos fujarkę...

Robert spał i śnił podróż Ferrante, która trwała, tyle że na sposób snu.

Powiedziałbym, że ten sen niósł objawienie. Zupełnie jakby Robert, przerwawszy medytowanie o nieskończonej liczbie światów, nie chciał już wymyślać intrygi rozgrywanej w Krainie Romansów, lecz wolał prawdziwą historię o prawdziwym kraju, także jego miejscu zamieszkania, tyle że – ponieważ Wyspa znajdowała się w czasie przeszłym, choć bliskim – ta historia mogła się toczyć w nieodległej przyszłości, w której zaspokojone zostałoby pragnienie przestrzeni obszerniejszych niż ta, w jaką rzucił go los rozbitka.

Skoro zaczął akcję, wprowadzając na scenę takiego a nie innego Ferrante, przypominającego Posłańca z *Ecatommiti*, poczętego z urazy wywołanej przez urojony afront, teraz, nie mogąc znieść widoku Tamtego u boku swej Lilii, zajmował jego miejsce i – zdobywając się na dość odwagi, by stawić czoło swym skrytym myślom – uznał śmiało, że Ferrante to on.

Ponieważ był już przekonany, że świat można przeżywać w rozmaitych paralaksach, to podobnie jak przedtem korzystał z niedyskretnego oka, śledzącego poczynania Ferrante w Krainie Romansów albo w przeszłości będącej również jego przeszłością (ale w przeszłości, która ledwie go musnęła, więc nie zauważył jej dotknięcia, a która jednak określała jego teraźniejszość), tak teraz on, Robert, stawał się okiem Ferrante. Chciał wraz z przeciwnikiem przeżywać to, co jemu los winien wyznaczyć.

Płynął więc statek przez wodne pola, piraci zaś nie sprawiali najmniejszego kłopotu. Czuwali nad wyprawą pary kochanków. Wystarczyło im obserwowanie potworów morskich, a zanim osiągnęli wybrzeże amerykańskie, ujrzeli Trytona. O ile można było mniemać po tym, co wystawało z wody, odznaczał się ludzkimi kształtami, tylko ręce wydawały się zbyt krótkie w stosunku do tułowia: dłonie za to miał wielkie, włosy szare i gęste, długą, opadającą na brzuch brodę. Oczy wielkie, skórę

chropowatą. Zbliżyli się doń, wyglądał na uległego i podpłynął ku sieci. Ale jak tylko poczuł, że wloką go ku statkowi, i zanim jeszcze wyłonił się na tyle, by można było go obejrzeć poniżej pępka i zobaczyć, czy ma syreni ogon, jednym szarpnięciem rozdarł sieć i zniknął. Potem zobaczyli, jak zażywa kąpieli słonecznej na sterczącej z wody skale, atoli skrywając nadal dolną część ciała. Patrząc na okręt, poruszał rękami, jakby klaskał.

Wpłynąwszy na Pacyfik, dotarli do wyspy, gdzie lwy były czarne, kury wełniste, drzewa kwitły tylko nocą, ryby miały skrzydła, ptaki łuski, kamienie unosiły się na wodzie, a kawałki drewna szły na dno, motyle pyszniły się po nocach, wody wprawiały w upojenie jak wino.

Na innej wyspie ujrzeli pałac zbudowany ze zbutwiałego drewna, pomalowanego na przykre dla oka kolory. Weszli do środka i znaleźli się w sali obitej piórami kruków. W każdej ze ścian była nisza, a w niej, zamiast popiersia z kamienia, widać było człowieczków o mizernych twarzyczkach, którzy przez kaprys natury przyszli na świat bez nóg.

Na okropnie brudnym tronie zasiadał król, który skinieniem dłoni nakazał rozpocząć koncert młotów, świdrów skrzypiących na kamiennych płytach, noży zgrzytających o porcelanowe talerze, a kiedy rozległy się te dźwięki, przyszło sześciu mężczyzn, chudych tak, że została z nich sama skóra i kości, odrażających ze względu na skośne oczy.

Przed nimi stanęły niewiasty tak grube, że bardziej już nie można. Skłoniwszy się przed swoimi partnerami, rozpoczęły bal, istną paradę kalectwa i wybryków natury. Potem wpadło sześciu fanfaronów, którzy wyglądali, jakby z jednego łona wyszli, i wszyscy mieli nosy i usta tak wielkie, a plecy tak zgarbione, że nie stworzeniami boskimi się zdawali, tylko łgarstwem natury.

Po tańcu nasi podróżnicy, którzy nie usłyszeli jeszcze ani słowa i myśleli, że mieszkańcy posługują się językiem odmiennym niż oni, próbowali zadawać pytania gestami, w tym powszechnym języku stosownym nawet do porozumiewania się z dzikimi. Mężczyzna odpowiedział jednak w języku przypominającym zapomniany język ptaków, złożony z trylów i ćwierknięć, oni zaś rozumieli go, jakby przemawiał ich językiem. Pojęli

więc, że tak jak w innych miejscach w cenie jest piękno, w tym pałacu w cenie jest jedynie dziwactwo. I że jeśli wyruszą w dalszą drogę, tego właśnie winni się spodziewać po ziemiach, gdzie na dole jest to, co gdzie indziej na górze.

Odpłynąwszy stamtąd, dotarli do trzeciej wyspy, która robiła wrażenie pustej, więc Ferrante w towarzystwie tylko Lilii zapuścił się w jej głąb. Kiedy szli, usłyszeli jakiś ostrzegawczy głos, który nakazywał im uciekać. Była to Wyspa Ludzi Niewidzialnych. W jednej chwili otoczył ich tłum, który pokazywał sobie palcami dwoje zwiedzających, co tak bezwstydnie wystawiali się na spojrzenia. U tego bowiem ludu na kogo spojrzano, ten padał łupem czyjegoś spojrzenia i tracił własną naturę, by przeobrazić się w odwrotność siebie samego.

Na czwartej wyspie spotkali człowieka o zapadniętych oczach, cienkim głosie, twarzy pomarszczonej niczym jabłko, ale o świeżej cerze. Brodę i włosy miał cienkie jak bawełna, ciało tak zesztywniałe, że kiedy chciał się obrócić, musiał wykonać zwrot całym sobą. I oznajmił, że ma trzysta czterdzieści lat i w ciągu tego czasu po trzykroć odnawiał swą młodość, pijąc wodę ze Źródła Bornego, które znajduje się właśnie na tej ziemi i przedłuża życie, ale tylko do trzystu czterdziestu lat – dlatego wkrótce już zemrze. I starzec poprosił swych gości, aby nie szukali tego źródła, żyć bowiem po trzykroć, najpierw stając się własnym sobowtórem, a potem sobotrzeciem, to przyczyna wielkich zmartwień, gdyż w końcu się nie wie, kim się jest. Gdybyż tylko! Przeżywanie trzy razy tych samych cierpień to męka, ale przeżywanie trzy razy tych samych uciech to męka ogromna. Radość życia rodzi się z poczucia, że zarówno uciecha, jak i strapienie trwają krótko, a biada nam, jeśli się dowiemy, że czeka nas wieczna szczęśliwość.

Jednak Świat Antypodyczny był piękny przez swą rozmaitość i po przebyciu dalszego tysiąca mil przybili do piątej wyspy, usianej tym razem stawami: tu wszyscy mieszkańcy spędzali życie na klęczkach, wpatrując się w swój obraz, uważali bowiem, że jeśli się kogoś nie widzi, jest tak, jakby

go nie było, i że gdyby oderwali spojrzenie od swego wizerunku w wodzie, padliby zaraz martwi.

Rzucili potem kotwicę przy szóstej wyspie, leżącej jeszcze dalej na zachód, gdzie wszyscy bez wytchnienia rozmawiali między sobą, przy czym jeden mówił drugiemu, jaki powinien być i co robić, i *vice versa*. Chodziło o to, że ci wyspiarze mogli żyć tylko wtedy, gdy inny o nich opowiadał; kiedy zaś ktoś, kto wkroczył na drogę występku, opowiadał o innych historie przykre, zmuszając rozmówcę do ich przeżycia, inni nie opowiadali już o nim nic i umierał.

Ich kłopot polegał jednak na tym, że dla każdego trzeba było wymyślić osobną historię, gdyby bowiem wszyscy mieli tę samą, nie mogliby się jeden od drugiego odróżniać, bo przecież każdy z nas jest tym, co ukształtowały koleje jego życia. Dlatego na placu wioski zbudowali wielkie koło, które nazwali Cynosura Lucensis. Składało się ono z sześciu współśrodkowych, wirujących niezależnie kręgów. Pierwszy podzielili na dwadzieścia cztery przegródki albo okienka, drugi na trzydzieści sześć, trzeci na czterdzieści osiem, czwarty na sześćdziesiąt, piąty na siedemdziesiąt dwa i szósty na osiemdziesiąt cztery. W rozmaitych przegródkach były zapisane – według reguł, których Lilia i Ferrante nie mogli zrozumieć w tak krótkim czasie – działania (na przykład iść, przybywać lub umierać), namiętności (jak nienawidzić, miłować albo czuć chłód), a dalej sposoby: dobrze albo źle, ze smutkiem albo radośnie, oraz miejsce i czas: we własnym domu, miesiąc później.

Obracając koła, otrzymywało się historię w rodzaju: „Poszedł wczoraj do swego domu, spotkał wroga, który cierpiał, i udzielił mu pomocy”. Albo: „Zobaczył zwierzę o siedmiu głowach i zabił je”. Tubylcy utrzymywali, że dzięki tej maszynie można napisać albo wyobrazić sobie siedemset dwadzieścia i dwa miliony milionów rozmaitych historii, co wystarczy, by zapewnić im wszystkim życie przez najbliższe stulecia. Sprawiło to Robertowi przyjemność, mógłby bowiem zbudować sobie podobne koło i wymyślać kolejne historie, choćby miał pozostać na „Dafne” jeszcze przez dziesięć tysięcy lat.

Było wiele dziwacznych rzeczy na ziemiach, które Robert chciałby przecież odkryć. Ale w pewnej chwili swego sennego marzenia zapragnął dla pary kochanków miejsca mniej zaludnionego, aby mogli się cieszyć swą miłością.

Postarał się więc, by dotarli do siódmej już i nader miłej plaży, ocienionej gajem, który wyrastał na samym brzegu morza. Przeszli przez gaj i znaleźli się w królewskim ogrodzie, gdzie wzdłuż wysadzanej drzewami alei, biegnącej przez łąki zdobione kwietnikami, wznosiły się liczne fontanny.

Robert jednak, jakby tamci dwoje szukali schronienia bardziej intymnego, on zaś nowych cierpień, zaprowadził ich do ukwieconej bramy, którą weszli do dolinki, gdzie bagienna trzcina chełściła się na wietrzyku, który rozsiewał w powietrzu mieszaninę woni – a z jeziorka wypływał mieniący się strumyk, przejrzysty niby sznur pereł.

Chciał – a wydaje mi się, że wyreżyserował to w zgodzie ze wszystkimi regułami sztuki – by gęste liście dębu rzuciły cień zachęcający kochanków do miłosnej uczty, i dodał radosne platany, skromne jagodowe krzewiny, kłujące jałowce, wątłe tamaryszki i gibkie lipy, które zwieńczały łąkę, wzorzystą jak orientalny dywan. Czym mogła ją jeszcze upiększyć Natura, malarka świata? Wonnymi fiołkami i narcyzami.

Pozwolił, ażeby tamci dwoje zajęli się sobą, gdy obok wiotki mak wznosił z głębokiego zapomnienia zaspaną główkę, by upoić się zroszonymi westchnieniami. Potem jednak uznał, że lepiej, jeśli – upokorzony takim pięknem – spurpurowieje ze wstydu i hańby. Zresztą tak samo jak Robert – a musimy powiedzieć, że było mu z tym do twarzy.

Nie chcąc patrzeć na to, przy czym tak bardzo chciałby być widziany, Robert, wszechwiedzący w objęciach Morfeusza, zawładnął całą wyspą, gdzie fontanny omawiały teraz miłosny cud, przy którym chciały być drużkami.

Były wśród nich kolumienki, ampułki, fiolki, z których tryskał jeden tylko strumyczek – czyli wiele z wielu maleńkich dysz – inne zwieńczała jakby arka, a z jej okienek sączyła się wezbrana rzeka, która spadając, tworzyła wierzbę podwójnie płaczącą. Jedna, jakby samotny walcowatego kształtu pień, rodziła u szczytu tyle mniejszych walców, w najrozmaitszych kierunkach, że wyglądała prawie jak kazamata albo forteca, albo okręt liniowy uzbrojony w ogniste paszcze – była to jednak artyleria wodna.

Niektóre zdobne były w pióropusze, grzywy i szyszaki, a w takiej rozmaitości jak gwiazdy Trzech Króli przy żłobku, i tych gwiazd ogon i iskry naśladowały. Na jednej stał posąg chłopca, który w lewej ręce trzymał parasolkę, a z każdego jej żeberka tryskał strumyczek; prawą zaś ujął własny penisek i mieszał w jednej kropielnicy własną urynę z wodą spływającą z kopuły parasolki.

Na kapitelu spoczywała ogoniasta ryba, która wyglądała, jakby dopiero co połknęła Jonasza, i tryskała wodą z pyska i z otworów rozmieszczonych nad oczami. Siedział na niej okrakiem amorek uzbrojony w trójząb. Fontanna w kształcie kwiatu podtrzymywała na wodnym szczycie piłkę; jeszcze inna była drzewem i na każdym z jego kwiatów wirowała kula, tak że miało się wrażenie, jakby to planety krążyły w wodnej kuli jedna wokół drugiej. Były i takie, w których pączki kwiatowe formowały się z wody wypływającej z ciągłej szczeliny w umieszczonym na kolumnie kręgu.

Woda zastąpiła powietrze w piszczałkach organowych, które nie wydawały dźwięków muzycznych, lecz jakby ciekłe tchnienia, a ogień zastąpił wodę w kandelabrze, którego płomyki, rozpalone pośrodku kolumny nośnej, rzucały światła na ściekającą zewsząd spienioną wodę.

Inna fontanna była jak paw z czubkiem na głowie i rozpostartym pysznym ogonem, któremu niebo dostarczało kolorów. Nie mówiąc już o takich, które zdawały się podpórkami do peruk u fryzjera i chełpiły się szumiącymi włosami. W jednej słonecznik rozkwitał pośród wodnego pyłu. Jeszcze inna miała misternie wyrzeźbione oblicze słońca z mnóstwem dziobków na obwodzie, tak że gwiazda ta wysyłała nie promienie, lecz chłód.

Na każdej wirował walec wyrzucający wodę z mnóstwa żłobkowań i spiral. Były inne, o paszczach lwich albo tygrysich, o pyskach smoczych, językach wężowych, a nawet w kształcie białogłowy, która płakała oczami i piersiami. A poza tym wszędzie womitowanie faunów, bulgotanie jakichś istot skrzydlatych, poszeptywanie łabędzi, pryskanie trąb słoni znad Nilu, rozlewność alabastrowych amfor, upust krwi z rogów obfitości.

Wszystkie te wizje sprawiały – jeśli dobrze się przyjrzeć – że Robert czuł się, jakby z deszczu wpadł pod rynnę.

Jednocześnie w dolinie zaspokojonym już kochankom starczyło wyciągnąć rękę i przyjąć od obsypanej liśćmi winorośli dar jej skarbów, a drzewo figowe, prawie rozpłakawszy się z rozczulenia nad śledzoną bacznie parą, przelało parę miodowych łez, na drzewie zaś migdałowym, lśniącym klejnotami kwiatów, pojękiwała Gołębica Koloru Pomarańczy...

Aż wreszcie Robert obudził się zlany potem.

– Jakże to? – powiedział sobie. – Uległem pokusie, by żyć przez Ferrante, a oto widzę, że Ferrante żył przeze mnie, i kiedy ja snułem marzenia, on przeżywał naprawdę to, co pozwoliłem mu przeżywać!

Chcąc ostudzić własny gniew i pobudzić się do roztaczania wizji, które – przynajmniej – Ferrante nie były dane, znowu wczesnym rankiem zawiązał w pasie linę, wsunął na twarz Szklaną Personę i ruszył w stronę swego koralowego świata.

36

Człowiek u Progu

Dotarłszy do skraju rafy, Robert pływał z zanurzoną twarzą wśród tych odwiecznych arkad, ale nie mógł podziwiać w spokoju ducha żywych kamieni, gdyż jakaś Meduza przeobraziła go w skałę bez życia. W swoim śnie Robert widział przecież spojrzenia, jakimi Lilia obdarzała uzurpatora, i jeśli we śnie te spojrzenia go rozpalały, teraz, we wspomnieniu – mroziły.

Chciał na nowo zawładnąć Lilią; pływał z twarzą pod wodą najgłębiej, jak potrafił, jakby uścisk morza mógł dać mu zwycięstwo, które we śnie przypisał Ferrante. Jego wykształcony umysł nie musiał zbytnio się trudzić, by formować pojęcia, wyobrażać sobie Lilię w każdej kadencji zafalowań w tym podwodnym parku, widzieć jej wargi w każdym kwiecie, w którym chciałby się zatracić jak żarłoczna pszczoła. W przezroczystych ogrodach odnajdywał krepę, która przykrywała mu twarz podczas pierwszych nocy, i wyciągał rękę, by unieść tę zasłonę.

W tym stanie upojenia rozumu smucił się, gdyż jego oczy nie mogły poszybować tam, dokąd rwało się serce, i wśród korali szukał tego, co zdobiło umiłowaną niewiastę, bransolet, siatki na włosy, kolczyków, które taką tkliwością nasycały płatki jej uszu, zbytkownych naszyjników, które dodawały blasku łabędziej szyi.

Zaprzątnięty tymi łowami, dał się w pewnym momencie zwabić kolii, która ukazała się w jakimś pęknięciu; zdjął maskę, napiął grzbiet, uniósł z całej siły nogi i zanurzył się w głębinę. Zrobił to zbyt gwałtownie, spróbował więc chwycić się skraju jakiegoś wzniesienia i dopiero tuż przed zamknięciem palców na strupiastym kamieniu wydało mu się, że widzi sprośne i zaspane oko. W tym błysku przypomniał sobie, że doktor Byrd

mówił mu o Rybie Kamiennej, która czai się pośród koralowych grot, by atakować wszystko, co żyje, trucizną swoich kolców.

Za późno! Dłoń dotknęła już tej Rzeczy i przez całą rękę aż do barku przebiegła potężna fala bólu. Robert szarpnął biodrami i jakimś cudem udało mu się nie opaść twarzą i piersią na Monstrum, ale chcąc przerwać swój bezwładny ruch, musiał uderzyć w nie maską. Wskutek tego uderzenia maska pękła i tak czy inaczej musiał ją porzucić. Odbił się stopami od skały i wypłynął na powierzchnię, patrząc jeszcze przez parę sekund, jak Szklana Persona opada nie wiadomo dokąd.

Prawa dłoń i całe przedramię napuchły, bark zdrętwiał. Robert bał się, że zaraz zemdleje. Odnalazł linę i jakoś ciągnął ją z wielkim trudem jedną tylko ręką. Wspiął się na drabinkę prawie tak samo jak owej nocy, kiedy znalazł się tu po raz pierwszy, nie wiedząc zgoła, jakim sposobem tego dokonał, i tak samo teraz runął na pokład.

Tyle że w tej chwili słońce było wysoko. Szczękając zębami, Robert zdołał jednak sobie przypomnieć, że doktor Byrd powiedział mu, iż po spotkaniu z Rybą Kamienną większość nie zdołała się uratować, niewielu przeżyło, a nikt nie znał antidotum przeciw tej truciźnie. Chociaż oczy zachodziły Robertowi mgłą, starał się obejrzeć ranę: nie było widać zadraśnięcia, lecz musiało być dość głębokie, by śmiercionośna substancja dostała się do żył. Stracił zmysły.

Kiedy je odzyskał, miał wysoką gorączkę i straszliwe pragnienie. Pojął, że tu, na skraju statku, narażony na działanie żywiołów, daleko od jedzenia i napojów, nie wytrwa długo. Spełzł pod pokład i dotarł do granicy między pomieszczeniem z prowiantem a zagrodą dla drobiu. Napił się chciwie wody z baryłki, czuł jednak, że żołądek mu się zaciska. Znowu zemdlał z twarzą w tym, czego żołądek nie przyjął.

W ciągu nocy zmąconej strasznymi snami przypisywał swoje cierpienia Ferrante, który mylił mu się teraz z Rybą Kamienną. Dlaczego zagradzał mu drogę do Wyspy i Gołębicy? Czy dlatego ruszył za nim w pościg?

Widział siebie, jak leży i patrzy na swoje drugie „ja”, siedzące przed nim obok pieca, ubrane w suknię domową, skupione na rozstrzyganiu, czy

dłonie, którymi się dotykał, i ciało, które czuł, należą do niego. On zaś, patrzący na tamtego, czuł się w swych szatach wydany na pastwę ognia, choć ubrany był tamten, a on obnażony – nie pojmował już, który z nich żyje na jawie, a który we śnie, i pomyślał, że obaj są niechybnie postaciami wytworzonymi w jego umyśle. On nie, bo przecież myślał, więc był.

Tamten (ale który z dwóch?) w pewnym momencie wstał, musiał być jednak Geniuszem Zła, przeobrażającym mu świat w marzenie senne, gdyż nie był to już on, lecz ojciec Kacper. „Wróciłeś!” – szepnął Robert, wyciągając ramiona. Ale tamten nie odpowiedział, a nawet się nie poruszył. Patrzył. Był z pewnością ojcem Kacprem, ale wydawało się, jakby morze – oddając jezuitę – oczyściło go i odmłodziło. Broda wypielęgnowana, oblicze pulchne i różowe, przypominające twarz księdza Emanuela, sutanna bez żadnych dziur i plam. Potem, nadal nie wykonując najmniejszego ruchu, jak deklamujący aktor, językiem bez zarzutu, właściwym doświadczonemu mówcy, powiedział z posępnym uśmiechem:

– Daremnie się bronisz. Teraz już świat cały ku jednemu zmierza celowi, a jest nim piekło. O tak, piekło, o którym mało wiecie, ty i wszyscy, którzy wraz z tobą kroczą ku niemu żwawym krokiem i z szaleństwem w duszy – ciągnął wielkim głosem, jakby przemawiał z ambony w kościele. – Zdawało się wam, że w piekle znajdziecie szpady, sztylety, koła tortur, brzytwy, potoki siarki, napoje z roztopionego ołowiu, wody lodowate, kotły i ruszty, piły i maczugi, szydła do wykłuwania oczu, cęgi do wyrywania zębów, grzebienie do rozdzierania boków, łańcuchy do rozbijania kości, bestie kąsające, pętlice duszące kobyłki, krzyże, haki i topory? Otóż nie! To są męki okrutne, ale dające się jeszcze pojąć ludzkim umysłem, albowiem wynaleźliśmy wszak spiżowe byki, żelazne krzesła i zaostrzone trzciny do przebijania paznokci... Mieliście nadzieję, że piekło to rafa z Ryb Kamiennych. Nie, inne są kary piekielne, albowiem nie zrodziły się z naszych ograniczonych umysłów, ale z owej nieskończoności Boga, zagniewanego i mściwego, zmuszonego odsłonić cały przepych swego gniewu i ujawnić, że jak wielkie jest Jego miłosierdzie w wybaczaniu, tak wielka sprawiedliwość w karaniu! Te kary muszą być takie, byśmy widzieli

jasno nierówność między naszą niemocą a Jego wszechmocą! Na tym świecie – ciągnął zwiastun pokuty – przywykliście widzieć, że na każde zło istnieje jakieś remedium i nie masz rany, na którą nie byłoby balsamu, ni jadu bez odtrutki. Nie sądźcie jednak, że tak jest w piekle. Dochodzi tam co prawda do bardzo przykrych poparzeń, nie ma atoli maści, która by ból uśmierzyła; jest tam palące pragnienie, nie masz atoli wody, która by je ugasiła; jest wilczy głód, nie masz atoli jadła, które by go zaspokoiło; jest nieznośny wstyd, nie masz atoli całunu, który by go osłonił. Gdybyż była chociaż śmierć, która położyłaby kres tej biedzie, śmierć, śmierć... Lecz najgorsze jest właśnie, że tam nie możecie oczekiwać nawet owej łaski, tak przecież żałosnej, łaski skonania! Będziecie szukać śmierci we wszelakim jej kształcie, będziecie szukać śmierci, a nie spotka was szczęście, byście ją znaleźli. Śmierci, Śmierci, gdzieżeś (będziecie wykrzykiwać bez ustanku), któryż diabeł okaże dość miłowania, by ją dać? I pojmiecie natenczas, że w tym miejscu cierpienie nie kończy się nigdy!

Tu starzec zrobił przerwę, wyciągnął ramiona ku niebu i syczał półgłosem, jakby zwierzał się ze straszliwego sekretu, który nie powinien wyjść poza tę nawę.

– Cierpienia nigdy się nie skończą? To znaczy, że będziemy wydani na męki, póki maleńki szczygiełek, który wypija jedną kropelkę na cały rok, nie wysuszy wszystkich mórz? Dłużej. *In saecula*. Będziemy cierpieć męki, aż robaczek na roślince, raz na rok odgryzający kawałek listka, pożre wszystkie lasy? Dłużej. *In saecula*. Będziemy więc cierpieć, aż mrówka, robiąca jeden kroczek na rok, obejdzie całą ziemię? Dłużej. *In saecula*. I gdyby cały wszechświat był jedną piaszczystą pustynią, z której raz na sto lat zabierano by jedno ziarenko, być może ustałyby nasze męki, kiedy wszechświat zostałby opróżniony. Też nie. *In saecula*. Wyobraźmy sobie, że ktoś potępiony po milionie wieków roni dwie jedyne łzy; czyżby miał cierpieć, aż z jego płaczu powstanie potop większy od tego, w którym w dawnych czasach wygubiony został cały ród ludzki? Nuże, kończmy z tym, nie jesteśmy wszak dziećmi! Jeśli chcecie, powiem: *in saecula*, *in*

saecula będą musieli potępieni cierpieć, *in saecula*, a to jakby powiedzieć: wieki niezliczone, bez końca, bez miary.

Teraz oblicze ojca Kacpra zamieniło się w twarz karmelity z Grivy. Wzniósł wzrok do nieba, jakby chciał tam znaleźć okruch nadziei na zmiłowanie.

– Czyż Bóg – ciągnął głosem penitenta godnego miłosierdzia – czyż Bóg nie cierpi na widok naszych cierpień? Czyż nie będzie miał odruchu życzliwości, czyż nie pokaże się w końcu, byśmy pocieszyli się chociaż Jego łzą? Niestety, jakże jesteście naiwni! Bóg, owszem, pokaże się, ale nie wyobrażacie sobie nawet, w jakiej postaci! Kiedy wzniesiemy spojrzenia, zobaczymy, że On (czy winienem to mówić?), zobaczymy, że On stał się dla nas Neronem, lecz nie przez niesprawiedliwość, jeno przez surowość, i nie tylko nie zechce nas pocieszyć albo ratować, ale jeszcze z niepojętą rozkoszą wybuchnie śmiechem! Pomyślcie więc, jaka trwoga nas wówczas ogarnie! My płoniemy – powiemy sobie – a Bóg się śmieje? My płoniemy, a Bóg się śmieje? O Boże, jakżeś okrutny! Czemu nie zniszczysz nas piorunami, miast znieważać swym śmiechem? O Bezlitosny, wzmóż w dwójnasób płomienie, co nas palą, ale nie raduj się nimi! Ach, ten śmiech bardziej nam gorzki niż nasz płacz! Ach, ta radość bardziej nam bolesna od naszych nieszczęść! Czemuż nie masz w piekle otchłani, byśmy uciekli sprzed oblicza Boga, który się śmieje? Zbyt oszukali nas ci, co mówili, że naszą karą będzie oglądanie oburzonego oblicza Boga. Boga roześmianego, trzeba było nam powiedzieć, Boga, który się śmieje... Abyśmy nie widzieli i nie słyszeli tego śmiechu, niechaj spadną nam na głowy góry, niechaj ziemia rozstąpi się pod naszymi stopami. Ale nie, gdyż niestety ujrzymy to, co niesie boleść, i będziemy ślepi i głusi na wszystko prócz tego, na co ślepi i głusi chcielibyśmy pozostawać!

Robert czuł zjełczały zapach kurzej karmy bijący ze szpar między deskami, a z zewnątrz dochodziły go krzyki morskich ptaków, które wydawały mu się śmiechem Boga.

– Czemu jednak piekło miałoby przypaść mnie? – pytał. – Czemu wszystkim? Czyż nie po to Chrystus nas odkupił, by stało się udziałem nielicznych?

Ojciec Kacper roześmiał się jak Bóg potępionych.

– Kiedy ich jednak odkupił? Jak myślisz, na jakiej planecie, w jakim wszechświecie żyjesz w tym momencie?

Ujął dłoń Roberta, ściągnął go gwałtownie z legowiska i powlókł przez labirynt „Dafne”, chociaż chory czuł ból w trzewiach i wydawało mu się, że w głowie ma mnóstwo zegarów strunowych. Zegary – myślał – czas, śmierć...

Kacper zaciągnął go do jakiejś klitki, której Robertowi nie udało się odkryć – o wybielonych ścianach, z zamkniętą trumną zaopatrzoną na jednym z boków w okrągłe okienko. W poprzek okienka przechodziła wciśnięta w deseczkę z wyżłobieniem drewniana listewka z wyciętymi okienkami raczej równej wielkości i nieprzejrzystymi, jak się wydawało, szybkami. Przesuwając listewkę, można było doprowadzić do tego, że okienko w listewce nachodziło na okienko w skrzyni. Robert przypomniał sobie, że widział już w Prowansji mniejszy okaz takiego urządzenia, które – jak powiadano – potrafi dać życie światłu dzięki cieniom.

Kacper otworzył jeden bok skrzyni i ukazał się stojący na trójnogu wielki kaganek, który po stronie przeciwnej niż dzióbek miał zamiast rączki okrągłe lustro o szczególnej krzywiźnie. Po zapaleniu knota zwierciadło rzucało świetlne promienie do tuby, jakby krótkiej lunety, której końcową soczewką było zewnętrzne okienko. Stamtąd (gdy tylko Kacper zamknął skrzynię) promienie przechodziły przez szkiełko w listewce, rozszerzając się w stożek i pokazując na ścianie naiwne obrazki, które Robertowi wydały się ruchome, tak były żywe i dokładne.

Pierwsza figura przedstawiała mężczyznę o diabelskim obliczu, przykutego do podwodnej skały pośrodku morza i chłostanego przez fale. Robert nie mógł oderwać wzroku od tej zjawy i zlała mu się w jedno z tymi, które zobaczył potem (kiedy Kacper pokazywał jedną po drugiej,

przesuwając listewkę), miał je wszystkie przed oczyma jednocześnie – sen we śnie – nie odróżniając już tego, co słyszał, od tego, co widział.

Do rafy zbliżył się statek, w którym rozpoznał „Tweede Daphne”; z pokładu zszedł Ferrante i uwolnił potępionego. Wszystko stało się jasne. Podczas rejsu Ferrante napotkał – jak zapewnia nas podanie – Judasza uwięzionego na pełnym morzu, by tam odpokutował zdradę.

– Dziękuję – mówił Judasz do Ferrante (choć do Roberta ten głos z pewnością dochodził z ust Kacpra). – Odkąd tkwię tutaj w jarzmie, to jest od dzisiejszej nony, miałem nadzieję, że zdołam jeszcze naprawić mój grzech... Dziękuję ci, bracie...

– Jesteś tu dzień ledwie, a może i krócej? – spytał Ferrante. – Wszelako twój grzech został popełniony w trzydziestym i trzecim roku po narodzeniu naszego Pana, a zatem tysiąc sześćset i dziesięć lat temu...

– Oj, człowieku prostoduszny! – odparł Judasz. – Z pewnością tysiąc sześćset i dziesięć waszych lat temu zostałem przykuty do tej skały, lecz dla mnie nie minął jeszcze, i nigdy nie minie, choćby jeden dzień. Nie wiesz, że wypływając na morze oblewające twoją wyspę, przeniknąłeś do innego świata, który trwa obok i wewnątrz waszego, i że tutaj Słońce krąży wokół Ziemi jak żółw, z każdym krokiem zwalniając swój pochód. W ten sposób na początku w moim świecie dzień trwał dwa razy tyle co u was, a później trzy razy tyle i coraz to dłużej, aż do tej chwili, kiedy po tysiącu sześciuset i dziesięciu waszych latach dla mnie nadal jest nona. I rychło już czas będzie płynął jeszcze wolniej, potem jeszcze, a ja jeszcze przeżywam ciągle porę nony roku trzydziestego i trzeciego od betlejemskiej nocy...

– Ale dlaczego? – zapytał Ferrante.

– A dlaczego zechciał Bóg, bym za karę przeżywał ciągle Wielki Piątek i bez ustanku każdego dnia celebrował mękę człowieka, którego zdradziłem? Pierwszego dnia odbywania kary, kiedy dla innych ludzi nadciągnął już zmierzch, za nim noc, a później sobotni poranek, dla mnie minął atom atomu minuty z piątkowej nony. A zaraz potem bieg Słońca zmienił się w jeszcze powolniejszy i u was Chrystus powstał z martwych, ja

zaś ciągle jeszcze byłem o kroczek od tej godziny. A i teraz, kiedy dla was minęło wiele stuleci, ja ledwie, ledwie oddaliłem się od tamtej chwili...

– Jednak twoje Słońce przecież się porusza i nadejdzie dzień, choćby za dziesięć tysięcy albo więcej lat, kiedy zacznie się dla ciebie sobota.

– Tak, ale to jeszcze gorzej. Wydostanę się z mego czyśćca, by wkroczyć do mego piekła. Nie uśmierzy się ból spowodowany tą śmiercią z mojej wszak winy, stracę zaś tę możliwość, która mi jeszcze została, iżbym uczynił tak, by to, co zaszło, nie zaszło.

– Jakże?

– Nie wiesz, że w niewielkiej stąd odległości przebiega Południk Antypodyczny? Po drugiej stronie tej linii, zarówno w twoim świecie, jak i w moim, jest dzień poprzedni. Jeśli, wolny teraz, zdołam przekroczyć tę linię, znajdę się w Wielkim Czwartku, albowiem ten szkaplerz, który widzisz na moich ramionach, jest uwięzią dla mego Słońca i musi ono towarzyszyć mi niby cień i baczyć, by gdziekolwiek jestem, czas trwał tyle co mój czas. Będę więc mógł udać się do Jerozolimy, podróżując przez jakże długi czwartek, i przybyć na miejsce, nim spełni się moje wiarołomstwo. I ocalę Mistrza przed Jego losem.

– Ale – sprzeciwił się Ferrante – jeśli przeszkodzisz w Męce Pańskiej, nie będzie Odkupienia i świat pozostanie we władaniu grzechu pierworodnego.

– Ojejej! – wykrzyknął Judasz z płaczem. – A ja myślałem tyko o sobie! Co mam więc czynić? Jeśli dopuszczę, bym zrobił to, co zrobiłem, pozostanę potępiony. Jeśli naprawię swój błąd, zaszkodzę bożemu zamysłowi i zostanę za to potępiony. Czyżby od początku było zapisane, że jestem skazany na to, by być skazanym na potępienie?

Procesja obrazów zakończyła się na płaczu Judasza, w tym bowiem momencie wypaliła się oliwa w kaganku. Teraz znowu zaczął mówić ojciec Kacper, ale głosem, którego Robert nie rozpoznawał jako należący do niego. Odrobina światła padała przez szczelinę w przepierzeniu, oświetlając tylko połowę jego twarzy, zniekształcając przy tym linię nosa i sprawiając, że zabarwienie brody stało się niepewne; była z jednej strony biała,

z drugiej ciemna. Z oczu pozostały dwa oczodoły, gdyż nawet oko wystawione na światło zdawało się przebywać w cieniu. I Robert dopiero teraz spostrzegł, że zakrywa je czarna przepaska.

– I wtedy – mówił ten, który z pewnością był teraz księdzem de Morfi – i w tym momencie twój brat wpadł na myśl, którą wypada uznać za arcydzieło jego geniuszu. Gdyby to on pokonał drogę, którą zamierzył Judasz, mógłby przeszkodzić w spełnieniu Męki, a tym samym w udzieleniu nam Odkupienia. Żadnego Odkupienia, wszyscy jesteśmy ofiarami tego samego grzechu pierworodnego, naszym przeznaczeniem jest piekło, przeznaczeniem twojego grzesznego brata, ale wraz ze wszystkimi, a więc usprawiedliwionego.

– Ale jak mógł tego dokonać, jak to możliwe, jak mógł?

– Och – rzekł ksiądz z uśmiechem pełnym straszliwej wesołości. – Wystarczyło bardzo niewiele. Wystarczyło zwieść także Najwyższego, niezdolnego wszak do pojęcia, że prawda może zostać przebrana. Wystarczyło zabić Judasza, czego dokonał natychmiast na owej rafie, włożyć jego szkaplerz, kazać mi płynąć moim statkiem na przeciwległy brzeg Wyspy, dotrzeć tam w oszukańczym stroju, aby przeszkodzić ci w nauce prawidłowych reguł pływania, gdyż wtedy nie dotrzesz tam przede mną, zmusić cię do zbudowania wraz ze mną Dzwonu Wodnego, który mi pozwoli osiągnąć Wyspę.

I ponieważ chciał pokazać szkaplerz, więc nie przestając mówić, zdejmował powoli suknię, aż ukazał się w stroju pirata, a potem równie wolno odkleił sobie brodę, zdjął perukę i Robertowi wydało się, że ma oto przed sobą swoje lustrzane odbicie.

– Ferrante! – wykrzyknął.

– We własnej osobie, bracie mój. Ferrante, który, gdy ty miotałeś się tu w wodzie jak pies albo żaba, na przeciwległym brzegu Wyspy odnalazł statek, płynął przez cały swój długi Wielki Czwartek w stronę Jerozolimy, odnalazł drugiego Judasza, gdy ten miał już dokonać zdrady, i powiesił go na drzewie figowym, uniemożliwiając mu tym samym wydanie Syna Człowieczego Synom Ciemności. Następnie zakradł się do Ogrodu

Oliwnego z wiernymi druhami i porwał naszego Pana, oszczędzając mu Kalwarii! I teraz ty, ja, my wszyscy żyjemy w świecie, który nie został odkupiony!

– Ale Chrystus, Chrystus, gdzież jest teraz?

– Czyżbyś nie wiedział, że już teksty starożytne mówiły, iż są gołębie płomiennie czerwone, gdyż Pan przed ukrzyżowaniem odział się w szkarłatną tunikę? Jeszcze nie pojmujesz? Od tysiąca sześciuset i dziesięciu lat Chrystus jest więźniem na Wyspie, skąd próbuje uciec, przebrany za Gołębicę Koloru Pomarańczy, ale nie jest w stanie uciec z miejsca, gdzie nieopodal Strażnicy Maltańskiej porzuciłem szkaplerz Judasza i gdzie z tej przyczyny jest ciągle jeden i ten sam dzień.

Teraz pozostaje mi zabić ciebie i żyć jako wolny człowiek w świecie, z którego usunięto wyrzuty sumienia, gdzie wszyscy mają zapewnione piekło i gdzie ja zostanę powitany pewnego dnia jako nowy Lucyfer!

I dobywszy sztyletu, jął zbliżać się do Roberta, by popełnić ostatnią ze swych zbrodni.

– Nie! – wykrzyknął Robert. – Nie zgodzę się na to! To ja zabiję ciebie i uwolnię Chrystusa. Umiem jeszcze władać szpadą, ciebie zaś ojciec nie nauczył tajemnych sztuczek!

– Miałem jednego ojca i jedną matkę, twój parszywy łeb – odparł Ferrante ze smutnym uśmiechem. – Ty nauczyłeś mnie tylko nienawiści. Myślisz, że obdarzyłeś mnie hojnie, dając życie tylko po to, bym w twojej Krainie Romansów był wcieleniem Osobnika Podejrzanego? Póki będziesz żył, póki będziesz myślał o mnie to, co ja sam powinienem myśleć, nie przestanę tobą gardzić. Czy więc ty zabijesz mnie, czy ja ciebie, koniec będzie taki sam. Nie traćmy czasu.

– Wybacz, bracie mój! – zakrzyknął Robert, zalewając się łzami. – Nie traćmy czasu, masz rację, jeden z nas dwóch musi umrzeć!

Czego chciał Robert? Umrzeć, uwolnić Ferrante, skazując go na śmierć? Przeszkodzić Ferrante w szkodzeniu sprawie Odkupienia? Nie dowiemy się tego nigdy, bo nie wiedział on sam. Takie są jednak sny.

Wyszli na pokład, Robert rozejrzał się za swoją szpadą i znalazł ją, ale (jak pamiętamy) w kształcie ledwie kikuta; krzyknął jednak, że Bóg doda mu siły, a dobry szermierz umie bić się, choćby jego szpada była złamana.

Dwaj bracia stanęli po raz pierwszy naprzeciw siebie, by rozpocząć swe ostatnie spotkanie.

Niebo postanowiło sekundować bratobójstwu. Czerwona chmura rozpostarła nagle między statkiem i niebem krwawy cień, jakby tam w górze ktoś pozarzynał konie z rydwanu Słońca. Buchnął wielki koncert dźwięków i błysków, po których lunął deszcz, tak że niebo i morze ogłuszały uczestników pojedynku, oślepiały ich, smagały im lodowatą wodą dłonie.

Ci dwaj zaś krzątali się wśród przemykających ze wszystkich stron błyskawic, wykonując pchnięcia i cięcia, cofając się, czepiając się liny, by prawie wzlatując, uniknąć sztychu, obrzucając się obelgami, podkreślając każdy atak okrzykiem, któremu wtórował wyciem świszczący wokół wiatr.

Na tym śliskim pokładzie Robert bił się o to, by Chrystus mógł być ukrzyżowany, i prosił Boga o wsparcie; Ferrante bił się, by Chrystus nie musiał cierpieć, i wzywał imiona wszystkich diabłów.

Proszono o pomoc Astarotha, ażeby Intruz (teraz także intruz wtrącający się w zamysły Opatrzności) dał się nabrać na manewr mewy. I może tego właśnie chciał, by położyć kres temu śnieniu bez ładu i składu.

Robert udał, że pada, tamten rzucił się nań, by dokończyć dzieła, Robert zaś wsparł się na lewicy i wystawił kaleką szpadę w stronę piersi Ferrante. Nie zerwał się tak zręcznie jak Saint-Savin, ale Ferrante, rozpędzony, nie mógł już się nie nadziać, a nawet nie runąć piersią na kikut brzeszczotu. Robert zakrztusił się krwią, którą umierający wróg wyrzucał ustami.

Czuł smak krwi, bo zapewne w delirium ugryzł się w język. Teraz płynął w tej krwi, zalewając całą przestrzeń między statkiem a Wyspą; nie chciał płynąć ku Wyspie, bał się bowiem Ryby Kamiennej, choć wypełnił dopiero pierwszą część zadania. Chrystus czekał na Wyspie, by przelać krew, on zaś był teraz Jego jedynym Mesjaszem.

Co czynił w swym śnie? Puginałem Ferrante zaczął rozcinać żagiel na długie pasy, które następnie wiązał jeden z drugim, wykorzystując cumy; innymi pętlami wyłapał pod pokładem najsilniejsze z czapli czy bocianów i wiązał je za nogi, czyniąc z nich zaprzęg latającego dywanu.

Tym powietrznym statkiem wzbił się do lotu w stronę możliwej do osiągnięcia ziemi. Koło Strażnicy Maltańskiej odnalazł szkaplerz i zniszczył go. Przywróciwszy czasowi przestrzeń, ujrzał, jak opada na niego Gołębica, którą z uniesieniem oglądał oto w całej jej chwale. Było jednak rzeczą naturalną – a nawet nadnaturalną – że teraz objawiła mu się biała, nie zaś pomarańczowa. Nie mogła to być gołębica, gdyż temu ptakowi nie jest dane symbolizować Drugą Osobę, może był to Pobożny Pelikan, który winien reprezentować Syna. Tak że w końcu Robert nie widział zbyt jasno, jaki ptak podjął się roli skrzydlatego żeglarza jego powietrznego statku.

Wiedział tylko, że wzlatuje coraz wyżej, i obrazy przemykały jedne po drugich niby błazeńskie rojenia. Żeglowali teraz po sklepieniu wszystkich niezliczonych i nieskończonych światów na każdą planetę i każdą gwiazdę, aby w ten sposób na każdej z nich i prawie w jednej chwili dokonało się Odkupienie.

Pierwszą planetą, do jakiej dotarli, był śnieżnobiały Księżyc – otulony nocą, którą rozświetlało ziemskie południe. I sama Ziemia była tam, na linii horyzontu, ogromna, zawieszona groźnie, bezimienna mamałyga, która gotowała się jeszcze na niebie i prawie się na nich waliła, bulgocząc gorączkowym i gorączkującym gorączkowaniem, rozgorączkowując gorączkowość w bąblujących bąbelkach wrzącego bąblowania, bąblowiejących rozbąblowanym bąblem, plumplam plumplam plum. No bo kiedy masz gorączkę, sam stajesz się mamałygą, a światła, które widzisz, wzięły się z bąblowania w twej głowie.

A tam, na Księżycu, z Gołębicą...

Nie podejmiemy, ufam, próby, by odkryć koherencję i podobieństwo do prawdy w tym wszystkim, o czym opowiedziałem dotychczas, bo przecież

chodziło o koszmar senny, śniony przez biedaka, który rozchorował się od jadu Ryby Kamiennej. Ale to, o czym zamierzam opowiedzieć, przekracza wszystkie nasze oczekiwania. Umysł albo serce Roberta, a w każdym razie jego *vis imaginativa*, wynalazły świętokradczą metamorfozę: oto widział się teraz na Księżycu nie z Panem, ale z Panią, z odebraną wreszcie Ferrante Lilią. Robert miał uzyskać nad jeziorami Selene to, co brat wziął sobie wśród stawów wyspy z fontannami. Oczami całował jej oblicze, wpatrywał się w nią ustami, ssał, kąsał wciąż na nowo, i rozkosznie figlowały zakochane języki.

Dopiero wtedy Robert, któremu być może gorączka już opadła, wrócił do zmysłów, zachowując jednak przywiązanie do tego, co przeżył, jak to bywa po przebudzeniu się ze snu, kiedy nie tylko dusza jest poruszona, lecz i ciało.

Nie wiedział, czy płakać ze szczęścia, gdyż odzyskał swą miłość, czy z powodu wyrzutów sumienia, bo przecież przeobraził – nie bez udziału gorączki, która nie zważa na Prawa rządzące Gatunkami – swą Świętą Epopeję w Libertyńską Komedię.

Za tę chwilę – mówił sobie – zapłacę doprawdy piekłem, bo z pewnością nie jestem lepszy ani od Judasza, ani od Ferrante, a nawet sam jestem Ferrante, i nie zrobiłem nic innego, jak tylko wykorzystałem jego niegodziwość, by śnić, że czynię to, czego nie pozwoliło mi nigdy uczynić moje tchórzostwo.

Być może nie będę wezwany, bym odpowiedział za mój grzech, nie ja bowiem zgrzeszyłem, lecz Ryba Kamienna, która kazała mi śnić wedle swoich sposobów. Skoro jednak doszedłem do takiego otępienia, jest to z pewnością znak, że naprawdę zbliża się chwila śmierci. I musiałem czekać aż na Rybę Kamienną, by zacząć myśleć o śmierci, choć myśl o niej winna być najpierwszym obowiązkiem dobrego chrześcijanina.

Czemu nigdy nie myślałem o śmierci i gniewie śmiejącego się Boga? Czemu szedłem za naukami moich filozofów, dla których śmierć jest

naturalną koniecznością, a Bóg wprowadził tylko w nieład atomów Prawo nakazujące im łączyć się ze sobą tak, by tworzyły harmonię z kosmosem? I czy taki Bóg, nauczyciel geometrii, mógłby, choćby i z potrzeby sprawiedliwości, stworzyć nieład piekła i śmiać się z tego przewrócenia wszelkiego przewrotu?

Nie, Bóg się nie śmieje – mówił sobie Robert. Trzyma się Prawa, którego sam nie chciał, a które wymaga, by ład naszego ciała rozpadł się, jak w tym rozpadzie rozpada się z pewnością mój ład. I widział robaki zbliżające się do jego ust, lecz nie były one skutkiem gorączki, jeno bytami na drodze samorództwa, ukształtowanymi pośród kurzego gnoju, potomstwem kurzego łajna.

Witał więc z całą życzliwością tych heroldów rozpadu, rozumiejąc, że przemieszanie z kleistą materią trzeba przeżywać jako koniec wszelkiego cierpienia, w harmonii z wolą Natury i niebios, które nią zarządzają.

Będę musiał trochę poczekać – szeptał modlitewnie. Za niewiele dni moje ciało, teraz jeszcze dobrze uładzone, wskutek zmiany zabarwienia stanie się wyblakłe jak ciecierzyca, a potem sczernieje od stóp do głów i ogarnie je posępny żar. Po czym zacznie nabrzmiewać i z tej puchlizny zrodzi się cuchnąca pleśń. Po niedługim czasie zacznie tu wybuchać, tam pękać i wyleje się z niego zgnilizna, a potem w jakimś miejscu zobaczymy pływającą połówkę zarobaczywiałego oka, w innym strzęp wargi. W tej mazi pojawi się mnóstwo małych muszek i innych żyjątek, które będą wić się w mojej krwi i pożerać mnie po kawałku. Część tych istotek wypełznie z klatki piersiowej, inne z nie wiadomo jakim śluzem wyciekną z nozdrzy, jeszcze inne, oblepione tą zgnilizną, będą włazić i wyłazić przez usta, a najbardziej nasycone wyroją się prosto z gardła... W tym samym czasie „Dafne” przejdzie powoli we władanie ptaków, z kiełków przyniesionych z Wyspy wyrosną dzikie rośliny, których korzenie będą czerpały pokarm z mojej rozpływającej się powłoki cielesnej, a wreszcie sięgną aż do zęzy. A na sam koniec, kiedy z całego gmachu mojego ciała pozostanie oczyszczony szkielet, w ciągu następnych miesięcy i lat – a może tysiącleci – również to rusztowanie powoli obróci się w pył atomów, po których żywi

będą deptać, nie wiedząc, że cały ziemski glob, z morzami, pustyniami, borami i dolinami, niczym innym jest, jak tylko żywym cmentarzyskiem.

Nie ma nic, co prowadziłoby do uleczenia pewniej niż Rozmyślania o Dobrej Śmierci, uczą nas bowiem rezygnacji, która przynosi pogodę ducha. Tak powiedział mu pewnego razu karmelita i tak musiało być, gdyż Robert poczuł głód i pragnienie. Był teraz słabszy niż wtedy, gdy śnił o walce na pokładzie, ale nie tak słaby, jak kiedy runął na ziemię nieopodal kur – tak że miał dość siły, by wypić jajko. Ciecz spływająca do gardła była bardzo smaczna. A jeszcze lepszy miąższ orzecha kokosowego, który rozłupał w pentrze. Teraz, po tych wszystkich medytacjach o własnym martwym ciele, zabijał, zdrowiejąc, w swym ciele zdrowe ciała, które natura obdarza codziennie życiem.

Oto dlaczego, wyjąwszy parę zaleceń karmelity, nikt w Grivie nie nauczył go rozmyślania o śmierci. Przy okazji rodzinnych rozmów, prawie zawsze przy obiedzie albo kolacji (po tym, jak Robert wrócił z jednej ze swych wypraw odkrywczych po starym domu, gdzie zapóźnił się może w jakiejś cienistej izbie, wdychając zapach jabłek rozłożonych na podłodze, by dojrzały), rozprawiało się tylko o smakowitości melonów, żniwach albo o nadziejach związanych z winobraniem.

Robert pamiętał, jak to matka pouczała go, że będzie żył szczęśliwie i spokojnie, jeśli postara się, by owocowało całe boże dobro, jakiego może dostarczyć Griva. „I dobrze byłoby, żebyś nie zapomniał o zaopatrzeniu się w soloną wołowinę, koźlinę czy baraninę, cielęcinę albo wieprzowinę, gdyż przechowują się dobrze i są wielce przydatne. Pokraj mięso na niezbyt wielkie kawałki, ułóż w naczyniu, nasyp na wierzch dużo soli, odstaw na tydzień, a potem zawieś na belce w kuchni, blisko jednak komina, aby wysuszyły się w dymie, i czyń to w czas suchy, chłodny i kiedy wieje tramontana, po świętym Marcinie, bo wtedy możesz je przechowywać, jak długo zechcesz. We wrześniu przychodzi czas na ptactwo i jagnięta na całą zimę, a poza tym kapłony, stare kury, kaczki i im podobne. Nie gardź też osłem, jeśli złamie nogę, bo z niego robią okrągłe kiełbaski, które nacinasz

potem nożem i smażysz, a jest to potrawa na pański stół. Na wielki post zaś masz przecież grzyby, chudą minestrę, orzechy, rodzynki, jabłuszka i to wszystko, czym obdarza nas dobry Bóg. Także na wielki post ma się gotowe korzenie i ziółka, które po obtoczeniu w mące i usmażeniu na oliwie są lepsze niż minogi; a poza tym będziesz przyrządzał pierożki i kluskę wielkopostną z ciasta z oliwy, mąki, wody różanej, szafranu i cukru, a takoż odrobiny małmazji, krojoną cieniutko jak szyby w oknie, faszerowaną startym chlebem, jabłkami, goździkami i siekanymi orzechami, do czego dodasz szczyptę soli i upieczesz wszystko w piecu, a będziesz jadł lepiej niż przeor. Po Wielkiejnocy przychodzi czas kózek, szparagów, gołąbków... Potem twarogi i świeży ser. Nie możesz jednak zaniechać groszku albo fasoli, obtoczonych w mące i smażonych, bo wszystko to jest dobre i godne postawienia na stole... Jeżeli więc, mój synu, będziesz żył podług ojców naszych, będziesz miał życie szczęśliwe i wolne od strapień...”

Tak więc w Grivie nie wygłaszano mów na temat śmierci, sądu, piekła czy raju. Śmierć ukazała Robertowi swe oblicze w Casale, w Prowansji zaś i Paryżu nauczono go rozmyślać o niej, w dyskursach cnotliwych i dyskursach rozpustnych.

Umrę niechybnie – mówił teraz sobie – jeśli nie rychło od Ryby Kamiennej, to później, jest bowiem widomym, że z tego statku już się nie wydostanę, gdyż straciłem przecież – wraz ze Szklaną Personą – sposób, ażeby zbliżyć się bezpiecznie do rafy. I czym się tak łudziłem? Umarłbym też, nawet gdybym nie trafił na ten wrak. Wszedłem w życie, wiedząc, że trzeba będzie je opuścić. Jak powiedział Saint-Savin, człowiek wciela się w swoją rolę, jeden na krócej, drugi na dłużej, a potem schodzi ze sceny. Widziałem, jak wielu odchodzi przede mną, inni zobaczą, jak ja odchodzę, a potem odegrają to samo widowisko przed swoimi następcami.

Poza tym jakże długo mnie nie było i jakże długo nie będzie! W otchłani lat zajmuję bardzo mało miejsca. Ten króciutki interwał nie pozwoli mi odróżnić się od nicości, w którą się zanurzę. Przyszedłem na świat dlatego

tylko, że potrzebny byłem do kompletu. Moja rola była tak mała, że nawet gdybym nie wychodził zza kulis, wszyscy i tak by ocenili, iż komedia była bez zarzutu. To jak podczas burzy: jedni toną od razu, inni rozbijają się o skały, jeszcze inni unoszą się na kawałku drewna, ale nawet ci nie za długo. Życie gaśnie samo z siebie jak świeca, która spaliła swą materię. I powinniśmy się byli już do tego przyzwyczaić, gdyż podobnie jak świeca zaczęliśmy tracić nasze atomy, gdy tylko zostaliśmy zapaleni.

Zgoda – rozważał dalej Robert – znajomość tych spraw to żadna wielka wiedza. Winniśmy to wiedzieć od chwili przyjścia na świat, lecz zwykle zastanawiamy się zawsze i wyłącznie nad śmiercią innych. O tak, wszyscy mamy dość siły, by znosić nieszczęścia innych. Potem przychodzi chwila, że myślimy o śmierci, kiedy nieszczęście stało się naszym udziałem, i wówczas spostrzegamy, iż ni słońcu, ni śmierci nie można patrzeć prosto w twarz. Chyba że miało się dobrych mistrzów.

Miałem takich. Ktoś powiedział mi, że w istocie rzeczy niewielu zna śmierć. Zwykle odkrywamy ją z głupoty albo nawyku, nie zaś z wyboru. Umiera się, bo nic innego nie można uczynić. Tylko filozof potrafi myśleć o śmierci jako obowiązku, który należy wypełnić ochoczo i bez lęku, póki bowiem jesteśmy, śmierci jeszcze nie ma, a kiedy przychodzi śmierć, nas już nie ma. Po cóż spędziłbym tyle czasu na rozmowach o filozofii, jeślibym nie umiał teraz uczynić z mej śmierci arcydzieła mego życia?

Wracały mu siły. Dziękował matce, której wspomnienie skłoniło go do porzucenia myśli o zgonie. Nie mogła postąpić inaczej ta, która dała mu życie.

Jął rozmyślać o swoim narodzeniu, o którym wiedział mniej jeszcze niż o śmierci. Powiedział sobie, że medytowanie o początkach jest stosowne dla filozofa. Łatwo filozofowi uzasadnić śmierć: że człowiek musi runąć w mrok, to jedna z najjaśniejszych kwestii na tym świecie. Filozofa nie nęka naturalność końca, lecz tajemnica początku. Możemy być obojętni na wieczność, która będzie po nas, jakże jednak moglibyśmy się uchylić od trwożliwego pytania o tę wieczność, która nas poprzedzała, wieczność materii czy wieczność Boga?

Oto czemu zostałem rzucony na „Dafne” – powiedział sobie Robert. Abym, samotny w tej przepełnionej spokojem pustelni, mógł bez przeszkód zastanawiać się nad jednym pytaniem, które uwalnia nas od wszelkiego lęku przed niebytem, skazując na zadziwienie bytem.

37

Paradoksalne Rozważania o tym, jak myślą Kamienie

Jak długo jednak chorował? Dni, tygodnie? Może w tym czasie nad statkiem przewaliła się burza? Albo jeszcze przed spotkaniem z Rybą Kamienną, pochłonięty morzem czy swym Romansem, nie zdawał sobie sprawy z tego, co dzieje się wokół niego? Jak dawno temu utracił tak dalece poczucie rzeczywistości?

„Dafne” stała się innym statkiem. Pokład był brudny, a z beczek wylewała się woda, co trzeba uznać za prawdziwe marnotrawstwo; niektóre żagle, pozrywane, w strzępach zwieszały się z masztów niby maski, które zerkają lub śmieją się szyderczo swoimi dziurami.

Ptaki kwiliły żałośnie, więc Robert pobiegł, żeby się wokół nich zakrzątnąć. Niektóre padły. Na szczęście rośliny, karmione przez deszcze i powietrze, rozrosły się, a ta lub owa wślizgnęła się do jakiejś klatki, stając się karmą, na innych zaś rozmnożyły się insekty. Te zwierzęta, które ocalały, wydały na świat młode, tak że garstka martwych została zastąpiona przez hufiec żywych.

Wyspa pozostała niezmieniona; z tą różnicą, że po utracie maski oddaliła się dla Roberta, uniesiona prądami. Wiedział już, że rafy broni Ryba Kamienna, nie zdoła jej więc pokonać. Mógłby jeszcze pływać, ale już tylko z zamiłowania do tej czynności i w bezpiecznym oddaleniu od podwodnych skał.

– O człowiecze zamysły, jakżeście chimeryczne! – szeptał. – Jeśli człowiek niczym innym, jeno cieniem, wy jesteście dymem. Jeśli jeno

snem, wy marą. Jeśli niczym, jeno zerem, wy punktami. Jeśli zaś jeno punktem, wy zerami jesteście.

Tyle wydarzeń – powiadał sobie Robert – by odkryć, żem zerem. A nawet zerem bardziej zerowym, niż kiedy samotnie tu przybyłem. Katastrofa mną wstrząsnęła i skłoniła do walki o życie, teraz nie ma o co walczyć, nie ma z kim walczyć. Jestem skazany na długi odpoczynek. Znalazłem się tu, by kontemplować nie pustkę przestrzeni, ale pustkę w sobie, a z tego rodzą się tylko znudzenie, smutek i desperacja.

Wkrótce zabraknie nie tylko mnie, lecz i „Dafne”. Razem zmienimy się w rzeczy martwe jak te korale.

Albowiem koralowa czaszka, wyszedłszy bez szwanku z powszechnej klęski, nadal leżała na pokładzie, wyrwana śmierci, a przez to jedyna żywa.

Osobliwa figura przywróciła rozmach myślom rozbitka, który nauczył się odkrywać nowe ziemie wyłącznie przez lunetę słów. Skoro koral był czymś żywym – powiedział sobie – był też jedyną istotą naprawdę myślącą pośród nieładu wszelkiej innej myśli. Mógł rozmyślać tylko o własnej uładzonej złożoności, o której wiedział jednak wszystko, i bez oczekiwania na nieprzewidziane zaburzenia we własnej architekturze.

Czy rzeczy żyją i myślą? Kanonik powiedział mu któregoś razu, że jeśli chce się dać uzasadnienie życiu i jego rozwojowi, trzeba przyjąć, że w każdej rzeczy muszą tkwić owe kwiaty materii, *spora*, nasiona. Molekuły to układy atomów określone pod określoną postacią, a skoro Bóg narzucił prawa chaosowi atomów, ich ułożenia mają skłonność do rodzenia ułożeń podobnych. Czy to do pomyślenia, aby kamienie, które znamy, a które są, być może, tymiż samymi, co przeżyły potop, aby, one także, nie powstały z atomów i by z nich nie zrodziły się inne?

Jeśli Uniwersum jest niczym innym, jak tylko ogółem prostych atomów, które się spotykają, by spłodzić swe kompozycje, nie jest rzeczą możliwą, by – po skomponowaniu w kompozycje – przestały się poruszać. We wszelkim przedmiocie trwać musi ich nieprzerwany ruch, szaleńczy w wichrach, płynny i regularny w ciałach zwierzęcych, powolny, lecz nieuchronny w roślinach, a z pewnością jeszcze wolniejszy, choć

prawdziwy, w minerałach. Podobnie ten koral, martwy dla życia koralowego, raduje się własną zakrytą krzątaniną, jaka właściwa jest kamieniom.

Robert rozmyślał. Dopuśćmy, że każde ciało składa się z atomów, nawet te ciała, o których mówią geometrzy, niemające niczego, tylko rozciągłość, i że te atomy są niepodzielne. Każdy odcinek linii prostej, bez względu na swoją długość, da się podzielić na dwie równe części, to pewne. Skoro jednakowoż jego długość nie ma nic do rzeczy, być może powinien się podzielić na dwie części odcinek składający się z nieparzystej liczby niepodzielnych cząstek. Oznaczałoby to, skoro nie chcemy, aby dwie części były nierówne, że podzielona została na dwoje niepodzielna cząstka środkowa. A w takim razie, ponieważ ona również ma rozciągłość, choćby tak króciutką, że nie sposób jej wypatrzyć, jest też odcinkiem, a tym samym dzieli się na dwie równe części. I tak *ad infinitum*.

Kanonik powiadał, że nawet atom ma swoje części, ale jest tak ścisły, że nigdy nie uda się nam podzielić go dalej. Nam. A innym?

Nie masz ciała stałego tak ścisłego jak złoto, a przecież bierzemy uncję tego metalu, z tej uncji złotnik wyklepie tysiąc płatków i połowy ich wystarczy, by pozłocić całą powierzchnię sztabki srebra. I tę samą uncję złota ci, co sporządzają złote i srebrne nitki dla pasamonika, potrafią swą filierą doprowadzić do takiej grubości, jaką ma włos, a przy tym owa niteczka będzie długa na ćwierć mili, może więcej. Rzemieślnik w jakimś momencie kończy swój trud, bo nie ma stosownych narzędzi, a zresztą oko nie wypatrzyłoby już nitki podobnie znikomej. Lecz insekty – tak małe, że ich nie widzimy, i tak przemyślne, że przewyższają biegłością wszystkich rzemieślników człowieczego rodzaju – mogłyby jeszcze wydłużyć tę nić, aby sięgała z Turynu do Paryża. A gdyby istniały insekty tych insektów, do jakiejż to cienkości doprowadziłyby ową niteczkę?

Gdybym argusowym okiem mógł zajrzeć między wielokąty koralu i do środka żyłek, jakie rozchodzą się tam promieniście ze środka żyłek tworzących żyłkę, mógłbym *ad infinitum* tak szukać atomów. Ale atom, który byłby podzielny w nieskończoność, dając cząstki coraz znikomsze,

choćby nadal podzielne, doprowadziłby mnie do stanu, w którym materia niczym innym by nie była, jak tylko nieskończonym dzieleniem, i cała jej twardość, całe wypełnienie wspierałoby się na tej samej prostej równowadze między pustkami. A wtedy, miast mieć odrazę do próżni, materia by ją wielbiła i z niej by się komponowała, byłaby próżnią w sobie, próżnią absolutną. Owa absolutna próżnia byłaby samym rdzeniem niewyobrażalnego punktu geometrycznego, punkt ten zaś byłby właśnie wyspą Utopii, o jakiej śnimy, wyspą na oceanie składającym się zawsze i tylko z wody.

Tak zatem, przyjmując, że rozciągłość materialna uczyniona jest z atomów, doszłoby się do tego, iż nie byłoby już atomów. Cóż by pozostało? Wiry. Tyle że wiry wciągnęłyby nie tylko planety, materię wypełnioną i opierającą się ich wiatrom – albowiem poszczególne planety też byłyby wirami wciągającymi w swoje obroty wiry mniejsze. W rezultacie wir największy, który wprawia w wirowanie galaktyki, miałby w środku inne wiry, te zaś byłyby wirami wirów, topielami z innych topieli, a otchłań wielkiej topieli z topieli z topieli zapadałaby się w nieskończoność, wsparta na nicości.

My, mieszkańcy wielkiego koralu kosmicznego, uznalibyśmy atom (którego przecież nie widzimy) za materię pełną, choć on także, jak cała reszta, byłby haftem pustek na pustce, i nazwalibyśmy bytem, gęstym, a nawet wiecznym, ten rond niekonsekwencji, tę nieskończoną rozciągłość, która utożsamia się z nicością absolutną i ze swego niebytu płodzi złudę wszystkiego.

Jestem więc tutaj, by łudzić się co do ułudy złudy, ja, będący złudzeniem dla siebie samego? I muszę stracić wszystko i przebywać na tym statku zagubionym na Antypodach, by pojąć, że nie ma nic do stracenia? Czy jednak, rozumiejąc to, nie zyskuję wszystkiego, gdyż staję się jedynym punktem myślącym, w którym Uniwersum rozpoznaje własną ułudność?

A skoro myślę, czy nie znaczy to, że mam duszę? O, co za gmatwanina! Wszystko jest uczynione z niczego, lecz by to pojąć, trzeba mieć duszę, która, choć tak znikoma, nie jest przecież nicością.

Czym jestem? Kiedy mówię „ja” w sensie „Robert de la Grive”, robię to w tej mierze, w jakiej jestem pamięcią o wszystkich chwilach minionych, sumą wszystkiego, co w tej pamięci pozostało. Kiedy mówię „ja” w sensie „to coś, co znajduje się w tym momencie tutaj, a nie jest masztem głównym ani tym koralem”, wówczas stanowię sumę wszystkiego, czego doznaję w tej chwili. Czymże jest jednak wszystko, co czuję w tej chwili? To ogół tych relacji między domniemanymi niedającymi się podzielić cząstkami, które ułożyły się w system relacji w tym szczególnym porządku, jakim jest moje ciało.

W takim razie dusza moja nie jest, jak chciał Epikur, materią złożoną z małych ciał, znikomszych niż inne, tchnieniem przemieszanym z ciepłem, ale sposobem, w jaki owe relacje odbieram jako takie.

Jakże nikłe zagęszczenie, jakaż zagęszczona nienamacalność! Jestem zaledwie relacją między mymi cząstkami, które są postrzegalne, kiedy pozostają we wzajemnej relacji. Ponieważ jednak te cząstki są z kolei podzielne na inne relacje (i tak dalej), to każdy system relacji, mający świadomość samego siebie, będący nawet świadomością samego siebie, byłby myślącym jądrem. Ja myślę siebie, swoją krew, nerwy; a w takim razie każda kropla mojej krwi myślałaby siebie samą.

Myślałyby siebie, jak myślę siebie ja? Z pewnością nie, na terytorium Natury człowiek odczuwa siebie w sposób bardzo złożony, zwierzę trochę mniej (potrafi czuć na przykład głód, ale wyrzutów sumienia – nie), a roślina czuje, że rośnie, i bez wątpienia czuje, jak ją ścinają, może nawet mówi „ja”, ale w sposób znacznie mniej wyrazisty, niż czynię to ja. Każda rzecz myśli, ale wedle swego skomplikowania.

Skoro tak jest, myślą też głazy. Nawet ten kamień, który kamieniem nie jest, lecz był rośliną (albo zwierzęciem?). Jak myśli? Po kamiennemu. Jeżeli Bóg, który jest wielką relacją wszystkich relacji wszechświata, myśli siebie myślącego, jak chce Filozof, ten kamień myśli siebie kamieniowatego. Bóg myśli całą rzeczywistość i nieskończoność światów, które tworzy i którym zapewnia swą myślą trwanie, ja myślę o swojej nieszczęśliwej miłości, o samotności na tym statku, o zmarłych rodzicach,

o swoich grzechach i swoim losie śmiertelnika, ten kamień zaś być może myśli tylko: „ja kamień, ja kamień, ja kamień”. Może nawet bez „ja”. Tylko „kamień, kamień, kamień”.

Pewnie to mu się uprzykrzy. Albo też to mnie się uprzykrzy, mnie, który może pomyśleć o czymś więcej, on zaś (czy ona) jest w pełni kontent ze swego bytu jako kamienia, szczęśliwy jak sam Bóg – albowiem Boga radość jest w byciu Wszystkim, a tego kamienia w byciu prawie niczym, a ponieważ nie zna innego sposobu bycia, ze swego cieszy się wiecznie, zaspokojony sam sobą...

Czy jednak prawdą jest, że kamień nie czuje niczego poza swą kamieniowatością? Kanonik mówił mi, że także kamienie są ciałami, które w pewnych chwilach żarliwie pragną być czymś innym. Rzeczywiście, kamień wpada do wulkanu i wskutek gorącości tej ognistej pomady, zwanej przez starożytnych magmą, stapia się z innymi kamieniami, staje się jedną rozżarzoną masą, niknie i rychło (albo nierychło) zmienia się w cząstkę większego kamienia. Czy to do pomyślenia, aby przestając być tym kamieniem albo stając się innym, nie czuł palenia, a co za tym idzie – bliskości swej śmierci?

Słońce nagrzewało pokład, leciutka bryza łagodziła jego żar, na ciele Roberta zasychał pot. Ponieważ już tak długo skupiał się na wyobrażaniu sobie siebie jako kamienia skamieniałego, gdyż słodka Meduza usidliła go swym spojrzeniem, postanowił spróbować myślenia po kamiennemu – może chcąc przygotować się do dnia, kiedy stanie się po prostu białą kupką kości, palonych tym samym słońcem, wystawionych na ten sam powiew.

Rozebrał się do naga, położył z zamkniętymi oczami i z palcami w uszach, by nie przeszkadzał mu żaden hałas – na modłę kamienia, który nie ma wszak organów zmysłowych. Starał się unicestwić w sobie wszystkie wspomnienia, wszystkie potrzeby swego ludzkiego ciała. Gdyby tylko mógł, unicestwiłby nawet swą skórę, a nie mogąc tego osiągnąć, starał się uczynić ją jak najmniej wrażliwą.

Jestem kamieniem, jestem kamieniem – mówił sobie. A potem, by uniknąć nawet wspomnienia o sobie, tylko: kamień, kamień, kamień.

Co bym czuł, gdybym naprawdę był kamieniem? Przede wszystkim ruch składających się na mnie atomów, czyli stabilne wibrowanie położeń, jakie części moich części moich części zajmują względem siebie. Słyszałbym rzężenie mego kamienia. Nie mógłbym jednak powiedzieć „ja”; żeby bowiem powiedzieć „ja”, trzeba, ażeby byli inni, coś innego, czemu mógłbym przeciwstawić siebie. Kamień w zasadzie nie może wiedzieć, że istnieje coś poza nim. Rzęźże, kamieniu w siebie kamieniejący, i nie zwracaj uwagi na resztę. To świat. Świat, który sam sobie się światowi.

Jeśli jednak dotknę tego koralu, wyczuwam, że powierzchnia zatrzymała ciepło słońca na wystawionej ku niemu powierzchni, natomiast strona od pokładu jest chłodniejsza; a gdybym rozłupał go na pół, poczułbym może coraz mniej ciepła, przesuwając dłoń z góry na dół. Otóż w ciele rozgrzanym atomy poruszają się żwawiej, a więc ten kamień, jeśli czuje siebie jako ruch, musi czuć w swym wnętrzu różnicę ruchów. Gdyby zawsze pozostawał wystawiony w tej samej pozycji na słońce, może zacząłby wyczuwać coś w rodzaju „góra” i „dół”, choćby jako dwa różne rodzaje ruchu. Nie wiedząc, że przyczyną tej różnicy jest czynnik zewnętrzny, myślałby tak, jakby ten ruch mieścił się w jego własnej naturze. Gdyby jednak doszło do jakiegoś osunięcia i kamień potoczyłby się w dolinę, przybierając inne zgoła położenie, poczułby, że poruszają się teraz inne jego części, choć przedtem były ruchom niechętne, gdy jednocześnie te szybkie zwolniły. A kiedy by teren osuwał się stopniowo (mogłoby to trwać bardzo długo), kamień czułby, że ciepło, albo jego skutek – ruch, przesuwa się pomaleńku z jednej części do drugiej.

Tak rozmyślając, Robert wystawiał powoli rozmaite strony ciała na promienie słoneczne, przetaczając się po pokładzie, aż znalazł się w strefie cienia i poczuł leciutki chłód, a tego samego doświadczyłby kamień.

Któż to wie – rozważał – czy przy tych ruchach kamień nie wyrobi sobie jeśli nie pojęcia miejsca, to przynajmniej pojęcia części, a już na pewno pojęcia zmiany. Jednak nie namiętności, gdyż nie zna jej przeciwieństwa, którym jest czyn. A może tak. Bo jako że jest kamieniem, tak a nie inaczej złożonym, czuje zawsze, natomiast ciepło albo chłód czuje naprzemiennie.

Zatem w pewnym sensie może odróżnić siebie samego jako substancję od swych akcydensów. Może nie. Jeśli bowiem czuje siebie samego jako relację, czułby siebie jako relację między rozmaitymi akcydensami, czułby siebie jako substancję w stawaniu się. I co to oznacza? Czy ja czuję siebie w inny sposób? Kto wie, czy kamienie rozumują jak Arystoteles, czy jak Kanonik z Digne? Tak czy inaczej, to wszystko może zająć tysiąclecia, choć nie o to wcale chodzi, ale o to, czy kamień może składować rozmaite postrzegania siebie. Bo gdyby czuł się teraz ciepły na górze i chłodny na dole, potem zaś na odwrót, a w drugim stanie nie pamiętałby o pierwszym, stale by uznawał, iż jego ruch wewnętrzny jest niezmienny.

Skoro jednak może postrzegać siebie, czemuż nie miałby mieć pamięci? Pamięć to moc duszy, a choć dusza kamienia jest maleńka, ma on stosowną do tych wymiarów pamięć.

Mieć pamięć to znaczy mieć ideę „przedtem” i „potem”, inaczej przecież nawet mnie wydawałoby się, że ból i przyjemność, które wspominam, są obecne w chwili, kiedy je wspominam. Wiem jednak, że chodzi o postrzeżenia minione, gdyż są słabsze niż teraźniejsze. Rzecz sprowadza się do tego, by mieć poczucie czasu. I może nawet ja nie mógłbym mieć tego poczucia, gdyby czas był czymś, czego trzeba się uczyć. Ale czy nie mówiłem sobie kilka dni czy miesięcy temu, przed chorobą, że czas to warunek ruchu, a nie jego wynik? Skoro cząstki kamienia są w ruchu, ruch ten ma swój rytm, który, choć niesłyszalny, jest jak cykanie zegara. Kamień to swój własny zegar. Czuć ruch to czuć odmierzanie rytmu czasu. Ziemia, ten wielki kamień w niebie, czuje czas swego ruchu, czas oddechu przypływami i odpływami, a to, co ona czuje, ja widzę na wygwieżdżonym firmamencie: ziemia czuje ten czas, który ja widzę.

Tak zatem kamień zna czas, a nawet zna go, nim jeszcze postrzeże swe zmiany ciepła jako ruch w przestrzeni. O ile wiem, mógłby nawet nie dostrzegać, iż zmiany cieplne zależą od jego położenia przestrzennego: mógłby je pojmować jako zjawisko zmiany czasowej, jako przejście od snu do stanu rozbudzenia, jak ja teraz postrzegam, że kiedy tak leżę bez ruchu, czuję mrowienie w lewej stopie. Jednak nie, musi wyczuwać także

przestrzeń, skoro dostrzega ruch tam, gdzie przedtem był bezruch, i bezruch tam, gdzie przedtem był ruch. Umie więc myśleć „tu” i „tam”.

Wyobraźmy sobie teraz, że ktoś podnosi ten kamień i układa wśród innych kamieni, żeby zbudować mur. Jeśli kamień postrzega wtedy napięcie swych atomów jako wysiłek, by zachowywać się jak komórki w pszczelim plastrze, ściśnięte jedne obok drugich i wciągnięte jedne między drugie, jak muszą czuć się kamienie w kościelnym sklepieniu, gdzie jedne napierają na inne, a wszystkie razem prą ku zwornikowi, przy czym kamienie bliskie zwornika spychają jednocześnie sąsiadów w dół i na zewnątrz?

Jednak całe sklepienie, przywyknąwszy do tej gry naporów i odporów, winno czuć się jako sklepienie pośród niewidzialnego ruchu kamieni kolejno na siebie napierających; podobnie winno odczuwać wysiłek, jaki ktoś czyni, by zwalić je i zobaczyć, że przestaje być sklepieniem w momencie, kiedy wspierający je mur pada wraz z przyporami.

A zatem kamień, ściskany między innymi kamieniami tak mocno, że niemal się kruszy (a gdyby presja jeszcze wzrosła, pękłby), musi czuć to zwieranie, którego przedtem nie dostrzegał, ciśnienie, które niejako musi wpływać na jego ruch wewnętrzny. Czy nie jest to właśnie moment, kiedy kamień dostrzega obecność jakiejś rzeczy poza sobą? Zyskałby natenczas świadomość Świata. A może myślałby, że siła, która go ciemięży, jest czymś mocniejszym od niego, i utożsamiałby Świat z Bogiem.

Jednak w dniu, kiedy mur by runął, ustałoby zwieranie i zaznałby kamień uczucia Wolności – jak zaznałbym ja, gdybym postanowił wyrwać się z naporu, który sobie narzuciłem? Tyle że ja mogę zapragnąć pozbycia się tego stanu, kamień zaś nie. Tak zatem wolność jest namiętnością, a wola osiągnięcia wolności – czynem, i w tym właśnie różnica między mną a kamieniem. Ja mogę chcieć. Kamień w najlepszym razie (czemu by nie?) może mieć chęć, by powróciło to, co było przed murem, poczuć przyjemność, kiedy stanie się znów wolny, nie może jednak postanowić, że dokona czynu, by osiągnąć to, co mu się podoba.

Czy jednak naprawdę mogę chcieć? W tej chwili czuję przyjemność, że jestem kamieniem, słońce mnie grzeje, wiatr sprawia, że kondycja mego

ciała zda mi się znośna, nie mam najmniejszego zamiaru przestać być kamieniem. Dlaczego? Bo to mi się podoba. A więc ja też jestem niewolnikiem namiętności, która odwodzi mnie od chętki, bym zachciał bez przymusu czegoś przeciwnego. Ale gdybym zechciał, chciałbym. Nie czynię tego jednak. O ile więcej niż kamień mam wolności?

Nie masz myśli okropniejszej, osobliwie dla filozofa, niż ta dotycząca wolnej woli. Robert z filozoficznej małoduszności odpędził ją jako zbyt niebezpieczną – dla niego z pewnością, a tym bardziej dla kamienia, który obdarzył wprawdzie namiętnościami, lecz odbierając mu zarazem wszelką możliwość czynu. Tak czy owak, nawet nie mogąc zadać sobie pytania o możliwość – lub jej brak – dobrowolnego samopotępienia, kamień zyskał już mnogie i szlachetne władze, liczniejsze, niż kiedykolwiek istoty ludzkie mu przypisały.

Robert zastanawiał się teraz raczej nad tym, czy w momencie wpadania do wulkanu kamień ma świadomość własnej śmierci. Z pewnością nie, albowiem nigdy nie wiedział, co oznacza umieranie. Czy jednak, kiedy już całkiem zniknął w magmie, miał świadomość śmierci dokonanej? Nie, gdyż owa pojedyncza kompozycja kamienia przestała istnieć. Z drugiej strony czy słyszano kiedy o człowieku, który zdałby sobie sprawę z własnej śmierci? Jeśli coś w tym momencie myślało samo siebie, była tym magma: ja magma, ja magma, ja magma, ja magma, pluf, pluf, ja płynę, cieknę, rozpływam się, spływam, plap, plop, plup, przelewam się, kipię kipielą kipiącą, skwierczę, charczę charkliwie, bąbluję. Plask. I Robert, naśladując magmę, toczył ślinę jak pies dotknięty hydrofobią i próbował dobyć bulgotanie z trzewi. Prawie wywracał ciało na lewą stronę. Nie był jednak stworzony na magmę. Lepiej już znowu myśleć po kamiennemu.

Jakież jednak znaczenie dla kamienia, którym teraz był, miało to, że magma magmiła się magmowo? Dla kamieni nie ma życia po śmierci. A jeśli komuś zostało obiecane i przyznane, nie może on stać się rośliną albo zwierzęciem. Co by się stało, gdybym umarł, a wszystkie moje atomy rozproszyłyby się dokładnie w ziemi i przesączyły korzeniami prosto do tej

pięknej rośliny? Mówiłbym „ja palma”? Powiedziałaby to przecież owa palma, nie mniej myśląca od kamienia. Czy palma, mówiąc „ja”, myślałaby „ja Robert”? Byłoby niegodziwością odbieranie jej prawa do mówienia „ja palma”. I co to by była za palma, gdyby mówiła „ja Robert jestem palmą”? Ta kompozycja, która mogła mówić „ja Robert”, ponieważ pojmowała siebie jako tę właśnie kompozycję, już przestała istnieć. A skoro jej nie ma, wraz z percepcją utraciłaby również pamięć o sobie. Palma nie mogłaby nawet powiedzieć „ja palma byłam Robertem”. Gdyby coś takiego było możliwe, wiedziałbym teraz, że ja, Robert, byłem niegdyś... skąd mam wiedzieć, kim lub czym? Czymś. A przecież nie pamiętam tego. Nie wiem już, czym byłem przedtem, tak samo jak nie umiem sobie przypomnieć tego płodu, który mieszkał w brzuchu mojej matki. Wiem, że byłem płodem, gdyż powiedzieli mi o tym inni, ale jeśli o mnie samego chodzi, mógłbym nie być nim nigdy.

Mój Boże, mogę radować się posiadaniem duszy i mogłyby się tym radować nawet kamienie, a właśnie od duszy kamieni dowiaduję się, że moja dusza nie przeżyje mego ciała. Po cóż rozmyślam i bawię się, udając kamień, skoro potem nic o sobie nie będę wiedział?

Czymże jednak w ostatecznym rachunku jest to „ja”, które myśli mnie? Czy nie powiedziałem już, że nie istnieje nic poza świadomością siebie samej, jaką pustka, tożsama z rozciągłością, ma w tej szczególnej kompozycji? Tak więc nie ja myślę, ale pustka czy rozciągłość myślą mnie. Stąd wniosek, że ta kompozycja jest akcydensem, w którym pustka i rozciągłość zapóźniły się na jedno machnięcie skrzydłami, by potem znowu myśleć siebie inaczej. W tej wielkiej pustce pustki jedyna rzecz, jaka naprawdę jest, to nieuchronność tego stawania się poprzez niezliczone przejściowe kompozycje... Kompozycje czego? Jednej wielkiej nicości, którą jest Substancja wszystkiego.

Substancja rządzona przez majestatyczną Konieczność, która nakazuje Substancji tworzyć i niszczyć światy, splatać nasze marne żywoty. Jeśli to przyjmę, jeśli zdołam umiłować tę Konieczność, zwracać się ku niej, skłaniać w przyszłości przed jej rozkazami, spełnię warunek Szczęśliwości.

Jedynie akceptując jej prawo, odnajdę wolność. Wniknąć w Nią – oto Zbawienie, oto ucieczka wszelkich namiętności w jedną namiętność, w Rozumową Miłość Boga.

Jeśli zdołam to naprawdę pojąć, będę w istocie jedynym człowiekiem, jaki znalazł Filozofię Prawdziwą, i dowiem się wszystkiego o Bogu, który się ukrywa. Któż jednak miałby dość odwagi, by kroczyć przez świat i głosić tę filozofię? Ten sekret zabiorę ze sobą do grobu na Antypodach.

Jak już powiedziałem, Robert nie urodził się filozofem. Doszedłszy do tej Epifanii, oszlifowanej z surowością, z jaką optyk poleruje soczewki, dokonał – raz jeszcze – miłosnej apostazji. Ponieważ kamienie nie miłują, dźwignął się do pozycji siedzącej i na nowo stał się mężczyzną kochającym.

Jednak w takim razie – powiedział sobie – skoro wszyscy musimy wrócić do wielkiego morza wielkiej i jedynej Substancji, tu czy tam, czy gdziekolwiek się ona znajduje, ja ponownie stopię się w jedno z moją Panią. Ja będę nią, ona będzie mną. Czyż nie taki jest najgłębszy sens mitu Hermafrodyty? Lilia i ja, jedno ciało, jedna myśl...

I czyż nie antycypowałem tego wydarzenia? Od wielu dni (tygodni, miesięcy) obdarzam ją, choćby i za pośrednictwem Ferrante, życiem w świecie całkowicie należącym do mnie. Jest już myślą mojej myśli.

Może tym jest pisanie Romansów: żyć poprzez swych bohaterów, sprawić, by żyli w naszym świecie, i powierzyć siebie i swoje dzieło stwórcze myśli tych, którzy przyjdą, nawet jeśli wtedy my już nie będziemy mogli powiedzieć „ja”...

Skoro tak, ode mnie tylko zależy, czy usunę na zawsze Ferrante z mojego świata; powodem jego zniknięcia uczynię bożą sprawiedliwość i stworzę warunki, które pozwolą mi połączyć się z Lilią.

Pełen nowego zapału Robert postanowił obmyślić ostatni rozdział swojej opowieści.

Nie wiedział, że Romanse często piszą się same i zdążają, którędy zechcą – zwłaszcza teraz, kiedy autorzy postanowili powymierać.

38

O Naturze i Położeniu Piekła

Robert opowiadał sobie, jak to płynąc od wyspy do wyspy i bardziej szukając dla siebie przyjemności niż właściwej drogi, Ferrante, nie umiejąc wyciągnąć wniosków z sygnałów, które eunuch słał ranie Biscarata, w końcu całkowicie stracił rozeznanie co do miejsca, w jakim się znalazł.

Statek jednak płynął, ale skąpe zapasy prowiantu zepsuły się, woda zaśmiardła. Atoli załoga niczego się nie domyślała. Ferrante kazał każdemu schodzić tylko raz dziennie do ładowni i brać ukradkiem to, co było konieczne do przeżycia, ażeby nikt nie musiał na to patrzeć.

Jedynie Lilia o niczym nie wiedziała, pogodnie znosiła wyrzeczenia i zdawało się, że do życia wystarczy jej kropelka wody i okruszyna suchara, najbardziej bowiem niepokoiła się tym, czy umiłowany zdoła dotrzeć do celu, jaki sobie wyznaczył. Jeśli chodzi o Ferrante, ten, nieczuły na miłość i dbały tylko o rozkosze, które z niej czerpał, nadal nie szczędził zachęt majtkom, roztaczając przed oczami ich chciwości obrazy bogactwa. I tak to ślepiec, zaślepiony swą urazą, prowadził innych ślepców, zaślepionych zachłannością, trzymając jako niewolnicę w swych pętach zaślepioną piękność.

Jednak wskutek ogromnego pragnienia wielu ludziom z załogi puchły dziąsła – tak że zaczynały już zasłaniać zęby; nogi pokrywały się wrzodami, a ich cuchnący sekret piął się aż ku tym częściom ciała, które decydują o człowieczym życiu.

Wskutek tego wszystkiego, dotarłszy poza dwudziesty piąty stopień szerokości południowej, Ferrante musiał stawić czoło buntowi. Podołał temu, wykorzystując grupę najwierniejszych korsarzy (Andrapodo, Boride,

Ordogno, Safar i Asprando), i buntowników porzucono w szalupie z niewielkim zapasem prowiantu. Ale w ten sposób „Tweede Daphne” straciła połowę sprzętu ratunkowego. Co to ma za znaczenie – powtarzał sobie Ferrante – już wkrótce dotrzemy tam, dokąd pcha nas ohydna żądza złota. Brakowało jednak ludzi do prac okrętowych.

A też nie palili się do żadnej roboty, bo przecież pomogli przywódcy, chcieli więc być mu równi. Jeden z piątki jął śledzić tego tajemniczego szlachcica, który tak rzadko wychodził na pokład, i odkrył, że to białogłowa. I wówczas ci ostatni zbóje stanęli przed Ferrante i zażądali wydania pasażerki. Ferrante, Adonis z wyglądu, lecz Wulkan w duszy swojej, więcej wagi przykładał do Plutona niż Wenery i całe szczęście, że Lilia nie słyszała, jak szeptał buntownikom, iż wejdzie z nimi w układy.

Robert nie powinien pozwalać Ferrante na tę ostatnią niegodziwość. Postanowił więc, że w tym momencie Neptuna ogarnie wściekłość, albowiem wędrowano przez jego obszary, nie lękając się boskiego gniewu. Nie chcąc jednak prowadzić biegu wydarzeń według pogańskich, aczkolwiek tak wyszukanych sposobów, doszedł do wniosku, że to niemożliwe (jeśli powieść miała nieść naukę moralną), by Niebiosa nie zesłały kary na ten statek niegodziwości. I radował się, wyobrażając sobie, jak to Wiatry z czterech stron świata, niestrudzeni nieprzyjaciele morskiej ciszy, chociaż przedtem zostawiły spokojnym Zefirom troskę o moszczenie drogi wśród fal na kursie, którym płynęła „Tweede Daphne”, a same nie ruszały się ze swych podziemnych kwater, teraz okazały zniecierpliwienie.

Kazał im zerwać się wszystkim naraz. Jękom poszycia okrętowego wtórowały żałosne okrzyki majtków; morze wymiotowało na nich, a oni na morze, czasem zaś jakaś fala ogarniała ich tak, że gdyby ktoś patrzył z brzegu, mógłby wziąć ten pokład za lodowy katafalk, wokół którego błyskawice zapalają się niczym świece.

Z początku burza przeciwstawiała chmury chmurom, wody wodom, wiatry wiatrom. Ale wkrótce morze wyszło poza wyznaczone mu granice i rosło, nabrzmiewając, ku niebu, spadł deszcz niszczyciel, woda pomieszała się z powietrzem, ptaszę uczyło się pływania, rybka fruwania.

Nie była to już walka podjęta przez naturę przeciw żeglarzom, lecz batalia żywiołów między sobą. Nie było ani atomu powietrza, który nie przemieniłby się w kulę gradową, i sam Neptun wspiął się, by ugasić pioruny w dłoni Gromowładnego, a tym sposobem odjąć mu chęć spalenia tych istot ludzkich, które sam pragnął potopić. Morze drążyło w swym własnym łonie grobowiec, by odebrać owe istoty ziemi, a gdy ujrzało, iż statek, bez sterów, zmierza prosto ku podwodnej skale, nagłym szarpnięciem dłoni zmieniło jego kurs.

Statek zanurzał się to rufą, to dziobem, a za każdym razem, kiedy opadał, wyglądał, jakby walił się z jakiej wieży: rufa zapadła się już po galerię, na dziobie zaś woda chciała zapewne pochłonąć bukszpryt.

Andrapodo, który próbował przywiązać żagiel, został porwany z rei, a spadając do morza, potrącił Boridego, napinającego właśnie linę, i skręcił mu kark.

Kadłub podniósł bunt przeciw sternikowi Ordogno, a w tym samym momencie poryw wiatru zerwał top stermasztu. Safar robił, co mógł, by opuścić żagle, zachęcany przez Ferrante, który ciskał przekleństwa, lecz nie skończył mocować marsla, kiedy statek ustawił się poprzecznie i w jego bok uderzyły trzy fale tak ogromne, że Safara rzuciło na burtę. Główny maszt nagle złamał się i runął do morza, przedtem jednak zmiótł wszystko z pokładu i rozłupał czaszkę Aspranda. Na koniec ster został strzaskany, a gwałtowny cios rumpla pozbawił życia Ordogna. Od tej chwili drewniany kaleka był pozbawiony załogi i ostatnie szczury uciekały za burtę, spadając w wodę, od której chciały przecież uciec.

Zda się niemożnością, aby pośród tego sabatu czarownic Ferrante niepokoił się losem Lilii, ponieważ spodziewamy się po nim, że będzie dbał tylko o własną skórę. Nie wiem, czy Robert pomyślał o tym, że łamie reguły prawdopodobieństwa, ale nie chcąc dopuścić do śmierci tej, której oddał serce, musiał wyposażyć w serce także Ferrante – choćby na chwileczkę.

Tak więc Ferrante wyciąga Lilię na pokład i cóż czyni? Doświadczenie podpowiadało Robertowi, że powinien przywiązać ją mocno do deski

i pozwolić, by zabrało ją morze, ufając, iż nowe bestie z Otchłani nie odmówią politowania komuś tak urodziwemu.

Potem także Ferrante chwyta kawał drewna, by się do niego przywiązać. Lecz w tym momencie pojawia się na pokładzie – Bóg jeden wie, jakim sposobem uwolniony wskutek wstrząsów ładowni ze swego szafotu, z dłońmi jeszcze związanymi, do trupa podobniejszy niż do żywego, lecz z ogniem nienawiści w oczach – Biscarat.

Biscarat, który jak pies na „Amaryllis" przez całą podróż cierpiał w okowach, codziennie bowiem otwierano mu ranę, by potem trochę ją zaleczyć, ten Biscarat przez kilka miesięcy jedną tylko myśl obracał w głowie: zemścić się na Ferrante.

Biscarat pojawia się niby *deus ex machina* za plecami Ferrante, który jedną nogą zdążył już stanąć na relingu, unosi ręce i przekłada je, czyniąc z łańcucha sznur, przed twarzą prześladowcy, a potem zaciska mu łańcuch na gardle. I z okrzykiem: „Za mną, za mną nareszcie do piekła!" – napiera na łańcuch tak, że łamie Ferrante kark (mamy to przed oczyma – i prawie słyszymy) i język nieszczęśnika wypełza spomiędzy tych bluźnierczych warg, i rozlega się ostatni wrzask pełen wściekłości. A potem bezduszne ciało straconego zbrodniarza, waląc się w odmęt, pociąga za sobą, niby płaszcz, żyjące jeszcze ciało kata, który zwycięsko wyrusza w ten sposób na spotkanie wojowniczej toni – z sercem wreszcie ukojonym.

Robert nie umiał sobie wyobrazić, co czuła, widząc to, Lilia, i miał jeno nadzieję, że nie widziała niczego. Skoro on sam nie pamiętał, co mu się przytrafiło, odkąd znalazł się w kipieli, nie potrafił też wyobrazić sobie, co mogło przytrafić się jej.

Prawdę mówiąc, tak był pochłonięty zadaniem zesłania na Ferrante sprawiedliwej kary, że postanowił przede wszystkim śledzić jego los za grobem. Lilię zaś porzucił w rozległej kipieli wodnej.

Martwe ciało Ferrante zostało ciśnięte na jakąś pustą plażę. Morze było teraz spokojne niczym woda w filiżance i o brzeg nie biły fale. Wszystko

otulała leciuchna mgła, jak to bywa, kiedy słońce już zajdzie, lecz noc nie zawładnie jeszcze niebem.

Tuż powyżej plaży ciągnęła się mineralna, by tak rzec, równina, której granic nie wskazywały żadne drzewa czy krzewy, gdzie nawet to, co z daleka wydawało się cyprysami, okazywało się później jakby obeliskami z ołowiu. Po stronie zachodniej daleko na horyzoncie rysowała się jakaś wyniosłość, której nie dałoby się już wypatrzyć, gdyby nie płomyki, widoczne tu i ówdzie na zboczach i nadające wzniesieniu wygląd cmentarza. Nad tym masywem unosiły się podłużne chmury o brzuchach czarnych od gasnącego węgla, o kształcie brylastym i zwartym niby te sepiowe kości, które oglądać można czasem na obrazach lub rysunkach; jeśli się patrzy z ukosa, zastygają w kształt czaszki. Między chmurami a szczytem góry niebo miało jeszcze odcień bladożółty – można by powiedzieć, że to ostatnia przestrzeń powietrzna muskana jeszcze przez konające słońce, gdyby nie wrażenie, iż ten finalny odruch zmierzchu nigdy nie miał początku i nigdy nie będzie miał końca.

Tam gdzie równina zaczynała przechodzić w stok góry, Ferrante spostrzegł małą gromadkę ludzi i ruszył w ich kierunku.

To znaczy, z daleka wyglądali na ludzi czy istoty mimo wszystko człowiecze, lecz gdy Ferrante do nich dołączył, zobaczył, że owi ludzie byli lub raczej stali się – albo właśnie stawali – wyposażeniem gabinetu anatomicznego. Takimi chciał ich widzieć Robert, który przypomniał sobie, że pewnego dnia zwiedzał jedno z tych miejsc, gdzie grupka ciemno odzianych medyków, o rumianych twarzach i pałających żyłkach na nosach i policzkach, zajęta z pozoru czynnościami, jakie przystoją katu, stała wokół nieboszczyka i pokazywała to, co było w środku, odkrywając w trupie tajemnice żyjących. Unosili skórę, kroili mięso, obnażali kości, rozwiązywali supły nerwów, rozplątywali węzły mięśni, otwierali organy zmysłów, przekazywali sobie zdjęte błony, oderwane chrząstki, wydobyte trzewia. Wyciągnąwszy każde włókienko, podzieliwszy każdą tętnicę, odsłoniwszy każdy fragment miękiszu, pokazywali widzom pracownię życia: oto – powiadali – mięso, które się gotuje, krew, która się oczyszcza,

pokarm, który się rozdziela, tutaj powstają humory, tam hartują się temperamenty... I ktoś obok Roberta zauważył półgłosem, że po śmierci ziemskiej nie inaczej postąpi z nami natura.

Jednak Bóg anatom czym innym dotknął mieszkańców wyspy, których Ferrante oglądał teraz z coraz mniejszej odległości.

Pierwsze z ciał było odarte ze skóry, wstęgi mięśni napinały się, ramiona zwieszały w geście pełnym rezygnacji, zbolała twarz, sama czaszka i policzki, wznosiła się ku niebu. Drugiemu skóra dłoni, przywarta jedynie na opuszkach palców, zwisała jak rękawiczka, na nogach zaś wywijała się jak cholewa miękkiego buta.

U trzeciego skóra, a potem mięśnie zostały tak rozchylone, że całe ciało, a już osobliwie twarz, wyglądało niby otwarta księga. Jakby pragnęło pokazać jednocześnie skórę, mięśnie i kości, po trzykroć człecze i po trzykroć śmiertelne; lecz przypominało insekta, któremu te łachmany służyłyby za skrzydła, gdyby na tej wyspie wiał, poruszając nimi, jakikolwiek wiatr. Jednak skrzydła te nie poruszały się mocą powietrza, nieruchomego wśród zapadających ciemności: ledwie, ledwie drgały przy ruchach wycieńczonego ciała.

Nieopodal jakiś szkielet wspierał się na rydlu, może zamierzał wykopać sobie grób; wzrok wznosił do nieba, łuk zębów wykrzywiał w grymasie, lewa ręka jakby błagała o zmiłowanie i wysłuchanie. Inny szkielet pochylał się, obrócony tyłem, ukazując wygięty kręgosłup, i posuwał się w podrygach, wspierając skłonioną głowę na kościstych dłoniach.

Inny, którego Ferrante widział tylko od tyłu, miał jeszcze włosy na pozbawionej mięśni czaszce, jakby ktoś siłą nacisnął mu na nią biret. Ale wyłóg (blady i różowy niby morska muszla), filc z błamem były uformowane ze skóry, uciętej na wysokości karku i wywiniętej do góry.

Byli i tacy, którym zabrano prawie wszystko i którzy wyglądali jak posągi z samych nerwów. Owe nerwy, niegdyś zakorzenione w mózgu, powiewały na kikucie bezgłowego karku. Nogi robiły wrażenie splątanej wikliny.

Byli tacy, którzy mieli otwarte brzuchy i ukazywali tętniące trzewia barwy zimowitu – jak smutni żarłocy, co najedli się flaków i nie mogą ich strawić. Tam gdzie w niegdysiejszych czasach mieli prącie, teraz obłupione na kształt ogonka, kołysały się tylko zasuszone jądra.

Ferrante widział takich, z których pozostały jedynie żyły i tętnice, jakby ruchoma pracownia alchemika, jakby rurki i kanaliki w wiecznym ruchu, destylujące bezkrwistą krew tych świetlików spłowiałych w świetle nieobecnego słońca.

Wszystkie ciała trwały w wielkim i boleściwym milczeniu. U tego czy tamtego widziało się oznaki nadzwyczajnie powolnej transformacji, która z posągów mięsistych wysubtelniała je w posągi włókien.

Ostatni z nich, obłupiony ze skóry niby święty Bartłomiej, trzymał w prawej dłoni ociekającą jeszcze krwią skórę, wiotką jak niedbale rzucona peleryna. Dawało się w niej rozróżnić twarz z otworami na oczy i nozdrzami, jamę ust, a wszystko to przypominało resztki woskowej maski wystawionej nagle na ciepło.

Człek ten (a właściwie bezzębne i zniekształcone usta jego skóry) przemówił do Ferrante:

– Nieszczęsny przybyszu na Ziemię Zmarłych, którą my nazywamy Wyspą Vesaliusa. Rychło ty też podzielisz nasz los, nie sądź jednak, że wszyscy gaśniemy z prędkością określoną od chwili pogrzebu. W zależności od sentencji zostajemy doprowadzeni do wyznaczonego sobie stadium rozpadu, jakby po to, żebyśmy zakosztowali gaśnięcia, które przecież każdemu przyniosłoby radość najwyższą. O, jakaż to uciecha wyobrażać sobie mózg, który ledwie tknięty zmienia się w papkę, płuca, które pękają przy pierwszym tchnieniu forsującego je powietrza, rozłażącą się skórę, części miękkie, które się rozmiękczają, tłuszcze, które się roztapiają! Lecz nic z tego! Do stanu, w jakim nas oglądasz, wszyscy doszliśmy, nie zwróciwszy na nic uwagi, przez niedostrzegalne zmiany, w których toku każdy strzęp naszego ciała rozkładał się przez tysiąclecia tysiącleci. Nikt nie wie, do jakiego punktu dane nam jest się rozkładać, ci więc, których tam widzisz, a z których pozostały same kości, mają nadzieję

zemrzeć rychło, a może minęły tysiące lat tego wyczekiwania; inni, jak ja, nie wiadomo od jak dawna mają ten wygląd (albowiem w tej wciąż nadciągającej nocy zatraciliśmy wszelkie poczucie biegnącego czasu), ciągle jednak mam nadzieję, że wyznaczono mi unicestwienie, choćby nadzwyczaj powolne. I każdy z nas wzdycha do rozkładu, który (wiemy o tym dobrze) nigdy nie będzie całkowity, i ciągle żywi nadzieję, że Wieczność jeszcze się dla nas nie zaczęła, a przecież lęka się, że już w niej tkwimy od jakże odległej chwili przybycia na ten ląd. Za żywota naszego wierzyliśmy, że piekło to miejsce wiekuistego smutku, albowiem tak nam mówiono. Niestety, nie, jest to miejsce niekończącej się nadziei, gdyż to pragnienie, trzymające nas przy życiu, nigdy nie jest zaspokojone. Skoro mamy nadal odrobinę ciała, a każde ciało zmierza do rozkwitu albo śmierci, nie ustajemy w nadziei, a nasz Sędzia zawyrokował, byśmy tym jeno sposobem cierpieli *in saecula*.

Zapytał Ferrante:

– Na cóż macie nadzieję?

– Rzeknij raczej, na co i ty będziesz miał nadzieję... Będziesz miał nadzieję, że jakiś znikomy podmuch, jakiś najnikczemniejszy przypływ morza, pojawienie się jednej wygłodniałej pijawki przywróci nas, atom po atomie, wielkiej pustce Uniwersum, gdzie w ten czy inny sposób moglibyśmy partycypować jeszcze w cyklu życia. Ale tutaj powietrze jest nieruchome, morze zastygło, nie czujemy nigdy gorąca ni chłodu, nie znamy poranków ni zmierzchów, a ziemia, bardziej niźli my martwa, nie daje życia żadnym istotom zwierzęcym. O robaki, które niegdyś obiecywała nam śmierć! O kochane robaczki, matki naszego ducha, który mógłby jeszcze się odrodzić! Wysysając żółć naszą, skropiłybyście nas litościwie mlekiem niewinności! Gryząc nas, leczyłybyście ukąszenia naszych grzechów, pieszcząc nas swymi śmiertnymi powabami, dałybyście nam nowe życie, albowiem tyle by dla nas grób znaczył, ile matczyne łono... Atoli nic takiego się nie zdarzy. To wiem, choć nasze ciała w każdej chwili o tym zapominają.

– A Bóg? – zapytał Ferrante. – A Bóg, czy Bóg się śmieje?

– Niestety, nie – odparł obłupiony – bo nawet upokorzenie byłoby dla nas radosne. Ileż piękna ujrzelibyśmy w Bogu, który się śmieje, w Bogu, który z nas drwi! Jakąż zabawą byłby nam widok Pana, który drwiłby, zasiadając na tronie w otoczeniu swych świętych. Widzielibyśmy radość Innego, równie radującą oczy jak widok Innego w gniewie. Nie, tutaj nikt się nie oburza, nikt nie śmieje, nikt się nie pokazuje. Tutaj Boga nie ma. Jest tylko bezkresna nadzieja.

– Na Boga żywego, niechaj przeklęci będą wszyscy święci! – spróbował zakrzyknąć wtedy rozwścieczony Ferrante. – Skoro już jestem potępiony, mam przecież prawo przedstawić sobie samemu spektakl mej furii!

Spostrzegł jednak, że głos dobywa mu się z piersi wątły, jego ciało jest wyniszczone i nie może nawet się rozsierdzić.

– Widzisz – powiedział bezskóry, a jego usta nie zdołały się bodaj wykrzywić w uśmiechu – twoja kara już się zaczęła. Nie pozwolono ci nawet na nienawiść. Ta wyspa to jedyne miejsce we wszechświecie, gdzie niedopuszczalne jest cierpienie, gdzie nadzieja bez wigoru nie różni się niczym od niezgłębionej nudy.

Robert dalej budował koniec Ferrante, nie schodząc z pokładu, obnażony, odkąd udawał kamień, a w tym czasie słońce parzyło jego twarz, pierś, nogi, przenikając go gorączkowym żarem, od którego tak niedawno uciekł. Był teraz skłonny nie tylko przemieszać Romans z rzeczywistością, ale także żar ciała z żarem duszy, i znowu poczuł, że rozpala go miłowanie. A Lilia? Co stało się z Lilią, kiedy ciało Ferrante wędrowało w stronę Wyspy Zmarłych?

Ujawniając rys właściwy autorom Romansów, którzy nie mogą powściągnąć niecierpliwości i wyrzekają się respektowania jedności czasu i miejsca, Robert jednym susem przeskoczył sekwencję wydarzeń, by spotkać Lilię wiele dni potem, kiedy przywiązana do deski płynęła po morzu spokojnym i siejącym błyski w słonecznych promieniach, zbliżając się (tego, miły czytelniku, nie ważyłbyś się nigdy przewidzieć) do

wschodniego brzegu Wyspy Salomona, to jest do strony przeciwnej względem tej, po której stała na kotwicy „Dafne”.

Robert wiedział od ojca Kacpra, że tamtejsze plaże są mniej przyjazne niż zachodnie. Deska, która nie mogła już się utrzymać na wodzie, pękła, uderzając o rafy. Lilia ocknęła się i przywarła do skały, a kawałki tratwy ginęły z oczu, unoszone przez morskie prądy.

Utkwiła tu na kamieniu, gdzie ledwie dla niej starczało miejsca, a pasmo wody – w jej oczach ocean – oddzielało ją od brzegu. Tajfun zabrał Lilii wszystkie siły, głód ją wyniszczył, umęczyło pragnienie i nie była w stanie podpełznąć ze skały ku wstędze piasku, poza którą jej zamglony wzrok odgadywał blade kształty roślin.

Jednak skała pod jej wysmukłym biodrem była rozpalona od słońca i kiedy Lilia nabierała z wysiłkiem powietrza do płuc, nie gasiła zgoła własnego wewnętrznego żaru, lecz przeciwnie, wciągała w siebie jego żar.

Miała nadzieję, że nieopodal tryskają z urwisk skalnych roztańczone strumyczki, lecz te marzenia nie uśmierzały pragnienia, jedynie je potęgowały. Chciała wezwać na ratunek niebiosa, ponieważ jednak język przywarł jej do wyschniętego podniebienia, wydawała z siebie jeno urywane westchnienia.

Czas płynął, bicz wiatru szarpał ją szponami drapieżnika i bała się (bardziej niż śmierci) tego, że będzie żyła, aż działanie żywiołów oszpeci ją, czyniąc z niej przedmiot odrazy miast miłości.

Gdyby dotarła do jakiej kałuży, strumyczka żywej wody, to kiedy by zbliżyła do niej wargi, ujrzałaby własne oczy, niegdyś dwie pełne życia i obiecujące życie gwiazdy, teraz dwa straszliwe zaćmienia; i tę twarz, którą rozdokazywane amorki obrały sobie za mieszkanie, teraz odrażającą oberżę szkaradności. Gdyby dotarła do jakiegoś stawu, oczy jej, litując się nad tym stanem, przelałyby więcej łez, niż zaczerpnęłyby wargi.

Tak w każdym razie kazał jej Robert myśleć o sobie samej. Sprawiło mu to jednak przykrość. Przykrość, gdyż Lilia, bliska wszak śmierci, trwoży się o swą urodę, jak często zdarza się w Romansach; przykrość też z tej

przyczyny, że nie potrafił bez wytworzonych w umyśle hiperboli zajrzeć w twarz swej umierającej miłości.

Jaka mogła być naprawdę Lilia w tym momencie? Jaką by się pokazała, gdyby zdjąć z niej śmiertelną szatę utkaną ze słów?

Wskutek niewygód podczas długiego przebywania na statku i cierpień po katastrofie jej włosy mogły zmienić się w pakuły przetykane białymi nitkami; jej pierś z pewnością straciła liliowy blask, jej oblicze przeorał czas. Zmarszczki pokryły szyję i piersi.

Nie, przecież takie sławienie więdnięcia oznacza zawierzenie machinie poetyckiej księdza Emanuela... Robert chciał widzieć Lilię taką, jaka była naprawdę. Głowa jej opadła, nieprzytomne i podpuchnięte oczy, zwężone od bólu, zdają się zbytnio oddalone od nasady nosa – teraz zaostrzonego – a z ich kącików rozchodzi się siateczka drobnych zmarszczek niby ślady wróblich łapek na piasku. Nozdrza nieco rozszerzone, jedno trochę bardziej mięsiste. Spękane wargi o ametystowym zabarwieniu, łukowate zmarszczki po obu ich stronach, górna warga, nieco wysunięta i uniesiona, odsłania dwa zęby, których kolor daleki już jest od kości słoniowej. Skóra twarzy odrobinę opada, tworząc pod brodą dwie bruzdy, które psują linię szyi...

A przecież tego przejrzałego owocu nie oddałby za żadnych aniołów niebiańskich. Kochał ją też taką jak teraz; że wygląda inaczej, nie mógł wszak wiedzieć, pragnąc jej owego dawnego wieczoru, kiedy skryła się za kurtyną czarnego woalu.

W swym życiu rozbitka dał się sprowadzić na manowce, pożądał niewiasty harmonijnej jak układ sfer niebieskich; ale potem powiedziano mu (a tego też nie śmiał wyznać księdzu Kacprowi), że być może planety nie podążają szlakiem doskonałej linii okręgu, lecz zbaczają w swym biegu wokół Słońca.

Uroda jest jasna, lecz miłość tajemnicza; odkrył, że kocha nie wiosnę umiłowanej, lecz każdą z jej pór, i była dlań tym bardziej godną pożądania w czas jesiennego schyłku. Zawsze kochał ją za to, czym była i czym mogła być, a tylko w tym sensie miłość stanowi dar z siebie bez oczekiwania na wzajemność.

Pozwolił się zwieść swej kołysanej falami pustelni, szukając nieznużenie jakiegoś innego „ja”: niegodziwy Ferrante, wspaniała Lilia, z której chwały chciał czerpać chwałę dla siebie. A przecież miłować Lilię oznaczało chcieć jej, pozostając takim, jakim się jest, pamiętając, że przeznaczeniem obojga jest podlegać działaniu czasu. Dotychczas wykorzystywał jej urodę, by podżegać pohańbienie swego umysłu. Kiedy kazał Lilii mówić, wkładał jej w usta słowa, których pragnął i z których był przecież niekontent. Teraz chciał, żeby była przy nim, teraz był zakochany w jej zbolałej piękności, rozkosznej mizerii, powabnej bladości, omdlałym uroku, wychudłej nagości, pragnął pieścić ją troskliwie i słuchać słów padających z jej warg, jej słów, nie zaś tych, które jej przypisywał.

Powinien mieć ją, wyzbywając się siebie.

Było już jednak za późno, by złożyć należny hołd swemu choremu bóstwu.

Po drugiej stronie Wyspy żyłami Lilii płynęła już ciekła Śmierć.

39

Upojne Itinerarium Niebieskie

Czy to właściwy sposób kończenia Romansu? Romanse nie tylko podsycają nienawiść, byśmy mogli w końcu radować się klęską tych, których nienawidzimy, ale zachęcają też do współczucia, by potem doprowadzić nas do odkrycia, że tym, których kochamy, nic już nie grozi. Tak źle kończących się Romansów Robert nigdy nie czytał.

Chyba że Romans wciąż nie jest zakończony i w zapasie mamy jeszcze sekretnego Bohatera, który umie zdobyć się na czyn do pomyślenia tylko w Krainie Romansów.

Robertowi miłość nakazała dokonać czynu, przez który sam wejdzie do swej opowieści.

Gdybym dotarł do Wyspy – powiedział sobie – mógłbym Lilię uratować. Jedynie gnuśność zatrzymała mnie tutaj. Teraz oboje jesteśmy uwięzieni na morzu i tęsknimy do przeciwległych brzegów tego samego lądu.

A przecież nie wszystko jest stracone. W tej chwili patrzę, jak Lilia kona, gdybym jednak w tejże chwili dotarł do Wyspy, znalazłbym się tam dzień przed nią i tylko bym czekał, ażeby pomóc jej dostać się w bezpieczne miejsce.

Nieważne, że będę przy niej, kiedy niemal już wyda ostatnie tchnienie. Wiadomo wszak, że choć ciało doszło do takiego stanu, silne wzruszenie może dać mu nowe siły, i czasem konający, dowiedziawszy się, iż zniknęła przyczyna jego nieszczęść, wraca do rozkwitu sił.

A jakież może być większe wzruszenie dla tej konającej niż zobaczyć przy życiu umiłowaną osobę? Właściwie nie powinienem nawet wyjawiać, że nie jestem tym, którego kochała, albowiem oddała się mnie tylko, nie zaś tamtemu; po prostu zajmę miejsce, jakie należało mi się od początku. Więcej, nie zdając sobie z tego sprawy, Lilia wyczuje odmienną miłość w mym spojrzeniu, wolną od wszelkiej lubieżności, rozwibrowaną oddaniem.

Czy to możliwe – mógłby ktoś zadać sobie pytanie – że Robert nie zastanowił się nad tym, iż dane mu będzie ocalić Lilię, jeśli zdoła dotrzeć do Wyspy tego samego dnia, a co najwyżej nazajutrz w pierwszych godzinach poranka, chociaż niedawne doświadczenia pokazały, jak mało jest to prawdopodobne? I czyżby nie zdawał sobie sprawy z tego, że chce dopłynąć do Wyspy naprawdę, nie zważając, iż wyprawia się na ratunek tej, która dotarła do tego miejsca tylko dzięki jego opowieści?

Jednakowoż Robert zaczął, jak już widzieliśmy, od tego, że rozmyślał o Krainie Romansów, niemającej nic wspólnego z jego własnym światem, a skończył na tym, że bez trudu doprowadził do stopienia się tych dwóch wszechświatów i przemieszania rządzących nimi praw. Myślał, że zdoła dotrzeć na Wyspę, ponieważ to właśnie sobie wyobraził, i że wyobrazi sobie przybycie Lilii w tym momencie, kiedy sam tam dotrze, dlatego że tego chciał. Poza tym tę wolność, która pozwala chcieć wydarzeń oraz doprowadzić do ich urzeczywistnienia i dzięki której trudno coś w Romansie przewidzieć, Robert przeniósł do swojego świata: dotrze w końcu do Wyspy z tej prostej przyczyny, że – gdyby do niej nie dotarł – nie wiedziałby już, co ma sobie samemu opowiadać.

Wokół tej myśli, którą każdy, kto za nami nie podążył aż do tego miejsca, uznałby za szaleństwo czy głupotę, jak kto woli (lub wolałby wtedy), Robert w sposób matematyczny budował rozumowanie, nie ukrywając przed sobą samym żadnej możliwości, jaką podsuwały zdrowy rozsądek i ostrożność.

Niby generał, który w noc przed bitwą planuje ruchy, jakie jego wojska wykonają w nadchodzącym dniu, i nie tylko wyobraża sobie trudności, jakie mogą się wyłonić, i wydarzenia, jakie mogą zakłócić jego zamysły, ale stara się także przeniknąć do umysłu generała wrogiej armii, by przewidzieć wszystkie jego manewry oraz kontrmanewry i ułożyć przyszłość, działając wedle tego, co tamten mógłby ułożyć wedle tego, co on ułoży – tak Robert ważył środki i cele, przyczyny i skutki, wszystkie za i przeciw.

Musiał porzucić myśl, że dopłynie do rafy i pokona tę przeszkodę. Nie mógł już wypatrywać podwodnych przesmyków i nie zdołałby wedrzeć się na części wystające nad wodę, nie narażając się na wpadnięcie w niewidoczne pułapki – z pewnością śmiertelne. A poza tym, nawet zakładając, że by tam dotarł – na wodzie czy pod wodą – nie jest jeszcze powiedziane, że udałoby mu się iść po skale w marnych getrach i że rafa nie kryje rozpadlin, w które można wpaść, by nigdy się już z nich nie wydostać.

Nie było więc innego sposobu dotarcia do Wyspy, jak tylko płynąć szlakiem szalupy, to znaczy na południe, wzdłuż brzegu zatoki, mniej więcej na wysokości „Dafne”, a następnie, minąwszy cypel południowy, skręcić na wschód i dotrzeć do przesmyku, o którym mówił ojciec Kacper.

Ten plan był nierozumny, i to z dwóch powodów. Pierwszy to ten, że dotychczas Robert z trudem dopływał do granicy rafy i tam siły go opuszczały; z tego względu było nie do pomyślenia, żeby udało mu się pokonać odległość co najmniej cztery albo pięć razy większą, i to bez liny – nie tylko dlatego, że nie miał żadnej dostatecznie długiej, ale przede wszystkim z tej przyczyny, iż tym razem ruszał, żeby dotrzeć do celu, jeśli zaś nie dotrze, nie ma sensu wracać. Po drugie, szlak ku wschodowi oznaczał, że trzeba płynąć pod prąd, a ponieważ wiedział, iż sił do walki starczy mu tylko na parę wymachów ramionami, zostanie nieubłaganie uniesiony poza północny cypel, a potem coraz dalej od Wyspy.

Po dogłębnym rozważeniu tych możliwości (i uznaniu, że *vita brevis*, *ars longa*, okazja trwa chwilę, a eksperymentowanie daje wątpliwe wyniki)

powiedział sobie, że rzeczą niegodną szlachcica jest oddawanie się tak małostkowym kalkulacjom – niby mieszczuch, który liczyłby możliwości, jakie zyskuje, stawiając w grze w kości uciułany z trudem grosz.

Albo też – powiedział sobie – kalkulacji trzeba dokonać, niechaj jednak będzie wzniosła, skoro wzniosły jest zamiar. Co stanowi stawkę w tej grze? Życie. Ale przecież jego życie, jeśli nie uda mu się opuścić statku, jest niewiele warte, a już osobliwie teraz, kiedy do samotności doszłaby świadomość, że stracił na zawsze Lilię. Co zaś zyskiwał, wychodząc zwycięsko z próby? Wszystko – radość ujrzenia jej znowu i ocalenia, a przynajmniej radość śmierci przy zmarłej ukochanej, przedtem zaś okrycia jej ciała całunem pocałunków.

To prawda, gra nie jest sprawiedliwa. Większa jest możliwość, że zginie przy tej próbie, niż że dotrze do lądu. Ale także w tym wypadku gra byłaby warta świeczki: to tak, jakby powiedziano mu, że ma tysiąc możliwości przegrania małej sumy, za to jedną wygrania ogromnego skarbu. Kto by nie spróbował?

W końcu uderzyła go jeszcze jedna myśl, która bezgranicznie zmniejszyła ryzyko w tej grze i nawet jego czyniła w obu wypadkach zwycięzcą. Załóżmy, że prąd zniesie go w kierunku przeciwnym. Otóż po minięciu tamtego cypla (wiedział, bo zrobił przecież próbę z drzwiami) prąd poniesie go wzdłuż południka...

Gdyby tak leżał na powierzchni wody, wpatrzony w niebo, nie zobaczyłby już nigdy ruchu słońca; unosiłby się na tej krawędzi, która oddziela dzisiaj od dnia poprzedniego, a więc poza czasem, zawsze w samo południe. Ponieważ czas zatrzymałby się dla niego, zatrzymałby się też na Wyspie, odwlekając w nieskończoność śmierć Lilii, jako że teraz wszystko, co się jej przytrafia, zależy od jego woli narratora. W zawieszeniu on, w zawieszeniu wydarzenia na Wyspie.

Poza wszystkim innym, cóż to za nadzwyczajnie przenikliwy chiazm! Znalazłaby się w tym samym położeniu, w jakim on się znajdował przez czas już nie do wymierzenia, o dwa sążnie od Wyspy, a niknąc pośród

oceanu, złożyłby jej dar z tego, co było jego nadzieją, zatrzymałby ją na krawędzi niekończącego się pożądania – oboje bez przyszłości, a tym samym bez oczekiwania na śmierć.

Potem puścił wodze fantazji i jął sobie wyobrażać, jaka byłaby jego wędrówka, a ponieważ usankcjonował już stopienie się w jedno światów, czuł, jakby chodziło równocześnie o wędrówkę Lilii. Było to niezwykłe dokonanie Roberta, bo przecież zapewniłby ukochanej także nieśmiertelność, której zmowa długości geograficznych inaczej by jej nie przyznała.

Zdążałby ku północy z prędkością umiarkowaną i jednostajną, po lewej i prawej ręce następowałyby po sobie dni i noce, pory roku, zaćmienia i przypływy, nowe gwiazdy przemierzałyby niebo, niosąc zarazy albo wstrząsy w imperiach, monarchowie i papieże siwieliby i znikali w obłokach prochu, wszystkie wiry świata dokonałyby swych wietrznych obrotów, a z holokaustu starych gwiazd wyłoniłyby się nowe... Wokół niego morze rozszalałoby się, a potem uciszyło, pasaty przemykałyby na wszystkie strony, a dla niego nic by się nie zmieniało w tej wypełnionej spokojem bruździe wodnej.

Czy zatrzymałby się kiedyś? Wedle tego, co zapamiętał z map, żaden inny ląd, oprócz Wysp Salomona, nie rozciągał się na tej długości geograficznej, w każdym razie poza biegun, gdzie ta długość zlewała się w jedno z wszystkimi innymi długościami. Skoro jednak statek z wiatrem od rufy i całym lasem masztów potrzebował wielu, wielu miesięcy, żeby przebyć szlak podobny do tego, którym Robert miał ruszyć, jak długo on wytrwa na swoim kursie? Może całe lata, nim znajdzie się w miejscu, gdzie z dniem i nocą działo się z biegiem stuleci coś, o czym nie miał pojęcia.

Jeszcze przez cały ten czas spoczywałby otulony miłością tak wzniosłą, że nie dba ona o utratę warg, dłoni, źrenic. Ciało wyzbyłoby się wszelkiej limfy, żółci czy flegmy, przez wszystkie pory wtargnęłaby woda, a przenikając do uszu, zagipsowałaby mózg słonością, zajęłaby miejsce szklanego humoru oczu, dostałaby się do nozdrzy i rozpuściła wszelki ślad po żywocie ziemskim. W tymże czasie promienie słoneczne karmiłyby go

cząsteczkami ognistymi i one to pozbawiłyby ciecz ciężkości, czyniąc z niej jedną kałużę powietrza i ognia, którą siła sympatii wzywałaby ku górze. I Robert, lekki teraz i lotny, wzbiłby się, by dołączyć najpierw do duchów powietrznych, a potem do duchów słonecznych.

To samo stałoby się z nią w ostrym świetle padającym na skałę. Rozprzestrzeniłaby się niby kowalne złoto, które zmienia się w prawie przezroczystą blaszkę.

W ten sposób z biegiem dni połączyliby się w tym porozumieniu. Chwila po chwili stawaliby się jedno dla drugiego tym, czym są zespolone bliźniacze igły kompasu, z których każda naśladuje ruch swej towarzyszki, odchylając się, gdy druga zdąża dalej, i przyjmując na nowo pozycję prostą, gdy druga wraca na pierwotne miejsce.

Tak zatem wspólnie przebywaliby dalszą drogę, prosto w stronę czekającej na nich gwiazdy – pył atomów wśród innych kosmicznych korpuskuł, wir pośród wirów – wiekuiści teraz jak świat, albowiem utkani z pustki. Pogodzeni ze swym przeznaczeniem, jako że ruch Ziemi niesie choroby i strach, lecz drganie sfer niebieskich pełne jest niewinności.

Stąd wniosek, że gra zawsze musi przynieść mu zwycięstwo. Nie ma co się wahać. Nie ma też co gotować się do tej tryumfalnej ofiary bez ekwipunku właściwych rytuałów. Robert powierzył papierowi ostatnie czyny, jakich zamierzał dokonać, a co do całej reszty – pozwolił nam odgadywać gesty, rytmy, kadencje.

Pierwszą wyzwoleńczą kąpielą była prawie godzinna praca przy usuwaniu części kraty oddzielającej pokład od wnętrza kadłuba. Potem zszedł i pootwierał wszystkie klatki. W miarę jak wyrywał złącza, otaczał go coraz gęstszy trzepot skrzydeł, aż musiał się bronić, zasłaniając twarz dłońmi; jednocześnie wykrzykiwał „sio, sio!” i zachęcał więźniów do lotu, popędzając rękami nawet kury, które biły skrzydłami, ale nie znajdowały wyjścia.

Kiedy wreszcie wyszedł na pokład, zobaczył, jak ogromne stado wzbija się między takielunkiem, i przez kilka sekund miał wrażenie, że słońce okryło się wszystkimi barwami tęczy, zbrukanymi przelotem ptaków morskich, które zjawiły się tu zaciekawione, skwapliwie dołączając do festynu.

Potem wrzucił do morza wszystkie zegary, nie myśląc nawet o tym, że pozbywa się cennego czasu; przekreślał czas, by pozwolić sobie na wyprawę przeciw czasowi.

A wreszcie, chcąc uniemożliwić sobie wszelki akt tchórzostwa, zgromadził na pokładzie pod żaglem głównego masztu pieńki, listwy, puste baryłki, polał stos oliwą ze wszystkich kaganów i podpalił.

Wzbił się pierwszy płomień, który zaraz liznął żagle i wanty. Kiedy Robert miał już pewność, że ognisko podsyca się samo, przygotował się do pożegnania.

Był nagi, odkąd zaczął umierać, przeobrażając się w kamień. Nie miał na sobie nawet liny, która nie będzie już wyznaczała kresu wyprawy. Zszedł do morza.

Wsparł stopy o kadłub, by odepchnąć się i oderwać od „Dafne”, a potem popłynął wzdłuż kadłuba w stronę rufy i oddalił się na zawsze, zmierzając ku jednej z dwu czekających go szczęśliwości.

Nim jeszcze los i wody zdecydują, co się z nim stanie, chciałbym, żeby zatrzymując się co czas jakiś dla nabrania oddechu, bystrym jeszcze wzrokiem przebiegł przestrzeń między „Dafne”, którą pozdrawiał, a Wyspą.

Tam, powyżej linii wyznaczonej przez wierzchołki drzew, spojrzeniem teraz nadzwyczajnie przenikliwym winien wypatrzyć, jak wzbija się do lotu – niby strzała pragnąca ugodzić słońce – Gołębica Koloru Pomarańczy.

40

Kolofon

To wszystko. Co się potem stało z Robertem – nie wiem i nigdy się nie dowiem.

Jak wyłuskać romans z historii nawet tak romantycznej, skoro nie zna się jego zakończenia – czy raczej prawdziwego początku?

Chyba że historia, którą chciałoby się opowiedzieć, jest historią nie Roberta, lecz jego papierów – aczkolwiek także w tym wypadku trzeba uciekać się do domysłów.

To, że papiery te (zresztą zachowane we fragmentach, z których ułożyłem opowieść lub szereg opowieści, krzyżujących się i przenikających wzajemnie) przetrwały do naszych czasów tylko dzięki temu, iż „Dafne” nie spłonęła do końca, wydaje mi się oczywistością. Kto wie, może ogień ledwie naruszył maszty, a potem zgasł, jako że dzień był bezwietrzny. Nic nie przemawia też przeciw twierdzeniu, że parę godzin później spadł ulewny deszcz, który zgasił ognisko...

Jak długo stała „Dafne” na kotwicy, nim ktoś ją znalazł i odkrył teksty Roberta? Spróbuję wysunąć dwie hipotezy, obie wzięte z fantazji.

Jak już wspomniałem, kilka miesięcy przed tymi wydarzeniami, a dokładnie w lutym 1643 roku, Abel Tasman, wypłynąwszy z Batawii w sierpniu 1642 roku, najpierw dotarł do tej Ziemi Van Diemena, która później stała się Tasmanią, zobaczył z daleka Nową Zelandię i wziął kurs na wyspy Tonga (odkryte już w 1615 przez van Schoutena i Maire’a i nazwane Wyspami Kokosu i Zdrajców), by posuwając się dalej w kierunku północnym, napotkać szereg wysepek otoczonych piaskiem

i zarejestrować ich położenie: 17,19 stopnia szerokości południowej i 201,35 stopnia długości. Nie będziemy tu podważać podanej długości geograficznej, jeśli jednak moja hipoteza jest trafna, wyspy te, którym nadał nazwę Prins Willelms Eijlanden, musiały leżeć niedaleko od Wyspy z naszej opowieści.

Tasman kończy wyprawę, jak podaje, w czerwcu, a więc zanim jeszcze „Dafne” mogła pojawić się w tamtych stronach. Nie ma jednak pewności, czy dzienniki Tasmana są godne zaufania (między innymi nie istnieje już ich oryginał)[2]. Spróbujmy więc sobie wyobrazić, że wskutek jednej z przypadkowych zmian kursu, jakich było mnóstwo w toku wyprawy, skierował się ku tej strefie, powiedzmy, we wrześniu tegoż roku i zobaczył „Dafne”. Nie było najmniejszej możliwości, by doprowadzić ją do ładu, gdyż musiała być już pozbawiona omasztowania i żagli. Zwiedził ją natomiast, by zorientować się, skąd przybyła, i znalazł papiery Roberta.

Chociaż włoski znał bardzo słabo, zrozumiał, że mowa w nich o kwestii długości geograficznej, a w związku z tym papiery te stawały się dokumentem bardzo poufnym i należało przekazać je Kompanii Indii Holenderskich. Dlatego w swoim dzienniku przemilczał całą sprawę, a może nawet sfałszował daty, by zatrzeć wszelki ślad swojej przygody, zapiski Roberta zaś trafiły do jakiegoś tajnego archiwum. Zresztą Tasman w następnym roku ruszył na kolejną wyprawę i Bóg jeden wie, czy skierował się tam, gdzie jakoby się skierował[3].

Wyobraźmy sobie holenderskich geografów podczas przeglądania tych papierów. My wiemy, że nie było w nich niczego interesującego, z wyjątkiem może psiej metody doktora Byrda, o której, zakładam, inni szpiedzy dowiedzieli się już swoimi drogami. Jest tam wzmianka o Strażnicy Maltańskiej, ale chciałbym przypomnieć, że od wyprawy Tasmana minie sto trzydzieści lat, zanim Cook odkryje na nowo te wyspy; gdyby podążać za wskazówkami Tasmana, nie odnalazłoby się ich nigdy.

A wreszcie, również cały wiek po wydarzeniach tu opowiedzianych, Harrison wynajduje chronometr morski, kładąc kres szaleńczej pogoni za *punto fijo*. Problem długości geograficznej przestaje być problemem i jakiś

archiwista Kompanii, pragnąc opróżnić szafy, wyrzuca, oddaje komuś, sprzedaje – któż to wie? – papiery Roberta, które stały się czystą ciekawostką dla nieznanego miłośnika manuskryptów.

Druga hipoteza jest z powieściowego punktu widzenia bardziej pociągająca. W maju 1789 roku pojawia się w tamtych stronach osobnik fascynujący. Jest nim kapitan Bligh, którego buntownicy z „Bounty" porzucili w szalupie z osiemnastoma wiernymi ludźmi, powierzając ich łaskawości fal.

Ten wyjątkowy, bez względu na wady charakteru, człowiek zdołał pokonać ponad sześć tysięcy kilometrów i przybić do brzegu na Timorze. Dokonując tego wyczynu, przepłynął przez archipelag Fidżi, prawie dotarł do Vanua Levu i przeciął grupę wysp Yasawa. Oznacza to, że gdyby odrobinę zboczył ku wschodowi, mógłby bez trudu znaleźć się w pobliżu Taveuni, gdzie, jak zechciałem ustalić, leży nasza Wyspa – jeśli zaś chodzi o dowody w kwestiach, które dotyczą wiary lub niewiary, zapewniono mnie otóż, że Gołąb Pomarańczowy lub Orange Dove, lub Flame Dove, a najlepiej *Ptilinopus victor*, tam tylko żyje, tyle że – dodajmy, choć może to zburzyć całą opowieść – ta pomarańcza jest samczykiem.

Otóż gdyby człowiek w rodzaju Bligha, który dotarł w to miejsce na zwykłej szalupie, znalazł „Dafne" w stanie chociażby jakim takim, stanąłby na głowie, byleby doprowadzić ją do ładu. Ale minęło już niemal półtora wieku.

Jakieś burze szarpały kadłubem, zerwały kotwicę i statek roztrzaskał się o rafę koralową – a może nie, może porwał go prąd, uniósł w stronę północną i cisnął na inne płycizny albo skały sąsiedniej wyspy, gdzie ten już pozostał, wystawiony na działanie czasu.

Prawdopodobnie Bligh wszedł na pokład statku widma, o nadburciach pokrytych muszlami i zielenią wodorostów, z wodą stojącą w rozprutej ładowni, schronieniu mięczaków i trujących ryb.

Może przetrwał w stanie chwiejnej równowagi kasztel rufowy, w kabinie kapitańskiej zaś Bligh znalazł zasuszone i pokryte pyłem, a może raczej

zawilgocone i zbutwiałe, ale nadal czytelne papiery Roberta.

Nie były to już czasy wielkich strapień związanych z długościami geograficznymi, lecz niewykluczone, że jego uwagę zwróciły zapisane w nieznanym języku wzmianki na temat Wysp Salomona. Prawie dziesięć lat wcześniej niejaki pan Buache, Geograf Króla i Marynarki Francuskiej, przedstawił Akademii Nauk dotyczący istnienia i położenia Wysp Salomona memoriał, w którym utrzymywał, że są niczym innym, jak Zatoką Choiseula, odkrytą przez Bougainville'a w 1768 roku (opis odpowiadał staremu opisowi Mendanii), i Terres des Arsacides, odkrytymi w 1769 roku przez Surville'a. Kiedy Bligh był jeszcze na morzu, pewien anonim, zapewne pan de Fleurieu, opublikował książkę noszącą tytuł *Découvertes des François en 1768 & 1769 dans le Sud-Est de la Nouvelle Guinée*.

Nie wiem, czy Bligh zapoznał się z postulatami pana Buache'a, lecz z pewnością w angielskiej marynarce mówiło się z gniewem o tym porywie arogancji francuskich kuzynów, którzy przechwalają się, że znaleźli to, czego znaleźć się nie da. Francuzi mieli rację, choć Bligh mógł o tym nie wiedzieć i nie chcieć wiedzieć. Musiała ogarnąć go nadzieja, że w jego ręce trafił dokument, który nie tylko zadawał kłam Francuzom, ale też przyznawał mu chwałę odkrywcy Wysp Salomona.

Mogę sobie wyobrazić, że najpierw podziękował w myślach Fletcherowi Christianowi i innym buntownikom, którzy pchnęli go przemocą na ścieżkę chwały, a potem, jak na dobrego patriotę przystało, postanowił przemilczeć swój krótki wypad na wschód i swoje odkrycie, a papiery przekazać całkowicie poufnie brytyjskiej Admiralicji.

Jednak również w tym wypadku ktoś musiał uznać, że nie ma w nich niczego szczególnie interesującego i pozbawione są wartości dowodowej, więc – raz jeszcze – zostały skazane na banicję wśród plików erudycyjnej tandety dobrej dla uczonych. Bligh zrezygnował z Wysp Salomona, zadowolił się stopniem admiralskim przyznanym za inne wybitne dokonania żeglarskie i umarł całkowicie zadowolony z siebie, nie wiedząc, że Hollywood zohydzi go w oczach potomnych.

A zatem, jeśliby nawet jedna z moich hipotez nadała się do rozwinięcia narracji, i tak zabrakłoby końca godnego opowiedzenia, czytelnik zaś pozostałby niezadowolony i nieusatysfakcjonowany. Także więc przy takim podejściu tarapaty Roberta nie mogłyby nieść żadnego moralnego pouczenia – nadal zadajemy sobie pytanie, jak mogło mu się przytrafić to, co się przytrafiło – i doszlibyśmy do wniosku, że wszystko w życiu dzieje się, bo się dzieje, a tylko w Krainie Romansów ma się wrażenie, że rządzi tym jakiś cel czy Opatrzność.

Jeślibym miał jakoś tę sprawę podsumować, musiałbym wśród papierów Roberta wyszukać pewną notatkę, która została napisana jednej z tych nocy, kiedy zastanawiał się nad ewentualnym Intruzem. Owej nocy Robert raz jeszcze wpatrywał się w niebo. Przypomniał sobie, jak to w Grivie zapadała się ze starości rodzinna kapliczka i jego karmelicki preceptor, który niejednego doświadczył na Wschodzie, poradził, żeby odbudować małe oratorium na modłę bizantyńską, okrągłe, z centralnie umieszczoną kopułą, co nie miało nic a nic wspólnego ze stylem, do jakiego przywykli mieszkańcy Monferrato. Ale stary Pozzo nie chciał wtykać nosa w sprawy sztuki i religii, toteż posłuchał rady tego świętego człowieka.

Patrząc na antypodyczne niebo, Robert uświadomił sobie, że w Grivie, w pejzażu otoczonym ze wszystkich stron wzgórzami, sklepienie niebieskie jawiło mu się jak kopuła oratorium, wyraźnie ograniczone małym kręgiem horyzontu, z jedną czy drugą konstelacją, którą potrafił rozpoznać, i pewnie dlatego w jego przekonaniu spektakl zmieniał się z tygodnia na tydzień, Robert chodził bowiem spać wcześnie i nie miał możliwości zauważyć, iż widok zmieniał się nawet w ciągu jednej i tej samej nocy. Kopuła wydawała mu się zawsze stabilna i okrągła, a w konsekwencji równie stabilny i okrągły był jego wszechświat.

W Casale, pośrodku równiny, zrozumiał, że niebo jest rozleglejsze, niż mu się przedtem zdawało, lecz ksiądz Emanuel uczył go raczej wyobrażania sobie gwiazd opisanych przez pojęcia, nie zaś patrzenia na te, które Robert miał nad głową.

Teraz był antypodycznym widzem nieskończonej rozległości oceanu i miał przed oczami bezmierny horyzont. A nad głową – konstelacje, jakich nigdy przedtem nie widział. Konstelacje ze swej hemisfery odczytywał według obrazów, jakie ongiś inni z nimi związali: tutaj wielokątna symetria Wielkiego Wozu, tam alfabetyczna precyzja Kasjopei. Ale na „Dafne” nie miał żadnych z góry ustalonych wizerunków, mógł każdy punkt łączyć z dowolnym innym i uzyskiwać obraz węża, olbrzyma, warkocza albo ogona jadowitego insekta, by zaraz zmazać te linie i szukać innych kształtów.

We Francji i Włoszech obserwował również na niebie pejzaż nakreślony monarszą ręką, która ustalała przebieg dróg i szlaki kurierów pocztowych, pozostawiając między nimi plamy lasów. Tutaj był natomiast pionierem na nieznanej ziemi i sam musiał postanawiać, jakie ścieżki połączą szczyt z jeziorem, nie mając żadnego kryterium pozwalającego na wybór, albowiem nie było jeszcze miast ni wiosek na zboczach pierwszego czy nad brzegiem drugiego. Robert nie patrzył na konstelacje: musiał je ustawiać. Czuł lęk, że całość ułoży się w spiralę, skorupę ślimaka, w wir.

W tym momencie przypomniał sobie o zupełnie nowym kościele, który widział w Rzymie – i był to jedyny raz, kiedy wyobraził sobie, jak odwiedził to miasto; może zdarzyło się to przed wyjazdem do Prowansji. Kościół ten wydał mu się przesadnie odmienny zarówno od kopuły w Grivie, jak i od geometrycznie uporządkowanych – dzięki ostrołukom i skrzyżowaniom na sklepieniu naw – kościołów, które widział w Casale. Teraz pojął dlaczego: to tak, jakby sklepienie kościelne było niebem australnym, bo zachęcało oko do szukania ciągle nowych szlaków ucieczki, nigdy nie pozwalając mu wytchnąć w punkcie centralnym. Pod tą kopułą, obojętne, gdzie się stanęło, wznosząc wzrok, zawsze miało się uczucie przebywania gdzieś w obrzeżu.

Zdawał sobie teraz sprawę, że mniej wyraziście, nie tak natrętnie teatralnie, poprzez drobne codzienne zaskoczenie to poczucie nieosiągalności spoczynku nękało go najpierw w Prowansji, potem w Paryżu, gdzie każdy, posługując się takimi czy innymi środkami, niszczył

w nim jakąś pewność i wskazywał mu możliwy sposób kreślenia mapy świata, ale sugestie, jakie doń docierały z rozmaitych stron, nie układały się w skończony rysunek.

Słyszał o machinach potrafiących zakłócić porządek zjawisk naturalnych, tak by ciężkie chciało wzbijać się wysoko, a lekkie opadało na dół, by ogień obmywał, a woda parzyła, jakby sam Stwórca wszechświata był w stanie poprawić swe dzieło i zmusił w końcu rośliny i kwiaty do rozwijania się wbrew porze roku, a pory roku do podjęcia boju przeciw czasowi.

Jeśli Stwórca godzi się zmienić zdanie, czy istnieje jeszcze jakiś Porządek, który narzucił On światu? Może narzucił ich od samego początku wiele, może był gotów codziennie je zmieniać, może istnieje jakiś sekretny porządek, który rządzi tą zmianą porządków i perspektyw, lecz naszym przeznaczeniem jest nigdy go nie odkryć, tylko raczej śledzić zmienną grę tych pozorów porządku, porządkujących się inaczej przy każdym nowym doświadczeniu?

Wtedy historia Roberta de la Grive byłaby tylko historią nieszczęśliwego kochanka, skazanego na życie pod rozległym niebem, nieumiejącego pogodzić się z myślą, że Ziemia wędruje po elipsie, a Słońce jest po prostu jednym z ognisk tej elipsy.

To zaś, jak wielu przyzna, zbyt mało, by przyrządzić historyjkę, która miałaby ręce i nogi.

A wreszcie gdybym pragnął przerobić tę historię na powieść, pokazałbym raz jeszcze, że pisać można jedynie, wykonując palimpsest z odnalezionego manuskryptu – i nigdy nie mogąc uciec od Lęku przed Wpływem. I nie zamierzam uchylać się przed dziecinną doprawdy ciekawością czytelnika, który chciałby się dowiedzieć, czy naprawdę Robert napisał stroniczki, o których rozwodziłem się aż za długo. Muszę odpowiedzieć uczciwie, że nie można wykluczyć, iż napisał je ktoś inny, kto zapragnął udać, iż opowiada prawdę. I w ten sposób przepadłby mi cały powieściowy efekt: owszem, można udawać, że opowiada się rzeczy prawdziwe, ale nie można mówić poważnie, że się udaje.

Nie umiałbym też wymyślić, jakie ostatecznie wypadki doprowadziły do tego, że listy znalazły się w rękach kogoś, kto powinien mi je wręczyć, wydobyte spośród miscellaneów innych wyblakłych i zagryzmolonych autografów.

Oczekiwałbym jednak, że powie: „Autor nieznany, pismo piękne, ale, jak widzisz, zatarte, a kartki to istne błoto. Co zaś do treści, z tego, na co rzuciłem okiem, chodzi o manierystyczne wprawki. Wiesz, jak pisano w tamtym wieku... To byli ludzie bezduszni”.

Przypisy

[1] W przekładzie Czesława Miłosza.

[2] Każdy może z łatwością stwierdzić, że mówię prawdę, zaglądając do: P.A. Leupe,*De handschriften der ontdekkingreis van A.J. Tasman en Franchoys Jacobsen Vissche 1642–3*, w: „Bijdragen voor vaderlandsche geschiedenis en oudheidkunde” nr 7, 1872, s. 254–293. Niepodważalne są bez wątpienia dokumenty zebrane jako „Generale Missiven”, gdzie mamy wyciąg z „Daghregister van het Casteel Batavia” z 10 czerwca 1643 roku, tam bowiem znaleźć można wzmiankę o powrocie Tasmana. Jeśli jednak hipoteza, którą tu formułuję, jest wiarygodna, bez większego ryzyka moglibyśmy założyć, że dla zachowania tajemnicy w rodzaju tej dotyczącej długości geograficznej nawet taki akt mógłby zostać sfałszowany. Ponieważ wiadomości musiały dotrzeć z Batawii do Holandii – a kto wie, kiedy tam dotarły – dwumiesięczna różnica mogła pozostać niezauważona. Ponadto nie mam wcale pewności, że Robert dotarł w tamte strony w sierpniu, nie zaś wcześniej.

[3] Z tej drugiej wyprawy nie ma żadnego dziennika pokładowego. Dlaczego?